



Krzysztof
Spadło

Skazaniec

Tom V

 Silver Lemon

Krzysztof Spadło

Skazaniec

tom V

Zawsze mnie kochaj

Pamięci moich rodziców.

Jestem pewien, że wielu z was miało okazję doświadczyć w swoim życiu niespodziewanego spotkania po latach z osobą, która w przeszłości była dla was kimś bardzo ważnym. Wiecie o czym mówię, prawda? Znacze to uczucie pełne miłego zaskoczenia i szczerzej radości. W jednej chwili w duszy eksplodują wspomnienia z zamierzchłych czasów, odradzają się barwne przeżycia, a człowiek ma wrażenie, jakby cała burzliwa przeszłość zdarzyła się raptem kilka dni temu.

Ja poczułem to w majowy, upalny wieczór 1945 roku, zaraz po tym, gdy stanąłem twarzą w twarz z Wiktorem.

Ten jego gest, kiedy rozłożył swoje ramiona i nazwał mnie Stefkiem, a potem uściskał serdecznie jak brata. To była oszałamiająca chwila! Chryste Panie, czułem jak łązy szczęścia cisną się do mych oczu i ledwo zapanowałem nad tym, żeby się nie rozpląkać. Nagle cały świat stał się piękny, a życie wspaniałe. Wszystkie lata spędzone w więzieniu przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Wiktor poklepał mnie po plecach i powiedział:

- Siadaj Stefek! - Wskazał dłonią w róg pomieszczenia, gdzie stała komoda, stół i dwa fotele. - Głodny? Spragniony? Na co masz ochotę? A zresztą, po co ja się ciebie w ogóle pytam! - Podeszedł do biurka i złapał za telefon. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się, a potem rzucił do słuchawki. - Z tej strony major Kozłowski! Za pięć minut w moim gabinecie ma się pojawić kucharz i niech przyniesie z sobą chleb, kiełbasę, słoninę, kiszzone ogórki, sztuce i dwa talerze!

Wiktor odłożył słuchawkę na widełki, podeszedł do okazałego kredensu, wyjął dwa kryształowe kieliszki i butelkę wódki. Usiadł w fotelu naprzeciw. Rozlał po haku ognistej wody i wznosił toast:

- Za nasze szczęśliwe spotkanie po latach!

- Za nasze! - odparłem.

Wychyliliśmy do dna.

- Bardzo się cieszę! Bardzo! - powiedział, a jednocześnie wyciągnął w moim kierunku dłoń, w której trzymał szykowną papierośnicę. - To niesamowite! Niech mnie kule biją! Nigdy bym nie pomyślał, że jeszcze kiedykolwiek się spotkamy, a tu proszę! Taka niespodzianka! Niewiarygodne! - W jego słowach słyszałem autentyczny entuzjizm.

- Wiktor, nawet nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy. - Mój głos zaczynał się łamać. Nie potrafiłem zapanować nad swoim wzruszeniem. Chyba nie znam słów, za pomocą których mógłbym opisać emocje, które mnie wtedy dopadły. W głowie eksplodowało tysiące myśli, wyobrażenia puchła od wspomnień, a w duszy płonęła nadzieja, niczym pochodnia pośród mroków nocy. Siedziałem naprzeciw człowiekowi, który dawno temu był moim mentorem i przyjacielem. Ja w moich więziennych, zniszczonych łachmanach, a on w eleganckim mundurze majora Armii Czerwonej. Dwóch ludzi reprezentujących dwa różne światy i jedna mroczna tajemnica, która w przeszłości połączyła nas na wieki.

Przez chwilę spoglądałem mu prosto w oczy, po czym odwróciłem wzrok i zerknąłem w kierunku otwartego okna. Na dworze królował pogodny, majowy wieczór. Promienie zachodzącego słońca wpadały do pomieszczenia, a wiosenny wiatr delikatnie

poruszał połą białej firany.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Musiałem to powiedzieć. To było silniejsze ode mnie.

- Wiktor, obaj dobrze wiemy, że...

- Wiem, Stefek - wpadł mi w zdanie. - Wiem. Jestem świadom, że masz do mnie żal. To, co wydarzyło się tamtej nocy nie powinno mieć miejsca, a potem wszystkie sprawy przybrały zły obrót. - Westchnął i pogładził palcami kąciki ust. - Myślę jednak, że nie warto rozdrapywać starych ran. Nie cofniemy czasu i nie naprawimy przeszłości. Naprawdę jest mi przykro, że tak się stało. Nie mogłem nic zrobić. Pamiętasz mojego ojca? Wiesz jakim był człowiekiem - zamilkł na moment i odwrócił wzrok w stronę biurka. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby odgrzebywał w myślach stare wspomnienia. - Nie pasowałem do burżuazyjnej rodziny Kozłowskich. Byłem jak ta przysłowiowa "czarna owca". Nie dość, że nie chciałem iść w stadzie, to jeszcze wierzyłem we własne ideały i przekonania. - Uśmiechnął się pod nosem i rzekł: - Co tu gadać, przecież znasz prawdę. - I nagle zaczął opowiadać o sobie, a ja miałem wrażenie, jakby chciał się przede mną usprawiedliwić. - Dwa dni po twoim aresztowaniu, ojciec wysłał mnie do Warszawy. Rodzice sprzedali cały majątek w Kaliszu i w maju przeprowadzili się do stolicy. Pewnie mieli nadzieję, że wszystko się zmieni, że ja się zmienię - westchnął. - Latem 1923 roku ojciec powiedział, że nie chce mnie znać, kazał mi się wynieść i iść precz. Jesienią wyjechałem do Petersburga. Zacząłem udzielać się politycznie, a z czasem przyjąłem radzieckie obywatelstwo i zmieniłem nazwisko na Kozłow. Potem wyjechałem do Moskwy. Podjąłem studia na Akademii Sztabu Generalnego i wstąpiłem do Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W 1928 roku poznałem Nadię. - Sięgnął dłonią do wewnętrznej kieszeni wojskowej bluzy i wyjął brązowy portfel. - Fantastyczna kobieta! - Podał mi czarno-białe zdjęcie. - Mądra i piękna. - Spojrzałem na uśmiechniętą twarz uwieńczoną na fotografii. - Trzy lata później wzięliśmy ślub, mamy dwójkę dzieci. Chłopca i dziewczynkę. Oleg w tym roku skończył dwanaście lat, a Tatiana osiem.

Słuchałem uważnie co mówi, a jednocześnie czułem jak w głębi mojej duszy sączy się gorycz. Nie chodziło o to, że mu zazdrościłem. Bolało mnie coś innego.

Wiktor zaczął się chwalić i opowiadać o tym, jak daleko zaszedł i jaki osiągnął sukces. Z jego słów wywnioskowałem, że ma potężną władzę i jest jednym z najbliższych współpracowników Stalina.

- Znasz Stalina? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Mogę nawet powiedzieć, że nasze kontakty są bardzo zażyłe - powiedział z dumą.

- Jaki on jest?

- Josif? Dobre pytanie - odparł z uśmiechem. - Inteligentny. Urodzony przywódca. Konsekwentny, surowy i nieprzewidywalny. Zdajesz sobie sprawę, jaką trzeba mieć charyzmę, żeby władać tak ogromnym krajem jakim jest Związek Sowiecki? - Wyciągnął przed siebie dłoń zaciśniętą w pięść i uderzył w blat stołu. - Trzeba rządzić twardą ręką!

W tym samym momencie, rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - Wiktor rzucił rozkazującym tonem.

W drzwiach ujrzeliśmy mężczyznę w białym fartuchu.

- Towarzyszu majorze...

- Dobrze, dobrze! - Mój rozmówca machnął ręką i powiedział: - Dawajcie to jedzenie!

Kucharz położył na stole półmisek z gorącą kiełbasą, talerz z plastrami słoniny, chleb i wazę, w której zamiast zupy, pływały kiszzone ogórki w zalewie.

- Na co masz jeszcze ochotę? - Wiktor zwrócił się do mnie. - Rosół z kury? Ziemniaczki? Jakiś kotlet? Schabowy albo mielony? A może pieczonego kurczaka?

- Schabowy, ziemniaki i mizerię - odparłem bez namysłu.

- Słyszeliście? - Warknął do kucharza. - Dla mnie to samo i jeszcze dzbanek kompotu, najlepiej z rabarbaru. I żebyśmy nie musieli na to czekać całą wieczność!

- Tak jest, towarzyszu majorze! - Kuchta zasalutował i wyszedł z gabinetu.

- Często się Stefek! - Wiktor wskazał dłonią na stół. - Przekąśmy coś, zanim dostaniemy konkretny posiłek. - Sięgnął po butelkę z wódką. - Dobry, sowiecki samogon.

- Pstryknął palcami w szyjkę i zapytał: - Smakuje ci?

- Piekielnie mocny - odparłem.

- No to na zdrowie i za nasze spotkanie! - Wzniósł kolejny toast.

Gotowana kiełbasa była przepyszna. Wiedziałem, że nie mogę jeść zbyt łapczywie, bo nieprzyzwyczajony do takich rarytasów żołądek, mógł się w każdej chwili zbuntować.

Zanim kucharz przyniósł schabowe miałem już trochę w czubie, a prym w naszej dyskusji wiódł Wiktor. Ślizgał się po tematach i opowiadał różne rzeczy. Twierdził, że nadciągają epokowe zmiany, że Europa niebawem zyska nowe oblicze, bo Stalin ma wielkie plany.

- Już niedługo wspomnisz moje słowa - powiedział i pokiwał palcem. - Wszyscy musimy się przygotować na inne, lepsze czasy.

Słuchałem go, ale myślałem, że chyba trochę wyolbrzymia.

- No dobrze, starczy o polityce i świecie. Opowiedz mi teraz o sobie. - Zmienił temat.

- Wiktor, cóż mogę ci powiedzieć? - Niewidzialna obroża ścisnęła mi krtań. - Niedługo minie dwadzieścia trzy lata, jak siedzę w tym więzieniu. Rozumiesz, to? Dwadzieścia trzy cholerne lata! Większość mojego życia spędziłem za kratami. - Nie chciałem okazać swojej słabości, ale czasami tak bywa, że trudno człowiekowi zapanować nad emocjami. Nagle świat przed moimi oczami zaczął się rozmazywać i poczułem, jak po moich policzkach cieką łzy. - Wybacz - powiedziałem i rękawem bluzy przetarłem twarz.

- Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze. Masz na to moje słowo!

Chyba podświadomie czekałem, żeby coś takiego usłyszeć. Jego deklaracja sprawiła, że w tej samej chwili cały świat legł u mych stóp. Nie odezwałem się, podniosłem tylko wzrok i z uśmiechem spojrzałem mu w oczy.

Mizeria była wyśmienita. Gęsta śmietana smakowała wybornie, a chrupiąca panierka na kotlecie, który był tak duży jak moje dwie dłonie, po prostu rozpływała się w ustach. Alkohol spotęgował mój głód, a ja nie jadłem jak człowiek, tylko żarłem jak

wieprz. Żarłem w takim pośpiechu, jakbym się bał, że zaraz ktoś zabierze mi talerz spod nosa.

- Zdrowie! - Wiktor uniósł swój kieliszek. - Twoje! - Wychyliliśmy do dna. - A pamiętasz, jak Trufelrzygał się na pasterce? - zapytał zniechęcony.

- Jak mógłbym zapomnieć?! - Prawie parsknąłem śmiechem. - To przez te cygara, które zwinąłeś swojemu ojcu.

Wpadając sobie w zdania, zaczęliśmy wspominać tamtą sytuację.

Stary Kozłowski miał udziały w dużej firmie zajmującej się przerobem stali. Jeden z kontrahentów, sprezentował mu z jakiejś okazji zestaw kubańskich cygar. Przed świętami Bożego Narodzenia, Wiktor rąbnął cztery sztuki i obiecał, że zapalimy sobie przed pasterką. Jak zwykle umówiliśmy się w parku, obok kapliczki i tam mieliśmy zajarać tytoń prosto z dalekiej Hawany. Zima 1919 roku była mroźna jak diabli. Pewnie zamiast iść do kościoła włóczylibyśmy się po mieście, ale paląc te grube cygara, zmarzliśmy jak bezdomne kundły. Nawiasem mówiąc, wcale mi nie smakowało. Za każdym sztachnięciem czułem mrowienie na języku i co rusz splotałem, bo moje usta były pełne śliny. Trufel twierdził, że codziennie mógłby palić taką ekskluzywną rzecz, Pesteczka podzielał moje zdanie, a Wiktor jak zwykle grał znawcę, któremu nigdy nic nie było obce. Ziab dawał w kość więc postanowiliśmy, że jednak pójdziemy na pasterkę ale tylko dlatego, żeby się ogrzać w kościele. Po drodze Pesteczka zaczął jęczeć, że jest mu niedobrze, że ma wszystko w dupie i wraca do domu. My oczywiście nie mogliśmy takiego zachowania puścić płazem. Zaraz posypały się pod jego adresem wyzwiska, drwiny i obelgi.

- Brzuszek cię boli?! To wracaj do domciu, do mamusi - zakpił Trufel. - Pomylasz jej cucusia, to może ci przejdzie, cieniasie!

- Zamknij się gruba kicho końskiej spermy! - Pesteczka nigdy nie pozostawał dłużny.

- Idź do domciu, chłopczyku. Idź, zrób kupkę, zmów paciorek i połóż się spać - musiałem dołożyć coś od siebie.

- Ooo, tu! Każdy po kolei! - Pesteczka stanął w rozkroku i złapał się za krocze. - Cmoknijcie mnie w worek!

Chamskie odzywki, którymi raczyliśmy siebie nawzajem, były nieodłącznym elementem naszej każdej dyskusji. To była tradycja, która narodziła się w czasach, kiedy byliśmy jeszcze smarkaczami. Cała zabawa polegała na tym, żeby ubliżyć drugiemu, obrazić go, mieszać z gnojem i najlepiej jeszcze urągać jego matce lub ojcu za pomocą wyszukanych epitetów. Oczywiście traktowaliśmy to jako zabawę. Ja, Trufel i Pesteczka byliśmy przyjaciółmi ze specyficznym poczuciem humoru. Potem dołączył do nas Wiktor, ale on nigdy nie zniżył się do naszego poziomu. Bawiły go nasze prostackie odzywki, śmiał się w głos słysząc teksty typu: "Możesz mi possać, tylko się przyłóż, żeby mi majty wciągnęło do dupy" albo "Twój ojciec pije dlatego, bo jest załamany, że spłodził takiego kretyna jak ty!".

Gdybym wyteżył pamięć, to udałoby mi się spisać setkę takich "złotych

powiedzeń".

Wracając jednak do palenia cygar i pasterki. Pesteczka ruszył w swoją stronę, a my wtedy dawaj lepić śnieżki i do ataku! Zaczął uciekać, ale oberwał kilka razy, a Trufel miał jeszcze takiego cela, że jedną kulkę posłał mu prosto w łeb. To było trafienie za dziesięć punktów.

Pasterka jak to pasterka, ludzi od groma, pełny kościół wiernych, a na dworze zimno.

- Dawajcie, ładujemy się do środka! - zdecydował Wiktor.

Przepchaliśmy się przez tłum stojący w drzwiach, a potem dalej na prawo w stronę konfesjonałów. Żadna przyjemność stać u wylotu drzwi, przez które ciągnął ziąb grudniowej nocy. Zanim ksiądz zaczął czytać ewangelię, Trufel trącił mnie łokciem i szepnął:

- Chyba mi niedobrze.

Spojrzałem na niego. Był blady jak komża ministranta.

Obróciłem się w lewo i przekazałem informację Wiktorowi.

- Tłścioch mówi, że coś go muli.

Ten spojrzał na niego i wzruszył ramionami.

Nagle usłyszałem jak Trufel tłumi w gardle charakterystyczny dźwięk, kiedy zaczyna człowieka ciągnąć na wymioty. Zerknąłem na niego kątem oka i dostrzegłem, że raz po raz na jego twarzy pojawia się dziwny grymas. Nie wiem czy pomyślał o tym, żeby czym prędzej ruszyć do drzwi. Nawet gdyby to zrobił, to i tak nie zdążyłby wyjść na zewnątrz. Niespodziewanie z jego ust chlusnęła fontanna wymiocin. Nasz kumpel rzygnął prosto na plecy kobiety, która stała przed nim. Niestrawione resztki wigilijnej kolacji uderzyły o szarą połąć filcowego materiału. Ludzie stojący po bokach odskoczyli, jakby ktoś rzucił pomiędzy nich granat. Śmierdząca mozaika spływała po płaszczu tej kobieciny. Trufla pociągnęło raz jeszcze, ale tym razem pochylił się w przód i puścił pawia prosto na posadzkę. Przy okazji zarzygał sobie czubki własnych butów. Zrobiła się wrzawa. Nawet ksiądz zamilkł i wszyscy wierni zaczęli oglądać się przez ramię. Dziesiątki oczu wpatrywało się w Trufla. Złapałem go pod ramię...

- A potem ciągnąłeś go w stronę wyjścia - Wiktor powiedział rozbawionym tonem - a ja szedłem przodem i mówiłem "proszę zrobić miejsce, kolega się źle poczuł. Proszę zrobić miejsce!" - Modulował głos, nadając mu nienaturalny, prześmiewczy ton.

- Czas pędzi jak szalony - stwierdziłem. - Kto by pomyślał, że to zdarzyło się ponad ćwierć wieku temu. - Pokiwałem z niedowierzaniem głową.

- Wychylmy za przeszłość! - Wiktor napełnił szkło.

- Za szaloną przeszłość! - Dodałem od siebie.

Przełknąłem wódkę, położyłem kieliszek na stole i powiedziałem:

- A teraz polej po drugim, za świetlaną przyszłość!

Zaczeliliśmy wspominać dawne dzieje, raz po raz zanosząc się szczerym śmiechem.

Nawet nie zauważyłem, kiedy na dworze zrobiło się ciemno. Samogon szumiał mi w głowie. Wiktor sprawiał wrażenie, jakby też już miał lekko w czubie. Chwilami język mu się plątał. Wódka to zdradliwa suka, czasami wystarczy jeden łyk za dużo i już w człowieku zaczynają się budzić stare żale. Byłem jednak jeszcze na tyle świadom, żeby się pilnować i przypadkiem nie palnąć czegoś głupiego.

- A jak tam Pesteczka i Trufel? - zapytał znienacka. - Wiesz coś o nich? Miałeś z nimi kontakt?

- Nie - odparłem i nagle zrobiło mi się smutno. - Wiktor, wasza trójka zapomniała o mnie, kiedy zostałem aresztowany.

- Nie Stefek, mylisz się - rzekł, a zaraz potem dodał: - To nie jest tak jak myślisz. Teraz spoglądasz na wszystko oczami człowieka po czterdziestce, a wtedy wszyscy byliśmy zbyt młodzi, żeby zachować się... w dojrzały sposób.

- Coś ci powiem - wpadłem mu w zdanie - nie wiem jakbym postąpił, gdyby któryś z was znalazł się w mojej sytuacji. Trudno mi powiedzieć. Może masz rację? Może strach przed tym, żeby nie wpędzić się w kłopoty podpowiadałby, żeby trzymać się jak najdalej od takiej znajomości? Kiedy trafiłem tutaj, bardzo szybko zrozumiałem, że cała przeszłość przepadła i liczy się tylko dzień obecny. Czasami miewałem takie chwile, kiedy dopadały mnie wspomnienia i przypominałem sobie różne sytuacje... - zamilkłem na moment. - Tęskniłem za wami.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu.

- Ciekaw jestem, co porabiają Trufel i Pesteczka - odezwałem się, żeby przerwać tę drażniącą ciszę. - Chciałbym wiedzieć, jak chłopakom poukładało się w życiu.

- Fajnie byłoby teraz spotkać się we czwórkę - wtrącił Wiktor. - Chociaż powiem ci, że ja i Pesteczka, raczej nie przepadaliliśmy za sobą.

- Wiem - uśmiechnąłem się i nagle zobaczyłem, że twarz mojego rozmówcy na ułamek sekundy zmieniła swój grymas, a w oczach Wiktora błysnęło coś niepokojącego. Pomyślałem, że nadal nosi w sercu starą zadrę, ale nie odezwałem się ani słowem. On sam zaczął mówić:

- Nie wiem dlaczego, ale utkwilo mi w pamięci to zdarzenia z dzieciństwa, kiedy Pesteczka rozsmarował mi loda po twarzy. - Postukał się palcem w skroń. - Powiedz mi, czemu tak jest? Wiele wspomnień odeszło w zapomnienie, a to akurat siedzi mi w głowie do dziś. - Swoje słowa wypowiadał w taki sposób, jakby chciał mi udowodnić, że ta banalna sprawa nadal zaprzęta mu umysł.

Za oknem zapadła już ciemna majowa noc, a my dalej brnęliśmy w przeszłość wyłuskując z pamięci barwne wspomnienia.

W butelce została jeszcze ćwiartka samogonu, a ja czułem, że wypity alkohol nieźle uderzył mi w czerep. Raz po raz oblizywałem czubkiem języka wargi, a każdy kolejny papieros zostawiał w ustach gorzki posmak.

- A co z twoją dziewczyną? - zapytał znienacka mój kompan. - Jak ona miała na imię? Agnieszka? Dobrze mówię?

- Agnieszka - westchnąłem i złapałem za kieliszek. - Wypijmy za moją straconą miłość. - Przełknąłem, zagryzłem kawałkiem słoniny i rzekłem: - Odwiedziła mnie tylko raz. To było dwadzieścia lat temu. - Język mi się rozwiązał i lekko bełkocząc, zacząłem

ze szczegółami opowiadać o naszym ostatnim spotkaniu. Potem o listach i pocztówkach, które przysyłała do mnie z Ameryki, o tym, że wyszła za męża, że urodziła córkę, że mieszka w Chicago, że po kilku latach rozstała się z mężem i założyła własną firmę krawiecką. O pewnych sprawach jednak nie wspomniałem ani słówkiem. Pomiąłem moją kombinatorską historię z płytą Bennego Goodmana, jak również fakt, że cała jej korespondencja spoczywa w metalowym pudełku po wiśniach w czekoladzie, które ukryłem w kotłowni.

- To miło z jej strony, że pisała - wtrącił Wiktor.

- Wiesz, miło nie miło, co innego gdybym żył na wolności... - Zamilkłem na moment, bo nie potrafiłem sprecyzować swoich myśli. Gestykułując rękoma zacząłem mu tłumaczyć: - Jesteś w parszywym miejscu, przywykasz do samotności, godzisz się ze swoim losem i nagle świat, który istnieje po drugiej stronie murów, wkracza w twoją podłą egzystencję i przypomina ci, że miałeś kiedyś inne życie. Nawet nie masz pojęcia, jak trudno mi było pogodzić się z tym faktem. Jej odwiedziny, a potem pierwszy list... Radość i nienawiść, rozumiesz? Nikomu nie życzę, żeby doświadczył czegoś takiego. Nikomu.

- W czasie wojny też do ciebie pisała? - zapytał nieco dociekliwym głosem.

- Nie. Ostatni list dostałem w lipcu 1939 roku.

Chyba nie chciałem o niej rozmawiać. W jednej chwili dopadły mnie uczucia przepelnione żalem i bliżej nieokreślonym wewnętrznym bólem, który uświadamiał mi, że straciłem w życiu to, co miałem najcenniejszego. Spojrzałem na zniszczone palce moich dłoni i ogarnął mnie smutek.

- Ale jak to powiadają - odezwałem się po chwili - nie ma takiej miłości, której nie można przepić! - Tym razem ja złapałem za butelkę i połałem.

- Co prawda, to prawda! - rzucił Wiktor. - Zdrowie!

- Zdrowie! - powtórzyłem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, robiąc kwaśną minę po przełknięciu palącego samogonu. - Ważne, żebyśmy byli przygotowani na nadchodzące zmiany.

- Ty będziesz rządził tym więzieniem? - zapytałem zmieniając temat.

- Nie nie - zaśmiał się. - Za jakiś czas wszystkie stanowiska zostaną obsadzone przez polskich funkcjonariuszy. Ja mam inne zadania do wykonania, ale nie mówmy o pracy - machnął ręką. - Powiedz mi jak udało ci się tutaj przetrwać?

Skoro chciał wiedzieć, to zacząłem opowiadać. Przyznałem się, że dzięki temu, iż miałem w rękach stolarski fach, moje więzienne życie było całkiem znośne.

- Ten parkiet to moja robota - pokazałem dłonią na posadzkę, a potem pochwaliłem się, że zrobiłem również wyposażenie w byłym gabinecie naczelnika. Wspomniałem o pracy poza więziennymi murami, o tym jak produkowaliśmy tutaj ogrodowe meble i skrzynie na amunicję. Wiktor był też ciekaw, jak wyglądał w więzieniu powszedni dzień. On pytał, ja klepałem dziobem, a w międzyczasie zaczęliśmy opróżniać drugą flaszkę.

Byłem już nieźle wstawiony, kiedy zegar na wieży wybił północ.

W pewnym momencie pijackim głosem zadałem mu serię prostych pytań:

- Wiktor, przyjacielu, powiedz mi jak będzie ze mną? Co dalej? Kiedy stąd wyjdę?

- Nic się nie martw Stefek. Nic a nic. Wszystko będzie dobrze. Masz na to moje słowo! - Uderzył dłonią w blat stołu. - Rano muszę wyjechać do Poznania. Zejdzie mi tam dzień lub dwa, a jak wrócę, to wszystko załatwimy - powiedział po czym wyciągnął w moim kierunku dłoń i wymieniliśmy uścisk. - Rozumiesz? Za dwa dni wszystko załatwimy jak należy. Wytrzymałeś tutaj prawie ćwierć wieku, to wytrzymasz jeszcze dwie doby! A co?! Mam rację?!

- Jak zawsze - zabełkotałem.

- Dobra! - Klasnął w dłonie. - To jeszcze po jednym i pora udać się na spoczynek.

Po chwili Wiktor podszedł chwiejnym krokiem do biurka i sięgnął po słuchawkę telefonu. Rzucił kilka słów do mikrofonu, po czym założył na głowę czapkę, obrócił się w moją stronę i powiedział:

- Wrzuć resztkę tej kielbasy i słoniny na jeden talerz. Zabierzesz go z sobą. Przetracisz sobie jutro w ciągu dnia. Masz fajki? - zapytał.

Pokiwałem przecząco głową.

Obszedł biurko, otworzył szufladę, wyjął paczkę papierosów i położył ją na blacie. W oczach już mi się dwoiło i troiło. Nie mogłem przeczytać ich nazwy, ale zauważyłem, że widniał na opakowaniu wizerunek wielbłąda.

- Dobre amerykańskie fajki. Najlepsze z najlepszych! Jakby ktoś zobaczył, że palę imperialistyczny tytoń, to byłaby dopiero afera - zaśmiał się. - Trzymaj - podał mi szlugi. - A tu masz też spiczki - z kieszeni spodni wyciągnął pudełko zapalek. - Nu paszli! - Otworzył na oścież drzwi.

Byliśmy w połowie korytarza, kiedy od strony wejścia pojawił się jakiś żołnierz.

Zaczął salutować, meldować, a ja patrzę na niego, trzymam w dłoniach talerz z mięsiwem i czuję, że wódka rozmiękcza mi kolana.

Wiktor spogląda na mnie i pyta:

- Jaki masz numer celi?

- Szczerystasześdziesiondczy. - Byłem tak pijany, że nie potrafiłem wyraźnie mówić.

- Jaki?! - spojrzał na mnie zamroczonym wzrokiem.

- Szczerysta szeszdzisiond czy - wymamrotałem.

- Czteryście sześćdziesiąt trzy? - powtórzył wolno każdy wyraz.

- Ta jes towarzyszu majorze! - I niczym żaloszny błazen, nieudolnie strzeliłem obcasami.

To była ostatnia sytuacja, jaką zapamiętałem w miarę wyraźnie. Potem w moich wspomnieniach jawią się tylko pojedyncze kadry. Widzę jak Wiktor prężnym krokiem przekracza więzienną bramę, nagle jestem w holu głównego budynku. Z trudem wchodzę po schodach, wtem stoję przed drzwiami celi i... zapadam się w ciemność.

O świcie obudził mnie potworny ból głowy.

Dudniący puls wściekle uderzał w skroniach z taką siłą, jakby chciał rozsadzić mi czaszkę.

Drętwy i szorstki język tkwił w moich ustach niczym knebel.

Po chwili otworzyłem oczy, ale sekundę później zamknąłem powieki, bo poświata wschodzącego słońca, która wpadała przez okratowane okno, swoim blaskiem boleśnie paliła źrenice.

Nie wiem która była godzina. Zegar na wieży uderzył dwa razy, ale po drugiej stronie drzwi panowała cisza.

Coś niedobrego działo się w moich trzewiach.

Leżąc na wznak, przypominałem sobie słowa Suchego, który kiedyś do mnie powiedział:

- Wyglądasz tak, jakby cię ktoś zjadł, a zaraz potem wysrał.

Nie wiem jak wyglądałem, ale właśnie tak się czułem po wczorajszej libacji z Wiktorem.

Morderczy kac panoszył się w każdym zakamarku mojego ciała.

Pić...- zaskomlałem w myślach.

Usiadłem na pryczy i zmęczonym wzrokiem spojrzałem na wiadro z wodą, które stało w rogu pomieszczenia. *O Boże, dlaczego jest tak daleko?* - jęknąłem w duchu.

Stałem na nogi, ale natychmiast oparłem się o kant stołu. Chwiałem się jak trzcina na wietrze. Sowiecki samogon nadal krążył w moich żyłach, a ściany celi drżały i kiwały się na boki.

Uklęknąłem przed wiadrem i zaczerpnąłem miską wody. Przełknąłem kilka łyków i poczułem niebiańską ulgę. Przez kilka chwil trwałem w tej pozycji i nawadniałem swoje wnętrze. Woda to istny cud!

Moje złe samopoczucie nie miało żadnego znaczenia. W obolałej głowie kołatały się wspomnienia wczorajszego wieczoru, a w duszy tryskała nadzieja, radość i szczęście. 13 maja, data sygnowana cholerną pechową trzynastką, która niczym zły duch prześladowała mnie od lat, zyskała teraz inne oblicze.

- W końcu mój los się odmieni - szepnąłem pod nosem i pociągnąłem kolejny łyk.

Usiadłem na taborecie i spojrzałem na talerz z kiełbasą. Mięsiwo wyglądało apetycznie, ale nie byłem w stanie niczego przegryźć. Wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów. Na opakowaniu, na pierwszym planie widniał stojący na pustyni jednogarbny wielbłąd. Po lewej palmy, z prawej fragment piramidy, a u góry półkulisty napis układający się w słowo CAMEL. Rozdarłem u góry opakowanie, wyjąłem fajkę, powąchałem i pokręciłem nią w palcach, żeby usłyszeć znajomy szelest nabitego w bibułkę tytoniu.

Zapaliłem.

Pierwszy sztach był ohydny lecz miazdząca siła nałogu odniosła druzgocące zwycięstwo nad moim fatalnym samopoczuciem. Nic nie było w stanie zakłócić mojego entuzjazmu. Nic. Nawet jeśli cierpiałbym katusze. Siedziałem przy stole i ćmiłem amerykańskiego szluga, a w moich myślach tańczyły kolorowe obrazy nadciągającej przyszłości. Wiktor mówił, że musi wyjechać na dzień lub dwa, a potem wróci i wtedy wszystko będzie dobrze. Wszystko. W mojej duszy jawiły się wspaniałe wizje, oczami wyobraźni widziałem jak przekraczam więzienną bramę, jak idę przed siebie ulicą. Wolny. Swobodny. Na twarzy czuję delikatne podmuchy wiatru, promienie majowego słońca łaskoczą moje szorstkie policzki, a ponad głową błękitne, wiosenne niebo. Świat

należy do mnie. *Jeszcze dzień, góra dwa i wyjdę stąd. Opuszczę te parszywe mury i wrócę do Kalisza na stare śmieci* - szepnąłem w myślach. - *Wrócę do Kalisza i w końcu zacznę żyć jak człowiek!*

Punktualnie o szóstej zero zero odezwał się gong na sterowni, a kwadrans później więzienny korytarz zaczął tętnić życiem. Na drewnianych podestach rozlegały się echa kroków, skrzywienie kółek jadącej wydawki i odgłosy drzwi otwieranych w celach. Kiedyś było lepiej, jeśli idzie o posiłki. Bardziej normalnie. Człowiek maszerował do stołówki, mógł usiąść wspólnie z kumplami przy jednym stole i w ich towarzystwie przekąsić strawę. Można było pogadać, usłyszeć ciekawe wieści, pożartować albo ubić jakiś interes, zamieniając żarcie na papierosy. Nagle pomyślałem o tym, że jeżeli sprawy Wiktora zatrzymają go w Poznaniu dzień dłużej, to pojutrze powinienem zjeść swoje ostatnie więzienne śniadanie... *Dam radę, dam radę!* - powtarzałem w duchu.

Kiedy po drugiej stronie drzwi rozległo się szurnięcie zasuw, natychmiast podniosłem się z miejsca. Trudno z dnia na dzień pozbyć się nabytego odruchu, który został mi wpojony przez lata. Reakcja jest automatyczna. Słyszysz dźwięk i zrywasz się na równe nogi.

Żołnierz, który towarzyszył obsłudze rozwożącej posiłek, spojrzał na mnie i powiedział łagodnym głosem:

- Towarzyszu Żabikowski, śniadanie.

Dwóch więźniów odzianych w białe kitle, którzy stali przy garach, przyglądało mi się z nieukrywaniem zaskoczeniem. Chyba słowo "towarzyszu" musiało w ich uszach zabrzmieć niczym magiczne zaklęcie. Ten, który rozdzielał porcje, łypnął wzrokiem na mundurowego. Wojak kiwnął porozumiewawczo głową, a on nappełnił grysikiem moją miskę aż po brzegi. Dla mnie było jasne, że niebawem większość osadzonych dowie się, iż w celi numer czterysta sześćdziesiąt trzy siedzi jakiś ważniak. Plotka pomknie z ust do ust, ale to nie miało żadnego znaczenia, bo najdalej za dwa dni już mnie tutaj nie będzie. Niech sobie gadają, co tylko chcą! A swoją drogą, słowo "towarzyszu" utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że lepiej być nie może.

Poniedziałek 14 maja 1945 roku, wydawał mi się najdłuższym dniem w moim życiu. I na dodatek do południa męczył mnie potworny kac. Więzienie wtedy nie funkcjonowało w ten sposób, że rankiem była zbiórka i wyjście do roboty. Nic z tych rzeczy. Pracowali tylko nieliczni, a pozostali siedzieli w celach i czekali na przesłuchanie. Były tylko dwa posiłki dziennie - śniadanie i kolacja.

Nie ma nic gorszego, kiedy człowiek jednocześnie jest skazany na bezczynność i własne towarzystwo. Wtedy czas jakimś cudem zwalnia swój bieg i pełźnie do przodu niczym stary, leniwy żółw. Jak jeszcze masz w głowie jakiś parszywy problem, to dramat na całego.

Męka, po prostu męka.

Wiem sam po sobie, że dusza boli bardziej niż ciało.

Na szczęście ja nie miałem powodów do zmartwień, wręcz przeciwnie. Tryskałem radością. Przetrwiałem ten dzień, a większość czasu spędziłem leżąc na pryczy. W myślach snułem pogodne wizje o nadciągającej przyszłości. Marzenia nabierały realnych kształtów. Zastanawiałem się jak będzie wyglądać moja podróż w rodzinne strony? Jaki ujrzę Kalisz? Jak się odnajdę w jego rzeczywistości? Czy spotkam Trufla i Pesteczkę? Czy poradzę sobie w świecie, po drugiej stronie murów? A może pojedę w inne miejsce? Może tak jak Suchy ruszę na wybrzeże? Zobaczą Bałtyk, piaszczyste plaże, posmakuję słonej wody, a w morskiej bryzie poczuję zapach jodu. Nigdy nie byłem nad morzem, widziałem je tylko na fotografiach. W górach też nie byłem. Właściwie to nigdzie nie byłem. Urodziłem się w Kaliszu, tam był mój dom, a w ciągu całego życia odbyłem tylko dwie podróże. Pierwszą, nocnym pociągami w przedziale z zasłoniętymi oknami i pod eskortą dwóch policjantów, kiedy po rozprawie zostałem przetransportowany z Kalisza do Poznania. Drugą, wojskową furgonetką, która zabrała mnie z aresztu garnizonu i zawiozła za bramę wronieckiego więzienia. Widziałem tyle świata, co nic.

Uśmiechnąłem się pod nosem i szepnąłem sam do siebie:

- Najwyższa pora nadrobić zaległości.

Kiedy nastała noc nie potrafiłem zasnąć. Sterczałem w oknie, paliłem szlugi i wpatrywałem się w gwieździste majowe niebo. W pewnym momencie postanowiłem, że pierwszą noc na wolności spędzę gdzieś w szczerym polu. Położę się na wznak i będę patrzył na Mleczną Drogę. Będę wpatrywał się w bezkresne niebo, będę sycił się tym widokiem, żeby wszystkimi zmysłami poczuć nieograniczoną przestrzeń. Symbol prawdziwej wolności.

We wtorek rano obsługa wydawki zjawiała się w asyście dwóch sowietów. Wojak stojący bliżej drzwi rzucił tylko jedno słowo, które o ile dobrze pamiętam, brzmiało:

- Zawtrak!

Kuchta podobnie jak wczoraj, zaczerpnął chochlą solidną porcję stawy i w mojej zdezelowanej misce wylądowało tyle kaszy, że pojadłoby trzech ludzi.

Myliłem się. Życie zweryfikowało moje wyobrażenia, bo jednak wtorek okazał się najdłuższym dniem w moim życiu. Stało się tak dlatego, że liczyłem, iż Wiktor prędzej wróci z Poznania. Właściwie, to miałem nadzieję, że tak będzie. Gdy zegar na wieży wybił południe, nie umiałem sobie znaleźć miejsca. Co rusz podchodziłem do drzwi, przykładając ucho do krawędzi futryny i nasłuchiwałem. W duchu modliłem się, żeby usłyszeć jak prężne kroki zbliżają się po drewnianych podestach w kierunku mojej celi. Zawsze uważałem się za cierpliwego człowieka. Lata spędzone w więzieniu nauczyły mnie, że nie należy pochopnie ulegać emocjom i mieć dystans do własnych oczekiwań. Jednak w ten pamiętny wtorek, poległem na każdym froncie. Jak miałem zachować spokój i opanowanie, mając świadomość, że zbliża się koniec mojej udręki? Prawie czterdzieści pięć lat na karku, z czego ponad połowa rzucona w rynsztok. Czy ktoś z was będąc na moim miejscu zapanowałby w takiej sytuacji nad własnymi nerwami? Szczerze w to

wątpię. Moja dusza przestała należeć do dojrzałego, dorosłego mężczyzny, którym byłem. Tu w środku, tuż przy sercu, obudził się we mnie niewinny dzieciak. Szczery, radosny, szczęśliwy, przepelniony nadzieją i niecierpliwością. Ci z was, którzy mają dzieci, doskonale wiedzą, jak zachowują się wasze pociechy, kiedy mają dostać swój upragniony prezent. O mało ich nie rozerwie na strzępy, prawda? Tak właśnie było ze mną. Czekałem jak na zbawienie, żeby usłyszeć odgłos otwierających się drzwi. Wyobrażałem sobie tę cudowną chwilę, kiedy po raz ostatni przekraczam próg i zostawiam za sobą życie, którego nie powinienem nigdy doświadczyć. Widzę, jak zmiierzam schodami w dół. Stawiam kroki na kolejnych stopniach i czuję się tak, jakbym rodził się ponownie. Ten specyficzny, ekscytujący niepokój i to oczekiwanie, które mnie przepelniało, były jak pąki czerwonych róż, które dosłownie za moment mają rozłożyć płatki i ukazać oczom całego świata swoje magiczne piękno. Nic nie pomagało, żebym uwolnił się od tych intensywnych uczuć. Nic. Dreptałem w celi wte i wewte, od okna do drzwi, od drzwi do okna. Fajka. Prycza. Znowu do drzwi. Przykładam ucho, nasłuchuję. Do okna. Po drugiej stronie nic się nie dzieje. Spacerniak świeci pustkami. Nie potrafiłem się skupić, nie umiałem przekonać samego siebie, że sprawa może się przeciągnąć do jutra. Wieczorem to już bolały mnie palce dłoni, bo przez większość dnia zaciskałem je tak mocno, jakbym tym gestem chciał wyblagać u Stwórcy, żeby przyspieszył upływ czasu.

Kiedy gong na sterowni obwieścił ciszą nocą i w celi zgasło światło, zrozumiałem, że tak oto kończy się najdłuższy dzień mojego życia.

Tej nocy prawie wcale nie zmrużyłem oczu. O trzeciej nad ranem sterczałem w oknie i paliłem papierosa.

Kwadrans po szóstej zjawiała się wydawka. Tak samo jak wczoraj, kuchtom towarzyszyli sowieccy żołnierze. Znowu usłyszałem dziwnie brzmiące słowo "zawtrak" i dziś również moje śniadanie było bardzo obfite.

Korciło mnie, żeby zapytać tego ruskiego, czy major Kozłow jest już na miejscu, ale co miałem rzec? Przecież i tak bym się z nim nie dogadał. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko czekać... czekać... czekać... No i czekałem, czując jak niecierpliwość boleśnie kąsa mi duszę. Siedziałem na pryczy i wpatrywałem się w zamknięte drzwi celi. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że cokolwiek może skomplikować sprawę. Dziś był ten dzień, który miał zostać początkiem mojego nowego życia.

16 maja 1945 roku.

Bardzo ważna data! Jak bardzo ważna? To jeszcze się przekonacie.

W pewnym momencie nawet przyszło mi do łba, że chyba ze szczęścia wytatuuję sobie tę datę na ramieniu. Zerknąłem w kierunku okna. Promienie słońca wpadały do wnętrza celi, a po drugiej stronie krat, królował piękny majowy poranek. Podniosłem się z miejsca i podszedłem bliżej. Złapałem dłońmi za pręty i wlepiłem wzrok w rozłożyste korony drzew, spoglądające na spacerniak z drugiej strony ceglatego muru. Zielone liście radośnie podrygiwały w delikatnych podmuchach wiosennego wiatru, a nieskazitelnie błękitne niebo rozciągało się, aż po kres horyzontu. Pełną piersią wciągnąłem powietrze i pomyślałem, że tak właśnie pachnie wolność. Wolność, która powita mnie dziś w swoich

ramionach. W tamtej chwili nie bronilem się, nawet nie starałem się powstrzymać entuzjazmu, który rozbrzmiewał w moim sercu. Mało tego, patrząc zza krat sięgnąłem pamięcią do zamierzchłych wspomnień, żeby poczuć w duszy chociaż namiastkę tamtej zaczarowanej wiosny, kiedy wyznałem Agnieszce miłość. Widziałem ten błysk radości w jej szmaragdowych oczach, gdy drżącym głosem mówiłem, co do niej czuję. Przez ponad dwadzieścia lat tłumilem w sobie pamięć tamtych dni, ale takich przeżyć nigdy się nie zapomina. Wydawało mi się, że pogrzebałem swoją przeszłość. Chciałem ją przekreślić, zapomnieć, wyrzucić na śmietnik mojego życia, a teraz okazało się, że nadal pamiętam nawet najdrobniejsze szczegóły. Szelest majowych liści, szum wiatru, zapach jej włosów, dotyk dłoni, promienie słońca przebijające się pomiędzy gałęziami kwitnących kasztanów... Albo kiedy ja, Trufel i Pesteczka spędzaliśmy w parku naszą młodość, każdego dnia włócząc się bez celu alejkami. To właśnie tam, po raz pierwszy w życiu, wypiliśmy wspólnie butelkę porzeczkowego wina. Najbardziej zmogło Pesteczkę, wypił swoje, a kwadrans później padł na trawę i zasnął. Ja i Trufel trzymaliśmy fason, humory nam dopisywały, więc wpadliśmy na podły pomysł, że zostawimy naszego śpiącego kumpla na pastwę losu. To były czasy! Kurde, to były piękne czasy! Uśmiechnąłem się w duszy i szepnąłem pod nosem:

- Teraz też będzie pięknie.

Moje rozbiegane myśli wyłuskiwały z pamięci wszystkie pogodne zdarzenia.

Sięgnąłem do kieszeni po fajki. Zostały mi jeszcze trzy szlugi.

Usiadłem przy stole, zapaliłem, a w głowie zacząłem snuć kolorowe wizje nadciągającej przyszłości.

Energiczne szurnięcie zasuwki po drugiej stronie drzwi sprawiło, że zareagowałem jak należy. Poderwałem się na równe nogi, trzymając dłonie na widoku, a jednocześnie poczułem jak moje serce zrywa się do galopu. W głowie eksplodowało tylko jedno słowo - wychodzę!

W drzwiach ujrzałem rosnącego Rosjanina. Spojrzał na mnie i uśmiechając się półgębkiem, powiedział:

- Wychaditje tawariszcz! - I wskazał dłonią w kierunku schodów.

No cóż mogę wam rzec? Wzbiłem się w powietrze i frunąłem. Kiedy mijałem próg celi, obejrzałem się przez ramię, a w myślach szepnąłem: - *Żegnaj na zawsze podła noro! Nie będę za tobą tęsknił!*

Ruszyłem schodami w dół, a z każdym krokiem zostawiałem za sobą moją ponurą przeszłość. Sowiecki żołnierz maszerował tuż za mną. U dołu, na korytarzu stało dwóch mundurowych i spoglądali w naszym kierunku. Kiedy moje stopy spoczęły na terakotowej posadzce czerwonoarmiści rzucili się na mnie niczym wściekłe kundły. Nawet nie zdążyłem drgnąć, bo nie spodziewałem się czegoś takiego. Chwycili mnie za ramiona i zaczęli brutalnie ciągnąć w stronę wyjścia z pawilonu. Zacząłem się szarpać i krzyczeć. Wyzierałem się z całych sił:

- Co robicie?! Puśćcie mnie! Jestem od majora Kozłowa!

Stawiałem zdecydowany opór i próbowałem się wyrwać z ich uścisków. Nagle

poczułem bolesne uderzenie w plecy. Cios był tak potworny, że miałem wrażenie, iż pękła mi nerka. Nie zdążyłem jeszcze jęknąć, kiedy posypały się kolejne uderzenia. Ten rusek, który szedł za mną jedną dłonią złapał mnie za kołnierz bluzy na karku i pchał w przód, a drugą pięścią okładał mnie niczym bokser treningowy worek. Na nic były moje krzyki. Oni wcale nie reagowali! Ciągnęli mnie prosto ku szerokim schodom wiodącym do podziemi.

- Gdzie jest major Kozłow?! - Wydzieriałem się ze wszystkich sił. - Co wy wyprawiacie?! To jakaś pomyłka! Chcę... - nie zdążyłem dokończyć zdania. Poczułem potworne kopnięcie w krzyż i runąłem schodami w dół. Uderzając różnymi częściami ciała o krawędzie kamiennych stopni, turlałem się bezwiednie niczym worek kartofli. To był istny cud, że w trakcie koziołkowania nie pogruchotałem sobie kości. Podczas lądowania przyłożyłem prawym biodrem o posadzkę i w tym samym momencie poczułem potworny ból. Sekundę później sowieci doskoczyli do mnie i podkutymi butami zaczęli kopać z całych sił, a ja instynktownie zasłoniłem rękami głowę. Tańczyli wokół mnie brutalną odmianę kazaczoka. Po kilku chwilach czułem jak moje całe ciało puchnie z bólu. Nogi, plecy, brzuch, ramiona. Wrzeszczeli coś po rosyjsku i katowali mnie ze zwierzęcą zaciekłością. W pewnym momencie jeden z oprawców posłał mi zamaszystego kopniaka prosto w dłoń, którymi trzymałem się za potylicę i... zapadłem się w ciemność.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na podłodze. Wszechobecny ból panoszył się w każdym zakamarku mojego ciała, a na policzku czułem chłód chropowatej posadzki. W powietrzu unosił się specyficzny zapach stęchlizny. Taki sam, który wypełnia pomieszczenia gdzie nie dociera światło dnia i brak jakiegokolwiek wentylacji. Uniosłem powieki, ale nic nie ujrzałem. Była tylko nieprzenikniona czerń. Rozpostarłem ręce w nadziei, że natknę się na jakiś przedmiot lub ścianę.

Nic nie poczułem.

Leżałem bez ruchu i nie pojmowałem co się właściwie stało? Dlaczego tu jestem? Co tutaj robię? Czemu jest tak ciemno?

Dookoła mnie jakaś zakłęta kraina.

Pustka, mrok i cierpienie.

Czułem, że oddycham, bo moja pierś unosiła się miarowym rytmem.

Dotknąłem dłonią mojej twarzy i syknąłem z bólu. Pod opuszkami palców wyczułem miękką opuchliznę za którą skrywało się moje lewe oko. W krzyżu łupało mnie tak mocno, jakby ktoś pogruchotał mi kręgi. *Co się stało?! Co się stało?!* - W myślach powtarzałem to jedno pytanie. Nie potrafiłem sobie niczego przypomnieć, a umysł przeszywały pojedyncze błyskawice wspomnień. Kamienne schody, próbuję wyrwać się z uścisków, upadam na posadzkę, wyję z bólu... Ludzie w sowieckich mundurach kopią mnie bezlitośnie.

Czyżby skatowali mnie na śmierć?

Nadstawiłem uszu.

Cisza.

Głucha, tępa cisza.

Chciałem się podnieść, ale kiedy tylko spróbowałem dźwignąć swoje ciało w górę, miałem wrażenie, że najmniejszy wysiłek rozrywa mi mięśnie i kości. *Chryste* - szepnąłem w myślach. - *Czy to już koniec?! Tak wyglądają zaświaty?!* Nagle w mojej duszy obudził się paniczny strach. Wyobraziłem sobie, że leżę na gigantycznej płaszczyźnie spowitej w ciemnościach i jestem tu sam jeden, niczym ślepiec pośrodku zapomnianego świata.

- Jest tu ktoś? - Z trudem wypowiadałem każde słowo. - Hej, jest tu ktoś?

Nagle wewnątrz czaszki rozległ się znienacka znajomy, ochryply chichot. Rozpoznałem ten szatański rechot. To była Końska. Stara wiedźma musiała mieć teraz niezły ubaw, ale co dziwne, to jej parszywy śmiech zaczął mi się udzielać. Obłądne uczucie! W mojej głowie zaczęły kiełkować przedziwne myśli. Stwierdziłem, że Bóg okazał się oszustem, że to wszystko, ten cały raj, że to obiecane życie po śmierci, to jedna wielka bzdura. To ściema dla naiwnych. Po drugiej stronie nie ma nic. Nic. W tej samej chwili zrozumiałem, że wszystkie religie świata zostały wymyślone przez człowieka. Strach przed śmiercią i nadzieja na kontynuację własnego istnienia w innym miejscu, to dwa najważniejsze powody dla których wierzymy w nadprzyrodzone bóstwa. A smutna prawda jest taka, że kiedy wszystko się skończy, kiedy światło zgaśnie w twych oczach, zostajesz sam.

Nie mam pojęcia ile czasu leżałem lecz nagle usłyszałem gdzieś w oddali czyjeś kroki, a wtedy śmiech Końskiej natychmiast umilkł.

Ktoś lub coś zbliżało się w moim kierunku.

Uniosłem nieco twarz i wpatrywałem się w ciemność skąd zbliżał się odgłos butów podkutych ćwiekami. Do moich uszu zaczęły również docierać dziwnie brzmiące słowa. W jednej chwili wróciła przytomność umysłu i ostatnie wspomnienia. Mój absurdalny sen na jawie rozpierzchnął się w ciemnościach. To byli Rosjanie, dwóch może trzech chłopów. Szurnięcie zasuw u stalowych drzwi, a zaraz potem skrzypiący zgrzyt zawiasów i snop oślepiającego światła. Odwróciłem wzrok i spojrzałem na moją lewą rękę, którą miałem wyciągniętą w bok. Opuszki palców dzieliło zaledwie kilka centymetrów od ściany.

- Astawcie nas! - Padła krótka komenda i w tym samym momencie usłyszałem, jak dwóch ludzi strzela obcasami i odchodzi.

Nie patrzyłem w stronę drzwi, ale doskonale widziałem cień, jaki malował się na ścianie. W drzwiach stał jeden człowiek i trzymał dłonie wsparte na biodrach.

- Żyjesz? - Do moich uszu dobiegł znajomy głos Wiktora.

Nie ruszył się z miejsca. Nadal sterczał w progu w tej samej władczej pozycji, a ja w mig pojąłem, że to zły znak.

- Pytałem czy żyjesz - rzucił w moim kierunku.

Nic nie odpowiedziałem. Patrząc na cień ujrzałem jak sięga dłonią do kieszeni spodni, wyciąga papierosnicę, wkłada fajkę w usta i przypala.

- Dlaczego mi to robisz? - Zapytałem po chwili.

Podszedł bliżej, przykucnął i strzepując popiół tuż obok mojej twarzy powiedział:

- Widzisz Stefek, ty nic nie rozumiesz - westchnął z udawanym zrezygnowaniem.
- Właściwie wcale się temu nie dziwię. Bądźmy szczerzy, przecież ty nigdy nie byłeś zbyt roztargnięty. Zawsze cię uważałem za prostaka, pozbawionego wyobraźni. Głupim się urodziłeś i wszystko wskazuje na to, że głupim umrzesz. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki jesteś żałosny? Nawet więzienne życie niczego ciebie nie nauczyło. Oj Stefek, Stefek... - Dmuchał mi dymem prosto w nos.

Słuchałem jego słów i czułem, jak z każdą chwilą ogarnia mnie szalona wściekłość. Gdyby nie to, że leżałem teraz obolały i skatowany przez tych sowieckich bydlaków, to chyba rzuciłbym się na niego i zatłukł gołymi pięściami.

- Dlaczego mi to robisz? - Jęknąłem wypowiadając swoje wcześniejsze słowa.

- Dlaczego? A dlaczego świat jest podły? Dlaczego ludzie toczą z sobą wojny? Dlaczego wokół nas jest tyle zła i niegodziwości? Dlaczego istnieje takie miejsce jak to? - Machnął dłonią zataczając półkole. - Dlaczego jeszcze pozwalam ci żyć? - Kątem oka dostrzegłem jak sięgnął do kabury przytwierdzonej do pasa i wyjął broń. Jednym gwałtownym ruchem odbezpieczył spluwę. Zamek szczęknął złowieszczo, a sekundę później poczułem jak przyłożył mi lufę do skroni. - Teraz tylko wystarczy żebym pociągnął za spust i już cię nie ma! Rozumiesz?!

Leżąc na posadzce spojrzałem mu prosto w twarz i syknąłem przez zaciśnięte zęby:

- Myślisz, że się boję?! - Prychnąłem z drwiną. - No, zrób to towarzyszu Kozłowie!

- Zrobię to, co będę uważał za stosowne - warknął i zaraz potem zdzielił mnie rękojęścią w szczękę.

Zabolało i na moment pociemniało mi w oczach.

- Boisz się, że ja głupek zacznę gadać, że opowiem ludziom prawdę o Wiktorze Kozłowskim. - W ustach poczułem smak ciepłej krwi. Splunąłem i rzekłem:

- Tego się właśnie boisz towarzyszu majorze!

Wiktor zaśmiał się, jakby usłyszał zabawny dowcip, a następnie podniósł się z kucek i schował pistolet.

- Nic nikomu nie powiesz. Będziesz milczał jak głaz.

- Jak chcesz, żebym milczał - wpadłem mu w zdanie - to musisz mnie zabić! Ale jak widać, brakuje ci odwagi. No dawaj! Zrób to! - Mówiłem całkiem szczerze. W tamtej chwili naprawdę chciałem umrzeć. - Boisz się?! Przyłóż mi lufę do głowy i pociągnij za spust!

- Będziesz żył Stefek. Będziesz żył i milczał.

- Niedoczekanie twoje!

- A teraz słuchaj uważnie i nie przerywaj mi, bo powiem to tylko raz! - Znowu przykucnął obok. - Nie mam zamiaru cię zabijać. Martwy do niczego mi się nie przydasz. Nic mi po twojej śmierci, rozumiesz? Nic. Mam pewne plany wobec ciebie. Jeszcze możesz mi się przydać. Czasy są niepewne, świat mknie do przodu i zmienia się każdego dnia. Ten kto dzisiaj jest królem, jutro może być pacholkiem. Kto wie, może w niedalekiej przyszłości zostaniesz moją kartą przetargową? Jak to mówią, lepiej dmuchać na zimne. Ja muszę być przygotowany na każdą okoliczność.

- Gadaj zdrów! - Miałem to gdzieś, że chwilę temu kazał mi milczeć.

- Mówiłem ci, że masz być cicho! - Prawie wrzasnął i wymierzył mi siarczysty

policzek. - Będziesz żył, bo taka jest moja wola. Jeżeli wpadniesz na jakiś durny pomysł i sam postanowisz z sobą skończyć, to wiedz jedno - zrobił krótką pauzę. - Pociągniesz za sobą innych. Jeśli się zabijesz, to wydam rozkaz, żeby ukatrupić twoją znajomą z młodzieńczych lat. Panimajesz?! Mamy swoich ludzi w Ameryce. Są oddani naszej sprawie i zrobią wszystko, bez zadawania zbędnych pytań. Odnajdą ją w Chicago, a jeśli zmieniła adres, to wywęszą ją nawet na drugim końcu świata. Matka i córka będą umierać powoli, a ich obcięte głowy trafią do mojego gabinetu. Każę je włożyć do słoju z formaliną i postawię w przeszklonej gablocie. To będą moje trofea. Potem dołożę starań, żeby do ich towarzystwa dołączyli również Trufel i Pesteczka, o ile udało im się przeżyć wojnę. Jeśli chłopaki będą mieli rodziny, to ich najbliższych każę wyrżnąć w pień. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Pamiętaj o tym, jeśli postanowisz się zbuntować przeciwko mnie i bez mojej wiedzy ruszysz na spotkanie ze swoim Bogiem. Od teraz jesteś odpowiedzialny za życie wielu ludzi. Czy wyrażam się jasno?

- Naprawdę sądzisz, że zależy mi na ludziach, którzy zapomnieli o mnie? Myślisz, że będę się martwił, jaki ich spotka los? - Zapytałem, choć w głębi duszy czułem coś innego.

- Stefek, to nie ma żadnego znaczenia, co ja sądzę i nie ma żadnego znaczenia czy będziesz się czymkolwiek przejmował - powiedział oschłym głosem. - To się nie liczy. Chodzi o coś zupełnie innego. Chodzi o to, żebyś miał świadomość, że konsekwencje twojego czynu poniosą inni ludzie. Rozumiesz? Jednak żebyś nie czuł się za bardzo pokrzywdzony, to gwarantuję ci, że nikt w tym więzieniu nie tknie cię nawet palcem. Nikt. Żaden strażnik czy więzień. Będziesz nietykalny. Będziesz tu żył, pracował i oczywiście jak na więźnia przystało, postępował według regulaminów i zasad. Nigdy nikomu nie opowiesz o naszej znajomości, nikomu się nie przyznasz dlaczego naprawdę tu jesteś i twoja w tym głowa, jaką sobie historyjkę wymyślisz. I szczerze ci radzę, żebyś moje żądania potraktował poważnie. Jeżeli się komuś wygadasz, jeżeli do moich uszu dotrą jakieś plotki, to spotka cię marny los i będziesz miał cudzą krew na rękach. A jeśli zaczniesz grymasić i podskakiwać, to zrobię z ciebie więźnia pod specjalnym nadzorem. Każę cię zamknąć w pojedynczej celi i przykuć do ściany. - Stał nade mną w rozkroku i trącił mnie czubkiem buta w ramię. - Mam nadzieję, że zrozumiałeś w czym rzecz. Posiedzisz w piwnicy dwa tygodnie, ochłoniesz, zaakceptujesz układ i wszystko będzie dobrze.

- Przeklinam cię ty bandyto! - Warknąłem ze złością.

- Chyba muszę cię nauczyć szacunku - powiedział bardzo spokojnym tonem, a potem posłał mi kopniaka prosto w brzuch. - W takim razie posiedzisz tu miesiąc, może w końcu nabierzesz rozumu - rzekł, po czym obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. - Spotkamy się za miesiąc!

Leżałem w ciemnościach i miałem ochotę wyć z rozpacz.

Wtedy właśnie zrozumiałem, że Wiktor Kozłowski niczym nie różnił się od najgorszych przestępców. Kiedy słyszałem, jak jego kroki oddalają się w korytarzu, w mojej pamięci odżyły wspomnienia, a ponure obrazy jak żywe stanęły mi przed oczami duszy. Hrabia z tym swoim filmowym uśmiechem, zakrwawiona dłoń Prezesa i dłuto wystające z drugiej strony drzwi... Potem w głowie usłyszałem słowa, które Czarny

powiedział do Hrabiego, tamtego pamiętnego dnia, kiedy katowaliśmy go w jednym z pomieszczeń pralni: *"Moi funfle po drugiej stronie murów zrobią z twojej kobiety tanią kurwę, odnajdą twoją rodzinę, dzieci, matkę, ojca, braci, siostry, kuzynostwo i zamienią im życie w gnój..."*. Powiem wam jedno, nawet największy twardziel słysząc takie słowa zamieni się w miękką galaretę. Taka groźba to najskuteczniejszy szantaż. Kto z was podjąłby takie ryzyko, żeby poświęcić osoby bliskie waszemu sercu w imię własnego uporu? Czasami w życiu człowieka bywają sytuacje, że musi pokornie zaakceptować narzucone warunki.

Prawdę powiedziawszy, to nic mnie już nie łączyło ani z Agnieszką, ani z moimi kumplami z młodzieńczych lat. Jednak zbyt dobrze znałem Wiktora, on nigdy nie rzucał słów na wiatr. I cóż miałem zrobić? Otworzyć sobie żyły albo założyć pętlę na szyję i odejść z tego świata ze świadomością, że niebawem ktoś inny zginie przeze mnie? Nawet dziś trudno mi stwierdzić, czy tak by się stało? Wiedziałem natomiast, że moja śmierć rozwścieczyłaby Wiktora. W przeszłości nigdy nie potrafił zaakceptować, żeby coś potoczyło się wbrew jego planom. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jeśli targnąłbym się na swe życie to wtedy on, opętany wściekłością, dotrzymałby obietnicy. W głowie dźwięczały mi jego okrutne słowa - *"Matka i córka będą umierać powoli, a ich obcięte głowy trafią do mojego gabinetu. Każę je włożyć do słoju z formaliną i postawię w przeszklonej gablocie."*

Myślę, że major Kozłow spełniłby swoją potworną groźbę.

W karczerze, poczucie upływającego czasu jest pojęciem abstrakcyjnym. Cykl istnienia odmierzają podawane posiłki, które dostajesz dwa razy na dobę. Najpierw zaczynasz liczyć ile razy otworzyły się stalowe drzwi, a strażnik kładzie michę na progu. Nim zdążysz pochwycić ją w dłonie, zamykają się wrota i znowu jest ciemno. Po omacku szukasz wiadra z wodą i bomby, które stoją w jednym z czterech kątów. Obrócisz się ze dwa razy na podłodze i już nie wiesz w którą pełznąć stronę. Zegar biologiczny zaczyna wariować. Masz wrażenie, że bezustannie śpisz i budzisz się kompletnie zmęczony. Przestajesz zwracać uwagę, że coraz częściej gadasz sam do siebie. Stawy i plecy dają się we znaki. Podnosisz się z podłogi i zaczynasz maszerować w miejscu. Ruszasz się, żeby nie zardzewieć. Nie wiem czy węch zaczyna szwankować, czy po prostu przywykasz do smrodu, bo przestajesz zwracać uwagę, że z bomby cuchnie jak ze świńskiej dupy. Chwila wytchnienia przychodzi wtedy, kiedy strażnicy uzupełniają wiadro z wodą i opróżniają twój kibel. Nie patrzysz na światło wpadające do celi, odwracasz wzrok, bo oczy aż płoną z bólu. Masz zamknięte powieki, a i tak widzisz jasny blask, jakby ktoś zapalił milion świec. Czujesz jak w nozdrza uderza świeże powietrze i słyszysz przekleństwa strażników narzekających na smród, jaki panuje w twojej celi. Potem masz wrażenie, jakbyś utkwiał w pętli czasu, bo przeżywasz to ponownie. I zaczynasz się zastanawiać, czy od ostatniego razu upłynął rok czy tylko tydzień? Tydzień? A może trzy dni? Głaszczesz się dłonią po szorstkiej szczecinie na policzkach i głupiejesz na dobre. Już nie wiesz w co wierzyć i zaczynasz się zastanawiać, dlaczego twój zarost tak wolno rośnie?

Karcer to jedno z najbardziej okrutnych miejsc, jakie wymyślił człowiek. Nie wiem do czego porównać ciemną i zamkniętą celę, żeby oddać chociaż namiastkę uczuć, jakie towarzyszą osobie uwięzionej w takim pomieszczeniu. Nie chodzi mi o to, czy ktoś został tam słusznie wtrącony, czy trafił przez pomyłkę. Nieważne czy jesteś grzesznikiem, czy świętym. W nieprzeniknionym mroku, gdzie otula cię tylko chłód, gdzie ze ścian sączy się wilgoć, a powietrze cuchnie stęchlizną, czai się obłęd. Jest tuż obok ciebie, ale nie gryzie i nie kąsa, tylko cierpliwie czeka. Unosi się, krąży, niekiedy szepnie ci coś do ucha albo zaśmieje się szyderczo, jakby chciał sprawdzić, czy już jesteś gotów, żeby mu ulec.

Jestem pewien, że każdy człowiek czegoś się boi. Każdy doświadczył uczucia strachu. Niektórzy ludzie noszą w sobie lęk od dzieciństwa. Jeden bał się wyimaginowanych potworów, które żyją w ciemnościach, drugi duchów albo wampirów, ktoś inny drżał ze strachu słysząc odgłosy burzy albo syk węża. Czasami strach jest potęgowany obrzydzeniem do jakichś istot. Sami pewnie znacie ludzi, którzy twierdzą, że nienawidzą na przykład szczurów, myszy, oślizgłego robactwa czy włochatych pajaków. Mam rację, prawda? I teraz wyobraźcie sobie, że karcer to portal, który przenosi was prosto do świata waszych najmroczniejszych obaw. Będąc małym chłopcem zawsze bałem się upiórów. Nie wiem z jakiego powodu tak było. Może to przez mojego dziadka, który dość często raczył mnie przerażającymi historyjkami na dobranoc? Staruszek potrafił bardzo obrazowo opowiadać. Czasami zniżał głos, przerywał w pół zdania, spoglądał w kierunku okna za którym czaiła się noc i pytał znienacka:

- Słyszałeś ten trzask?

Skulony pod pierzyną, nadstawiałem uszu i ze strachem zerkałem w szyby w których odbijał się blask naftowej lampy.

Po chwili mój dziadek uśmiechał się dobrodusznie i stwierdzał:

- Chyba mi się zdawało - po czym dalej toczył swoją opowieść.

Pamiętam te chwile, kiedy leżałem w łóżku i chowałem głowę pod pierzynę, żeby się ukryć przed duchami. Niby się bałem, ale jednak zawsze palcem rozchylałem wąską szczelinę pomiędzy poszewką poduszki a pierzyną, żeby jednym okiem móc patrzeć w stronę okna.

Na skwerku przed naszą kamienicą rósł rozłożysty kasztan. Nocą, kiedy księżyc świecił na niebie, cienie gałęzi wpadały do izby, a ich przedziwne kształty malowały się na podłodze i sprzętach. Oczywiście w takich chwilach moją wyobraźnię napędzał strach. Najgorsze jednak stało się pewnej jesieni. Późnym popołudniem mój dziadek postanowił zgrabić na stertę opadłe liście i spalić je na popiół. Uprzątnął cały skwerek i czort wie, dlaczego kiedy skończył, to nie podłożył ognia? Późnym wieczorem przypomniał sobie, iż nie dopełnił dzieła. Ja szykowałem się już do snu, a staruszek nabił tytoniem swoją wysłużoną fajkę i wyszedł na zewnątrz. Leżałem w łóżku, moje powieki powoli zaczynały się zamykać, a wtem widzę, jak po drugiej stronie okna unosi się w powietrzu jakaś drżąca zjawą! Rośnie, wykręca się w nienaturalny sposób, rozciąga, ma podłużną twarz, a jej macki głaszczą tafle szyb jakby szukały szczeliny, przez którą mogą precyzyjnie się do środka i dopaść mnie! Zacząłem wrzeszczeć z przerażenia i wyrwałem z łóżka jak oparzony. Wpadłem do kuchni z krzykiem:

- Mamo upiór za oknem! - Rzuciłem się w jej kierunku i przytuliłem do niej z całych sił, nie zważając na to, że właśnie stała przy kuchni i coś gotowała.

Drżałem ze strachu, podskakiwałem w miejscu i pocierałem udami, żeby nie zsikać się w gacie.

- Stefek, na litość boską! - Mama przeżegnała się szybko. - Dziecko drogie, co ty mówisz?

- Mamo naprawdę za oknem jest coś strasznego! - Byłem bliski płaczu.

- Nie bój się synku - powiedziała - chodź, przepędzimy te brzydkie straszdyło. - Pochyliła się nieco i pokazała mi, że trzyma w dłoni warzechę.

Złapałem kurczowo za jej drugą dłoń. Mama pchnęła uchylone drzwi do izby.

- No, gdzie ten upiór? - Zapytała.

- Za oknem!

- Chodź, podejźmy bliżej, a jak się tam pojawi, to trzepnę go prosto w łeb!

Zatrzymaliśmy się przy łóżku.

- Czujesz? - Zbliżyła swoją twarz do mojej i zrobiła taki grymas, jakby chciała powiedzieć, że powietrze pachnie inaczej. - Coś mi się wydaje, że dziadek pali liście na dworze, a ty zobaczyłeś jak za oknem unoszą się kłęby dymu - spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i dała mi całuska w czoło. - Wskakuj do łóżka, o tej porze wszyscy mali chłopcy już śpią.

Zrobiłem co mi kazała.

- Posiedzisz przy mnie, aż zasnę? - Zapytałem, a zaraz potem zrobiłem błagalną minę i dodałem najśłodszym tonem na jaki potrafiłem się zdobyć: - Mamo, proszę.

- No pewnie, że zostanę i poczekam, aż zamkną się te moje najukochańsze oczęta.

Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale sędzę, że będąc jeszcze dzieciakiem wymyśliłem swojego upióra, którego wiele lat później ochrzciłem imieniem - Końska. Sam sobie stworzyłem zmorę, podłą towarzyszkę, która długo czekała, żeby wkroczyć w moje życie. To ja powołałem ją do życia. To ja nadałem jej kształty, to dzięki mnie Końska wyglądała tak, jakby jej nieziemska materia została utkana z dymu i mgły. To ja przywdziałem ją w postrzępione łachy. To dzięki mnie, jej głos brzmiał jak skrzywienie starych zawiasów u wrót wiodących do grobowej krypty. Ona jest ucieleśnieniem mojego strachu. Nieproszona, przybywa zawsze w chwilach słabości i zrezygnowania. Zawsze wtedy, kiedy wszystko wydaje się beznadziejne, kiedy niemoc ściska za serce, kiedy w duszy gaśnie nadzieja, a w głowie krążą myśli, że pora pożegnać się z tym światem.

Mógłbym teraz zrobić z siebie bohatera i napisać w jednym zdaniu, że w karczerze było ciężko, a ja stary galernik, spokojnie dałem radę przetrwać miesiąc w ciemnościach. Dwie rzeczy się zgadzają - było ciężko, a ja przetrwałem. Jednak jaką cenę przyszło mi za to zapłacić, to już zupełnie inna sprawa. Nigdy więcej nie trafiłem do karczeru. Po wyjściu z ciemności obiecałem sobie, że choćby nie wiem co, to nie dam się tam zamknąć nawet na pięć minut. Nawet jeśli miałbym to przypłacić życiem. Swoim lub innych ludzi.

Drugi raz nie zniósłbym takiej izolacji.

Przez pierwsze dni nie mogłem zaznać spokoju, nie potrafiłem przestać myśleć o tym, co zrobił mi Wiktor. Nie mogłem pojąć - dlaczego?! Nic mi nie wyjaśnił. Mówił ogólnikami. Usłyszałem tylko, że czasy są niepewne, że mogę zostać jego kartą przetargową, że ma wobec mnie jakieś plany... Same frazesy i żadnych konkretów. Oczywiście najmocniejszym argumentem był ten jego bandycki szantaż. Skurwiel wiedział jak zagrać na emocjach, miał o tym pojęcie. Dałbym sobie obciąć głowę, że w ten sposób zastraszył w swojej przeszłości wielu innych ludzi. Oby sam kiedyś doznał tego uczucia i drżał o bezpieczeństwo swoich najbliższych. Życzyłem mu tego z całego serca. Najpierw gorliwie modliłem się o to, a potem nawet chciałem z Końską zawrzeć pakt, oferując w zamian własną duszę. Oko za oko, ząb za ząb! W moim umyśle malowały się krwawe wizje i bestialskie sceny przy których opowieści Dantego o piekle, wydawały się jedynie niewinną igraszką. To było tak silne i tak intensywne, że nawet słyszałem głosy. Do dziś nie wiem, czy były to jęki ludzi, których poddawano brutalnym przesłuchaniom w którejś z cel obok, czy te wrzaski rodziły się w mojej wyobraźni? Nie chcę się na tym skupiać, nie chcę sobie tego przypominać, bo to nie jest nic dobrego. Nie potrzebuję teraz tłoczyć sobie jadu w duszę.

Od dwóch dni prawie nic nie napisałem. Siedziałem przy stole, piłem herbatę, jarałem fajki i grzebałem we wspomnieniach. Mój pobyt w karczerze odcisnął się głębokim piętnem na mojej psychice. Okaleczył mnie. Wiem o tym, chociaż z drugiej strony na pewno jest ze mną coś nie tak, jak być powinno. Za dużo lat spędziłem za kratami. Nie zrozumcie mnie źle. Nie uważam się za człowieka, którego inni mogą zaklasyfikować do kategorii ludzi, o których mówi się - niebezpieczny. Nie chcę nikomu robić krzywdy, nie mam zamiaru nikomu szkodzić, czy stwarzać jakieś niepotrzebne problemy. Chociaż psi chujek, kierownik Bugajczyk, ma chyba inne zdanie na ten temat, ale to zupełnie odrębna historia. Jestem już starcem i nie obawiam się tego, że mogę za moje przekonania oberwać po gębie.

Sędziwy wiek ma swoje przywileje.

Wczoraj była niedziela, a że przywykłem do tego, iż niedziela to dla mnie najbardziej leniwy dzień tygodnia, to nawet nie gotuję obiadu, bo mi się nie chce. Około południa przetrąciłem dwie kromki chleba ze smalcem i postanowiłem pójść do parku. Pomyślałem, że dobrze mi zrobi, jeśli dotlenię umysł. Może wymyślę jak w miarę krótko i sensownie opisać swój miesięczny pobyt w karczerze, żeby za bardzo nie brnąć w parszywe wspomnienia. Usiadłem na ławce i spoglądając na rozłożyste korony zielonych drzew malujące się na tle błękitnego nieba, zacząłem dumać. Lubię chodzić do parku. Tam wszystkie pogodne popołudnia wyglądają podobnie. Nikt się nie śpieszy, ludzie spacerują alejkami, spędzają z sobą czas, po prostu odpoczywają. Siedziałem na ławce, która nie chowała się w cieniu drzew i czując na całym ciele promienie majowego słońca, wygrzewałem swoje stare kości. Zwróciłem uwagę na wysokiego mężczyznę, który kilka chwil temu zatrzymał się w miejscu po drugiej stronie skwerku. Miał przewieszoną przez ramię marynarkę i starał się przypalić papierosa. Najwyraźniej jego zapalniczka odmówiła

już posłuszeństwa. W końcu chyba stracił cierpliwość, bo wyjął z ust fajkę, splunął w bok i ruszył przed siebie. Łypnąłem wzrokiem w drugą stronę. Wysoki chłopak i niska, otyła dziewczyna szli wolno przed siebie, trzymając się za ręce. Wyglądali nieco komicznie, ale sprawiali wrażenie szczęśliwych. Wtem kilku roześmianych dzieciaków przemknęło obok mnie pędząc ile sił na rowerach. Uśmiechnąłem się pod nosem i stwierdziłem, że chyba im zazdroszczę. Przyszedłem tu z myślą, że poukładam sobie w głowie co nieco, ale klimat tego miejsca sprawił, że dumiałem o czymś zupełnie innym. W pewnym momencie usłyszałem kobiecy głos. Wiecie jak to jest, kiedy nie widać postaci, tylko słyhać jej głos. Po jego barwie można określić czyjś wiek, prawda? No właśnie. Z tyłu dociera do moich uszu, jak starsza kobieta mówi:

- Wiktor, możesz mi pomóc?

W jednej sekundzie poczułem jak fala gorącego ciepła przemierza moje ciało od pięt po czubek głowy. Mam alergię na imię Wiktor. Prawdopodobieństwo, że spotkałbym w parku lub na ulicy właśnie tego Wiktora, tego, który zniszczył mi życie jest takie samo, jak moja podróż na Madagaskar. Bardzo ale to bardzo wątpliwa, aczkolwiek niewykluczona. Powoli obróciłem się przez ramię i dostrzegłem młodego człowieka, jak majstruje coś przy kółku spacerowego wózka w którym smacznie spał mały człowieczek. Zmierzyłem wzrokiem kobietę. Jak na moje oko, była po sześćdziesiątce i pewnie wyszła z wnukiem lub wnuczką na spacer, a ów pomagający Wiktor mógł być jej synem lub zięciem. Jednak ta krótka chwila wystarczyła, żeby mój umysł zmały myśli, co by było gdyby... No właśnie, kurwa mać! Co by było, gdybym spotkał jeszcze w swoim życiu Wiktora Kozłowskiego?!

Całe wczorajsze popołudnie i wieczór miałem z głowy. Zamiast zająć się tym czym powinienem, zacząłem rozmyślać o pierdołach, raz po raz zerkając w kierunku miejsca, gdzie pod deskami parkietu ukryłem Lugera...

Nie wiem co bym zrobił, jeśli zdarzyłoby się owe "gdybym".

Po prostu nie wiem!

Ja, tak samo jak każdy z was, mam swoje zwyczaje. Kiedy rano wstaję najpierw włączam radio, a potem zaliczam kibelek. Później idę do kuchni i nastawiam czajnik z wodą. Zaparzam szklankę herbaty, siadam w moim wysłużonym fotelu i sięgam po papierosa. Wiem, że to niezdrowo, ale tak właśnie wygląda mój poranny rytuał. Jaram faję i słucham słów spikera, które płyną z głośnika. Już dawno temu stwierdziłem, że radio to fantastyczny wynalazek. W latach sześćdziesiątych dużo zmieniło się w więzieniu i właśnie wtedy, zaczęła się moja fascynacja dźwiękami płynącymi z eteru. Potem pojawił się Johnny Alcatraz i zaszczerpił we mnie miłość do muzyki. To on ukształtował mój gust muzyczny, ale o tym jeszcze opowiem.

Przeważnie słucham Polskiego Radia Wrocław, bo podają tam mnóstwo informacji dotyczących regionu gdzie przyszło mi spędzać starość, ale mam też kilka swoich ulubionych audycji o zasięgu ogólnopolskim. Śledzę notowania listy przebojów Trójki, która najpierw była nadawana w soboty, a od jakiegoś czasu przenieśli ją na piątek. Nie wiem dlaczego, moim skromnym zdaniem, sobotni wieczór był idealny. Z nastaniem lata,

przełączam mój sprzęt na długie fale i dzień w dzień, przez ponad trzy miesiące słucham "Lata z Radiem". Najlepsze jest to, że muzyczka, która rozbrzmiewa na początku audycji, punktualnie o dziewiątej zero zero, nie zmieniła się od blisko dwudziestu lat. Ten fakt, może docenić tylko ktoś taki jak ja. Ktoś, kto większość swojego życia przeżył w schemacie. W niezmiennym cyklu, który bardzo rzadko był poddawany jakiejś ewolucji.

Dziś rano spiker jak zwykle przeczytał wiadomości z kraju i ze świata, a potem zapoznał wszystkich z prognozą pogody na najbliższe trzy dni. Następnie była chwila muzyki, a później ramówka z regionu. Usłyszałem, że właśnie we Wrocławiu rozpoczęły się dni literatury, które będą trwać do końca tygodnia. *Serdecznie zapraszamy wszystkich słuchaczy do udziału w spotkaniach autorskich - facet za mikrofonem zachęcał swoim aksamitnym głosem - i odwiedzenia Hali Ludowej, gdzie można zapoznać się z bogatą ofertą firm wydawniczych oraz nabyć nowości literackie. Szanowni Państwo, naszym dzisiejszym gościem audycji "Rozmowy o poranku" jest Pani Nina Grice, dyrektor naczelny Wrocławskich Dni Literatury...* Prezenter i jego gość toczyli rozmowę. Słuchałem jednym uchem, bo w głowie znowu zaczęło mi krążyć to cholerne "a gdybym"! Kiepsko spałem, zwlokłem się z wyra kilka minut przed dziewiątą, zdążyłem sobie zaparzyć herbatę, spaliłem raptem pół fajki, a już zacząłem się katować myślami o Wiktorze. Wzięłem głęboki oddech i nagle usłyszałem, jak ta cała dyrektor naczelna Nina Jakaś-Tam, mówi:

- ...to chyba wszystko co mogę powiedzieć na ten temat. Na koniec jednak pozwolę sobie przytoczyć słowa znamienitego pisarza Fiodora Dostojewskiego, który w jednym ze swoich dzieł napisał: bywają minuty, gdy się w świadomości przeżywa znacznie więcej niż przez całe lata.

Kiedy usłyszałem te słowa, zamarłem w bezruchu. To była kwintesencja moich rozmyślań nad tym, co mam napisać. Zmarnowałem ponad dwa dni, żeby odnaleźć odpowiedni kierunek. Szukałem nie tam gdzie trzeba. Nie chciałem sobie przypominać, co przeżywałem w karczerze i jak bliski byłem obłądu. Nie chciałem wracać pamięcią do tamtych chwil i przywoływać gównianych wspomnień.

- Fiodorze Dostojewski - szepnąłem pod nosem - jestem ci dozgonnie wdzięczny za twoje mądre spostrzeżenie.

Zanim przejdę do sedna sprawy, muszę wam coś wyjaśnić. Wiem, że na pewno zostanę doskonale zrozumiany przez ludzi, którzy mają za sobą mroczne przejścia. Wiem jak to jest, kiedy człowiek nosi w sobie ciężar i czasami myśli o tym, że to przez co przeszedł, nigdy nie powinno się zdarzyć w jego życiu. Chcecie przykładu? Proszę bardzo. Aborcja, gwałt, wspomnienia z pobytu w obozie koncentracyjnym. Myślicie, że ci, którzy doświadczyli w swoim życiu czegoś podłego, naprawdę chcą o tym rozmawiać? Sądzicie, że chcą się podzielić swoim dramatem z całym światem? Większość z nich oddałaby wszystko, żeby zapomnieć o tych koszmarach. Tak samo jest ze mną. Nie chcę pamiętać o dniach spędzonych w karczerze. Pragnę uciec od tego piętna, zapomnieć o nim i podpisuję się obiema dłońmi pod krótkim zdaniem, które nieznanym mi człowiekiem wyrył w glazurze w jednym z pomieszczeń izolacyjnego. NIGDY MNIE TU NIE BYŁO.

Koniec.

Opowiem wam o tym, co zrobiłem, żeby wyrwać się ze szponów szaleństwa, które mnie wtedy osaczało. Uczyniłem to, o czym pisał Dostojewski. Zapewne jego myśl narodziła się w zupełnie innym kontekście, ale jak trafnie odzwierciedla to, gdzie ja odnalazłem ratunek. Za nic w świecie nie jestem w stanie stwierdzić, ile czasu spędziłem w ciemnościach nim przepędziłem koszmary z mojej głowy. Jak długo Końska szeptała mi do ucha swoje okrutne opowieści? Ile razy ochryplym głosem nuciała grobowe kołysanki? Nie wiem, jak mi Bóg miły, naprawdę nie wiem. Tak jak pisałem wcześniej, są takie miejsca na ziemi, gdzie czas jest pojęciem abstrakcyjnym.

Dla mnie ucieczką przed paranoją okazały się wspomnienia.

Siedziałem w ciemnościach, ale tak intensywnie wyęczałem pamięć, jakbym pragnął, żeby moja dusza i ciało przeniosły się w lata mej młodości. Widziałem świat pełen kolorów i pochłaniałem go wszystkimi zmysłami. Czułem smak, zapach, dotyk i słyszałem głosy. Wszystko było tak realne i rzeczywiste, tak namacalne, że byłem pewien, iż wystarczy jeszcze tylko jeden krok, żeby pokonać czas.

Kiedy zabierałem się za pisanie moich wspomnień, nie myślałem o tym, a właściwie nie brałem tego nawet pod uwagę, że opowiem wam również o moim dawnym życiu. O tym wszystkim czego doświadczyłem i co przeżyłem, zanim trafiłem do więzienia. Wiem, że kilka razy napomknąłem o mojej przeszłości, ale po prostu inaczej się nie dało. Zrobiłem to dlatego, żeby zachować sens i logikę, żebyście dostrzegli powiązania. To nie jest tak, że ja się bronię przed tymi wyznaniem i nie myślę sobie, że mam coś do ukrycia. Tak jak każdemu młodemu człowiekowi zdarzało mi się popełniać błędy i robić głupstwa. I nie mam z tym problemu, żeby się do tego przyznać, bo nie w tym rzecz. Po prostu obawiam się tylko, że jeśli pomknę w swoich zapiskach w zamierzchłe lata, to może mi zabraknąć czasu. Dziś jest 27 maja 1991 roku, a ja mam dalekosiężny plan. Oczywiście będę go mógł zrealizować, o ile nadal będę jeszcze żył. Na razie nic mi nie dolega, nic mnie nie boli, nie mam żadnych zdrowotnych problemów. Oby tak było, bo dokładnie za 13 miesięcy i 24 dni zrobię w swoim życiu coś naprawdę szalonego. Mam już swoje lata, ale podejmę się takiego wyzwania, jakbym miał na karku raptem trzydzieści wiosen. To już postanowione i data jest żelazna. Nie mogę tego przełożyć. Tylko śmierć może mnie powstrzymać.

Wiem ile czasu zajmuje mi pisanie. To wcale nie jest taka prosta sprawa, jak mogłoby się z pozoru wydawać. Nie zawsze znajduję wolną chwilę, żeby usiąść i kreślić słowa. Mam też swoje obowiązki. Kierownik Bugajczyk to drętwy fiut i cholerny służbista, który nigdy nie odpuszcza i goni mnie niekiedy jak kundla. Poza tym nie zawsze czuję polot i natchnienie, żeby skupić się na pisaniu. Staram się trzymać chronologii wydarzeń, chociaż nie zawsze mi to wychodzi, a i tak sporo jeszcze zostało do opowiedzenia. W moich pamiętnikach na pewno pojawią się archiwista Szorpak, matematyczny geniusz Cyferka i Johnny Alcatraz, o którym dość często wspominał i jak się sami przekonacie, jest o kim gadać. Muszę napisać o Mańku, który zajmuje honorowe miejsce w mojej pamięci. My dwaj byliśmy ulepieni z tej samej gliny i czuję się

zaszczycony, że mogłem razem z nim przeżyć w celi siedem udanych lat. Opowiem wam też o moim znaku runicznym oraz o zdjęciu, które dostałem we wtorkowe przedpołudnie 18 grudnia 1951 roku. Nie omieszkam też wspomnieć, jak w więziennych murach narodził się tajemniczy język grypsów i zwyczaje, które zostały ich religią, albo o tym, jak założyłem się z chłopakami, że wykuję na pamięć "Pana Tadeusza". Jest jeszcze kilku innych kolesi o których powinienem napomknąć, na przykład mój kumpel Gołębek. Nie mogę też pominąć historii o dwóch ucieczkach z wronieckiego więzienia czy też afery z prądem, kiedy cała jednostka penitencjarna została pozbawiona elektryczności. Nawet nie jesteście sobie w stanie wyobrazić, jaki wtedy zapanował chaos. Mówię wam, to były jaja na całego! My mieliśmy ubaw po pachy, a klawisze byli zestrani. Był jeszcze czadowy koncert, który odbył się 8 lutego 1964 roku i chociaż trwał zaledwie kilka minut, został rock and rollową legendą wronieckiego pudła. Tak dużo grubych tematów mam jeszcze do napisania, a zostało tak niewiele czasu. Najgorsze jest to, że jeśli zbyt pobieżnie potraktuję lata mojej młodości, to jaki sens będzie miało później snuć niesamowitą historię o Liczbie Życia? Ważne są daty, ale jeśli zacznę nimi szastać dopiero wtedy, kiedy na stronach kolejnych dzienników pojawi się Cyferka ze swoją teorią o magii liczb, to ktoś z was może stwierdzić, że jestem cwaniakiem naciągającym fakty dla własnych potrzeb. Liczba Życia to jedna z największych mitycznych tajemnic naszego istnienia. Nie mogę tego spać i zasiać w waszych sercach ziarna wątpliwości, że to kant. Już teraz przysięgam na wszystkie świętości, że zdradzę wam w jaki sposób za pomocą ołówka i kartki papieru, możecie w bardzo prosty sposób wyliczyć swoją Liczbę Życia. Zrobicie to. Jestem tego pewien. Będzie was zżerała ciekawość, a potem ci z was, którym nie zabraknie odwagi, zaczną szczegółowo analizować własną przeszłość. Możecie być pewni, że niektórym włosy na głowie staną dęba. Ta wiedza zmieni wasze podejście do życia. Kiedy poznacie tę tajemnicę, zrobicie być może to samo co ja - będziecie chcieli wyjść naprzeciw temu, co ma was spotkać w przyszłości.

Muszę podążyć tropem słów Dostojewskiego, że "bywają minuty, gdy się w świadomości przeżywa znacznie więcej niż przez całe lata". To chyba jedyne, sensowne rozwiązanie. Pierwszy raz przywołałem swoją całą przeszłość, kiedy Wiktor zamknął mnie w karczerze. Wtedy zanurzając się wszystkimi zmysłami w echa minionych dni, umknąłem szaleństwu, które chciało mnie dopaść. Dziś natomiast uczynię to z trzech, zupełnie różnych powodów. Pierwszy jest bardzo oczywisty i ma być dowodem na to, że moje świadectwo prawdy, które wyznaję w tych skoroszytach, musi mieć czysty i klarowny obraz. Nie mogę pozostawić żadnych niedomówień lub niejasności. Drugi powód, motywujący mnie do tego wyzwania, jest bardziej wzniosły i uduchowiony. Robię to w hołdzie dla ludzi, którzy byli bliscy mojemu sercu. Tylko w ten sposób mogę uczcić ich pamięć i chwale tamtych dni. Natomiast trzeci jest taki, że w głębi duszy pragnę to przeżyć raz jeszcze. Udać się w daleką podróż do moich najszcześniejszych lat, poddać się magii wspomnień, zamknąć oczy i w wyobraźni powołać do życia świat, który przeminął. Wiem, że to pozostanie tylko złudzeniem, bo ja przecież będę siedział w starym fotelu na poddaszu, ale w myślach doświadczę tego, co powiedział autor "Zbrodni

i kary".

Zdaję też sobie sprawę, że z perspektywy starca, obrazy malujące się w mojej pamięci będą przejawskrawione i wyidealizowane. Wiem, że niektórzy z was po kilku dalszych akapitach poczują się tak, jakby miało ich zemdlić i stwierdzą, że moje słowa brzmią jak najgorszy kicz. Jednak zanim zacznę snuć opowieść o przyjaźni i mojej młodzieńczej miłości, chciałbym was o coś zapytać. Wiem, że nie udzielicie mi żadnej odpowiedzi, ale możecie zdobyć się na szczerą samą przed sobą. Pamiętacie swój pierwszy zryw serca? Pamiętacie osobę, dla której kiedyś byliście gotowi rzucić wszystko i pójść za nią na kres świata? Potraficie zamknąć powieki i oczami duszy zobaczyć miejsca, gdzie przeżywaliście swoje pierwsze chwile szczęścia? Kto z was pamięta to uczucie, kiedy ze zniecierpliwieniem czekał i wypatrywał, kiedy ona lub on, pojawi się o umówionej godzinie? Jak wielkie skrzydła czuliście u ramion pędząc na kolejne spotkanie? Jak dużo był wart dla was uśmiech ukochanej osoby? Jesteście w stanie podać jego cenę? Większość z was, którym zostało kiedyś dane doświadczyć prawdziwej miłości, rozumie o czym mówię. Wiecie jak to jest, kiedy po latach człowiek spogląda na swoją przeszłość i odgrzebuje w pamięci stare, pokryte kurzem czasu wspomnienia. Przypomina sobie te magiczne dni, kiedy wszystkie zmysły trawił gorący ogień, kiedy w sercu kipiała niecierpliwość, a myśli o drugiej osobie nie pozwalały zasnąć. Wtedy byliście w stanie zrobić dla ukochanej osoby wszystko, prawda? Po prostu wszystko. Bo ona była dla was najważniejsza, była waszym całym światem. Jeżeli znacie te wszystkie uczucia, to musieliście kochać ze wszystkich sił.

Pewnie niektórzy z was uśmiechają się teraz z ironią i mieliby ochotę powiedzieć:

- Człowieku, początek zawsze jest fajny, a potem życie zaczyna weryfikować wszystkie sprawy.

Zgadza się, na pewno macie rację. Jednak nikt nie obiecywał, że stan euforii będzie trwał wiecznie. Ja tego nie przeżyłem, ale wiele razy w swoim życiu słyszałem opowieści, jak to jest, kiedy monotonia dnia powszedniego zaczyna zamieniać miłość w przyzwyczajenie. Jak powoli błędnie paleta zaczarowanych kolorów i nie wiadomo w którym momencie, życie zaczyna się taplać w odcieniach szarości. Potem przychodzą problemy i kłopoty, zaczynają się sprzeczki, kłótnie, podniesione głosy, później wrzaski i łzy, aż wreszcie zostają już tylko gniew i wściekłe awantury. Pojawia się nadmiar alkoholu, są rękoczyny, szukanie przygód i koniec końców, niebo zamienia się w piekło. Daleko nie muszę szukać. Na przykład mój kumpel Gołąbek... To był poczciwy i spokojny facet. Prosty człowiek. Miał niespełna dwadzieścia lat kiedy się ożenił. Musiał być z niego niezły ogier, bo spłodził piątkę dzieciaków. Miał czterech synów i jedną córkę, a po latach doczekał się gromadki wesołych wnucząt. Mieszkał w jakiejś małej miejscinie w centralnej Polsce i od najmłodszych lat hodował gołębie. Stąd też w więzieniu wzięła się jego ksywka. Potrafił o tych ptakach gadać godzinami, aż do znudzenia. Ten facet o gołębiach wiedział wszystko. Mało tego, te stworzenia po prostu lgnęły do niego, ale o tym jeszcze się przekonacie. Kiedy Jan Trulski vel Gołąbek trafił do Wronek miał 55 lat, a do odbębnienia czekało go ćwierć wieku. Taką dostał właśnie pokutę za to, że popełnił potworną zbrodnię. Zatłukł siekierą swoją małżonkę. Zabił kobietę, z którą przeżył szmat czasu, kobietę, którą kiedyś kochał nad życie i w obliczu Boga Wszechmogącego

przysięgał jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską.

Ja i Gołąbek przez jakiś czas dzieliliśmy jedną celę. Minęły trzy długie lata, zanim mój współlokator dojrzał do tego, żeby zrzucić z pleców ciężar zbrodni, której był sprawcą. Pewnego zimowego wieczoru zaczął ze mną rozmawiać i tak od słowa do słowa, usłyszałem jego koszmarną spowiedź.

Przegadaliśmy wtedy prawie całą noc, a on w pewnym momencie powiedział coś zaskakującego.

- Nie umiem tak ładnie gadać jak ty, ale coś ci powiem. Wiesz, co trza robić, żeby dzielić życie z drugim człowiekiem? Po pierwsze, trza umieć słuchać, po drugie trza być zawsze obok - zaczął wyliczać na palcach - trza podobać obowiązkom, trza być cierpliwym i miłym. - Zawsze, kiedy Gołąbek coś opowiadał, nadużywał dwóch stwierdzeń "trza" i "no wiesz". Na początku strasznie mnie to drażniło, ale po jakimś czasie przywykłem i puszczałem to mimo uszu. - No wiesz, nie można podnosić głosu, złościć się, wściekać, krzyczeć. W domu musi być dobra atmosfera. Musi być, no wiesz, szacunek, bo dzieci patrzą, rozumiesz? Jak widzą awantury, szarpaniny, pijaństwo i bezustannie słyszą kurwowania, to niczego dobrego się nie nauczą. Po wielu latach patrzysz na swoją kobietę... - zamilkł na moment i nagle machnął ręką, jakby tym gestem chciał mi dać do zrozumienia, że nie ma sensu o tym gadać. - No wiesz, człowiek powinien dbać o swoją miłość przez całe życie. Trza ją chronić i pielęgnować, trza robić wszystko, żeby nigdy nie zgasła. Trza starać się tak, jak robił to na początku, kiedy był przekonany, że spotkał bratnią duszę, swoją drugą połowę. A ja, no wiesz, bardziej dbałem o gołębie, niż o moją rodzinę - miałem wrażenie, że jego oczy zrobiły się nieco szkliste. - Dramat zaczyna się wtedy, kiedy ludzie zaczynają się lekceważyć. Coś o tym wiem - westchnął. - Zakatrupiłem kobietę, za którą kiedyś ruszyłbym w ogień, zabiłem matkę moich dzieci, babcię moich wnuków. Nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia. Popełniłem najgorszą zbrodnię, jakiej może dopuścić się człowiek. Wiesz czego najbardziej żałuję? - Nie dał mi szansy na odpowiedź, tylko ciągnął dalej. - Tego, że zacząłem chlać. No wiesz chłopie, wódka niszczy wszystko. Wódka ogłupia. Im więcej pijesz, tym bardziej stajesz się byle jaki. Co ci będę tłumaczył... Poza tym sam wiesz jakie są baby, prawda? Kiedy wbijają sobie coś do łba, to trudno im cokolwiek wytłumaczyć. Jednak mądry facet - popukał się palcem w skroń - doskonale wie jak wtedy postąpić, a ja byłem głupi.

Starym zwyczajem znowu odbiegłem od głównego tematu, ale mam nadzieję, że rozumiecie, co chcę wam powiedzieć. Niektórzy z was doskonale wiedzą o czym piszę, a szczególnie ci, którzy posiadają barwne wspomnienia z przeszłości, a teraz czują się tak, jakby dryfowali w świecie pozbawionym kolorów i uniesień. Jest tylko nuda i rutyna. Wasze życie toczy się na jałowym biegu. Każdy dzień jest kopią poprzedniego, praca, dom, zakupy, rachunki. Upływ czasu zauważacie patrząc na własne dzieci i zadajecie sobie pytanie - kiedy zdążyły tak urosnąć?! Oczywiście nie mam zamiaru nikogo z was pouczać lub krytykować, bo to wasze życie, to wy nadajecie kształty własnej rzeczywistości. Wiem natomiast, że nigdy nie jest za późno, żeby coś z tym zrobić. Jeżeli ktoś nie podejmuje żadnych kroków, żeby wyrwać się ze stagnacji, to popełnia wielki

błąd. Konsekwencje kiedyś nadejdą i zemszczą się okrutnie. Sami sobie odpowiedzcie na pytanie, co jest lepsze? Poddać się bez walki i trwać w nic nie robieniu, czy spróbować naprawić to, co się zepsuło jakiś czas temu? A może po prostu rzucić to wszystko, odejść i przestać krzywdzić zarówno siebie samego jak i swoich bliskich? A może warto zweryfikować własne priorytety? Czy naprawdę praca, pieniądze, majątek, samochód albo dom, to szczyt waszych marzeń? Co jest ważniejsze? Zaopatrzona lodówka i szafa pełna modnych ciuchów, czy uśmiech czający się w oczach waszej żony, męża, dziewczyny, partnera? Co liczy się bardziej? Gruby portfel czy wasze dłonie splecione w uścisku? Fajnie jest mieć wszystko, ale ta sztuka udaje się tylko nielicznym.

Powiem wam jedno, kiedyś byłem uparty, miałem bielmo na oczach i kołki w uszach. Robiłem to, co uważałem za stosowne, zamiast posłuchać innych, zastanowić się nad ich słowami i przemyśleć sprawę. Chcecie posłuchać rady starego człowieka? Zapomnijcie na chwilę, że wisi nade mną piętno skazańca i co najważniejsze, nie bierzcie też pod uwagę, że większość życia spędziłem w więzieniu. Wyobraźcie sobie, że jestem czyimś dziadkiem, że bruzdy na mojej pomarszczonej skórze zostały wyryte przez lata doświadczeń, że na mojej twarzy maluje się mapa, ukazująca wszystkie drogi i trakty, którymi zmierza człowiek przez swoje całe życie. Te ścieżki prowadzą w różne miejsca, można na nich spotkać ból i radość, miłość, zdradę, szczęście, nienawiść, zemstę i gniew, spokój i przyjaźń. Pomyślcie o tym, że mój każdy siwy włos, a mam ich na swojej głowie bez liku, mógłby opowiedzieć jakąś ciekawą historię. Jedne będą wesołe, drugie żałosne, trzecie smutne, a inne pełne triumfu i marzeń. Człowiek, który nie potrafi słuchać będzie twierdził, że niepotrzebnie moralizuję, ale to jest domena ludzi, którzy myślą, że wszystko wiedzą najlepiej. Też kiedyś taki byłem. Potem wystarczyło kilka kopniaków od życia i szybko zrozumiałem ile jestem wart. Moja rada jest taka, kieruj się w życiu sercem i rozumem, nie ulegaj słabościom, bądź dobry i życzliwy, nie niszczyć tylko pomagaj. Nigdy nie pozwól, żeby twoją duszą zawładnęły demony, które uwielbiają przemoc i chciwość. Żyj godnie i uczciwie, szanuj innych, nie rób nic na przekór samemu sobie, nie przynoś bólu i łez. Unikaj nienawiści i nie szukaj zemsty, bo wystarczy, że tylko raz zasmakujesz tych owoców, a do końca swoich dni będziesz czuł w sercu gorzki jad. Bądź otwarty i ciekawy świata. Nie przegap swojej szansy na miłość, kiedy będzie przechodzić obok ciebie, bo miłość to cud, któremu zawsze towarzyszą wiara, nadzieja i szczęście. Wiem wiem, te zdania brzmią jak cytaty z Biblii. A swoją drogą przyszło wam kiedyś do głowy, że Biblia to książka, którą przez wieki wydano tyle razy, że takiego nakładu nikt nie przebije? Na jej stronach jest jedno zdanie, które zawiera w sobie całą prawdę o człowieku. Napisał je niejaki Paweł z Tarsu w swoim 1 Liście do Koryntian: *"Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wszelką wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym."*

Tak moi drodzy, podzieliłem się z wami moimi przemyśleniami, ale nie oczekuję bezwarunkowej akceptacji. Mam tylko nadzieję, że niektórzy z was zastanowią się nad sensem tych słów, a to będzie już dla mnie wystarczającą nagrodą.

Chyba starczy już tego dobrego, bo czasami jak się rozgamam, to nie wiem kiedy przerwać. Pora przejść do konkretów i opowiedzieć wam historię chłopca, który mógł mieć zwyczajne i normalne życie. Trudno powiedzieć jaki los był mu pisany, gdyby nie

popęłnił kilku błędów. Może miałby swoją rodzinę, dzieci, pracę, dom, a może wykoleiłby się gdzieś po drodze i skończył z butelką wódki przy piersi? Nie wiem, nie mam pojęcia, jednak zawsze lubiłem rozmyślać o tym, że powiodło mu się w życiu.

Na moje dwunaste urodziny dostałem od mamy w prezencie szklaną kulę. To była rzecz o której marzyłem. W jej wnętrzu wypełnionym wodą i gliceryną, znajdował się baśniowy zamek o dwóch strzelistych wieżach, a kiedy potrząsnęło się kulą, drobinki srebrnego brokatu wirowały jak szalone i powoli opadały na dno. Godzinami mogłem siedzieć i wpatrywać się w to błyszczące чудо. To pobudzało moją dziecięcą wyobraźnię i byłem przekonany, że ten zamek istnieje gdzieś naprawdę. W duchu przysięgałem sobie, że któregoś dnia odnajdę to miejsce.

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, ile wysiłku kosztowało moją mamę, żeby mogła kupić przedmiot, który sprawił mi tyle radości. Nie sądzę, żeby którykolwiek dzieciak w moim wieku zastanawiał się nad tym, jak trudno jest zarobić tyle pieniędzy, żeby móc od czasu do czasu zaspokoić swoją lub czyjąś zachciankę.

- Kochanie, podoba ci się prezent? - Mama spoglądała na mnie takim wzrokiem, jakim patrzy na swoje pociechy wszystkie kochające matki.

- Jest wspaniały - odparłem i co rusz trząsałem z całych sił kulą.

- Musimy teraz porozmawiać o czymś bardzo ważnym - powiedziała, a ja spojrzałem na nią z zaciekawieniem. - Jesteś dużym chłopcem, a za kilka lat zostaniesz prawdziwym mężczyzną. - Pogłaskała mnie po głowie. - Byłam dzisiaj u jednego pana, który jest właścicielem warsztatu stolarskiego. Rozmawiałam z nim o tobie...

- O mnie?! - Wpadłem jej w zdanie.

- Tak Stefek, o tobie. Zapytałam go, czy znalazłaby się u niego jakaś praca dla młodzieńca w twoim wieku.

- I co powiedział?

- Żebyśmy przyszli oboje w przyszłym tygodniu.

- Będę chodził do pracy? Będę zarabiał pieniądze? - Byłem podekscytowany.

- Nie wiem, być może. To zależy jakie zrobisz na nim wrażenie. Bardzo bym się cieszyła, gdybyś dostał to zajęcie - westchnęła. - Bardzo.

- Mamo, obiecuję ci, że tak się stanie!

- Chodź tu mój ty mężczyzno - wyciągnęła przed siebie ręce i przytuliła mnie do piersi. - Kocham cię synku nad życie - szepnęła i pocałowała mnie w skroń.

W tamtych czasach moja mama pracowała w szpitalu jako praczka. Wychodziła z domu rankiem, a wracała kiedy już się ściemniało. Wtedy uczciwy dzień pracy trwał dziesięć godzin i nikt się nie pytał czy masz rodzinę, dzieci, czy musisz się jeszcze opiekować niedołącznym starcem lub staruszką. Nikogo to nie obchodziło. Przychodzisz i robisz swoje, zarabiasz marne grosze, a jak ci się nie podoba, to won na bruk! Na twoje miejsce jest dziesięciu chętnych.

Mieliśmy wtedy tylko siebie. Mój tato zmarł siedem lat wcześniej, a dziadek

odszedł rok później. Był jeszcze stryj Ambroży Żabikowski, ale ostatni raz widziałem go na pogrzebie ojca. Potem słyszałem, że ponoć wyprowadził się z Kalisza. Chyba nie przepadał za moją mamą, bo nie utrzymywał z nami kontaktu, a ona nawet nie wiedziała dokąd wyjechał. Reszta naszej rodziny spoczywała już na cmentarzu.

Od zawsze mieszkaliśmy na Czaszkach. To była najuboższa dzielnica Kalisza, zwana potocznie "Złotymi Dachami". To było siedlisko biednych rodzin robotniczych, mekka kaliskiego proletariatu. Dzieciaki, którym przyszło tutaj żyć nie chodziły do szkół i nie zdobywały wiedzy. Wychowywały się na ulicy, a każdy z nich od najmłodszych lat, łapał się byle jakiego zajęcia. Większość z nas czekał ten sam los, co naszych rodziców. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, dopiero po latach zrozumiałem, ile trzeba pokonać przeszkód i jaką dużą mieć charyzmę, żeby wyrwać się na dobre z tego miejsca. "Złote Dachy" były jak niewidzialne kajdany, które trzymały człowieka w swoim żelaznym uścisku i nie miały zamiaru wypuścić. Każdy kto się tutaj urodził, był skazany na to miejsce.

Przy jednej z ulic, znajdował się obskurny wyszynk, gdzie po ciężkim dniu pracy spotykali się robotnicy umęczeni kieratem codzienności. Nad drzwiami wejściowymi wisiał szyld "Gospoda Pod Złotym Kopytem". "Złote Kopyto" i "Złote Dachy", kurwa mać, dostrzegacie żalną ironię, prawda? Oczywiście moje dwunastoletnie stopy nie przekroczyły progu wiodącego do zatłoczonej wieczorami karczmy, gdzie panował gwar, a w powietrzu unosiły się kłęby tytoniowego dymu, zapach chmielu i odór gorzały. Stałym bywalcem zostałem dopiero kilka lat później. To właśnie tam człowiek mógł usłyszeć wszystko o niespełnionych marzeniach i straconych szansach. Tam można było się dowiedzieć, że świat jest podły, a życie niesprawiedliwe. Kiedy w Rosji wybuchła rewolucja październikowa, a jej echa dotarły do Kalisza, to właśnie w "Gospodzie Pod Złotym Kopytem" zaczęli konspirować entuzjaści komunizmu. Tam padały wzniosłe hasła, tam spotykali się zwolennicy raczkującego proletariatu, to właśnie tam Wiktor Kozłowski przemawiał do zebranych i rozdawał propagandowe ulotki, chociaż większość słuchaczy była analfabetami. Ja sam "Pod Złotym Kopytem" uwierzyłem w słuszność tej sprawy. Dziś, wydaje się to szalenie głupie i naiwne, ale w tamtych czasach wcale takie nie było. Świat wtedy był inny. Nie mogę tamtych lat oceniać w kategoriach - lepsze czy gorsze, bo teraz to nie ma żadnego znaczenia. W moich wspomnieniach zawsze będę czuł sentyment do tamtych dni i nic tego nie zmieni.

Najrozsądniej będzie, jak zacznę swoją opowieść od momentu, kiedy ja, Trufel i Pesteczka zostaliśmy władcami sekretnego pokoju...

Nasze życie, czyli moje i moich dwóch najlepszych kumpli, toczyło się na ulicy. Jak tylko dopisywała pogoda, całymi dniami potrafiliśmy się włóczyć po okolicy, a do głów przychodziły nam najdurniejsze pomysły. Wiecie jak to jest, kiedy człowiek się nudzi i ma mnóstwo wolnego czasu. Dużo by o tym gadać. Każdego dnia spotykaliśmy się o ósmej rano na schodach przed wejściem do starego magazynu. Ponoć był to jeden z pierwszych budynków, który dał początek "Złotym Dachom" i został zamknięty na trzy spusty, dwie dekady po tym, jak Noe dobił swoją arką do suchego lądu. Nikt nie miał

pojęcia co było wewnątrz, bowiem wszystkie okna zostały zamurowane, a jedyne wejścia broniły masywne drewniane drzwi, zardzewiała krata, łańcuch i potężna kłódka.

Kiedy na dworze było kiepsko i padał deszcz, sterczeliśmy w bramie i robiliśmy zawody o mistrzostwo w pluciu na odległość. A swoją drogą, jeśli człowiek przez pół dnia kwitnie w jednym miejscu to może sporo wypatrzeć. Pesteczka był najbardziej czujnym obserwatorem z naszej trójki. Pewnego dnia mówi tak:

- Patrzcie uważnie, za kilka minut zjawi się ten porąbany mleczarz, Broniek Promienny Uśmiech. Nie cierpię tego faceta. Kiedyś jak już podrosnę, to się z nim porachuję.

- Co, nie możesz zapomnieć, że nakopał ci do dupy? - Zarechotał Trufel.

- Wcale nie nakopał!

- A właśnie, że tak! Zęzol i Marcinek od Dobnerów widzieli jak oberwałeś - Trufel obstawał przy swoim i miał rację, bo tak właśnie było.

Pesteczce zawsze do głowy przychodziły najbardziej złośliwe pomysły. On uwielbiał robić psikusy, ale dla niego cała zabawa polegała na tym, żeby walnąć komuś jakiś numer i tym samym doprowadzić ofiarę żartu do wściekłości.

Każdego przedpołudnia po naszej dzielnicy krążył mleczarz. Pchał przed sobą taki duży wózek pełen metalowych kanek z mlekiem i sprzedawał je na kwaterki. Facet miał na imię Broniek. Chyba podobał się kobietom, bo wszystkie mówiły, że jest taki przystojny i że tak wspaniale się uśmiecha. Dlatego nazywaliśmy go Broniek Promienny Uśmiech. Cisnął tym swoim dwukołowym pojazdem od kamienicy do kamienicy, sprzedając codziennie świeże mleko. Pewnego razu Pesteczka oraz Zęzol i Marcinek, którzy mieszkali trzy przecznice dalej, rąbnęli Bronkowi wózek z kankami. W tym samym czasie, kiedy mleczarz dobijał targu ze starą Grabińską, która mieszkała pod piątką, chłopaki zamierzali przepchać załadowany pojazd dwie bramy dalej. Nie chcieli kraść tego wehikułu, tylko go ukryć tak dla hecy. Broniek wyszedł w tym swoim białym kitlu na ulicę i pech chciał, że zdążył ich jeszcze zauważyć. Puścił się za nimi biegiem. Zęzol i Marcinek dali nogę, ale Pesteczka nie miał takiego szczęścia jak oni. Mleczarz dorwał go w bramie, złapał za kołnierz, a potem zaczął go z całej siły kopać w tyłek. Tak mu natłukł, że dupsko bolało go jeszcze przez tydzień.

- A ty Trufel to jesteś taki, że byle co usłyszysz i zaraz uwierzysz - Pesteczka warknął w jego stronę. - Byłeś? Widziałeś? Czy tylko nasłuchałeś się bzdur? Zresztą nieważne, po co ja ci się w ogóle tłumaczę? Lepiej patrzcie, co się zaraz będzie działo - kiwnął głową przed siebie. - Za kilka chwil pojawi się Broniek Promienny Uśmiech. Podejdzie pod dwójkę, rozejrzy się, a potem zniknie w bramie i pójdzie w odwiedziny do Woźniczakowej.

- Skąd wiesz, że akurat do niej? - Zapytałem.

- Bo wiem pacani mózdzku - rzucił do mnie z pogardą. - Sami zobaczycie jak mignie w kuchennym oknie.

Faktycznie było tak jak mówił. Mleczarz szedł spokojnym krokiem, zatrzymał się obok latarni, rozejrzał się jakby od niechcienia i wszedł w bramę. Chwilę później zobaczyliśmy jak przemknął w oknie mieszkania na pierwszym piętrze.

- Po co on do niej łązi? - Szepnął Trufel. - Jak myślicie?

- O Boże miłosierny, ależ ty jesteś tępy! - Pesteczka prawie jęknął. - Woźniczak jest teraz w fabryce i skręca śrubki, a jego baba migdałi się z Bronkiem. Kapujesz ćwoku?
- Prawą pięścią uderzył kilka razy w lewą, otwartą dłoń.

Teoretycznie obaj z Truflem wiedzieliśmy, co ten gest oznacza, ale nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, jak to wygląda w praktyce.

- Pewnie chce ją wydoić za te duże cycki! - Pesteczka rozłożył palce dłoni, pokazując nam tym sposobem, jaką wielkość ma na myśli.

- Ciekawe co zrobi Woźniczak, jak się o tym dowie? - Zapytał Trufel i zarechotał.

- Spuści jej lanie - skwitował nasz bystry obserwator. - Chciałbym to zobaczyć. Może mu powiemy, że mleczarz łązi do jego baby, co wy na to? - Zaśmiał się.

- Wiesz co Pesteczka, ty to jesteś taka prawdziwa menda - Trufel zmienił temat. - Tak kogoś podglądać, obgadać, wywęszyć aferę, podpuścić.

- Oj patrzcie państwo - wpadł mu w zadnie - a ty jesteś taka tłusta pierdoła, która...

- nie zdążył dokończyć, bo Trufel rzucił się na niego i zaczął go tłuc pięścią w ramię.

- Odwołaj to! Odwołaj to, albo będę cię tak walił do końca życia! - Przydusił go do ściany i posyłał mu kolejne ciosy.

- Odwołuję, odwołuję, odwołuję - Pesteczka, aż kwiczał.

Trufel przestał go katować, a wtedy on trzymając się dłonią za obolałe ramię, powiedział:

- Odwołuję, że jesteś tłustą pierdołą. Mianuję cię natomiast pierwszym warchlakiem na Czaszkach - wyrzucił z siebie jednym tchem i wyskoczył na ulicę, stając w bezpiecznej odległości, żeby w razie ataku mógł umknąć. - Czaszkowy warchlak, Czaszkowy warchlak - przedrzeźniał Trufla śpiewającym tonem.

Robił to w taki sposób, że zacząłem chichotać.

- A ty co się cieszysz?! - Trufel warknął i rzucił się w moją stronę.

Zrobiłem unik, stanąłem obok Pesteczki i zaczęliśmy śpiewać na dwa głosy:

- Czaszkowy warchlak, Czaszkowy warchlak...

Nasz kumpel stał z posępną miną w cieniu bramy i powiedział z wyrzutem:

- Chłopaki, ale jesteście wiecie co? Dlaczego mnie zawsze przezywacie? Ja się z was nie wyśmiewam. Miałem wam dzisiaj powiedzieć o pewnym sekretnym pokoju i nawet chciałem was tam zabrać, ale teraz mam was w nosie.

Spojrzeliliśmy z Pesteczką po sobie.

- Ej, Trufel nie bądź taki, przecież wiesz, że to tylko żarty - starałem się załagodzić sytuację. - No dawaj, no graba - wyciągnąłem przed siebie dłoń - dawaj na zgodę. - Powiedział coś o jakimś tajemniczym, sekretnym pokoju i w kilku słowach obudził moją ciekawość. Szturchnąłem łokciem Pesteczkę, bo stał jak kołek i nawet się nie odezwał.

- Odwołuję to Trufel. Odwołuję! - Pesteczka położył prawą dłoń na wysokości serca. - Sztama?

Minutę później, znowu byliśmy najlepszymi kumplami.

- Co to za miejsce, które chciałeś nam pokazać? - Zapytałem.

- Najpierw musicie dać słowo, że nikomu o nim nie powiecie - spojrzał po naszych twarzach.

- Słowo, słowo - unieśliśmy z Pesteczką prawe ręce, jakbyśmy składali uroczystą

przysięgę.

- No to chodźmy - powiedział.
- A dokąd? - Zapytałem.
- A całkiem niedaleko - odparł i posłał nam swój cwaniacki uśmiezek.

Miejsce, które Trufel nazwał "sekretnym pokojem" znajdowało się na strychu kamienicy w której mieszkał. Cichaczem wdrapaliśmy się po schodach, żeby nie usłyszał nas żaden z sąsiadów. Strych był nieużywany. Leżało tam mnóstwo gratów, które należały do mieszkańców kamienicy, ale widocznie z jakichś powodów szkoda im było pozbyć się tego niepotrzebnego dziadostwa. Wszędzie zalegał kurz. Pomieszczenie, o którym mówił nasz kumpel, znajdowało się na końcu i było schowane za wąskimi drzwiami. W kącie stało stare, metalowe łóżko z podartym wyleniałym siennikiem, leżącym na metalowych sprężynach. Przez małe okrągłe okno, wpadało do środka światło dnia.

- I co? Jak wam się podoba? - Zapytał Trufel.
- Jak twój ojciec tu wpadnie, to wyniesie nas na kopach - stwierdził Pesteczka.
- Wcale nie, moja mama powiedziała, że lepiej jak będziemy się bawić tutaj, niż włóczyć Bóg wie gdzie. Tylko nie wolno nam odstawiać żadnego wariactwa i dokazywać.

Tym sposobem nieduża klatka na strychu została miejscem, gdzie spędzaliśmy czas, kiedy pogoda nie służyła wypadom w miasto.

Znosiliśmy tam różne kłamory znalezione na śmietniku. Swojego czasu przytargaliśmy nawet stary, wiklinowy fotel na biegunach, a potem zawsze toczyliśmy walkę o to, który z nas ma na nim siedzieć. Natomiast za stół służyła nam skrzynka po warzywach. Jednego razu Pesteczka przyniósł z sobą starą lampę naftową. Na początku twierdził, że znalazł ją w piwnicy i zabrał, bo była niczyja, ale potem przyznał się, że ją buchnął. W miarę upływu czasu w sekretnym pokoju pojawiała się coraz więcej sprzętów. Mieliśmy tam drewniany stojak na kurtki i stary, zdezelowany sekretarzyk z trzema szufladami w których każdy z nas trzymał swoje skarby. Trufel miał najfajniejsze rzeczy, a szczególnie podobały mi się jego ołowiane żołnierzyki. Na ścianie, gdzie biegły przewody kominowe, dzięki którym zimą było tutaj naprawdę ciepło, zawiesiliśmy z Truflem nasz zdobyczny obraz. Na płótnie oprawionym w rzeźbioną ramę, widniał iście kiczowaty pejzaż. To była prawdziwa tandeta, ale jeśli chodzi o mnie, to widziałem w nim coś zachwycającego. Zawsze podobały mi się zamki w średniowiecznym klimacie. Mury, wieże, bramy, chorągwie powiewające na wietrze, taki widok potrafił mnie oczarować. Na tym obrazie było namalowane posępne zamczysko na szczycie góry. Pesteczka stanął przed malowidłem, splótł ręce na piersiach i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w to wątpliwe dzieło, jakby był doświadczonym marszandem.

- Możecie mi wyjaśnić, dlaczego oszpeciliście tę ścianę? Co to ma być? - Powiedział z nieukrywaną pogardą i wskazał dłonią na nasz nowy nabytek.

- A co, nie widzisz? - Odparł Trufel.

- Wiesz, co widzę? - Pesteczka obrócił się w naszą stronę. - Widzę coś, co miało przypominać zamek - łypnął na obraz - a przede mną widzę dwóch ówków, którzy mają zakute łby i w związku z tym wydaje im się, że są rycerzami - parsknął szczerym śmiechem.

- Chyba powinien to odwołać, jak sądzisz? - Swoje pytanie skierowałem do Trufla. Rzuciliśmy się na Pesteczkę. Starym zwyczajem zaczęliśmy go tłuc pięściami w ramiona. Oczywiście po chwili wycofał się ze swojej obelgi.

Sekretny pokój to był nasz azyl. Nasze sanktuarium. To właśnie tam zaczęła się moja przygoda z nałogiem palenia, która trwa aż do dziś. Tam rozmawialiśmy o naszych marzeniach i odległej przyszłości, tam snuliśmy plany podboju świata i graliśmy w karty lub w kości. Poddasze było naszym konfesjonałem, gdzie potrafiliśmy szczerze rozmawiać o naszych bolączkach i nadziejach. Czasami któryś z naszej trójki zdobywał się na zwierzenia, bo tak samo jak innych ludzi, nas również spotykały podłe sytuacje. To było miejsce, które pozwalało nam uciec od żalosnej codzienności, która nas otaczała i zapomnieć o tym, że jesteśmy dziećmi "Złotych Dachów". W tym małym pokoiku mieliśmy swoją pierwszą alkoholową inicjację i prześcigaliśmy się w wymyślaniu wyszukanych przekleństw. To właśnie tam pewnego dnia miałem ostre starcie z Pesteczką i w efekcie tej kłótni, nie odzywaliśmy się do siebie przez kilka dobrych tygodni. Dużo moich wspomnień wiąże się z tamtym miejscem.

Następnego dnia, po moich dwunastych urodzinach, zabrałem swoją szklaną kulę, żeby pochwalić się kumplom jaki dostałem prezent. Wiedziałem, że Trufel na pewno będzie mi zazdrościł.

- Ja pierdziu, ale świetne! - Nie mógł wyjść z podziwu. - Widziałem podobną na wystawie w sklepie obok "Eleganta" ale tamta nie umywa się do tej. Kurde, zawsze chciałem mieć taką kulę, mógłbym się na nią patrzeć godzinami. - Raz po raz poruszał przedmiotem i wpatrywał się w opadające drobinki brokatu. - A teraz zamieć i wichura! - Zaczął z całych sił potrząsać kulą. - Wiatr wieje ze wszystkich sił, drzewa się łamią, zrywa dachy...

- Ej ty! Głupi jakiś jesteś?! - Pesteczka wpadł mu w zdanie i bardzo szybko sprowadził na ziemię.

- No co - jęknął Trufel.

- Jak co? Jajco! - warknął.

- Zazdrościsz, że takiej nie masz, prawda? - Stałem w obronie, nie tyle mojego kumpla, co mojej własności.

- Ja mam zazdrościć takiego badziewia? - Zakpił. - Nie jesteś przypadkiem za stary na takie zabawki? To dobre dla siuśmajtków, a nie dla kolesia, który wczoraj miał dwunaste urodziny. - Mówił to takim tonem, jakby chciał mi uświadomić, że jestem żenujący.

Taki właśnie był Pesteczka. Dzieciak, który marzył, żeby czym prędzej zostać dorosłym.

- Mogę być dla ciebie nawet siuśmajtkiem - rzekłem - ale chcę wam coś jeszcze powiedzieć. A szczególnie tobie Panie Wielce Dorosły - i wskazałem palcem na Pesteczkę. - Jak dobrze pójdzie, to w przyszłym tygodniu zacznę pracę - oznajmiłem z

nieukrywaną dumą.

Przez chwilę spoglądali na mnie jak na zjawę i ze zdziwienia opadły im szczęki, a zaraz potem zasypali mnie gradem pytań.

Kilka dni później razem z mamą poszliśmy wieczorem do zakładu stolarskiego, który mieścił się niedaleko Rogatki Wrocławskiej. Kiedyś pełniła ona funkcję posterunku celnego. W przeszłości w tym miejscu pobierano stosowne opłaty za wjazd do miasta, który wiódł bitym traktem od strony Szczypiorna. Jednak kilka lat temu posterunek został zlikwidowany, a na Rogatce postawiono wagę miejską, która służyła handlarzom odwiedzającym Kalisz.

Firma, gdzie byliśmy umówieni na spotkanie nosiła nazwę "Skoczyński i Synowie", ale głównym szefem był Franciszek Skoczyński, a jego synowie prawdę powiedziawszy, nie mieli nic do gadania. Zakład mieścił się przy ulicy Fabrycznej 6 i naprawdę był duży. Z Czaszek było tu jakieś 10 minut szybkim krokiem.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem starego Skoczyńskiego, czułem się tak jakbym spoglądał na olbrzyma. To był potężny facet, który w moich dwunastoletnich oczach miał jakieś pięć metrów wzrostu i ważył ponad dwie tony. Materiału z jednej nogawki jego spodni, wystarczyłoby dla mnie na garnitur więc jesteście chyba sobie w stanie wyobrazić, jaki z niego był rostry gość. Nasze pierwsze spotkanie było bardzo krótkie. Spojrzał na mnie i powiedział:

- Zatrudniam tylko solidnych i uczciwych ludzi. Pracujemy po 10 godzin dziennie od poniedziałku do soboty, niedziela jest dla rodziny i dla kościoła. Potrafisz szybko biegać? - zapytał zmieniając temat.

- Potrafię proszę pana.

- Dobrze znasz miasto?

- Jak własną kieszeń.

- Umiesz zamiatać?

- Umiem.

- Potrafisz rachować?

- Tak proszę pana, potrafię. Tabliczkę mnożenia mam w jednym paluszku - pochwaliłem się z dumą. To była prawda, bo od najmłodszych lat miałem pamięć do cyfr.

Olbrzym spojrział na mnie z lekkim podziwem i zapytał zmieniając temat:

- Chcesz pracować?

- Tak proszę pana, bardzo chcę. - Za każdym razem odpowiadałem pełnym zdaniem.

- No zobaczymy, może coś z ciebie będzie - uśmiechnął się i palcami lewej dłoni pogładził się po swoich sumiastych wąsach. - Przyjdź jutro na siódmą. Nie minutę albo dwie po, tylko najpóźniej masz tutaj być o siódmej, rozumiesz?

- Tak jest proszę pana!

- Pierwszy tydzień będziesz pracował za darmo, a jeśli się sprawdzisz, to dostaniesz u mnie robotę.

- Na pewno pan będzie ze mnie zadowolony - odparłem odważnie.

- To się okaże. - Spojrzał na moją mamę i rzekł: - Tylko niech weźmie ze sobą jakieś drugie śniadanie, wodę do picia dostanie, ale jedzenie musi mieć swoje. No, to w takim razie dobranoc i do jutra.

- Dobranoc panie Skoczyński - mama dygnęła głową - dziękuję, że dał pan szansę mojemu chłopcu.

- Ważne, żeby umiał ją wykorzystać. No idźcie już idźcie, bo późna pora - kiwnął głową w stronę bramy.

Z chwilą, kiedy podjąłem pracę, w moim życiu otworzył się nowy rozdział. Z dnia na dzień przepadło beztroskie dzieciństwo, a ja musiałem stawić czoła dużym wyzwaniom. Na początku było mi bardzo trudno przywyknąć do nowej sytuacji. Codziennie rano musiałem wstać i jak prawdziwy facet iść do roboty. Nie było, to czy tanto, że mi się nie chce, że jestem zmęczony, że nie mam siły, że pogoda byle jaka. Nic z tych rzeczy. Czapka, buty, kurtka, torba z kanapkami i w drogę.

W stolarni Skoczyńskiego pracowali sami dorośli mężczyźni. Obsada liczyła szesnastu ludzi, a najmłodszy z nich Mieczysław, który był synem szefa, miał 23 lata. Nie miałem tam nikogo z kim mógłbym pogadać. Połowa zatrudnionych miała dzieci w moim wieku. Był tam taki jeden Zdzisław Konopka i żywił do mnie niechęć już od pierwszego dnia. Kiedy dowiedział się, że zostałem przyjęty na próbę, to zaraz pobiegł do starego Skoczyńskiego z pretensjami, że zamiast obcego, to mógł wziąć jego dzieciaka.

Moim podstawowym obowiązkiem było zamiatanie podłogi. Każdy coś ciął, wiercił, skręcał, szlifował albo heblował, w powietrzu unosił się pył i dookoła wały się same wióry. Kręciłem się po stolarni z dużą miotłą, na której miałem nawiniętą wilgotną szmatę i bezustannie wycierałem podłogę. Wióry pakowałem do jutowych worków, po które raz w tygodniu przyjeżdżał wóz z wojskowego garnizonu. Jak się później dowiedziałem, były one wykorzystywane do utrzymania czystości na korytarzach. Ścinki desek musiałem znosić pod ścianę na drugi koniec stolarni i tam segregowałem odpady. Wszystko co miało mniej niż dziesięć centymetrów wrzucałem do dużej skrzyni i większość z tego trafiała później do pieca. Natomiast większe kawałki były raz po raz używane do zrobienia jakichś drobnych, dodatkowych elementów. Po pierwszym dniu pracy czułem się tak, jakbym naprawdę dostał w kość, po drugim byłem bardzo zmęczony, a po trzecim padałem na pysk. Z dnia na dzień mój cały świat zmienił się nie do poznania. Kiedy wracałem do domu zapadał już zmierzch i ani mi w głowie było bieganie po kumplach. Stała się też rzecz, którą wielu z was uzna za coś oczywistego. Otóż każdego dnia po powrocie do domu, zasiadaliśmy z mamą do kolacji i zjadając posiłek rozmawialiśmy... o pracy. Ona pytała, jak mi minął dzień, co robiłem, jak mnie tam traktują, czy podoba mi się moje zajęcie, a ja na wszystkie pytania odpowiadałem z najdrobniejszymi szczegółami. Jednak bardzo szybko stało się dla mnie jasne, że niektóre tematy muszę przemilczeć.

Czwartego dnia szef wziął mnie na stronę i powiedział:

- Jeżeli jesteś w stolarni, to nie rozstajesz się z miotłą nawet na minutę. Rozumiesz?

- Rozumiem proszę pana.

- Mówię to dlatego, że od dzisiaj zaczniesz też biegać po mieście. - Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem. - Oczywiście nie będziesz tego robił bez celu, albo dla przyjemności. W różnych częściach miasta moja firma wykonuje jakieś usługi. - Otworzył kajet, który trzymał w dłoni i zerknął na swoje zapiski. - Dzisiaj na przykład przy ulicy Ciasnej 12 chłopaki kładą nowy parkiet w salonie mecenasa Karpińskiego. Wiesz gdzie jest ulica Ciasna?

- Wiem proszę pana.

- To dobrze... Co my tu mamy dalej? - Przesuwał wskazujący palec wzdłuż linijek. - O właśnie, przy Polnej 7 dwóch ludzi robi schody, w restauracji Calisia montujemy nowe szafki kuchenne, Tadeusz i Maciek są w młynie, ale młyn jest za daleko, a oni w razie problemów jakoś sobie poradzą... A to co? Sypialnia...? - Powiedział to w taki sposób jakby pytał samego siebie. Podniósł wzrok, rozejrzał się po pomieszczeniu i nagle ryknął: - Mietek! Chodź tu! - Syn Skoczyńskiego podszedł do nas szybkim krokiem.

- Co z tą sypialnią przy Alei Róż? - Zapytał młodego.

- Nie mam pojęcia - odparł - Adam przyjmował to zlecenie.

- Wołaj mi go tutaj! - warknął stary Skoczyński.

Po chwili zjawił się drugi syn.

- Co z tą sypialnią przy Alei Róż? - Ponownie padło to samo pytanie.

- No jeszcze nic, dzisiaj trzeba tam iść i zrobić pomiar - wzruszył ramionami.

- To na co kurwa czekasz?! Od rana robisz jakieś duperele, zamiast zająć się konkretnymi! Ten zeszyt to twoja biblia! - Wydzierał się jak wściekły i nagle zdzielił go w łeb kajetem. - Na którą godzinę się umówiłeś z klientem?!

- Powiedziałem, że przyjdę dzisiaj, ale nie mówiłem dokładnie o której. - Chłopak potarł dłonią obolałe miejsce.

- Naprawdę jesteś głupi czy masz rozum po matce! - Stałem obok i czułem jak moje nogi robią się miękkie, pomyślałem nawet, że zaraz i ja oberwę. - Przebieraj się i zapierdalaj tam w podskokach! - Trącił syna w ramię. - Jak chcesz tępaku prowadzić ten warsztat, skoro lekceważysz dobrego klienta?! Zejdź mi z oczu, bo aż mnie ręka świerzbi, żeby zdzielić cię w gębę!

Nie miałem pojęcia, że stary Skoczyński to taki ostry gość. Skuliłem uszy i wystraszony czekałem, co będzie dalej.

- No i widziałeś?! - Zwrócił się do mnie. - Niby mój pierworodny, a matoł jakich mało. Takiemu komuś mam oddać dorobek mojego życia?! - Spojrzał na mnie i zapytał. - Jak ty właściwie masz na imię?

- Stefan proszę pana. Żabikowski. Stefan.

- Słuchaj Stefan, co ci teraz powiem. Zasuwasz na ulicę Ciasną 12, zabierzesz z sobą ostrza do hebla i dwa dłuta, zaraz ci je dam. Zaniesiesz to chłopakom, którzy robią tam parkiet w mieszkaniu numer 4. Zapamiętałeś? Powtórz!

- Ciasna 12 mieszkania 4 zanieść tam ostrza i dłuta.

- Bardzo dobrze. Potem pobiegiesz przez Planty w stronę Rynku. Na końcu ulicy Złotej, po prawej stronie, jest sklep. Nad witryną wisi duży szyld z czerwonymi literami i jest tam napisane "Salomon Bachmann". Umiesz czytać? - zapytał zniechęcony.

- Nie umiem, ale wiem, który to sklep.

- No dobrze. - Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął mieszek z monetami. Odliczył pięć sztuk i powiedział: - Właścicielem sklepu jest Salomon Bachmann i na pewno będzie na miejscu, a jeśli go nie zastaniesz, to znaczy że dzisiejszej nocy wyzionął ducha - powiedział i zaśmiał się ze swojego makabrycznego dowcipu. - Rozpoznasz go, bo ma długą siwą brodę, chodzi zgarbiony i strzela tymi swoimi, żydowskimi ślepiami we wszystkie strony. Powiesz mu, że jesteś ode mnie. Wiesz jak się nazywam?

- Nazywa się pan Franciszek Skoczyński - wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

Szef spojrział na mnie dziwnym wzrokiem i nie wiedziałem, czy czai się w nich duma, czy podziw.

- Oddasz mu te pieniądze, tylko ich nie zgub po drodze - pogroził mi palcem. - Oddasz te pięć monet, a potem czekaj, aż on ci coś da. Nie odzywaj się ani słowem, nic mu nie mów. Jak będzie chciał cię zbyć i każe odejść, to powiedz mu tylko, że chyba o czymś zapomniał. Ten stary kutwa jest niezłym naciągaczem, usłyszysz oklepaną śpiewkę, że faktycznie masz rację, a on jest taki zagoniony, zapracowany, urobiony po same pachy i że w jego wieku, człowiek czasami zapomina. Potem dostaniesz od niego butelkę wiśniówki Kasprowicza. Schowaj ją za pazuchę, żeby po drodze jakieś ochlapusy cię nie obrobili. No to pędź, tylko tak na jednej nodze, żebyś mi nie zmarnował pół dnia na wędrowanie.

- Jeszcze musi mi pan dać te ostrza i dłuta. - Przypomniałem mu o tym drobnym fakcie i do dziś nie wiem, czy rzeczywiście o nich zapomniał, czy może chciał mnie wtedy sprawdzić? Sądzę również, że Skoczyński dając mi pieniądze, które miałem przekazać do rąk własnych żydowskiemu subiekтови, chciał się przekonać o mojej uczciwości.

W dłoni trzymałem pięć srebrnych monet. Pięć rubli. Gdyby te pieniądze należały do mnie, to przez cały miesiąc, dzień w dzień, mógłbym kupować bochen chleba i na koniec jeszcze w kieszeni zostałyby mi kilka kopiejek. Wtedy sądziłem, że w garści trzymam kupę forsy. W tamtych czasach jeden rubel, to była bardzo przyzwoita stawka, jaką otrzymywał wykwalifikowany robotnik za długi dzień uczciwej pracy.

Pobiegłem na Ciasną, zostawiłem ostrza i dłuta, a potem pomknąłem do sklepu Bachmanna. Było tak jak mówił szef. Oddałem staremu żydkowi pieniądze, a on podziękował i powiedział, że mogę odejść.

- Chyba pan o czymś zapomniał - postępowałem według instrukcji Skoczyńskiego.

Właściciel sklepu spojrział na mnie przenikliwym wzrokiem, a potem posłał mi udawany uśmiech i stwierdził:

- Faktycznie! No widzisz, dobrze, że mi przypomniałeś. Taki jestem zapracowany, tyle się dzieje, zupełnie wypadło mi z głowy, że mam coś dla twojego szefa. - Przeszedł na drugą stronę dużej lady i sięgnął na półkę, gdzie stały butelki z alkoholem. - Stary już jestem i pamięć mi szwankuje. Trzymaj młodzieńcze! - Wręczył mi butelkę wiśniówki. - Tylko uważaj, żebyś nie potłukł.

- Nie ma obawy - rozpiąłem kurtkę i włożyłem ją za pasek u spodni.

Kiedy wpadłem zziębnięty na stolarnię, Skoczyński kręcił się po warsztacie między stanowiskami. Spojrział na mnie, po czym sięgnął do kamizelki po kieszonkowy zegarek i zerknął na cyferblat.

- No nieźle nieźle - pochwalił mnie. - Uwinąłeś się w pół godziny. Szybki jesteś.

Przyniosłeś wiśnióweczkę?

Rozpiąłem kurtkę i wyjąłem butelkę, która przez całą drogę uwierała mnie w biodro.

- Zrób sobie pięć minut przerwy, złap oddech, a potem chwyć się za miotłę.

Poszedłem w ką, gdzie stały skrzynie z odpadami. Zdjąłem kurtkę i czapkę, rękawem koszuli przetarłem spocone czoło i usiadłem na zydelku. Chcąc nie chcąc, obserwowałem co się dzieje. Szef nadal krążył po stolarni i przyglądał się, jak ludziom idzie robota. Tam coś pomógł, tu coś podpowiedział, czasami pogładził dłonią deski, jakby sprawdzał czy są odpowiednio wyheblowane. Na moment zniknął za drzwiami, gdzie miał swoje biuro, a kiedy pojawił się znowu, w dłoni trzymał szklankę z grubego szkła, która w połowie była wypełniona wiśniowym płynem. Sączył alkohol w bardzo specyficzny sposób, niczym prawdziwy znawca i smakosz, który delectuje się unikatowym rarytasem. Najpierw pociągał łyk, potem oblizywał wargi końcem języka, a następnie kciukiem gładził krawędzie wąsa nad ustami. Robił tak za każdym razem, dopóki nie opróżnił szkła.

Bardzo szybko zauważyłem, że w ciągu dnia, potrafił walnąć kilka takich szklaneczek. Praktycznie nigdy nie opuszczał warsztatu, był jak kapitan, który nie schodził z pokładu swojego statku. Każdą robotę miał pod kontrolą, dość często wydzierał się na ludzi, ale był tutaj jeden człowiek na którego Skoczyński nigdy nie podniósł głosu. Ten mężczyzna nazywał się Wawrzyniec Tyński. Był szczupłej budowy ciała, miał grubo po pięćdziesiątce i palił jak smok. Wystarczyło stanąć metr od niego, a już dało się czuć intensywny odór tytoniu. Wawrzyk, bo tak wszyscy się do niego zwracali, był najlepszym stolarzem w tej firmie. Po prostu mistrz. Jeżeli ktoś z pozostałych pracowników miał jakiś problem techniczny, to szedł do Wawrzyka po poradę. Natomiast kiedy on coś robił, to powiem wam, że aż przyjemnie było na to patrzeć. Wszystkie ruchy, cięcia, uderzenia dłutem, każda czynność, którą wykonywał z drzewem była pełna precyzji.

Pracę zacząłem we wtorek i do końca tygodnia nie widziałem Pesteczki i Trufła. Od niepamiętnych czasów, to był najdłuższy okres, kiedy nie miałem z nimi kontaktu. Zobaczyliśmy się dopiero w niedzielę. Tradycyjnie czekałem na nich na rogu ulic, bo właśnie stamtąd szliśmy do kościoła na poranną mszę.

- O patrzcie państwo, pojawił się nasz dawno niewidziany pracownik. - Pesteczka jak zwykle niby żartował, a jednak w jego słowach zawsze czaiła się nutka złośliwości. Chociaż tym razem, to raczej nie była złośliwość tylko zazdrość.

- No opowiadaj, co to masz za robotę? - Trufel zapytał z zaciekawieniem.

Nawet nie jesteście sobie w stanie wyobrazić z jaką dumą mówiłem o swojej pracy. Nie znałem w okolicy żadnego dzieciaka, który mógłby pochwalić się takim sukcesem. Większość albo sprzedawała poranne gazety, albo sprzątała na targowisku. Problem w tym, że te oba zajęcia były kiepsko płatne i bardzo niepewne, bo zależały od czyjś widzimisię.

W drodze do kościoła z najdrobniejszymi szczegółami opowiadałem moim kumplom, czym się teraz zajmuję.

- Super, świetnie, ale masz szczęście! - Trufel mówił to w taki sposób, jakby mi gratulował wygranej na loterii. - Cieszę się, że ci się powiodło. Jakby twój szef potrzebował jeszcze jednego gońca, to daj znać, piszę się na to.

- A ile tam zarobisz? - Pesteczkę interesowały konkrety.

- Jeszcze nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą. - Na razie zostałem przyjęty na próbę. Jutro się wszystko wyjaśni, jeśli dostanę tę posadę, to pewnie dowiem się też jaką otrzymam stawkę.

- Czyli krótko mówiąc, to jeszcze nic pewnego - skwitował.

- Pesteczka, ty jesteś jeszcze bardziej beznadziejny niż mój ojciec. Do tej pory sądziłem, że on jest najgorszym marudą i zgorzkniałym gościem pod słońcem. Myślałem, że tak się dzieje z człowiekiem, kiedy za dużo pije - Trufel zaatakował - ale ty masz zrzędenie we krwi, jakbyś je wyssał prosto z matczynego cycka.

- Twój ojciec pije dlatego, bo jest załamany, że spłodził takiego kretyna jak ty! A ja wcale nie jestem marudny i zgorzkniały, tylko jestem... - chyba zabrakło mu odpowiedniego słowa - jestem... - aż się zapowietrzył.

- No i co się tak zaciąłeś, jak jakiś niedorozwinięty jakała - rzucił Trufel i obaj zanieśliśmy się śmiechem. - Jestem, jestem, jestem - zaczął go przedrzeźniać. - Jestem Pesteczka śmierdząca dupa puszczająca cuchnące bąki.

- Odwal się ty tłusta pało! - Warknął w odwecie jego rozmówca i chciał w demonstracyjny sposób splunąć na ulicę. Chyba za mało się przyłożył, bo kiedy lepka ślina wyskoczyła z jego ust, wykonała dziwnie zamaszysty ruch. Spieniony flek cofnął się w locie i klapnął mu prosto pośrodku filcowej kurtki.

- Ale łajza! Stefek, widziałeś to?! - Trufel trzepnął mnie w plecy. - Widziałeś to?!

- Miałem wrażenie, że ze śmiechu zaraz zsiąka się w gacie. - Niemowlęta srają w pieluchy, a ten śmierdziel pluje na samego siebie.

Doskonale wiedziałem, że mój sukces wzbudził w Pesteczce uczucie specyficznej zazdrości. Na pewno przeżyliście w swoim życiu taką sytuacją, że udało wam się zrealizować coś wielkiego, coś imponującego i na dodatek dopisało wam cholerne szczęście. Było tak, prawda? Fajne uczucie, kiedy człowiek ma świadomość, że jest zwycięzcą. Domniemywam też, że kiedy pochwaliliście się swoim osiągnięciem, to niektórzy wasi znajomi, a może nawet ktoś z bliskiej rodziny, zachowywał się delikatnie mówiąc w taki sposób, jakby wasza radość przyniosła mu krzywdę. Mało tego, od razu nabraliście pewności, że ta osoba za waszymi plecami, jest w stanie powiedzieć:

- No patrz, głupi to zawsze ma szczęście. Człowiek się stara przez całe życie, a takiemu gwiazdka spada z nieba. Niech to szlag!

Z reguły tacy ludzie w głębi duszy czekają później tylko na to, żeby szczęściarzowi powinęła się noga. Wtedy dopiero doznają uczucia ulgi, nabierają przekonania, że sprawiedliwości stało się zadość i są nawet w stanie okazać pocieszenie, a przez gardło swobodnie przechodzą im słowa:

- Szkoda, że ci nie wyszło, ale nic się nie martw, będzie dobrze.

Tej niedzieli, kiedy szliśmy we trójkę na mszę, doskonale wiedziałem, że Pesteczka był zniesmaczony moim fartem. Widziałem to w jego oczach. Natomiast Trufel był ulepiony z innej gliny. Z natury życzliwy i przyjacielski, szczerze potrafił się cieszyć cudzym szczęściem, umiał pogratulować i trzymał kciuki, żeby wszystko dobrze się ułożyło. Wiele lat później, mroźną zimą 1920 roku, miało miejsce pewne zdarzenie. Byliśmy już dorośli, a wszystkie sobotnie wieczory spędzaliśmy "Pod Żłotym Kopytem". Tego dnia świętowaliśmy 21 urodziny Pesteczki. Trufel miał do nas dołączyć nieco później, a Wiktor nie został zaproszony.

Pesteczka zamówił butelkę gorzały i plastry wędzonego boczku na zagrychę. Siedzieliśmy sami przy stole w rogu sali i wznosiliśmy kolejne toasty. W pewnym momencie Pesteczka mówi tak:

- Wiesz co Ropuch, muszę ci się do czegoś przyznać...

- Brzmi poważnie - wpadłem w zdanie.

- Pamiętasz jak miałeś dwanaście lat i załapałeś robotę w stolarni Skoczyńskiego?

- Spojrzał mi w oczy. - Kurwa, stareńki, nawet nie masz pojęcia jak bardzo ci zazdrościłem. Tak bardzo, że byłem normalnie na ciebie wściekły. Przez tydzień nie mogłem spać i ciągle myślałem o tym, że tobie trafiło się złote jajo, a ja dalej mam gówno. Długo nie potrafiłem się z tym pogodzić. Możesz mi wierzyć na słowo, że byłem wtedy w stanie oddać wszystko, żeby wskoczyć na twoje miejsce.

- Gdyby tak się stało, to ty byłbyś dzisiaj stolarzem, a ja - wzruszyłem ramionami - czort wie kim! - Zaśmiałem się. - Pod te twoje dwudzieste pierwsze brachu! - Uniosłem w górę kieliszek i wychyliłiśmy do dna.

- Człowiek to jednak durna bestia - stwierdził. - A wiesz co pomyślałem, kiedy wybuchła wojna?

- Pomyślałeś? Naprawdę? To ty potrafisz myśleć? - Udawałem zaskoczenie.

- Goń się frajerze! - Posłał mi szczery uśmiech. - Czasami zdarza mi się to robić.

- Dobra człowieku do rzeczy, bo wódka stygnie. Co sobie pomyślałeś?

- Więc wtedy, kiedy wybuchła wojna i wszystko się zesrało, a każdy został z niczym, stwierdziłem, że w końcu nastąpiła sprawiedliwość.

- I...? - Zapytałem bo nie bardzo rozumiałem o co mu chodzi.

- I tyle - odparł.

Przez moment spoglądałem mu prosto w oczy i nadal nie pojmowałem sensu jego przemyśleń.

- No i co wytrzeszczasz te swoje baranie ślepie? - Syknął mi w twarz. - Nie łapiesz o czym mówię?

- Nie bardzo.

- O matko jedyna patronko tępych stolarzy i innych jełopów. Chodzi mi o to, że wszyscy z dnia na dzień zostali wtedy bezrobotni. Ja natomiast poczułem w duszy ogromną ulgę, bo miałem już prawie piętnaście lat, a ciągle nie znalazłem sensownego zajęcia - wyjaśnił, wyrzucając z siebie słowa z niebywałą prędkością. - Teraz rozumiesz?

- Wiesz, co ci powiem - odparłem i zrobiłem pauzę, jakbym chciał tą majestatyczną chwilą milczenia sprawić wrażenie, że za moment z moich ust padną bardzo mądre słowa.

Spojrzałem mu prosto w oczy i rzekłem poważnym tonem: - No to się napijmy!

Tego dnia, kiedy minął mój okres próbny, na koniec szychty szef wezwał mnie do swojego biura i powiedział:

- Dobrze się spisałeś. Na razie będziesz zarabiał pięćdziesiąt kopiejek dziennie, a twoje obowiązki jeszcze przez jakiś czas będą polegały na sprzątaniu i bieganiu do miasta. Wypłata jest w każdą sobotę. Przyjmujesz moją propozycję?

Kiedy zadał mi to pytanie, poczułem się prawie jak dorosły mężczyzna, który ma zdecydować o swoim dalszym losie. W głowie natychmiast policzyłem ile wyciągnę na tydzień. Trzy ruble dla chłopca w moim wieku, to była zawrotna suma. Na sprzedaży gazet można było zarobić trójeczkę, ale to zajmowało dwa tygodnie i na dodatek, trzeba było wstawać skoro świt.

- Tak proszę pana. Obiecuję, że będzie pan ze mnie zadowolony.

- No taką mam nadzieję, bo w tej firmie nie ma miejsca dla leni i obiboków. - Obrócił się na krześle i sięgnął do szafki z prawej strony. Wyjął opróżnioną do połowy butelkę wiśnióweczki i szklankę. Napełnił trunkiem szkło i pociągnął mały łyceczek. - Bardzo dobra, wręcz pyszna - oblizał wargi i pogłaskał kciukiem wąsy. - Żebyś nie miał żadnej krzywdy ani powodu, żeby chodzić po mieście i opowiadać, że Franek Skoczyński to sknera - mówił patrząc mi prosto w oczy, a jednocześnie wyciągnął z kieszeni skórzany woreczek z pieniędzmi. - Masz tutaj w nagrodę, za okres próbny. - Na blacie biurka położył jednego rubla. - No, bierz i zmykaj.

- Dziękuję szefie! - Złapałem za srebrną monetę i ściskając ją mocno w dłoni pognałem do domu.

- Zapłacił ci?! - Mama nie mogła uwierzyć. - I będziesz zarabiał trzy ruble tygodniowo?! - W jej głosie było słychać szczerą radość.

Tego wieczoru chyba ze sto razy musiałem jej opowiadać historię, jak Skoczyński rozmówił się ze mną w swoim biurze. Na początku miałem wrażenie, że za bardzo się ekscytuje tym faktem, ale po miesiącu pojąłem w czym rzecz. Moja mama nigdy nie była materialistką, jednak dodatkowe dwanaście rubli miesięcznie bardzo podreperowało nasz i tak skromny budżet. Oddawałem jej wszystkie pieniądze, ale ona w każdą niedzielę dawała mi dwadzieścia kopiejek, żebym mógł sobie kupić jakieś łakocie. W Rynku była cukiernia i kiedy po mszy wracałem do domu, nogi same mnie wiodły do tego przybytku słodkości. Oczywiście Trufel i Pesteczka zawsze mi towarzyszyli i zawsze załapali się na jakąś kostkę czekolady, lizaka albo cukierka. Nie potrafiłem czegoś kupić, zjeść sam i nie poczęstować moich kumpli. Aczkolwiek pamiętam, że czasami w głębi duszy marzyłem o tym, żeby choć raz nie było ich ze mną.

Kiedy wszyscy z obsady stolarni dowiedzieli się, że zostałem stałym pracownikiem, zaczęli mnie traktować nieco inaczej. Wszyscy oprócz Zdzisława. Ten

chłop czepiał się mnie o byle pierdoły, a stanowisko gdzie pracował, było najczęściej zamiatanym przeze mnie miejscem. Wiecznie coś mu nie pasowało i ciągle mi zwracał uwagę, a kilka razy zrobił to specjalnie w obecności szefa. Dzień w dzień miał jakiś problem. Cóż miałem czynić? Poskarżyć się? I co miałem powiedzieć? Że każe mi zamiatać? Przez tego faceta powoli zaczynałem wariować i coraz częściej łapałem się na tym, że w mojej głowie kiełkuje identyczny plan, jaki chciał kiedyś zrealizować Pesteczka w stosunku do mleczarza. Kto wie, co mogłoby się wydarzyć w przyszłości, gdyby nie Wawrzyk.

W jednym z ostatnich dni listopada Zdzisław jak zwykle zaczął się męczyć o kilka wiórów na podłodze i warczał na mnie, jak na kundla. Na szczęście szef nie słyszał tego marudzenia, bo siedział w biurze i razem ze swoimi synami ustalali plan działań na kolejne dni. Nagle najlepszy pracownik Skoczyńskiego podszedł do Zdzisława i pamiętam jak dziś, rzucił wiązankę od której spuchły mi uszy:

- Weź ty kurwa w końcu, jebana twoja mać, zostaw w spokoju tego chłopaka. Skoro masz robotę drętwy kutasie, to rób swoje! Przestań się chuju czepiać dzieciaka, bo ja doskonale widzę, co się dzieje, a ty tylko zrzedzisz bez powodu gorzej niż moja stara. I ostrzegam cię, bo jak dalej będziesz się go czepiał, to ja w obecności Franka codziennie będę ci wytykał, że spierdoliłeś robotę. A może chcesz mi powiedzieć, że jesteś tak dobry jak ja i nie popełniasz już błędów? - Wawrzyk wlepił w niego swój surowy wzrok. - Chcesz się sprawdzić przy swoim pracodawcy, który jest moim dobrym kamratem? Zaryzykujesz?

Na twarzy Zdzisława malowały się wściekłość i nienawiść. Nic nie powiedział, tylko zacisnął z całych sił zęby i nerwowo wciągał nozdrzami powietrze.

Od tamtej pory przestałem dla niego istnieć.

To było pierwszy raz w moim życiu, kiedy obcy mężczyzna ujął się za mną. Wziął mnie w obronę i niczym kochający rodzic, nie pozwolił zrobić krzywdy. Zawsze mi brakowało mojego taty, ale nigdy się do tego nie przyznałem. Niektórym chłopakom zazdrościłem, że mają fajnych ojców, a innym po prostu współczułem.

Pamiętam jak któregoś letniego poranka, zanim dostałem robotę u Skoczyńskiego, siedziałem na schodach przed magazynem i jak zwykle czekałem na moich kumpli. Trufel zawsze się spóźniał, ale wtedy o dziwo pojawił się przed czasem. Szedł wolno. Dłonie trzymał w kieszeniach spodni, a głowę miał opuszczoną w dół, jakby spoglądał na czubki swoich butów. Kiedy podszedł bliżej, zobaczyłem, że jego prawa część twarzy przypomina jeden, wielki siniak.

- O kurde, człowieku masz miazgę zamiast policzka! - Patrząc na niego czułem się tak, jakby za chwilę miało mnie coś rozboleć. - Co się stało? Ojciec cię tak urządził?

- Eee - Trufel machnął ręką i usiadł obok mnie. - Nie ma co gadać - spojrzał na wprost i splunął przed siebie. - Stary wrócił wczoraj z roboty pijany i zaczął się awanturować - westchnął ciężko. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego czasami jest taki podły? - Słyszałem jak głos mojego przyjaciela zaczyna się łamać. - Przecież jesteśmy jego rodziną, a on nas traktuje jak wrogów, jakby nas szczerze nienawidził. Powiedz mi, czemu tak jest? - Zadał mi pytanie, ale chyba nie oczekiwał odpowiedzi. Po chwili przetarł dłońmi zapłakane oczy i rzekł: - Przysięgam na Boga, że za kilka lat, jak już podrosnę, to

nie pozwolę się tknąć nawet palcem.

Ojciec Trufla był prawdziwym nerwusem, a jeszcze jak się napił i przesadził z wódką, to stawał się cholernie agresywny i lał w domu wszystkich, bez wyjątku. Najpierw obrywała matka, a potem dzieciaki. Trufel miał jeszcze dwie starsze siostry. To były dobre dziewczuchy, chociaż nie grzeszyły urodą. Sam kiedyś słyszałem jak jego ojciec będąc na gazie, powiedział:

- Trudno was będzie wydać za mąż, bo kto będzie chciał dupczyć takie maszmary?

Cóż mogę wam powiedzieć? Przecież sami dobrze wiecie, że świat jest pełen kontrastów. Nikt nie wie dlaczego tak jest, że jeden rodzi się w normalnej, kochającej rodzinie, drugiemu przychodzi dorastać w biedzie, trzeciemu w bogactwie, czwartemu w chorobie... Kto o tym decyduje? Ślepy los? Przeznaczenie zapisane w gwiazdach? Bóg wystawia niektórych na próbę? A może Karma żongluje naszymi duszami i na kogo wypadnie na tego być?

Przez pierwsze pół roku moje zajęcia w stolarni nie były skomplikowane. Najczęściej słyszałem polecenia: przynieś, odnieś, podnieś, zamieć, wynieś, skocz po szelak, biegnij po gwoździe, zabierz odpady, sprzątnij ścinki. Przeróżne czynności porządkowe wchodziły w zakres moich obowiązków, a każdy dzień pracy rozpoczynałem i kończyłem z miotłą w dłoniach. Jedyną odmianą, którą traktowałem poniekąd jako rozrywkę, było bieganie do miasta. Średnio, co drugi dzień przed południem, zasuwałem pędem na Złotą do sklepu Bachmanna i nim kościelne dzwony wybiły na Anioł Pański, meldowałem się przed Skoczyńskim z butelką wiśniówki za pazuchą. Po jakimś czasie zacząłem zastanawiać się, jak smakuje ten płyn? Co w nim jest takiego dobrego, że mój szef bezustannie sączył kolejne szklaneczki z nieukrywany zachwytem? Pracowałem z dorosłymi mężczyznami i chcąc nie chcąc, zacząłem przesiąkać ich światem. Wszyscy przeklinali, aczkolwiek niekwestionowanym mistrzem w kalaniu języka był Wawrzyk. Czasami używał bardzo dobitnych stwierdzeń, które w kilku słowach wyjaśniały całą istotę sprawy. Jego ulubionym powiedzeniem było:

- Kurwa, lepiej już tego spierdolić nie mogłeś!

Musicie mieć na uwadze, że byłem jeszcze naiwnym dzieciakiem, kiedy zderzyłem się z brutalnym, męskim światem. Psychicznie i emocjonalnie na pewno nie byłem gotowy, żeby się w nim znaleźć. Czy ktoś z was, ale jako rodzic, wyobraża sobie, żeby jego dwunasto lub trzynastoletni syn, znalazł się na moim miejscu? Wątpię. Nie miałem obok siebie nikogo, kto mógłby nade mną roztoczyć opiekę i uchronić przed zbyt szybkim wkroczeniem w dorosłość. Nie było nikogo, kto mógłby mi powiedzieć, że na pewne sprawy przyjdzie w moim życiu właściwy czas. Z obserwacji świata, który mnie otaczał, sam wyciągałem wnioski i dzisiaj wiem, że większość z nich była błędna. Czułem się wtedy prawdziwym facetem, bo przecież miałem stałą posadę, pracowałem, zarabiałem pieniądze i łożyłem na rodzinę. Było dla mnie oczywiste, że w związku z tym, wolno mi korzystać ze wszystkich innych dobrodziejstw dorosłości.

W obecności Trufla i Pesteczki starałem się zachowywać nie jak chłopiec, lecz jak mężczyzna. Oni natomiast chyba chcieli mi dotrzymać kroku, bo idąc ślepo za moim

przykładem, również zaczęli przeklinać. Siarczyste bluzgi bardzo szybko zadomowiły się w naszym słownictwie. Wychodziło na to, że pierwsze nasiona zakazanych owoców, trafiły na dobry grunt. Potem sięgnęliśmy po papieroski i alkohol, a poza tym wydarzyło się kilka spraw, które zmieniły moje życie...

Nastało upalne lato 1913 roku. Lato, które zawsze będzie mi się kojarzyć z promieniami lipcowego słońca, porannym zapachem rzeńskiego powietrza i tęsknotą za utraconym, beztruskim dzieciństwem. Tamtego lata dorosłość brutalnie wkroczyła i pogrzebała mój chłopięcy świat, a życie zaczęło mnie hartować z dnia na dzień. Potem pojawił się Wiktor i do dziś nie potrafię sobie odpowiedzieć na pytanie, czy to był tylko przypadek? A może przeznaczenie? Może taki los był mi właśnie pisany? Tamtego lata wpadliśmy w sidła parszywego nałogu, bo zaczęliśmy ćmić papierochy. Tamtego lata moi kumple zaczęli na mnie wołać Ropuch, ale tę historię już znacie. Potem przysła jesień i w dniu moich trzynastych urodzin, uraczyliśmy się wiśniówką. Trufel wypił tyle samo co my, jemu nic nie było, a ja i Pesteczka zarzygaliśmy podłogę w sekretnym pokoju.

To był ten czas, kiedy człowieka dopada tak zwany cielący wiek i na własną rękę eksperymentuje z rzeczami, od których powinien się jeszcze trzymać z daleka.

Od ponad dziewięciu miesięcy pracowałem w stolarni i zdążyłem przywyknąć do wczesnego wstawania. Moje życie miało już swoją rutynę. Wstać, umyć się, ubrać, zjeść śniadanie, spakować kanapki, zarzucić torbę na ramię i ruszać do roboty. Odbębnić swoje, wrócić późnym popołudniem do domu, coś przekąsić, spotkać się z chłopakami i wałęsać się razem z nimi do wieczora. Sęk w tym, że pod koniec wiosny, kiedy dni zaczęły się robić coraz dłuższe i coraz cieplejsze, zaczęło mi brakować tego bezcelowego szwendania się w towarzystwie moich kumpli. Tęskniłem za tym. Jak mi Bóg miły, naprawdę za tym tęskniłem. Po jakimś czasie stało się dla mnie jasne, że dorośli wcale nie mają takiego fajnego życia.

Codziennie rano idąc do pracy, czułem jak na moich policzkach tańczą wesole promienie wschodzącego słońca i jednocześnie robiło mi się cholernie smutno. Nie byłem pewien, czy chcę jeszcze pracować. Zadawałem sobie pytanie, czy naprawdę muszę to robić? Fakt, każdego ranka widziałem na ulicach moich rówieśników, jak zasuwiają z gazetami. Widziałem też takich, którzy uwijali się na Rogatkach szukając jakiegokolwiek zajęcia u kupców jadących na targowisko. Miałem świadomość, że cała zgraja dzieciaków z biednych rodzin, tak samo jak ja, walczy o swój lepszy los. Tamtego lata zdałem sobie sprawę, że to nie jest w porządku. Wszystko było do bani. Świat nas nie kochał.

Pewnego lipcowego dnia w drodze do pracy, zatrzymałem się przy skrzyżowaniu ulic. Obróciłem twarz we wschodnim kierunku i mrużąc powieki, spojrzałem prosto w słońce. Złocista tarcza płonęła oślepiającym blaskiem, wznosząc się tuż nad krawędzią dachów. Na moment zamknąłem oczy i pomyślałem, że mam to gdzieś, że już mi się nie

chce, że dzisiaj nie pójdę do stolarni, tylko do parku. Usiądę na ławce pod kasztanem i będę się wałkonił przez cały boży dzień... Niewiele brakowało, żebym wcielił swój głupi plan w życie. Jednak gdzieś w duchu odezwała się odrobina mojego zdrowego rozsądku i skończyło się tylko na myśleniu. Oczywiście w pracy robiłem wszystko jak należy. Czułem się rozbity, z jednej strony odzywało się sumienie i poczucie obowiązku, a z drugiej krzyczało gorzkie rozgoryczenie. Sam nie wiem czego było we mnie więcej. A może wszystkiego po równo? I jeszcze ten niewidzialny pręgierz, który unosił się nade mną i przypominał mi, że w zeszłym roku obiecałem coś mojej mamie. Przecież nie mogłem złamać słowa. Jeśli z własnej winy straciłbym moją posadę, to chyba nie mógłbym spojrzeć jej w oczy. Czułem się z tym źle, a jedynymi ludźmi z którymi mogłem o tym pogadać, to było tych dwóch obiboków z którymi się kumpłowałem.

- Nie bądź głupi - powiedział Pesteczka z nieukrywaną pogardą. - Naprawdę chcesz tak jak my, błąkać się całymi dniami bez celu?

- Tak, tego właśnie chcę! - Syknąłem przez zaciśnięte zęby. - Jestem już tym zmęczony, rozumiesz? Mam dość. Mam dopiero niespełna trzynaście lat, a muszę pracować całymi dniami. Codziennie to samo, codzie...

- Jestem zmęczony, mam dość - wpadł mi w słowo i zaczął mnie przedrzeźniać robiąc głupie miny. - Codziennie to samo! Mam dopiero trzynaście lat! - Spojrzał na mnie i warknął: - Kurwa, człowieku nie chcesz pracować?! Na pewno nie chcesz?! To się zwolnij, albo rzuć w chuj tę robotę, a ja chętnie wskoczę na twoje miejsce.

Przez chwilę wpatrywałem się w niego zaskoczonym wzrokiem. Zerknąłem na Trufla mając nadzieję, że przyjdzie mi z odsieczą, ale on powiedział:

- Pesteczka ma rację. Nie spieprz tego. Taka praca, to marzenie dla takich jak my, kapujesz? Zamieniłbym się z tobą bez zastanawiania, nawet w tej chwili. Przysięgam - położył rękę na sercu - powiedz tylko słowo.

Naprawdę poczułem się urażony ich słowami, ale kiedy wieczorem leżałem już w łóżku i zastanawiałem się nad tym wszystkim, zacząłem pojmować sens ich słów. Zrozumiałem, że tak właśnie powinni zachować się prawdziwi przyjaciele.

Gdybym tamtego dnia dał się ponieść moim chłopięcym emocjom, gdybym wszystko zlekceważył i zamiast do pracy, poszedłbym do tego cholernego parku, to pewnie nigdy nie zostałbym stolarzem.

Na koniec dniówki szef wezwał mnie do swojego biura.

- Słuchaj Stefek - powiedział patrząc mi prosto w oczy. - Powiedz mi, czy interesuje cię stolarka? Myślisz, że chciałbyś się szkolić w tym fachu?

- No... - nie miałem pojęcia co mam powiedzieć, Skoczyński zadał mi bardzo trudne pytanie. Czego on ode mnie oczekiwał? Miałem dziś podjąć decyzję, co chcę robić przez resztę swojego życia? Wzruszyłem ramionami i odparłem - chyba tak.

- Co znaczy, chyba tak? - Zapytał z kpiną i zmarszczył groźnie czoło. - Albo tak albo nie - skwitował. - Bo widzisz, ja cię obserwuję, przyglądam się i wszystko widzę.

Sprytny jesteś, sumienny, starasz się, a ja to doceniam - uniósł do góry dłoń i pokiwał palcem. - Teraz oczekuję od ciebie męskiej decyzji - powiedział i wlepił we mnie swój surowy wzrok.

- Tak, chciałbym zostać stolarzem - powiedziałem, chociaż wcale nie byłem tego pewien. Powiedziałem to dlatego, bo on chciał to usłyszeć.

- W takim razie zostaniesz terminatorem. Wiesz, co to znaczy? - Nie musiałem odpowiadać, gdyż wyraz mojej twarzy mówił sam za siebie. - Terminator, to inaczej uczeń - zaczął wyjaśniać - który pobiera nauki u mistrza. Twoim mistrzem będzie Wawrzyk i pod jego okiem będziesz poznawał tajniki stolarki. Jeśli się przyłożysz, to za cztery lata zostaniesz czeladnikiem. I liczę z tym, że od chwili rozpoczęcia nauki przybędzie ci dodatkowych obowiązków. To, że zostaniesz u mnie terminatorem niczego jeszcze nie oznacza. Do końca roku masz mi udowodnić, że się nadajesz, a jak nie podołasz, to wylądujesz na bruku. Wszystko zależy od ciebie, rozumiesz?

- Tak szefie, rozumiem!

Skoczyński polał sobie wiśniówki. Pociągnął łyk, odstawił przy tym swój cały rytuał z oblizywaniem warg i głaskaniem wąsów, po czym zaczął mówić dalej:

- Teraz druga sprawa. Od przyszłego poniedziałku firma będzie zamknięta przez dwa tygodnie. Wszyscy macie urlop. Zaczynamy pracować od pierwszego sierpnia, a ty wtedy rozpoczniesz swoją naukę i będziesz zarabiał cztery ruble tygodniowo. Natomiast od stycznia przyszłego roku - zamilkł, spojrzał na mnie i odezwał się po chwili - a od stycznia to się zobaczy, bo nie wiem, jak sobie poradzisz. Wszystko jasne?

- Tak szefie, nie mam żadnych pytań. Dziękuję, że dał mi pan szansę - odparłem patrząc mu prosto w oczy. Czasami człowiek instynktownie wie, kiedy trzeba się podlizać, albo wydusić z siebie pochlebstwo.

- No to zmykaj - uśmiechnął się i machnął dłonią, dając mi do zrozumienia, że nasza rozmowa została zakończona.

Moja mama, Trufel i Pesteczka nie mogli się nadziwić, jakież to szczęście mnie spotkało, że zostałem terminatorem. Oni byli w stanie o tym gadać całymi godzinami, natomiast ja... ja miałem to gdzieś, ja cieszyłem się z dwutygodniowego urlopu! To było to, czego tak naprawdę pragnąłem! Laba! Wypoczynek! Żadnej pracy, żadnych obowiązków, żadnego wstawania skoro świt! No chociaż z tym wstawaniem to był dramat, bo jak na złość, codziennie budziłem się za kwadrans szósta. Przez kilka dni w domu słyszałem tylko, że Bóg mnie kocha. Powiem wam, że miałem już tego serdecznie dość, ale robiłem dobrą minę do złej gry. Poza tym opętało mnie wrażenie, że połowa mieszkańców "Złotych Dachów" trąbiła, że młody Żabikowski został wzięty na ucznia. Sąsiedzi spoglądali na mnie z podziwem i domniemywam, że matki moich kumpli z ulicy, całym sercem modliły się o to, żeby ich dzieciom też trafiło się takie szczęście. Chcąc nie chcąc, zostałem bohaterem. Oczywiście dziś, postrzegam tą całą sytuację zupełnie inaczej, ale możecie być pewni, że tamtego lata nie doceniałem tego, jaką niespodziankę zesłał mi los.

- No dobra człowieku, czym chcesz nas zaskoczyć? - Trufel ponownie zapytał o to samo.

- Ile razy mam ci powtarzać? - Odparłem. - Powiem dopiero wtedy, jak dojdziemy na miejsce.

- No dajże spokój - Pesteczka prawie jęknął - po jaką cholereę ciągniemy się na tą durną polanę?

- A masz coś lepszego do roboty? - Zapytałem. - To będzie coś, zobaczcie. Spodoba się wam, oj spodoba.

- Przecież to jeszcze kawał drogi - Trufel powoli dostawał zadyszki. - Nie możemy się walnąć gdzieś tutaj?

- Niby gdzie? - Odpowiedziałem pytaniem.

- A choćby tu - kiwnął głową w bok. - Na trawie.

- W tych chaszczach? Zwariowałeś? - Pesteczka miał chyba nieco więcej wyobraźni. - Puknij się w ten swój tłusty łeb.

- Ty, weź się odczep ode mnie, dobra?

- Dobra to jest dupa z bobra! - Palnąłem bez namysłu.

- Słyszałeś, co powiedział nasz pierdoła terminator? - Pesteczka złapał Trufla za ramię i obaj zanieśli się śmiechem.

- No co jest? - Zapytałem.

Chichrali się jak szaleni.

- Ej, no kurde, co jest? - Nie miałem pojęcia o co im chodzi.

Zatrzymali się pośrodku leśnej drogi i rzeli ze śmiechu, niczym dwa rozbawione osły.

- Dupa - jak tylko Pesteczka wypowiedział to słowo, znowu obaj dostali kolejnego ataku śmiechu.

- O co wam chodzi? - Nie mogłem zrozumieć.

Po kilku chwilach Trufel się opanował i rzekł:

- Ty drewniany ciulu, mówi się - zrobił krótką pauzę - dobra, to jest zupa z bobra, a nie dupa - kiedy powiedział ostatnie słowo, ponownie zaczęli kwiczeć jak opętani.

- Naprawdę was to śmieszy? - Nie mogłem uwierzyć.

- I to jeszcze jak - odparł rozbawiony Pesteczka.

- Tylko się nie zesrajcie - syknąłem wściekle i machnąłem ręką. Obróciłem się na pięcie i ruszyłem prężnym krokiem przed siebie.

Maszerowałem do celu, od którego dzieliło nas jakieś dwieście metrów.

- Hej, poczekaj na nas - usłyszałem za swoimi plecami głos Trufla.

- Poczekaj, nie bądź dupa - Pesteczka rzucił prześmiewczym tonem.

- Dawać ćwoki, dawać! - Krzyknąłem przez ramię. - Już jesteś blisko.

Latem zeszłego roku odkryliśmy to zaciszne miejsce. Jeden chłopak z naszej ulicy powiedział nam, że idąc od Czaszek do Kościelnej Wsi, po prawej stronie zobaczymy las. Jeżeli skręcimy w leśną drogę, to dojdziemy prosto nad Prosnę. Z tego co mówił, to miała

tam być fajna, piaszczysta plaża, ale w sumie ta plaża była najmniej istotna. Ponoć tuż nad wodą rosło duże drzewo, do grubej gałęzi była przywiązana solidna lina. Trzeba było się tylko mocno złapać, rozbijać i można było z niej rzucać się do wody. Oczywiście musieliśmy to sprawdzić.

Kiedy odnaleźliśmy to miejsce okazało się, że faktycznie jest plaża, drzewo i lina. Radochy mieliśmy co niemiara, tylko szkoda, że trzeba było tak daleko dreptać. Wracając z powrotem do domu zobaczyliśmy pośrodku lasu stado saren. Zwierzęta pasły się w najlepsze pośród leśnych chaszczki. Przez dłuższą chwilę obserwowaliśmy je w milczeniu, kiedy nagle Pesteczka szepnął:

- Chodźcie, zobaczymy jak blisko uda nam się podejść.

Powoli zaczęliśmy się skradać w ich kierunku. Nie uszliśmy więcej jak dwa metry, kiedy oczywiście nie kto inny jak Trufel, stanął na spróchniałą gałąź. Rozległ się charakterystyczny trzask. Wszystkie łanie spojrzały w naszą stronę i sekundę później pognały spłoszone w przeciwnym kierunku.

- A idźże ty słonino na dwóch nogach! - Pesteczka warknął na naszego kumpla. - Zawsze musisz wszystko spaprać! - I dzielił go pięścią w ramię.

- No co, przecież nie zrobiłem tego specjalnie - Trufel próbował się usprawiedliwić.

- Ty nigdy nic nie robisz specjalnie - stwierdziłem - tobie się tylko zawsze jakimś cudem przydarza.

Czasami byliśmy w stosunku do niego bezlitośni. Tak to już jest w grupie, ktoś musi zostać etatową ofiarą.

- Ale fajne były te sarenki, co nie chłopaki - Trufel bardziej twierdził niż pytał. - Ciekawe, czy to ich ulubione miejsce? Może pójdziemy je zobaczyć?

- Myślisz, że coś tam znajdziesz? - Zapytał z drwiną Pesteczka.

- Zobaczyć nie zaszkodzi, skoro już tutaj jesteśmy - powiedziałem, bo wcale nie uważałem, że to głupi pomysł.

To miejsce było dość osobliwe. Pośród leśnych krzewów była duża polana porośnięta trawą. Z boku leżał stary konar powalonej brzozy, a za nim ciągnęły się połacie jeżyn. Ich owoce były czarne jak noc. Dojrzałe, pulchne i soczyste. Wpadliśmy w te krzaki i dawaj zajadać się tym leśnym smakołykiem. Po chwili nasze dłonie i usta były umorusane ciemnym sokiem.

- Pycha, ale dobre - Pesteczka nie krył swojego podziwu.

- Widzisz, a nie mówiłem, że warto tu przyjść? - Trufel chyba chciał podkreślić, że to dzięki niemu znaleźliśmy się w tym jeżynowym rajku.

- Najlepiej z kanką - stwierdziłem. - Kurde chłopaki, tylko zobaczcie - spojrzałem przed siebie - przecież tego jest tutaj od groma.

Pół godziny później mieliśmy już dość.

Ja i Trufel zalegliśmy na trawie, a Pesteczka usiadł na pniu brzozy.

- Wiecie co, skoro odkryliśmy to miejsce, to może powinniśmy je jakoś nazwać? - Ni stąd ni zowąd odezwał się Trufel. - Pesteczka, co proponujesz?

- Jeżynowice Górne - rzucił natychmiast.

- Brzmi jak nazwa jakiejś wioski pełnej kretynów - skomentowałem jego pomysł.

- No to może Jeżynowice Dolne albo...

- Ty - wpadłem mu w słowo - może ty lepiej już nic nie proponuj.

Pewnie niektórzy z was myślą, czemu teraz wspominam takie pierdoły. Właściwie, to sam nie wiem dlaczego. Jakimś cudem zapadła mi w głowie ta durna nazwa, którą wymyślił Pesteczka. Jeżynowice. Ten szczegół utkwiał mi w pamięci, ale za skarby świata nie jestem sobie w stanie przypomnieć, dlaczego to miejsce zaczęliśmy później nazywać Jelenia Górka? Bij zabij! Nie wiem. Chodziliśmy tam później wiele razy, przeważnie z kankami, do których zbieraliśmy leśne owoce. Moja mam robiła z nich soki i dżemy. Fajnie było zjeść zimą pajdę chleba z masłem i dżemem z jeżyn.

To były urocze czasy.

Wracając jednak do mojej niespodzianki, a szczególnie do tego pamiętnego dnia, kiedy moi kumple śmiali się z dupy bobra.

To był pierwszy dzień mojego urlopu.

Pogoda jak marzenie. Ciepłko, słońce i błękitne niebo. Czegóż można chcieć więcej podczas beztrudnych wakacji?

Tak sobie wtedy wymyśliłem, że Jelenia Górka jest najbardziej ustronnym miejscem i właśnie tam mogliśmy spokojnie posmakować tego, co zakazane.

- Czy możesz nam teraz wyjaśnić, po kiego grzyba targaleś nas aż tutaj? - Powiedział Pesteczka siadając na pniu powalonej brzozy. - Jeżyny jeszcze nie dojrzały na tyle, żeby się nimi zjadać.

- No właśnie, po kiego? - Zawtórował mu Trufel.

Sięgnąłem dłonią do kieszeni spodni i wyjąłem tekturowe opakowanie. To była paczka papierosów o nazwie Noblesse. Najbardziej ekskluzywny towar na rynku tytoniowym. Zaoszczędziłem trochę grosza i fajki kupiłem tydzień wcześniej w sklepie Bachmanna, a ten stary kutwa nawet nie raczył zapytać dla kogo ten towar. Oczywiście byłem przygotowany na taką opcję gdyby zaczął drążyć temat. Miałem wtedy skłamać, że dla jednego z pracowników Skoczyńskiego. Prawdę powiedziawszy, to już od dłuższego czasu kusiło mnie, żeby posmakować jak to jest z tym paleniem. Kiedy w stolarni obserwowałem jak mój przyszły mistrz zaciąga się dymem i z jakim to robi namaszczeniem, to po prostu czułem, że też muszę tego spróbować.

- Skąd to masz? - Zapytał Trufel i nienaturalnie wytrzeszczył oczy.

- A jak myślisz, gamoniu? Ze sklepu - odpowiedziałem z dumą.

- Pokaż! - Pesteczka wyrwał mi z dłoni opakowanie i zaczął je dokładnie oglądać.

- Masz zapalki? - Zapytał i spojrzał mi w oczy.

- No jasne, że mam. Myślisz, że jestem idiotą? - Odparłem z drwiną.

- Panowie - żeby oddać powagę sytuacji, tym słowem zacząłem swoją mowę - pragnę wam oznajmić, że dziś macie okazję po raz pierwszy w życiu zapalić prawdziwego papierosa.

- Ja już paliłem - wtrącił Trufel.

- Co paliłeś? Tylko nie kłam - rzucił Pesteczka.

- Nie kłamię, przysięgam. Mój ojciec pali, ale on kupuje tytoń i sam sobie kręci. Pewnego razu jak był nieźle podпиты, wypalił tylko pół papierosa, zostawił go w popielniczce i poszedł spać. No to wtedy pomyślałem, że spróbuję...

- Mój ojciec też pali - wtrącił Pesteczka - kiedyś powiedział, że jak zobaczy mnie z papierosem w gębie zanim skończę osiemnaście lat, to mnie zabije.

- Daj mu dokończyć, albo ja cię zaraz zabiję - syknąłem w stronę Pesteczki. - A ty nic się nam nie chwaliłeś, że próbowałeś palić - spojrzałem na Trufla.

- No to co, że się nie chwaliłem? - Wzruszył ramionami. - Nie było czym. Wziąłem peta, schowałem do kieszeni zapałki i poszedłem do sekretnego pokoju. Wcale mi to nie smakowało. To jest ohydne. Jak pociągniesz dymu, to zaraz język cierpnie, a w ustach czujesz pełno śliny. Świństwo jakich mało.

- A zaciągnąłeś się chociaż? - Zapytałem.

- Ale co zaciągnąłem? - Odpowiedział pytaniem.

- Ty weź mu wytłumacz - wtrącił Pesteczka - bo ten pajac jak zwykle nic nie wie.

- Jak obrazisz mnie jeszcze raz - Trufel wyciągnął przed siebie dłoń i wskazał palcem na Pesteczkę - to będziesz cierpiał. Ostrzegam cię po raz ostatni.

- Już się boję - jego rozmówca podkulił ramiona do wysokości uszu i zrobił minę jakby mu brakowało piątej klepki - aż cały drzę ze strachu.

- Skoro twój stary pali, to powinieneś wiedzieć jak to się robi - spojrzałem na Trufla.

- Pociągasz dym i musisz go razem z powietrzem wciągnąć do płuc. Robisz to tak, jakbyś oddychał - starałem się wyjaśnić w pokazowy sposób.

- A to przypadkiem nam nie zaszkodzi? - Zapytał.

- A niby czemu? U nas na stolarni prawie wszyscy palą - stwierdziłem - i jeszcze nie widziałem, żeby komuś to zaszkodziło. Chcesz spróbować, czy nie? Bo wyglądasz tak, jakbyś miał zaraz narobić w gacie - i razem z Pesteczką zaczęliśmy chichrać ze śmiechu.

- No nie wiem - jęknął Trufel.

- Czego znowu nie wiesz tłusty kotlecie? Pękasz, prawda? - Pesteczka wiedział jak mu zagrać na nosie. - Powiedz, że pękasz niedorozwoju i nie będzie sprawy - uśmiechnął się i posłał mi oczko.

- Ja nigdy nie pękam ciołku. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze - naiwny Trufel najwyraźniej uniósł się swoją dumą.

- No to w takim razie palimy - powiedziałem.

Usiedliśmy po turecku na trawie. Nim otworzyłem tekturową paczkę, spojrzałem na złote litery wydrukowane na opakowaniu. Wyglądały bardzo okazale. Wewnątrz było dziesięć papierosów. Dziesięć ruloników wypełnionych tytoń i otulonych śnieżnobiałą bibułą.

Doskonale pamiętam ten moment, kiedy po raz pierwszy w życiu włożyłem fajkę w usta i zapaliłem. Zaciągnąłem się dymem i sekundę później zacząłem kaszleć. Czegóż innego mogłem się spodziewać? Mój organizm zareagował prawidłowo. Trufel i Pesteczka też zaczęli się krztusić i cherlać.

- Albo coś robimy nie tak jak trzeba - powiedział po chwili Trufel - albo tak jak mówiłem wam wcześniej, to naprawdę jest wstrętne!

- Może za mocno ciągniemy? - Głupio mi było się przyznać, że oczekiwałem czegoś zupełnie innego.

Pesteczka najdzielniej znosił swój pierwszy raz. Obserwowałem go uważnie. Pociągał delikatnie, zaciągał się głęboko i niczym wprawny palacz po chwili wypuszczał dym z ust. Na początku zakaszał kilka razy, ale potem mu przeszło. Poza tym paląc, wydawał mi się taki poważny i dorosły.

- Nieźle - stwierdził - fajnie się robi w głowie. Ciekawe co będzie, jak spróbuję stanąć na równe nogi - powiedział i podniósł się z miejsca. - O kurde, chłopaki! - W jego głosie usłyszeliśmy zachwyt. - We łbie się kręci jakbym przed chwilą zlaźł z jakiejś szalonej karuzeli! - Wyrzucił jednym tchem i zaczął się przesadnie chwiać i zataczać.

Po chwili ja i Trufel doświadczyliśmy tego samego.

To była prawdziwa frajda.

Z naszej trójki debiutancki papieros zaszkodził tylko Trufłowi. Pięć minut po tym jak po raz pierwszy w życiu skończyliśmy truć nikotyną własne płuca, nasz kumpel powiedział, że nie czuje się zbyt dobrze. Wsparł się o drzewo i puścił pawia.

- Żresz byle co i potem tak się dzieje - skwitował Pesteczka.

- Wcale nie, to przez tego parszywego papierosa - oponował Trufel i splunął z obrzydzeniem.

- Przez papierosa? Ciekawe? W takim razie bardzo proszę, wyjaśnij mi jak to jest, że nam się nic nie dzieje, tylko jak zwykle tobie coś dolega? - Spytałem, chociaż prawdę powiedziawszy gdzieś w trzewiach też byłem niewyraźny. Udawałem twardziela, przecież pracowałem i właśnie miałem urlop. Poza tym ciężko zarobione pieniądze wydałem na papierosy i miałem zamiar nauczyć się palić.

Takim właśnie sposobem, mając niespełna trzynaście lat, wpędziłem się w sidła nałogu. Nigdy, jak to się mówi, nie poszedłem po rozum do głowy i nigdy nie myślałem, żeby z własnej woli rzucić to świństwo. Oczywiście były w moim życiu takie dni, kiedy bolały mnie płuca, coś drapało w gardle, a czasami o poranku cherlałem jak gruźlik i odpluwałem brązową galaretę. Miewałem również takie okresy, że przez długie tygodnie nie pociągałem nawet sztacha, ale powodem było to, że po prostu nie miałem możliwości zdobycia fajek.

Każdy człowiek nosi w sobie jaką idiotyczną słabość.

Ja uległem paleniu.

Został mi już niecały tydzień urlopu, bo od przyszłego poniedziałku miałem wrócić do stolarni i zacząć prawdziwe szkolenie na stanowisku terminatora. Z jednej strony trochę było mi szkoda, że kończy się moja laba. Fajnie było się włóczyć razem z dwójką moich przyjaciół, ale z tego szwendania się po Kaliszu, tak naprawdę to nic mądrego nie wynikało. Po prostu trwoniliśmy wspólnie czas i moje skromne oszczędności. Większość pieniędzy wydałem na papierosy, które oczywiście paliliśmy razem.

- Latem jest super - stwierdził Trufel, kiedy siedzieliśmy na ławce w miejskim parku, schowani w cieniu rozłożystej wierzby. - Można skoczyć nad rzekę, gdzieś połaźić, w coś zagrać, powałęsać się po mieście. Zawsze jest coś do roboty, ale jak przyjdzie

jesień, to wszystko zaczyna być do dupy. Człowiek znowu musi jakoś przetrwać do następnego lata.

- No - Pesteczka w bardzo dosadny sposób potwierdził jego słowa.

Za naszymi plecami szumiała Proсна, a my spoglądaliśmy na duży staw, po którym pływały łódki. Nie każdy mógł w parku wypożyczyć łódkę. To była rozrywka przeznaczona tylko dla majątnych mieszczan. Panowie wiosłowali, a ich damy siedziały od strony dziobu i chowały swoje oblicza w cieniu koronkowych parasoli. Na salonach w modzie była blada cera, więc wszystkie panusie chroniły swoją skórę przed ostrymi promieniami lipcowego słońca.

- Gramy w śliniaka, kto przegra ten zostanie dzisiejszą pierdołą - powiedział Pesteczka.

- Pierdołą przeważnie zostaje Stefek, więc dzisiaj będzie tak samo - rzucił rozbawiony Trufel.

- A to się okaże - odparłem i zacząłem w ustach odciągać ślinę.

Zabawa w ślinika polegała na tym, żeby siedząc na ławce, rozchylić nieco nogi, oprzeć łokcie na kolanach, pochylić do przodu głowę, uwolnić z ust nagromadzoną ślinę i nie dopuścić do tego, żeby wylądowała na ziemi. Wygrywał ten, komu udało się jak najniżej opuścić ślinę i wciągnąć ją z powrotem do ust. W sumie to była taktyczna gra. Czasami zwyciężał ten, który wypuścił zawartość na pięć centymetrów i zrobił cofkę, bo przeciwnik postanowił zaryzykować i ślina lądowała między jego butami. Każdy miał tylko jedną próbę. Przeważnie ja przegrywałem. Jakiś czas temu ustaliliśmy, że do regulaminu naszych rozgrywek wkracza paragraf, który mówił o tym, że przegrany zostaje tak zwaną "dzisiejszą pierdołą". Ten kto poniósł klęskę, był tego dnia przez pozostałą dwójkę nazywany właśnie - pierdołą. Przegrany przez resztę dnia, aż do znudzenia był tytułowany w ten sposób, nawet w obecności innych ludzi. Ważne było również to, że nie mógł się z tego powodu obrażać, naburmuszać albo robić jakieś docinki. Takie były zasady. Przegraną trzeba było znieść z pokorą.

Dzisiaj jednak padło na Pesteczkę. Mógł zwyciężyć, ale chciał nam pokazać jaki jest dobry. Chciał nam udowodnić, że jest najlepszy i spaprał sprawę.

Najpierw pogratulowaliśmy naszemu kumpłowi dzisiejszego zwycięstwa, a zaraz potem Trufel powiedział:

- To co, może zapalimy? - Właściwie nie pytał, tylko złożył konkretną propozycję.

- Tutaj chcesz palić? - W głosie Pesteczki dało się słyszeć nutkę strachu.

- Nie bądź pierdoła! - Odparłem i razem z Truflem wybuchliśmy szczerym śmiechem. Po chwili dodałem rozbawionym głosem: - A kto nas tutaj dostrzeże? Proszę bardzo, no proszę - kiwnąłem głową w lewo. - Rusz swoją śmierzącą dupę, wyjdź na alejkę i sam zobacz, jak nas widać. Nawet jeśli ktoś nas przyfiluje, to co nam zrobi? A idźże idźże - machnąłem ręką.

Trufel chyba podłapał temat, bo klepnął Pesteczkę w ramię i rzekł:

- Nie myślałem, że z ciebie taka strachliwa pierdoła!

Obaj zanieśliśmy się rżącym, zaraźliwym śmiechem i przeszło nam dopiero po kilku chwilach. Kątem oka widziałem, że Pesteczka też miał ochotę parsknąć i chociaż twardo się powstrzymywał, to nie zdołał ukryć swojego uśmiechu.

Sięgnąłem po paczkę papierosów.

W tym miejscu naprawdę trudno nas było dojrzeć, bo wierzba pod którą siedzieliśmy miała gęste pędy, które sięgały prawie do ziemi. Poza tym, kto miałby nas się czepiać? Czystości i porządku w parku pilnowało czterech tak zwanych parkowych, którzy przez cały dzień, aż do nocy, krążyli po alejkach. Mieli bardzo szykowne stroje i z daleka przypominali żołnierzy w galowych mundurach. Raz tylko nas stąd przepędzili, ale to było bardzo dawno temu. Przyszliśmy wtedy nad staw z kieszeniami wypchanymi płaskimi kamieniami i urządziliśmy sobie zawody w puszczeniu kaczek.

Pierwszą paczkę Noblessów, którą kupiłem, spaliliśmy w ciągu dwóch dni. Trzech ludzi i dziesięć fajek. Skromniutko. Wychodziło po trzy fajki na łeb i jedna na spółę. Kiedy paliliśmy ostatniego szluga, Trufel stwierdził, że tak właśnie powinniśmy jarać. Oszczędnie. Jedna fajka na trzech. Puszcamy ją w kólecčko, każdy ma okazję sztachnąć się kilka razy i po zawodach. Ustaliliśmy więc, że tak właśnie będziemy kopcic.

- Dobrze smakuje - powiedział Pesteczka i podał mi szluga.

- Pewnie, że dobrze - odparłem - darowane zawsze dobrze smakuje, prawda? - Zadałem czysto retoryczne pytanie. - A swoją drogą, może pogłówkowalibyście, skąd wziąć fajki albo tytoń - powiedziałem i spojrzałem na moich kumpli. - Jak na razie, to mam was na swoim utrzymaniu.

- Nic się nie martw, coś się skołuje - odparł Trufel.

- Tak, na pewno coś się skołuje - dodał Pesteczka wyciągając przed siebie nogi.

- I jeszcze mi powiedzcie, że samo się skołuje - z politowaniem pokiwałem głową.

- Mój stary przeważnie kupuje papierosy, czasami tytoń, ale rzadko - powiedział Pesteczka. - Zaopatruje się zawsze na początku miesiąca, więc w przyszłym tygodniu powinienem coś zorganizować. Nic się nie martw, będzie dobrze.

W tym samym momencie do naszych uszu dotarł dźwięk dzwonu na wieży ratusza. Miejski zegar wybił dwunastą w południe.

- Dobra chłopaki, to co robimy z resztą dnia? - Zapytałem i spojrzałem po ich twarzach.

- Chodźmy do rynku, ale najpierw przejdźmy się koło oranżerii - powiedział Trufel - muszę wam coś pokazać.

Rozmawiając o bzdurach ruszyliśmy parkową aleją na wprost.

O tej godzinie serce kaliskiego parku tętniło życiem. Przed gmachem oranżerii stało mnóstwo wiklinowych stolików i foteli. Prawie wszystkie miejsca były zajęte, a kelnerzy krzątali się przyjmując kolejne zamówienia. Na skwerku po prawej występowało dwóch klaunów. Większość publiczności to były dzieci, które z rozbawieniem i z zachwytem, obserwowały ich śmieszne popisy i raz po raz gromkimi brawami nagradzały artystów.

- Co chciałeś nam pokazać? Tych błaznów? - Zadrwił Pesteczka i w tym samym momencie zatrzymał się w miejscu.

- Coś tak stanął jak kołek? - Spytałem.

- Pamiętacie tego gamonia? - Kiwnął głową w kierunku ławki, na której siedział odstawiony goguś, a obok niego dziewczynka w niebieskiej sukience.

Oboje zajadali duże lody.

Chłopiec mógł być naszym rówieśnikiem, miał na sobie krótkie spodenki w szkocką kratę, czarne podkolanówki, lakierki, białą koszulę i słomkowy kapelusz.

- Wygląda jakby się wyrwał z jakiegoś żurnala - skwitował Trufel.

- Ja go znam! Nie wiem skąd, ale go znam - Pesteczka zachodził w głowę.

- Coś ci się porąbało - powiedziałem. - Skąd możesz znać takiego elegancika? Może widziałeś chłopaka w kościele i zapamiętałeś te jego kretyńskie gacie.

- Nie nie nie - upierał się przy swoim. - Ja go znam!

- No to jak ma na imię? - Zapytał Trufel.

- Można kogoś znać i wcale nie trzeba wiedzieć, jak ma na imię, prawda? - Fuknął Pesteczka.

- To idź z nim pogadaj - zaproponowałem i nagle mnie olśniło. Przypomniała mi się ta durnowata zagrywka, jaką w przeszłości odstawił Pesteczka. - Wiem, co to za gość!

- Złapałem go za ramię. - Rozmazałeś mu kiedyś loda na gębie. Tutaj w tym parku.

- O tak, właśnie! - Trufel potwierdził moje słowa.

- Faktycznie chłopaki, wiedziałem, że skądś go znam. Mówiłem? Mówiłem, prawda? On się wtedy nawet przedstawił i chciał się z nami spotkać, żeby postawić nam lody - Pesteczka zaczął sobie przypominać najdrobniejsze szczegóły.

- To, może podejźmy i przypomnimy mu, że jest nam coś winien - zażartowałem.

- No to chodźmy! - Trufel potraktował moje słowa całkiem poważnie.

- Zwariowałeś! - Puknąłem się w czoło.

- Chodźmy, a czemu nie? - Pesteczka był pierwszy do udziału w takich akcjach.

- Dajcie spokój - chciałem ich odwieść od tego głupiego pomysłu.

- Chodź, nie pękaj. Chwilę z nim pogadamy - powiedział i wolnym krokiem ruszył w kierunku ławki na której siedział ten chłopak.

- Tylko nie rób cyrku, żebyśmy nie musieli dawać nogi przed parkowymi - powiedziałem błagalnym tonem.

- Cześć mistrzu! - Pesteczka rzucił w stronę elegancika i zapytał: - Poznajesz nas?

Chłopak zmarszczył brwi, na jego obliczu na moment zagościł wyraz zdziwienia i odparł:

- Jakoś nie mogę sobie przypomnieć... Kiedy mieliśmy przyjemność się poznać?

- Parę lat temu, tutaj, w tym parku, kilka alejek dalej. Też jadłeś wtedy loda - Pesteczka posłał mu swój szelmowski uśmiech.

- Wiktor, ty ich znasz? - Siedząca obok dziewczynka mogła mieć osiem, może dziewięć lat i naprawdę była zaskoczona zaistniałą sytuacją.

- Chyba miałem okazję już kiedyś ich spotkać - odważnie spojrział po naszych twarzach - ale spotkanie nie oznacza jeszcze znajomości.

A więc nas pamięta! - Przemknęło mi przez myśl.

- Ty, nie cwaniakuj i nie bądź taki ę ą - warknął Trufel.

- Zamknij się - syknąłem mu prosto do ucha i nerwowo zerknąłem w bok, czy

przypadkiem nie kręci się tutaj jakiś parkowy.

- Wybacz mojemu przyjacielowi - Pesteczka kiwnął głową w kierunku Trufla. - To prosty chłopak i brakuje mu ogłady towarzyskiej. Ale wróćmy do rzeczy - zrobił krótką pauzę - czyli przypominasz sobie nasze ostatnie spotkanie, tak?

- Tak, pamiętam.

- Chciałem ci powiedzieć, że jest mi głupio za tamten raz - powiedział Pesteczka, a ja i Trufel o mało nie padliśmy trupem słysząc jego słowa. Miałem ochotę krzyknąć - co ty wygadujesz?! - Przepraszam za tamten raz - ciągnął dalej. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz i że nie nosisz do mnie urazy. Naprawdę przepraszam.

Towarzyszka Wiktora patrzyła na Pesteczkę szeroko rozwartymi oczami.

- Przeprosiny przyjęte - odpowiedział chłopiec.

- Słuchaj - Pesteczka zrobił krok w jego stronę, pochylił się i coś mu powiedział, a my nie usłyszeliśmy ani słowa.

- Co ten pierdoła wyprawia?! - Trufel wściekle syknął w moim kierunku.

Nagle Wiktor podniósł się z miejsca i powiedział:

- W takim razie do zobaczenia - po czym obaj uścisnęli sobie dłonie.

- Chłopaki, idziemy! - Pesteczka rzucił w naszą stronę i ruszył przed siebie.

- Co to miało być? Coś mu powiedział? - Trufel zagadnął naszego kumpla, a ja co drugi krok zerkałem przez ramię. Tamtych dwoje ciągle siedziało na ławce i spoglądało w naszym kierunku.

- Spokojnie człowieku, nie gorączkuj się - powiedział Pesteczka. - Główka pracuje!

- Co ty mu nagadałeś? - Naprawdę byłem ciekaw.

- A zaproponowałem mu, żeby się z nami spotkał w sobotę.

- Z nami? Ale po co? Na co? Dlaczego? - Zaczęliśmy zasypywać go gradem pytań.

- Słuchajcie, coś wam powiem. - Pesteczka stanął w miejscu i spojrzał po naszych zaskoczonych twarzach. - Ten goguś jest całkiem miły. Co się stało w przeszłości, to się nie odstanie. To ja wysmarowałem mu gębę lodem. A może chciałem go przeprosić? Zresztą nie wasza sprawa. Wydaje się całkiem miły, więc chyba możemy się z nim bliżej zapoznać, prawda? Może zaprosi nas na lody? Przecież widzieliście sami, wygląda na takiego, który pochodzi z majątnej rodziny. Powiedziałem mu, żeby przyszedł w poniedziałek przed południem na wierzbową ławkę obok stawu. Jak nie będziecie mieli ochoty, nie musicie iść - wzruszył ramionami. - Proste, prawda? Spójrzcie szerzej na taką znajomość. W przyszłości może okazać się bardzo przydatna - powiedział i unosząc do góry prawą dłoń pokiwał wskazującym palcem, jakby był jakimś mądrałą.

- Ja na pewno nie przyjdę, bo od poniedziałku stolarnia zaczyna pracę - stwierdziłem.

- Przydatna?! Co ty bredzisz?! - Warknął Trufel, który zdawał się w ogóle nie słyszeć tego, co powiedziałem. - Do czego może ci się przydać goguś, który nosi gacie w kratkę?

- A może jego stary to jakiś przedsiębiorca, który mógłby nas zatrudnić? Co, nie przyszło ci to do głowy, prawda? Myśl Trufel, myśl!

Dobrze znałem Pesteczkę, on zawsze uwielbiał knuć i wszędzie próbował zwęszyć interes. Zdziwiło mnie natomiast to, że tym razem mierzył bardzo wysoko.

- Ty pierdoło, posłuchaj samego siebie - Trufel zrobił taką minę, jakby miał zaraz walnąć kupę. - Liczysz na to, że jakiś gostek poznany w parku załatwi ci pracę? Puknij się w tą pustą pałę. Przecież to taki sam szczył jak my. Żeby w naszym wieku zdobyć pracę, trzeba mieć sporo szczęścia, tak jak Stefek - spojrzął na mnie.

- Szczęścia? - Pesteczka powiedział z teatralnym niedowierzaniem. - A niby jakie on miał szczęście, skoro matka mu załatwiła robotę? Zastanów się co mówisz. Jeżeli ktoś tak jak ty, siedzi na tyłku i nic nie robi, to raczej nie powinien liczyć na żadne szczęście.

- Tak? - Zaatakował Trufel - A ty wcale nie jesteś lepszy ode mnie, wiesz o tym?

- Ale ja nie jęczę jak stara baba. Taka jest właśnie między nami różnica. Kapujesz? Jak chcesz coś zmienić, to powinieneś ruszyć ten swój tłusty zad i coś z tym zrobić, nie sądzisz?

- A żebyś wiedział, że mam taki zamiar - skwitował Trufel.

- No i tego pomysłu się trzymaj - stwierdziłem i natychmiast zadałem mu pytanie.

- A jaki masz plan?

- Gówno tam ma, a nie plan! - Zadrwił Pesteczka. - Raz w miesiącu nasz pokrzywdzony przez los księciunio z krainy słoniny dochodzi do takiego wniosku, potem truje mi dupsko przez dwa dni, aż w końcu wszystko wraca do normy. Coś o tym wiem, bo przerabiamy tę śpiewkę raz po raz.

- Bo to wszystko przez ciebie - powiedział oburzony Trufel. - Moja matka mówi, że nic nie robię, bo zadaję się z tobą, czyli z największym obibokiem na Złotych Dachach.

- Ale masz tytuł! - Klepnąłem Pesteczkę w kark i parsknąłem śmiechem.

- Bardzo się cieszę, że twoja stara mnie docenia. Pozdrów ją ode mnie podczas niedzielnego obiadu - szydził w najlepsze. - Powiedz jej, że tak właśnie ma być, bo kto z kim przystaje, takim się staje.

- Gadaj sobie co tam chcesz, ale ja od przyszłego tygodnia będę pracował - rzekł Trufel i spojrzął na Pesteczkę z wyrazem triumfu w oczach.

Muszę przyznać, że to była zaskakująca wiadomość.

- Ty będziesz pracował? Dobrze sobie - zakpił jego rozmówca. - A niby gdzie?

- A tu, w tym parku - odparł.

- I na czym będzie polegała twoja praca? Będziesz siedział na ławce, spacerował czy leżał do góry brzuchem na trawniku? - Rozbawiony Pesteczka trącił mnie w ramię.

- Chcesz wiedzieć?

- No, zaskocz mnie tłusciutki salcesonie.

- Dobrze. Pokażę ci co będę robił. Chodźcie za mną - kiwnął głową i ruszył w stronę szerokiej alei wiodącej od oranżerii do głównego wejścia.

Szliśmy deptakiem na wprost, a moi kumple raz po raz obrzucali się epitetami. W pewnym momencie Trufel zatrzymał się i powiedział:

- Widzicie tego czyścibuta? - Dłonią wskazał na chłopca, który siedział obok dużej bramy wejściowej do parku. - Postójmy tu chwilę, a sami zobaczycie ile ma klientów. Tym się mam zamiar zająć. Tutaj. Tak, dobrze słyszycie - spojrzął po naszych zdziwionych twarzach. - Właśnie tym i właśnie tutaj. W tym parku.

- Chyba sobie kurwa żartujesz! - Pesteczka cedził każde słowo z nieukrywaną pogardą. - Nie wierzę, że tak nisko upadłeś, to po pierwsze, a po drugie, jeśli myślisz, że

chłopaki ze śródmieścia pozwolą ci na to, to jesteś w cholernym błędzie. To jest ich teren, oni tutaj rządzą. Skończy się tak, że dostaniesz po ryju, zabiorą ci pastę, szczotkę i szmaty, a ty wrócisz do domu z podbitymi oczami i połamanym stołkiem.

- Pesteczka dobrze mówi, to może się tak skończyć - powiedziałem, ale mimo wszystko byłem pełen podziwu dla mojego kumpla.

- O kim mówisz konkretnie? - Trufel uśmiechnął się cwaniacko. - Mogę się z nimi zmierzyć, choćby teraz. Jestem gotów zaryzykować.

- Nie wierzę, normalnie nie wierzę w to co słyszę - Pesteczka był bezlitosny. - Naprawdę chcesz zostać pucybutem?! Poważnie?! Sam wpadłeś na ten kretyński pomysł?!

- A co w tym złego?

- No błagam cię, lepiej przestań o tym mówić, bo jeszcze chwila i będę się wstydził, że cię znam.

- Nie przesadzaj - ująłem się za Truflem. Chyba chciałem mu się odwdziżyć za to, że zawsze mnie wspierał. - Robota jak robota, lepsze to, niż dźwiganie ciężarów na targowisku. Nie przejmuj się jego głupim gadaniem, jeśli uważasz, że to dobry pomysł, to po prostu zacznij go realizować - klepnałem go w ramię, jakbym tym gestem chciał mu dodać otuchy.

- No właśnie, taka robota jest pewniejsza niż liczenie na to, że goguś w kraciastych gaciach załatwi mi jakieś zajęcie u swojego dzianego ojca - powiedział Trufel, a ja w duchu przyznałem mu rację.

Faktem jest, że zajęcie pucybuta uważaliśmy za czynność poniżej ludzkiej godności. Jednak z drugiej strony, żaden z nas nie miał najmniejszego pojęcia, że publiczne pastowanie cudzych butów, to była prawdziwa żyła złota. Dosłownie. W tej branży forsa płynęła niczym rwący, górski potok. Można było zarobić kilka rubli dziennie. Rozumiecie, to?! Kilka rubli! Ja musiałem zasuwać przez sześć dni w tygodniu, po dziesięć godzin dziennie, żeby zarobić trzy ruble tygodniowo. Łebki siedzące na ulicy w dobrym miejscu, zarabiali taką forszę w jedno słoneczne popołudnie. To może się wam wydać nieprawdopodobne, ale ten rynek był kontrolowany przez miejskich cwaniaków. Chodził taki wzdłuż ulicy, garnitur, biała koszula, kaszkiet na głowie, sygnet na palcu, błyszczące lakierki i miał oko na wszystko. Krążył wte i wewte niczym pies, który pilnuje dostępu do dobytku. Na kopach przeganiał tych pucybutów, którzy nie pracowali dla niego. Działka takiego opiekuna za ochronę wynosiła połowę dziennego utargu! Czy teraz sobie wyobrażacie ile tam było gotówki, skoro byle chłystek przez jedną szychtę zarabiał moje tygodniowe uposażenie? Nie bez powodu się mówi, że forsa leży na ulicy. Jednak wtedy naprawdę nie mieliśmy o tym pojęcia.

Trufel myślał, że może sobie ot tak, po prostu przyjść i usiąść w dowolnym miejscu, wyjąć pastę, szczotkę, szmatę i zacząć działać. Sądził, że w razie problemów przyjdzie mu się zmierzyć z jakimś konkurującym dzieciakiem, a nie z dorosłym facetem. Niestety był w błędzie, a słowa Pesteczki okazały się złowieszczym proroctwem. Tego dnia, kiedy podjął próbę zarabiania pieniędzy, stracił wszystkie swoje akcesoria, oberwał w dziób i

usłyszał, że jak jeszcze raz się tutaj pojawi, to wyląduje albo w szpitalu albo na cmentarzu.

Z naszej trójki, Pesteczka był pierwszym, który skumplował się z Wiktorem. W ten pamiętny sierpniowy poniedziałek, kiedy mieliśmy się z nim spotkać przy wierzbowej ławce, ja musiałem iść do pracy, Trufel podjął próbę poważnego zarabiania pieniędzy, ale wy już wiecie jak to się dla niego skończyło...

Nie myślałem o znajomości z kolesiem w kraciastych gaciach i prawdę powiedziawszy, chyba nawet o tym zapomniałem. Miałem ważniejsze sprawy na głowie. Zostałem terminatorem i musiałem się przyłożyć do roboty. Skończył się mój wakacyjny urlop i wpadłem w szpony brutalnej rzeczywistości. Zamiast zbijać baki, pod czujnym okiem mistrza Wawrzyńca uczyłem się mieszać politurę, heblować deski i poznawałem podstawowe tajniki sztuki stolarskiej. Oczywiście przy okazji chłonałem nowe przekleństwa i przysłuchiwałem się rozmowom dorosłych mężczyzn, którzy gadali tylko o babach, pijaństwie i polityce.

Skoczyński od pierwszego dnia mojej nauki, przykręcił mi śrubkę. Wszystko się zmieniło. Stare czasy, kiedy całymi dniami zasuwałem tylko na miotle, odeszły w zapomnienie, aczkolwiek nadal na moich barkach spoczywały obowiązki sprzątającego.

Z każdym kolejnym dniem zacząłem doświadczać prawdziwego znaczenia słowa - praca.

- Ruszasz się Stefanek, ruszasz! - Niekiedy szef uderzał energicznie w dłonie i wydzierał się na mnie wściekle. - Musisz wiedzieć po co masz rowek w dupie!

Pewnego razu zapytałem mojego mistrza:

- Panie Wawrzyk, o co chodzi z tym rowkiem w dupie?

Ten spojrzał na mnie z rozbawieniem i zapytał:

- Jeszcze nie wiesz czemu tam jest?

Wzruszyłem ramionami.

- Żeby pot z pleców, mógł ci spływać prosto na jajka - powiedział i parsknął śmiechem.

Bardzo, kurwa śmieszne! - Odpowiedziałem mu w myślach. - *Bardzo!*

- Coś ci zdradzę młodzieńcze - Wawrzyk powiedział do mnie głaszcząc dłonią blat dębowej komody, którą właśnie skończył robić - mamy tutaj kurewsko okazały mebel. Dobrze wykonany. Nic w nim nie zostało zrobione na odpiardol, bo ja tą kurwa komodę robiłem. Podoba ci się to wykonanie? - Zapytał i spojrzał na mnie podejrzliwym wzrokiem, jakby mnie egzaminował. - Znajdź mi tutaj jakąś fuszerkę - rozkazał.

Przez kilka dobrych chwil oglądałem mebel z każdej strony.

- Kurwa nie gap się tylko na nią, ale jeszcze ją wszędzie podotykaj, pogłaskaj dłonią kanty, drzwiczki, szuflady, blat. Tak jakbyś macał babę, rozumiesz? Twoje łapy muszą ją całą wygłaskać. Musisz pootwierać co się da, sprawdzić czy nic się nie pierdoli, jak pracują zawiasy, czy nigdzie nic nie wadzi, nie przeszkadza, czy wszystko się domyka.

W jego ustach, każde przekleństwo dźwięczało jak słodka melodia.

Robiłem co kazał i nie wyczułem, żeby gdzieś była jakaś niedoskonałość.

- Wszystko jest w porządku.

- Oczywiście kurwa, że jest w porządku, bo przecież moja robota - zaśmiał się.

Wyjął z kieszeni mieszek z tytoniem i wąskie prostokątne pudełeczko z cienkimi listkami, białych jak śnieg bibulek. Przyglądałem się jak sprawnie w kilka sekund skręcił sobie papierosa. Miał wprawę skubany! Skruszył odrobinę tytoniu, położył, przytrzymał, zwinął w rulonik, czubkiem języka poślinił kant bibułki i gotowe.

Włożył papierocha do ust, zapalił i powiedział:

- Zrobić mebel to żadna sztuka, najważniejsza w naszym fachu jest politura, rozumiesz? Dobrze zrobiona i odpowiednio położona politura. Cała tajemnica tkwi w tym magicznym płynie. - Obrócił się na pięcie, podszedł do regału w rogu pomieszczenia i sięgnął dłonią po jeden ze słoików. Wewnątrz naczynia znajdował się przezroczysty płyn. - To jest to o czym mówię - energicznie poruszał dłonią w której trzymał szklany słoik z pokrywką zamkniętą na metalowe klamry.

Kiedy ja uczyłem się kłaść politurę, oczywiście na kawałku wyheblowanej deski, a nie na gotowym meblu, to w tym samym czasie, moi kumple zacieśniali więzi koleżeństwa z Wiktorem. Musicie mieć na uwadze, że w tamtych czasach, różnice klasowe były bardzo widoczne, a ludzie nie byli tak tolerancyjni jak dziś. Panicze z dobrze sytuowanych rodzin nie zadawali się z robotniczym pomiotem. I cała ironia tkwiła też w tym, że obie kasty społeczne potępiały takie znajomości. Zarówno my i oni, byliśmy skazani na życie w enklawach z których wywodziły się nasze korzenie. Tak był wtedy skonstruowany świat, to było czymś zupełnie naturalnym.

Ponoć Trufel na początku był wrogo nastawiony do nowo poznanego kolesia, a Pesteczka...? No właśnie, zbyt długo już znałem Pesteczkę, może nie kochałem go jak rodzonego brata, ale był mi bliski. Lubiłem go, odpowiadało mi jego poczucie humoru i durne żarty. Jak tylko się postarał, to potrafił być taki, że po prostu do rany przyłożył, ale z drugiej strony, naprawdę bardzo rzadko można było liczyć na jego bezinteresowność. Kilka lat temu doszło do takiej sytuacji, że miał mi pomóc wrzucić węgiel do piwnicy. Pogoda wtedy była kiepska, bo od samego rana zaciniała drobna, jesienna mżawka. Furmanka z opałem przyjechała przed południem. Woźnica i jego pomagier potrzebowali zaledwie kwadransa, żeby zwalić cały ładunek pod ścianą naszej kamienicy i pojechali w siną dal. Węgiel trzeba było uprzątnąć jeszcze dziś, bo jeśli miałby tak sobie leżeć do jutra, to w nocy jakimś cudem urosłyby mu nogi. Tak się właśnie działo na Złotych Dachach. Wywieś pranie, zapomnij zdjęć, a rankiem zobaczysz tylko gołe sznurki. Zostaw cokolwiek na podwórzu, strać to na chwilę z oczu, a zniknie na zawsze. Wszyscy mieszkańcy dobrze znali panującą tutaj od zawsze zasadę. Pilnuj tego, co twoje. A co do tego węgla, to Pesteczka dzień wcześniej zaklinał się na wszystkie świętości, że przyjdzie w południe i pomoże. Minęła dwunasta, ja szuflowałem, a Pesteczki ani śladu. Minęła jedna godzina, druga, połowę węgla już wrzuciłem, a pomocy żadnej. Skończyłem szuflować kilka minut przed czwartą i miałem wrażenie, że od tej łopaty moje ręce naciągnęły się aż do kolan.

Gamoń nie przyszedł.

Następnego dnia usłyszałem:

- No miałem się pojawić, ale przecież padało...

- To po co mi obiecywałeś, że przyjdiesz? - Powiedziałem z wyrzutem. - Mogłem poprosić Trufla, on na pewno dotrzymałby słowa. Padało, padało, srało a nie padało, ledwo kropiło - naprawdę byłem wkurzony. - Deszcz lał wiosną, jak pomogłeś Marcinkowi od Dobnerów przez cały dzień sprzątać szopę i jakoś wtedy ci nie przeszkadzało, że pada, prawda? Dostałeś dwie szklane kulki za robotę i byłeś w stanie moknąć cały dzień. Dzięki Pesteczka, naprawdę dzięki - warknąłem z największą ironią na jaką było mnie stać. - I żebyś wiedział, zapamiętam to sobie - moje słowa zabrzmiały jak przysięga.

Taki właśnie był Pesteczka. Człowiek, któremu obce było pojęcie słowa - bezinteresowność.

Nie wiem jaki cel przyświecał Pesteczce, że chciał nawiązać znajomość z Wiktorem. Na pewno nie chodziło o to, że dzięki niemu mógł znaleźć pracę, bo w taką bzdurę, to wcale nie uwierzyłem. Może faktycznie mój kumpel nieco zmądrzał i naprawdę chciał go przeprosić za to, że kiedyś rozsmarował mu loda na twarzy? A może po prostu potrzebował jakiejś odmiany? Czegoś innego, nowego? Może traktował to jako atrakcję albo wyzwanie? A może, jak to miał w zwyczaju mawiać Trufel, liczył na drapanie? Drapanie w naszym pojęciu oznaczało tyle samo, co czerpanie korzyści za nic. No i właśnie w ten sposób potoczyły się sprawy.

Bardzo szybko okazało się, że moim kumplom spasowała ta znajomość jak ulał. Wystarczyło raptem kilka dni i zaczęli wspólnie wałęsać się po Kaliszu. Wiktor zawsze miał przy sobie jakąś forszę i zaczął im stawiać lody, lemoniadę i łakocie. Był dla nich hojny i dzięki temu, zdobył ich życzliwość. Długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego chciał się bratać z takimi jak my? Po co mu takie znajomości? Wyjaśnił mi to dopiero kilka lat później, ale jeszcze nie pora, żebym o tym opowiadał.

- Wiktor jest w porządku - powiedział Pesteczka, kiedy w niedzielny poranek wracaliśmy z kościoła do domu. - Sam się przekonasz, jak go bliżej poznasz.

- Może poznam, może nie poznam - skwitowałem, bo jak na razie, to nie miałem okazji widywać się z nimi w środku tygodnia. - Wiesz co robiłem przez ostatni tydzień? - Zapytałem, ale nie czekałem na odpowiedź, tylko zacząłem mówić. - Wyobraź sobie, że każdego dnia po powrocie z warsztatu, zjadałem czym prędzej obiad i gnałem na dwór. Pałętałem się samotnie po znajomych ulicach, zaułkach i podwórkach, i wszędzie was szukałem. Dwa razy nawet popędziłem do parku. Nigdzie was nie było. Nigdzie! Wczorajszy wieczór spędziłem siedząc na schodach przed zamkniętym magazynem. Miałem nadzieję, że może tam się pojawicie. Dobrze, że miałem fajki, przynajmniej mogłem sobie zapalić.

- Wczoraj byliśmy nad rzeką - powiedział Pesteczka w taki sposób, jakby chciał się

przede mną wytłumaczyć. - A dzisiaj po południu spotykamy się w parku pod wierzbą. Może pójdziesz z nami? - Zapytał.

- Pewnie, że pójdzie! - Trufel położył mi rękę na ramieniu. - Przecież nie ma nic lepszego do roboty, prawda Ropuszku?

Oczywiście, że nie miałem nic do roboty, ale byłem zniesmaczony tą całą sytuacją. Czuję się wtedy przez nich zdradzony, opuszczony. Byłem na nich wściekły. Olali mnie dla jakiegoś pajaca w kraciastych gaciach. Miałem wrażenie, że sprzedali naszą przyjaźń za tabliczkę czekolady.

- No chłopie, nie ma się co obrażać - powiedział Pesteczka, jakby jakimś cudem wyczytał z mojej twarzy wszystko to, co mi kęsało duszę. - Wiesz jak to jest, kiedy się wypuszczamy w miasto. Nikt nie wie gdzie nas nogi poniosą. Nie siedzimy na Złoty Dachach bo tutaj nuda i nędza. A poza tym Wiktor...

- Dobra, przestań już o nim gadać! - Warknąłem wściekle.

- Ale o co ci chodzi?

- O nic mi nie chodzi! - Prawie krzyknąłem. - Przez całą drogę do kościoła tylko klepałem dziobem Wiktor kurwa to, Wiktor kurwa tamto i sramto - jednocześnie zrobiłem głupią minę i wypowiadałem swoje słowa w taki sposób, jakbym kpił w najlepsze.

Chłopaki spojrzeli na mnie jak na wariata.

- Ropuch, brachu najdroższy! - Trufel walnął mnie otwartą dłonią między łopatki.

- Czy ty jesteś zazdrosny? - Zapytał z uśmiechem.

- Chyba jesteś nienormalny! Zazdrosny?! Weź się zastanów co ty kurwa wygadujesz?!

- Za to na pewno jesteś bardzo wulgarny - stwierdził Pesteczka i po chwili dodał, chyba tylko po to, żeby mnie wkurzyć jeszcze bardziej - raczej nie spodobasz się Wiktorowi.

Kiedy to powiedział, obaj z Truflem parsknęli śmiechem, a potem zaczęli sobie znowu na mnie używać.

- Nie bądź markotny - Pesteczka wszedł pomiędzy mnie i Trufla, objął nas ramionami i powiedział: - Chłopaki, zawsze będziemy najlepszymi przyjaciółmi i nikt tego nie zmieni. Mam rację? - Poczuję jak zacisnął palce na moim barku, dając mi tym gestem znać, żebym zatrzymał się w miejscu. - No jak jest, powiedzcie, mam rację?

- Jasne, że masz! - Odparł Trufel.

- Ropuch? A ty jak myślisz?

- Myślę, że...

- Trufel, słyszałeś?! On powiedział, że myśli! - Wpadł mi w słowo i znowu obaj zaczęli rzeć.

- Jesteście porąbani - stwierdziłem z uśmiechem na ustach.

- Chodźmy na schody, zasłużyliśmy na papieroska - zaproponował Pesteczka.

- A masz coś? - Spytałem.

- A jasne, że mam - mrugnął do mnie porozumiewawczo okiem. - Parę dni temu rąbnąłem staremu kilka fajek. Mam nadzieję, że się nie kapnie, bo jeśli tak, to już po mnie.

Na pewno większość z was nosi w swoim sercu, przynajmniej jedno uroczne wspomnienie z lat młodości. Wspomnienie z bardzo odległych czasów, kiedy świat wydawał się wspaniałym miejscem, a życie cudowną przygodą. Pamiętacie swój taki dzień? Ciepły, kolorowy, pachnący. Potraficie przypomnieć sobie radość, swobodę i bez troskę, które was wtedy wypełniały? Zawsze kiedy myślę o tamtej niedzieli, jak usiedliśmy na kamiennych stopniach nagrzanym słońcem, to czuję to wszystko w każdym zakamarku mojego ciała. Wyraźnie i intensywnie. Zamykam wtedy powieki, a przed oczami wyobraźni jawi się tamten świat, który bezpowrotnie przeminął. Wiatr baraszkuje pośród zielonych liści drzew, a ich szelest ma w sobie coś magicznego. W nozdrza łaskocze zapach letniego powietrza. Z oddali dobiega do naszych uszu dźwięk kościelnych dzwonów. Bim bam... Bim bam... Podnoszę wzrok i spoglądam w nieskazitelnie błękitne niebo. Ponad dachami dostrzegam stado gołębi, które zatacza w przestworzach krąg i po chwili zaczyna szybować w kierunku cegielni. Trufel siedzi obok mnie i dłubie w nosie. Pesteczka rozkłada się nieco niżej, zdejmuje sandały i wyciąga przed siebie nogi.

- Piękny dzisiaj dzień - mówi jakby od niechcienia i zamykając oczy, obraca twarz w kierunku słońca.

Po kilku minutach w naszych ustach panoszy się kwaśny smak tureckich papierosów, które ćmił ojciec Pesteczki.

Gadamy o duperelach i jak zwykle nabijamy się z siebie nawzajem.

Jesteśmy młodzi i niepoważni. Możemy kłąć i śmiać się w głos. Możemy wszystko. Jesteśmy wolni.

Wolni w każdym tego słowa znaczeniu.

Szkoda, że nie można cofnąć czasu.

Jedno jest pewne, nikt nie odbierze mi tych wspomnień.

Było kilka minut po piętnastej, kiedy ja, Trufel i Pesteczka maszerowaliśmy ulicami w kierunku miejskiego parku. Chyba byłem ciekaw, jaki jest ten cały Wiktor, którym się tak zachwycali moi kumple. Natomiast z drugiej strony czułem, że jestem naładowany negatywną energią. Nie znałem tego gogusia, ale już za nim nie przepadałem. Nie zamieniłem z nim jeszcze ani słowa, a już mnie drażnił. Przyznam się wam szczerze, że Trufel miał rację.

Tak, miał cholerną rację.

Byłem na swój sposób zazdrosny.

- Coś nie widać waszego nowego przyjaciela - powiedziałem z drwiną - siedzimy tu już dobry kwadrans, a jego jak nie ma, tak nie ma.

- Przyjdzie - odparł Trufel - spokojna czacha.

- On pali? - Zapytałem i sięgnąłem po paczkę Noblessów, którą miałem w kieszeni.

- Nie - odpowiedział Pesteczka - chyba ma pietra.

- No to powinniście go nauczyć, może wtedy będzie wam jeszcze kupował fajki - stwierdziłem i splunąłem przed siebie.

- Gramy w śliniaka? - Zapytał zniechęcony Trufel.

- I tak jesteś chodzącą pierdołą, więc nie ma sensu grać - powiedział z rozbawieniem Pesteczka.

- Ty gadzie przebrzydły! - Trufel rzucił się na niego, objął go ramionami i zaczął ścisnąć z całych sił. - Odwołaj to albo cię zmiażdżę śmierdząca dupo! Odwołaj! Odwołaj albo wycisnę z ciebie całe gówno!

Po pięciu sekundach twarz Pesteczki miała kolor dojrzałego buraka. Wierzgał i próbował się wyrwać z uścisku, ale Trufel był zbyt silny.

- Odwołuję - powiedział z wysiłkiem, chociaż raczej zasyczał, jakby uchodziło z niego powietrze.

Spojrzałem na nich i rzekłem z politowaniem:

- Wy jesteście jacyś nienormalni.

Po chwili siedzieliśmy obok siebie, puszczając w kółeczko jednego Noblessa.

Pięć minut później zobaczyłem Wiktora. Szedł spokojnym krokiem od strony oranżerii. Miał na sobie szare spodnie wyprasowane w kancik, czarne lakierki, białą koszulę z łamanym kołnierzykiem, zapiętą na ostatni guzik i czarną muszkę.

Podszedł do nas, uśmiechnął się i powiedział:

- Witajcie - a zaraz potem wyciągnął w moim kierunku prawą dłoń - jestem Wiktor, Wiktor Kozłowski - przedstawił się.

- Jestem Stefan, Stefan Żabikowski - starałem się sparodiować jego zachowanie.

- Zwany przez nas Ropuchem - dodał Pesteczka.

Zmierzyłem go wzrokiem w taki sposób, jakbym spoglądał na swojego przeciwnika, z którym mam stoczyć walkę o ostateczne zwycięstwo.

Ja, Trufel i Pesteczka byliśmy ubrani w odświętne ciuchy, jak to w niedzielę, ale w porównaniu z szykowną garderobą Wiktora, nasze wdzianka wyglądały jak wyświechtane łachy.

- To co, pokażecie mi dzisiaj dzielnicę w której mieszkacie? - Zapytał ten elegancik i spojrzał na Pesteczkę.

- Chcesz iść na Złote Dachy?! - Wypaliłem zaskoczonym głosem, bo nie mogłem uwierzyć w to co słyszę.

- Tak - odpowiedział łagodnym tonem i posłał mi promienny uśmiech.

- Po co? Co chcesz tam zobaczyć? Obskurne kamienice i cuchnące podwórka? - Zapytałem z niesmakiem.

- Jestem po prostu ciekaw - odparł - nigdy tam nie byłem. Poza tym chciałbym wiedzieć, gdzie mieszkają moi nowi znajomi - zerknął po naszych twarzach, zatrzymał swój wzrok na obliczu Trufla i dodał: - I oczywiście bardzo jestem zainteresowany jak wygląda wnętrze sekretnego pokoju.

Kiedy usłyszałem te słowa, to myślałem, że mnie rozwali na strzępy. Spojrzałem na Trufla takim wzrokiem, jakbym miał za chwilę rzucić się na niego i przegryźć mu krtań. W moim mniemaniu to była zdrada. Podła, parszywa zdrada. Przecież sekretny pokój to było tylko nasze miejsce. Nasze i nikogo więcej. Tylko my mieliśmy prawo tam przebywać, a teraz okazało się, że oni zapraszają tam tego wymoczkę. Po co?!

- Słyszałem, że pracujesz - Wiktor zwrócił się do mnie.

- Dobrze słyszałeś - odparłem z nieukrywaną nonszalancją, jakbym chciał mu

uświadomić, że chociaż jesteśmy rówieśnikami, to z nas dwóch, ja jestem bardziej dorosły.

- Jesteś zadowolony z tego co robisz? - Zapytał i spojrzał mi w oczy.

W odpowiedzi wzruszyłem tylko ramionami.

- Podziwiam cię - powiedział, a ja w tej samej chwili poczułem się miło zaskoczony. Jednym stwierdzeniem połechtął moją próżność. - Jesteś moim pierwszym kolegą, który już pracuje - dodał ze szczerym uznaniem.

Kolegą? Czy on nazwał mnie kolegą? - W myślach zapytałem samego siebie.

- A ty pewnie chodzisz do szkoły, tak? - Uważałem to za pewnik.

- Tak - potwierdził moje przypuszczenia. - Po wakacjach będę miał przed sobą ostatni rok gimnazjum niższego, a potem zaczynam wyższe. Jestem na kierunku klasycznym - ciągnął dalej, aczkolwiek nie miałem pojęcia o co chodzi.

- A klasyczny, to znaczy jaki? - Zainteresował się Trufel i uprzedził moje pytanie.

- Na kierunku klasycznym mamy dodatkowe zajęcia z greki i łaciny - wyjaśnił Wiktor - ale ja niespecjalnie przepadam za szkołą. Tam jest nudno - stwierdził i zrobił taką minę, jakby udawał, że wymiotuje.

Zaczęliśmy się śmiać jak durni. Tym gestem podbił nasze serca, a ja w pewnym momencie miałem ochotę mu powiedzieć, że całkiem fajny z niego koleś. Wcześniej myślałem, że będzie strugał waśniaka, jednak on okazał się równiactą.

- Nie za gorąco ci z tą muchą pod szyją? - Odezwał się nagle Pesteczka.

- Trochę tak, ale etykieta wymaga, żeby... - nie zdążył dokończyć, bo parsknęliśmy śmiechem.

- Jaka etykieta panie doktoru - walnął Trufel - jesteś wśród swoich, to możesz sobie odpuścić salonowe zwyczaje.

Wiktor uśmiechnął się, zdjął muszkę, schował ją do kieszeni i odpiął guzik pod szyją.

- Od razu lepiej - stwierdził.

- Pokaż tę muszkę - Pesteczka wyciągnął przed siebie dłoń. - No pokaz, nie bój się przecież ci jej nie zabiorę.

Chwilę później zaczęliśmy ją po kolei przymierzać, ale za nic w świecie nie pasowała do naszych koszul na stójce, aż w końcu Trufel podwinął górną wargę i położył muchę pod nosem.

- Wyglądasz jak ułomna pierdoła pod wąsem - rzucił Pesteczka i wszyscy zaczęliśmy zrywać boki.

Tego dnia nie ruszyliśmy tyłków z miejsca. Całe popołudnie przesiedzieliśmy na ławce pod rozłożystą wierzbą. Nauczyliśmy Wiktora grać w śliniaka i trzy razy z rzędu został pierdołą. Staraliśmy się jemu wyjaśnić, co dokładnie znaczą niektóre przekleństwa i kiedy ich należy używać. Oczywiście z tego tytułu mieliśmy niezły ubaw, widząc na jego twarzy wyraz kompletnego zakłopotania. On był dla nas niczym przybysz z odległego świata, który nie miał zielonego pojęcia o miejscu w którym się teraz znajdował. Gwoździem programu zostało jednak wspólne palenie ekskluzywnego Noblessa.

- Spróbujesz? - Zapytałem Wiktora.

Ten najpierw niepewnie rozejrzał się dookoła, jakby się obawiał, że ktoś może nas obserwować.

- Spokojna czacha - odezwał się Trufel widząc jego obawy. - Tutaj nikt nas nie zobaczy.

No i zaczęliśmy jemu demonstrować, jak należy się zaciągać.

Spróbował. Na początku kaszlał tak samo jak my kiedyś.

- A wiecie, że Indianie żyjący w Ameryce Północnej mieli podobny zwyczaj? - Wiktor spojrzał po naszych twarzach, ale chyba w mig pojął, że ten temat jest nam w ogóle nieznany i dlatego ciągnął dalej: - Oni palili tak zwaną fajkę pokoju. Siadali wokół ogniska i pykając fajkę, podawali ją sobie z rąk do rąk.

- A czemu tak robili? - Zainteresował się Pesteczka.

- Taki mieli zwyczaj - odparł najbardziej wykształcony wśród nas - podczas wspólnego palenia dyskutowali, rozwiązywali spory, podejmowali różnego rodzaju decyzje. Jeżeli plemiona miały z sobą jakiś konflikt, to ich wodzowie spotykali się, żeby wybrnąć z impasu. Wtedy właśnie palili tak zwaną fajkę pokoju i po takim spotkaniu przeważnie zakopywali wojenny topór...

- Co robili? - Trufel wpadł mu w słowo.

- W cywilizowanym świecie, taką sytuację nazywa się rozejmem - wyjaśnił, a każdy z nas pokiwał głową, dając tym samym znać, że rozumie w czym rzecz.

- Uczycie się w szkole o Indianach - Zapytałem.

- Może nie tyle co uczymy, ale poznajemy wiele ciekawych informacji, które dotyczą innych kultur niż nasza.

- To może jesteśmy potomkami jakichś Indian - stwierdził Pesteczka i podał mi tłącego się peta. - Trufel w poprzednim wcieleniu należał do plemienia Thustych Kiełbas - powiedział, a my na dźwięk jego słów zaczęliśmy zrywać boki.

Potem przyszła kolej na wymyślanie indiańskich imion. Propozycje były różne, ale wszystkie orbitowały w głównianej kategorii. Tym prostym sposobem mieliśmy na przykład takich wodzów i wojowników jak Pesteczka Śmierząca Dupa, Wiktor Obsrane Gacie, Pierdzący Ropuch czy też Srający Truflami. Oczywiście przy okazji śmiechu było co niemiara, a ja w stosunku do mojego nowego znajomego, poczułem sympatię. Jak to mówią, liczy się pierwsze wrażenie, a Wiktor okazał się naprawdę fajnym gościem. Nie dał nam odczuć, że jest kimś lepszym, ważniejszym, bogatszym i że więcej nas dzieli niż łączy.

Pesteczka, Trufel i Wiktor do końca wakacji widywali się prawie każdego dnia, natomiast ja, dołączałem do nich tylko w niedziele. W międzyczasie chłopaki wciągnęli go na dobre w palenie papierosów i oczywiście żerowali na jego hojności. Został jednym z nas i dostąpił zaszczytu, który pozwalał mu na przebywanie w sekretnym pokoju.

Któregoś popołudnia Trufel i Pesteczka podreptali pod budynek, gdzie mieściło się kaliskie gimnazjum, bo jak sami twierdzili, Wiktor od kilku dni nie pojawiał się w umówionym miejscu. Nie sądzę, żeby martwili się z tego powodu. Bardziej byłbym skłonny uwierzyć w to, że skończyły im się fajki i darmowe łakocie. Tylko dlatego tam

poleźli.

Kiedy lekcje dobiegły końca, moi kumple wypatrzyli Wiktora w grupie młodzieży. Podszedł do nich i strzelając nerwowo oczami, powiedział:

- Nie mogę się z wami spotykać. Ktoś doniósł mojemu ojcu, że znalazłem sobie niewłaściwych przyjaciół. Mam teraz areszt domowy - przyznał się - po szkole muszę wracać prosto do domu i samemu nigdzie nie wolno mi wychodzić. Muszę pędzić, trzymajcie się chłopaki - powiedział, po czym obrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Przez ponad miesiąc udało się Wiktorowi utrzymać w tajemnicy naszą znajomość. Jednak kiedy stary Kozłowski, jakimś cudem dowiedział się, że jego pierworodny zadaje się z plebsem ze Złotych Dachów, wpadł w złość i zażądał od syna, żeby natychmiast zakończył te haniebne znajomości.

Wiecie jak to jest, kiedy prosty lud zaczyna się buntować przeciwko tyranii. My byliśmy uciemienzeni, a ojciec Wiktora, Józef Kozłowski, bezwzględny dyktatorem i despotą, który więził naszego przyjaciela. Postanowiliśmy zagrać staremu na nosie. Zaraz po mszy, w pierwszą niedzielę października, wybraliśmy się do willowej dzielnicy. Jakże inny był świat po drugiej stronie miasta! Piękne domy, ogrody, powozy i dorożki, damulki w fantazyjnych sukniach, panowie w szykownych garniturach. Nawet powietrze pachniało tutaj inaczej.

Posesja rodziny Kozłowskich była jedną z najbardziej okazałych. Dom był tak ogromny, jak nasze trzy kamienice razem wzięte i była nawet fontanna.

- Kurde, ci sobie żyją - westchnął Pesteczka.

Zatrzymaliśmy się przy wysokim, kutym ogrodzeniu, które otaczało ich dużą posiadłość. Brama wjazdowa, była z drugiej strony. Sterczeliśmy tam zaledwie kilka minut, kiedy nagle w drzwiach wiodących na taras pojawił się pan tego domu. Przez chwilę przyglądał się nam z daleka. W pewnym momencie ruszył w naszym kierunku prężnym krokiem.

- Czego tu chcecie?! - Rzucił do nas władczy tonem.

- Czy zastaliśmy Wiktora? - Zapytał Pesteczka, który był z naszej trójki najbardziej zadziorny.

- Wiktor nie ma dla was czasu! Nie życzę sobie, żebyście tu przychodzili! Wynocha! I żebym was tu więcej nie widział! - Był naprawdę rozgniewany. - No już, poszli mi stąd!

- A cóż pan taki nerwowy? - Powiedział Pesteczka i posłał mu swój cwaniacki uśmieszek.

- Ty gówniarzu! Nie pozwalaj sobie! Wracaj na śmietnik z którego wypęzłeś!

Miałem wrażenie, że na piętrze w ostatnim oknie po prawej, ktoś poruszył firanę.

- Poszli, bo zawołałam policję i zaraz zrobią z wami porządek! - Warknął i zaczął zerkać na prawo i lewo.

- Chodźcie chłopaki, idziemy - powiedziałem, bo zaczęło się robić nieciekawie.

- Do widzenia panu - Pesteczka rzucił na odchodne.

Szybkim krokiem przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Obejrzałem się przez ramię. Stary Kozłowski wciąż stał przed ogrodzeniem i patrzył w naszą stronę.

- Nerwus z niego - stwierdził Trufel.

Dziś myślę, że w tamtych czasach Wiktor nie miał lekkiego życia. Był jak ten przysłowiowy ptaszek w złotej klatce. Ze względu na swoje pochodzenie i status społeczny rodziny w której przyszło mu żyć, musiał się czuć odizolowany od prawdziwego świata. Jego ojciec na pewno miał jakieś oczekiwania. Całkiem możliwe, że były zbyt wygórowane, ale przecież większość rodziców zawsze ma duże plany wobec swoich dzieci. Myślę, że to zupełnie naturalne. Gdybym miał własne dzieci, też przejmowałbym się ich przyszłością.

W każdym bądź razie, począwszy od tamtego dnia, kiedy mieliśmy kontakt ze starym Kozłowskim, Wiktor zniknął z naszego życia na długie miesiące.

Moje trzynaste urodziny wypadły w piątek. Kilka dni wcześniej kupiłem w sklepie Bachmanna ćwiartkę wiśniówki. Żyd pewnie sądził, że jak zwykle zaopatrywałem w ten wyskokowy napój mojego szefa, ale ja miałem inny plan. Flaszki schowałem w piwnicy, gdzie trzymaliśmy węgiel na zimę.

- Chłopaki, jest sprawa - powiedziałem, patrząc na Trufła i Pesteczkę - musimy się spotkać w sobotę jak już będę po robocie. Mówię poważnie. Umawiamy się w sekretnym pokoju, zgoda?

- Ale o co chodzi? - Zapytał Trufel.

- Teraz nie mogę wam powiedzieć. Spotykamy się w sobotę, pasuje?

Przytaknęli, że będą.

Na Złoty Dachach nie było takiego zwyczaju, żeby dzieciom odprawiać urodziny. Tego typu uroczystości obchodzono tutaj tylko w rodzinnym gronie. Moja mama upiekła z tej okazji blachę drożdżowego ciasta, a w prezencie dostałem od niej bardzo ładną koszulę. Wiecie, taką którą zakłada się tylko od święta.

Wbrew utartym zwyczajom, ja jednak postanowiłem robić imprezę dla moich kumpli. W stolarni nie raz nasłuchiwałem się jak jeden z drugim pobalował, bo miał urodziny. Doszedłem więc do wniosku, że tak robią prawdziwi faceci.

To będzie pamiętny wieczór - szepnąłem do siebie w myślach, kiedy ubierałem w przedpokoju buty.

- Stefek, a ty dokąd się wybierasz? - Zapytała mama.

- A idę się spotkać z Truflem i Pesteczką - odparłem i włożyłem do kieszeni klucz od kłódki.

- Dlaczego tak brzydko nazywasz Michała? I co to w ogóle znaczy Trufel?

- Oj mammo, Trufel to Trufel i już. Tak się utarło - nawet nie starałem się jej niczego wyjaśnić.

Mama robiła właśnie pierogi na jutrzejszy obiad.

- Tak brzydko jest na dworze, co będziecie robić? - Zobaczyłem ją jak stoi w drzwiach i wilgotną ścierką wyciera z dłoni mąkę.

- Nie będziemy się nigdzie włóczyć, tylko posiedzimy u Trufla na strychu.

- Rodzice Michała wiedzą, że tam przesiadujecie? - Dociekała, chociaż doskonale wiedziała jak jest.

- Mamo, proszę cię - prawie jęknąłem - przecież wszystko dobrze wiesz. Nigdzie nie łazimy, nie szwendamy się bez celu. Siedzimy na strychu, gramy tam w kości, albo w kulki. Czasami mama od Trufla przyniesie nam jakieś kanapki

- To może weź z sobą trochę ciasta? - Wpadła mi w słowo.

- Nie, no po co.

- Chodź chodź, weź - zapakowała w czystą szmatę trzy duże kawałki drożdżówki.

- Będzie im smakować - wcisnęła mi na siłę pakunek.

Oj gdyby tylko wiedziała czym mam ich dzisiaj zamiar uraczyć... - przemknęło mi przez myśl, kiedy pakowałem ciasto do parcianego chlebaka.

- Tylko nie siedź tam za długo - powiedziała.

- Wrócę jak zwykle - odparłem i czmychnąłem na klatkę schodową.

Cichaczem zszedłem do piwnicy po ćwiartkę wiśniówki.

Na dworze powoli zapadał pochmurny, październikowy wieczór. Z chlebakiem przewieszonym przez ramię, przemknąłem skrótami w kierunku kamienicy gdzie mieszkał Trufel. Z daleka widziałem, że w oknie na poddaszu płonie blask naftowej lampy. Wszystko wskazywało na to, że chłopaki są już na miejscu.

Ale się zdziwią, ale się kurde zdziwią - cieszyłem się w duchu. Oczywiście ja też byłem podniecony tym faktem. Bądź co bądź, właśnie dziś czekała nas wielka inicjacja. Nasza pierwsza impreza zakrapiana alkoholem.

Byłem już na strychu, kiedy dostrzegłem smugę światła, wydobywającą się ze szczeliny niedomkniętych drzwi. Za nimi znajdował się nasz sekretny pokój.

- Nie oszukuj pajacu - usłyszałem głos Pesteczki - wszystkie kości mają się toczyć.

- Przecież się toczyły - odparł z wyrzutem Trufel.

- Jak one się toczyły, to ty jesteś szczupły!

Wszedłem do pomieszczenia i powiedziałem:

- Słysząc was już na klatce - i zamknąłem za sobą drzwi.

W sekretnym pokoju było milusieńko. Ściana za którą biegły przewody kominowe, na całej długości zionęła przyjemnym ciepłem. Zdjąłem kurtkę i powiesiłem ją na gwoździu wbitym w belkę podtrzymującą strop. Pesteczka siedział w bujanym fotelu, a Trufel zalegał na łóżku.

- No co tam zafajdany terminatorze? - Zagadnął Pesteczka.

- Nic ośla pało - odparłem i zapytałem: - Macie ochotę na drożdżówkę?

Wyjąłem z chlebaka zawiniątko, które przygotowała moja mama.

- Częstoście się - zaproponowałem - to moje urodzinowe.
- Ooo, masz dzisiaj urodziny? - Zapytał Trufel.
- Wczoraj miałem.
- Trzynaste jak domniemywam - rzucił Pesteczka - no to wszystkiego najlepszego chłopie! - Wstał z fotela i uściśnął mi dłoń. - Szczęścia, zdrowia, pitu pitu, pierdu pierdu, no i niech ci się wiedzie! - Przyciągnął mnie ku sobie i uściśnął.

Trufel poszedł w jego ślady.

- Czyli to taka sprawa, że miałeś urodziny i przyniosłeś nam resztki ze stołu? - Rzucił rozbawionym głosem Pesteczka.

- Całkiem dobre - skwitował Trufel z pełnymi ustami.

- Mam coś lepszego - powiedziałem. Sięgnąłem do chlebaka po ćwiartkę i postawiłem ją na skrzynce, która służyła nam za stół.

Obaj zrobili takie oczy, jakby za chwilę miały im wyskoczyć z orbit.

- Skąd to masz? - Trufel jak zwykle musiał zadać najbardziej idiotyczne pytanie pod słońcem.

- A jak myślisz? - Zapytałem z udawaną bezradnością. - Oczywiście, że znalazłem na ulicy. Flaszeczka najlepszej wiśniówki leżała sobie i czekała, aż ją podniosę.

- No człowieku - w głosie Pesteczki usłyszałem podziw - nie ma co, jesteś gościu!

Kilka minut później odkorkowałem zalakowaną butelkę i po raz pierwszy w życiu, delikatnie pociągnąłem z gwinta łyk wódki. Wrażenie było piorunujące. Niemal natychmiast pomyślałem, że ten płyn jest chyba zepsuty. W moich ustach zapłonął gorejący ogień. Słyszałem, że woda bywa ostra, ale nie spodziewałem się czegoś takiego. Przełknąłem zawartość i w tej samej chwili poczułem jak do moich oczu cisną się łyzy. Odruchowo złapałem za kawałek ciasta, bo musiałem czymś zabić to uczucie szczypania na języku.

- O Boże miłosierny, ależ to jest mocne - powiedziałem robiąc najkwaśniejszą minę na jaką było mnie stać.

Trufel i Pesteczka patrzyli na mnie jak na jakieś zjawisko.

- Macie jakieś fajki? - Zapytałem.

- My zawsze mamy - odparł Pesteczka.

- Chłopaki, może lepiej nie palmy tutaj, co? - Jęknął Trufel.

- Znowu to samo! - Pesteczka spojrział na naszego kumpla z pogardą. - Czy ty za każdym razem musisz marudzić? Przecież dobrze wiesz, że jak palimy przy otwartym lufciku to nic nie czuć, prawda? A poza tym twój stary jest dzisiaj w gospodzie, więc na pewno tutaj nie przyjdzie.

- Ale prze...

- Zamknij się tłusta pierdoło! - Warknął Pesteczka, podał mi papierosa i powiedział do Trufla rozkazującym tonem: - A teraz pij! - Kiwnął głową na flaszkę.

Trufel niepewnie złapał za krótką szyjkę butelki. Spojrział na mnie i zapytał:

- Naprawdę takie ostre?

- Na początek zrób małego łyyczka, sam się przekonasz w czym rzecz - doradziłem. Trufel przechylił butelczynę.

Byłem pewien, że zaraz zobaczę jakąś przerażającą, szokującą minę, ale... on zrobił

coś nieoczekiwanego. On najzwyczajniej w świecie, tym co miał w gębie, przepłukał sobie usta i dopiero po chwili to przełknął!

Przymknął oczy, chuchnął i powiedział:

- Całkiem niezła ta wiśniówka. Mogłaby być trochę bardziej słodka niż jest.

Ostatnim w kolejce był Pesteczka.

- No śmiało - powiedział Trufel - pękasz? - Zadrwił widząc jego niepewną minę.

- Ja nigdy nie pękam - odparł i pociągnął łyk.

Zanim przepuścił ognisty płyn przez gardło, wytrzeszczył przeraźliwie oczy, a zaraz potem otworzył na oścież usta i zaczął intensywnie wdychać powietrze.

Ja i Trufel widząc co wyprawia, zaczęliśmy się śmiać jak wariaci.

Pesteczka chwycił za kawałek ciasta i zaczął je szybko gryźć.

Już miałem zapalić papierosa, kiedy nagle usłyszeliśmy na strychu czyjeś kroki.

Chwyciłem za butelkę i schowałem ją do chlebaka. W tym samym momencie otworzyły się na oścież drzwi i ujrzeliśmy w nich matkę Trufla. Otyła kobieta o pocziwym obliczu spojrzała po naszych twarzach i wspierając dłonie na biodrach powiedziała:

- A wam kawalerka, co tak wesoło? Słysząc was w całej kamienicy.

- A tak się śmiejemy, proszę pani - odparł Pesteczka.

- Stefek miał wczoraj urodziny i przyniósł z sobą drożdżówkę - dodał Trufel.

- Urodziny? - Spojrzała na mnie i posłała mi uśmiech. - No to wszystkiego najlepszego mój drogi.

- Dziękuję - odparłem.

- Chcecie kompotu z truskawek? - Zapytała i zaraz potem zwróciła się do Trufla - Michałek, chodź do domu po dzbanek i kubki, pewnie twoi przyjaciele z chęcią się napiją.

- Bardzo dziękujemy, to miło z pani strony - Pesteczka wiedział jak się podlizać. - No Michaś, to skocz po ten wyśmienity kompot.

- Tylko zachowujcie się trochę ciszej - powiedziała marszcząc brwi.

- Dobrze proszę pani. Obiecujemy, że już nas nie będzie słyszać.

Żaden z naszych rodziców nie miał pojęcia, jacy naprawdę jesteśmy. Tak to już jest, że starzy zawsze mają mylne wyobrażenie o swoich pociechach. Nie dopuszczają do siebie myśli, że ich dziecko może robić coś niewłaściwego lub coś nieodpowiedniego do swego wieku. Dzieciak sąsiada lub znajomych to i owszem, ale jego własne - nigdy. Większość z was pewnie ma dzieci i uważa, że są mądre, rozsądne i w miarę odpowiedzialne. Nie przeklinają, nie robią głupot i nie sięgają po złe rzeczy. Oczywiście możecie tak myśleć, ale gwarantuję wam, że pewnego dnia i tak się zdziwicie. A potem pojawią się gorzkie pytania. Jak to możliwe? Dlaczego tego nie zauważyłem? Daleko nie musicie szukać, spójrzcie na swoją przeszłość. Wcale nie byliście lepsi. W historii świata, jeszcze się nie urodziło takie dziecko, które nie sprawiłoby zawodu swoim rodzicom.

Po kilku minutach pojawił się Trufel z dzbankiem kompotu i kubkami. Zawartość flaszeczki rozlałem na trzy równe części.

- Nie ma sensu się z tym cackać i sączyć - stwierdziłem i uniosłem kubek w górę -

do dna!

Stuknęliśmy się i każdy z nas wychylił zawartość.

Trudno było przełknąć taką ilość za jednym łykiem. Moc, jaka czaiła się w wiśniowym płynie była porażająca. Natychmiast musieliśmy zapić.

- Och, aż mi się ciepło zrobiło - powiedział Trufel.

Spojrzałem na niego i rzekłem:

- Pysk masz czerwony jak burak.

Wszystko było dobrze, ale kiedy zapaliliśmy fajkę, mieszanka nikotyny i alkoholu zrobiła swoje.

- Kręci mi się w głowie - stwierdził Pesteczka, a ton jego głosu wskazywał na to, że chyba nie widzi w tym nic fajnego.

Podał mi szluga i splunął.

- Odbija mi się tym świństwem - powiedział - jakbym się kurwa nażarł zgniłych wiśni. - Raz po raz hepał i wypluwał nadmiar śliny.

- Mnie tam nic nie jest - odparł Trufel i wzruszył ramionami.

- Popatrz na mnie i popatrz na siebie - Pesteczka głośno beknął jak stary facet i nagle, zupełnie niespodziewanie, puścił przed siebie obfitego pawia.

Z jego ust trysnęła prawdziwa fontanna wymiocin. Resztki niestrawionej drożdżówki taplały się w różowym płynie. Smród był okropny. Kwaśny, cuchnący odór błyskawicznie rozprzestrzenił się w całym pomieszczeniu. Natychmiast zrobiło mi się niedobrze. Chyba od dnia narodzin nie znosiłem tego podłego zapachu. Kiedyś widziałem jak ojciec Marcinka Dobnera trzymał się płotu i rzygał. Na ten widok, nie wspominam już o dźwiękach jakie temu towarzyszyły, sam miałem ochotę wyrzucić ze swoich trzewi całą zawartość. To, co zrobił w sekretnym pokoju Pesteczka, było tylko początkiem reakcji łańcuchowej. Nie potrafiłem się powstrzymać i zacząłem mu towarzyszyć. Mój żołądek w jednej chwili skurczył się do wielkości jajka i wszystko, co w nim miałem, ruszyło przetykiem w górę. Pochyleni staliśmy obok siebie, a przed naszymi stopami połyskiwało śmierdzące bajoro.

Trufel poderwał się na równe nogi.

- Chłopaki, co wam się dzieje? - Był przestraszony. - Wszystko w porządku? - Strzelał wzrokiem raz na mnie raz na Pesteczkę.

- Fuj! Co za syf! - Wytarłem grzbietem dłoni usta. - To wszystko przez Pesteczkę - spojrzałem na mojego kumpla, który był blady jak świeżo wybiałkowany sufit. - Dobrze się czujesz?

- Muszę się położyć - powiedział, a ja i Trufel w tym momencie wystraszyliśmy się nie na żarty.

- Co ci jest?

- Nic mi nie jest - prawie jęknął - muszę się kurde na chwilę położyć. - Walnął się na siennik.

- Jak matka tu przyjdzie, to mam przesrane. - Miałem wrażenie, że Trufel zaraz się rozplacze.

- Musimy to posprzątać - powiedziałem i z obrzydzeniem spojrzałem na nasze wymiociny.

Otworzyłem na oścież okno, żeby październikowe powietrze wywiało smród.

Trufel wypadł z pomieszczenia i wrócił po chwili, a w dłoniach trzymał jakieś stare, brudne prześcieradło albo zasłonę. Położył płachtę materiału na rzygowinach i powiedział do mnie rozkazującym tonem:

- Wycieraj!

- Kto ja?!

- A kto, ja?! Narobiliście gnoju to sprzątajcie! Skoro ten pajac leży ledwo żywy - obaj spojrzeliśmy na bladego Pesteczkę - więc ty się za to bierz!

Jedną dłonią zasłoniłem sobie nozdrza, jakbym wierzył, że dzięki temu nic nie poczuję, a drugą zacząłem wycierać ten cuchnący bajzel. Ile się dało, tyle zebrałem w szmatę. Urwałem skrawek suchego materiału i truskawkowym kompotem umyłem zafajdaną podłogę.

- Wiesz co Ropuch - Pesteczka podniósł się na łóżku. Uśmiechnął się półgębkiem i wypowiedział swoje prorocze słowa: - Te urodziny, to ty sobie kurwa zapamiętasz do końca życia.

Przez jakiś czas daliśmy sobie spokój z alkoholem. Doszliśmy do wniosku, że woda jest chyba dla nas za mocna. Z naszej trójki, największe ciągotki do picia miał Trufel. Trudno mi stwierdzić, skąd się to u niego wzięło? Może przez to, że jego ojciec ostro dawał w szyję? A może po prostu miał to w genach? Jednak dziwiło mnie to, że Trufel nie przepadał za wódką. Nawet jak już byliśmy dorośli, on zawsze wołał napić się wina. Dla niego wino było na pierwszym miejscu.

Kiedyś Pesteczka zadał mu dwa fundamentalne pytania:

- Jak możesz tyle w siebie wlewać? Naprawdę smakuje ci ten kwas?

- Co ty o tym wiesz - odparł Trufel z politowaniem. - Dobrego wina nigdy dość.

Nawet Chrystus zamienił wodę w wino. Zawsze się zastanawiałem jakie ono było? Jak myślicie? Wytrawne czy słodkie?

- Zapytaj księdza, pewnie będzie wiedział - zakpiłem.

- Najlepsze jest półsłodkie - stwierdził. - Mógłbym je pić do każdego posiłku.

Porzeczkowe to moje ulubione. Świetnie gasi pragnienie. Jak na mój gust, to malinowe jest zbyt cukierkowane, a z jabłek za kwaśne, chociaż jednym i drugim nie pogardzę. A tak w ogóle, to chciałbym spróbować kiedyś mszalnego.

- Klechę raczej nie zostaniesz - Pesteczka parsknął śmiechem i dodał - lecz o posadę kościelnego możesz się starać.

Potem zaczęliśmy z niego szydzić, że zwykła sutanna to nie dla niego, ale ze względu na tuszę, mógłby śmiało zostać biskupem. Prawdziwy biskup przecież powinien być gruby.

W pierwszym dniu pracy 1914 roku, Skoczyński wezwał Wawrzyńca do swojego biura. Dyskutowali tam dobre pół godziny, a ja nawet nie miałem pojęcia, że rozmawiają o mojej dalszej karierze terminatora. Przez ostatnich pięć miesięcy sporo się nauczyłem.

Potrafiłem zrobić klarowną politurę i nabrałem sporo wprawy w jej kładzeniu. Umiałem już klinować zastrzały i heblować deski. Pod bacznym okiem Wawrzyka szlifowałem krawędzie desek przeznaczonych na meble. Staralem się dobrze wykonywać swoje obowiązki, bo prawdę powiedziawszy, chyba zależało mi na tej posadzie. Wydaje mi się, że jak zacząłem robić coś bardziej sensowniejszego niż zwykle sprzątanie, obudziła się we mnie pasja do stolarki. To była bardzo twórcza praca, no bo sami powiedzcie, człowiek ma przed sobą stertę desek, a po czasie widzi, że zrobił z nich konkretną, solidną rzecz. Taka świadomość cieszy. Pojawia się satysfakcja, że to co robisz nie polega tylko na bezsensownym przykręcaniu śrubek, jak to ma miejsce w dużej fabryce. Praca w tej firmie dawała mi szansę na to, żeby nie zostać małym trybikiem w wielkiej maszynie. W przyszłości mogłem tutaj być w pewnym sensie... artystą. Oczywiście produkowaliśmy również meble według konkretnych planów i szablonów, szafy, szafki, komody, kredensy, stoły, krzesła, taborety czy regały, ale robiliśmy sporo mebli na indywidualne zamówienia. W Kaliszu było bardzo dużo zakładów stolarskich lecz tylko kilka z nich cieszyło się taką renomą, jak firma "Skoczyński i Synowie". Jeżeli ktoś był na rynku blisko trzydzieści lat i cały czas prężnie funkcjonował, to znakiem tego, musiał być dobry. Musiał być w czołówce najlepszych.

- Stefek! - Krzyknął do mnie Wawrzyk, stojący w drzwiach biura. - Chodź tutaj! Prężnym krokiem ruszyłem przed siebie.

Skoczyński siedział za biurkiem. Na blacie spoczywały dwie szklanki do połowy wypełnione jego ulubionym płynem.

- Siadaj! - Wskazał dłonią na krzesło. - Właśnie rozmawiam z twoim mistrzem na temat postępów, jakie poczyniłeś w nauce zawodu - spojrzał na mnie i pogłaskał palcami swoje sumiaste wąsy. - Podobno robisz duże postępy.

- Staram się szefie - odparłem.

- Wiem, Wawrzyk jest zadowolony i mówi, że może coś z ciebie będzie. On jest teraz świadkiem naszej umowy. A umowa jest taka, że począwszy od dziś, twoja nauka potrwa cztery lata. Będziesz zarabiał pięć rubli tygodniowo - pociągnął łyceczek i kontynuował - potem, przez kolejne cztery lata będziesz pracował dla mnie za pensję czeladnika. Jeśli w międzyczasie, broń cię Panie Boże, rzucisz u mnie robotę, to możesz być pewien, że nikt w tym mieście nie da ci posady stolarza. Rozumiesz?

- Tak szefie, rozumiem - słuchałem uważnie.

- To tyle. Jeśli taki układ ci odpowiada, to wracaj do pracy, jeżeli ci nie pasuje, to zabieraj się do domu i nigdy tu nie wracaj - zamilkł na moment i przyglądając mi się badawczym wzrokiem, zapytał: - Co zrobisz?

- Wracam do pracy - odpowiedziałem bez zastanowienia i jednocześnie podniosłem się z miejsca.

Skoczyński również wstał. Wyciągnął w moim kierunku prawą dłoń i powiedział:

- W takim razie witaj w firmie na dobre.

Kiedy uścisnął mi dłoń, miałem wrażenie, że chce mi zmiażdżyć palce.

Obróciłem się na pięcie, bo uznałem, że to koniec rozmowy i ruszyłem w stronę

drzwi.

- I jeszcze jedno - odezwał się mój szef - chodzi o zakupy w sklepie Bachmanna. - Kiedy wypowiedział te słowa, poczułem jak moje kolana robią się miękkie. - Jeżeli cię tam wysyłam - wziął w dłonie szklankę i pokiwał nią delikatnie - to przy okazji możesz tam sobie również coś kupić. I żeby było jasne, nie interesuje mnie co nabędziesz. Jednak kiedy każe ci biec do miasta na budowę, to masz iść w konkretne miejsce i wracać z powrotem, a nie załatwiać jakieś swoje prywatne sprawunki pięć czy dziesięć ulic dalej. Jasne?

- Tak jest szefie - odpowiedziałem niczym żołnierz.

- Na prywatę masz czas po godzinach pracy. I zapamiętaj sobie na przyszłość, lepiej żeby coś takiego nie miało miejsca. Wiesz, co wtedy zrobię? - To było retoryczne pytanie - Potracę ci całą dniówkę i jeszcze będziesz miał kłopoty.

Przełknąłem ślinę i kątem oka spojrzałem na Wawrzyka. Siedział z boku biurka i uśmiechał się pod nosem.

- To się już więcej nie powtórzy - odparłem.

- Mam nadzieję - spojrzał na mnie spode łba. - Szoruj do roboty!

Dostałem podwyżkę. Dodatkowy rubel tygodniowo, to było coś! Wieczorem wróciłem do domu i powiedziałem mamie o tym, co dzisiejszego ranka wydarzyło się w stolarni. Była tak szczęśliwa, jakby spotkało ją coś najcudowniejszego. Promieniała radością i spoglądała na mnie z dumą. Nie wyznałem jednak wszystkiego. Pomiąłem informację o tym, że będę więcej zarabiał. Nigdy jej o tym nie powiedziałem. Połakomiłem się wtedy na pieniądze. Chyba zawsze było mi głupio z tego powodu, bo czułem się jak oszust, który perfidnie wykiwał cały świat. Zarobioną forszę, do której się nie przyznałem, wydawałem na papierosy.

O tym, że pałę, moja mama dowiedziała się dopiero kilka lat później. Możecie więc sobie wyobrazić, jakim musiałem być kombinatorem, że tak długo utrzymałem to w tajemnicy.

Wiosną 1914 roku w moim życiu znowu pojawił się Wiktor. Z niego też musiał być wtedy niezły miglanc, skoro uśpił czujność swojego ojca. Gdyby stary Kozłowski dowiedział się, że jego pierworodny spotyka się z nami, to chyba solidnie przetrzepałby mu skórę.

Kiedy oglądam się w przeszłość i myślę o sobie oraz o moich przyjaciółkach z lat młodości, to śmiem twierdzić, że każdy dzieciak na swój sposób jest cholernie przebiegły.

Każdej niedzieli ja, Trufel i Pesteczka razem chodziliśmy do kościoła na poranną mszę. Bardziej traktowaliśmy to jako rozrywkę, niż zaspokojenie swoich duchowych potrzeb. Nie liczyło się nasze uczestniczenie w ceremonii, ale to, co robiliśmy później. Człowiek wychodził rano z domu i wracał dopiero na obiad. Oczywiście poczucie

spełnienia obowiązku wobec Boga i nasz udział w niedzielnej mszy nie podlegały żadnej dyskusji. Za młodu nawet nam nie przyszło do głowy, żeby omijać kościół szerokim łukiem, zaczęliśmy to robić dopiero później.

W tamtych czasach w Kaliszu było kilka świątyń, ale dla nas atrakcją było pójść do tego najbardziej znamienitego przybytku, do bazyliki przy placu świętego Józefa. Ze Złotych Dachów potrzebowaliśmy pół godziny, żeby spacerkiem dojść na miejsce. Po mszy przeważnie szliśmy do parku i paliliśmy fajki na wierzbowej ławce. Trufel tak ochrzcił to miejsce. On od zawsze miał bzika do wymyślania nazw.

Tamtego roku święta wielkanocne wypadły w pierwszej połowie kwietnia. Pogoda była naprawdę istic wiosenna, śnieg zniknął jeszcze w marcu i chociaż na drzewach nie kwitły nawet zalążki liści, to trawa zieleń się już w najlepsze. W powietrzu dało się czuć zapach nadchodzącej radości.

Wiosna, to jednak wspaniała pora roku.

W Wielką Sobotę pierwsze święcenie potraw miało być o dwunastej w południe. Mama przygotowała mi wiklinowy koszyk do którego tradycyjnie włożyła wszystko to, co się z reguły daje do poświęcenia.

- Wyglądamy jak jacyś ułomni - skwitował Pesteczka. - Jak trzy pierdoły z koszykami.

- No co chcesz? Taki zwyczaj - odparłem.

- On zawsze znajdzie jakiś powód, żeby marudzić - stwierdził Trufel.

- Ty to się zamknij, bo ciebie jakby inaczej ubrać, to sam wyglądałbyś jak żywa pisanka. - Pesteczka zawsze miał jakieś ciekawe porównania.

Parsknęliśmy śmiechem.

- Co robimy później? - Zapytałem.

- Możemy pójść do parku - zaproponował Trufel - posiedzimy na wierzbowej ławeczce, zapalimy po fajeczce...

- Patrz kurde jaki poeta - powiedział Pesteczka i gwizdnął z udawanym podziwem.

Przed bazyliką był już taki tłum ludzi, że nie dało się wejść do środka. Stanęliśmy z lewej strony, kiedy nagle Pesteczka szturchnął mnie w ramię i szepnął:

- Ty, zobacz! - Kiwnął głową na wprost.

Naprzeciw nas stał Wiktor razem ze swoją matką i siostrą, która w dłoniach trzymała mały, zgrabny koszyczek. Dostrzegł nas po chwili, uśmiechnął się i pomachał do nas ręką. W drzwiach pojawił się ksiądz. Szedł wolnym krokiem i machał kropidłem we wszystkie strony, jakby się starał, żeby każdy z zebranych poczuł na sobie deszcz święconej wody. Po chwili Wiktor powiedział coś do swojej mamy. Kobieta spojrzała na nas, uśmiechnęła się i pogłaskała go po ramieniu. Ludzie zaczęli się rozchodzić, a Wiktor ruszył w naszym kierunku.

- Cześć chłopaki - powiedział.
Chyba naprawdę cieszył się na nasz widok.
- Cześć eleganciku! - Wypalił Pesteczka. - Kopa czasu!
- Fajnie was widzieć - spojrzał na mnie i na Trufla. - W niedzielę też przychodzicie tutaj na mszę? - Zapytał.
- W każdą - odparłem.
- A na którą godzinę?
- Na dziewiątą - odpowiedziałem.
- Zawsze chodzimy na dziewiątą - sprecyzował Trufel.
- Gdybym wiedział wcześniej, to też bym przychodził. Mielibyśmy okazję się spotkać. Ja w niedziele chodzę na sumę.
- A gdzie twój stary? - Zapytał Pesteczka, jakby obawiał się, że za chwilę ujrzy jego groźnego ojca.
- Nie ma go tutaj - powiedział Wiktor - siedzi w domu, bo źle się czuje od kilku dni.
- Idziemy teraz do parku - odezwał się Trufel. - Idziesz z nami?
- Chętnie - odparł Wiktor.
- Wiesz, że możesz mieć przez to kłopoty? - Bardziej stwierdzałem fakt, niż pytałem.
- Powiedziałem matce, że jesteście moimi kolegami z gimnazjum - uśmiechnął się i zerknął ukradkiem przez ramię, jakby chciał sprawdzić, czy już sobie poszła. - Mam wrócić do domu za dwie godziny.
- No to świetnie - rzucił Pesteczka. - W takim razie chodźmy!
We czwórkę ruszyliśmy przed siebie.

Dziś w parku nie było zbyt wielu spacerowiczów, a na drugim końcu, tam gdzie był staw, nie było nikogo oprócz nas. Usiedliśmy na ławce schowanej za kurtyną wierzbowych witek i zaraz potem zaczęliśmy ściąć fajki.

Promienie kwietniowego słońca odbijały się w tafli wody.

- Jak tam Wiktor? Kiedy wpadniesz do nas na Złote Dachy? - Ni stąd ni zowąd zapytał Trufel.

- Moglibyśmy się umówić w przyszłym tygodniu - wziął kolejnego sztacha i powiedział: - W każdy czwartek mamy w szkole popołudniowe zajęcia gimnastyczne, ale nie muszę na nie iść, bo są dobrowolne.

- No to wpadnij w czwartek - zaproponował Trufel - będziemy w sekretnym pokoju. Trafisz tam?

- Pewnie, że trafię! - Odparł i zaczął kaszleć.

- No brachu, coś kiepsko ci idzie palenie - rzucił Pesteczka i klepnął go w plecy.

- Nie robię tego za często - powiedział. - Nie ma z kim. Chociaż mam takiego kolegę w gimnazjum, nazywa się Radek i czasami sobie zapalimy, ale rzadko. Nie ma gdzie. A jak tam u ciebie Stefek? - Nagle zmienił temat i spojrzał mi w oczy.

- Wszystko w porządku. Pracuję, mam już stałą posadę - wzruszyłem ramionami.

Cóż więcej miałem o sobie powiedzieć?

- Twój stary się chyba na nas wściekł w zeszłym roku, co? - Pesteczka był ciekaw.
- On się potrafi złościć o wszystko - machnął ręką. - Zdążyłem się już

przyzwyczaić.

- Przyszliśmy wtedy - zacząłem mówić - bo chciałem cię zaprosić na moje urodziny...

- Ty, ale on nam zrobił numer! - Trufel ożywionym głosem wpadł mi w zdanie i natychmiast zaczął mu opowiadać, co się wtedy wydarzyło.

Raz po raz wybuchaliśmy gromkim śmiechem, dodając coś od siebie.

Oczywiście Pesteczka co chwilę go poprawiał. Kiedy historia dobiegła do punktu kulminacyjnego czyli do naszego wspólnego rzygania, to bez przerwy mówił:

- Ale bez przesady, Trufel. Przestań wyolbrzymiać. Proszę cię, bez zbędnej przesady.

W pewnym momencie chyba poczuł się już za bardzo ośmieszony i powiedział:

- Lepiej opowiedz o tym, jak sam o mało nie narobiłeś w gacie ze strachu, że twoja stara wpadnie na strych i zobaczy ten bajzel!

Taki właśnie był Pesteczka. Pierwszy, żeby śmiać się i drwić z innych, ale kiedy on był obiektem szyderstwa, zaraz starał się skierować kpiny na inną ofiarę.

Zanim ruszyliśmy do domu, spaliliśmy jeszcze jedną faję na spółę i żeby zagryźć odór tytoniu, przetrąciliśmy co nieco z poświęconych produktów.

Od tamtej pory Wiktor w każdy czwartek spotykał się z Truflem i Pesteczką. Natomiast w niedziele widywaliśmy się na porannej mszy, a potem włóczyliśmy się we czwórkę szukając ustronnych miejsc, żeby sobie zapalić. W maju park zaczynał tętnić życiem i tylko ze względu na Wiktora, który obawiał się, że ktoś ze znajomych jego rodziców może nas przyuważyć, musieliśmy zmienić punkt naszych niasiadówek. Mieliśmy do wyboru milion różnych miejsc, ale Wiktorowi najbardziej podobało się na schodach przed starym magazynem. W niedzielne przedpołudnia ciągnął z nami na Złote DACHY, a potem, kiedy wybiło południe, samotnie wracał na Warszawskie Przedmieście. Wracał do swojej, jak miał w zwyczaju mówić, żałosnej, burżuazyjnej dzielnicy.

- Muszę iść chłopaki, na mnie już czas - powiedział Wiktor. Podniósł się z miejsca i starym zwyczajem zostawił na schodach resztę fajek.

- No to bywaj człowieku - powiedział Trufel.

- Tymczasem, borem lasem, wpadnij w czwartek - rzucił Pesteczka.

- Do następnego - skinąłem głową w jego kierunku.

Wiktor ruszył przed siebie i po chwili zniknął za rogiem budynku.

Odkąd zaczęliśmy się regularnie spotykać, Wiktor zawsze przynosił z sobą paczkę papierosów. Zawsze. A potem, kiedy już szedł do domu, zostawiał nam to, czego nie zdążyliśmy wspólnie zjarać.

- Wiecie co - odezwał się Pesteczka - nie mogę rozgryźć Wiktora.

- Rozgryźć? - Powtórzył ze zdziwieniem Trufel.

- Tak kupo zjełczałego smalcu! - Warknął. - Rozgryźć! Rozgryźć w tym wypadku

znaczy tyle samo, co zrozumieć. Kapujesz?! Dziwak z niego - ciągnął dalej - jak ktoś przy zdrowych zmysłach może twierdzić, że mieszka w żałosnej, burżuazyjnej dzielnicy? Nie pojmuję. Ma wszystko, czego dusza zapagnie. Żyje sobie w pięknym domu z wygodami, pochodzi z bogatej rodziny i pewnie ma pełną szafę eleganckich ubrań. Wątpię, żeby kiedykolwiek zaznał uczucia głodu. Potrzebuje forsy, to idzie do ojca i mówi, żeby mu dał rubla albo dwa. Chciałbym takiego życia - w jego głosie dało się usłyszeć nie nutkę, ale całą symfonię zazdrości - naprawdę chciałbym. A on kurde, zachwyca się Złotymi Dachami. Możecie mi to wytłumaczyć?

- Chyba tak to już jest, kiedy człowiek ma pełną dupę - stwierdziłem.

- Tak myślisz? - Dociekał Pesteczka.

- Może to działa w dwie strony - odezwał się Trufel - my, mamy to co mamy, a chcielibyśmy czegoś zupełnie innego. Czegoś na bogato.

- No dobrze, niech będzie. Powiedzmy, że to prawda. To w takim razie powiedzcie mi, dlaczego Wiktor chce się z nami kolegować? - Pesteczka dalej dociekał. - Jaki ma w tym interes?

- Czy ty naprawdę musisz wszystko postrzegać w ten sposób? - Trufel pokiwał głową z politowaniem. - Myślisz, że każdy jest taki jak ty? A ty czemu z nim się kumplujesz?

- To proste - odparł - a choćby dlatego, że kupuje nam fajki. O, proszę - pstryknął palcami w paczkę papierosów leżącą na kamiennym stopniu. - W zeszłym roku na wakacjach stawiał nam lody, lemoniadę, słodycze...

- A gdyby tego nie robił to co? - Spytałem. - Wtedy byś się z nim nie spotykał?

- Pewnie nie - odparł Pesteczka.

- A czy my tobie coś stawiamy? - Zagadnął Trufel. - Czemu się z nami zadajesz?

- No, właśnie - popierałem taki tok myślenia. - Czemu tu teraz jesteś?

- Bo wy jesteście swoi, kapujecie? My trzej jesteśmy ze Złotych Dachów, dużo nas łączy - Pesteczka wstał z miejsca i zaczął gestykulować rękami. - Rozejrzyjcie się dookoła. Widzicie te domy? Ten magazyn? Widzicie tamtą ulicę i tego psa, co szcza teraz pod murem? - Spojrzeliśmy w kierunku kundla, który faktycznie sikał na mur obok starej bramy.

Trufel zerwał się na równe nogi, złapał za kamień i cisnął nim w kierunku psa.

- Spudłowałeś ofiarno - powiedział Pesteczka i ciągnął dalej. - Chodzi mi o to, że my jesteśmy z innego świata niż Wiktor. Ja nie rozumiem, co go tutaj ciągnie? Dlaczego żaden z was nie zaprosił go do swojego mieszkania? Nie wiecie? Powiem wam dlaczego, ano dlatego, że wstydziłibyście się, żeby zobaczył jak mieszkacie. To po pierwsze, a po drugie, co na to powiedziałyby twoja stara - spojrzał na mnie - albo twoi starzy? - Zerknął na Trufla. - Byliby bardzo zaskoczeni, że macie takiego kolegę, a ta znajomość wydawałaby się im bardzo podejrzana. Mam rację? - Spojrzał po naszych twarzach. - Zwróciliście uwagę, że on przeważnie zwraca się do nas po imieniu? Dla niego ja jestem Karol, ty jesteś Michał, a ty Stefan. Odkąd się znamy, tylko dwa razy powiedział do mnie Pesteczka.

- Ty, ale o co ci w ogóle chodzi? - Zapytał nagle Trufel.

Pesteczka wzbil się na najwyższy pułap swoich aktorskich umiejętności i westchnął

w taki sposób, jakby chciał nam pokazać, że tak właśnie wygląda prawdziwa rozpacz.

- Ropuch, słyszysz o co on mnie teraz pyta? - W wymowny sposób postukał się palcem w środek czoła. - Ten człowiek nawet nie wie, co się do niego mówi, więc dlaczego taki Wiktor, który uczy się greki i łaciny, miałby się kumpłować z takim zerem?

Trufel rzucił się na Pesteczkę i zaczął go okładać pięścią w ramię.

- Odwołaj to! Odwołaj to parszywy padalcu!

Zaczęli się szarpać, a ja najspokojniej w świecie sięgnąłem po fajkę i zapaliłem.

- Wiesz, co myślę Karolku? - Odezwałem się po kilku chwilach i specjalnie wypowiedziałem jego imię. - Myślę, że powinienes o to wszystko zapytać Wiktora.

W ostatnią niedzielę czerwca 1914 roku w dalekim Sarajewie doszło do zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, następcę tronu Habsburgów. Wieść o tym wydarzeniu błyskawicznie obiegła cały świat. Dla nas ta informacja, że jacyś anarchiści zabili przyszłego monarchę, kompletnie nic nie znaczyła. Byliśmy gówniarzami, którzy mieli w dupie całą politykę i w ogóle nie interesowaliśmy się takimi sprawami. W stolarni natomiast, wszyscy mówili tylko o tym zabójstwie. Wśród pracowników Skoczyńskiego, zdania na ten temat były bardzo podzielone. Nie sądziłem, że taki temat może prowadzić do kłótni i sprzeczek. Mało brakowało, a ci dorośli mężczyźni byli w stanie rzucić się sobie do gardeł, żeby udowodnić swą rację. Dla mnie jednak najbardziej liczyła się opinia Wawrzyka. Nie wiem dlaczego, chyba przez to, że był moim mistrzem i w ogóle dlatego, że żywiłem do niego ogromny szacunek i sympatię.

- Widzisz Stefan - powiedział do mnie - wszyscy tutaj - kiwnął głową, jakby w ten sposób chciał mi dać do zrozumienia, że ma na myśli ludzi w stolarni - jesteśmy tacy malutcy. Świat jest duży, a my jesteśmy o tacy - zbliżył wskazujący palec do kciuka - tacy, kurwa malutcy. I chodzi o to, że taki malutki człowiek nie ma żadnego, pierdolonego wpływu na rzeczy wielkie, rozumiesz? Dla takich ludzi jak my, najważniejsze jest to - stuknął palcem w blat stołu - żebyśmy potrafili zarobić na utrzymanie swojej rodziny.

Na niedzielnej mszy ksiądz wygłaszając z ambony swoje kazanie powiedział, że śmierć arcyksięcia i jego małżonki, może być brzemienna w skutkach.

- Przyszłość Europy stoi teraz pod wielkim znakiem zapytania - grzmiał klecha - dochodzą do naszych uszu głosy, że ludzkość potrzebuje zmian. Jednak pytam się was w imię Boże, jakich zmian? Czy zmiany mają obalić trwający od wieków porządek, czy może mają go wzmocnić? Czy wywrotowcy i buntownicy mają teraz prawo narzucać nam swoją wolę? Stolica Apostolska potępiła ten bestialski czyn, który zdarzył się na serbskiej ziemi, a cały kościół rzymsko-katolicki jednoczy się w bólu i żałobie...

Godzinę później siedzieliśmy na schodach i drwiliśmy w najlepsze z Pesteczki.

- Powiedz jeszcze jedno słowo - syknął do mnie - a skończysz jak ten zafajdany Ferdinand!

- Tak, a co mu zrobisz? - Zapytał Trufel. - Walniesz go nosem w dupę?

Kwiczeliśmy ze śmiechu. Nawet Wiktor był rozbawiony.

- A cóż o tym zabójstwie mówi się w wyższych sferach? - Pesteczka szukał dla siebie ratunku, zmieniając temat.

Wiktor wzruszył ramiona i powiedział:

- Mój ojciec twierdzi, że w stosunkach międzynarodowych wzrasta napięcie...

- Na pięcie - Trufel wpadł mu w zdanie - to Pesteczka ma kurzajki - i znowu parsknęliśmy śmiechem.

- Widzisz jacy oni są? - Obiekt naszych drwin zwrócił się do Wiktora. - Widzisz? Nic ich nie interesuje. Nic. Kompletnie nic.

- Tak? A co niby masz na myśli? - Zapytałem.

- Wszystko - odparł. - Choćby polityczna sprawa tego Ferdynanda, którego sprzątnęli.

- Lepiej się przyznaj - wtrącił się Trufel - chcesz, żebyśmy gadali o czymś innym i skończyli się już nabijając z ciebie i twoich nowych sandałek.

To niewątpliwie była prawda. Matka Pesteczki kupiła mu na lato sandały w których wyglądał przekomicznie. Nie dość, że były na niego za duże, to jeszcze przypominały skórzane płetwy.

- O patrzcie państwo, znalazł się zainteresowany polityką - dodałem. - U mnie w pracy pewien mądry facet powiedział, że zwykli ludzie nie mają wpływu na duże sprawy - miałem nadzieję, że uda mi się błysnąć przed całą trójką.

- Ten człowiek jest w błędzie - stwierdził Wiktor. - To właśnie zwykli ludzie zmieniają losy świata, oni tworzą historię. Franciszka Ferdynanda i jego małżonkę Zofię, zabił człowiek z ludu. Arcyksiążę zginął z ręki prostego człowieka, a jego śmierć może rozpętać ogromną katastrofę.

- Tak, a niby co takiego może się rozpętać? - Spytałem.

- Mój ojciec twierdzi, że jeśli nie dojdzie do wojny, to powinniśmy za to wszyscy dziękować Bogu - wyjaśnił.

- Jak śmierć jednego człowieka może doprowadzić do wojny? - Odezwał się Trufel.

- W historii świata wielokrotnie wybuchały wielkie konflikty z bardziej błahych powodów - powiedział jedyny w naszym gronie gimnazjalista. - Na przykład według historycznych podań, które przetrwały dzięki Homerowi...

- Dzięki komu? Dzięki komarowi? - Wtrącił Pesteczka i puścił nam oczko. Zgrywał się jak zawsze, a nas to bawiło.

Wiktor spojrział na niego wymownie i ciągnął dalej:

- Żył kiedyś w Grecji pewien poeta, nazywał się Homer. W jednym ze swoich dzieł napisał o wojnie trojańskiej, która trwała 10 lat, a jej powodem było to, że Parys porwał piękną Helenę, która była żoną króla Sparty... - i Wiktor zaczął snuć opowieść.

Mówił płynnie, a tym samym przyjemnie było go słuchać i o dziwo, Pesteczka wcale mu nie przerywał.

Skąpani w lipcowym słońcu, siedzieliśmy na kamiennych schodach. Ponad naszymi głowami rozpościerało się błękitne niebo, a my jak zaczarowani, chłoniliśmy każde słowo. Tamtego dnia poznaliśmy historię o koniu trojańskim, o dzielnym wojowniku, któremu na imię było Achilles i o greckich bogach mieszkających na Olimpie.

Z oddali do naszych uszu dobiegł dźwięk kościelnych dzwonów, obwieszczający mieszkańcom Kalisza, że właśnie minęło południe. W tym samym momencie nasz kolega mieszkający w żalosnej, burżuazyjnej dzielnicy, podniósł się z miejsca i powiedział:

- Miło się gawędziło, ale na mnie już pora. To co chłopaki - spojrzal najpierw na Trufła, a potem na Pesteczkę i zapytał: - Spotykamy się jutro o dziesiątej na wierzbowej ławce?

- Jasne, że tak! Pewnie! - Odparli jednocześnie.

- A ty Stefan, kiedy zaczynasz urlop? - Zwrócił się do mnie.

- Dokładnie za dwa tygodnie.

- To świetnie. Ja do końca lipca jestem w Kaliszu, a w sierpniu całą rodziną wyjeżdżamy na wczasy.

- A gdzie jedziecie? - Zapytał Trufel.

- Nad morze - i zrobił taką minę, jakby miał tam udać się za karę, a nie dla przyjemności. - Muszę już iść, do zobaczenia - obrócił się na pięcie i prężnym krokiem ruszył przed siebie.

Ostatni tydzień pracy, to była dla mnie prawdziwa męka, a każda dniówka wlokła się w nieskończoność. Marzyłem o urlopie, niczym grzeszna dusza o zbawieniu. Nadcigały dwa tygodnie laby! Dwa tygodnie słodkiego leniuchowania! Dwa najlepsze tygodnie w roku!

Pogoda w drugiej połowie lipca była jak najśłodsze marzenie, każdego dnia słońce i bezchmurne niebo. Dzień w dzień spotykaliśmy się rankiem na schodach przed zamkniętym magazynem. To było miejsce naszej zbiórki. Najpierw wypalaliśmy fajkę pokoju, a dopiero potem decydowaliśmy o dalszych losach dnia. Problem był tylko z Wiktorem, bo najpóźniej o trzynastej musiał być w domu. To była fatalna godzina, która skutecznie blokowała nasze plany, żeby wypuścić się gdzieś dalej. Szwendaliśmy się więc we czwórkę po najbliższej okolicy, a to poleźliśmy do starej, zamkniętej cegielni porzucać kamieniami, a to kopnęliśmy się w stronę Rypinek, żeby popluskać się w stawie, albo szliśmy posiedzieć na dachu kamienicy w której mieszkałem. Pierwszy tydzień mojego urlopu przeleciał niczym jedno, leniwe popołudnie.

Ze względu na naszego kumpla mieszkającego w żalosnej, burżuazyjnej dzielnicy, poruszaliśmy się tylko w kierunku południowym od Złotych Dachów. Centrum miasta, rynek i park, Trufel nazwał Terenem Zakazanym. Oczywiście nasze poświęcenie nie było bezinteresowne. Skoro chcieliśmy jarać darmowe szlugi, to musieliśmy chronić człowieka, który zapewniał nam ich codzienną dostawę.

- Wiktor, może wyrwałbyś się jutro na cały dzień z domu, co? - Zapytałem i podałem Pesteczce faję, którą puściliśmy w kółeczko. - Skoczylibyśmy nad rzekę.

- No właśnie! - Trufel wpadł mi w zdanie. - Poszlibyśmy pobujać się na linie i zajrzelibyśmy na Jelenią Górę, może są już jeżyny? - Powiedział z nadzieją w głosie. - Mówię ci Wiktor, takie tam rosną jeżyny, jakich jeszcze w życiu nie widziałeś, prawda

chłopaki? O, takie, takie kurde duże jak mój kciuk. A jakie słodziutkie, mniam mniam - pogłaskał się dłonią po brzuchu.

- Daleko jest do tego miejsca o którym mówicie? - Zapytał.

- Spokojnym krokiem, to będzie prawie dwie godziny drogi - powiedział Pesteczka.

- Tam jest rzeka, nad jej brzegiem rośnie olbrzymie drzewo, a do gałęzi jest przywiązana lina na której można się pobujać...

- No właśnie! - Tym razem Trufel przerwał Pesteczce.

- Zamknij się krowi cycku - warknął jego rozmówca - ja teraz mówię! - I z całej siły pstryknął go w ucho.

- Auć! - Jęknął Trufel.

- No i przez ciebie zapomniałem, o czym kurwa mówiłem - powiedział i jednocześnie chciał go znów zdzielić w ucho.

- Przestań! - Trufel rzucił mu krótkie ostrzeżenie.

- Ja mam przestać? Zapamiętaj sobie, że jak ktoś gada, to się mu nie przerywa.

- Powiedziałeś, że jest rzeka, drzewo i lina na której można się pobujać - Wiktor przypomniał mu o czym mówił.

- No właśnie. I jest jeszcze nieduża plaża. Jednak najważniejsza jest lina. Łapiesz się, zaczynasz się bujać a potem puszczasz się i wpadasz prosto do wody. Świetna zabawa - dokończył relację, którą przerwał mu Trufel.

Spojrzałem na Wiktora. Miał taką minę, jakby nie za bardzo rozumiał, co może być w tym atrakcyjnego?

- To drzewo jest na skarpie - zacząłem mu wyjaśniać - jak się odpowiednio rozhuśtasz na linie i puścisz we właściwym momencie, to wpadasz do wody z wysoka - starałem się mówić obrazowo. - To jest tak wysoko...

- To jest tak wysoko, jakbyś skoczył z pierwszego piętra kamienicy - tym razem Trufel przerwał mój wywód, a wszystkie słowa wyrzucił z siebie z niebywałą szybkością.

Ja i Pesteczka z politowaniem wpatrywaliśmy się w jego uśmiechniętą gębę, natomiast Wiktor był najwyraźniej rozbawiony zaistniałą sytuacją.

- To w takim razie wybierzmy się tam jutro - powiedział.

Umówiliśmy się, że będziemy na niego czekać o ósmej rano przy cementarnym płocie obok Rogatki.

W drodze przez las Wiktor szedł obok mnie i rozmawialiśmy o jakichś duperelach. Pesteczka i Trufel kroczyli kilka metrów przed nami i cały czas kłócili się o jakąś bzdurę. Raz po raz jeden drugiemu walił pięścią w ramię, posyłał kopa w tyłek albo pstryczka w ucho.

- Oni tak zawsze? - Zapytał Wiktor i kiwnął głową w ich kierunku.

- Zawsze. Odkąd ich znam, a znam ich przez całe swoje życie - odparłem. - Wiesz, to tylko takie wygłupy, tak naprawdę, to jesteśmy serdecznymi kumplami. A ty masz jakichś przyjaciół? - Zapytałem.

Uśmiechnął się pod nosem i powiedział:

- Myślę, że tak. A ty jak sądzisz, mam przyjaciół czy nie mam? - Może udzieliło

się mu zachowanie Trufla i Pesteczki, bo kiedy wypowiedział swoje słowa, to delikatnie trącił mnie pięścią w ramię.

- Myślę, że masz - odparłem i odwzajemniłem się tym samym gestem.

- Mogliście wczoraj powiedzieć, żebym zabrał z sobą coś do jedzenia - powiedział.

- Nie domyśliłeś się? Przecież to wyprawa prawie na cały dzień - przełożyłem chlebak na drugie ramię. - Nic się nie martw, mamy tyle żarcia, że głodny nie będziesz. Następnym razem będziesz wiedział co ze sobą zabrać.

- Obawiam się, że następny raz nie nadejdzie tak szybko.

- Dlaczego? - Spojrzałem na niego.

- Bo jeżeli nie wrócę dziś o trzynastej do domu - stwierdził. - Złamię ustalone zasady, mój ojciec się wścieknie i pewnie zrobi mi książkowy areszt, aż do dnia wyjazdu na wczasy.

- Książkowy areszt? A cóż to takiego? - Zapytałem.

- Ojciec daje mi książkę i zamyka mnie w pokoju na klucz - powiedział. - Muszę czytać, a on później mnie egzaminuje z poznanej treści.

- Postanowiłeś dzisiaj złamać zasady? - Zapytałem.

- Jeszcze nie wiem - odparł Wiktor i sięgnął do kieszeni.

Nagle w jego dłoni ujrzałem elegancki, mieniący się złotym kolorem zegarek.

- Jest wpół do dziesiątej - powiedział Wiktor - jeżeli nie spodoba mi się nad rzeką, to zdążę do trzynastej wrócić do domu, a jeśli będzie fajnie - zrobił krótką pauzę - to czeka mnie książkowy areszt.

- Fajny masz zegarek - naprawdę byłem pełen podziwu. - Mogę zobaczyć?

Wiktor podał mi przedmiot.

- Jest ze złota? - Musiałem o to zapytać.

- Nie, no skądże - zaśmiał się.

- Hej chłopaki! - Krzyknąłem w kierunku Trufla i Pesteczki.

Zatrzymali się i spojrzeli w naszą stronę.

- Chcecie zobaczyć kieszonkowy zegarek ze szczerego złota?! - Spojrzałem na Wiktora, mrugnąłem do niego porozumiewawczo okiem i szepnąłem: - Niech myślą, że jest złoty.

Oczywiście naiwniacy dali się nabrać, sam bym się nabrał. Przez kilka chwil obaj o mało nie dostali wytrzeszczu oczu. Pesteczka był rozsądny i w mig zrozumiał, że to tylko żart. Natomiast Trufel mimo zapewnień Wiktora, że zegarek jest ze stali, nie przyjmował tego do wiadomości.

- Nie wierzysz? - Wiktor zapytał go już chyba dziesiąty raz.

- Nie wierzę, musi być ze złota - Trufel był uparty.

- Proszę bardzo, jest twój - powiedział. - Zatrzymaj ten zegarek.

- Naprawdę? - Trufel o mało nie dostał bezdechu.

- Poważnie. Od tej chwili należy do ciebie, a Karol i Stefan są świadkami, że ofiarowuję ci ten zegarek w prezencie. - Wiktor włożył mu przedmiot w dłoń. - Tylko go nie zgub.

- Dzięki Wiktor! Dzięki! - Trufel z radości o mało nie zlał się w gacie.

Tego dnia Wiktor nie dotarł do domu na trzynastą. Dochodziła czwarta, kiedy maszerowaliśmy leśną drogą, a jeszcze mieliśmy w planach zerknąć na Jelenią Górkę i sprawdzić, czy jeżyny są już dojrzałe. Okazało się, że leśne owoce nadawały się do natychmiastowego spożycia i spędziliśmy tam dobrą godzinę.

Zanim ruszyliśmy w drogę powrotną do domu, spaliliśmy jeszcze dwie fajki pokoju.

Była za kwadrans dwudziesta, kiedy stojąc obok Rogatki, pożegnaliśmy się z Wiktorem.

- To był fajny dzień - powiedział i spojrzał po naszych twarzach.

- Jeżeli unikniesz jutro książkowego aresztu - rzekłem do niego na odchodne - to wiesz gdzie nas szukać.

Wolnym krokiem zmierzaliśmy w stronę Złotych Dachów. W trakcie drogi wyjaśniłem moim kumplom, o co chodzi z tym tajemniczym aresztem.

Powoli zapadał lipcowy zmierzch, a my dalej siedzieliśmy na schodach przed zamkniętym magazynem. Poświata zachodzącego słońca mieniła się niczym łuna gigantycznej pożogi, a na jej krwistym tle, krawędzie dachów wyglądały jak ostre, czarne cienie. Srebrny sierp księżycy wisiał wysoko ponad linią horyzontu, a na wieczornym niebie z każdą chwilą zaczynały się pojawiać pojedyncze punkciki błyszczących gwiazd.

- No to miałeś dzisiaj farta - stwierdził Pesteczka, obracając w palcach zegarek. - Co powiesz w domu? Prawdę? Czy będziesz bujał, że znalazłeś?

- Nic nie powiem - Trufel wzruszył ramionami - bo nawet się nie pochwałę.

- Pewnie teraz Wiktor to twój najlepszy kumpel, co? - Pesteczka czasami naprawdę był gorszy od najzłośliwszego gнома.

- Przyznaj się, że zazdrościsz Truflowi - wtrąciłem się do rozmowy.

- Kto?! Ja?! Ja zazdroścę?! - Powiedział z niedowierzaniem i po chwili dodał: - Chyba ty!

Prawda była taka, że żaden z nas nie pogardziłby takim upominkiem.

Skoro już jestem przy temacie rękodzieła zegarmistrzów, to musicie wiedzieć, że w tamtych czasach efekt ich pracy, kosztował sporo pieniędzy. Wcale nie byłem zdziwiony, że Trufel nie ma zamiaru chwalić się swoim upominkiem. Gdybym nie był świadkiem tego zdarzenia, że Wiktor ot tak, po prostu miał gest i dał mu to cacko, to uwierzyłbym tylko w dwie możliwości. Znalezione lub kradzione.

- Pokaż ten zegarek - zwróciłem się do Trufla i wyciągnąłem dłoń.

Zerknąłem na cyferblat. Dochodziło wpół do dziesiątej.

- Powoli trzeba będzie zawijać się do domu - powiedziałem i sięgnąłem do chlebaka po paczkę fajek. - Zostały jeszcze trzy papierosy - spojrzałem na moich kumpli i zapytałem: - To co robimy gamonie, pykniemy sobie po całym czy jednego na trzech?

- Po całym - odpowiedzieli chórem.

Doskonale pamiętam tamten ciepły, lipcowy wieczór, bo w pewnym sensie był bardzo szczególny. Siedzieliśmy na schodach i ćmiąc papierochy, rozmawialiśmy o tym,

o czym mogą dyskutować tylko czternastoletni chłopcy.

Niebo z każdą minutą robiło się coraz ciemniejsze i mieniło się tysiącami jaskrawych gwiazd. Wszystko wskazywało na to, że jutro czeka nas równie pogodny i słoneczny dzień. Kilka minut później zmierzaliśmy wolnym krokiem w kierunku ulicy, a Pesteczka zaczął podpuszczać Trufla:

- Musisz coś postawić, bo takie są kurde zasady - trzepnął go delikatnie w ucho. - Masz do wyboru albo załatwiasz paczkę fajek, albo butelkę porzeczkowego wina - jego żądania były konkretne. - Lepiej uważaj, bo jeśli się z tego nie wywiążesz, to nie będziesz się długo cieszył swoim zegareczkiem. Prawda Ropuch, mam rację? - Rzucił w moją stronę.

- Oczywiście, że masz. Święte słowa - poparłem jego pomysł. - Może się zepsuć, albo go zgubisz... Byłoby szkoda, no nie? - Szturchnąłem Trufla w bok i posłałem mu swój czarujący uśmiech.

Kroczyliśmy środkiem brukowanej ulicy. Blask świec i naftowych lamp płonął w oknach kamienic, a my z Pesteczką niczym dwa uparte osły, uświadamialiśmy Trufla, że jutro musi nas zadowolić, albo na jego zegarek spadnie klątwa.

- No to co chłopaki - powiedziałem, kiedy doszliśmy do najbliższego skrzyżowania. - To do jutra i widzimy się rano na schodach.

- Do jutra.

- Na razie.

Ruszyłem przed siebie. Kiedy usłyszałem, jak zegar na wieży ratusza wybija pełną godzinę, przyśpieszyłem kroku. Miałem z moją mamą umowę, że najpóźniej zjawiam się w domu o dwudziestej drugiej, jednak ostatnimi czasy zaczynałem się spóźniać kilka minut. Dziarsko maszerowałem przed siebie, a głowę zaprzętały mi wydarzenia dzisiejszego dnia. W głębi duszy, to zazdrościłem Truflowi, że miał takiego cholernego farta, a potem pomyślałem o tym, że za kilka dni kończy się mój urlop i trzeba będzie znowu wrócić do pracy...

Świat dookoła spowijała ciepła, lipcowa noc. W świetle ulicznych latarni ta część Złotych Dachów, gdzie ciągnęły się rzędem ceglane czworaki, wyglądała zupełnie inaczej niż za dnia. Mieszkańcy Kalisza szykowali się do snu i tylko nieliczni wiedzieli, że kilkanaście godzin temu cesarstwo Austro-Węgier wypowiedziało wojnę Serbii. Nie sądzę, żeby ktokolwiek przypuszczał, iż dokładnie za siedem dni ruszy lawina wydarzeń, która będzie początkiem prawdziwego barbarzyństwa. Nikt nie mógł przewidzieć skali szaleństwa, jakie się tutaj rozpęta. Nikt sobie nawet nie wyobrażał, że kaliszanie zaczną w popłochu porzucać swoje domy i czym prędzej opuszczać miasto. Miasto, które za niespełna miesiąc, miało przypominać jedno, wielkie gruzowisko.

Tylko człowiek mógł dokonać zniszczeń na tak ogromną skalę.

W tamtych czasach jedynym źródłem informacji było słowo pisane. Następnego dnia na każdym rogu ulicy rozlegały się nawoływania młodych gazeciarzy:

- Kupujcie gazety! Kupujcie! Wojna w Serbii! Dziesięć kopiejek! Kupujcie!

Przez kilka następnych dni, wszystkie drukarnie świata zarabiała krocie. Złe

wiadomości zawsze sprzedają się najlepiej. Pierwsze strony gazet obwieszczały koszmarną nowinę, a dziennikarze prześcigali się w wymyślaniu krzykliwych nagłówków. Nie miałem absolutnie żadnego pojęcia, co się dzieje? Dlaczego nagle zapanowała taka nerwowa atmosfera? Dlaczego u nas przejmują się tym, że cesarz Franciszek Józef I wypowiedział Serbom wojnę? Wtedy nikt nie potrafił mi tego wyjaśnić. Dopiero kilka lat później zrozumiałem, że eskalacjami konfliktu, które w rezultacie porwały świat w szpony I wojny światowej, były skomplikowane sojusze międzypaństwowe. Uświadomiłem sobie również, że Wiktor miał rację, kiedy powiedział, iż zwykli ludzie zmieniają losy świata. Gdyby dwudziestoletni anarchista Gavrilo Princip, który miesiąc wcześniej w Sarajewie oddał śmiertelne strzały do pary monarchów, nie pociągnął wtedy za spust, to Bóg jeden raczy wiedzieć, czy w ogóle wybuchłaby Wielka Wojna. Może historia ludzkości potoczyłaby się zupełnie innymi torami i dzisiejszy świat miałby całkiem inne oblicze? Trudno powiedzieć, ale za to dzisiaj mamy ten luksus, że możemy sobie o tym pofantazjować w kategorii "co by było gdyby".

Gavrilo Princip nie doczekał końca wojny i jak podają historyczne źródła, zmarł w więziennym szpitalu wiosną 1918 roku. Wybaczcie, ale nie mogę się oprzeć i muszę wam o czymś napisać, bo to wszystko czasami w jakiś dziwny sposób wiąże się i zazębia. Nie wiem, może jestem w błędzie, a może po prostu mam świra na punkcie magii liczb...

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych we wronieckim więzieniu, raz w tygodniu wszyscy pospolici skazańcy, którzy nie byli zaklasyfikowani jako polityczni, brali udział w tak zwanych zajęciach populistycznych. W skrócie nazywano to "ZP", a między więźniami ów skrót znaczył "zwykłe pierdolenie". Nie ma sensu, żebym wam tłumaczył całą ideę tych zajęć, krótko mówiąc, był to jeden z socjalistycznych absurdów. W praktyce wyglądało to tak, że grupa osadzonych udawała się do sali wykładowej. Co? Jesteście zdziwieni? Tak było. We wronieckim więzieniu mieliśmy wtedy salę wykładową z prawdziwego zdarzenia. To było jedno z kilku pomieszczeń, które powstały w miejscu dawnej stołówki. Własnymi rękami zrobiłem mównicę dla wykładowcy, tablicę na pół ściany oraz ławki dla słuchaczy, które stały ułożone w dwóch rzędach. Kiedy już nas spędzili w to miejsce, zjawiał się nasz etatowy kacyk i mówca, porucznik Folczak. Oczywiście klawisze również byli obecni i czuwali nad naszym zachowaniem. Zajęcia polegały na tym, że słuchaliśmy wykładu, a potem mieliśmy pięć minut przerwy. Wtedy można było zapalić i swobodnie porozmawiać z ziomkami. Natomiast po przerwie, był tak zwany panel dyskusyjny. Komedia, mówię wam prawdziwa komedia. Nigdy nie mogłem pojąć, jaki w tym wszystkim był sens, ale mniejsza o to. Sytuacja, o której chcę wam opowiedzieć, zdarzyła się w kwietniowe popołudnie 1968 roku.

Folczak stanął za mównicą, położył przed sobą swoje notatki, przez kilka chwil spoglądał po naszych twarzach i w końcu rzekł:

- Dziś opowiem wam o bohaterze, który zmienił losy świata. O człowieku, którego czyn zapoczątkował wielkie, epokowe zmiany - Folczak miał dar jeśli idzie o gadane. Ten facet czasami potrafił przez pół godziny mówić o niczym, po prostu lał wodę i nawet się nie zająknął.

Prawdę powiedziawszy, to lubiłem słuchać jego gadania, chociaż czasami przesadzał z nadmierną ilością pustych frazesów i banałów. Ja wiem, że towarzysz porucznik musiał być politycznie poprawny, ale niekiedy tych bzdur po prostu nie dało się słuchać. To było zwykle pierdolenie w najlepszym wydaniu. Jednak tamtego dnia, zaczął mówić o kimś, kto w pewnym sensie był mi bliski. Folczak rzetelnie przygotował się do swojego wykładu. Raz po raz zerkał w zapiski i rzucał nawet konkretnymi datami. Tamtego popołudnia usłyszeliśmy, kim był Gavrilo Princip. Nie wiem na ile jego historia była prawdziwa, ale jeżeli miałbym spojrzeć na opowieść tego kacyka ze strony czysto literackiej, to powiem wam, że tylko kurde, filmy kręcić!

- Tak towarzysze, dokładnie dziś - nasz mówca pochylił się nieco w przód - obchodzimy pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci. Zapamiętajcie sobie tę datę. 28 kwietnia.

Kilka dni później poprosiłem archiwistę Szorpaka, żeby pożyczył mi jakąś książkę z której mógłbym dowiedzieć się jak najwięcej o zamachu na Franciszka Ferdynanda.

Znając Szorpaka, którego tak na marginesie uważałem za swojego dobrego kumpla, powinienem się spodziewać, że jak zwykle mnie zaskoczy. Przyniósł nie jedną, ale sześć książek, a każda z nich była gruba jak encyklopedia.

- Moim zdaniem - powiedział - ta jest najlepsza - i wskazał palcem na tytuł "Śmierć Franciszka Ferdynanda". - Co do treści, to w trakcie czytania przekonasz się, że miejscami - i chociaż byliśmy w podziemiach archiwum sami, to zniżył nieco ton swojego głosu i dodał: - Miejscami ta książka jest bardzo socjalistyczna. Myślę, że autor - ciągnął mój rozmówca, a ja spojrzałem ponownie na okładkę. Ponad tytułem widniało imię i nazwisko pisarza, Tibor Graskovic. - Myślę, że autor - powtórzył się - napisał ją pod dyktando jugosłowiańskich władz, ale dzięki temu książkę przetłumaczono na kilka języków. Między innymi na polski. Jest sporo zdjęć, których nigdzie wcześniej nie publikowano i jest bardzo dużo informacji historycznych o wszystkich działaczach i bojówkach, które przeciwstawiały się w tamtych czasach władzy cesarskiej. Wyobraź sobie, że jeden z ludzi zamieszanych w ten zamach nadal żyje i nawet sprawuje bardzo wysokie stanowisko rządowe.

- Żartujesz? - Byłem autentycznie zdziwiony.

- Nie, nie żartuję. Miłej lektury - powiedział.

Przeczytałem dzieło Graskovica, jak to mówią od deski do deski. Niektóre akapity tej książki wywoływały u mnie prawdziwe dreszcze, a inne budziły uśmiech politowania. Szorpak miał rację, ta lektura w pewnym sensie została napisana pod dyktando tamtejszej władzy. Fakt, było sporo archiwalnych fotografii i wiele ciekawych informacji dotyczących spiskowców. Moim skromnym zdaniem, autor mógł sobie darować miejscami ich przesadną gloryfikację. Najbardziej jednak interesowała mnie postać zamachowca, o której opowiedział nam Folczyk. To przez te cholerne "ZP" obudziły się we mnie dawne wspomnienia. Przecież o tym człowieku mówił Wiktor, kiedy ponad pół wieku temu siedzieliśmy na schodach przed magazynem i nagle, ten sam Gavrilo Princip, znowu pojawia się w moim życiu. Człowiek, który swoim czynem pchnął świat ku globalnej wojnie i przy okazji, zamienił w koszmar młodość trzech łebków ze Złotych

Dachów. Pocisk historii uderzył w nasze życie rykoszetem i rozszarpał je na strzępy. Może sądzicie, że dochodzę do idiotycznych wniosków, ale tak to właśnie postrzegam. Tylko coż teraz można zrobić? Zdeklarować swoją nienawiść do martwego kolesia? Czy to coś zmieni? Z drugiej strony można mu tylko współczuć, bowiem przez kilka lat dźwigał na swoich barkach niewyobrażalne brzemię. Czy będąc na jego miejscu, potrafilibyście się pogodzić z własnym sumieniem? Ja nawet sobie nie wyobrażam, jak można żyć z taką świadomością i nie oszaleć?! Ciężki temat, ale nie o tym chciałem pisać. Na przykładzie Principa udowodnię wam, że z jakichś nieznanych mi jeszcze powodów, których być może nigdy nie rozszyfruję, liczby mają wpływ na ludzkie życie. Tibor Graskovic podaje w swojej książce skrupulatne fakty i konkretne daty wydarzeń. Te informacje są dla mnie tylko kolejnym, niepodważalnym dowodem, że żaden człowiek nie powinien lekceważyć magii liczb. A tak na marginesie, to jestem nieco zdziwiony, że pisarz nie zwrócił na to uwagi. No cóż, być może skupiał się na innych, ważniejszych sprawach.

Przechodząc do sedna, chcę wam w kilku zdaniach uświadomić, że Gavrilo Princip był naznaczony przez liczbę 28.

W roku 1910 kiedy skończył szesnaście lat, został członkiem nieformalnej organizacji, która nazywała się Młoda Bośnia. Różnymi słowami określano tę formację - anarchiści, patrioci, terroryści, nacjonaści, rewolucjoniści, wywrotowcy... Wiadomo przecież, że poprawne określenia zależą jedynie od punktu widzenia lub siedzenia. Jednak mniejsza o to, jak ich zwał. Ważne jest to, że 28 października Gavrilo zostaje członkiem Młodej Bośni. W roku 1912 Princip poznaje w Belgradzie niejakiego Dragutina Dimitrijevic, założyciela tajnej organizacji spiskowej Zjednoczenie lub Śmierć, która zapisała się na kartach historii pod nazwą Czarna Ręka. Do ich pierwszego spotkanie dochodzi w dniu 28 marca, a dokładnie pół roku później 28 września 1912 roku młody Gavrilo zostaje zaprzysiężony w szeregach Czarnej Ręki. Chociaż w tym wypadku istnieją dwie wersje wydarzeń, a druga z nich mówi, że nie został przyjęty, a nawet wyśmiany przez jednego z najważniejszych członków tej organizacji. Trudno dziś dociec prawdy. Wiadomo jednak, że Princip jest inteligentnym młodzieńcem, studiuje i ma twarde nacjonalistyczne przekonania. Duchowo silny i pełen charyzmy, na zewnątrz drobny, wątły i marnej postury. Jest jednak człowiekiem, który wierzy w sprawę i co najważniejsze, jest gotów za nią umrzeć. Z początkiem wiosny 1914 roku władze Czarnej Ręki zaczynają wcielać w życie plan zamachu na Franciszka Ferdynanda. Gavrilo Princip ponoć zostaje jednym z ochotników, którzy chcą się podjąć tego wyzwania i tutaj też pojawia się kwestia sporna, bowiem inne źródła historyczne mówią, że został wybrany na zasadzie selekcji. Moim zdaniem, tak czy siak, musiał należeć do Czarnej Ręki. 28 maja Princip wraz z czwórką innych spiskowców zostaje przetrzucony przez austro-węgierską granicę i udaje się do Sarajewa. Do zamachu dochodzi 28 czerwca. Arcyksiężęca para ginie z jego ręki na Moście Łacińskim, który w powojennej Jugosławii nazywano mostem Principa.

Miesiąc później 28 lipca 1914 roku Austro-Węgry wypowiedają Serbii wojnę i tę nieszczęsną datę przyjmuje się za dzień rozpoczęcia Wielkiej Wojny. Konflikt w sercu Europy błyskawicznie przyjął globalne rozmiary i został nazwany przez historyków I

wojną światową. W tym samym czasie w Sarajewie toczy się proces pojmanyh spiskowców. Odczytanie wyroku odbyło się 29 października 1914 roku, jednak z zachowanych dokumentów wynika, że sędziowski werdykt zapadł dzień wcześniej, a 29 października po prostu oficjalnie podano go do publicznej wiadomości. I co powiecie na to? Liczba 28 bezustannie pojawia się w życiu Principa i to jeszcze nie koniec! Gavrilo ze względu na swój młody wiek, zostaje skazany na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia. Karę odbywa w twierdzy w Terezynie. Trafia tam w grudniu 1914 roku, a na drzwiach celi w której zostaje osadzony widnieje numer... 28. Klawisze nie pozwalają, żeby Princip zapomniał, jakiej dopuścił się zbrodni i dlatego konsekwentnie, każdego 28 dnia miesiąca, zamykają go w karczerze. W ten sposób oddają skromy hołd zamordowanemu władcy. W kwietniu 1917 roku, dokładnie w 28 miesięcznicę, kiedy Gavrilo został osadzony w Terezynie, trafia na izbę chorych. Lekarz diagnozuje u niego początki gruźlicy, ale nikt nie przejmuje się stanem zdrowia byłego zamachowca. Z dokumentów, które przetrwały w szpitalnym archiwum wynika, że był hospitalizowany przez 28 dni. Niespełna rok później, dokładnie 28 kwietnia 1918 roku, człowiek, który swoim czynem pchnął świat w paszczę szaleństwa umiera w obskurnej celi.

I co powiecie? Przypadek? Ślepy traf? Zbieg okoliczności? Jak myślicie? Chyba trochę za dużo tej liczby 28 jak na jedno życie, prawda?

Myślę, że większość z was czuje się teraz zaintrygowana, a niektórzy może nawet szepczą w duchu - *Kurde, faktycznie coś w tym jest!*

Niechętnie sięgam pamięcią do pierwszych dni sierpnia 1914 roku i doskonale wiem, że nigdy nie pozbędę się tych wspomnień. Sądzę, że każdy kto miał okazję czytać moje wcześniejsze zapiski, ma wyrobione zdanie na temat mojej osoby. Myślę też, że niektórzy z was, mogliby śmiało potwierdzić (nawet przed ławą przysięgłych), że lubię rozmyślać i kreować wizje wychodząc z założenia - co by było gdyby... Czasami to moje "gdyby" wyskakuje poza ramy rzeczywistości, jest wręcz bajkowe, fantastyczne, ale ja po prostu kocham to robić. To mnie odpręża i nie ukrywam, że sprawia mi wielką frajdę. Tak już mam.

W moim wypadku z takiego niewinnego gdybania rodzą się w mojej głowie różne spostrzeżenia. Dla mnie w pewnym sensie, jest to lekarstwo, które potrafi ukoić gówniane wspomnienia z przeszłości.

Każdy człowiek nosi w głowie jakąś parszywą historię z dzieciństwa, o której chciałby zapomnieć, a najchętniej pragnąłby ją na zawsze wymazać z pamięci. Każdy. Co do tego, nie mam żadnych wątpliwości. Nie chodzi o to, jaki grzech najbardziej wam ciąży w duszy, ale o to, co was kiedyś przerażyło, aż do szpiku kości. Chodzi mi o sytuację, albo zdarzenie, które sprawiło, że poczuliście wtedy prawdziwy strach. Namacalny, rzeczywisty strach, który przeszył was na wylot niczym stalowe, zimne ostrze.

Staram się precyzyjnie wyjaśnić, co mam na myśli i ufam, że rozumiecie do czego zmierzam. Każdy człowiek, zdrowy na ciele i umyśle, odbiera świat wszystkimi zmysłami, jakimi został obdarzony. Funkcjonujemy dzięki temu, że czujemy dotyk, rozpoznajemy smaki, zapachy, kolory i dźwięki. Potrafimy się komunikować.

Fizjologicznie jesteśmy przystosowani, żeby przetrwać w przyrodzie, a według teorii Darwina wspięliśmy się na szczyt ewolucyjnej drabiny. Wszyscy ludzie ulegają emocjom i uczuciom, a każdy człowiek wie czym jest radość, strach, szczęście, ból, poczucie bezpieczeństwa, złość, miłość, trwoga, nadzieja, głód, wiara, zazdrość... Mógłbym tak jeszcze długo wymieniać, ale nie w tym rzecz. Ważne jest to, że w miarę upływu lat w zupełnie naturalny sposób, uodparniamy się na różnego rodzaju doznania. Zmieniamy się. Mimowolnie obrastamy twardą skorupą. Chodzi mi o to, że kiedy jesteśmy bardzo młodzi, kiedy dopiero emocjonalnie zaczynamy dojrzewać, to nasze wszystkie doznania są bardzo intensywne. Prosty przykład, każdy z was na pewno pamięta, jak będąc dzieckiem dostał swój upragniony prezent, prawda? Pamiętacie tamtą radość? To magiczne uczucie, że za chwilę eksplodujecie ze szczęścia? Oczywiście, że pamiętacie i to nawet bardzo dobrze. Mało tego, bo od czasu do czasu wspominiacie to zdarzenie i z nostalgią uśmiechacie się od ucha do ucha. O tak, tamten cudowny moment wyrwał się w waszej pamięci. Mam rację, zgadza się? Tak samo pamiętacie ten podły dzień, kiedy doświadczyliście uczucia przerażenia lub strachu. Ta chwila tkwi głęboko w waszych wspomnieniach, ale bardzo rzadko wracacie do niej myślami.

Też tak mam, a szczególnie wówczas, jak myślę o dniach, kiedy mój beztroski, chłopięcy świat, zamienił się w wojenną rzeczywistość.

Byłem wtedy młody. Za młody, żeby cokolwiek zrozumieć i żeby oglądać te wszystkie okropności. Nikt nie powinien tego widzieć.

Nie będę tutaj pisał jakiegoś historycznego referatu, bo na temat I wojny światowej wydano setki podręczników. Jeżeli jesteście zainteresowani tym tematem, to sami musicie sięgnąć do jakichś lektur, aczkolwiek o kilku sprawach związanych z Kaliszem na pewno wspomnę.

Z początkiem sierpnia 1914 roku, do Kalisza wkroczyła niemiecka armia i praktycznie przejęła miasto bez żadnego wystrzału. Faktem jest, że sytuacja była nerwowa i napięta, a dwa dni później wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy, prowokacji, nieporozumień i kilka niejasnych zająć. Potem padły pierwsze strzały i wojenna machina rozniosła nas w drobny kurz. W ciągu trzech tygodni, miasto zostało prawie całkowicie zniszczone. Doskonale pamiętam jak ziemia drżała od wybuchów, a przestrzeń rozrywały echa eksplozji. Artyleryjskim ostrzałem nie było końca. Kiedy tylko zaczynało rozlegać się złowieszcze dudnienie, razem z innymi mieszkańcami w pośpiechu chowaliśmy się w piwnicy. Kobiety, dzieci, starcy, mężczyźni... wszyscy jak jeden modliliśmy się, żeby żaden pocisk nie trafił w naszą kamienicę. Niektórzy twierdzili, że Niemcy chcą zrównać Kalisz z ziemią, jakby postawili sobie za punkt honoru, żeby usunąć z mapy najstarsze polskie miasto. Miasto, które jeszcze jakiś czas temu tętniło życiem, z dnia na dzień opustoszało. Starówka, która od zawsze była dumą kaliskiej ziemi, przypominała jedno, wielkie gruzowisko. Pozostałości ratusza i teatru zostały umyślnie podpalone przez niemieckich żołnierzy i ogień zamienił je w zgliszcza. Ludzie porzucali swoje zniszczone domostwa, zabierali z sobą to, co udało im się ocalić i uciekali jak najdalej stąd. Nie wszyscy jednak mieli taką możliwość, żeby ruszyć w świat w poszukiwaniu nowego

miejsca do życia. Co miała zrobić moja mama? Dokąd pójść?

Pierwsze tygodnie wojny były koszmarne. Brakowało wody i żywności, a ja nie mogłem pojąć, dlaczego dookoła mnie dzieją się takie okropne rzeczy? Dlaczego niemiecka armia bezustannie ostrzeliwała bezbronne miasto? Jakim cudem ich pociski zmiotły tylko dwa czworaki na wschodnim krańcu Złotych Dachów, a resztę zabudowań oszczędzili? Bóg jeden raczy wiedzieć ile istnień zostało przysypanych pod gruzami.

Sytuacja uspokoiła się w ostatnim tygodniu sierpnia.

Przestali strzelać.

Docierały do nas wieści, że nocami bandy szabrowników rabowały opuszczone domy. Sąsiedzi mówili, że bracia Klepińscy, którzy mieszkali obok starej cegielni, plądrowali willowe dzielnice Kalisza. Ponoć nawet kogoś tam zabili... Działy się wtedy złe rzeczy i nikt nie był w stanie nad nimi zapanować. Niemcy niby kontrolowali sytuację, ale nawet wojskowe patrole nie zapuszczały się w wyludnione części miasta.

Któregoś wieczoru u drzwi naszego mieszkania rozległo się pukanie.

- Pani Żabikowska, proszę otworzyć! Niech się pani nie obawia. Proszę otworzyć.
To ja, Marciniak ze szpitala.

Mama wpuściła go do środka.

Siedziałem w kuchni i słyszałem ich rozmowę.

- Potrzebujemy rąk do pracy - powiedział mężczyzna - szpital ocalał, została zniszczona tylko część wschodniego skrzydła. Jeżeli pani nie opuszcza miasta, to może chciałaby pracować? - Zapytał. - Niemcy rekrutują personel i kazali nam w pierwszej kolejności zatrudniać byłych pracowników. Niech pani zobaczy, mam przepustki. Wystarczy, że wpiszę tutaj pani imię i nazwisko. Zostanie pani salową. Jak będzie pani miała przy sobie ten dokument i swoją metrykę, to może śmiało poruszać się po mieście. Niemieckie patrole kontrolują każdego i zatrzymują wszystkich, którzy nie mają takiego pozwolenia. Więc jak będzie? Chce pani pracować? To jedyna szansa, żeby teraz przetrwać.

Moja mama, chociaż była pełna obaw, przyjęła jego ofertę.

Coś musiała zrobić.

Cokolwiek.

Od blisko miesiąca oboje siedzieliśmy w domu i zaczynało nam już brakować żywności.

Dostała od Marciniaka przepustkę z czerwoną pieczęcią, tak zwany "ausweis".

Nie miałem pojęcia jak wyglądają kaliskie ulice, bo od dnia kiedy skończyłem urlop, utknałem w kamienicy na Złotych Dachach. Praktycznie nie wychodziłem z domu.

Następnego ranka moja mama powiedziała:

- Stefek, idę do pracy i proszę cię dziecko drogie, nigdzie nie wychodź, dobrze?

- Dobrze mam - odparłem i przecierając oczy podniosłem się z łóżka.
 - Obiecujesz?
 - Tak mam obiecuję - odparłem.
 - Na stole w kuchni masz śniadanie. Kocham cię synku - pocałowała mnie w czoło.
- Nie wiem o której wrócę, a ty zamknij drzwi na klucz, nie wyglądaj przez otwarte okno i nie wychodź z domu.

Przez dwa następne dni siedziałem plackiem i umierałem z nudów. Mama wychodziła rano i wracała dopiero wieczorem. Oczywiście korciło mnie, żeby wyjść na dwór, ale to faktycznie mogło być niebezpieczne. Żałowałem, że w naszej kamienicy nie mieszka żaden dzieciak w moim wieku, wtedy przynajmniej moglibyśmy coś wspólnie porobić. Kiełkowały mi w głowie pomysły, żeby przemknąć podwórkami do Trufla albo Pesteczki. Nie było daleko. Jednak kiedy spoglądałem przez okno na ulicę i widziałem, że świeci pustkami, to wołałem nie ryzykować.

Mama mówiła, że Kalisz wygląda koszmarnie, a ja nie potrafiłem sobie wyobrazić, na czym ten koszmar miał polegać? Opowiadała o zburzonych kamienicach, o zgliszczach, tylko co z tego, skoro nie miałem żadnego porównania? Z okna w pokoju widziałem wybrukowaną ulicę, a z kuchni mogłem się gapić na podwórko. Wszystko wyglądało jak zawsze.

Trzeciego dnia nie mogłem już usiedzieć na miejscu. Czuję się jak pustelnik. Po prostu musiałem wyjść, choćby na chwilę.

To było ostatnie, upalne przedpołudnie sierpnia. Stałem w drzwiach klatki schodowej i spoglądałem na ulicę. Pusto. Nie było żywego ducha, ani przysłowiowego psa z kulawą nogą. Gdyby nie odgłosy rozmowy dobiegające z mieszkania na parterze, mógłbym przysiąc, że jestem jedynym człowiekiem w dzielnicy. Stary Kacperczyk, który mieszkał pod dwójką razem ze swoją schorowaną żoną, znowu się awanturował o jakąś pierdołę. To był zgorzkniały facet. Nigdy go nie lubiłem. Wszyscy przezywali go kuternoga, ze względu na drewnianą protezę. Jeszcze zanim się urodziłem, Kacperczyk miał wypadek w fabryce, ponoć jakaś maszyna zmiażdżyła mu stopę i pół łydki. Lekarze nic nie mogli zrobić i obcięli mu prawą nogę tuż pod kolanem. Był chyba najbardziej znanym inwalidą na Złotych Dachach. Po wypadku dalej pracował w fabryce, ale jako nocny stróż. Wśród dzieciaków z naszej ulicy, krążyły o nim legendy. Straszyliszy się nawzajem, że jeśli ktoś spotka kuternogę po zmierzchu, to może się to dla niego źle skończyć. Pamiętam jak czasami staliśmy w bramie ukryci w cieniu, a Pesteczka wołał w jego kierunku:

- Hej kuternoga, dokąd tak kuśtykasz?!

Kacperczyk zawsze był wtedy w bezpiecznej odległości i na dodatek po drugiej stronie ulicy. Obracał się w naszym kierunku i kurwując na czym świat stoi, machał do nas dłonią zaciśniętą w pięść. Któregoś razu Truflowi coś strzeliło do łba i wypchnął Pesteczkę z bramy. Kuternoga może był niesprawny, ale za to miał sokoli wzrok. Zatrzymał się w miejscu i krzyknął:

- Wiem kim jesteś parszywy gnojku! Znam twojego ojca ty chodzący wypierdku, nazywasz się Chorański! Wiem gdzie mieszkacie! - Wrzasnął i jak na kalekę, bardzo energicznym krokiem ruszył w naszą stronę.

Nie zastanawialiśmy się nawet sekundy, tylko daliśmy dyla.

Pamiętam, że tamtego dnia Pesteczka o mało nie zesrał się w gacie. Bał się, że Kacperczyk może przyjść na skargę, a wtedy ojciec zrobiłby mu z dupy miazgę. Po tym zdarzeniu Pesteczka i Trufel nie odzywali się do siebie chyba ze sto lat. Pogodzili się dopiero wtedy, jak najgrubszy z nas podarował mu w ramach przeprosin dwie szklane kulki.

Stałem w drzwiach, spoglądałem na pustą ulicę i kombinowałem, którymi podwórkami byłoby najkrócej, żeby dotrzeć pięć przecznic dalej. Kiedy dziś o tym myślę, to czuję dreszcz na karku i zastanawiam się, jak mogłem być aż takim idiotą? Najwyraźniej brakowało mi wyobraźni i nie zdawałem sobie sprawy, że mogła mnie wtedy spotkać tragedia. Cóż z tego, że znałem Czaszki jak własną kieszeń? Cóż z tego, że wiedziałem którędy trzeba pomknąć, ale przecież mogłem wpaść na wojskowy patrol i wtedy byłoby ze mną krucho.

Miałem świadomość, że robię coś kretyńskiego, ale postanowiłem zaryzykować. Zrobiłem to. Pobiegłem skrótami przez znajome podwórka. Pokarało mnie za moją głupotę, bo natknąłem się jednak na coś innego i zawsze żałowałem, że tak się stało.

Zawsze.

Okrężną drogą dotarłem do budynków starego magazynu, precyzyjnie się przez dziurę w płocie i pogałę przed siebie. Potem minąłem starą cegielnię i byłem już całkiem blisko celu. Wychyliłem głowę zza muru i spojrzałem w prawo. W oddali zobaczyłem, że budynek piekarni zamienił się w perzynę. Na ten widok wzdrygnąłem i wtedy chyba zrozumiałem o czym mówiła moja mama. Przebijając nogami, popędziłem w tamtym kierunku. Przeskakiwałem ponad rozbitymi fragmentami ceglanych ścian. Z piekarni został tylko komin, którego górna część wyglądała tak, jakby za chwilę miała runąć. Na stercie gruzu spoczywały połamane belki stropowe, potłuczone dachówki i nienaturalnie powyginane pręty. Skręciłem w lewo i natychmiast zatrzymałem się w miejscu. Przede mną rozpościerał się ponury, apokaliptyczny pejzaż. Jak okiem sięgnąć nie było żadnych domów. Tu, gdzie jeszcze jakiś czas temu stały okazałe gmachy i kamienice, były teraz zwały ruin i dymiących zgliszczy. Potężne rumowisko, które wyglądało jak krajobraz z koszmarnego snu. Jak pocztówka z innego świata. Gdzieniegdzie wznosiły się w niebo pojedyncze kikuty rozszarpanych ścian. Po prawej, budynek gimnazjum nie miał całej południowej ściany i dachu, a wszystkie okiennice były pootwierane na oścież i miały powybijane szyby. Zahipnotyzowanym wzrokiem omiatałem okropną scenerię. Nagle usłyszałem bzyczenie. Pomruk docierał zza hałdy, która była tuż przede mną. To był bardzo dziwny odgłos. Podeszedłem bliżej i kiedy wychyliłem głowę w moje nozdrza uderzył cuchnący odór. W dole leżał martwy koń, albo raczej to, co z niego zostało. Tysiące much obsiadło jego rozerwany tułów, z którego wystawały strzępy śmierdzących trzewi. Boże, nigdy w życiu nie czułem takiego smrodu! Odwłoki tych cholernych much połyskiwały w promieniach sierpniowego słońca szklistym, szmaragdowym blaskiem. Żarły łapczywie i pasły się na końskiej padlinie. Zasłoniłem dłonią usta, jakbym się bał, że zaraz zwymiotuję. Zwierz musiał oberwać jakimś solidnym odłamkiem, bo wyrwało mu pół brzucha. Na łbie nadal miał założoną uzdę, a z pyska wystawał mu siny język. Miał otwartą powiekę, ale jego gałka oczna

wyglądała jak matowa, brązowa kula, wciśnięta w czaszkę. Trudno mi powiedzieć, jak długo tam leżał, ale krew, która chlusnęła z jego rany na gruzy, zdążyła już szernieć. Tuż za jego zadem leżał roztrzaskany wóz z jednym ocalałym kołem. Cofnąłem się. Jeżeli chciałem iść dalej, musiałem obejść to miejsce bokiem. Zrobiłem kilka kroków i nagle kątem oka zobaczyłem, ludzką dłoń. Powinienem był wtedy uciec i wrócić do domu, ale jakaś niewidzialna moc popychała mnie do tego, żeby zerknąć, żeby sprawdzić, zobaczyć i chociaż tylko raz spojrzeć. Nie myślałem o tym, czy ten człowiek żyje. Nawet mi to nie przyszło do głowy. Chyba wiedziałem, że jest martwy. Zrobiłem kolejny krok. Dostrzegłem łokieć, a potem ramię, na którym widniał tatuaż w kształcie kotwicy. Postawiłem drugą stopę i wtedy ujrzałem, że jego ciało leży jakieś dwa metry dalej. Wszystko wskazywało na to, że podczas eksplozji urwało mu rękę w barku. To musiał być woźnica, może nawet ten sam, który rozwoził węgiel po Złoty Dachach. Nie wiem. Leżał bez ruchu twarzą do ziemi. Stałem w miejscu i nie mogłem zrobić kroku. Nie mogłem nawet drgnąć. Paraliżujący strach zamienił moje wszystkie mięśnie w twardą stal. Przez dłuższą chwilę przyglądałem się, jak chmara tłustych much oddaje się wyżerce. Były wszędzie. Dosłownie wszędzie gdzie mogły tylko przysiąść i zajadać rozkładające się ciała. W moich uszach rozlegało się to okropne bzyczenie, a w nozdrzach panoszył się potworny smród.

 Nie zapanowałem nad swoimi odruchami i zwymiotowałem.

 Tamtego przedpołudnia nie dotarłem do celu, ale również nie pamiętam jak wróciłem do domu. Pewnie tą samą drogą, którą doszedłem w to miejsce.

 Potem przez długie tygodnie śnił mi się ten koszmarny obraz. Zawsze to samo ujęcie. Koń z rozszarpanymi bebechami, człowiek z wyrwaną ręką, rozprute flaki i zaschnięta krew na gruzach. Słyszę to cholerne bzyczenie i czuję ten paskudny odór. Intensywny, słodko-kwaśny smród, cuchnącej zgnilizny.

 Ten widok na zawsze wrył się w mojej pamięci. To była najbardziej obrzydliwa rzecz, jaką widziałem. Nigdy więcej w swoim życiu nie czułem się tak przerażony, jak tamtego sierpniowego dnia. To był właśnie ten najbardziej ponury moment, który zapamiętałem ze swojego dzieciństwa. Zobaczyłem śmierć i przekonałem się, że można ją również usłyszeć i poczuć jej odrażający zapach. Całkiem możliwe, że wiele lat później, kiedy pojawiła się moja zmora, którą nazwałem Końska, ma jakiś związek z tamtym wydarzeniem. Może mój umysł znalazł w niej ucieleśnienie strachu, którego doświadczyłem jako nastoletni chłopiec?

 - Wiesz, kiedy szłam dzisiaj do pracy skręciłam w Fabryczną, żeby zobaczyć czy stolarnia Skoczyńskiego przetrwała - powiedziała mama, kiedy wieczorem siedzieliśmy w kuchni. - Jego dom ocalał, ale warsztat jest w połowie zniszczony.

 - Stolarnia działa? - Zapytałam.

 - Chyba nie, bo nikogo tam nie widziałam, a u drzwi wisiała kłódka. Ciekawa jestem czy jego rodzina została w mieście?

 - Może pójdziemy tam razem któregoś dnia i zapytamy go czy miałby dla mnie jakąś pracę? - Zasugerowałam.

- Absolutnie! - Odparła natychmiast. - Na razie jest zbyt niebezpiecznie. Może kiedyś to zrobimy, jak sytuacja się nieco uspokoi.

Nie raz w swoim życiu słyszałem teorie, że wojna to najlepszy czas, kiedy można dorobić się majątku. Pomijam kwestię interesów jakie mogą prowadzić wielkie koncerny lub potężne firmy, bo to zupełnie inna bajka. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że każdy zbrojny konflikt na szeroką skalę, napędza koniunkturę, wpływa na rozwój wielu gałęzi gospodarki i przemysłu. Problem w tym, że nie każdy jest właścicielem huty albo fabryki odzieżowej, a ja chcę wam wyjaśnić jak w czasie wojny, zwykły człowiek, który ma łeb na karku i trochę forsy, może zarobić krocie. Na początku 1915 roku w Kaliszu doszło do bardzo ciekawej sytuacji, oczywiście wtedy tego nie wiedziałem, bo dopiero dwa lata później Wiktor uświadomił mi w czym była rzecz. Wyobraźcie sobie, że nagle wybucha wojna i centrum miasta w którym teraz żyjecie, ulega totalnej dewastacji. Pociski i bomby niszczą wszystkie budynki. Pod zwałami gruzu ocalały jedynie fundamenty. No dobrze i co dalej? Co ma począć właściciel kamienicy, która się zawaliła? Przecież nie będzie inwestował w jej odbudowę, skoro trwa wojna. Może cierpliwie czekać lepszych czasów, tylko że Bóg jeden raczy wiedzieć, kiedy takowe nadejdą. Ile upłynie miesięcy, albo nawet lat? A może lepiej pozbyć się problemu i przy okazji zarobić trochę grosza? Musicie mieć też na uwadze, że w pierwszym miesiącu Wielkiej Wojny uciekło z Kalisza ponad 60 tysięcy ludzi! 60 tysięcy! Tylu wyjechało na dobre z miasta, które liczyło prawie 70 tysięcy mieszkańców. A wiecie kto został? W pierwszej kolejności tacy, którzy nadal mieli dach nad głową, ale zabrakło im odwagi lub możliwości, żeby stąd prysnąć. W drugiej kategorii znaleźli się na przykład tacy ludzie, jak mój szef Skoczyński. Chłop miał kawałek swojego gruntu, kilka zabudowań i interes, który prowadził od wielu lat. Trzecią grupą, aczkolwiek bardzo nieliczną, stanowili najbardziej zamożni kaliszanie, którzy posiadali spore majątki ziemskie i nieruchomości. Po jakimś czasie okazało się, że jest również czwarta kasta. Do niej należeli ludzie, którzy kompletnie nie potrafili się odnaleźć w tej rzeczywistości, stracili wszystko co mieli i koczowali w opuszczonych domach na peryferiach Kalisza. Plotka głosiła, że wojsko strzelało do nich jak myśliwi do kaczek na polowaniu, ale ile w tym prawdy, tego nie wiem.

Wracając jednak do wojennych interesów, otóż Wiktor twierdził, że w Kaliszu doszło do sytuacji, iż niektórzy ludzie będący przy forsie (między innymi również jego ojciec), postanowili skorzystać z okazji i odkupywali prawo do własności. Krótko mówiąc, nabywali za bezcen grunty razem z ruinami. Oczywiście wszystko odbywało się w świetle prawa, notariusze, dokumenty, wpisy do ksiąg wieczystych... Nie brakowało jednak sceptyków, którzy twierdzili, że warto sprzedawać, a nie kupować, bowiem w przyszłości władze mogą jednym dekretem dokonać wywłaszczenia. Natomiast ci, którzy podejmowali ryzyko, ufali, że żyjemy w cywilizowanej części świata i nic takiego nie będzie miało miejsca. Faktem jest, że zostało zawartych sporo transakcji. Sami dobrze wiecie, że pieniądź nie zna granic, nie ma uprzedzeń rasowych i nie dzieli się na nacje. Biznes to biznes. Nieważne z kim dobijasz targu, to może być Polak, Żyd, Rosjanin albo

Niemiec. To nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko dobry interes. Tacy właśnie byli kaliscy kupcy. Jeden słuchał księdza, drugi rabina, trzeci popa, czwarty pastora i wszyscy mieli gdzieś, że w zamierzchłej przeszłości ich przodkowie toczyli przeciwko sobie krwawe krucjaty. Od tamtej pory świat zdążył się zmienić. Oni nawet nie przejmowali się specjalnie faktem, że trwa wojna. Jedynym problemem dla kupujących był tylko czas. Teraz musieli uzbroić się w cierpliwość, pogodzić się z tym, że kapitał został zamrożony i cierpliwie czekać na dni, kiedy będzie można rozpocząć inwestycje. Wśród kupujących byli również spekulanci, którzy zarabiali w inny sposób. Nabywali grunt pełen gruzów, najmowali za psie grosze ludzi do uprzątnięcia rumowiska i zaraz potem sprzedawali działkę dwa razy drożej. Nic się nie marnowało, bo odzyskane cegły puszczały do sprzedaży, jako materiał do powtórnego użycia. Wiem o czym mówię, bo sam pracowałem dorywczo przy tym parszywym zajęciu. Natomiast dla myślących przedsiębiorców z forszą, którzy wyobraźnią wybiegali w daleką przyszłość było jasne, że usytuowanie Kalisza na mapie jest najlepszym gwarantem, że w przyszłości miasto odzyska swoją świetność. Do takich właśnie ludzi należał ojciec Wiktora.

Kiedyś przeczytałem w jakiejś mądrej książce, że Kalisz został w wojennej historiografii uznany za najbardziej zniszczone miasto Europy w I wojnie światowej. Natomiast na drugim miejscu uplasowało się belgijskie Leuven, gdzie Prusacy postąpili według tego samego scenariusza.

Dzisiaj już niewielu mieszkańców Kalisza pamięta, jak wtedy było. Szczególnie przez pierwszy rok wojny. Koszmarny czas. Chociaż z drugiej strony, jeśli człowiek nie wypuszczał się w miasto, tylko siedział na tyłku na Złotych Dachach albo miał to szczęście, że mieszkał w dzielnicy żydowskiej, to mógł cieszyć się normalnością. Armagedon jakimś cudem ominął te miejsca. Krążyły dowcipy, że Bóg oszczędził tylko przedstawicieli narodu wybranego i chrześcijańską biedotę, a współczesna Sodomia i Gomora rozegrały się kilka ulic dalej.

Z końcem wiosny 1915 roku było już na tyle bezpiecznie, że ja, Trufel i Pesteczka mogliśmy spotykać się na podwórku, albo spędzać wspólnie czas w sekretnym pokoju.

Znowu zaczęliśmy palić.

Pesteczka podprowadzał swojemu ojcu fajki, a Trufel przynosił kiepy z których wykruszaliśmy tytoń i próbowaliśmy robić z gazety skręty. Na początku z tym kręceniem kiepsko nam wychodziło, ale po czasie nabraliśmy wprawy. Teraz ja byłem skazany na ich łaskę.

Czasami rozmawialiśmy o Wiktorze. Trufel z nostalgią wspominał dni, kiedy on i Pesteczka żerowali na jego hojności, jak dwa bezwzględne pasożyty. Byliśmy święcie przekonani, że rodzina Kozłowskich wyjechała za granicę.

- Mój stary mówi, że można dostać robotę przy odgruzowywaniu - powiedział

Pesteczka i podał mi szluga.

- Myślisz, że moglibyśmy się załapać? - Zapytał Trufel.

- Pewnie tak. Ponoć biorą każdego, ale marnie płacą.

- Jak marnie? - Zapytałem.

- Za dniówkę zarobisz tyle, że będziesz mógł sobie kupić na targu bochenek chleba albo pięć jajek - odparł.

- Lubię jajka - stwierdził Trufel. - Szczególnie na miękko. Wiecie, tak ugotowane, żeby żółtko było płynne. Mniemam - westchnął i zamaskował językiem - takie są najbardziej pyszne!

Spojrzeliliśmy z Pesteczką po sobie, a potem obaj skierowaliśmy wzrok na Trufla.

- Czy ty się dobrze czujesz? - Pesteczka zapytał z nieukrywaną pogardą.

- Ale o co ci chodzi?

- O gówno! Rozmawiamy o pracy, a ty gadasz o jajkach na miękko!

- No tylko mówię, że takie lubię najbardziej - odparł Trufel.

- Kogo to obchodzi jakie lubisz jajka?! Ja lubię pieczone udka z kurczaka - warknął

Pesteczka i dodał - dawaj tę fajkę!

Obrażali się nawzajem przez kilka chwil, a ja bujałem się w starym, wiklinowym fotelu i myślałem, że chyba warto rozejrzeć się za tą robotą przy gruzie.

- Słuchajcie chłopaki, to może przejdziemy się jutro do miasta - powiedziałem. - Pokręcimy się, zobaczymy gdzie usuwają rumowiska i może uda nam się coś załatwić. Co wy na to?

- Czemu nie, możemy spróbować i tak nie mamy nic lepszego do roboty - Pesteczka był chętny, natomiast Trufel miał obawy, czy matka pozwoli mu z nami pójść.

Następnego dnia z samego ranka ruszyliśmy we trójkę w miasto. W kilku miejscach były prowadzone prace. Zobaczyliśmy jednego faceta, który chyba dowodził ekipą robotników i Pesteczka postanowił do niego zagadać.

Mieliśmy farta.

Mężczyzna spojrzał na nas i powiedział:

- Mogę was zatrudnić do czyszczenia cegieł - wskazał głową na hałdę gruzu. - Zarobicie 20 fenigów za dniówkę.

Dokładnie tak powiedział, bo wtedy obowiązywała już inna waluta, nie było rubli i kopiejek, tylko marki i fenigi.

Praca polegała na tym, że trzeba było w miarę dokładnie usunąć z cegieł starą zaprawę i układać je na wozie. Wziął w dłonie dwie cegłówki i zaczął ich bokami pocierać o siebie.

- Tak macie to robić. Jasne?

- Tak jest szefie - odparł Pesteczka.

- Żadnego stukania, klepania, uderzania. Nie chcę widzieć w waszych dłoniach żadnych przedmiotów oprócz cegieł. W ciągu dnia macie zrobić tyle, żeby ten wóz był pełen, bo inaczej właściciel wam nie zapłaci. Cegły ustawiacie w rzędach. Pierwszy wzdłuż, drugi w poprzek - zademonstrował nam o czym mówi - i tak na zmianę, aż do wysokości burty - klepnął dłonią w kant deski. Rozumiecie?

- Tak szefie, rozumiemy - odparliśmy chórem.

- W takim razie do pracy! I pamiętajcie co wam powiedziałem, właściciel płaci dopiero wtedy jak wóz będzie pełen. O osiemnastej przychodzi pan Reclik i rozlicza się ze wszystkimi za robotę. Jeżeli wóz nie będzie załadowany, wasza dniówka przepada.

Człowiek, który udzielał nam instrukcji był chyba majstrem, bo tylko łąził przez cały dzień i poganiał wszystkich, którzy tutaj pracowali. Kilku robotników chodziło po rumowisku i za pomocą młotków i majzli odbijali cegły z fragmentów muru, reszta roboty należała do szurających cegłami.

Trufel stwierdził, że teraz jesteśmy czyścicielami.

- Skąd ty bierzesz te wszystkie durne określenia? - Zapytał Pesteczka i miał chyba jeszcze na myśli inne powiedzenia naszego kumpla, takie jak wierzbowa ławka, gra w śliniaka albo sekretny pokój.

- Wcale nie jest takie durne - wziąłem go w obronę. - Mnie się podoba - odparłem i uśmiechnąłem się do Trufla. - Jakbyś ich nazwał? - Spojrzałem na Pesteczkę i kiwnąłem głową w kierunku trzech ekip, które robiły to samo co my.

- Czyściciele - prychnął Pesteczka i splunął przed siebie. - Srele mele duperele.

- Jak chcemy zarobić, to lepiej bierzmy się do pracy - powiedział Trufel i zaczął trzeć cegły.

Powiem wam, że trzeba było ostro zasuwać i wszystko robić bardzo dokładnie. Facet, który mówił nam o zasadach jakie tu panują, zjawiał się co kwadrans i sprawdzał, czy dobrze wykonujemy swoją robotę. Za każdym razem znajdował kilka sztuk, które musieliśmy poprawiać.

Przez kilkanaście kolejnych dni tarliśmy tymi cholernymi cegłami, krztusząc się kłębami kurzu i pyłu, które zatykały nos i gryzły w gardło.

To było ciężkie, nudne i otepiające zajęcie. Pod koniec pierwszej dniówki myślałem, że odpadną mi ramiona i dłonie. Po trzech kolejnych dniach skóra na moich palcach zaczęła przypominać suchą, popękaną skorupę, a o siniakach i zadrapaniach to już nawet nie wspomnę. Trufel przez nieuwagę paskudnie zdarł sobie skórę wzdłuż lewego kciuka i zerwał kawałek paznokcia. Pieniądze, które nam płacili nie były warte tej roboty, ale cóż mieliśmy począć? Nie tylko my, zarabialiśmy w ten sposób.

Moja mama nie miała nic przeciwko temu, że znalazłem sobie takie zajęcie. Nigdy mi tego nie powiedziała, ale myślę, że była zadowolona, że jest ze mnie jakikolwiek pożytek.

Tak jak wam wspominałem wcześniej, to było tylko dorywcze zajęcie. Po dwóch tygodniach nie mieli już dla nas roboty i musieliśmy szukać kolejnego miejsca rozbiórki. Wszędzie płacili tyle samo.

Interes polegający na odzysku i ponownej sprzedaży cegieł był bardzo opłacalny. Na wóz wchodziło prawie 1200 sztuk, my dostawaliśmy razem za swoją robotę 60 fenigów, a właściciel kasował za taki wóz 50 marek. Na rumowisku działały cztery ekipy czyszczące. Cztery wozy dziennie po 50 marek pomnożone przez dwa tygodnie, dawały 2800 marek w żywej gotówce! Niewyobrażalna kupa forsy! Natomiast koszt wszystkich wyrobników, takich jak my, zamykał się w kwocie 33 marki i 60 fenigów. Do tego dochodziły jeszcze wypłaty dla ekipy łupiącej, bo Trufel tak właśnie ochrzcił koleśki z młotkami i majzlami. Oni mieli lepszą stawkę od nas, ale w sumie też dostawali gówniane

pieniądze. Mówię wam, handel działkami i gruzem przynosił niektórym ludziom bająnskie zyski. Sądzicie, że dziś jakiś człowiek poszedłby do ciężkiej pracy na cały boży dzień, żeby zarobić tylko na bochenek chleba? Takie to właśnie były czasy.

Do końca lata 1915 roku ja, Trufel i Pesteczka, trzy razy jeszcze dorwaliśmy taką fuchę.

W poniedziałek, dzień po moich piętnastych urodzinach, na które dostałem od mamy w prezencie ciepły, wełniany sweter, wybrałem się do stolarni Skoczyńskiego. Na dworze było chłodno i szaro. Dziwnie się czułem idąc samotnie ulicą w kierunku Rogatki. Kiedyś o tej porze roilo się tu od ludzi, a dzisiaj było pusto jak na cmentarzu.

Dotarłem do skrzyżowania i skręciłem w lewo na ulicę Fabryczną. Część budynków była doszczętnie zniszczona. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw bramy za którą mieścił się warsztat Skoczyńskiego był kiedyś zakład krawiecki. Miał taką dużą, szklaną witrynę w której stały dwa manekiny. Na jednym był wyeksponowany męski frak, a na drugim szykowna suknia. Dziś w tym miejscu ostał się tylko fragment czołowej ściany. W oddali wolnym krokiem maszerował wojskowy patrol. Skręciłem w bramę. W zeszłym roku mama mówiła, że część warsztatu została zniszczona, ale kiedy znalazłem się na podwórzu zobaczyłem, że wszystko zostało zreperowane. Drzwi wejściowe były lekko uchylone. Podeszedłem bliżej, zapukałem i zajrzałem do środka. Nie było nikogo.

- Dzień dobry! - Rzuciłem donośnym głosem.

Cisza. Nikt nie odpowiedział.

- Dzień dobry! - Powtórzyłem. - Panie Skoczyński, jest pan tutaj?!

Głucho.

- A ty tu czego?! - Usłyszałem nagle za moimi plecami.

Obróciłem się na pięcie.

Przede mną stał stary Skoczyński, ale wyglądał inaczej niż go zapamiętałem. Był zdecydowanie szczuplejszy, bardzo posiwiiał, a jego twarz postarzała się o jakieś sto pięćdziesiąt lat.

- Dzień dobry panie Skoczyński, to ja, Stefan Żabikowski byłem u pana terminatorem - wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

Przez moment przyglądał mi się badawczym wzrokiem. Nagle jego twarz rozpogodziła się.

- Aaa, to ty łobuzie - uśmiechnął się i potarł mi dłonią czuprynę. - Zostaliście z matką w Kaliszu? - Zapytał.

- Tak, proszę pana, zostaliśmy. No bo dokąd mielibyśmy pójść?

- Dokąd, dokąd - odparł. - Tam gdzie nogi poniosą.

- Pan też został - stwierdziłem.

- Za stary jestem, żeby teraz tułać się po świecie - powiedział.

- A gdzie pańscy synowie? - Zapytałem.

Skoczyński spojrział na mnie smutnym wzrokiem i odparł:

- Zginęli w zeszłym roku.

Staliśmy w milczeniu przez dłuższą chwilę, a ja nie wiedziałem co rzec.

- Bardzo panu współczuję.

- Wszyscy zginęli - powiedział. - Moja żona i moje dzieci. Wszyscy. Wszystkich pochowałem - głos mu drżał, a ja zacząłem żałować, że tu przyszedłem. - A ty co, pracy pewnie szukasz, co?

- Tak panie Skoczyński, szukam. Latem trochę dorabiałem przy odgruzowywaniu.

- Ile płacili? - Zapytał.

- Za dniówkę dwadzieścia fenigów.

- Dwadzieścia fenigów?! To kurwy złodziejskie! - Warknął. - Dla kogo pracowałeś?

- Dla pana Paclera - odparłem.

- Dla tego spekulanta?! - Prawie krzyknął. - Pan Pacler, kurwa jego była mać. Taki z niego pan jak ze mnie ksiądz. Przed wojną ledwo wiązał koniec z końcem, a teraz kurwa kamienicznik na gruzach! Menda chodząca!

Miałem wrażenie, że chyba w przeszłości mieli ze sobą do czynienia i Skoczyński nie najlepiej wspominał sobie tę znajomość.

- A pana stolarnia działa? - Zapytałem.

- Nic nie działa chłopcze - rzucił - jak ma działać, skoro w Kaliszu mieszka garstka ludzi. Tu tylko bieda z nędzą. Chodź, sam zobacz - pchnął mnie delikatnie w kierunku drzwi. - Wszystko jest - powiedział kiedy weszliśmy do środka - wszystko jest. Narzędzia, piły, heble. Wszystko czego dusza zapagnie. Nic tylko pracować, ale pytanie, dla kogo i z kim kurwa pracować? Wszyscy, którzy u mnie kiedyś robili wyjechali, albo zginęli. Nawet Wawrzyk uciekł z tego parszywego miasta. Zostałem sam z tym całym bajzlem - machnął ręką.

- Ja też zostałem panie Skoczyński - powiedziałem to tak, jakbym chciał go pocieszyć.

- Widzisz - wskazał dłonią przed siebie - tam uderzył pocisk. Wyrwało pół ściany i dach się zawalił. Sam to naprawiłem. Tymi rękami - pokazał mi dłonie. - Sam jeden. I sam jeden zostałem. Sam jak palec - usiadł na krześle i pogładził dłonią zaczesane do tyłu siwe włosy. - Nie mam teraz żadnej pracy chłopcze i nic nie wskazuje na to, żeby cokolwiek w najbliższym czasie się zmieniło. Przyjdź za pół roku, może wtedy coś będzie.

- Dobrze panie Skoczyński. W takim razie do widzenia. Pokażę się wiosną, mam nadzieję, że pański warsztat będzie miał wtedy dużo zleceń - cóż innego mogłem mu opowiedzieć? - To co, pójdę już sobie - obróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę drzwi.

Zrobiłem raptem dwa kroki, kiedy usłyszałem jego głos.

- Stefanek, a co robi twoja matka? Pracuje gdzieś?

- Tak, proszę pana. Pracuje w szpitalu, tak samo jak przed wojną.

- W szpitalu powiadasz - pokiwał głową - powiedz jej, że jak będzie miała kiedyś chwilę czasu, to niech do mnie podejdzie. Miałbym dla niej dodatkowe zajęcie, oczywiście jeżeli będzie chciała. Wiesz, mężczyzna pozbawiony kobiety, czasami nie potrafi o siebie dobrze zadbać. Pranie trzeba zrobić, coś ugotować, posprzątać w domu...

- chyba starał mi się wytłumaczyć, jakie ma zajęcia na myśli. - Powiedz jej niech do mnie zajrzy.

- Dobrze panie Skoczyński. To do widzenia.

Wieczorem, kiedy mama wróciła ze szpitala, opowiedziałem jej ze szczegółami o mojej wizycie u Skoczyńskiego, a na koniec dodałem:

- Bo wiesz mammo, jeśli będziesz u niego potrzebowała pomocy, to pójdę razem z tobą.

- A skąd wiesz, że w ogóle pójdę? - Zapytała.

Tym pytaniem zbiła mnie z tropu.

- Nie wiem, myślałem, że ta wiadomość cię ucieszy.

- Synku, myślisz, że ja po całym dniu pracy, mam jeszcze siłę i ochotę, żeby iść i do kogoś obcego gotować, prać i sprzątać? Zlituj się dziecko.

- Ja nie wiem jakiej on pomocy oczekuje! Powtarzam tylko to, co mi powiedział - chyba się nieco uniosłem.

- Kiedy ze mną rozmawiasz, to nie mów podniesionym głosem - odpowiedziała surowym i zdecydowanym głosem.

Na moment odwróciłem głowę i tępym wzrokiem wpatrywałem się w podłogę.

- Przepraszam - odezwałem się półgłosem. - Nie chciałem cię zdenerwować.

Zbliżyła swoją twarz do mojej i szepnęła:

- Ale nie mów też tak cichutko.

Podniosłem wzroki i spojrzałem prosto w jej uśmiechnięte oczy. Miała rację, nie powinienem do niej zwracać się w taki sposób.

Moja mama nigdy nie narzekała, że ma wszystkiego dość, że jest zmęczona, że wszystko jest tylko na jej głowie. Ja natomiast nigdy nawet nie pomyślałem, że może faktycznie czuć się przytłoczona własnym życiem, które na pewno do lekkich nie należało. Nie odrzuciła definitywnie oferty Skoczyńskiego. Po jakimś czasie zaczęła go odwiedzać w każdy czwartek i jak sama twierdziła, za godzinę zapłatą podjęła się prania brudów, sprzątania i gotowania. Nie mam pojęcia, czy było między nimi, jak to się mówi w języku dorosłych "coś jeszcze". Może tak, a może nie? Nie wiem. Nigdy nie zdarzyło się tak, żeby nie wróciła do domu na noc.

Miałem taki okres, że czułem się o nią bardzo zazdrosny, a już szczególnie wtedy, kiedy pan Skoczyński przestał być dla niej panem Skoczyńskim, a został po prostu Frankiem. Franek to, Franek tamto i sramto, Franek powiedział, Franek mówił, Franek zrobił, kupił, wymyślił. Franek jest taki i siaki, Franek potrafi, Franek wie co robi. Szlag mnie trafiał. Nie wiem co sobie wyobrażałem. Nawet jeśli spali ze sobą, to co z tego? Oboje przecież byli samotni. Fakt, był od niej zdecydowanie starszy, może nawet dwadzieścia lat, ale czasami wiek przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. Tylko wiecie jak to jest, inaczej człowiek postrzega takie relacje mając mleko pod nosem, a inaczej traktuje te sprawy jak jest już dorosły. Gdyby to była obca kobieta, nie robiłoby mi to żadnej różnicy, ale problem w tym, że była to moja matka.

Wiosną 1916 roku świat zaczął się zmieniać. Wojenne fronty były daleko stąd, a w mieście ruszyły pierwsze poważne inwestycje. Coraz więcej ludzi wracało do Kalisza, bo

tu była praca i pojawiły się nowe możliwości do życia.

Teraz, po tak wielu latach, kiedy znane są wszystkie fakty historyczne chciałbym wam naświetlić pewną sytuację. Trudno mi ją nazwać jakimś sensownym określeniem, bo dla mnie jest to mieszanka spisku, tajemnicy i manipulacji. Nie wiadomo o co chodzi, a jeśli nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze, prawda?

No właśnie.

Forsa.

Wyobraźcie sobie, że półtora roku wcześniej, bo już w listopadzie 1914 roku, w niecałe trzy miesiące od barbarzyńskiej dewastacji miasta, powstał Komitet Odbudowy Kalisza. Oczywiście ta informacja wtedy była znana tylko dobrze sytuowanym kaliszanom i wszyscy z nich doskonale wiedzieli, że na miejskich gruzach kroi się interes życia. Broń Panie Boże, że bym kogokolwiek pomawiał personalnie o jakieś nieczne działania. To była duża grupa ludzi i niesprawiedliwym byłoby z mojej strony, oskarżać całe towarzystwo. Jednak wśród tego doborowego gremium byli spekulanci i kombinatorzy w białych kołnierzykach, którzy chcieli zgarnąć największy kawałek tortu. Ów Komitet, jeszcze w 1914 roku zwrócił się do Koła Architektów w Warszawie, które natychmiast rozpisało konkurs na zagospodarowanie przestrzenne starówki. Czujecie o czym mowa? Miasto leży w gruzach, zwykli ludzie pozbawieni dachów nad głową ratują resztki swojego dobytku i odchodzą w świat. Ci, którzy zostają, walczą o przetrwanie w piekle za głodową stawkę, a lwy salonowe w tym samym czasie knują jak zbić fortunę.

Taki właśnie jest nasz świat.

Po świętach wielkanocnych zaczęła działać stolarnia, a ja znowu dostałem posadę terminatora i czekały mnie cztery długie lata mozolnej nauki. Kiedy podjąłem pracę, matka zrezygnowała z usługiwania Skoczyńskiemu. Wtedy wszystkie moje podejrzenia i urojone wątpliwości zostały rozwiane i naprawdę poczułem psychiczną ulgę.

Firma funkcjonowała pod swoją dawną nazwą, a nad drzwiami do warsztatu wisiał ten sam szyld co kiedyś. Trochę białej farby sprawiło, że wyglądał jak nowy. Wszyscy się dziwili, że Skoczyński nie zmienił nazwy, ale on był szefem i nikomu nie musiał się tłumaczyć ze swoich decyzji. Stolarnia od lat była znana w tym mieście jako "Skoczyński i Synowie" i tak też zostało.

Kiedy zaczął się ruch w interesie stary jakby nieco odżył, nabrał werwy i rumieńców. Zatrudnienie w jego firmie, oprócz mnie, znalazło jeszcze czterech ludzi, a jesienią pojawił się Wawrzyk.

Pod koniec 1916 roku mieliśmy roboty po same pachy.

Robiliśmy wtedy tylko okna, drzwi i schody, a zapotrzebowanie było ogromne. Każdego dnia sływały zamówienia. Okna, drzwi i futryny schodziły na pniu, ale schody i poręcze były dla szefa bardziej łakomym kąskiem, bowiem sprzedawały się tylko z usługą. Bardzo dużo się wtedy nauczyłem.

Moi kumple też nie narzekali. Pesteczce udało się dorwać pracę na linii produkcyjnej w Pluszowni, tak potocznie nazywano tutaj Kaliską Manufakturę Pluszu i Aksamitu, a Trufel załapał się do mleczarni.

Zarobki były niskie, ale żaden z nas nie narzekał. Inni mieli gorzej.

Wiele razy miałem okazję rozmawiać z więźniami, którzy opowiadali o tym, jak się żyło zwykłym ludziom podczas II wojny światowej. Dzięki ich słowom, miałem jako takie porównanie do czasów Wielkiej Wojny. To były dwa różne światy. Powiem wam, że w roku 1917 w Kaliszu żyło się zupełnie normalnie. Naprawdę. Front był daleko stąd, a miasto powoli zaczynało odzyskiwać swoją dawną świetność. Tamtego roku ukończono nawet budowę kolejki wąskotorowej. Latem ja, Trufel i Pesteczka w każdą niedzielę jeździliśmy do Opatówka. Po pierwsze mieliśmy frajdę, że możemy się przejechać, a po drugie w Opatówku była taka knajpa, która nazywała się "U panicza". Podawali tam wyśmienite piwo. Lokal mieścił się w podziemiach starej kamienicy i latem, kiedy na dworze panował skwar, wewnątrz panował przyjemny chłód.

Któregoś razu sącząc browary, zaczęliśmy wspominać stare czasy.

- Panowie - powiedział Trufel - a może jak wrócimy, to przejdziemy się do żałosnej, burżuazyjnej dzielnicy?

- Po jaką cholere chcesz tam iść? - Zapytał Pesteczka.

- Nie wiem - Trufel wzruszył ramionami - może rodzina Wiktora wróciła do Kalisza? Dobrze byłoby się z nim spotkać.

- Co, stęskniłeś się? - Warknął jego rozmówca.

- Człowieku, ależ ty jesteś marudny - pokiwałem głową z przesadą udając politowanie. - Jak nie chcesz iść to nie idź, ja chętnie się przejdę - powiedziałem i trąciłem Trufla w ramię.

Było późne sierpniowe popołudnie, kiedy wróciliśmy do Kalisza. Idąc przez centrum miasta, dało się odczuć, że wróciło do niego życie. Deptakiem obok plantów spacerowali ludzie, a u zbiegu ulic stało nawet kilka dorożek.

Wolnym krokiem maszerowaliśmy przed siebie.

- Chyba powinienem znaleźć sobie dziewczynę - powiedział Pesteczka ni stąd ni zowąd.

Na dźwięk jego słów, obaj z Truflem parsknęliśmy śmiechem i zaraz potem zasypaliśmy go lawiną kpin.

- A która by chciała takiego matola jak ty?

- Człowieku, stań przed lustrem i przyjrzyj się sobie uważnie.

- Może najpierw powinienes zgolić ten kretyński wąsik?

- Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić, spacerującego z dziewczyną pod rękę.

- Jeszcze powiedz, że chciałbyś się ożenić i spłodzić kilka małych, zrządzających pesteczek.

Nie ma co, mieliśmy ubaw.

- Boże, jacy wy jesteście prymitywni! - Pesteczka chyba zrozumiał, że nie powinien przed nami na głos zdradzać swoich marzeń.

Jednak z drugiej strony, byliśmy już w takim wieku, że odzywała się w nas samcza natura.

- Chłopie, przecież ty nigdy nie rozmawiałeś z żadną dziewczyną dłużej niż

trzydzieści sekund - powiedział Trufel. - Nawet nie masz pojęcia o czym mógłbyś rozmawiać.

- Tak? A chcesz się założyć?

- Bardzo chętnie, a o co?

- A o paczkę fajek. Pokaż mi tutaj pannę, a podejść do niej i wdam się w dyskusję. Będę z nią gadał przez pięć minut. Stoi? - Pesteczka zatrzymał się w miejscu i wyciągnął w stronę Trufla dłoń, jakby chciał tym gestem przypieczętować zakład.

- Stoi! - Wymienili uścisk. - Zaraz jakąś wypatrzę. Ropuch jest świadkiem i razem będziemy mierzyć twój czas - wyciągnął z kieszeni zegarek, który dostał kiedyś od Wiktora w prezencie.

- No Pesteczka, coś czuję, że wtopiłeś paczkę papierosów - powiedziałem i klepnąłem go w ramię.

- Tak myślisz frajerze? Może też się założysz?

Ryzyko wydawało się znikome, więc przyjąłem zakład.

Usiedliśmy nieopodal rozłożystych krzaków.

- Samotnie spacerującej to nie wypatrzymy nawet do końca świata, ale znajdziemy takie, które nie są w męskim towarzystwie - powiedziałem, a w duchu zacierałem ręce na wygraną. To był pewniak.

Zapaliliśmy po całym i czekaliśmy, aż jakieś niczego nieświadome dziewczuszki pojawią się w polu naszego widzenia. Po kilku minutach z alejki po prawej wyłoniły się dwie gwiazdeczki. Na pierwszy rzut oka wydawały się naszymi rówieśnicami. Trudno powiedzieć z jakiej wywodziły się klasy społecznej, bo w niedzielę wszyscy chodzili odświętnie ubrani.

- Bierz tą po prawej - rzucił Trufel - mierzę ci czas od momentu kiedy do nich podejdziesz.

Pesteczka podniósł się z miejsca. Zapiął marynarkę, zaczesał dłonią włosy, musnął palcami swój niedorobiony wąsik i prężnym krokiem ruszył przed siebie.

- Ale jaja - powiedział Trufel i otworzył wieko zegarka. - Amant Pesteczka w natarciu.

Obserwowaliśmy uważnie co się dzieje.

Nasz kumpel podszedł do dwóch dziewczyn i faktycznie wdał się z nimi w rozmowę.

Raz po raz zerkaliśmy z Truflem na cyferblat. Po trzech minutach poczułem zwątpienie. Pesteczka dawał radę. Nie dość, że z nimi rozmawiał, to jego nowo poznane towarzyszkę wydawały się być z tego powodu zadowolone! I jeszcze wspólnie zaczęły wolno iść przed siebie.

- Trufel, nie chcę cię martwić, ale minęły już cztery minuty.

- Kurde, o czym on z nimi gada?

- Nieważne o czym, ważne, że - spojrzałem na wskazówki - że właśnie wtopiliśmy po paczce fajek.

Pesteczka i dziewczęta oddalali się coraz bardziej w północnym kierunku.

- Idziemy za nimi - powiedziałem do Trufla i podniosłem się z miejsca.

Tamci wolnym krokiem kroczyli przed siebie i cała trójka sprawiała wrażenie,

jakby po prostu świetnie się bawiła. Naprawdę byłem zaskoczony. Chyba nie docenialiśmy naszego kumpla.

- I co gamonie? - Pesteczka rzucił w naszą stronę i posłał nam promienny uśmiech zwycięzcy. - Ile minęło czasu?

- Prawie dwadzieścia minut - odparłem.

- Coś ty im nagadał? - Zapytał Trufel.

- Chcielibyście wiedzieć, ale pan Pesteczka nie zdradzi wam tej słodkiej tajemnicy - powiedział z nieukrywaniem triumfem. - Wyglądacie jak dwie smutne pierdoły - położył dłonie na naszych barkach, po czym spojrzał nam w oczy i dodał - wisicie mi po paczce fajek.

- Umówiłeś się z którąś? - Byłem ciekaw.

- Nie twoja sprawa żabi pomiole.

- No powiedz...

- Nic więcej wam nie powiem - wpadł mi w zdanie. - W przyszłości obserwujcie mistrza i uczcie się, bo wiecznie żył nie będę.

Prawda była bolesna. Przegraliśmy zakład, a akcje Pesteczki w naszych oczach podskoczyły o kilka stopni w górę.

Kwadrans później dotarliśmy do żalösnej, burżuazyjnej dzielnicy.

Posesja rodziny Kozłowskich wyglądała na zadbaną. Chyba dom przeszedł gruntowny remont, bo wydawał się jakiś taki inny, bardziej nowy, niż ten którego wygląd zapamiętałem z przeszłości. Wszystkie okiennice były zamknięte, a przy bramie wjazdowej wisiał łańcuch z kłódką.

- Płot na pewno jest nowy - stwierdził Trufel.

Miał rację, bowiem kiedyś pręty rozpościerały się pomiędzy kamiennymi słupami, po których dziś nie było już śladu.

- Ciekawe czy jeszcze należy do nich - odezwał się Pesteczka i dodał: - Trawka przystrzyżona, kwiaty w donicach kwitną, więc ktoś musi o to dbać.

Po drugiej stronie ulicy z domu naprzeciwko, wyszedł starszy mężczyzna. Spojrzał na nas marszcząc brwi, jakby chciał zapytać:

- A wy tu czego?

Pesteczka rzucił w jego stronę:

- Przepraszam pana, szukamy naszego kolegi Wiktora Kozłowskiego, przed wojną tu mieszkał. Czy pan się może orientuje, do kogo teraz należy ten dom?

Mężczyzna podszedł do nas i zapytał:

- Jesteście kolegami Wiktora?

- Tak proszę pana, razem chodziliśmy do gimnazjum - Pesteczka łącząc bezczelnie kontynuował dialog.

- Koledzy z gimnazjum - powtórzył mężczyzna z lekkim niedowierzaniem, spoglądając na nas podejrzliwym wzrokiem.

- Tak proszę pana.

- Dom jest zamknięty, ale nadal należy do państwa Kozłowskich, którzy są za

granicą.

- Dziękujemy panu za informację - powiedział Pesteczka i skinął głową. Ja i Trufel poszliśmy w jego ślady. - Mamy nadzieję, że może wrócić do Kalisza.
- Całkiem możliwe młody człowieku - odparł starszy pan i odszedł.
- I co? Zadowoleni? - Zapytał Pesteczka, kiedy ruszyliśmy przed siebie.
- Tak panie gimnazjalisto - powiedział Trufel. - Przynajmniej coś wiemy.
- Nie rozumiem tylko do czego wam ta wiedza potrzebna?
- Do niczego - rzekłem. - Przecież znamy chłopaka, jest naszym kumplem. Czy musi być jakiś konkretny powód, żeby wiedzieć, co się dzieje z człowiekiem? Naprawdę nie jesteś ciekaw?

Ja, Trufel i Pesteczka wiedliśmy zwyczajne życie. Życie adekwatne dla ludzi mieszkających na Złoty Dachach. Mieliśmy świadomość, że nigdy nie będzie nas stać na eleganckie garnitury i niedzielne obiady w restauracjach. W naszej dzielnicy nikt na poważnie nie marzył o dalekich podróżach i ekscytujących przygodach. Tutaj liczyło się to, żeby mieć stałą posadę i zarobić na przysłowiowy chleb. Kiedy od najmłodszych lat widzisz, jak wygląda świat, który cię otacza, to chcąc nie chcąc zaczynasz go akceptować. Potem wkraczasz w dorosłe życie i każdego dnia czujesz, że coraz bardziej zapuszczasz korzenie. Wrastasz w to miejsce ciałem i duszą, przywykasz do tych cholernych, ubogich kamienic i brukowanych ulic. Dziewczyny z sąsiedztwa stają się kobietami, jedna z drugą wychodzi za mąż za chłopaka, który mieszka trzy domy dalej. Nim się obejrzyś, dociera do ciebie, że od dzieciństwa ciągle masz obok siebie tych samych kumpli. Kiedyś biegaliście razem po podwórkach, a dzisiaj siedzicie razem w gospodzie, rozmawiając o tym, że jest ciężko. W końcu docierasz do takiego momentu w swoim życiu, że zaczynasz się zastanawiać nad tym wszystkim i dochodzisz do wniosku, że chciałbyś się stąd wyrwać. Najgorsze jednak jest to, że przeważnie kończy się tylko na myśleniu. Wiem sam po sobie. Nie jestem nawet w stanie powiedzieć ile wieczorów spędziliśmy we trójkę rozmawiając o tym, jak pięknie byłoby uciec na drugi koniec świata. Zostawić Złote Dachy i poznać inne życie. Nie wiem czy lepsze, bezpieczniejsze i bardziej udane, ale po prostu inne. Myślę, że nie jest wam obce uczucie, kiedy świat dookoła zaczyna przytłaczać i dusić, prawda? Jednak ilu z was zrobiło coś, żeby to zmienić? No właśnie...

Większość marzeń zaczyna i kończy się tylko na zwykłym gadaniu.

Jako siedemnastoletni młodzieniec nie miałem żadnych planów na przyszłość, byłem dokładnie taki sam jak reszta chłopaków w moim wieku. Nie zastanawiałem się nad tym co będę robił za rok, dwa albo za pięć kolejnych lat. No może czasami myślałem o tym, że kiedyś znajdę sobie jakąś miłą dziewczynę, ale póki co wałkoniłem się razem z Truflem i Pesteczką.

Każdego wieczoru przesiadywaliśmy w gospodzie "Pod Złotym Kopytem" paliliśmy fajki, piliśmy piwo i rozmawialiśmy o bzdurach. Wszystko było dobrze, dopóki moja mama nie wiedziała gdzie spędzam czas, ale pijaczek Kacperczyk, ten kuternoga,

który mieszkał na parterze, narobił mi kłopotów.

Któregoś razu podszedł do naszego stolika i powiedział bełkoczącym głosem:

- Chopaki, pożyczcie gosza na kufelek. Odam za pae dni.

- Odejdź dziadu - warknął Pesteczka, a my z Truflem ledwo powstrzymaliśmy się od tego, żeby nie parsknąć śmiechem. - Nie mamy żadnych pieniędzy, sami ledwo nazbieraliśmy na piwo.

Kuternoga spojrział na nas spod wpeł przymkniętych powiek i rzekł:

- Jesze tego pożaujecie. Obecuje wam.

Kilka dni później moja mama dowiedziała się, że przesiaduję w karczmie.

- To tak spędzasz czas razem ze swoimi koleżkami?! - Powiedziała do mnie ostrym tonem, stojąc w kuchni z dłońmi wspartymi o biodra. - Papierosy, alkohol?! Ile ty masz lat gówniarzu?! - I nagle złapała za ścierkę, która leżała obok miski z wodą i mokrą szmatą zdzieliła mnie w pysk. - Nie masz na co wydawać pieniędzy?! To może węgla byś kupił na zimę?! Taki jesteś dorosły?! Patrzcie go! Papieroski, piwko, winko, a może jeszcze wódka, co?!

Nie wiedziałem co mam odpowiedzieć. Chyba podświadomie czułem, że ten dzień musiał kiedyś nadejść, ale nie sądziłem, że będzie taka awantura. Spuściłem wzrok i wolałem się nie odzywać. No bo cóż takiego miałem jej powiedzieć? Że miesiąc temu miałem siedemnaste urodziny i już mi wszystko wolno?

- A może za niedługo zaczniesz przychodzić do domu pijany?! Chcesz się stoczyć?! Tego chcesz?! - Była wściekła, krzyczała na mnie ale wyraźnie słyszałem jak jej głos zaczyna się łamać.

Stałem przed nią ze spuszczoną głową, a kiedy podniosłem wzrok zobaczyłem, że ma zatroskane oczy, a po jej policzkach cieką łzy. Zrobiło mi się tak głupio, jak nigdy.

- Nie piję tyle - zacząłem mówić, kiedy ona nagle rzuciła szmatę na stół i wyszła z kuchni nie wysłuchawszy mojego usprawiedliwienia. Zanim zatrzęsnęła za sobą drzwi do pokoju, zdążyłem powiedzieć:

- Mamo, przepraszam! - Miałem nadzieję, że usłyszała.

Po raz pierwszy w życiu zrobiłem jej taką przykrość, że aż się popłakała.

Przez kilka kolejnych dni nie odezwała się do mnie ani słowem.

- Synu, powiem ci jedno - odezwała się do mnie kiedy siedzieliśmy przy kuchennym stole. Wiedziałem, że będzie poważnie. Zawsze mówiła do mnie "synku" albo "Stefek". - Nie jesteś już małym dzieckiem i wiesz co robisz. Chcesz palić? Proszę bardzo, pal sobie, truj się. W szpitalu widzę takich, co umierają na boleści w płucach, a wszyscy lekarze mówią, że to przez tytoń. W tym domu nie masz prawa zapalić, rozumiesz?

- Tak mamó.

- I nigdy nie waż się wrócić pijanym. Nigdy! Jeżeli tak się stanie, to od razu możesz zabierać swoje rzeczy i iść sobie gdzie tylko zapragniesz. Jeden Kacperczyk w kamienicy nam wystarczy.

- Mamó - odparłem - ja się nie wypieram, poszliśmy z Trufelm i Pesteczką na piwo. Wypiliśmy po jednym kuflu. Nic więcej.

- Od jednego kufła się zaczyna, a potem już idzie gładko. Widziałam jak ludzie staczają się na dno. Daleko nie trzeba szukać, ojciec Michała nie wylewa za kołnierz i dobrze wiesz, że ten chłopak nie ma z nim lekkiego życia. Tobie najwyraźniej brakuje męskiej ręki - zamilkła na chwilę. - Twój ojciec był porządnym człowiekiem. Palił i chyba masz to po nim - uśmiechnęła się do swoich wspomnień - a napił się tylko od święta. Nigdy nie widziałam go pijanego. Nigdy.

- Mnie też nie zobaczysz - odparłem i dodałem: - Jaki ojciec taki syn.

Mama spojrzała na mnie i znowu w jej oczach ujrzałem miłość.

Chciałbym teraz napisać, że dotrzymałem słowa, ale tak się nie stało. Przestrzegałem zakazu palenia, ale tylko wtedy, kiedy matka była na miejscu. Jeżeli w niedzielę wychodziła do pracy na dzienną zmianę, to nawet nie pomyślałem o tym, żeby iść zakurzyć na podwórko. Otwierałem okno w kuchni i ćmiłem jak smok. Natomiast co do alkoholu, to dosłownie kilka razy zdarzyło mi się wrócić do domu na lekkim rauszu. Nie wiem, czy moja mama była tego świadoma, a może po prostu nie chciała się denerwować? Jeżeli idzie o mnie, to po wódce nigdy się nie awanturowałem, nie byłem agresywny nawet jak miałem niezłe w czubie. Wiem, że to nie jest żadne usprawiedliwienie, po prostu wyznaję uczciwie jak było.

W połowie listopada 1917 roku w świat pomknęły echa wybuchu Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Wieści, które docierały do naszych uszu budziły wielkie emocje. "Pod Żłotym Kopytem" aż wrzało. Trudno to dziś wytłumaczyć, ale możecie mi wierzyć na słowo, że ta wiadomość była po prostu elektryzująca. Ponurą knajpę na Żłotych Dachach, gdzie zwykli robotnicy topili w alkoholu swoje smutne życie, nagle ogarnęła fala entuzjazmu i nadziei. Bardzo szybko dało się zauważyć, że bywalcy gospody podzielili się na trzy frakcje. Z jednej strony byli zagorzali zwolennicy robotniczego przewrotu, z drugiej przeciwnicy, a trzecią grupę stanowili ci, którzy nie mieli własnego zdania. Każdego wieczoru było tu gwarno jak w ulu. Podniesione głosy, kłótnie, sprzeczki, wyzwiska, czasami komuś puszczały nerwy i dochodziło nawet do rękoczynów. Ja, Trufel i Pesteczka byliśmy wtedy zbyt młodzi, żeby móc cokolwiek na ten temat powiedzieć. Brakowało nam wiedzy, świadomości politycznej i życiowego doświadczenia. Z dnia na dzień zostaliśmy biernymi obserwatorami wydarzeń, które rozgrywały się w karczmie przy dębowych stołach. To naprawdę była dla nas atrakcja i śmialiśmy się do rozpuku, widząc jak dorośli mężczyźni kłócili się z sobą, tocząc pianę z ust. Pamiętam jak podczas jednej z burzliwych sprzeczek, jakiś gość złapał za kufel i chlusnął całą zawartość prosto w gębę swojego rozmówcy.

- Co za matoł! - Rzucił Pesteczka rozbawionym głosem. - Widzieliście?! Facet poświęcił swoje piwo!

Kiedy dziś sięgam pamięcią do tamtych dni, zdaję sobie sprawę, że nie miałem wtedy własnych przekonań. Żyłem spokojnie przyjmując świat takim, jakim był. Miałem swoją pracę, czasami się narobiłem jak durny, ale żadna krzywda mi się nie działa. Oczywiście chciałem zarabiać więcej, ale to było zupełnie naturalne. Wy też na pewno uważacie, że wasza wypłata powinna być większa, prawda? Tak już jest. Człowiek zawsze

chce więcej.

Zawsze więcej.

Kiedy nastał rok 1918 nie mogłem się doczekać dnia moich urodzin. Nie wiem dlaczego było to dla mnie takie ważne. Może po prostu chciałem już być pełnoletni? Może wierzyłem, że wtedy coś się zmieni?

Z nadejściem wiosny zauważyłem, że coraz częściej oglądam się za dziewczętami. Znałem kilka, które mieszkały na Żółtych Dachach, ale wszystkie były jakieś takie nijakie. Znaczą się, wyglądały zupełnie normalnie, ale chyba nie miały w sobie tego czegoś, co podziałałoby na mnie jak magnez. Za to w maju, nasz lowelas Pesteczka, zaczął się spotykać z czarnowłosą Halinką od Malinowskich i chłop zwariował.

- Zakochał się biedaczysko i nie ma już czasu dla kumpli - stwierdził któregoś razu Trufel, jak jechaliśmy kolejką na piwko do Opatówka. - I oni nawet do siebie nie pasują - dodał po chwili.

- Mniejsza o to czy do siebie pasują. Sęk w tym, że teraz widzisz co potrafi z człowiekiem zrobić dziewczyna - odparłem, jakbym miał nie wiadomo jakie doświadczenie w tym temacie. - Przyjaciele idą w odstawkę, ale powiem ci, że któregoś dnia powróci do nas niczym skruszony syn marnotrawny. A ty - szturchnąłem go w ramię - nie masz przypadkiem jakiejś panny na oku?

- Ja? - Trufel spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem. - Nie mam czasu na pierdoły. Poza tym rozumiesz, dziewczyna jest kosztowna. Musisz ją gdzieś zabrać, postawić lody albo lemoniadę, czasami kupić jakiegoś kwiatka albo skromny upominek. Potem się musisz z taką spotykać. Zaczynają się jakieś spacerki, przesiadywanie na ławce w parku, masz coraz mniej czasu dla kumpli i nie możesz się zająć swoimi sprawami. Do bani z takim interesem.

- Święte słowa - powiedziałem i spojrzałem w okno. - A jakie ty masz swoje sprawy? - Ostatnie dwa słowa wypowiedziałem z nutką lekkiej drwiny.

- A żebyś wiedział, że mam - odparł w tajemniczy sposób.

- No dajesz, mów w czym rzecz - zacząłem go ciągnąć za język.

- Opowiem ci jak dojedziemy na miejsce.

Tego dnia Trufel zdradził mi swój pomysł na życie. Muszę przyznać, że w pierwszej chwili myślałem, że to z jego strony jakiś durnowaty żart, ale bardzo szybko nabrałem przekonania, że mówi całkiem serio. Mój kumpel od półtora roku pracował w mleczarni. Podobnie jak ja, najpierw był chłopcem od wszystkiego, a potem został terminatorem. Odnalazł się w tym fachu. Bardzo szybko wbił sobie do głowy, że w przyszłości zajmie się produkcją serów. Plan miał bardzo ambitny, bo myślał, żeby działać na własną rękę. Byłem bardzo zaskoczony. Znaliśmy się przecież już tyle czasu, a tak naprawdę, to nigdy nie pogadaliśmy z sobą tak od serca. Tak jak powinni rozmawiać z sobą przyjaciele. Może było tak dlatego, że zawsze włączyliśmy się w trójkę? Może Trufel coś tam wspominał, a ja po prostu nie słuchałem? Nie wiem. W każdym bądź razie, bardzo mi wtedy zaimponował.

- Jak chcesz, któregoś dnia dam ci spróbować ser mojej własnej roboty - powiedział.

- To w mleczarni robisz już samodzielnie ser? - Zapytałem.
 - Nie, no coś ty - odparł. - Praca w mleczarni ma ten plus, że mogę taniej kupić mleko, a ser robię u siebie w piwnicy.
 - Żartujesz? - Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę.
 - Przysięgam - położył dłoń na sercu. - Robię taki twarożek, że palce lizać. Niedługo zacznę robić ser pleśniowy, wiesz taki nieco klejący, miękki ale puszysty. Muszę tylko przeprowadzić kilka eksperymentów ze skrzepem.
 - Z jakim skrzepem? - Zapytałem, bo nie miałem pojęcia o czym on u licha mówi.
- Siedzieliśmy "U Panicza" w Opatówku, sączyliśmy piwko, a Trufel opowiadał mi o rzeczach, które słyszałem pierwszy raz w życiu.
- Kilka dni później zaprosił mnie do piwnicy, żebym spróbował tego twarożku, po którym nic, tylko palce lizać i muszę wam powiedzieć, że naprawdę był pyszny.
- Człowieku, chcę zostać twoim klientem - powiedziałem całkiem poważnie.
 - Serio?
 - Serio. Jak masz uczciwą cenę, to będę kupował pół kilo na tydzień.
 - No to jesteś już moim dwunastym kupcem - odpowiedział, a ja na dźwięk jego słów zrobiłem duże oczy.
 - Dwunastym? - Powtórzyłem ze zdziwieniem.
 - Tylko nikomu o tym nie mów. Możesz zachwalać wszystkim, że mój ser jest pycha, ale nie wygadaj się, że jesteś dwunasty. Obiecujesz?
 - Spokojnie. Nie wygamam się, słowo.

Latem 1918 roku zdałem sobie sprawę, że moje życie jest banalne. Nie miałem żadnych konkretnych zainteresowań, żadnego hobby. Żyłem z dnia na dzień, hołdując zasadzie, jakim mnie Panie Boże stworzyłeś, takiego mnie masz. Pesteczka miał pracę i chociaż nadal był szurnięty, to jednak znalazł sobie dziewczynę. Trufel miał robotę w mleczarni i pasję, której poświęcał się po godzinach. Facet był uparty, bo powoli i z mozolem realizował swój plan, żeby w przyszłości wkroczyć do branży serowej. Ja natomiast miałem stały etat i nic więcej. Chłopaki poszli do przodu, a ja stałem w miejscu. Próbowaliśmy się zmotywować i kilka razy nawet przyszło mi do głowy, że może też powinienem zacząć działać i w jakikolwiek sposób wykorzystać wiedzę zdobytą w stolarni. Skończyło się tylko na dumaniu. Widziałem więcej przeszkód niż możliwości. Nie miałem żadnych narzędzi. Nie byłem nawet właścicielem śrubokręta. Większość pieniędzy oddawałem mamie na utrzymanie, ale z każdej tygodniówki zostawiałem sobie działkę. Oczywiście, że mogłem zainwestować. Nawet dwa razy byłem w sklepie, sprawdziłem ceny, pokiwałem głową i zamiast coś kupić, poszedłem na piwo. Lekką ręką wydawałem forszę na fajki i browar, ale szkoda było mi grosza na stolarski rynsztunek. Znalazłem sobie cwane usprawiedliwienie, że nawet jeśli miałbym w piwnicy skrzynkę z narzędziami, to i tak nie dorwę żadnej fuchy. Miałem bardzo wygodną wymówkę. Nie potrafiłem w sobie wykrzesać choćby iskierki własnej inicjatywy. Wołałem leniwie dłużyć w nosie, niż ruszyć tyłek i zrobić coś sensownego. Przesiąkłem na wskroś mentalnością królującą na Żółtych Dachach. Tutaj życie było bardzo proste, od

poniedziałku do soboty praca od rana do wieczora. Powrót do domu, posiłek i do karczmy. W niedzielę rano na mszę do kościoła, na obiad rosół z kury, a popołudnie i wieczór w gospodzie. I tak sobie leciał dzień za dniem.

Na miesiąc przed urlopem zaświtał mi w głowie durny pomysł. Teraz wiem, że był kiepski, ale wtedy taki się nie wydawał. Interes Skoczyńskiego przynosił dobre zyski. Szef inwestował w materiał i narzędzia, zatrudnił dodatkowych ludzi, a ja postanowiłem ugryźć coś dla siebie. Dopuściłem się kradzieży. Zaczęło się niewinnie. Najpierw buchnąłem kilka śrubokrętów, potem dwa młotki, hebel, piłę, ściski stolarskie, pilniki, nóż, wiertła, cążki... Kradłem wszystko jak leci, nawet gwoździe i szelak. Każdego dnia wynosiłem coś z warsztatu i nie miałem żadnych skrupułów. Zaślepiało mnie naiwne poczucie krzywdy i znalazłem sobie wygodne tłumaczenie. Przecież pracowałem tak samo jak pozostali, a zarabiałem tylko połowę stawki. W gospodzie na okrągło słyszałem, że zwykły robotnik zawsze jest wykorzystywany i chyba z tego powodu poczułem w sobie bunt. Wyciągałem błędne wnioski i przestałem akceptować obowiązującą powszechnie ideę ucznia-terminatora. Nie godziłem się na to, żeby być tylko parobkiem i ciągle wmawiałem sobie, że to nie jest uczciwe. Na dodatek perspektywa połowy wynagrodzenia, czekała mnie jeszcze przez dwa długie lata. Skoczyński miał wszystkiego pod dostatkiem, a ja byłem golusienki. Stwierdziłem więc, że coś mi się jednak należy na otarcie łez.

Tak wtedy pojmowałem sprawiedliwość.

Dziś natomiast mogę śmiało powiedzieć, że Karma potraktowała mnie adekwatnie do tego, co uczyniłem. Przywłaszczone narzędzia nigdy nie przyniosły mi zysku. Z ich pomocą nie zarobiłem nawet złamanego feniga. Jedyne pożytkiem był taki, że podczas urlopu przemeblowałem piwnicę i zbiłem regał na którym mogłem postawiać wszystkie szpargały i słoiki z kompotami.

Wiem, że źle postąpiłem okradając Skoczyńskiego. Po jakimś czasie zacząłem mieć z tego powodu wyrzuty, ale nawet nie kiwnąłem palcem, żeby to naprawić i uspokoić swoje sumienie.

Na tydzień przed moimi osiemnastymi urodzinami Pesteczka zakończył swoją znajomość z Halinką. Trufel miał rację twierdząc, że oni do siebie nie pasują. Pokłócili się o jakąś pierdołę i dwa młode serca zostały złamane. Oczywiście było mi to na rękę, bo znowu zaczęliśmy egzystować tak jak dawniej.

W tym samym czasie, kiedy razem z Truflem i Pesteczką opijaliśmy "Pod Złotym Kopytem" moją osiemnastkę, I wojna światowa miała się ku końcowi. Historia nazwała ten okres "ofensywą stu dni", ale walki toczyły się z dala od naszych domów. Wojna odeszła z Kalisza dawno temu. Miasto zdążyło dzwignąć się z gruzów, kwitło i rosło w siłę. Poza tym na Złotych Dachach nikt nie rozmawiał o wojnie. Tutaj dyskutowano o walce klas, o międzynarodowym proletariacie i o sowieckiej rewolucji. My naprawdę żyliśmy w innej rzeczywistości. Od kilku miesięcy na froncie zachodnim siły Ententy dawały szkopom łupnia, aż w końcu ofensywa zepchnęła niemiecką armię poza linię Hindenburga. Nad ranem 11 listopada 1918 roku w wagonie kolejowym w lesie

Compiegne, został podpisany rozejm.

Polska odzyskała niepodległość.

Myślicie, że dla ludzi z ubogich dzielnic miało to jakieś znaczenie? Naprawdę uważacie, że dzięki temu zmieniło się życie prostych robotników? Cóż na ten temat mogą wiedzieć ludzie, których w tamtym czasie nie było jeszcze na świecie? Przeczytałem w swoim życiu kilka historycznych podręczników na temat I wojny światowej. Doskonale opisują wszystkie bitwy, starcia, potyczki i świetnie ukazują militarne statystyki. Skrupulatnie wyliczają kto ile miał czołgów, armat, okrętów i samolotów. Na ich kartach przewijają się nazwiska polityków i wojskowych dowódców, zarówno tych, którzy byli po stronie zwycięzców jak i pokonanych. Wszystko ładnie pięknie, wszystko się zgadza, ale kiedy taki czy siaki autor zaczynał brnąć w swojej książce w sprawę ludzkiej mentalności, była to już tylko czysta fantastyka. Szlag mnie trafiał, kiedy czytałem treści nafaszerowane przesadną martyrologią i przejaszkawionym patriotyzmem. To wszystko było sztuczne, bo moim zdaniem twierdzenia o narodowej tożsamości nie są prawdziwe. Pytam się jaką mieliśmy wtedy tożsamość, skoro od ponad wieku, jako naród, byliśmy pod zaborami? Szkoda gadać. Szkoda mi marnować czasu na obalanie tej fikcji. Pamiętam jak któregoś dnia, a było to jesienią 1967 roku, Johnny Alcatraz powiedział:

- Czasami jak na ciebie patrzę, to mam wrażenie, że jesteś starszy od zółwia - po czym podał mi skręta i rzekł: - Masz dziadek, zapal sobie. Wiesz, czasami zastanawiam się nad wolnością, ale nie nad taką wolnością jaka nam się w tej chwili marzy, ale nad pojęciem wolności w takim podniosłym znaczeniu. Bo rozumiesz, chyba zaczynam się obawiać, że kiedy wyjdę stąd za kilka lat, to po drugiej stronie murów zastanę smutny, szary i zmęczony świat. Z tobą będzie tak samo, zobaczysz.

- Ze mną? - Odparłem i zaśmiałem się. - Johnny, ja zadomowiłem się tutaj na dobre. Jeżeli stąd wyjdę, to w drewnianej skrzyni. Nie inaczej.

- My friend - często się do mnie tak zwracał tym swoim dźwięcznym rock and rollowym głosem i amerykańskim akcentem - mówię ci, że któregoś dnia wyrwiesz się stąd na dobre. W najgorszym wypadku sami cię wywalą, jak będziesz już srał pod siebie. Pozbędą się ciebie. Wyrzucą cię tak, jak się wyrzuca niepotrzebne rzeczy na śmietnik. Lepiej się na to przygotuj. Zderzenie z socjalistyczną wolnością może być bolesne dla takiego człowieka jak ty. Żyłeś w wolnej Polsce, pamiętasz tamte czasy, prawda? Pamiętasz jak nastąpiła II Rzeczpospolita? Jak wtedy było?

Spojrzałem na jego uśmiechniętą twarz i pomyślałem, że mógłbym mu teraz opowiadać cuda. Mógłbym klepać bzdury jakich mało, a on pewnie uwierzyłby mi na słowo.

- Miałem wtedy raptem osiemnaście lat - zacząłem snuć swoją opowieść - jednak dla mnie wojna skończyła się wiosną 1916 roku. Osobiście mam wrażenie, że większość ludzi, którzy interesują się historią, ma bardzo mylne wyobrażenie o tamtych czasach. Zaczynają naciągać fakty, a przy okazji wymyślają mity i legendy. Tam gdzie żyłem poczucie patriotyzmu nie istniało. W mojej rodzinie nie było narodowych tradycji, mówiliśmy w domu po polsku, ale nikt nie nauczył mnie celebrować godła i flagi. Nic z tych rzeczy. Wychowywałem się w ubogiej, kaliskiej dzielnicy. Tam było ważne, żeby starczyło na czynsz dla kamienicznika i na strawę do garnka. Taki właśnie był nasz świat.

Mieszczzańską elitę stanowił zaledwie ułamek ludności, a cała reszta, to byli prości robotnicy. Skończyła się wojna, nastąpiła II Rzeczpospolita i na tym koniec. Nic się nie zmieniło. Nic. Nadal panował ten sam wyzysk, a kto był ubogim, dalej takim pozostał. Pamiętam tylko, że cała ta polskość najbardziej objawiała się w postaci flag zawieszonych przy urzędach. Był też festyn w parku, grała orkiestra dęta i przemawiało kilku ważniaków. Oczywiście dało się odczuć panującą pośród ludzi euforię, ale potem nastąpiły mroczne dni. Brutalnie przepędzono z Kalisza rodowitych Niemców i z tego co wiem, były nawet ofiary w ludziach. Ucierpiała również ludność żydowska. Przez miasto przelała się fala linczów i samosądów. Tak właśnie było Johnny, nie zdążyły jeszcze zamilknąć pierwsze fanfary niepodległości, a II Rzeczpospolita już wzięła krwawy odwet za wszystkie lata niewoli.

Nastał zimny styczeń 1919 roku. Śniegu nasypało, jak mówił Pesteczka - aż po same jaja - i trzymał taki mróz, że jak człowiek splunął, to ślina prawie zamarzała w locie. Jak co wieczór wzięłem buty, zarzuciłem na grzbiet ciepłą kurtkę, naciągnąłem na uszy wełnianą czapkę i tradycyjnie udałem się do gospody. Maszerowałem szybkim krokiem, śnieg skrzypiał pod podszewkami, a mróz kąsał policzki. Na ulicach nie było żywego ducha i tylko światła płonące w oknach kamienic, świadczyły o tym, że jednak ktoś mieszka w tej parszywej dzielnicy. Srebrny księżyc dostojnie błyszczał na czarnym niebie, a wokół jego tarczy malowała się tęczowa poświata. Wszystko wskazywało na to, że jutro też będzie zimno jak jasna cholera. U zbiegu ulic niczym wartownik, stał na straży duży bałwan. Spojrzałem na niego i pomyślałem, że tutejsze dzieciaki musiały włożyć sporo wysiłku, żeby ulepić tego stwora. Jakiś dowcipniś wyjął mu marchewkę, która wcześniej imitowała nos i wbił ją w miejsce, gdzie każdy bałwan powinien mieć siusiaka. Rozbawił mnie ten widok.

Jak tylko otworzyłem drzwi wiodące do gospody, rozległ się gwar, a w moje nozdrza uderzył intensywny zapach tytoniu. Spojrzałem w prawo. W oparach dymu dostrzegłem Pesteczkę i Trufla, którzy jak zawsze siedzieli w rogu sali, ale dziś towarzyszył im jakiś mężczyzna. Zaciekawiony ruszyłem w ich kierunku. Na stole przy którym siedzieli, stała butelka wódki i talerz z zakąską. Nawet mnie nie zauważyli, dyskutowali z tym facetem, który siedział tyłem do wyjścia.

- O proszę! Jest w końcu nasz drewniany terminator! - Rzucił Pesteczka na mój widok.

W tym samym momencie, człowiek siedzący do mnie plecami obrócił swoją głowę. To był Wiktor.

- Witaj, Stefan! - Podniósł się z miejsca i wyciągnął w moim kierunku dłoń na powitanie.

- Cześć Wiktor! - Naprawdę się ucieszyłem na jego widok. - Kopa lat! - Wymieniliśmy uścisk.

Zmierzył mnie wzrokiem i powiedział:

- Zmieniłeś się nie do poznania! Wyrosłeś, zmeźniałeś - klepnął mnie w ramię.

- Ty też - odparłem. - Z tyłu to cię w ogóle nie poznałem. Wchodzę do środka,

patrzę i widzę, że siedzą te dwie pierdoły z jakimś facetem - posłałem mu uśmiech i dodałem: - Dobrze cię widzieć kolego.

Tego wieczoru siedzieliśmy do późna. Wiktor opowiadał nam o swoim kilkuletnim pobycie w Szwajcarii, gdzie jego rodzina wyjechała w przededniu wojny. Z jego słów wynikało, że ominęła ich cała wojenna zawierucha. Mówił o świecie, który wydawał się niesamowicie piękny i fascynujący. Potrafił tak bardzo obrazowo opowiadać, że człowiek niemal widział te wszystkie urocze miejsca u podnóża Alp. A my, no cóż? My, chłopcy ze Złotych Dachów, nie mieliśmy tak ekscytujących i barwnych wspomnień jak on.

- Wróciliście do Kalisza na dobre? - Zapytał w pewnym momencie Trufel.

- Tak. Ojciec ma tutaj swoje interesy.

- A ty co będziesz robił? - Wtrąciłem się do rozmowy.

- Nie mam jeszcze żadnych planów. Nie wiem. Chyba będę studiował prawo, ale muszę to jeszcze przemyśleć. Teraz mam wakacje.

- No toś sobie wybrał porę - zachichotał Trufel.

Wiktor złapał za butelkę, napełnił kieliszki i rzekł:

- Panowie, wypijmy za nasze spotkanie.

Wznieśliśmy toast.

- Wódka się skończyła - obrócił butelkę do góry dnem i zapytał: - Macie jeszcze na coś ochotę?

- Ochota to jeszcze by się znalazła - powiedział Trufel - ale jutro trzeba iść do roboty.

- Która jest godzina? - Zapytałem.

Wiktor sięgnął do kieszeni i spojrzał na zegarek.

- Młoda, dopiero dochodzi dziesiąta. No to co robimy? Pijemy coś jeszcze? Ja stawiam! - Zerknął po naszych twarzach. Nikt z nas nie protestował. - Machniemy jeszcze pół litra - zdecydował, po czym podniósł się z miejsca i ruszył w stronę szynku.

- Jak stawia, to nie ma się co spieszyć - powiedział Pesteczka i trącił mnie łokciem w bok - prawda?

- Prawda - odparłem.

- Znowu będę niewyspany - powiedział Trufel.

- Przestań marudzić serowy ćwoku - Pesteczka syknął w jego stronę.

Po kilku minutach zjawił się karczmarz. Przejechał szmatą po blacie, położył butelkę wódki i deskę z plastrami wędzonego boczku.

Było wpół do dwunastej, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi od knajpy. Trochę mi szumiało w głowie, ale mroźne, styczniowe powietrze sprawiło, że błyskawicznie otrzeźwiałem. Minęliśmy dwie kolejne przecznice. Pesteczka i Trufel skręcili w lewo, a my ruszyliśmy na wprost.

- Jak ci się tutaj żyje? - Zapytał Wiktor.

- Ale co masz na myśli? Złote Dachy czy niepodległą Polskę?

- I jedno i drugie.

- Powiem ci, że w obu wypadkach, tak samo jak kiedyś. Tak naprawdę, to nic się nie zmieniło. Kompletnie nic. A ty nie dostaniesz książkowego aresztu za swój nocny wypad? - Zażartowałem zmieniając temat.

- Widzę, że zapamiętałeś co nieco - zaśmiał się Wiktor. - Tak durną karę, mógł wymyślić tylko mój ojciec. Jednak z drugiej strony, przeczytałem dzięki temu sporo książek.

- Aż tak broiłeś za młodu? - Byłem nieco zaskoczony. - Zawsze myślałem, że byłeś grzecznym i poukładanym chłopcem.

- Nie tyle co byłem, ale nadal taki jestem - spojrzał na mnie - tylko mój ojciec ma zbyt wygórowane oczekiwania - zaśmiał się i szturchnął mnie ramieniem. - O której kończysz pracę? - Zapytał zniechęcony.

- Pracuję codziennie od siódmej do piątej.

- Może spotkamy się jutro? Miałbyś ochotę?

- Jasne. Wrócę z roboty, zjem jakiś obiad, ogarnę się i o wpół do siódmej będę w gospodzie - powiedziałem i zatrzymałem się w miejscu, bo doszliśmy do kamienicy w której mieszkałem.

- Tu mieszkasz? - Zapytał Wiktor.

- Tak. Pod trójką.

- Zapalisz? - Wyciągnął z kieszeni płaszcz paczkę fajek.

Mróz szczypał w uszy, ale darmowej fajki nie byłem w stanie odmówić.

- Chętnie.

- Powiem ci, że zimno w tej naszej Polsce - powiedział podając mi ognia.

- Zimno, ciemno i biednie - rozwinąłem jego myśl i zapytałem: - Cieszysz się, że wróciliście z powrotem?

- Tak. Bardzo. Wiesz, Szwajcaria jest piękna, żyją tam mili i przyjaźni ludzie, ale co z tego, skoro byliśmy obcy? Najtrudniej było przez pierwszy rok. Mieszkaliśmy we francuskojęzycznym kantonie i zanim nauczyłem się mówić, a potem w końcu rozumieć, co do mnie mówią, czułem się jak dzikus. Nie miałem żadnych kolegów, żadnych przyjaciół. Koszmar. Później już było lepiej, ale mimo wszystko, piętno emigranta zawsze będzie cię prześladować. Na obczyźnie nigdy nie poczujesz się tak jak w domu. Nigdy. Nawet jeśli odniesiesz tam sukces i będzie ci się dobrze wiodło, to dla rodowitych mieszkańców zawsze będziesz człowiekiem drugiej kategorii.

Pożegnaliśmy się, kiedy zegar na kościelnej wieży wybił za kwadrans północ.

Wiktor każdego wieczoru zjawiał się w gospodzie "Pod Złotym Kopytem". Miał gest, codziennie stawiał nam po kuflu piwa, a my bardzo szybko przywykliśmy do jego hojności. Któregoś dnia Pesteczka przyszedł nieco później i nie wiem co mu strzeliło do łba, że tak bezczelnie się zachował. Podeszedł do szynku, zamówił piwo i powiedział karczmarzowi, żeby dopisał je do rachunku Wiktora. Kiedy godzinę później zbieraliśmy się do wyjścia, barman podeszedł do nas i wystawiając dłoń w kierunku Wiktora, powiedział:

- Jeszcze trzeba zapłacić za jego piwo - wskazał głową na Pesteczkę.

- Dlaczego uważasz, że ja mam to zrobić? Skoro on zamawiał, to od niego żądaj zapłaty - powiedział i spojrzał surowym wzrokiem na Pesteczkę.

Zrobiło się bardzo niezręcznie i możecie mi wierzyć, że było mi wstyd za mojego

kumpla. Pesteczka poczerwieniał jak burak, wyjął z kieszeni portfel i uregulował należność.

Wyszliśmy na zewnątrz, a Wiktor oschłym głosem rzucił mu prosto w twarz:
- Rozbestwiłeś się kolego. Czuję się rozczarowany twoim zachowaniem.

W duchu przyznałem mu rację, wszystko wszystkim, ale nie ulegało wątpliwości, że Pesteczka przesadził. Gdyby postąpił jak na mężczyznę przystało i chociaż przeprosił za swoje zachowanie, ale on zrobił tylko głupkowatą minę i wzruszył ramionami. Od tamtej pory obaj złapali do siebie bardzo duży dystans, a ich relacje stały się delikatnie mówiąc, oziębłe. Kiedy przebywaliśmy wspólnie to niby zachowywali się normalnie, ale na osobności, jeden narzekał na drugiego.

Kiedy dziś zastanawiam się nad tym wszystkim, dochodzę do wniosku, że zanim pojawił się Wiktor, to chyba czułem się już znudzony towarzystwem moich kumpli. To, że ich lubiłem nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jednak nasza przyjaźń dobiegła do takiego momentu, kiedy zatrzymaliśmy się w miejscu. Łączyło nas jedynie wspólne przesiadywanie w knajpie i gadanie o bzdurach. Nie wiem, może dlatego, że w moim życiu nie działo się nic ciekawego? Nie miałem żadnej pasji i żadnych wzniosłych planów na przyszłość. Trufel był najbardziej poukładany z naszej trójki i wiedział czego chce. Miał wizję, chciał zostać serowym księciem i twardo trzymał się tej myśli. Pesteczka natomiast zawsze był fantastą i lekkoduchem. W jego domu nigdy się nie przelewało, wiecznie brakowało pieniędzy, a on od najmłodszych lat przywiązywał wagę do posiadania rzeczy materialnych. Szczególnie do modnych ciuchów. Ciągłe powtarzał, że w przyszłości będzie się sztywnie ubierał. Miał jakiegoś hopla na tym punkcie. Nie raz drwiliśmy z niego, że będzie pierwszym elegantem urodzonym na Złoty Dachach.

- Ja to mam tak - powiedział kiedyś - że byłbym w stanie przerzucać gówno gołymi rękami, byleby dobrze zarobić. Nieważne co w życiu robisz, ważne jak wyglądasz, bo jak cię widzą, tak cię piszą - taka była jego dewiza.

Kiedy dostał posadę pomocnika murarza w firmie budowlanej, to z wielkim zaangażowaniem poświęcił się tej robocie. Ta praca była dla niego tym samym, czym jest pępowina dla dziecka w łonie matki. Był bardzo wydajnym pracownikiem i szybko zaczął dobrze zarabiać. Większość forsy przeznaczał na ciuchy. Pewnego razu kupił sobie za jednym zamachem trzy kaszkiety i cztery kapelusze, bo uważał, że jeśli każdego dnia założy coś innego na głowę, to cały świat będzie myślał, że jest cholernie zamożny. Pesteczka po prostu cierpiał na kompleks niższości, a ja z Truflem mieliśmy z tego powodu ubaw.

Jeżeli idzie o mnie, to wbiłem sobie do głowy, że moje życie zmieni się dopiero wtedy, kiedy zdam egzamin czeladniczy. Umowa, którą zawarłem ze Skoczyńskim mówiła, że stanie się to wiosną 1920 roku. Potem miałem dostać zatrudnienie na tak zwanym pierwszym poziomie i normalną wypłatę, jaka przysługiwała osobie mającej pełne kwalifikacje zawodowe.

Po powrocie Wiktora spędzałem z nim bardzo dużo czasu. Praktycznie widywaliśmy się każdego wieczoru. Lubiłem jego towarzystwo, a nasze codzienne spotkania były dla mnie odmianą od monotonnej rzeczywistości w której trwałem od lat. Mogę nawet powiedzieć, że byłem dumny z naszej znajomości. Imponował mi swoją wiedzą i czytaniem, zawsze miał coś ciekawego do powiedzenia, a jego spostrzeżenia przeważnie były bardzo trafne. Jednej rzeczy nie mogłem tylko zrozumieć i któregoś dnia, kiedy siedzieliśmy przy kuflu piwa, zapytałem:

- Czemu lubisz tutaj przychodzić? Przecież mógłbyś spędzać czas w bardziej eleganckim miejscu niż ta gospoda.

- Dobre pytanie - odparł po chwili. - Mam porównanie, bo znam te eleganckie miejsca, jak je nazwałeś i wiem, jakie są sztuczne. Przebywanie w nich zmusza człowieka do tego, żeby zastosował się do panującej etykiety, te srebrne sztucce, porcelanowe zastawy i kryształowe kieliszki to tylko blichtr. Potrafi oślepić i zachwycić, ale nic poza tym. Tam ludzie zachowują się tak, jakby cały czas mieli świadomość, że są obserwowani. Każdy zanim cokolwiek powie, musi się pięć razy zastanowić nad sensem wypowiedzianych słów. Wszystko jest na pokaz. Te wytworne ubrania, kosztowna biżuteria, perfumy, torebki, meloniki, złote zegarki, stylowe fryzury i zadbane paznokcie, to tylko element gry. Rozumiesz? To świat w którym musisz zabiegać o odpowiednie wpływy i względy, a twój status określa zgromadzony majątek i gotówka w portfelu. Jeżeli zbankrutujesz, albo wpadniesz w finansowe tarapaty, to środowisko w którym się obracasz, zepchnie cię na boczny tor. Zamożni ludzie nie robią niczego dla idei, dla nich liczy się tylko interes. Wiem o czym mówię, bo sam pochodzę właśnie z takiej rodziny. Odkąd sięgam pamięcią, to w moim domu każdy posiłek, przypominał teatralne przedstawienie. Nigdy nie było normalności i swobody. Nigdy. Wiem, że to drobna sprawa, ale takich szczegółów w ciągu dnia bywają setki. Kiedy przychodzę tutaj, kiedy siadam przy tym drewnianym stole i biorę kufel w dłoń, czuję to zwykłe, naturalne życie. Rozumiesz o czym mówię? - Spojrzał na mnie. - Czuję prawdę i swobodę. Widzę ją w twarzach tych wszystkich ludzi - machnął dłonią - słyszę naturalną szczerość. Podziwiam to, że potrafią ze sobą rozmawiać nie przebierając w słowach. Kiedy czasami słucham jak ty, Michał i Karol zwracacie się do siebie, to wam zazdroścę. Wasz świat nie zna żadnych ograniczeń i to jest po prostu piękne.

- Piękne? - Powtórzyłem z nieukrywanym wyrzutem. - Wiktor, nie masz pojęcia o czym mówisz. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak ciężkie jest nasze życie. Zmieniłbyś zdanie, gdybyś musiał pracować za marne grosze. Nie chodzi o to, że jestem wścibski, ale powiedz mi tak szczerze, skąd masz pieniądze? Pracujesz i zarabiasz, czy dostajesz od bogatego ojca? Bo ja każdego dnia muszę iść do pracy i robić swoje.

- Lubisz to co robisz? - Zapytał znienacka.

Spojrzałem na niego i po chwili rzekłem:

- Nie miałem żadnego wyboru. Nikt mnie nie pytał co chcę w życiu robić, trafiła się okazja i tak już zostało. Czy lubię stolarkę? Chyba tak - wzruszyłem ramionami - każdy musi w jakiś sposób pracować, prawda? Lepsza taka robota niż sterczenie na taśmie w fabryce.

- Widzisz, ja natomiast chciałbym robić coś - powiedział - co będzie nadawało sens

mojemu istnieniu. Wiem, że to zabrzmie bardzo górnolotnie, ale jeśli chcę tworzyć rzeczy wielkie, to muszę być wykształcony. Muszę sobą coś reprezentować. Zgadza się, jestem w innej sytuacji niż ty. Mam ten komfort, że mogę dokonać wyboru. Mam takie możliwości. Skorzystam z nich, chcę zdobyć wiedzę i robić w życiu coś, co będzie służyć ludziom i zmieniać świat na lepsze.

Zaśmiałem się, bo jego słowa naprawdę mnie rozbawiły.

- A w jaki sposób chcesz zmienić świat? No powiedz? Chcesz zostać politykiem? - Mówiłem z lekką kpina. - Gdzie chcesz zmieniać świat? W tej obskurnej karczmie?

- Dzisiaj się z tego śmiejesz - odparł - ale ja myślę, że nadciąga czas wielkich zmian. Wszystko ma gdzieś swój początek, może nawet w gospodzie. Masz pojęcie co się dzieje w Rosji? Tam ludzie przelewają swoją krew, tam trwa wojna domowa i za jakiś czas bolszewicy zdobędą władzę. Wspomnisz moje słowa. - Sięgnął dłonią do kieszeni i wyjął poskładaną kartkę papieru. - Proszę bardzo, sam zobacz co tu jest napisane - podał mi ulotkę.

Spojrzałem na świstek, a potem zerknąłem mu prosto w oczy i rzekłem:

- Nie chodziłem do szkół. Nie umiem czytać.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Szkoda - stwierdził - czytanie to pożyteczna umiejętność.

- Ilu widzisz tutaj ludzi? - Zapytałem i kiwnąłem głową. - Będzie ponad dwudziestu chłopów i jak myślisz, ilu z nich umie pisać i czytać?

Wiktor omiół wzrokiem zebranych, po czym nagle wstał i powiedział donośnym głosem.

- Przepraszam! Kto z was potrafi czytać?!

Oczy wszystkich zwróciły się w naszym kierunku.

- A bo co?! - Odpowiedział facet siedzący samotnie dwa stoliki dalej. Znałem go z widzenia, ale nie wiedziałem jak się nazywa.

- Dostaliśmy z kolegą ulotkę - uniósł do góry dłoń w której trzymał kartkę papieru - i nie wiemy co tu jest napisane.

Mężczyzna złapał za swój kufel i podszedł do nas.

- Pokaż to - powiedział.

Przez dłuższą chwilę spoglądał na wydrukowane litery, po czym spojrzał na Wiktora i rzekł:

- Przyszedłeś tu agitować ludzi? Coś ty za jeden?

- Nikogo nie chcę agitować, chcemy tylko wiedzieć co tu jest napisane.

- To ulotka wydrukowana przez Komunistyczną Partię Robotniczą Polski. Skąd to masz? - Zapytał podejrzliwym głosem.

- Dostałem od jakiegoś człowieka. Kręcił się po południu obok Rogatki i wciskał komu popadnie.

- Już nawet tutaj dotarli - rzucił pogardliwym tonem. - Jak nie chcecie mieć kłopotów, to lepiej trzymajcie się od takich z daleka. - facet spojrzał na mnie i powiedział:

- Ty jesteś młody Żabikowski, tak? Znałem twojego stryja Ambrożego. Dawno temu wyjechał z Kalisza. Co u niego?

- Niestety nie wiem. Nie mamy z sobą kontaktu - odparłem i poczułem, że moje

policzki się zarumieniły.

- Ciebie nie znam, ale widziałem cię tutaj kilka razy. Jesteś z Kalisza?

- Tak - odpowiedział Wiktor.

- Nie wyglądasz na robotnika - stwierdził i dodał rozkazującym tonem: - Pokaż mi swoje dłonie!

Wiktor zrobił to, czego tamten zażądał.

Mężczyzna złapał go za palce i po chwili powiedział:

- Jeszcze się w swoim życiu nie napracowałeś, a jak będziesz tutaj przyłaził i siał zamęt, to możesz oberwać.

- Nie mam takiego zamiaru - odparł Wiktor, ale nie dał po sobie poznać, że poczuł się nieswojo. - Może nam pan przeczytać, co tu jest napisane? - Zagadnął ponownie.

- Uważasz, że jestem panem? - Odpowiedział tamten, a ja już żałowałem, że facet się do nas przysiadł.

- Zwracam się tak z szacunku, bo się nie znamy. Jest między nami duża różnica wieku, więc chyba wypada, żebym odnosił się do pana w odpowiedni sposób.

- Mądrała z ciebie, co? Myślę, że potrafisz pisać i czytać - stwierdził - więc po co ta cała gadka?

- Gdybym potrafił, nie prosiłbym nikogo o pomoc - Wiktor szedł w zaparte i był przy tym bardzo wiarygodny.

- Postaw piwo, to ci przeczytam co tu drukiem stoi - powiedział mężczyzna i uśmiechając się półgębkiem spojrzał mu prosto w oczy.

- Aż tak bardzo nie jesteśmy zainteresowani - włączyłem się do rozmowy.

- Ty się zamknij - facet warknął do mnie unosząc brwi.

- Słuchaj człowieka, zapytałem się grzecznie czy ktoś potrafi czytać - odparł Wiktor oschłym tonem - nie szukam awantury i nie mam zamiaru nikomu stawiać piwa. Skoro nie chcesz nam pomóc - zaczął nagle mówić do niego per ty, ale w jego głosie nie było agresji - to dziękujemy za rozmowę - powiedział i w tej samej chwili błyskawicznym ruchem wyrwał mu z dłoni ulotkę.

- Słuchaj gnojku, chcesz oberwać?! - Mężczyzna podniósł się z miejsca i pochylił się w naszym kierunku.

- Wróć na swoje miejsce, dobrze? - W głosie Wiktora nie brzmiała prośba, tylko zdecydowany rozkaz.

- Heniu, zostaw chłopaków w spokoju! - Ktoś krzyknął z głębi sali, a zaraz potem przy naszym stoliku pojawił się karczmarz.

- Co tu się dzieje?! - Warknął władcym tonem. - Jak chcecie się pracować, to wynocha na zewnątrz! - Spojrzał po naszych twarzach. - Wracaj do swojego stolika - szturchnął w ramię Henia.

Ulotka, którą miał Wiktor zachęcała ludzi do wstąpienia w szeregi KPP, wtedy znanej jako Komunistyczna Robotnicza Partia Polski. Nie miałem żadnej wiedzy na ten temat, bo najzwyczajniej w świecie nie interesowałem się tymi sprawami. Zawsze mi się wydawało, że wszelkiego rodzaju partie zrzeszają ludzi pracujących w dużych zakładach albo fabrykach. Poza tym Skoczyński oznajmił nam kiedyś, że jeśli ktoś z nas posiada lewicowe przekonania, to w tej firmie nie ma dla niego miejsca.

Wiktor bardzo szybko wciągnął mnie w świat ideologii marksistowskiej, to on zapoznał mnie z doktrynami komunizmu i proletariatu. Potrafił bardzo przekonująco opowiadać i przedstawiać tak mocne argumenty, że człowiek po prostu musiał uwierzyć w słuszność tej sprawy. Nie jestem w stanie wam powiedzieć, z jakiego powodu był takim zagorzałym zwolennikiem walki klasowej. Wiktor Kozłowski, syn jednego z największych kaliskich przedsiębiorców, mógł wieść wygodne i dostatnie życie. Nigdy nie mogłem pojąć dlaczego człowiek, który w przyszłości miał przejąć i kontynuować rodzinny interes, wybrał w swoim życiu zupełnie inną drogę? Może faktycznie sądził, że jego powołaniem jest zmieniać świat? Wierzył w swoje przekonania tak samo, jak prawdziwy ksiądz wierzy w Boga.

Dzisiaj, kiedy spoglądam na moją przeszłość z perspektywy przeżytych lat, zdaję sobie sprawę, jak bardzo byłem wtedy naiwny. Dałem się zwieść, jak dziecko. Faktem jest, że uwierzyłem w sprawę i nigdy temu nie zaprzeczę. Jednak z drugiej strony, chyba chciałem dotrzymać kroku Wiktorowi. Pesteczka nie raz mnie ostrzegał, że ta znajomość wpędzi mnie kiedyś w kłopoty, ale ja tłumaczyłem sobie, że pała chorobliwą niechęcią do Wiktora, która wynikała z czegoś zupełnie innego. Trufel też doradzał mi, żebym był bardziej ostrożny. Tylko co z tego, skoro on w moich oczach zawsze uchodził za mało rozgarniętego. W miarę upływu czasu zewsząd docierały do mnie sygnały, że Wiktor Kozłowski z wielu powodów nie jest dla mnie odpowiednim kompanem, ale ja nie słuchałem.

Doskonale pamiętam ten wieczór, kiedy moja mama poznała Wiktora.

To było w pierwszej połowie marca. Wróciłem z pracy i właśnie kończyłem jeść obiad, kiedy u drzwi rozległo się pukanie. Mama podniosła się od stołu i ruszyła w stronę przedpokoju. Oboje byliśmy pewni, że to nasza sąsiadka spod czwórki.

- Dobry wieczór, czy zastałem Stefana? - Do moich uszu dobiegł znajomy, męski głos.

- Stefek, jakiś kolega do ciebie!

Nie spodziewałem się jego odwiedzin. Byliśmy umówieni jak zwykle "Pod Złotym Kopytem" i czułem się zaskoczony.

- Wejdz proszę - powiedziałem i uchyliłem drzwi - właśnie kończę jeść obiad. Coś się stało? - Zapytałem.

- Nie, przechodziłem obok i pomyślałem, że wpadnę po ciebie.

- Mamo, to jest mój kolega Wiktor - powiedziałem.

On zrobił krok do przodu, zdjął czapkę i wyciągnął przed siebie dłoń.

- Miło mi panią poznać - powiedział - nazywam się Wiktor, Wiktor Kozłowski - pocałował ją w dłoń i rzekł: - Proszę mi wybaczyć to niespodziewane najście, mam nadzieję, że nie przeszkadzam - posłał jej promienny uśmiech.

Ten gest zrobił na niej wrażenie. Z pewnością nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś pocałował ją w rękę.

Taki właśnie był Wiktor. Miły, szarmancki i uprzejmy. Przy pierwszym kontakcie potrafił oczarować i wzbudzić zaufanie. Był również bardzo bystry i nic nie miało prawa umknąć jego uwadze. Kiedy usłyszał, że moja mama nazwała mnie zdrobniale Stefkiem, nie kpił z tego tak jak Trufel i Pesteczka, tylko sam zaczął się do mnie tak zwracać. Niby nie było w tym nic szczególnego, ale ja odbierałem to, jako świadectwo naszej przyjaźni.

Pozwolę sobie wybiec nieco w przeszłość.

Wyobraźcie sobie, że przez wiele miesięcy moja mama twierdziła, że żaden z moich kolegów nie jest tak sympatyczny jak Wiktor. Jednak niespełna rok później dostrzegła, że jestem pod jego ogromnym wpływem. Trochę to trwało zanim się na nim poznała, a ja dużo musiałbym o tym pisać. Opowiadałem jej o Wiktorze, wiedziała kim jest i z jakiej pochodzi rodziny. Może była prostą i poczciwą osobą, ale nie była głupia. Tak jak każda kobieta i matka, miała intuicję. Mam nadzieję, że pamiętacie jak w jednym ze swoich skoroszytów wspominałem o tym, że zamieniłem się z Wiktorem odzieżą. Pamiętacie? Dałem mu moją filcową, czarną jesionkę, a on w zamian zaoferował mi swój brązowy płaszcz podbity delikatnym kozuchem. Jakby na to nie spojrzeć, zrobiłem dobry interes. Wiktor w tamtym czasie na siłę chciał wyglądać jak przedstawiciel klasy robotniczej. Nosił koszulę na stójce, kamizelkę i spodnie z taniego materiału. On już wtedy miał świadomość, że jeśli chce agitować robotników, to musi się do nich upodobnić. Musi wyglądać, jakby był jednym z nich.

Któregoś dnia moja mama znalazła w piwnicy paczkę z ulotkami. Od lat nie postawiła tam swojej stopy, a nagle coś ją tknęło, żeby tam pójść i poszperać. Chyba usłyszała jak kilka dni wcześniej rozmawialiśmy z Wiktorem, że będziemy rozklejać ulotki na ścianach kamienic. Zabrała z piwnicy pakunek przewiązany sznurkiem i całą zawartość spaliła w piecu. Kiedy wróciłem z pracy zrobiła mi z tego powodu awanturę. Przy okazji dowiedziałem się, że chyba jestem jakiś nienormalny i że mam skończyć z tymi komunistycznymi bzdurami. Była potwornie wściekła, a na koniec powiedziała:

- Stefek, ja ci nie będę wybierać kolegów, ale lepiej zastanów się czy powinienes się zadawać z Wiktorem Kozłowskim! To po pierwsze, a po drugie, to nie życzę sobie, żeby on przychodził do mojego domu!

Przez wiele długich miesięcy uważała, że Wiktor jest przesympatycznym młodzieńcem i dopiero kiedy wybuchła ta afera z ulotkami, zmieniła swoje zdanie. Poznała się na nim. Całkiem możliwe, że zorientowałyby się nieco wcześniej, ale późną wiosną 1919 roku wydarzyło się w moim życiu coś, co odsunęło osobę Wiktora na dalszy plan.

Po świętach wielkanocnych coraz rzadziej przesiadywaliśmy w gospodzie. Pełne gwaru i zadymione pomieszczenie na Złoty Dachach zamieniliśmy na ławkę w miejskim parku. Przy jednej z mało uczęszczanych alejek za oranżerią, stała kapliczka z czerwonej cegły i jakoś tak wyszło, że upatrzyliśmy sobie to ustronne zacisze. Nie tyle my, co właściwie Wiktor zaproponował, żeby to było miejsce naszych niedzielnych, popołudniowych spotkań.

- Wiesz co - powiedział Pesteczka - mam wrażenie, że jak Wiktor pierdnie, to ty

zaraz się na wszystko zgadzasz.

- No właśnie - Trufel, który trzymał za pazuchą butelkę wina, wziął jego stronę - dlaczego nie możemy pójść na wierzbową ławkę?

- Ty, skończysz wreszcie z tymi durnymi nazwami?! - Warknął Pesteczka. - Nie jesteśmy już dziećmi! Wierzbowa ławka, sekretny pokój, kurwa człowieku, może zaraz powiesz, żebyśmy zagrali w śliniaka, co?

- Czego się czepiasz? O co ci chodzi? Przecież w sekretnym pokoju nie byliśmy już całe wieki - odparł nasz niedoszły król nabiału.

- Nawdychałeś się za dużo serowych smrodów w piwnicy? - Pesteczka spojrział na Trufla. - Idziemy kawał drogi, żeby posiedzieć na ławce. Błagam was chłopaki, przecież równie dobrze mogliśmy pójść na schody obok magazynu. Ale nie, tam nie można powiedział z przesadnym wyrzutem - bo Wiktor będzie miał za daleko, prawda? - Zwrócił się do mnie.

- Czemu ty jesteś taki marudny? - Odpowiedziałem mu pytaniem. - Ciągle tylko stękasz i jęczysz. Popatrz tylko jak jest - kiwnąłem głową na wprost. - Słońce grzeje, listki się zielenią, cisza i spokój, w tej części parku prawie nikt nie chodzi. Możemy spokojnie zapalić i napić się wina. Nawet parkowi nie zapuszczają się w te strony.

- Ale chodzi o to, że mamy tutaj kawał drogi z naszej dzielnicy - facet nie odpuszczał.

- Całą jesień i zimę nie ruszaliśmy tyłków poza Złote Dachy - stwierdziłem - jak sobie trochę pospacerujemy, to wyjdzie nam na zdrowie. Masz rację - powiedziałem to specjalnie, bo wiedziałem, że Pesteczka lubi kiedy się go głaszcze - do schodów przy magazynie mamy blisko, ale za to tutaj jest zielono. Wolałbyś siedzieć tam i gapić się na obdrapany mur, zdziczałe chaszczki i dziurę w płocie?

Usiedliśmy na ławce.

Kwietniowe słońce biło nam prosto w twarz, a w powietrzu dało się czuć zapach zaczarowanej wiosny. Trufel odkorkował butelkę i zaczęliśmy degustację porzeczkowego trunku.

- Muszę czym prędzej poznać jakąś miłą pannę - powiedział Pesteczka.

- A ja muszę zacząć robić ser z koziego mleka - odezwał się Trufel.

Na dźwięk jego słów obaj parsknęliśmy śmiechem.

- Chłopcze drogi, czy ty możesz czasami pomyśleć o czymś innym niż praca? Naprawdę powinieneś poznać jaką dziewczynę, może jak sobie potrzywasz za cycuszka, to przestaniesz głądzić tylko o swoich serach - stwierdził Pesteczka. - Chociaż z drugiej strony, jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić w takiej roli. A tak w ogóle to obaj jesteście jacyś dziwni. Jeden ciągle siedzi w piwnicy, a drugi łązi za Wiktorem jak pies na smyczy. Powiedz mi Ropuchu przebrzydły, czemu pakujesz się w to proletariackie gówno? Co ci Wiktor tłucze do łba? O proszę, jak to mówią, o wilku mowa - kiwnął głową w prawo. Z drugiego końca alei, wolnym krokiem zmierzał w naszą stronę Wiktor Kozłowski.

- Nie wiem o czym mówisz - odparłem. - Przecież ja się w nic nie pakuję.

- Idę o zakład, o paczkę przednich fajek, że nasz agitator jak zwykle będzie miał z sobą jakąś ulotkę albo komunistyczną broszurkę - powiedział Pesteczka.

- I jak zwykle - wtrącił Trufel - nasłuchamy się o walce za wolność naszą i waszą -

po czym okazując w przesadny sposób swoje zrezygnowanie, wałnął się otwartą dłonią w czoło i pociągnął z butelki solidny łyk wina.

- Przyjmujesz wyzwanie? - Pesteczka trącił mnie łokciem. - Założysz się?

Nic nie odpowiedziałem, bo doskonale wiedziałem, że ma rację.

Jak zapewne wiecie, odzyskanie przez Polskę niepodległości wcale nie oznaczało pokoju w tej części Europy. Na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej sytuacja była bardzo napięta i z każdym dniem, nieuchronnie zbliżał się moment zbrojnej konfrontacji. Nie będę wam tutaj robił wykładu z historii, ale musicie mieć na uwadze, że bolszewicy dążyli do ogólnoswiatowej rewolucji. Armia Czerwona była gotowa do marszu na zachód. Wszystkie partie komunistyczne, które w tamtych czasach działały na terenach Polski, Niemiec, Francji, Włoch czy Anglii, tak naprawdę były kontrolowane przez Sowietów. Leninowi marzyła się potężna Rosja Sowiecka, a polscy komuniści naprawdę zamierzali dokonać przewrotu w odradzającym się państwie. Hasła o równości i braterstwie rozbudzały ludzką wyobraźnię. Nasz naród był podzielony na dwa obozy, z jednej strony rzesza prostych robotników, zmanipulowanych obietnicami o lepszym świecie, a z drugiej strony ludzie świadomi własnej tożsamości narodowej. Piłsudski już kilka miesięcy wcześniej przekonywał, że Polsce grozi niebezpieczeństwo bolszewizmu i że jako naród, musimy wszystkimi siłami przeciwstawić się rosyjskim wpływom. W połowie lutego wojska polskie powstrzymały oddziały Frontu Zachodniego Armii Czerwonej, która sunęła na zachód w ramach operacji "Cel Wisła". Od ponad dwóch miesięcy na wschodniej granicy toczyła się regularna wojna, a my w Kaliszu siedzieliśmy na ławce popijając porzeczkowe wino. Tak naprawdę ja, Trufel i Pesteczka byliśmy tylko połowicznie zorientowani w sytuacji, natomiast Wiktor, znajdował się wtedy na etapie wiary we wzniósłe ideały, ale nie nabrał jeszcze przekonania, że wielkie zmiany wymagają krwawych czynów. Tamtego dnia przyniósł z sobą ulotkę, na której widniał rysunek złamanego karabinu. Przeczytał nam jej treść z której wynikało, że KRPP wydało odezwę do wszystkich ludzi pracy, żeby zdecydowanie przeciwstawiali się wojskowej walce z sowiecką interwencją.

- Wiecie co wam powiem - odezwał się Pesteczka - generalnie mam to głęboko w dupie. - Oczywiście wszyscy mieliśmy świadomość, że swoje słowa kieruje do Wiktora i tylko dyplomatycznie użył liczby mnogiej. - Możecie mi wyjaśnić, dlaczego na przykład taki człowiek jak ja, zwykły robotnik budowlany, ma ufać komuchom? Dlaczego akurat bolszewicy mają być dla nas zbawieniem?

- Widzisz Karol - odezwał się Wiktor - klasa robotnicza zawsze była gnębiona i wykorzystywana przez ludzi zamożnych. Chłopi, robotnicy, szeregowi pracownicy fabryk, kopalń czy hut, oni są solą tej ziemi. Demokratyczna władza powinna być oddana w ręce ludzi, którzy będą reprezentować ich interesy. Władza w rękach ludu, rozumiesz?

- Władza? W rękach ludu? Chcesz mi powiedzieć, że jakiś byle majster powinien zostać prezydentem państwa? - Zapytał z drwiną Pesteczka.

Wiktor spojrzał na niego z niesmakiem.

- Naprawdę tego nie rozumiesz, czy tylko udajesz? - Odpowiedział mu pytaniem.

- Od wieków świat ma swój ustalony porządek. Zawsze był pan i sługa. Nawet w biblii pisze, Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie. Przychodzisz tutaj z jakąś durnowatą

ulotką i mówisz, że potrzebujemy zmian - ciągnął Pesteczka - jaki masz w tym interes? - Zapytał.

- Nie mam żadnego interesu, ja po prostu uważam, że system w którym żyjemy od wieków, jest niesprawiedliwy i krzywdzący. Jest wąska kasta ludzi, która dzierży w swoich rękach władzę, a reszta musi im służyć. Ludziom potrzebna jest prawdziwa demokracja, nie taka książkowa pełna teorii i patosu, ale demokracja, która sprawi, że będziemy pracować dla wspólnego dobra. Demokracja, która zjednoczy ludzi - Wiktor przemawiał do nas głosem w którym dało się słyszeć pasję i wiarę. - Równość i braterstwo, to jest podstawa, która...

- Daj spokój! - Pesteczka wpadł mu w zdanie. - W każdej broszurce którą przynosisz piszą o równości, braterstwie i walce za wolność naszą i waszą. Wiesz co mnie najbardziej zadziwia? - Spojrzał na Wiktora, ale nie czekał na jego odpowiedź. - To, że najwięcej w tym temacie mają do powiedzenia ludzie, którzy wcale nie są robotnikami. Popatrz choćby na nas - rozłożył ręce - z naszej czwórki, tylko ty ciągle o tym gadasz. My własnymi rękami pracujemy na swoje utrzymanie, a ty jesteś chłopcem z bogatego domu, masz wszystkiego pod dostatkiem i mówisz nam, że potrzebujemy demokracji. Dlaczego uważasz, że właśnie ty wiesz, czego nam potrzeba? - Nigdy bym nie podejrzewał, że Pesteczka zada mu takie pytanie. - Nie wiem czy zauważyłeś - ciągnął dalej - ale ty bardzo często używasz określeń, powinniśmy, musimy, jesteśmy. Mówisz tak, jakbyś wypowiadał się w imieniu wielu ludzi. Tak sobie myślę, że chyba chciałbyś być jakimś przywódcą, co? - Spojrzał na niego z triumfem i pociągnął z butelki łyk wina.

Do tej pory zawsze sądziłem, że Wiktor ma odpowiedź na każde pytanie, jednak tamtego dnia Pesteczka zabił mu ówieka.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Promienie kwietniowego słońca przyjemnie łaskotały nasze młode policzki. Nagle z lewej strony na końcu parkowej alejki pojawiły się dwie damskie sylwetki.

- Może lepiej nie gadajmy o tej całej demokracji - rzucił Pesteczka wesołym tonem - tylko skupmy się na dziewczuchach. Powiem wam, że ostatnio widziałem taką laleczkę, że aż oniemiałem...

I w taki właśnie sposób, chłopaki przestali dyskutować o poważnych sprawach.

Siedzieliśmy na ławce, podając sobie z rąk do rąk butelkę wina, jaraliśmy szlugi, rozmawialiśmy o pierdołach i rozstaliśmy się dopiero wtedy, kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

W drodze do domu Trufel stwierdził:

- Dałeś mu dzisiaj nieźle do wiwatu!

Z początkiem maja Skoczyński dostał poważne zlecenie. Na ulicy Nowoogrodowskiej, tuż obok gmachu Gimnazjum Żeńskiego, które powstało z końcem 1918 roku, stał okazały dom. Budynek należał do niemieckiej rodziny, która opuściła Kalisz na początku wojny. Dom przetrwał pamiętny pogrom, ale jego wnętrze zostało doszczętnie zdewastowane przez szabrowników. Prawowity właściciel nie miał zamiaru wracać z powrotem do Kalisza i ponoć sprzedał nieruchomość za jakieś śmieszne

pieniądze. Posesja trafiła w ręce prezesa Banku Ziemi Kaliskiej. Niewątpliwie był on człowiekiem mającym, bowiem potrzebne były dwie furmanki pieniędzy, żeby pokryć nakład pracy i materiałów, które miały przywrócić wnętrzą dawną świetność. Praktycznie wszystko nadawało się do generalnego remontu. Do wymiany w pierwszym etapie były drzwi, okna, parkiety, schody i boazeria. Potem miały dojść jeszcze meble i zabudowa licznych wnek plus altana w ogrodzie. Prezes wpłacił Skoczyńskiemu sowitą zaliczkę na poczet rozpoczęcia robót, żeby ten mógł bez obaw rozpocząć prace. Wszedłem w skład ekipy, która miała się tym zająć. Naszym, że tak to ujmę brygadzystą, został Wawrzyk i łącznie było nas pięciu chłopów. Czterech stolarzy z prawdziwego zdarzenia i ja, ten który wciąż jeszcze zgłębiał tajniki tego rzemiosła. Robotę zaczęliśmy dopiero wtedy, kiedy ze środka wyniosła się firma murarska, która wytynkowała ściany doprowadzając je do właściwego pionu. Tydzień później wstawiliśmy wszystkie okna i drzwi. To była moja pierwsza praca w terenie, bo tak nazywaliśmy potocznie świadczenie usługi bezpośrednio u klienta. To właśnie na Nowoogrodowskiej nauczyłem się kłaść parkiet. Pamiętam, że po dwóch dniach pracy na kłęczkach miałem ochotę wyrwać sobie kolana. Wśród naszej piątki był Piotrek Świerczyński. Miły gość, miał ponad trzydzieści lat, potrafił gadać przez cały dzień i sypał kawałami jak z rękawa. Właściwie to wiecznie miał coś do powiedzenia na każdy temat.

- Piotrek - któregoś dnia podczas przerwy śniadaniowej Wawrzyk zwrócił się do niego - ty chyba masz dzisiaj imieniny, co?

- Zgadza się - odparł.

- To na co jeszcze czekasz?! Poproś młodego - kiwnął głową w moim kierunku - niech pędzi do sklepu po flaszkę.

Oczywiście pozostali członkowie z naszej ekipy mieli podobne zdanie.

- Przebierz się w normalne ciuchy, i skocz do sklepu po wódkę - powiedział Wawrzyk.

- Nie mogę iść w tym, co mam na sobie? - Zapytałem.

- A potem ludzie będą gadać, że tutaj się nie robi tylko pije, tak? Przebieraj się!

- A jak szef przyjdzie i zobaczy, że mnie nie ma? - Zapytałem lekko wystraszone głosem.

- Rób co mówię! - Rozkazał. - Nic się nie martw, jeśli tak się stanie, powiesz, że ja ci kazałem pójść. No już, szoruj!

Wzruszyłem ramionami, poszedłem na piętro, przebrałem się i wziąłem od Piotrka pieniądze.

- Co kupić? - Zapytałem naszego solenizanta.

- Chłopaki, co pijemy? - Krzyknął Piotrek.

- Weź pół litra Wyborowej - zdecydował nasz brygadzysta.

Kiwnąłem głową, obróciłem się na pięcie i wyszedłem na zewnątrz.

Po prawej, obok wejścia do budynku rosły rozłożyste krzewy białych bzów, a ich dojrzałe kwiaty rozsiewały dookoła przyjemny zapach. Na dworze było cudownie. Majowe słońce świeciło na błękitnym niebie, a kiedy człowiek wciągnął pełną piersią powietrze, to niemal czuł zapach wszechobecnej radości. Po prostu wiosna!

Minąłem furtkę i skręciłem w lewo. Najbliższy sklep był przy ulicy Towarowej,

dwie przecznice dalej. Obejrzałem się przez ramię, bo ciągle miałem pietra, że zjawi się Skoczyński. Swoją drogą, to w ogóle nie było prawdopodobne, ale wiecie jak to jest, kiedy człowiek robi coś niedozwolonego, prawda? Wtedy wyobraźnia zaczyna podpowiadać najbardziej abstrakcyjne sytuacje. Ruszyłem przed siebie prężnym krokiem, byłem dokładnie na wysokości wrót wiodących do budynku gimnazjum, kiedy ujrzałem w nich... najpiękniejszą dziewczynę świata. Zwolniłem kroku i wpatrywałem się w nią jak w obrazek. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Była ubrana w niebieską sukienkę i białą koszulę, bo tak właśnie nosiły się tutejsze uczennice. Delikatny podmuch majowego wiatru zatańczył w jej długich blond włosach. Towarzyszyły jej dwie koleżanki, musiały chyba rozmawiać o czymś zabawnym, bo wszystkie trzy uśmiechały się uroczo. Miałem wrażenie, że jej wzrok ślizgnął się po mojej twarzy. Zrobiłem kolejny krok i nagle wpadłem na jakąś dużą przeszkodę. Po prostu nie zauważyłem osoby przed sobą. To była jakaś młoda dziewczuszka. Wywróciła się na chodnik, z rąk wypadła jej skórzana torba, a ja o mało jej nie stratowałem. Dziewczęta stojące w drzwiach spojrzały w naszą stronę i zaniósły się śmiechem, a ja czułem się jak idiota. Starłem się niezdarnie pomóc wstać tej młodej osobce, a ona zaczęła się na mnie wydzierać, że jestem ślepy. Co za wstyd! Miałem wrażenie, że za chwilę zapłonę żywym ogniem.

Czym prędzej zacząłem się oddalać szybkim krokiem. Mimo wszystko nie byłem jednak w stanie się oprzeć i obejrzałem się przez ramię. W oddali zobaczyłem trzy sylwetki w niebieskich sukienkach, oddalające się w przeciwnym kierunku.

Kwadrans później wróciłem z wódką na budowę. Stolarska ekipa czekała już na mnie ze zniecierpliwieniem. Po dwóch rozdaniach było po flaszcze, a ja przez resztę dniówki myślałem o tej ślicznotce.

Tego samego dnia, późnym popołudniem u progu moich drzwi pojawił się Wiktor.

- Dzień dobry pani Zofio - nie widziałem tego, bo siedziałem w kuchni i kończyłem jeść obiad, ale podejrzewam, że tradycyjnie pocałował moją mamę w dłoń.

- Wejdz Wiktor, Stefek właśnie je obiad. Ciepło dzisiaj, może masz ochotę na kubek kompotu z jabłek? - Zapytała go wchodząc do kuchni.

- Dziękuję, napiję się z przyjemnością.

- Czołem - rzuciłem w jego stronę.

- Cześć, smacznego - powiedział i usiadł naprzeciw mnie.

- A może masz ochotę na talerz pomidorowej? - Moja mama jak zwykle chciała być bardzo gościnna.

- Nie pani Zofio, bardzo dziękuję. Może innym razem, jestem po obiedzie.

Zawsze, kiedy Wiktor zjawiał się bez zapowiedzi miałem wrażenie, że stało się coś ważnego.

Matka podała mu kubek z kompotem i poszła na plotki do sąsiadki.

- Stało się coś? - Zapytałem, kiedy zostaliśmy sami.

- Sprawa jest - odparł - całkiem poważna - powiedział to tak, jakby faktycznie zdarzyło się coś niesamowitego.

Spojrzałem na niego pytającym wzrokiem, a on rzekł konspiracyjnym tonem:

- Mam dzisiaj imieniny i chciałbym, żebyśmy to jakoś uczcili.

- Dzisiaj masz imieniny? - Byłem zaskoczony. Pomyślałem: - *Co jest kurde,*

wszyscy się zmówili, że mają dzisiaj imieniny?

Wiem wiem, pewnie myślicie, że staram się na siłę pisać bzdury, ale jesteście w błędzie. To było 21 maja 1919 roku. Bardzo szczególna data. Teraz wam jeszcze tego nie zdradzę, ale możecie mi wierzyć na słowo, jak zacznę pisać o Liczbie Życia wszystko stanie się jasne jak słońce. Gdybyście znali Johnnego Alcatraz, powiedziałyby wam, że z wrażenia narobicie w gacie, a gówno wam będzie pełznąć po łydkach. Proszę was jeszcze o odrobinę cierpliwości, niedługo poznacie tę tajemnicę.

- Idziemy po Pesteczkę i Trufła? - Zapytałem kiedy znaleźliśmy się na ulicy.

- Możemy podejść po Michała, ale chyba nie mam dzisiaj ochoty na towarzystwo Karola - odparł stanowczym tonem.

Szkoda - przemknęło mi przez myśl, bo chciałem o czymś pogadać z Pesteczką.

Trufel jak zwykle siedział w piwnicy i mieszał coś w swoich serowych miksturach. Cuchnący zapach panoszył się po całej klatce schodowej.

- O, cześć chłopaki, co tam? Przyszliście na degustację? - Zapytał.

- A co masz dobrego? - Wiktor zerknął na porozkładane krążki serów, które spoczywały na desce zasłanej białym skrawkiem postrzępionego materiału.

- Jest kozi serek, pleśniowy i twarożek. Co podać?

- A który najlepszy? - Spytałem.

- Myślę, że kozi - odparł niedoszły producent serowych delicji.

Chwilę później przeżuwaliliśmy jeden z lepszych wyrobów, jakie w swoim życiu miałem okazję skosztować.

- Pyszne, naprawdę pyszne - stwierdził z podziwem Wiktor. - Wiesz co Michał, myślę, że powinieneś na dzisiaj zakończyć swoje zajęcia.

Trufel spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

- Mam dzisiaj imieniny i zapraszam was do gospody "Pod Złotym Kopytem".

- Masz imieniny? - Powtórzył i w tym samym momencie wytarł swoje dłonie w wyświechtany fartuch, po czym wyciągnął przed siebie rękę i powiedział: - W takim razie wszystkiego najlepszego! Mogę ci sprezentować jakiś ser?

- Pewnie że tak - odparł solenizant - weźmiemy z sobą, będziemy mieli na zagryzkę.

- A co będziemy pić? Piwo, wódkę, wino? - Dociekał Trufel.

- Każdy będzie pił to, na co ma ochotę. Ja stawiam!

- Pleśniowy pasuje do piwa i wina, a kozi powinien podejść pod wódeczkę.

- To weźmy oba - zasugerowałem.

- Chcesz mnie wpędzić w bankructwo? - Warknął Trufel zabawnym tonem.

Kilka minut później we trójkę zmierzaliśmy w stronę znajomego przybytku.

- Chłopaki, a może zamiast siedzieć w karczmie, kupimy flachę i pójdziemy na schody? - Zapytał Trufel.

Spojrzeliliśmy z Wiktoorem po sobie.

- Ty decyduj - odparłem - w końcu dzisiaj jest twoje święto.

- Masz rację Michał, tak zrobimy.

Ten wieczór spędziliśmy na kamiennych schodach przed opuszczonym magazynem. Fajnie było. Mieliśmy z sobą ser, Wiktor postawił pół litra wódki, a potem kiedy już zapadł majowy zmierzch, poszliśmy jeszcze do knajpy dobić się piwem. Nie rozmawialiśmy o walce klasowej, o polityce i komunistach. Nie drażyliśmy wzniosłych tematów, tylko wspominaliśmy naszą wspólną przeszłość.

W pracy, każdego dnia wczesnym popołudniem sterczałem w oknie w nadziei, że zobaczę dziewczynę, która wpadła mi w oko. Wiedziałem już, że lekcje w gimnazjum kończą się kwadrans przed drugą.

- Młody, co ty kurwa ciągle sterczysz w tym oknie jak kołek? - Zapytał Wawrzyk i podszedł do mnie.

Zerknął na zewnątrz. Wzdłuż płotu raz po raz szły grupy dziewcząt w niebieskich sukienkach. Spojrzał na mnie z uśmiechem i powiedział:

- Baby ci w głowie, a robota sama się robi, co? - Szturchnął mnie w ramię.

- Zapalimy? - Zapytałem i wyjąłem z kieszeni paczkę fajek. - Wawrzyk, mam do ciebie pytanie - zacząłem nieśmiałym głosem.

- Co cię męczy młodzieńcze?

- Jak zacząć rozmowę z dziewczyną? Co trzeba powiedzieć?

Zaśmiał się słysząc moje słowa.

- Wpadła ci któraś w oko - kiwnął głową w kierunku okna - i chciałbyś do niej zagadać, tak?

- Coś w tym stylu - odparłem lekko speszony.

- Ładna jest? - Zapytał.

- Śliczniejszej jeszcze nigdy nie widziałem.

- Oj widzę, że wzięło cię na dobre. Przepadłeś chłopie, przepadłeś na całego - stwierdził. - Musisz po prostu do niej podejść, przywitać się, a potem już pójdzie gładko.

- Dzięki za taką radę! - Syknąłem. - Toś mi pomógł!

- Podejdz do niej i zapytaj, czy mógłbyś ją odprowadzić do domu - nagle usłyszałem za swoimi plecami głos Piotrka gaduły. - Jak się zgodzi, to będzie znaczyło, że też ma ochotę cię poznać. Nie możesz milczeć, musisz wciągnąć ją w rozmowę. Po kilku zdaniach będziesz już wiedział, co masz gadać.

Podszedł do nas i we trójkę staliśmy w oknie.

Grupy roześmianych dziewcząt wracały ze szkoły.

- Która to? Widzisz ją? - Zapytał Piotrek i klepnął mnie w kark.

Po chwili ją wypatrzyłem. Szła w towarzystwie dwóch koleżanek.

- To ta blondynka z długimi włosami - kiwnąłem głową przed siebie.

- Fajna - powiedział i gwizdnął pod nosem.

Kiedy mijały bramę wiodącą do posesji, która była raptem kilka metrów od fasady budynku, Piotrek nagle objął mnie ramieniem i krzyknął w ich kierunku:

- Hej dziewczęta, jak tam w szkole?!

Natychmiast spojrzały w naszą stronę i zaczęły się śmiać.

Jedna z nich zatrzymała się w miejscu i odpowiedziała:

- Hej chłopaki, a jak tam w pracy?

- Wszystko dobrze! - Piotrek rzucił w jej stronę.

Nie jestem pewien, ale wydawało mi się, że dziewczyna z długimi blond włosami spojrzała prosto w moje oczy.

- No to przestańcie się objąć, tylko weźcie się do roboty! - Jej koleżanka krzyknęła w naszym kierunku.

Po chwili zniknęły za zakrętem.

- Widzisz, tak się to robi! - Powiedział i puknął mnie czołem w skroń. - Ta czarnulka miałaby pewnie ochotę poplirtować. Gdybym był w twoim wieku, to już bym za nią popędził - westchnął z rozmarzeniem.

- Popędzić, to was trzeba ale do roboty! - Powiedział Wawrzyk i dodał: - Koniec przerwy!

Jeszcze tego samego dnia wszyscy z naszej ekipy wiedzieli, że się zauroczyłem i każdy zaczął mi doradzać, co mam zrobić. Szlag mnie trafiał, czułem się z tego powodu zażenowany i zawstydzony. Chłopaki podpuścili Wawrzyńca, żeby codziennie za kwadrans druga dawał mi robotę na zewnątrz, a oni stali w oknie na piętrze i obserwowali jak sobie radzę, i wcale nie chodziło o pracę. Naprawdę czułem się jak idiota, kiedy układałem pod płotem ścinki desek, a w tym samym czasie chodnikiem obok przechodziły dziewczęta w niebieskich sukienkach.

Ta brunetka, która była chyba najbardziej odważna, za każdym razem miała coś do powiedzenia. Przystawała na moment i niby od niechcienia rzucała w moim kierunku:

- Jak się pracuje? - W jej głosie zawsze słyszałem zalotną nutę.

Ładna była, nie przeczę, ale moją uwagę przykuwała jej koleżanka i chyba wiecie o czym mówię, prawda? Pamiętam ten uśmiech czający się w jej szmaragdowych oczach, ten błysk, który mówił sam za siebie. Onieśmiała mnie swoim spojrzeniem, a jednocześnie sprawiała, że czułem przedziwne łaskotanie w dołku. Za każdym razem modliłem się tylko w duchu, żeby moje policzki przypadkiem nie nabrały rumieńców.

- Pracuje się dobrze - odpowiadałem - a jak paniom minął dzień w szkole?

Chyba musiały mieć ubaw, że nazywam je panienkami, bo zawsze wtedy zaczynały chichotać.

Nigdy nie przystanęły na tyle długo, żeby zamienić więcej słów. Chyba wołały nie ryzykować, żeby któryś z nauczycieli zobaczył, jak dyskutują z robotnikiem przy płocie. To byłoby w złym guście.

W ostatni piątek maja podczas przerwy śniadaniowej, chłopaki wysunęli przypuszczenie, że chyba nigdy nie będę miał okazji powiedzieć więcej niż jedno zdanie i dlatego zaczęli podpuszczać Wawrzyka.

- Puść go dziś wcześniej, niech młody pogada z dziewczuchą - rzucił któryś.

- Wawrzyk, zrób chłopu przysługę, przecież widzisz, że całymi dniami łązi z głową

w chmurach - dodał Piotrek. - Daj mu szansę! Kiedy ma pogadać z tą panienką? Daj mu tylko jedną szansę. Tylko dziś. Jak mu zależy, to się postara, a jak będzie dupa, to nic z tego nie wyjdzie.

- Możecie ze mnie zejść i dać mi spokój?! - Warknąłem. Szczerze powiedziawszy miałem już tego dość i w ogóle żałowałem, że wszystko tak się potoczyło.

Zdawałem sobie sprawę, że nieźle się bawią moim kosztem. Wszyscy byli ode mnie zdecydowanie starsi i po chwili zaczęli wspominać jak wyglądały ich pierwsze zaloty.

- Ja moją Józię poznałem na potańcówce w remizie. Marny był ze mnie tancerz, zdeptałem jej trzewiki i ona w pewnym momencie do mnie mówi, że lepiej usiądźmy przy stole, bo już ją stopy bołą - powiedział Zbyszek Gawroński. - No i usiedliśmy, a potem ani się nie obejrzałem, jak zaciągnęła mnie do ołtarza.

- Ile ty masz lat? - Zapytał Piotrek.

- Jesienią skończę dziewiętnaście - odparłem.

- Piękny wiek - dodał Wawrzyk - najlepszy dla mężczyzny. Teraz możesz robić co chcesz, możesz korzystać z życia. Kiedyś się ożenisz, będziesz miał dzieciaki do wykarmienia i wszystko huj strzeli. Dlatego dzisiaj kończysz robotę o wpół do drugiej, ale tylko dlatego, żebyś mógł umówić się z tą blondyneczką. Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień. Tylko nie spierdol sprawy!

- Ale ja nie chcę... - odparłem.

- Słuchaj się brygadzisty! - Rzucił Zbychu. - Masz robić to, co ci mówi!

Punktualnie o wpół do drugiej byłem już umyty i przebrany. Kwadrans później stałem obok bramy i nerwowo zerkałem w lewą stronę. Cała ekipa dyszała w oknie i raz po raz wybuchali gromkim śmiechem.

- Młody, trzymamy kciuki! - Do moich uszu dobiegł głos Piotrka.

Spojrzałem w ich kierunku. Palili szlugi i czekali na przedstawienie, które miało się niebawem rozegrać.

Stwierdziłem, że to głupi pomysł, żebym sterczał w tym miejscu. Skoro mam to zrobić, to zrobię, ale nie potrzebuję publiki. Obróciłem się w prawo i wolnym krokiem ruszyłem w stronę skrzyżowania.

- Hej dokąd idziesz!

- Młody wracaj na stanowisko!

Wydierali się za mną jak durni.

Dwadzieścia metrów dalej byłem bezpieczny.

Dreptałem w miejscu i czułem, że pocą mi się dłonie. W mojej głowie dźwięczała tylko jedna myśl: - *Co ja mam powiedzieć?!*

Poprawiłem koszulę i zobaczyłem, że prawy mankiet mam brudny. Czym prędzej podwinąłem rękawy do łokci. Spojrzałem po sobie. Chyba wyglądałem w miarę schludnie. *Co ja mam powiedzieć?!* Majowe słońce wznosiło się ponad kościelną wieżę, a moje serce z każdą chwilą zaczynało bić coraz szybciej. Zegar na ratuszu uderzył po trzykroć. Byłem tak spanikowany, że w pewnej chwili chciałem wziąć nogi za pas. Obok mnie przejechała dorożka. Po drugiej stronie ulicy, jakiś mężczyzna pchał przed sobą wózek załadowany workami. Z bramy wybiegła zgraja rozwrzeszczanych dzieciaków i pognęła w stronę rynku. Obróciłem się w przeciwnym kierunku i zobaczyłem, jak

kilkadziesiąt metrów dalej zaroilo się od niebieskich sukienek. *Co ja mam powiedzieć?!* Mimowolnie spojrzałem w okna budynku, gdzie robiliśmy remont. Cztery głowy wychylały się z zaciekawieniem patrząc w moją stronę. Któryś z chłopaków pomachał do mnie ręką. W niebieskim tłumie dostrzegłem tą, na którą czekałem. Jak zwykle szła w towarzystwie swoich dwóch koleżanek. Miałem wrażenie, że moje serce ma zamiar wyrwać się z piersi. *Co ja mam powiedzieć?!* - To zdanie coraz głośniejsz dźwięczało mi w myślach. Nasze spojrzenia spotkały się w pewnym momencie i cały świat przestał dla mnie istnieć. Nie panowałem nad swoimi odruchami, ale miałem świadomość, że uśmiecham się do niej. Była coraz bliżej.

- A kolega dzisiaj nie w pracy? - Zagadnęła brunetka.

- Dziś skończyłem wcześniej - odparłem, ale nie odrywałem wzroku od tej, na którą tutaj czekałem. - Czy mogę panię towarzyszyć w drodze do domu? - Zapytałem i zobaczyłem, że jej policzki oblały się delikatnym rumieńcem.

- Nie wiem czy zmierzamy w tym samym kierunku - odparła.

- Myślę, że w tym samym - mój głos brzmiał pewnie, przynajmniej tak mi się wydawało.

- W takim razie nie będziemy wam przeszkadzać - wtrąciła brunetka i szarpnęła drugą dziewczynę za rękaw.

Zerknąłem na nią i skinąłem głową, jakbym chciał tym gestem powiedzieć - dziękuję.

- To chodźmy - powiedziała, kiedy zostaliśmy sami i ruszyła w prawo.

- Jak minął panię dzień w szkole? - Zapytałem.

- Całkiem przyjemnie, w piątki mamy zajęcia z muzyki, a ja bardzo lubię muzykę - odparła.

- Może poniosę panię torbę - zadeklarowałem się.

- Nie trzeba, jest lekka, ale dziękuję za chęci - miała bardzo sympatyczny głos. - I mam prośbę - rzekła - proszę mnie nie nazywać panięką, mam na imię Agnieszka - zatrzymała się i wyciągnęła w moim kierunku dłoń.

Jej skóra w dotyku była miękka i delikatna niczym jedwab.

- Na imię mam Stanisław - przedstawiłem się - ale proszę do mnie mówić Stefan.

- Stefan? A dlaczego Stefan, a nie Stanisław? - Była ciekawa.

Zacząłem jej wtedy opowiadać historię, skąd wzięła się ta niefortunna pomyłka co do mojego imienia. Wcześniej bałem się, że będę spięty, że nie będę wiedział co mówić, a jednak okazało się, że słowa same płynęły z moich ust.

Dyskutując, szliśmy wolnym krokiem przed siebie.

- Gdzie mieszkasz Agnieszko? - Zapytałem, kiedy po lewej mijaliśmy kaliską Rogatkę.

- Na ulicy Młynarskiej, za cmentarzem.

Ucieszyła mnie ta wiadomość, bo stąd było tam ponad dziesięć minut spacerowym krokiem.

- No widzisz, miałem rację, że zmierzamy w tym samym kierunku. Ja mieszkam na Czaszkach, a od Młynarskiej to tylko kilka przecznic w południowym kierunku.

- Kilka? Chyba kilkanaście - odparła i posłała mi uroczy uśmiech.

- Zależy którądy się idzie. Znam skrót - powiedziałem.
- Moja koleżanka z klasy mieszka przy ulicy Polnej, czasami się odwiedzamy, tak więc doskonale wiem ile przecznic muszę czasami przejść.
- A jak się nazywa twoja koleżanka, jeżeli mógłbym wiedzieć? Może ja też ją znam? W końcu Polna to prawie po sąsiedzku.
- Magdalena Muras. Znasz ją? - Zapytała.
- Nie, nic mi nie mówi to nazwisko, ale mam nadzieję, że może kiedyś ją poznam.
- Może tak, a może nie - odparła w taki sposób, jakby chciała się ze mną przekomarzać.

Za cmentarzem skręciliśmy najpierw w prawo, a potem w lewo i znaleźliśmy się na Młynarskiej.

- Tutaj się pożegnamy - powiedziała i zatrzymała się w miejscu.
- To był dla mnie bardzo przyjemny spacer - rzekłem - w bardzo miłym towarzystwie.
- Dla mnie również.

Przełknąłem ślinę i przełamując moje wszystkie lęki i obawy, w jednej sekundzie postanowiłem iść za ciosem i zapytałem:

- Chciałbym cię zaprosić w niedzielę na popołudniowy spacer po parku. Przyjdiesz?

- Może - odparła i posłała mi swój cudowny uśmiech.
- Będę cię wypatrywał o szesnastej przed oranżerią. Mam nadzieję, że się zjawisz.
- Niczego nie obiecuję, ale postaram się być.
- To do widzenia Agnieszko - powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy.
- Do widzenia Stanisławie Stefanie - odparła, po czym obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Stałem na rogu ulic i patrzyłem na nią jak idzie przed siebie.

Przyznam się wam do czegoś, bo to było po prostu niesamowite. Od pierwszej chwili, kiedy zacząłem z nią rozmawiać miałem wrażenie, jakbym ją znał od zawsze. Od wieków. Jakbyśmy się już kiedyś spotkali w innym świecie albo w innym życiu. Wiecie o czym mówię? Przeżyliście coś takiego? Kiedy patrzyłem jak oddala się z każdym krokiem, miałem ochotę krzyknąć: - Hej Agnieszko, powiedz mi jeszcze tylko, gdzie byłaś przez te wszystkie lata?!

Rok później wyznałem jej, jakie uczucia dopadły mnie podczas naszego pierwszego spotkania. I wiecie co mi powiedziała? Że czuła dokładnie to samo!

- I co, przyszła? - Zapytał z zaciekawieniem Bładawiec, któremu opowiadałem tę historię na trzy dni przed moim wyjściem na wolność.

- Pomyślałem wtedy, że jeśli się obróci i spojrzy na mnie, zanim doliczę do dziesięciu, to przyjdzie na umówione spotkanie - odparłem, a przed oczami wyobraźni pojawiła mi się scena, która dawno temu rozegrała się w moim życiu. - To było ponad siedemdziesiąt lat temu - westchnąłem i sięgnąłem po dzinsowy worek, który wisiał zawieszony przy mojej pryczy. - Obróciła się. Zdążyłem doliczyć do siedmiu. Zerknęła

w moją stronę, a ja poczułem się tak, jakbym wzbił się do chmur. Coś ci pokażę - wyjąłem z wnętrza worka metalowe pudełko po wiśniach w czekoladzie. Pośród listów, kartek i kilku innych drobnych, aczkolwiek dla mnie bardzo wartościowych przedmiotów, spoczywało również czarno-białe zdjęcie. - Zobacz - podałem mu nadgryzioną zębem czasu fotografię. - To zdjęcie zostało zrobione dokładnie w drugą rocznicę naszej znajomości. Zamówiłem wtedy profesjonalnego fotografa, żeby nam zrobił kilka ujęć w plenerze. Facet słono sobie policzył, ale w tamtych czasach usługi fotograficzne były cholernie drogie. Jednak cóż znaczą pieniądze w porównaniu dla takiej pamiątki? Nie ma nawet o czym gadać. Powiem ci, że w maju, kaliski park nie miał sobie równych. Ciekawe jak teraz tam jest? Mam nadzieję, że nadal istnieje. Ujęcie na tym zdjęciu jest wyreżyserowane - powiedziałem. - Fotograf przez kilka minut nas ustawiał pod odpowiednim kątem do słonecznego światła. Bez przerwy tylko gadał:

- Pan przesunie prawą rękę nieco w prawo. Pani pochyli odrobinę głowę i spojrzysz na pana. Niech pani lekko uniesie podbródek. O tak, prawie dobrze. Jeszcze trochę, żeby słońko ładnie oświetliło buzię. Dobrze - gestykułując rękami naśladowałem tamtego gościa, który tworzył naszą wspólną kompozycję. - Potem koleś jeszcze z pięć razy podchodził i poprawiał jakieś detale - snułem dalej swoją opowieść - a ja czułem się wtedy, jak jakiś model, którego wizerunek ma znaleźć się na okładce poczytnego żurnala. No i w końcu wyszło to, co wyszło. Agnieszka siedzi na kocu, a ja leżę, trzymając głowę na jej kolanach i wyglądamy tak, jakbyśmy spoglądali sobie w oczy.

Bładawiec oddał mi zdjęcie. Obróciłem je w palcach i spojrzałem na tył fotografii. Atrament wyblakł przez te wszystkie lata, ale jeszcze dało się dostrzec datę, która widniała w lewym górnym rogu 30.05.1921 r. Poniżej zaś znajdowały się trzy słowa, napisane jej ręką - "Zawsze mnie kochaj."

Utkwiłem wzrok w literach i uśmiechnąłem się do swoich wspomnień.

- Kurde dziadek - odezwał się Paluch, który dzielił celę razem ze mną i z Bładawcem - fajnie snujesz bajerkę, masz talent. Kurde, jak tylko coś opowiadasz, to normalnie mam dreszcze, jakbym kurde oglądał film. No to mów dalej, bo jestem kurde ciekaw jak ci się poukladało z tą maniurą? Było coś, było kurde jakieś bara bara? - Zachichotał niczym złośliwy gnom.

- Paluch, po pierwsze nie mów o niej maniura, nie znoszę tych waszych kretyńskich, pseudogrypserskich określeń - spojrzałem mu prosto w oczy. - Po drugie radziłbym ci, żebyś zaczął się edukować albo czytać jakieś książki, bo używasz tak prymitywnego języka, że uszy mi więdną. Co znaczy, kurwa mać, jakieś bara bara? Co to ma być? Doskonale wiem o co ci chodzi - nie dopuściłem go do słowa. - A ty jak mówisz do swojej kobiety? Chodź się pokochać, czy chodź bara bara?

- Różnie mówię - odparł wzruszając ramionami - ale przeważnie gadam, choć se dupnąć kurde - znowu się zaśmiał w ten sam, drażniący mnie sposób.

Nie. Ten koleś był nie do uratowania. W sumie Palucha zawsze uważałem za nieszkodliwego chama i prostaka. Cóż począć, tacy ludzie też muszą istnieć, tylko szkoda, że wlepili go do naszej celi. Oczywiście, że wszystko można załatwić, ale potrzebna jest forsa. W dzisiejszych czasach trzeba mieć w pudle sporo grosza, żeby zapewnić sobie wygodę albo odpowiednie towarzystwo. Przysięgam wam, że czasami z nostalgią

wspominałem dni, kiedy każdy miał celę tylko dla siebie. Wtedy nie działały się te wszystkie parszywe rzeczy, do których dochodzi obecnie.

Nie było takiego zezwierżenia i brutalności.

Kiedyś... kiedyś było zupełnie inaczej.

Po powrocie z kościoła, prawie całe niedzielne popołudnie spędziłem przed lustrem. W mojej szafie nie było zbyt wielu szykownych ciuchów, ale musiałem coś wybrać, żeby wyglądać w miarę elegancko. Oczywiście, to nie umknęło uwadze mojej mamy.

- Stefek, a ty co się tak stroisz? - Zapytała, kiedy przymierzałem kolejną koszulę.

- A tak tylko patrzę w co mogę się ubrać - chciałem ją zbyć jednym zdaniem.

- Wybierasz się gdzieś? - Nie dawała za wygraną.

- Mam coś do załatwienia - migałem się od konkretnej odpowiedzi.

- A cóż takiego masz do załatwienia? - Zapytała podejrzliwie, stojąc w futrynie drzwi wiodących do kuchni.

- No muszę wyjść po południu i chcę wyglądać jak człowiek - odparłem patrząc na swoje odbicie.

Mama splotła dłonie na piersiach i przez kilka chwil spoglądała na mnie dziwnym wzrokiem.

- Umówiłeś się z dziewczyną? - Bardziej twierdziła niż pytała.

Spojrzałem na jej twarz, westchnąłem przewracając oczami, dając jej tym gestem do zrozumienia, że mam dość tego przesłuchania i odparłem:

- Tak.

- No proszę proszę - odezwała się pogodnym głosem - mój Stefek idzie na randkę.

- Nie na żadną randkę, tylko na zwykłe spotkanie - nie wiem czemu, ale czułem się rozdrażniony jej zainteresowaniem.

- W tej koszuli jest ci dobrze - podeszła bliżej i poprawiła mi kołnierzyk. - Do tego czarne spodnie, wypastowane trzewiki i będziesz wyglądał jak kawaler do wzięcia.

- Mamo proszę cię - prawie jęknąłem i dodałem z nieukrywanym wyrzutem - mogę sam sobie wybrać ubranie?

- Oczywiście - odparła - wystroisz się w to, co będziesz chciał. A jak ma na imię twoja wybranka? - Zmieniła temat.

- Mamo! To nie jest moja żadna wybranka! - Udawałem, że się wściekam, ale chyba nie brzmiałem wiarygodnie.

Spoglądała na mnie takim wzrokiem, jakim patrzy na swoich synów wszystkie matki świata, kiedy nagle zdają sobie sprawę, że ich mały chłopiec stał się mężczyzną.

- No powiedz, jak ma na imię? - Znowu zagadnęła.

- Agnieszka.

- Ładnie. Znam ją? Jest z okolicy? - Ciągnęła mnie za język.

- Nie znasz jej, nie mieszka na Czaszkach - odparłem i wiedząc, że dalej będzie drażnić temat, powiedziałem: - Jest uczennicą, chodzi jeszcze do gimnazjum, nie wiem ile ma lat, myślę, że tyle samo co ja i ma długie blond włosy. Zadowolona?

- A jak ma na nazwisko?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem. Mamo nie męcz mnie, proszę cię - spojrzałem na nią błagalnym wzrokiem i zerknąwszy po sobie, zapytałem: - Możesz mi wyprasować tę koszulę i spodnie?

Ubrałem się dokładnie tak, jak proponowała.

Zjawiłem się w parku pół godziny wcześniej. Wolnym krokiem krążyłem przed budynkiem oranżerii, a w myślach wyobrażałem sobie, jak będzie wyglądać nasze dzisiejsze spotkanie...

Majowe słońce płonęło złotym blaskiem, a ponad koronami drzew, rozpościerało się błękitne, popołudniowe niebo. Wiatr baraszkował pośród zielonych liści, snując jakąś wiosenną opowieść. O tej porze miejski park tętnił życiem. Obserwowałem spacerowiczów i miałem wrażenie, jakbym zjawił się na rewii mody. Wszyscy przechodnie byli odziani w odświeżone ubrania. Na skwerku po lewej grupa dzieciaków grała w berka. Nie było wolnej nawet jednej ławki, które ciągnęły się wzdłuż głównej alei. Zerknąłem przez ramię. Przy kawiarnianych stolikach też nie było wolnego miejsca. Moją uwagę przykuł pewien starszy mężczyzna w binoklach. Siedział samotnie, czytał gazetę i palił cygaro. Raz po raz łąpał za uszko porcelanowej filiżanki i zbliżał jej kant do swoich ust. Wykonywał przy tym śmieszny gest, unosząc do góry najmniejszy palec. Spojrzałem w przeciwnym kierunku. U zbiegu parkowych alejek siedział młodociany czyścibut i na jego widok, od razu przypomniała mi się historia o tym, jak Trufel chciał kiedyś zarabiać w ten sposób. Nie sprawiło mi żadnych trudności, żeby wzrokiem wyłapać opiekuna, który trzymał pieczę nad pucybutem. Sięgnąłem do kieszeni po paczkę fajek i zapaliłem. Gdzieś z oddali, od strony miasta, rozległy się trzy uderzenia zegara. Była za kwadrans czwarta. *A jeśli nie przyjdzie?* Nagle w moich myślach pojawiły się wątpliwości. *A jeśli ona nie przyjdzie? Jeżeli zapomniała?* Zaciągnąłem się głęboko dymem. *Nie pozostanie mi nic innego - szepnąłem w myślach - jak udać się na miejsce zbiórki obok kapliczki. Chłopaki zjawią się dopiero przed piątą, więc tym razem ja będę przed czasem...*

Z każdą sekundą robiłem się coraz bardziej zniecierpliwiony. Ledwo zgasilem peta, a już zapaliłem drugiego szluga. Przeszępując z nogi na nogę, spoglądałem na wprost. Obok fontanny jakaś młoda kobieta rozmawiała z żołnierzem ubranym w galowy mundur. Wyglądali tak, jakby stali pośrodku tęczowej poświaty. Tę bajkową iluzję wywołały promienie słońca, którego światło załamywało się w drobinkach tryskającej wody. Zrobiłem dwa kroki w prawo i kolorowe złudzenie zniknęło.

Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak spięty, jak w to niedzielne, majowe popołudnie. Bądź co bądź, przecież czekałem na najważniejsze spotkanie w moim życiu.

Już czwarta - przemknęło mi przez myśli, kiedy usłyszałem bicie kościelnych dzwonów i w tym samym momencie, dostrzegłem ją w oddali. Miała na sobie zwiewną, kremową sukienkę. Zmierzała w moim kierunku, a ja czułem się tak, jakby coś magicznego eksplodowało w każdym zakamarku mojego ciała...

Od dnia, kiedy poznałem Agnieszkę, zwariowałem na jej punkcie, a mój nudny świat stanął na głowie. Straciłem apetyt, nie potrafiłem się na niczym skupić, bo myślałem tylko o niej. Śniła mi się po nocach. Moje życie polegało tylko na tym, żeby dotrzeć od niedzieli do niedzieli. W powszednie dni, wieczorami spotykałem się z chłopakami, bo nie miałem nic lepszego do roboty. Przesiadywałem z nimi w knajpie chociaż męczyło mnie już gadanie o bzdurach i wykłady Wiktora o międzynarodowym proletariacie. Tak naprawdę, to chyba miałem gdzieś tą całą klasową walkę i mrzonki o robotniczej rewolucji. Moją głowę zaprzętały inne myśli. Oczywiście moi kumple szybko zorientowali się, że coś ze mną jest nie tak i zaczęli dociekać.

- Co się dzieje ropuchowata poczwaro? - Zapytał któregoś razu Pesteczka. - Gdzie podziewałeś się w niedzielę, co? Byliśmy z Truflem po ciebie, a twoja starowinka powiedziała, że wyszedłeś godzinę wcześniej. Co jest grane?

- Nic - wzruszyłem ramionami i pociągnąłem z kufła łyk piwa.

- Poznałeś kogoś, prawda? - powiedział Trufel i posłał mi uśmiech, jakby chciał powiedzieć, że odkrył mój sekret.

- A nawet jeśli tak, to co? - Odburknąłem.

- No nie! Facet się zakochał! - Rzucił Pesteczka i zapytał z błyskiem w oku: - Poznałeś jakąś dziewczuchę, tak? No proszę proszę, nasz Ropuszek znalazł sobie panią ropuchową - stwierdził i szturchnął mnie w ramię.

Nie było sensu, żebym zaprzeczał.

- Człowieku, już po tobie - ciągnął dalej. - Teraz zaczną się coraz częstsze spotkania, kwiatuszki, spacerki, czekoladki, wyjścia do kawiarni, trzymanie się za rączki. Koledzy pójdą w odstawkę...

- A co, wiesz sam po sobie? - Wpadłem mu w zdanie.

- Chłopie, przecież masz przed sobą eksperta - rozłożył na boki ręce. - Będzie fajnie do pierwszej sprzeczki - powiedział patrząc mi prosto w oczy - a potem - machnął dłonią - przyjdą problemy. Nagle okaże się, że jesteś taki i siaki, że już jej nie kochasz, że ją lekceważysz - wyliczał jak z nut - że już nie jesteś taki jak kiedyś i że się zmieniłeś. Zacznie się obrażanie, unoszenie honorem, złośliwe docinki i któregoś dnia wszystko trafi szlag. Coś o tym wiem. Baby są dziwne, zresztą co ci będę tłumaczył, sam się przekonasz.

Jestem pewien, że Pesteczka miał zdecydowanie większe doświadczenie z kobietami niż ja, Trufel czy Wiktor, ale jego proroctwa w moim wypadku wcale się nie sprawdziły. Po pierwsze kumple nie poszli całkowicie w odstawkę. Po drugie, to wcale tak często się z nią nie widywałem. Od połowy lipca spotykaliśmy się tylko w sobotnie i niedzielne popołudnia. To były nasze dni. Po trzecie, nigdy nie poznałem mrocznej strony miłości. Daleki jestem od tego, żeby przesadnie koloryzować swoje wspomnienia i przyznam wam się, że kilka razy posprzeczałem się z Agnieszką o jakieś drobnostki, ale to nie były żadne awantury albo kłótnie. Nic z tych rzeczy. Normalna sprawa, przecież w ludzkich relacjach zdarzają się sytuacje, które prowadzą do niepotrzebnych spięć. Sztuką jest zapanować nad nimi i nie dopuścić do tego, żeby okazać swoje rozgoryczenie. Możecie mi wierzyć lub nie, ale ja od samego początku naszej znajomości czułem w głębi

serca, że muszę ją traktować lepiej niż siebie samego. Nie wiem czy to była kwestia tego, jak zostałem wychowany, czy może po prostu już się z tym urodziłem? Nie mam pojęcia.

Podejrzewam, że większość z was przeżyła bliższe więzi i relacje z płcią przeciwną i na pewno macie własne zdanie na ten temat. Doskonale wiecie, że w waszym życiu były takie parszywe chwile, kiedy powiedzieliście kilka słów za dużo, albo okazaliście podłość i gniew. Było tak, prawda? Najgorsze jest to, że nie sposób cofnąć czasu i sprawić, żeby to nigdy się nie wydarzyło. Trzeba z tym żyć i dźwigać ten ciężar, bo inne rozwiązanie nie istnieje. Pozostaje tylko skrucha, pokora, wewnętrzny żal i świadomość, że blizny na sercu już nigdy nie znikną. Nie jestem święty, bo w swoim życiu zrobiłem wiele rzeczy, które nigdy nie powinny się zdarzyć. Czy żałuję? Oczywiście, że tak! Ale z jednego jestem dumny. Nigdy nie zrobiłem czegoś, co sprawiłoby przykrość tej, którą kochałem. Nigdy. Nie uniosłem się gniewem i krzykiem, nie podniosłem na nią ręki, nigdy nie dałem jej powodu do łez. Nie obraziłem jej żadnym słowem, gestem lub czynem. Od dnia kiedy ją zobaczyłem pierwszy raz w życiu, do naszego ostatniego spotkania, które miało miejsce 14 lutego 1922 roku, minęło dokładnie tysiąc dni. Tamtego dnia jechała nocnym pociągiem do Krakowa na pogrzeb swojego dziadka. Chciała, żebym jej towarzyszył, ale szef nie dał mi urlopu. Miała wrócić dopiero pod koniec przyszłego tygodnia. Gdybym pojechał wtedy razem z nią, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Wieczorem odprowadziłem ją na dworzec. Nim wsiadła do pociągu, przytuliłem ją i pożyczyłem szczęśliwej podróży.

- Uważaj na siebie - powiedziałem.

- Kocham Cię - szepnęła i pocałowała mnie w policzek.

- Ja też ciebie kocham i już za tobą tęsknię.

Konduktor dmuchnął w gwizdek. Po chwili parowóz ruszył przed siebie, a koła wagonów wolno potoczyły się po torach. Stała w oknie i machała mi na pożegnanie.

To było leniwe, niedzielne popołudnie. Johnny Alcatraz leżał na wznak i drzemał, Cyferka czytał książkę, a ja siedziałem przy stole. Na kilku kartkach papieru rozrysowałem sobie kalendarze i skreślając kolejne kratki z datami, zacząłem liczyć. Kiedy za pierwszym razem wyszło mi tysiąc, poczułem się tak, jakby ktoś dał mi w mordę. Liczyłem kilka razy i... wynik za każdym razem był ten sam!

Tysiąc. Równe tysiąc dni.

Kurwa mać! - Krzyknąłem w myślach. - *Niemożliwe!*

Właściwie nie wiem, co mnie skłoniło do tego, żeby to zrobić. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby porachować dni. Faktem jest, że w pudle człowiek zajmie się czymkolwiek, byleby mieć jakieś zajęcie, nawet najbardziej durnowate i pozbawione sensu. Chociaż z drugiej strony, to chyba szukałem kolejnego potwierdzenia, że Liczba Życia naprawdę istnieje.

- Stało się coś? - Nagle w moich uszach rozbrzmiały słowa Cyferki.

- Nie, a czemu pytasz?

- Bo od kilku chwil patrzysz na mnie, jakbyś chciał o coś zapytać.

- Zapytać? - Powtórzyłem. - Nie, po prostu zamyśliłem się - odparłem.

- Co robisz? - Podniósł się z pryczy i podszedł do mnie.

Pochylił się nad blatem stołu, poprawił na nosie swoje okrągłe okulary w drucianych oprawkach i spojrzął na kartki papieru.

- Znowu coś liczysz - stwierdził.

- Nie liczę - odpowiedziałem udając lekceważenie - tylko sprawdzam.

- I jaki masz wynik? - Zapytał.

W odpowiedzi wzruszyłem ramionami, bo nie chciałem poruszać tego tematu.

- Któregoś dnia przestaniesz szukać kolejnego potwierdzenia - powiedział i uśmiechnął się w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że doskonale wie, co robię. Wpatrując się w moje kalendarzowe zapiski, ciągnął dalej: - W końcu zrozumiesz, że liczby nie kłamią. Człowiek może oszukiwać, mataczyć, naginać fakty ale kiedy wkroczy prawdziwa matematyka, prawda i tak wyjdzie na jaw.

- Chłopaki - odezwał się nagle Johnny - możecie pogadać o czymś innym? Przy was zostałem pieprzonym jasnowidzem - dźwignął się nieco na pryczy i spojrzął na nas.

- Widzę przyszłość - zamknął oczy, wyciągnął przed siebie dłoń i niczym medium kontaktujące się z zaświatami zaczął mówić: - Widzę przyszłość. Widzę ją wyraźnie - zniżył głos o pół tonu. - Za chwilę Cyferka zacznie swoje słodkie pierdzenie o algorytmach i definicjach prawdopodobieństwa. - Uniósł do góry obie ręce niczym nawiedzony kaznodzieja. - Potem Ropuch przeliczy daty w nadchodzącym tygodniu i zrobi listę, na której pojawią się... liiiiiczbyyyy życiaaaa! - Dokończył swoje przemówienie głosem, który brzmiał tak, jak zapowiadał bokerską walkę o mistrzostwo wszechświata.

- Możesz sobie drwić do woli - powiedziałem - możesz szydzić w najlepsze, a i tak dobrze wiesz, że to prawda.

Johnny spojrzął mi prosto w oczy i po chwili rzekł:

- Masz rację. Coś w tym jest, nie przeczę. Jednak problem w tym, że za dużo wbiłeś sobie do łba. Spójrz tylko na siebie. Już nawet nie pamiętasz od kiedy podporządkowałeś swoje życie tej pieprzonej magii liczb! Moim skromnym zdaniem, to nie jest normalne.

Nawet nie próbowałem oponować, bo miał rację. Minęło już kilka ładnych miesięcy od dnia, kiedy Cyferka uświadomił nam w czym rzecz i od tamtej pory, zacząłem igrać z losem. A tak zupełnie na marginesie, to musicie wiedzieć, że jednym z ulubionych określeń Johnnego było słowo - pieprzyć. Używał tego wyrazu w każdym kontekście.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby grzebać w pieprzonej przeszłości i doszukiwać się jakichś powiązań, bo to nawet jest zabawne - ciągnął Johnny - ale ty posunąłeś się o krok za daleko. Cyferka - spojrzął na naszego geniusza - zrób to dla mnie i weź mu wyjaśnij, żeby sobie dał na wstrzymanie.

- Johnny ma rację - odezwał się były księgowy - może dojść do tego, że w pewnym momencie zaczniesz prowokować sytuacje. Powinieneś złapać dystans.

- Właśnie - nasz szalony rock and rollowiec wpadł mu w zdanie - brakowało mi tego słowa. Dystans. Tego potrzebujesz. Skończ z tym. Po prostu skończ i żyj tak jak kiedyś. Co ma być to będzie. I bardzo cię proszę - położył sobie prawą dłoń na piersi - nie pisz tej pieprzonej kartki z liczbami życia, przypadającymi na kolejny dzień tygodnia. Okej!?

Okej okej! - Odburknąłem mu w myślach. Pewnie jesteście zaskoczeni, że już wtedy znałem to dziwne słowo - okej. Pierwszy raz usłyszałem to określenie, kiedy jesień 1963 roku miała się już ku schyłkowi, a do wronieckiego więzienia z wyrokiem dziewięciu lat pozbawienia wolności, trafił Janusz Drabiński.

1963 to był pamiętny rok. Wiele się wtedy działo. Czterech chłopaków z Liverpoolu, którzy właśnie stawali u progu światowej kariery jako The Beatles, wydało swój debiutancki album pod tytułem "Please Please Me". Rosjanie rozwijali swoją myśl technologiczną i raz po raz wysyłali w kosmos kolejne satelity, a reprezentacja Polski w piłce nożnej pokonała Norwegów 9:0.

Tego roku stuknęły mi sześćdziesiąt trzy lata, a w cztery dni po moich urodzinach, funkcjonariusze MO i ubecji zabili Józefa Franczaka, który nieoficjalnie był okrzyknięty wrogiem ustroju socjalistycznego. Jego nazwisko jest mało znane, ale ci z was, którzy interesują się historią doskonale wiedzą, że był on ostatnim żołnierzem polskiego podziemia. Walczył w szeregach AK, która w powojennej Polsce zbrojnie przeciwstawiała się sowieckiej dominacji. Psy gończe z resortu spraw wewnętrznych dopadły go dopiero po osiemnastu latach od chwili zakończenia II wojny światowej. Wyobrażacie sobie, jak zawzięci musieli być przedstawiciele władzy ludowej!? Ścigali go przez osiemnaście cholernych lat! Jestem pewien, że kiedyś historia odkurzy pamięć powojennych dni i uczciwie rozliczy całą mroczną przeszłość. Rozliczy wszystkich. Katów, oprawców, sędziów, żołnierzy wyklętych, sprzedawczyków, donosicieli i zdrajców. To raczej nie stanie się za mojego życia, a nawet gdyby, to dla mnie osobiście nie będzie miało żadnego znaczenia. Chodzi o coś bardziej wzniosłego. Chodzi o to, żeby powiedzieć kolejnym pokoleniom prawdę. I mówię wam to ja, człowiek, który dzisiaj nie miałby nic przeciwko temu, żeby uzyskać status bezpieczeństwa.

No dobrze, palicho całą tą patriotyczną gadkę, bo zaraz się może okazać, że moje słowa, zamienią się w żalną komedię. Wróćmy na korytarze wronieckiego więzienia...

W czasach o których teraz piszę, nie istniało już Centralne Więzienie we Wronkach. Po wojnie zostało oficjalnie przemianowane na więzienie polityczne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

W pamiętnym roku 1963 dyrekcja więzienia podjęła decyzję, że w pawilonach numer 1, 2 i 3 w każdej celi będzie zakwaterowanych trzech ludzi. Nie wiem co było tego powodem, może po drugiej stronie murów nagle wzrosła przestępczość? A może faktycznie było tak, jak twierdzili nowo przybyli więźniowie, że w dzisiejszych czasach za byle pierdołę człowiek mógł trafić do pudła. Pamiętam takiego jednego młodzika, który dostał półtora roku za nielegalny handel obcą walutą. Kiedy o tym usłyszałem, pomyślałem, że świat naprawdę oszalał. Jak można było wlepić komuś półtora roku za handel dolarami? Absurd! W każdym bądź razie, musicie wiedzieć, że pierwotnie wronieckie więzienie było przystosowane do tego, żeby odbywało w nim karę nie więcej niż 800 osób jednocześnie. W sześćdziesiątym trzecim było osadzonych ponad 1700 chłopów. Jeżeli władze miały zamiar nadal srogo i bezwzględnie karać swoich obywateli, to faktycznie musieli nas tutaj bardziej ścieśnić. Tak jak wspomniałem w trzech

skrzydłach stan osadzonych miał się zwiększyć. Jednoosobowe cele zostały natomiast w pawilonie numer 4, nie bez powodu zwanym potocznie "politycznym", który znajdował się pomiędzy pomieszczeniem byłej kaplicy i sterownią. Dekadę wcześniej kaplica została gruntownie przebudowana i podzielona na dwie kondygnacje. Dolną część zaadoptowano na magazyn. Na rzędach drewnianych regałów spoczywały czyste koce, poduszki, prześcieradła, nowe sienniki, odzież robocza, kufajki, buty i Bóg jeden raczy wiedzieć, co jeszcze. Natomiast górne pomieszczenie zostało nową depozytwnią. Dawne miejsce kultu, zamieniło się w gigantyczną szatnię. Na przedziwnej konstrukcji wykonanej z pospawanych calowych rur, wisiały setki jutowych worków w których znajdowały się rzeczy skazanych. Oddział izolacyjny nadal spełniał swoją rolę. Do pojedynczych cel trafiali wszyscy, którzy zostali uznani za więźniów niebezpiecznych. Ostatni budynek, gdzie od zawsze znajdowała się izba chorych, został tak zwanym pawilonem medycznym. Tam odbywali wyroki ludzie z problemami zdrowotnymi, którzy musieli być pod stałą opieką lekarską. Prawda jednak była nieco inna, bo nawet klawisze między sobą nazywali ten oddział psychiatrykiem. Bardzo szybko zaczęły krążyć o tym miejscu koszarne opowieści. Oczywiście większość tych mitów, to były bzdury wysane z palca, ale jak to mówią - w każdej plotce jest ziarenko prawdy. Nie przeczę, bo faktem było, że każdy skazaniec, który miał chociaż odrobinę zdrowego rozsądku, na pewno nie chciał zostać pensjonariuszem pawilonu medycznego.

W roku 1963 minęło dokładnie sześć lat jak dzieliłem celę z Gołąbkim, który naprawdę był dobrym kompanem. Dogadywaliśmy się bez problemów, a ja po tych sześciu latach, miałem już w malutkim palcu całą teoretyczną wiedzę o hodowli gołębi pocztowych.

- Mam nadzieję, że nie dokopią nam tutaj jakiegoś świrusa - powiedział Gołąbek tego dnia, kiedy klawisze zabrali mi moją prycę, a w jej miejsce postawili metalowe, piętrowe łóżko.

- Wygodne - odparłem, kiedy padłem plackiem na moje nowe wyro, żeby sprawdzić czy ma porządne sprężyny. - Nic się nie martw - stwierdziłem. - Będzie dobrze.

Nikt z osadzonych we Wronkach nie miał pojęcia, że jestem więźniem uprzywilejowanym. W moich aktach widniała odpowiednia adnotacja sygnowana podpisem człowieka, który miał praktycznie nieograniczoną władzę. Człowieka, który budził strach w szeregach dygnitarzy partyjnych i wysokich funkcjonariuszy więziennictwa. To z jego rozkazu byłem otoczony szczelnym parasolem bezpieczeństwa. Szeregowi klawisze nie mieli pojęcia dlaczego tak się dzieje. Ja natomiast w wyniku szantażu, musiałem milczeć i nikomu nie mogłem zdradzić tej tajemnicy. Nikomu. Nawet Gołąbek, który był mi bliski niczym brat, również nie miał pojęcia jaka jest prawda. Moje milczenie było ceną za komfort nietykalności.

Dyrektorzy więzienia we Wronkach zmieniali się bardzo często i za każdym razem, kiedy ktoś inny obejmował tron we władanie, byłem wzywany do najważniejszego gabinetu. Wiele razy słyszałem z dyrektorskich ust, podobnie brzmiące słowa:

- Czyli to wy jesteście ten Żabikowski. Chciałem was poznać osobiście, bowiem z waszych akt wynika, że macie być traktowani w szczególny sposób. Z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów mam dołożyć wszelkich starań, żeby zagwarantować

wam nietykalność i bezpieczeństwo. Najrozsądniej byłoby zamknąć was w pojedynczej celi i w ten sposób skutecznie odizolować od pozostałych więźniów. To miałyby sens, jednak według wytycznych podpisanych przez... wiecie kto wydał ten rozkaz? - Bardzo często padało to pytanie.

- Wiem towarzyszu dyrektorze - odpowiadałem wtedy odważnie patrząc w oczy każdego mojego rozmówcy.

- Jeżeli działałoby się coś niepokojącego ze strony współwięźniów lub strażników, macie się wtedy natychmiast ze mną skontaktować. Zrozumieliście?!

- Tak jest towarzyszu dyrektorze!

Obawiali się.

Każdy z nich.

Strach, to potężny i skuteczny oręż.

Po II wojnie światowej skazańców nie obowiązywały już więzienne uniformy. Minęły czasy, kiedy każdy z pokutników wyglądał identycznie, a na lewej piersi nosił numer identyfikacyjny. Tradycja urodzinowych numerków rozpięchła się w otchłani zapomnienia. Oprócz mnie, nie było tutaj nikogo, kto mógł pamiętać o tym niepisanym zwyczaju, jednak mimo wszystko, gdzieś w zakamarkach mojego umysłu zawsze będzie jawił się numer 29-11.

Wierzę w magię liczb, wierzę całym sercem, no bo pomyślcie sami, co mogę innego sądzić, skoro właśnie późnym, jesiennym popołudniem 29 listopada zjawiał się w naszej celi trzeci więzień... Więzień, który wniósł wiele radości w moje monotonne życie.

Leżałem na pryczy, a Gołąbek siedział przy stole i rysował coś w swoim wyświechtanym kajecie. W pewnym momencie rozległ się szcęk zasuwy i w drzwiach ujrzeliśmy młodego mężczyznę w towarzystwie klawisza. Dźwigał na wysuniętych przed siebie rękach koc złożony w kostkę, poduszkę i prześcieradło, a na jego twarzy widniały krwawe ślady świeżego pobicia.

- Wasz nowy lokator - powiedział strażnik i agresywnie pchnął go do wnętrza celi.

Obaj z Gołąbkim z nieukrywaniem zaciekawieniem wpatrywaliśmy się w naszego nowego współlokatora.

- Hey guys! - Nowo przybyły powiedział pogodnym głosem i położył na górnej pryczy swoje rzeczy.

Rozejrzał się dookoła. Jego wzrok zatrzymał się na lusterku wiszącym obok półki.

Podszedł bliżej i zaczął przeglądać się w srebrnej tafli szkła.

- Trochę mnie dzisiaj złali - stwierdził i sięgnął dłonią do kieszeni spodni, które były uszyte z jakiegoś nieznanego mi materiału. Przypominały płótno żeglarskie zafarbowane na niebiesko-błękitny kolor. Wyjął chusteczkę, zamoczył ją w misce z wodą i zaczął wycierać zakrwawione miejsca na swojej twarzy. - Wystarczyło kilka ciosów i już człowiek stracił cały urok i wdzięk - powiedział i opuszkami palców dotknął nabrzmiąłą powiekę prawego oka.

W sumie to wyglądał dziwnie. Miał gęste, czarne włosy zaczesane do tyłu i równo przycięte baczki zapuszczone do połowy policzków. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoje odbicie, po czym postawił na sztorc kołnierz kremowej koszuli. Na wysokości lewej piersi widniał na materiale kolorowy haft. Był przesadnie duży i przedstawiał wizerunek czerwonej róży leżącej w poprzek kowbojskiego kolta.

- Król jest tylko jeden - powiedział spoglądając w lusterko i pstryknął palcami. Nagle obrócił się w naszą stronę i zapytał z uśmiechem: - Jak leci? Wszystko okej? Rozumiem, że moje kojo jest u góry, tak? - Zapytał i wlepił we mnie swój wzrok.

Spoglądaliśmy na niego zaskoczeni, jakbyśmy mieli przed sobą jakiegoś przybysza z obcej planety.

- Sorry my friends - uderzył się w pierś - nazywam się Janusz Drabiński, dla przyjaciół Johnny - i uściśnął nam dłonie. Od razu zwróciłem uwagę, że używa słów, których znaczenia nie rozumiem. - Jak mam się do was zwracać? - Zapytał i spojrzał po naszych obliczach.

- Jestem Stefan Żabikowski - odparłem. - Dla kumpli Ropuch

- Na mnie wołają Gołąbek - powiedział jak zawsze małowówny Janek. Chociaż to i tak był cud, że się w ogóle odezwał.

- Ropuch i Gołąbek, kurde chłopaki, macie ksywki jak postacie z kreskówek.

- Z czego? - Zapytałem.

- Z kreskówek. - Wnioskując z naszych min, musiał się zorientować, że kompletnie nie jesteśmy w temacie. - Nigdy nie widzieliście kreskówek? - Złapał za taboret i usiadł pomiędzy nami. - To takie bajki animowane dla dzieci, no wiecie Kaczor Donald, Myszka Miki, Pies Pluto...

- O czym ty gadasz? - Zapytałem.

- O wszystkich najukochańszych dzieciach Walta Disneya - odparł natychmiast Johnny, ale my nadal nie mieliśmy pojęcia o czym on mówi.

Zerknąłem na Gołąbka. Miał taką minę, jakby chciał rzec: - *Wiedziałem, że dokwaterują nam czubka.*

- Wyglądacie na miłych gości - stwierdził nasz nowy współlokator i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Mam nadzieję, że między nami będzie okej. Przede mną dziesięć długich lat paki, a wy jakie macie wyroki? - Zapytał nie kryjąc swojego zainteresowania.

- Tylko dziesięć? - Odpowiedziałem pytaniem i machnąłem ręką, jakbym chciał tym gestem mu uświadomić, że jedna dekada to tyle, co nic i dodałem: - Na pewno wyjdiesz przed nami. Ja mam dożywocie - rzekłem - a Gołąbek - kiwnąłem głową w jego kierunku - na razie odbębnił sześć lat z dwudziestu pięciu.

Kiedy Johnny usłyszał moje słowa na jego twarzy natychmiast pojawił się grymas niedowierzania.

- O kurde, to musieliście nieźle narozrabiać! - Skwitował. - Za co siedzicie? - Zapytał.

- Za grzechy, których nie można odpokutować w konfesjonale - odparłem, dając mu do zrozumienia, że to nie jest dobry temat do dyskusji. Przynajmniej na razie.

- Okej - Johnny uniósł do góry obie dłonie - rozumiem, nie chcecie o tym gadać. Szanuję to i nie będę dociekał.

- Już któryś raz z kolei używasz słowa "okej". Co to znaczy? - Zmieniłem temat, bo faktycznie byłem ciekaw.

- Hmm, jakby ci to wyjaśnić - powiedział i to był pierwszy moment, kiedy zamyślił się na kilka sekund. - Okej, to takie uniwersalne słówko. Kiedy chciałbyś na przykład powiedzieć, że wszystko jest w porządku, to po prostu mówisz "jest okej". Jeżeli zadajesz pytanie i szukasz potwierdzenia, to pytasz "okej"? "Okej" może zastąpić wiele określeń. Począwszy od słowa "tak" poprzez "zgadzam się", "rozumiem", "zrobię to", "pozwalam" i tym podobne. Łapiesz?

- To jest polski wyraz? - Spytałem.

- Nie. To typowo amerykańskie określenie. Słyszałem wiele opowieści na temat słowa "okej", ale najbardziej podobała mi się historia, która sięga jeszcze czasów wojny secesyjnej. Słyszeliście o tej amerykańskiej wojnie domowej? - Spojrzał po naszych twarzach. - Mieszkańcy południa prali się z mieszkańcami północy, nie wiem o co dokładnie chodziło, ale lali się również z powodu niewolnictwa i jakichś pieprzonych plantacji bawełny. - Szybko zauważyłem, że kiedy Johnny coś mówił, to mimika jego twarzy podążała za słowami. Dużo też gestykulował rękami i zmieniał intonację głosu. - Jeden z generałów - powiedział i zmarszczył brwi - wstyd się przyznać, ale nie wiem po której był stronie, co zresztą i tak nie ma żadnego znaczenia - machnął dłonią. - Otóż ten generał wydał rozkaz, żeby przed jego namiotem polowym postawić tablicę. Po każdej potyczce w jakiej brały udział wojska, którymi dowodził, na tej tablicy w jednej rubryce widniała liczba żołnierzy, którzy zostali ranni, a w drugiej ilu zostało zabitych. Chciałbym zwrócić waszą uwagę, że po amerykańsku zabity znaczy killed, no i tak jak wam mówiłem wcześniej, na tej tablicy pojawiały się konkretne liczby. Słowo "killed" sprowadzono do pierwszej litery "k", bo i tak wszyscy wiedzieli o co chodzi. Jeżeli teraz miałbym wyrecytować polski alfabet, to powiem a be ce de e ef gie ha i jot ka. "Ka" prawda? Tak nazywamy tę literę. Natomiast w alfabecie amerykańskim nasze "ka" brzmi "kej". W czasie tamtej wojny miały miejsce walki w których nikt nie ginął. Na tablicy pisali wtedy liczbę zero i literę K i z tego skrótu urodziło się określenie "okej". Zero zabitych, jest dobrze, wszyscy przeżyli, nic tylko się cieszyć. Jest "okej". Czaicie teraz w czym rzecz? Mówię wam chłopaki i wspomnicie kiedyś moje słowa, że "okej" opanuje cały świat. Nawet Chińczycy będą tak gadać, a swoją drogą to znam kilku żółtków osobiście, którzy tak mówią. - Nagle Johnny zamilkł, obejrzał się przez ramię i zapytał: - Chłopaki, muszę do klopa, gdzie tu jest sraczyk? Trzeba wychodzić z celi?

- A tam - kiwnąłem głową w róg pomieszczenia na żeliwny kociołek z białą, ceramiczną przykrywką. - To jest nasz kibelek.

Johnny spojrział na mnie z niedowierzaniem.

- Żartujesz sobie?

- Gdzieżbym śmiał - odparłem. - Przyjacielu, jesteś w więzieniu, a nie w hotelu.

- Mam srać do tego czegoś, a wy będziecie się przyglądać?!

- Przyglądać się raczej nie będziemy, ale na pewno coś usłyszymy i pocujemy małe co nieco.

- Dżizis Krajst! - Jęknął. - Druga połowa dwudziestego wieku, a ja mam się zerznąć do jakiejś bańki?

- Obawiam się, że nie masz innego wyjścia.

Nasz nowy współlokator nie miał wtedy fizjologicznej potrzeby, on po prostu chciał odzyskać swoją szczęśliwą ćwierćdolarówkę, którą przemycił w tyłku...

Pozwolę sobie nadmienić, iż żeliwne kibelki z ceramicznymi pokrywami, pojawiły się w naszych celach dopiero z początkiem lat pięćdziesiątych. Wyparły tradycyjne wiadra, ale dalej były określane mianem bomby. Zapewne wiecie, jaka jest różnica pomiędzy żeliwem a stalą, prawda? Żeliwna bomba mogła w nienaruszonym stanie przetrwać lata, żadne świństwo nie było w stanie jej zeżreć od środka. Pokrywki natomiast miały rant owinięty filcową taśmą i jeśli były prawidłowo położone, to żadne zapachy natury nie wydobywały się z ich wnętrza.

- Ropuch, słyszysz o co cię proszę i czy możesz mi łaskawie odpowiedzieć? - Powtórzył Johnny. - Nie pisz tej pieprzonej kartki z liczbami życia, przypadającymi na kolejny dzień tygodnia. Okej!?

- Okej! - Odparłem patrząc mu prosto w oczy.

- Thank you my friend! Będę bardzo szczęśliwy, jeśli pogadamy o czymś innym. Jest przecież tyle miłych tematów, więc nie katujcie mnie swoimi wróżbami.

- To nie wróżby, tylko fakty - stwierdził Cyferka.

- Chcesz znać fakty? - Powiedział Johnny i usiadł na pryczy. - Powiem Ci jak jest, ja wyjdę za niespełna trzy lata, ty - zerknął na Cyferkę - będziesz jeszcze kiblował ponad czternaście, a Ropuch - kiwnął głową w moim kierunku - być może nigdy nie będzie wolny. Takie są właśnie fakty i żadna pieprzona liczba życia tego nie zmieni. Chyba się ze mną zgodzicie, prawda? - Zapytał i spojrzał po naszych twarzach. - Więc bardzo was proszę, darujmy sobie to słodkie, matematyczne pierdzenie i pogadajmy o szczęśliwych chwilach, które zdarzyły się w naszym życiu. Porozmawiajmy o tym czego doświadczyliśmy na własnej skórze, o tym, co utkwilo nam głęboko w pamięci. Chłopaki, przecież każdy człowiek miał w swoim życiu takie dni, które chciałby przeżyć raz jeszcze. Ropuch, masz taki szczególny dzień? - Zwrócił się do mnie.

- I to nie jeden - odparłem.

- A gdyby teraz zjawił się jakiś czarodziej z bajki i powiedział: - Dobra stary, masz dzisiaj farta, zabieram cię w podróż, kopniemy się w czasie, żebyś mógł przeżyć tę chwilę raz jeszcze, to dokąd się udasz?

- Wracać tylko po to, żeby przeżyć to samo - wtrącił Cyferka - to po prostu mija się z celem. Podróż w czasie miałaby sens tylko wtedy, kiedy chcielibyśmy dokonać zmian.

- Tobie to się marzy - powiedział Johnny wesołym tonem. - Chciałoby się uniknąć pierdła, co?

- Dokładnie - zaśmiał się Cyferka.

- Ale może trzymajmy się mojej wersji. Wracamy po to, żeby przeżyć jakiś szalony dzień z przeszłości. Oczywiście takich dni miałem setki, jednak teraz, dokładnie w tej chwili miałbym ochotę znów spotkać słodziutką Susan - powiedział Johnny. - Swojego czasu wybrałem się z moim kumplem do Berkeley. Niedaleko parku przy Derby Street znajdował się klub muzyczny, który w każdy sobotni wieczór po prostu pękał w szwach.

Tam właśnie poznałem uroczą Susan, która miała kasztanowe włosy i oczy w kolorze ciemnego piwa. Śliczna była jak marzenie...

Muszę przyznać, że Johnny naprawdę miał dar do narracji. Mówił płynnie i bardzo obrazowo, modulował odpowiednio głos, żeby oddać emocje, a słowa z taką łatwością płynęły z jego ust, jakby nie mówił z głowy tylko czytał książkę. Kiedy zaczynał snuć jakąś opowieść, to człowiek słuchał go z prawdziwą przyjemnością.

Tamtego wieczoru, kiedy we wszystkich celach zgasły już światła, zacząłem się zastanawiać, który dzień z mojego życia chciałbym ponownie przeżyć. Pomijając fakt, że to było zupełnie nierealne, powiem wam, że chyba każdemu z was trudno byłoby dokonać konkretnego wyboru. W każdym bądź razie, ja miałem z tym nie lada problem.

Teraz kiedy o tym piszę, to miałbym ochotę cofnąć się do dnia moich dziewiętnastych urodzin...

Dołożyłem wszelkich starań, żeby ten dzień był wyjątkowy. W pracy wzięłem urlop, a od strojnisia Pesteczki, pożyczyłem aksamitną muszkę, żeby dodać sobie szyku i elegancji. Kilka dni wcześniej powiedziałem Agnieszce, że nasze najbliższe spotkanie musimy przelożyć z soboty na piątek. Aby nie obudzić w niej jakichkolwiek podejrzeń i nie zdradzić swoich zamiarów, musiałem zełgać. Powiedziałem, że mój kumpel Trufel poprosił mnie o pomoc przy przeprowadzce, no i z żalem stwierdziłem, że tak niefortunnie się złożyło, iż będzie to miało miejsce w sobotnie popołudnie. Nie zadawała żadnych pytań, nawet nie spojrzała na mnie podejrzliwym wzrokiem, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że uwierzyła mi na słowo. Zgadza się, skłamałem, ale zrobiłem to w słusznej sprawie i wiedziałem, że jak już będzie po wszystkim, to wyznam jej prawdę. Byłem również pewien, że wtedy oboje będziemy się z tego śmiać. Zresztą, co wam będę tłumaczył, przecież wiecie jak to jest, kiedy chcemy komuś zrobić niespodziankę.

Umówiliśmy się, że w najbliższy piątek spotkamy się o czwartej przed głównym wejściem do parku. Oczywiście starym zwyczajem zjawiłem się grubo przed czasem.

Już od dawna krążył mi po głowie ten pomysł. Chciałem ją zaskoczyć, chciałem zrobić coś niebanalnego, a okazja ku temu była wręcz idealna. Wymyśliłem sobie, że zaproszę ją do kawiarni, która mieściła się w parkowej oranżerii i przy lampce szampana, uczymy moje dziewiętnaste urodziny. Spotykaliśmy się już od ponad czterech miesięcy, ale do tej pory nie byliśmy jeszcze razem w żadnej restauracji. To właśnie miała być ta moja wielka niespodzianka. Żywiłem również nadzieję, że w ten sposób jej zaimponuję. Chciałem pokazać, że ja, zwykły chłopak z biednej dzielnicy, potrafi się zdobyć na hojny gest. Przyświecał mi również bardzo ambitny cel, bo w końcu postanowiłem wykazać się męską inicjatywą i zrobić coś więcej. Sprawić, żeby nasze kontakty uległy zmianie i posunęły się przynajmniej o krok dalej. Od pierwszego dnia naszej znajomości pragnąłem poczuć dotyk jej skóry, złapać ją za dłoń, okazać czułość w bardziej dosadny sposób. W głębi duszy marzyłem o tym, żeby musnąć ustami jej policzek, żeby ją wreszcie pocałować. Najgorsze było to, że nie miałem pojęcia jak się do tego zabrać. Kogo miałem o to zapytać? Ludzie z którymi pracowałem, traktowali relacje damsko-męskie w bardzo uproszczony sposób. Miałem wrażenie, że byli w tym temacie pozbawieni subtelności,

intymności i szacunku. Czasami nabierałem przekonania, że chyba jestem jakiś inny i niekiedy czułem się jak odmieniec.

Kiedy pożyczycie od Pesteczki muszkę, zapytał mnie:

- Ile czasu już się do niej zalecasz?

- Ponad cztery miesiące - odparłem.

- I co, fajnie się puka? - Poruszył biodrami w jednoznaczny sposób.

- Wiesz co, sam się puknij w swój dumny łeb!

- O jejciu jejciu, nie bądź taki ę ą. Przecież to normalna sprawa.

- Dla jednych normalna, dla drugich szczególna - odparłem. - Poza tym nie chcę o tym rozmawiać.

- Niedobrze człowieku. Widzę, że wzięło cię na całego - stwierdził, robiąc przy tym taką minę, jakby był prawdziwym ekspertem w tych sprawach.

Wolnym krokiem przechadzałem się w pobliżu głównego wejścia i ciągle myślałem o tym, że dzisiaj muszę coś zrobić, że muszę sprostać wyzwaniu. *Mam urodziny i to jest najlepszy moment, żeby się wykazać. Muszę być zdecydowany* - w duchu dodawałem sobie otuchy.

Zegar na ratuszu uderzył po trzykroć.

Sięgnąłem do kieszeni po papierosa.

Błękitne niebo rozpościerało się ponad dachami kamienic, a popołudniowe słońce świeciło jasnym, pogodnym blaskiem. Świat dookoła mienił się paletą magicznych, jesiennych barw. Wiatr delikatnie kołysał gałęziami drzew i szumiał pośród liści, jakby chciał je zmusić, żeby szeptem wyznały swoje tajemnice. Na chwilę moją uwagę przykuł jakiś starszy mężczyzna, który szedł samotnie parkową aleją. Zmierzał przed siebie wolnym krokiem i wyglądał tak, jakby kroczył środkiem zaczarowanego szpaleru pomiędzy złocistymi koronami rozłożystych drzew. Wtem z lewej strony wejścia pojawił się parkowy. Komicznie wyglądał w tym swoim eleganckim, szykownym mundurze i z dużą miotłą w dłoniach. Przez moment rozglądał się na boki, jakby chciał ocenić sytuację, a potem zaczął energicznie zamiatać liście z wybrukowanego deptaku na sąsiadujący skwerek. Spojrzałem w lewo. Od strony rynku szła w moją stronę Agnieszka. Na jej widok poczułem szybsze bicie serca i przyjemne mrowienie w dołku. Miała na sobie granatowy płaszcz i torebkę przewieszoną przez ramię. Mimowolnie uśmiechałem się pod nosem, spoglądając jak zmierza mi na spotkanie. Zawsze na jej widok ogarniała mnie radość. Przedziwny, eksplodujący dreszcz pojawiał się znienacka w każdym zakamarku mojego ciała i ubolewam nad tym, że nie potrafię tego uczucia opisać słowami. Jestem pewien, że każde moje porównanie lub metafora, nie odda nawet namiastki tego doznania.

Szybkim krokiem pokonała ulicę i podchodząc do mnie powiedziała z uśmiechem:

- Witaj Stefanie Stanisławie.

Bardzo często się tak do mnie zwracała, a ja nie miałem nic przeciw temu. Nikt tak do mnie nie mówił, to powiedzenie należało tylko do niej.

- Dzień dobry Agnieszko - odparłem skinąwszy głową.

- Wspaniałe popołudnie. Wręcz idealne na spacer - rzekła.

Uśmiechnąłem się patrząc w jej szmaragdowe oczy i zrobiłem coś, co powinienem uczynić już dawno temu. Wysunąłem zgiętą w łokciu lewą rękę i chociaż poczułem, że zaczynam się oblewać delikatnym rumieńcem, zapytałem:

- Pozwolisz? - W naturalny sposób zaproponowałem jej, żeby wzięła mnie pod ramię.

Nie zawahała się nawet sekundy.

Ruszyliśmy wolnym krokiem przed siebie, a ja miałem wrażenie, że zaraz z dumy rozerwie mi klatę na strzępy.

- Jak ci minął dzisiejszy dzień? - Spytałem i zerknąłem na jej buzię.

- Ach wiesz, w piątki mamy zajęcia praktyczne, więc czas leci zdecydowanie szybciej niż w normalny, szkolny dzień. Wyobraź sobie, że Basia, ta moja koleżanka z krótkimi, czarnymi włosami... - i zaczęła mi opowiadać ze szczegółami, co się wydarzyło.

Lubiłem słuchać jej szkolnych opowieści. Może to wynikało z tego, że nie było mi dane poznać, jak to jest być uczniem? Na pewno z tego powodu ominęło mnie w młodości wiele ciekawych przeżyć i wspomnień, a o samej edukacji to już nawet nie wspomnę.

Ponad godzinę spacerowaliśmy parkowymi alejkami, a ja twardo trzymałem łokieć w tej samej pozycji, chociaż czułem, że chwilami biceps zaczyna mi cierpnąć. Mój Boże, ależ byłem szczęśliwy i dumny, że idę z nią pod rękę! Rozpierała mnie taka radość, że miałem ochotę wykrzyknąć to przed całym światem. Marzyłem o tym, żeby to uroczyste, październikowe popołudnie nie miało końca. I tylko żałowałem, że parkowe aleje świecą pustkami i nikt obcy nie jest świadkiem mojego triumfu.

- Może usiadzimy? - Właściwie nie pytała tylko zaproponowała, kierując swój wzrok na ławkę obok której rósł rozłożysty klon. - Jutro będziesz pomagał swojemu koledze, a co z niedzielą? Zobaczymy się?

- Oczywiście - odparłem. - Miejmy nadzieję, że pogoda będzie tak samo śliczna jak dzisiaj.

- Wiesz, lubię jesień - powiedziała i spojrzała na lewo. - Świat jest wtedy pełen magicznych kolorów. A ty jaką porę roku lubisz najbardziej?

- Od tego roku, to najbardziej lubię wiosnę - odpowiedziałem i uśmiechnąłem się patrząc jej prosto w oczy - ale to twoja zasługa.

- Moja? Dlaczego? - Doskonale wiedziała dlaczego, ale chyba chciała to usłyszeć z moich ust.

- No przecież dobrze wiesz.

- Nie, nie wiem - powiedziała zalotnie i przysunęła się bliżej mnie. - Powiedz mi.

Była tak blisko, że palce mojej dłoni, którą trzymałem na oparciu ławki dotykały jej ramienia. Zebrałem w sobie całą odwagę na jaką było mnie stać i objąłem ją nieśmiałym ruchem.

- Wiosna jest najpiękniejsza - powiedziałem i usłyszałem, że głos mi drży - bo ciebie poznałem wiosną i nic już tego nie zmieni - chyba chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale kolejne słowa ugrzęzły mi w gardle.

Nasze twarze były tak blisko, że prawie czułem na policzku jej ciepły oddech.

- O czym myślisz Stefanie Stanisławie? - Zapytała.

O tym, żeby cię złapać w ramiona! - Krzyknąłem w myślach i już miałem to zrobić,

kiedy odchyliła do tyłu nieco głowę, zamknęła powieki i szepnęła:

- Pocałuj mnie.

Przytuliłem ją do siebie, a nasze usta spotkały się w namiętym pocałunku. Sam nie wiem, czy moje policzki paliło październikowe słońce, którego ostre, popołudniowe promienie przedzierały się pomiędzy liśćmi drzew i biły prosto w nasze młode twarze. A może czułem miłosny żar, którego ogień od dawna trawił moją duszą, a teraz w ułamku sekundy zamienił się w nieokiełznaną pożogę zmysłów, najskrytszych pragnień i uniesień.

To była cudowna chwila. Ten pocałunek znaczył więcej niż tysiące słów, które mogłem jej wyznać. Zrozumiałem, że oboje pragniemy tego samego i że jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Chodźmy - powiedziałem i podniosłem się z ławki. - Chciałbym cię gdzieś zaprosić.

- Dokąd? - Zapytała zaskoczonym głosem.

- Zobaczysz, to niespodzianka - odparłem.

Złapała mnie pod rękę i wolnym krokiem ruszyliśmy w stronę oranżerii.

Otworzyłem drzwi wiodące do pomieszczenia kawiarni i puściłem ją przodem. Ledwo przekroczyliśmy próg, a przed nami zjawił się kelner. Ukłonił się w pas i zapytał:

- Dobry wieczór, czy życzą sobie państwo stolik dla dwojga?

- Tak - odpowiedziałem.

- W taki razie proszę się rozpląszyć - ruchem ręki wskazał na szatniarza, który stał za dębową ladą.

Chwilę później usiedliśmy w rogu dużej sali tuż obok okna.

- Co państwo sobie życzą? - Zapytał kelner.

- Na pewno szampana - rzekłem.

- Podać całą butelkę? - Prawie wpadł mi w zdanie.

- Nie nie, poprosimy tylko dwie lampki - odparłem. Butelka to byłoby zdecydowanie za dużo, a po drugie nie byłem pewien czy miałbym na tyle pieniędzy, żeby potem uregulować rachunek.

- W takim razie pozwolę sobie zaproponować Blanc de Blanc - powiedział, bo chyba zdawał sobie sprawę, że nie mam żadnego doświadczenia w wyborze odpowiednich trunków - jest to szampan produkowany wyłącznie z białych winogron, bardzo lekki i orzeźwiający. Podać tylko szampana czy coś jeszcze?

Spojrzałem na Agnieszkę. Miałem wrażenie, że czuje się lekko skrępowana.

- Na co masz ochotę? - Zapytałem.

- Może filiżankę kawy... - odparła niezdecydowanym głosem.

- Czarną, czy ze śmietanką? - Dociekał kelner.

- Ze śmietanką.

- Dwie lampki Blanc de Blanc, jedna kawa ze śmietanką - powtórzył, po czym zerknął na mnie i zapytał: - A dla pana?

- Dla mnie to samo. Również poproszę kawę ze śmietanką.

- Oczywiście - powiedział kelner, uklonił się w pół i odszedł.

Przysunąłem się z krzesłem nieco bliżej Agnieszki.

- Jeszcze nigdy nie byłem w takim ekskluzywnym lokalu - szepnęła.

- Ja też - odparłem półgłosem i posłałem jej uśmiech.

- Spójrz tylko na tych ludzi - ruchem oczu wskazała w głąb sali - zauważyłeś, że niektórzy są bardzo wytwornie ubrani? Chciałabym kiedyś mieć własny zakład krawiecki, żeby móc projektować i szyc takie szykowne stroje.

- Wierzę, że któregoś dnia spełnisz swoje marzenie. Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli sobie zapalę? - Zapytałem zmieniając temat.

Spojrzała na mnie w taki sposób, jakby chciała powiedzieć z lekkim wyrzutem: - Naprawdę musisz to robić?

- Oj zapal sobie zapal, mój ty mężczyzno - westchnęła.

Na razie wszystko przebiegało zgodnie z moim planem, chociaż byłem trochę zdziwiony, że nie zapytała z jakiej okazji tutaj jesteśmy. Myślę, że chyba udało mi się ją zaskoczyć i była nieco oszołomiona całą sytuacją.

Wtem obok pojawił się kelner ze srebrną tacą w dłoniach i postawił na naszym stoliku dwie porcelanowe filiżanki z kawą, cukiernicę, dzbanuszek ze spienioną śmietanką i dwie lampki z musującym szampanem.

Wziąłem głęboki oddech, bo chciałem właśnie powiedzieć kilka słów i wznieść toast, kiedy Agnieszka złapała mnie za dłoń i rzekła:

- Stefanie Stanisławie - spojrzała mi prosto w oczy i jednocześnie sięgnęła do torebki. Wyjęła z jej wnętrza niedużą paczuszkę owiniętą ozdobną kokardą - wszystkiego najlepszego z okazji twoich dziewiętnastych urodzin - i uśmiechając się, podała mi prezent.

Byłem tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, co się dzieje.

- Myślałeś, że zapomniałam? - Zapytała, a jej zielone oczy błyszczały radośnie, jak dwa bezcenne szmaragdy. - Przyznaj się! Myślałeś, że zapomniałam, prawda?

- Nie no coś ty!

- Ale jesteś kłamczuch - zaśmiała się figlarnie. - No rozpakuj - powiedziała, unosząc do góry brwi. Chyba była bardziej podekscytowana niż ja.

Przez chwilę mocowałem się z wstążką i odwinąłem ozdobny papier. Moim oczom ukazało się nieduże pudełko, a wewnątrz był... elegancki, kieszonkowy zegarek. Powoli obracałem go w palcach i oglądałem ze wszystkich stron. Wyglądał solidnie, na górnej kopercie były wyrzeźbione motywy wijącego się bluszczu i miał długi, srebrny łańcuszek przypięty do oczka tuż nad pokrętelem.

- Mam nadzieję, że będzie nam odmierzał tylko szczęśliwy czas - po czym pochyliła się w moją stronę i pocałowała mnie w policzek.

Nie spodziewałem się, jak mi Bóg miły, nie spodziewałem się, że wydarzy się dzisiaj coś takiego. To ja knułem i kombinowałem, a okazało się, że ona mnie zaskoczyła. I jeszcze dostałem taki drogi prezent!

Uśmiechnąłem się szczerze i powiedziałem:

- Zapraszając cię tutaj, chciałem ci zrobić niespodziankę, ale okazało się, że...

- No widzisz - wpadła mi w zdanie - chyba oboje myśleliśmy o tym samym. Jeszcze

raz wszystkiego najlepszego - złapała za lampkę szampana - sto lat!

Kiedy wieczorem odprowadzałem ją do domu, po drodze przyznałem się do mojego niewinnego kłamstwa i do tego, że jutro spotykam się z Truflem, Pesteczką i Wiktorem, żeby oblać moje dziewiętnaste urodziny. Doceniła to, że dzień w którym wypadają moje urodziny chciałem spędzić w jej towarzystwie i nie miała nic przeciwko temu, że bym uczcił swoje święto z moimi przyjaciółmi.

- Tylko mi nie przeholuj - zażartowała - bo nie chcę w niedzielę słyszeć, że źle się czujesz.

Od tamtego dnia minęło wiele lat, a ja czasami mam wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Pamiętam najdrobniejsze szczegóły, każdy detal. Nawet teraz, kiedy siedzę w moim wysłużonym fotelu, a za oknem skrada się ciemna noc, jestem w stanie poczuć przeszłość każdymi zmysłami. Z całego serca zazdroszczę wszystkim, którzy mieli okazję doczekać wspólnej starości. Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie to musi być piękne uczucie, kiedy ludzie będący w jesieni życia mogą razem powspominać swoją przeszłość. Oddałbym duszę, żeby móc powiedzieć do ukochanej osoby:

- A pamiętasz jak - i potem zacząć wspólnie wspominać zamierzchłe czasy.

Cóż warto są choćby najpiękniejsze wspomnienia, skoro nie ma przy tobie osoby z którą je przeżyłeś?

Cóż one są warto...?

Ci z was, którzy mieszkają w małych miejscowościach, doskonale wiedzą jak leniwie potrafi toczyć się w nich życie. W małych miastach nic się nie dzieje. Człowiek pójdzie na spacer i idąc chodnikiem raz po raz mija gębę, którą zna z widzenia. Wiem jak to jest, bo od dnia, kiedy opuściłem więzienie też przyszło mi żyć na pograniczu świata. Nie narzekam, zawsze mogło być gorzej. Gdybym miał pecha, to ugrzązłbym na prawdziwym zadupiu. Tutaj jest o tyle dobrze, że mam blisko do Wrocławia, a komunikacja publiczna funkcjonuje bez zarzutu. Czasami wsiadam w autobus i jadę do tej dolnośląskiej metropolii, żeby bez celu poszpendać się po starówce. Tam dużo się dzieje. Lubię usiąść na ławce naprzeciw Spiżu i obserwować ludzi. W dni wolne od pracy rynek tętni życiem. W knajpianych ogródkach tłum, czasami zjawia się jakiś grajek i koncertując na rogu ulic zarabia na swoje utrzymanie. Niespełnieni malarze artyści rozkładają na sztalugach swoje prace, które chcą sprzedać albo za kilka złotych szkicują na życzenie ołówkowe portrety lub karykatury. Prawdziwa feta jest jednak podczas dni miasta, kiedy miejscy władarze zapewniają gawiedzi darmową rozrywkę. Pamiętam mój pierwszy wyjazd do Wrocławia i brutalne zderzenie ze współczesną rzeczywistością. Wiem, że od lat mojej młodości upłynęło mnóstwo czasu i jestem w pełni świadom, że ewolucja obyczajowa zmieniała kolejne pokolenia, jednak to co zobaczyłem i usłyszałem, przyprawiło mnie o niesmak. Kiedy obserwowałem jak zachowują się szczególnie młodzi ludzie, kiedy słyszałem w jaki sposób chłopcy i dziewczęta zwracają się do siebie, to pomyślałem - *Dobry Boże, co się z nimi stało?! Kiedy byłem młody to też przeklinałem,*

ale tylko w towarzystwie kumpli i nie dawałem publicznych popisów. Nigdy w życiu nie byłbym w stanie bluźnić rozmawiając z kobietą, albo zwracać się do niej w wulgarny sposób. Nie wiem czy potrafiłbym darzyć szacunkiem kobietę, która klnie. Nawet nie macie pojęcia, jaki przeżyłem szok, kiedy pewnego razu na ławce obok przysiadły dwie panny. Nie miały więcej jak po dwadzieścia lat. Z urody obie ładne i szczupłe jak rasowe modelki. Umalowane, uczesane, biżuteria, zadbane paznokcie, modne ciuszki i nagle jedna z nich mówi do tej drugiej:

- Jolka, nawet nie masz pojęcia jak się wczoraj wkurwiłam! No mówię ci, normalnie ten mój Waldek jest jakiś pojebany! Wyobraź sobie, że ten drętwy chuj wczoraj powiedział...

Nie miałem siły tego słuchać. Nie chodzi o to, że jestem wrażliwy, aczkolwiek w jakimś stopniu pewnie jestem, ale uszy mi zwiędły, kiedy słyszałem jej słowa. Podniosłem się z ławki i spojrzałem na jej twarz. Ładna buzia, na pierwszy rzut oka wydawała się całkiem miłą kobietą, ale jej słownictwo - masakra! Zerknęła na mnie przelotnie, a ja natychmiast odwróciłem wzrok, jakbym się bał, że zaraz może mnie zwyzywać. Kto wie, co mogło jej strzelić do łba? Ruszyłem przed siebie. Mijając piwne ogródki zdałem sobie sprawę, że świat bardzo się zmienił. Za moich czasów było nie do pomyślenia, żeby młode dziewczyny siedziały w knajpie i dźwigały kufle w dłoniach! Nie zrozumcie mnie źle, nie mam nic przeciwko temu, ale jakoś mi to nie pasuje. Kłóci mi się to z kobiecą naturą i delikatnością. Pewnie uważacie, że to jest żałosne lub śmieszne, ale ja jestem człowiekiem starej daty. Kiedyś było zupełnie inaczej. Nie chcę osądzać, czy świat mojej młodości jest lepszy od świata współczesnej młodzieży. Ja tylko pragnę wam powiedzieć, że widzę tę otchłań, jaka dzieli nasze epoki. Zresztą, sami się przekonacie jak to jest, kiedy dożyjecie moich lat, wtedy będziecie mieli skalę porównawczą. Jedno jest pewne, przyszłość zawsze przynosi zmiany. Przyszłość to bezustanny rozwój wiedzy, nauki i techniki, przeszłość to czas przełomowych odkryć i wynalazków. To światłość, która jest pochodnią każdej cywilizacji, ale pamiętajcie o tym, że każda światłość rzuca też cień. Niektórzy z was pewnie dożyją sędziwego wieku, czego oczywiście serdecznie wam życzę, być może doczekacie czasów, kiedy wasze wnuki wkroczą w swoją szaloną młodość. Możliwe, że przypomniecie sobie wtedy moje słowa i powiecie:

- Do licha, facet miał rację! To, co dzieje się teraz, woła o pomstę do nieba!

Johnny Alcatraz marzył o tym, żeby kopnąć się w przeszłość i przeżyć jeszcze raz jakiś wspaniały dzień. Cyferka był bardziej pragmatyczny, bowiem twierdził, że podróż w czasie miałyby sens tylko wtedy, kiedy chcielibyśmy dokonać zmian i ten pomysł, podobał mi się zdecydowanie bardziej. Gdyby ktoś posadził mnie w wehikule czasu, ustawiłbym datę 21.02.1922 roku i wystarczyłoby mi dosłownie pięć sekund, żeby zmienić swój los. Pięciosekundowa podróż w przeszłość odmieniłaby moje całe życie. Pojawiłbym się tylko po to, żeby w ciemnym zaułku obok gospody "Pod Złotym Kopytem" spojrzeć na Wiktora i powiedzieć mu prosto w oczy:

- Dzisiaj nie mogę, wybaczone ale jestem zajęty.

Latem 1921 roku Wiktor wszedł w posiadanie broni. Któregoś dnia zjawił się w knajpie, zamówił przy barze piwo i trzymając kufel w dłoni podszedł do stolika przy którym na niego czekałem. Usiadł obok, uściśnął mi dłoń na powitanie, odchylił nieco połą kurtki i szepnął:

- Spójrz tylko!

Za pasem miał wetknięty pistolet.

Zerknąłem na spluwę, a zaraz potem nerwowym wzrokiem omiotłem twarze bywalców.

- Skąd to masz? - Zapytałem konspiracyjnym tonem.

- Dla własnego dobra, lepiej żebyś nie wiedział - rzucił i obejrzał się przez ramię.

Usiadł tak, aby oczy innych nie mogły dostrzec jego sekretu.

Wyjął pod stołem pistolet, a mnie aż korciło, żeby poczuć go w dłoni.

- Może któregoś dnia pójdziemy do lasu postrzelać? - Zapytał i uśmiechając się pod nosem, poruszył brwiami. - Miałbyś ochotę?

Dwa dni później poznałem tajniki broni i oddałem swój pierwszy strzał w życiu. Do dziś nie potrafię zrozumieć, dlaczego to było dla mnie takie ekscytujące przeżycie? Nie chodzi o to, że nacisnąłem spust, poczułem siłę odrzutu, a pocisk pomknął do celu. Sęk w tym, że kiedy trzymałem w dłoni pistolet, kiedy moje palce oplatały rękojeść Parabellum, miałem wrażenie, że sływa na mnie jakaś niewidzialna moc. Siła, której nikt nie jest w stanie się przeciwstawić.

Raz w tygodniu chodziliśmy do lasu postrzelać, a ja byłem w tym coraz lepszy.

- Masz talent - stwierdził któregoś dnia Wiktor, kiedy z odległości ponad dwudziestu metrów trafiłem w środek karty do gry, którą wcześniej przytwierdziliśmy gwoździem do pnia drzewa. - Mógłbyś być strzelcem wyborowym.

Swoją drogą, strzelanie bardzo mi się podobało.

Wiele razy próbowałem wyciągnąć z Wiktora, dlaczego nosi przy sobie broń, ale on zawsze mnie zbywał jakąś banalną wymówką. Po jakimś czasie przestałem dociekać i w jego wypadku, zacząłem to traktować, jak coś zupełnie naturalnego.

Ostatnie miesiące 1921 roku to był czas, kiedy przedstawiciele nielegalnej Komunistycznej Partii Robotniczej Polski prowadzili ożywioną działalność wśród klasy robotniczej. Coraz częściej na murach pojawiały się ulotki i odezwy nawołujące do strajków w zakładach pracy oraz buntu przeciwko władzom II RP. Takie przybytki, jak gospoda "Pod Żłotym Kopytem" z dnia na dzień stały się kolebkami komunistycznej agitacji. Od jakiegoś czasu inflacja galopowała w zastraszającym tempie. Wyobraźcie sobie, że w ciągu roku wszystko podrożało niemal dziesięciokrotnie! To wydaje się nie do pomyślenia, bo zarobki wcale nie wzrosły adekwatnie do cen. Taki był właśnie podstawowy powód frustracji i społecznego niezadowolenia.

- Czy tak ma wyglądać nasze życie w niepodległej Polsce?! Mamy sobie wypruć żyły za marne pensje?! - Wśród kłębow tytoniowego dymu i oparów gorzały, raz po raz rozbrzmiewały czyjeś słowa.

Ludzie oczekiwali zmian, ale władza nie robiła nic, żeby poprawić byt zwykłego człowieka. Obszarnicy ziemscy i przedsiębiorcy zbijali bajeczne majątki, a wyrobnicy musieli zadowolić się ochłapami z pańskich stołów. Ja również miałem wrażenie, że wszyscy doczekaliśmy podłych czasów i zostałem zagorzałym zwolennikiem komunistycznych ideałów. Oczywiście Wiktor miał w tym swoją zasługę, bowiem przekonał mnie w słuszność sprawy w którą wierzył. Tacy jak ja, stanowili elektorat dla takich jak on. Wtedy tego nie dostrzegałem, nie miałem pojęcia, że miał ambitny plan. On nie chciał pełnić roli pionka na szachownicy epokowych zmian.

On chciał być królem.

Dziś, kiedy patrzę na to z perspektywy minionych lat, doskonale widzę, że dałem się zwieść. Uległem propagandzie. Uległem, chociaż zewsząd słyszałem ostrzeżenia. Wszyscy, którzy byli mi bliscy, szybko poznali się na Wiktorze, a ja zachowywałem się jak naiwny ślepiec. Co mam teraz powiedzieć? Potwierdzić, że miałem posłuchać mojej mamy albo Agnieszki? Przyznać otwarcie, że miałem sobie wziąć do serca słowa Pesteczki i Trufla? Postępowałem jednak inaczej i nie potrafię wyjaśnić dlaczego stawałem okoniem. Spaprałem sprawę. Szczerze żałuję. Bardzo żałuję. Nigdy nawet nie myślałem o konsekwencjach, jakie mogę ponieść choćby z tytułu sympatyzowania z KPRP. Nie byłem zdeklarowanym członkiem tej komunistycznej partii, po prostu zadawałem się z nieodpowiednim człowiekiem. Pamiętam te wieczory w gospodzie, kiedy Wiktor przemawiał i opowiadał zebrany o robotniczym braterstwie, równości i klasowej walce za wolność naszą i waszą. Dla jednych były to tylko wyświechtane frazesy, dla innych wiara w lepsze jutro. Nie przeczę, budził szacunek wśród zgromadzonych, wielu wróżyło mu świetlaną przyszłość, a ja byłem dumny, kiedy po każdym swoim przemówieniu siadał ze mną przy stole. Czasami przynosił z sobą ulotki, a ja zawsze byłem cholernie ciekaw - od kogo je dostał? Skąd je wziął?

- Stefek, nie mogę ci powiedzieć. Zrozum proszę, że staram się ciebie chronić. Nie mogę cię narażać. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

Dziecko by się zorientowało, że opowiada bzdury, prawda? Jednak ja byłem tak zafascynowany jego osobą, że nie dopuszczałem tej myśli do siebie. Czasami o niektórych sprawach opowiadał w taki sposób, że nabierałem przekonania, iż ma szerokie kontakty i jest kimś. Kimś przez duże "K" w szeregach Kominternu. Kilka razy zdarzyły się takie sytuacje, kiedy Wiktor mówił:

- Muszę iść, mam ważne spotkanie. Zobaczymy się jutro - po czym podnosił się od stolika i znikał.

Za każdym razem towarzyszyła temu aura tajemniczości.

Z kim się widywał i gdzie, nie miałem pojęcia.

Czasami nie pojawiał się "Pod Żłotym Kopytem" przez kilka dni.

Kiedy dzisiaj rozdrapuję w pamięci tamte wydarzenia, to dochodzę do wniosku, że powinienem chyba napisać książkę pod tytułem "Spowiedź naiwniaka, czyli jak dałem się otumanić".

W końcu nadszedł dzień, który zmienił moje życie.

To był mroźny wtorek 21 lutego 1922 roku.

W drodze z pracy do domu zmarłem jak pies. Śniegu w tym roku napadało tyle co nic, ale lutowy ziąb dawał się we znaki.

Przyniosłem z piwnicy drzewo, rozpałem w piecu i postawiłem garnek z zupą ogórkową na kuchennych fajerkach.

Mój każdy powszedni dzień wyglądał tak samo. Od lat prawie nic się nie zmieniło. Praca, obiad i wyjście do knajpy. Żyłem po to, żeby jeść i pracować. Odmianą od monotoni były jedynie sobotnie i niedzielne popołudnia, które spędzałem w towarzystwie Agnieszki. Przy niej czas nabierał tempa, a nasze wspólne godziny mknęły niczym konie w galopie. Od jakiegoś czasu coraz częściej myślałem, że muszę to zmienić. Nawet moja mama raz po raz napomykała, że powinienem się ustatkować, co oczywiście w domyśle oznaczało, żebym w końcu podjął poważne kroki w stosunku do Agnieszki. Najgorsze jednak było to, że nie zdawała sobie sprawy, jaką jej ojciec żywi do mnie niechęć. Nie o takim zięciu jak ja, marzył dla swojej jedynaczki. Sam fakt, że mieszkałem na Czaszkach przekreślał mnie w jego oczach. Chyba już w swoich zapiskach wspominałem wam, jak przed moją pierwszą oficjalną wizytą w jej domu, kupiłem sobie w "Elegancie" modny w tamtych czasach garnitur. Pisałem o tym, prawda? Odstawiłem się wtedy, wydałem z tego powodu kupę forsy, ale i tak nie przypadłem staremu Wypychowi do gustu. On oceniał ludzi na swój sposób. Nieważne jakim człowiekiem byłeś, dla niego liczyło się to, skąd pochodzisz. A czy to moja wina, że urodziłem się w tej, a nie innej dzielnicy? Cóż mogłem za to? On tkwił w swoich stereotypach i z tego co wiem, zawsze Agnieszce powtarzał:

- Córeczko, ja chcę żebyś miała lepsze życie niż ja.

Sęk w tym, że dla niego to całe lepsze życie, wiązało się tylko ze sprawami materialnymi.

Niedzielny obiad, na który zaprosili mnie jej rodzice, zjedliśmy wspólnie pod koniec lata 1920 roku i od tamtej pory mógłbym policzyć na palcach dwóch dłoni, ile razy byłem w jej domu. Jej matka była inna. Miła, poczciwa kobieta, która patrzyła na życie przez pryzmat uczuć. Myślę, że darzyła mnie sympatią, chociaż nigdy tego nie usłyszałem z jej ust.

Największa porażka wydarzyła się podczas zeszłorocznych świąt Bożego Narodzenia. Moja mama uparła się, żebym zaprosił do nas Agnieszkę i jej rodziców w drugi dzień świąt. Bardzo to przeżywała. Zapręgła mnie do sprzątania mieszkania, a sama przygotowała syty obiad, upiekła blachę ciasta i wystroiła się w swoją niedzielną sukienkę.

Punktualnie o drugiej, rozległo się pukanie do drzwi.

- Goście przyszli - powiedziała podnieconym głosem - idź otwórz!

W drzwiach ujrzałem tylko Agnieszkę i jej mamę.

- A gdzie pan Wypych? - Zapytała mama.

- Źle się poczuł i został w domu - padła dyplomatyczna odpowiedź.

Nie wiem czemu jedząc ogórkową zupę, zacząłem wspominać tamto zajście. Może przez to, że wtedy też na świąteczny obiad była ogórkowa?

Umyłem talerz, dorzuciłem do pieca i zacząłem się zbierać do wyjścia.

Tego dnia w drodze do knajpy po raz pierwszy pomyślałem o tym, że tej wiosny powinienem się oświadczyć.

Siedziałem samotnie w rogu sali i sączyłem piwo. Wszystko wskazywało na to, że Trufel i Pesteczka nie pojawią się dzisiejszego wieczoru, a tak w ogóle, to od początku roku rzadko ich widywałem.

Zatopiony w myślach, doszedłem do wniosku, że w najbliższą sobotę muszę przedyskutować całą sprawę z Agnieszką. *Ciekaw jestem jej reakcji* - szepnąłem w duchu i uśmiechnąłem się pod nosem. *Chyba będę musiał oszczędzać na pierścionek*. Za dwa dni moja ukochana miała wrócić z Krakowa.

Wtem w drzwiach wejściowych pojawił się Wiktor. Natychmiast kiedy mnie dostrzegł, prężnym krokiem ruszył w moim kierunku.

- Cześć! - Zdjął rękawiczkę i uściśnął mi dłoń na powitanie. - Dobrze, że jesteś - powiedział i usiadł obok. Zerknął w głąb sali, jakby się chciał upewnić, że nikt nas nie obserwuje, po czym przysunął się bliżej i szepnął: - Potrzebowałbym dzisiaj twojej pomocy, masz czas? - Zapytał.

- Jedyne czego zawsze mam w nadmiarze, to wolny czas - zażartowałem. - Co się dzieje? - Spytałem.

- Tu nie będziemy rozmawiać - znowu łypnął w lewo. - Za chwilę wyjdę z gospody i będę na ciebie czekał w bramie na końcu ulicy. Dopij powoli piwo, a potem wyjdź. Jak będziesz na zewnątrz to idź spokojnym krokiem. Zwróć uwagę, czy nikt cię nie śledzi. Jeżeli ktoś będzie za tobą szedł, to po prostu miń bramę i maszeruj do domu - klepnął mnie w ramię i podniósł się z miejsca.

Z wrażenia sięgnąłem po papierosa.

Ten jego konspiracyjny ton i tych kilka, krótkich instrukcji rozpałiło moją wyobraźnię. Poczulem dreszcz dziwnego podniecenia.

Kilka minut później zamknąłem za sobą drzwi wiodące do karczmy.

Na dworze było już ciemno. Postawiłem kołnierz kurtki i wolno ruszyłem przed siebie. Po kilku krokach obejrzałem się przez ramię. Na ulicy nie było żywego ducha. Do ostatniej bramy zostało mi jeszcze kilka metrów. Ponownie spojrzałem za siebie.

Pusto.

Zrobiłem krok w prawo i znalazłem się w ciemnym zaułku.

- Pst! - Usłyszałem z lewej strony. - Tu jestem - szepnął Wiktor. - Nikt za tobą nie szedł? - Zapytał cichym głosem.

- Nikt - odparłem.

- To dobrze.

- Co się dzieje Wiktor? - Znowu zadałem mu to samo pytanie.

- Ciii - w ciemnościach zauważyłem, jak położył w poprzek ust wskazujący palec.

Przywarłem plecami do ściany i nasłuchiwałem razem z nim.

Cisza.

- Słuchaj Stefek, potrzebuję pomocy. Znamy się od lat, prawda? Ufasz mi? - Zapytał.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

- Powiedz, ufasz mi? - Powtórzył.

- Ufam - odparłem szeptem.

- Muszę odebrać dwie paczki na drugim końcu miasta i dostarczyć je człowiekowi, który między ósmą, a ósmą piętnaście będzie czekał na rogu Wodnej i Przybrzeżnej. Pomożesz?

- Co jest w tych paczkach? - Spytałem.

- To tylko ulotki, materiały propagandowe. Wolałbym ci tego nie mówić, ale w przyszłym tygodniu szykuje się szeroko zakrojona akcja Kominternu w sprawie strajku generalnego. Te ulotki mają charakter informacyjny. To jak będzie, pomożesz?

- Skąd musimy odebrać te paczki?

- Z ulicy Garncarskiej.

- No to chodźmy - rzekłem.

Klepnął mnie w ramię, po czym ostrożnie wychylił się z bramy i zerknął na ulicę. Po chwili prężnym krokiem zmierzaliśmy w stronę rynku.

W trakcie drogi Wiktor raz po raz zerkał przez ramię.

- Czemu się tak ciągle oglądasz? - Zapytałem.

- Sprawdzam czy nikt nas nie śledzi. Dotarła do nas informacja, że policja ma na oku wszystkich kaliskich działaczy komunistycznych. Wiedzą o naszych planach. Istnieje podejrzenie, że ktoś zdradził. Chyba mamy szpicla w naszych szeregach.

Mówił to takim tonem, że poczułem się jak prawdziwy spiskowiec. Lutowa noc, puste ulice miasta, kłęby pary wydobywające się z naszych ust i my dwaj maszerujący szybkim krokiem. Doskonale wiedziałem gdzie jest Garncarska, ale Wiktor kluczył ciemnymi zaułkami. Ta cała sytuacja tak bardzo mi się udzieliła, że ja też, co chwilę oglądałem się przez ramię.

- Nadłożymy trochę drogi - powiedział w pewnym momencie - przejdziemy przez most nad Prosną i pójdziemy wzdłuż kanału obok parku. Która jest godzina? - Zapytał, bo doskonale wiedział, że mam zegarek z którym nie rozstawałem się od dnia moich dziewiętnastych urodzin.

Sięgnąłem do kieszeni. Otworzyłem kopertę i zerknąłem na cyferblat.

- Minęła siódma - odparłem.

Kilka minut później byliśmy już na ulicy Winiarskiej. W pewnym momencie w oddali wyłoniły się zza rogu dwie ciemne sylwetki. Wiktor natychmiast zatrzymał się w miejscu. Ukryci w cieniu, przywarliśmy plecami do muru kamienicy. Zauważyłem, że błyskawicznym ruchem włożył prawą dłoń pod kurtkę, a ja poczułem, jak moje serce nagle zaczyna dudnić w piersiach. W jednej sekundzie fala gorącego ciepła przemierzyła mnie od stóp po czubek głowy. Na skroniach i czole poczułem krople potu. Dwie sylwetki przeszły w poprzek ulicy i zniknęły z naszych oczu. Zdjąłem czapkę i mankietem kurtki przetarłem spoconą twarz.

- Idziemy! - Syknął mój towarzysz.

Niby nic się nie wydarzyło, a jednak kolana mi drżały. Mieszanka strachu,

tajemnicy i podniecenia, tłoczyła w moje młode żyły morderczą dawkę adrenaliny.

Uliczne latarnie, ciągnące się wzdłuż ulicy Warszawskiej, płonęły żółtym światłem. Wiktor cały czas trzymał dłoń wetkniętą za połę kurtki na wysokości pasa. Prężnym krokiem minęliśmy rząd zaparkowanych samochodów i przeszliśmy na drugą stronę ulicy. W oddali po prawej stronie kilka osób stało przed wejściem do restauracji, a ich śmiech docierał do naszych uszu. Skręciliśmy w lewo i weszliśmy w Garncarską, którą spowijał mrok lutowej nocy.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - szepnął Wiktor i zatrzymał się w miejscu. - W podwórzu pod numerem dwunastym jest parterowy budynek, to stamtąd musimy odebrać paczki. Ja zostanę w bramie i będę cię ubezpieczał, a ty podejdziesz do środkowych drzwi i zapukasz dwa razy - powiedział rozkazującym tonem.

- Hej, o tym nie było mowy! - Wpadłem mu w zdanie i powiem wam, że w tym momencie zląkłem się nie na żarty.

- Dobrze - spojrzał na mnie - to w takim razie trzymaj - powiedział i wetknął mi spluwę w dłoń. - Ty stoisz w bramie, a ja idę po paczki - syknął.

Stałem w cieniu bramy i oburącz trzymałem rękojeść Parabellum. Czułem, że wewnętrzne powierzchnie moich dłoni z każdą sekundą robią się śliskie od potu. W duchu zacząłem żałować, że dałem się wrobić w tę durnowatą sytuację. Zamiast teraz siedzieć "Pod Żółtym Kopytem" i sączyć kolejne piwo, stałem w ciemnym zaułku z bronią w rękach, jak jakiś zbir albo bandyta. Rozsądek podpowiadał mi, że powinienem czym prędzej wziąć nogi za pas i pryskać jak najdalej stąd. Jednak z drugiej strony przecież zobowiązałem się pomóc mojemu przyjacielowi...

Światła płonące w oknach kamienicy oświetlały podwórze mdłą poświatą. Widziałem wyraźnie, jak Wiktor niepewnym krokiem zbliża się do drzwi. Zapukał dwa razy. Nagle rozległ się zgrzyt zawiasów. W mroku nocy nie sposób było dostrzec, kto stoi w progu. Kilka sekund później mój kumpel dźwigając w rękach dwie nieduże paczki, szedł w moim kierunku. Obok niego kroczył jakiś mężczyzna, coś mu powiedział, po czym nagle skręcił w prawo i zniknął mi z oczu.

- Dobra nasza! - Powiedział Wiktor. - Teraz musimy je zanieść w umówione miejsce. Trzymaj - podał mi paczkę, a ja złapałem ją i włożyłem pod pachę.

Wziął ode mnie spluwę i wetknął ją ponownie za pasek spodni.

Pakunek nie był ciężki.

- To chyba nie są ulotki - powiedziałem, trzymając ją w obu dłoniach.

- To może weź obie - zażartował i podał mi drugi pakunek.

Przez chwilę dźwigałem je na wyciągniętych przed siebie dłoniach, którymi poruszałem niczym szalami wagi.

- Nie wiem co w nich jest, może zmieniły się plany. Zróbmy swoje, a potem skoczmy napić się po kielichu. Dobrze się spisałeś - rzucił po chwili, jakby tymi słowami chciał mi dodać otuchy i złapał za jedną z paczek.

W milczeniu pokonywaliśmy drogę do miejsca spotkania, gdzie mieliśmy dostarczyć pakunki owinięte w szary papier i przepasane lnianym sznurkiem. Mroźne powietrze ostudziło moje wcześniejsze obawy, ale i tak marzyłem tylko o tym, żeby już było po wszystkim. Chyba nie nadawałem się do roli konspiratora i spiskowca.

Ulica Wodna była bardzo długa i ciągnęła się wzdłuż rzeki. Od plantów maszerowaliśmy nieoświetlonym brzegiem.

- Która godzina? - Zapytał nagle Wiktor.

- Za piętnaście ósma.

- Masz fajki?

- Mam - odparłem.

- To przystańmy na chwilę - powiedział - zapalimy i ustalimy szczegóły.

Zatrzymaliśmy się w miejscu gdzie nie było żadnych zabudowań. Po lewej płynęła Proсна, a po prawej w stronę ulicy Przybrzeżnej, ciągnęły się połacie krzewów.

- Podejdzimy trochę bliżej i będziemy obserwować. Punktualnie o ósmej zero zero sam pójde na umówione miejsce, a ty na mnie zaczekasz. Człowiek, który ma odebrać paczki, nie musi wiedzieć, że przyszedł ze mną ktoś jeszcze. Jeżeli coś pójdzie nie tak, to uciekaj...

- Ale co ma pójść nie tak? - Wpadłem mu w zdanie.

- Nie wiem Stefek, nie mam pojęcia. Mówię o tym na wszelki wypadek.

Jego słowa były zarówno przerażające jak i ekscytujące. Przez całe dotychczasowe życie nie doznałem tylu wrażeń, co dzisiejszego wieczoru. Szalona karuzela emocji wirowała w mojej duszy.

Skończyliśmy palić.

- Która godzina?

- Za pięć ósma.

- Chodźmy!

Pierwsze światła domostw zaczęły majaczyć w oddali.

- Zaczekaj tu na mnie! - Rozkazał Wiktor i wziął ode mnie paczkę przewiazaną lnianym sznurkiem.

Wolnym krokiem ruszył przed siebie. Chuchnąłem w dłonie, bo ziąb zaczynał mi już ostro doskwierać i z całego serca pozazdrościłem Wiktorowi jego eleganckich rękawiczek z delikatnej skóry. W świetle latarni na rogu ulic pojawił się jakiś człowiek. Miał na sobie długi płaszcz i kapelusz. Dłonie trzymał w kieszeniach. Wiktor wolnym krokiem zbliżał się ku niemu. Trudno mi powiedzieć, jaka dzieliła ich odległość, kiedy nagle rozległy się przeciągłe dźwięki policyjnych gwizdków. Mężczyzna w płaszczu rzucił się w kierunku Wiktora, a ten odruchowo cisnął w niego oba pakunki, obrócił się na pięcie i zaczął biec w moją stronę. Facet, który czekał w umówionym miejscu potknął się o jedną z paczek i runął jak długi. Tuż obok niego pojawili się umundurowani funkcjonariusze. Zupełnie jakby wyrosli spod ziemi. Dwóch z nich pomagało mu wstać. Nie wiem ilu ich było, może ośmiu, dziesięciu, dwunastu. Zamiast wiać, stałem sparaliżowany strachem.

- Chodu! - Wrzasnął Wiktor, kiedy zobaczył, że trwam niczym bezmyślny posąg w tym samym miejscu gdzie mnie zostawił kilka minut temu.

Obróciłem się i zacząłem biec. Gnałem ile sił w nogach. Wiktor był tuż za mną, a za nami podążał policyjny pościg. Mieliśmy tylko dwie drogi ucieczki, albo pędzić w stronę plantów i rynku, albo skręcić niebawem w lewo i przebiec drewnianą kładką na drugą stronę rzeki. To drugie rozwiązanie wydawało się lepsze.

Starałem się nie oglądać za siebie. Wiedziony instynktem mknąłem w kierunku najbliższych zabudowań. Podświadomie wiedziałem, że jeśli znajdziemy się pomiędzy budynkami łatwiej nam będzie zgubić policyjną watahę. Najgorsze było to, że byliśmy na obcym terenie. Nieznane podwórka i zaułki, wąskie uliczki i ciasna zabudowa mogły w pewnym momencie okazać się pułapką bez wyjścia. Miałem wrażenie, że zewsząd rozlega się dźwięk gwizdków. Byli wszędzie. Otaczali nas z każdej strony. Gdzieś w zakamarkach mojej pamięci pojawiła się mapa tej części miasta. Kiedyś w przeszłości świadczyliśmy tutaj jakąś usługę. Za najbliższym rogiem skręciłem w prawo, a zaraz potem w dużą bramę. Byłem pewien, że za tymi kamienicami ciągnęły się podwórka. Po prawej dostrzegłem pod ścianą hałdę węgla i rzuciłem się w jej kierunku. Zdyszani jak psy, przykucnęliśmy w jej cieniu. Przez kilka chwil mogliśmy bezpiecznie zaczerpnąć tchu. Od strony ulicy usłyszeliśmy tupot butów podbitych stalowymi ćwiekami, które chrzęściły z metalicznym zgrzytem na brukowych kostkach. Chwilę potem rozległ się czyjś donośny głos.

- Musi gdzieś tutaj być! Rozstawić ludzi na każdym rogu!

Nie było sensu dalej trwać w tym miejscu. Obaj wiedzieliśmy, że musimy się wyrwać poza pętlę obławy.

Spojrzałem na Wiktora. Skinął głową, jakby tym gestem chciał powiedzieć, że pora ruszać i pomknęliśmy podwórkami przed siebie. Byliśmy w obrębie czterech ulic i chcąc nie chcąc, jedną z nich musieliśmy przekroczyć. Wiedziałem, że najrozsądniej będzie się kierować w stronę cmentarza, bo im bliżej Czaszek, tym większe były nasze szanse, żeby się wymknąć. Biegłem przodem, ale po chwili zorientowałem się, że jestem sam! Zatrzymałem się zdezorientowany. Z lewej strony odezwały się znowu policyjne gwizdki, więc rzuciłem się w prawo. Wybiegłem na ulicę. Kątem oka dostrzegłem, że na rogu stało dwóch policjantów i kiedy mnie ujrzeni, zaczęli dmuchać w te cholerne gwizdki i puścili się za mną. Wtedy zrozumiałem, że w taki sposób dają znać, kiedy widzą podejrzanego. Dźwięk gwizdków informuje pozostałych w którym kierunku zmierza pościg. W mojej głowie zabrzmiały usłyszane wcześniej słowa: - *Musi gdzieś tutaj być!* Nie byłem jednak pewien czy ten ktoś powiedział - musi czy muszą. *A jeśli są przekonani, że ścigają tylko jednego człowieka?!* Pomimo wątpliwości, nadal pędziłem przed siebie. Mknąłem wzdłuż ściany dużej kamienicy, kiedy nagle zza zakrętu wyłonił się Wiktor:

- Do budynku! - Krzyknął do mnie, a ja bezmyślnie wykonałem jego polecenie.

Wpadliśmy na klatkę schodową. Złapał dłonią za klamkę drzwi wiodących do piwnicy i zbiegliśmy schodami w dół.

Stanęliśmy w ślepych zaułku, chowając się w mroku. Z drugiego końca piwnicznego korytarza, spoglądało w naszą stronę nieduże, oszklone okno. Byłem przerażony tą całą sytuacją. Serce w piersiach waliło mi jak opętane i nie potrafiłem zapanować nad swoim oddechem. Wtem w holu klatki zabrzmiały pojedyncze kroki. Ktoś złapał za klamkę, a w powietrzu rozpierzchnął się cichy zgrzyt zawiasów. Obaj

przywarliśmy plecami do ściany. Na kamiennych stopniach rozległy się wolno stąpające kroki. Ktoś ostrożnie schodził w dół. Wiktor powoli wyjął spod kurtki broń. Złapał spluwę w obie dłonie i wyprostował ręce, a ja poczułem, jak obręcz strachu zaczyna zaciskać się na moim gardle.

To co stało się kilka chwil później, tysiące razy przewijało się w mojej wyobraźni niczym kadry filmu puszczone na wolnych obrotach. Z ciemności wyłaniają się czarne kontury sylwetki umundurowanego policjanta. Jest uzbrojony. Ma pistolet. I nagle pada strzał! Głowa funkcjonariusza odskakuje w bok, jakby ktoś trzepnął ją niewidzialnym obuchem. Czapka spada mu z głowy, a jego ciało uderza o ziemię. Pamiętam, że zdążyłem tylko szepnąć do Wiktora:

- O Boże, coś ty zrobił!

Obrócił się w moją stronę, złapał mnie prawą ręką za kark, przyciągnął ku sobie i powiedział:

- Nie było innego wyjścia. Rozumiesz? Nie było wyjścia. Musimy uciekać - po czym postawił krok ponad martwym ciałem i podbiegł w stronę piwnicznego okna.

Stałem w miejscu i nawet nie drgnąłem.

- Stefek rusz się! - Krzyknął. - Musimy uciekać!

Okno było zbyt wysoko. Wiktor nie mógł sięgnąć zasuwki, która trzymała zamknięte obie okiennice.

- Stefek! - Warknął ponownie. - Nie ma czasu!

W głowie jakiś obcy głos krzyknął: - *Zabieraj się stąd! Uciekaj!*

Podbiegłem do Wiktora, splotłem palce dłoni, żeby móc na nich stanąć jedną stopą i podsadziłem go w górę. Otworzył zasuwkę i rozchylił na oścież okiennice. Złapał się dolnej futryny i zaczął podciągać swoje ciało w górę. Był już prawie w połowie na zewnątrz, kiedy nagle pistolet, który trzymał za pasem uderzył ze szczękiem o podłogę. Odruchowo złapałem za przedmiot, żeby mu podać zgubę i nagle zdałem sobie sprawę, że trzymam w dłoni broń z której przed chwilą zabito człowieka. Za oknem rozlegały się policyjne gwizdki. Spojrzałem w górę. Wiktor klęczał na zewnątrz i wpatrywał się w moje oblicze.

- Podaj rękę! - Prawie wrzasnął i wystawił w moim kierunku swoją dłoń. - No podaj kurwa rękę!

Stałem jak otępiały. Nie potrafiłem się ruszyć, miałem wrażenie jakby moje wszystkie mięśnie zamieniły się w marmur.

Nagle z drugiego końca korytarza usłyszałem komendę:

- Rzuć broń!

Do piwnicy wpadło kilku uzbrojonych funkcjonariuszy. Wszyscy trzymali lufy pistoletów skierowane w moją stronę i któryś z nich krzyczał do mnie:

- Rzuć broń!

Chwilę później leżałem twarzą do ziemi z kajdankami na nadgarstkach. Chyba puściły im nerwy, bo nagle zaczęli mnie na oślep kopać i tłuc pałami gdzie popadnie. Ostatni kadr, który jawi się w mojej pamięci, to widok, jak dwóch funkcjonariuszy pochyla się nad zwłokami.

Przez trzy kolejne dni byłem brutalnie przesłuchiwany i przez trzy doby nie zmrużyłem oka. Śledczy nie pozwolili mi zasnąć. Ich metody złamałyby nawet najbardziej zatwardziałego człowieka. To była dla mnie prawdziwa gehenna. Nie cackali się. Bili tak, żeby nie doprowadzić do trwałego uszkodzenia. Największe cierpienie sprawiało lanie pałą po piętach. Nigdy bym nie przypuszczał, że jest to najbardziej bolesny punkt na mapie ludzkiego ciała. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile razy chlusnęli mi kubłem lodowatej wody prosto w twarz, albo przez ile godzin świecili mi lampą w oczy. Po tych trzech koszmarnych dniach pragnąłem tylko, żeby już przestali się znęcać. Gdyby ta sytuacja trwała dłużej, byłbym chyba w stanie przyznać się do wszystkiego, nawet jeśli w zamian za to, mieliby mnie już tylko zabić.

Pod koniec trzeciego dnia zjawił się jakiś człowiek w szarym garniturze i poinformował mnie oraz przesłuchujących, że jest moim adwokatem przydzielonym z urzędu. Mój widok musiał go chyba przerazić. Kiedy zobaczył, jak nieludzko zostałem zmasakrowany, natychmiast zażądał widzenia z komendantem. Nie wiem co mu powiedział, ale po jego interwencji trafiłem do pojedynczej celi i już nikt więcej mnie nie bił. Przez kolejne dni byłem przesłuchiwany tylko w jego obecności.

Ten adwokat nazywał się Andrzej Łepkowski. Mecenas Andrzej Łepkowski. Miał niespełna trzydzieści lat i podejrzewam, że niechętnie podjął się mojej obrony. Nie miałem pojęcia na jakich zasadach funkcjonował wtedy wymiar sprawiedliwości i w jaki sposób byli przydzielani obrońcy z urzędu. Mogę jedynie podejrzewać, że pan Łepkowski nie miał innego wyjścia i musiał się podjąć tego zadania. Zadania, jak sam stwierdził, z góry skazanego na porażkę.

- Stanisławie - powiedział do mnie któregoś dnia - wszystko wskazuje na to, że w świetle zebranych dowodów jesteś winny. Na broni z której został zabity policjant, widnieją tylko twoje odciski palców. Daktyloskopii nie sposób oszukać. To po pierwsze. Po drugie wszyscy funkcjonariusze biorący udział w prowokacji, która była planowana od dłuższego czasu, jednomyślnie twierdzą, że ścigali tylko jednego człowieka. Ty zeznałeś co innego, ale nie masz żadnych świadków. Nikt nie może potwierdzić twoich słów. Osoby będące tamtego feralnego dnia w gospodzie "Pod Złotym Kopytem" nie widziały w twoim towarzystwie innego mężczyzny. Ponoć byłeś sam i samotnie opuściłeś lokal. Przy ulicy Garncarskiej 12 stoi tylko rząd pustych komórek i żaden z mieszkańców feralnego wieczoru nie widział tam nikogo obcego. Na miejscu zbrodni byłeś tylko ty. Otwarte okno w piwnicy sugeruje, że próbowałeś się przez nie wydostać. Jak mam cię bronić? Nie mam żadnego argumentu, który rzucałby choć cień wątpliwości na całą sprawę. Oskarżyciel w każdej sytuacji podważy twoje zeznania i udowodni ci kłamstwo. A co z paczkami? - Zapytał. - Co w nich było?

- Nie wiem. Człowiek, któremu towarzyszyłem twierdził, że ulotki - powiedziałem zgodnie z prawdą.

- Przypuśćmy, że mówisz prawdę - spojrzał mi beznamiętnym wzrokiem prosto w oczy. - Gabaryty obu paczek były bardzo podobne. Obie były owinięte szarym papierem i na obu znaleziono tylko twoje odciski. Jak to możliwe, skoro cały czas upierasz się przy tym, że miałeś towarzysza? Nie ma żadnego dowodu, który potwierdzałby twoje zeznania.

- Czy pan mi wierzy? - Zapytałem zniechęcony, bo to wszystko z każdą chwilą zaczynało tracić sens i zamieniać się w absurd.

- Jestem twoim adwokatem i staram się wierzyć w twoje słowa, ale sam musisz przyznać, że one wcale nie brzmią przekonująco. Zrozum, że nikt nie będzie badał wątku Wiktora Kozłowskiego, skoro on ma niepodważalne alibi. Tajne służby inwigilują środowiska komunistyczne i doskonale wiedzą, że Wiktor Kozłowski w jakimś stopniu sympatyzuje z nimi. Są raporty świadczące o tym, że kilka razy przemawiał publicznie i wyrażał swoje prywatne opinie, ale nie ma dowodów na to, że jest członkiem Kominternu albo jakiejś innej komunistycznej organizacji. Rodzina państwa Kozłowskich już po pierwszej wizycie śledczych zatrudniła wpływowego adwokata, który nie dopuści, żeby ich nazwisko było szkalowane podczas twojego procesu. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że tamtego wieczoru towarzyszył ci marszałek Piłsudski. Rozumiesz o czym mówię? Nie masz żadnego dowodu na poparcie swoich słów. Jeżeli uparcie będziesz trzymał się tych zeznań, tylko pogorszysz swoją i tak dramatyczną sytuację. Stanisławie, przecież w paczkach nie było ulotek. Tam znajdowały się materiały, za pomocą których można skonstruować bombę. Prawdopodobnie dodatkowo zostaniesz oskarżony o chęć przygotowania zamachu.

Nikt mi nie wierzył.

Nikt oprócz mojej mamy, z którą zobaczyłem się dopiero kilka dni po moim zatrzymaniu. Do dzisiaj też nie wiem, co stało się z moim kieszonkowym zegarkiem, który dostałem od Agnieszki. Na pewno go nie zgubiłem, bo był przypięty łańcuszkiem do szlufki od spodni, ale jego zniknięcie zauważyłem dopiero po trzech dniach intensywnych przesłuchań.

Niczego przed wami nie ukrywam, jak mi Bóg miły, starałem się w miarę obrazowo i dokładnie opisać historię, która zamieniła moje życie w dramat. Tak właśnie było.

Trafiłem do więzienia za zbrodnię, której nie popełniłem.

W swoim życiu wiele razy miewałem takie dni, kiedy żałowałem, że sąd zamienił mi karę śmierci na dożywocie. To wcale nie był akt łaski. Ten sędzia, który mnie oszczędził na pewno już nie żyje, a ja czasami zastanawiam się, czy kiedykolwiek pomyślał o tym, co mi zrobił? Śmiem twierdzić, że nie żałował swojej decyzji. Całkiem możliwe, że podczas jakiś rautów lub spotkań wspominał z dumą w głosie, że miał w swojej karierze taki przypadek, kiedy oszczędził skazanego na śmierć. Kto wie, może nawet chełpił się i szczycił swoją dobroduszością? Ludzie w czarnych togach mają bardzo duże mniemanie o sobie. Jednak to, że piastują odpowiedzialne stanowiska i wydają wyroki, które zmieniają ludzkie życie, nie czyni ich wybrańcami. Czasami sędziowie bywają gorszymi potworami niż najbardziej zwyrodniali przestępcy. W czasach stalinowskich oprawcy w togach posłali na śmierć tysiące ludzi. Tak właśnie jest skonstruowany nasz świat, gdzie zwycięzcy zawsze piszą historię i ustalają własne reguły. Prawda czasami bywa pojęciem względnym i nie ma żadnego znaczenia. Pozostaje nam jednak mieć nadzieję, że kiedyś wszyscy jak jeden staniemy przed sądem, który oceni nas za to, jakimi faktycznie byliśmy ludźmi. Staniemy przed sędzią, który wyda sprawiedliwy

wyrok biorąc jedynie pod uwagę nasze czyny i sumienie.

Leżałem w ciemnościach i szeptałem coś do siebie, żeby nie oszaleć. Chłód posadzki wydawał się przenikać moje ciało na wskroś. Po drugiej stronie drzwi rozległy się najpierw czyjeś kroki, a chwilę później do moich uszu zaczęły dobiegać strzępy rozmowy. Nagle usłyszałem, że ktoś pociągnął energicznie za zasuwę. Do wnętrza celi wpadł snop światła. Natychmiast zacisnąłem z całych sił powieki, a i tak miałem wrażenie, że poświata gorącego ognia pali moje spojówki. Niczym zaszczute zwierzę z lękiem wcisnąłem się w kąt pomieszczenia i zasłoniłem głowę rękami.

- Dziś minął miesiąc, odkąd tu jesteś. Zleciało, prawda?- wewnątrz celi zabrzmiał głos Wiktora. - I co Stefek, przemyślałeś sprawę?

Nie byłem pewien czy to dzieje się naprawdę.

Podszedł w moją stronę, szturchnął mnie czubkiem buta w biodro i powiedział:

- Podnieś się!

Zasłoniłem dłonią zamknięte powieki i z trudem dźwignąłem się w górę.

- Trochę zmizerniałeś, chyba chcesz już wyjść - stwierdził, a zaraz potem zapytał:
- Czy może jestem w błędzie?

- Chcę wyjść - szepnąłem.

- No widzisz Stefek, jak szybko zmądrzałeś. Rozumiem, że przemyślałeś dogłębnie sprawę i akceptujesz warunki mojej propozycji, tak?

- Zrobię, co tylko zechcesz - odparłem.

Bóg mi świadkiem, że byłem w stanie zgodzić się na wszystko, byleby wyjść z karceru. Nie chodziło o to, że miałem w sobie naturalny głód życia. W ekstremalnych sytuacjach, każde żywe stworzenie podąża za instynktem przetrwania. Tak samo było ze mną. Jediną rzeczą jakiej pragnąłem było to, żeby ten koszmar wreszcie się skończył. Żebym mógł wyjść na światło dzienne, poczuć w nozdrzach zapach świeżego powietrza i zobaczyć świat pozbawiony czerni. Życ. Po prostu żyć! Wiedziałem, że jeśli tylko opuszczę to miejsce, będę w stanie znieść wszystko.

- Oczywiście, że zrobisz co zechcę - powiedział Wiktor - oczywiście. W twoim wypadku, to jest jedyne rozsądne wyjście. - zamilkł na moment i nagle wrzasnął: - Strażnik! - A ja wzdrygnąłem z przerażenia.

- Tak jest towarzyszu majorze!

- Idźcie na izbę chorych po doktora, powiedzcie mu, że mamy tutaj takiego, co po miesiącu wychodzi z ciemnicy. I niech lekarz weźmie ze sobą co trzeba.

- Tak jest towarzyszu majorze! - Padła odpowiedź, a potem rozległy się jego szybkie kroki.

Przez miesiąc pobytu w ciemnej izolacji mój słuch bardzo się wyostrzył. To chyba prawda, że jeśli któryś ze zmysłów nie jest przez człowieka eksploatowany tak, jak być powinien, wówczas inny staje się bardziej wrażliwy. U mnie ze wzroku przeszło na słuch.

Wiedziałem, że Wiktor sięgnął dłonią do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Po chwili usłyszałem jak potarł łebkiem zapalki o draskę, a na końcu drewnianego patyczka strzelił ogień.

Zaciągnął się i dmuchnął dymem prosto w moją twarz.

- Zapalisz? - Zapytał, po czym złapał za moją drugą dłoń i włożył mi między palce papierosa.

Nie miało sensu, żebym unosił się honorem i zaczął pokazywać jakieś fochy. Rozsądek podpowiadał, żeby robić wszystko, czego oczekuje mój rozmówca.

Pociągnąłem sztacha i natychmiast rozkaszałem się jak gruźlik.

Płuca trochę odwykły od trucizny.

- No to Stefek zacznijmy jeszcze raz, żeby nie było żadnych wątpliwości. Przemysłałeś sprawę?

- Przemyslałem - odparłem.

- Przyjmujesz warunki?

- Przyjmuję.

- No widzisz - ton jego głosu w jednej sekundzie zrobił się pogodny. - Trzeba było tak od razu, prawda? Nie siedziałbyś tyle czasu w tej cuchnącej norze. Skoro już doszliśmy do porozumienia, to powiem ci, że udało mi się odszukać naszych wspólnych kumpli. Mam nadzieję, że nie dasz mi powodu, żebym musiał ich tutaj ściągnąć.

Nie wiem czy blefował, czy też faktycznie było tak, jak twierdził.

- Pewnie w tej chwili zastanawiasz się czy mówię prawdę, co? - Zrobił krótką pauzę i ciągnął dalej. - Otóż zapewniam cię, że możesz mi wierzyć na słowo i jeśli cię pocieszy, to wiedz, że chłopaki mają się całkiem dobrze. Obaj nadal mieszkają na Żółtych Dachach, mają rodziny i dzieci i myślę, że dla wszystkich będzie lepiej jeśli tak zostanie.

Nagle od strony schodów rozległy się czyjeś kroki.

- Towarzyszu majorze...

- Dobrze dobrze - Wiktor wpadł temu komuś w zdanie - chodźcie tutaj doktorze. Ten człowiek spędził w ciemnej celi miesiąc, macie jakieś zalecenia?

- Oczy muszą przywyknąć do dziennego światła - powiedział lekarz - co najmniej przez trzy dni powinien nosić opatrunek z bandaży.

- No to zróbcie mu ten opatrunek - rozkazał.

Chwilę później miałem już na oczach opaskę.

To było dziwne uczucie, kiedy strażnik trzymał mnie pod ramię i razem z Wiktorem maszerowaliśmy korytarzami. Za kolejnym zakrętem skręciliśmy w prawo, a ja wiedziałem, że zmierzamy prosto do wejścia na więzienny pawilon. Nagle dookoła siebie poczułem coś bardzo znajomego, to coś snuło się ze wszystkich stron, jakby chciało mnie serdecznie uściskać na powitanie.

Kiedy zatrzymaliśmy się przy sterowni byłem pewien, że w tym miejscu i dokładnie w tej chwili, króluje tylko strach.

Obsada sterowni liczyła sześć albo siedem osób i chyba wszyscy na widok majora Kozłowa prężyli się na baczność.

- Gdzie dowódca straży? - Zapytał Wiktor.

- Melduję towarzyszu majorze, że właśnie udał się na odprawę!

- Wołać mi go tutaj i to natychmiast!

- Tak jest! - Rzucił ktoś z lewej strony i w tym samym momencie pognał w kierunku wyjścia.

- Macie jakąś wolną celę?

- Nie mamy towarzyszu majorze!

- Polityczni gdzie siedzą?

- Melduję, że w pawilonach A i B trzymamy partyzantów i wywrotowców z AK, natomiast w pawilonie C kadrę dowódczą, towarzyszu majorze!

Nie miałem pojęcia, które to pawilony. Kiedyś były oddziały, potem Niemcy nazwali je pawilonami, ale były określane cyframi, a nie literami, a teraz pojawiła się kolejna nowość.

- W tym skrzydle - musiał chyba wskazać ręką - zwykłych przestępców.

- Po ilu w celi?

- Różnie towarzyszu majorze, przeważnie po dwóch ale jest kilka z jedną osobą.

- Pokażcie mi ich! - Rozkazał Wiktor.

Po chwili odszedł razem ze swoim rozmówcą, kierując się do korytarza na prawo. O ile nie zawodziła mnie orientacja, to był pawilon, który sąsiadował z kaplicą. Raz po raz słyszałem jak rozlega się szcęk odsuwanej zasuw. Zdażyli zajrzeć do kilkunastu cel, kiedy nagle na parterowej kondygnacji, rozległy się szybkie kroki. Echo niosło ich dźwięk i trudno mi było stwierdzić, czy idą więcej niż dwie osoby. Na pewno zmierzali w kierunku schodów. Kiedy zaczęli się wspinać w górę, byłem pewien, że jest ich dwóch. Jeden z nich został na sterowni, a drugi pomaszerował w prawo. Po kilku prężnie stawianych krokach, które zadudniły na drewnianym podeście, do uszu wszystkich zebranych dotarły słowa:

- Towarzyszu majorze, dowódca straży, starszy chorąży Galus melduje się na rozkaz!

Po dłuższej chwili padła komenda:

- Przyprowadzić więźnia pod celę sto trzydzieści dziewięć!

Cela numer sto trzydzieści dziewięć... Mam nadzieję, że dostrzegacie ukrytą w tym numerze pechową liczbę trzynaście. Chyba nie sądzicie, że to był kolejny zbieg okoliczności, albo ślepy traf, prawda? Żeby było wam wygodniej dostrzec wiszącą nade mną klątwę choleryjnej cyfry trzynaście, posłużę się faktami i liczbami:

- numer ewidencyjny 29-11

- moja pierwsza cela 067

- za czasów okupacji cele 238 i 463

- po opuszczeniu karceru cela 139

- potem były kolejne, o których dopiero wspomnę, a suma każdej z nich zawsze równała się liczbie 13. Zawsze!

Ktoś złapał mnie pod ramię i ruszyliśmy w prawo.

Po kilkunastu krokach, zatrzymaliśmy się w miejscu.

- Co to za jeden? - Zapytał Wiktor.

- Józef Malczyk - zameldował ktoś stojący obok drzwi - szabrownik skazany na piętnaście miesięcy pozbawienia wolności.

Wiktor kazał go wyprowadzić na zewnątrz.

- Słuchajcie towarzyszu chorąży - powiedział i zamknął drzwi, żeby nikt więcej nie słyszał jego słów - jesteście dowódcą straży, więc macie dopilnować, żeby temu

człowiekowi nie stała się żadna krzywda. Rozumiecie?

- Tak jest towarzyszu majorze! - Wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Powiadomicie o tym swoich wszystkich podopiecznych. Jeżeli tego nie dopilnujecie, to gwarantuję wam, że resztę służby spędzicie na dalekiej Syberii.

- Tak jest towarzyszu majorze!

- I przynieście tu jeszcze jedno łóżko. Mój więzień musi spać wygodnie. Za trzy dni ma trafić na izbę chorych, żeby lekarz obejrzał jego oczy i przez najbliższy miesiąc dobrze go odżywiajcie, żeby doszedł do siebie. Możecie odmaszerować!

- Tak jest towarzyszu majorze!

Żołnierz strzelił obcasami i wyszedł z celi.

Zostałem tylko ja i Wiktor.

- Tak Stefek, słyszałeś co powiedziałem. Dobrze wiesz, że ja zawsze dotrzymuję słowa. Każdy z nas robi to, co do niego należy i chyba zgodzisz się ze mną, że wtedy wszyscy będą cali i szczęśliwi. Radzę ci, żebyś wziął sobie moje słowa do serca i zawsze pamiętał o tym, że jesteś teraz odpowiedzialny za innych ludzi. Za naszych wspólnych znajomych i ich rodziny, oraz za tych z którymi będziesz dzielił więzienną egzystencję. Chyba nie chcesz, żeby ktoś przez twoje gadulstwo stracił życie, prawda? Zdażyłeś się już przekonać, że potrafię być bezwzględny. Zawsze miej to na uwadze - zamilkł, a po chwili dodał: - Myślę, że za jakiś czas spotkamy się na kolejną pogaduchę.

Nagle poczułem, że złapał mnie za rękę i wcisnął mi w dłoń otwartą paczkę papierosów i zapałki.

- To taki mały prezent ode mnie, a jak będziesz się dobrze sprawował to i luksusów ci nie zabraknie.

Miałem ochotę włożyć mu te fajki do gardła.

- Nie podziękujesz? - Zapytał.

Zebrałem się w sobie i szepnąłem:

- Dziękuję.

- No Stefek, jak chcesz to potrafisz - powiedział i poklepał mnie dłonią po policzku w taki sposób, jakby miał przed sobą wiernego psa.

- A coś ty za jeden, aaa? - Zapytał mój współlokator, kiedy zostaliśmy w celi sami. Kiedy usłyszałem jego głos, pomyślałem, że ma bardzo dziwny akcent. Trochę zaciągał i zmiękczał, jakby był "panie gdzieś spod Lwowa naszego". Śmiesznie mówił, ale odniosłem też wrażenie, że chyba miły z niego koleś. - Na imię mam Józek - powiedział, nie czekając na moją odpowiedź. - A ty, aaa?

- Stefan - odparłem i na oślep wyciągnąłem przed siebie dłoń.

Wymieniliśmy uścisk.

- A co się stało w oczęta, aaa? Oślepl, aaa? - Był autentycznie zainteresowany i każde pytanie kończył tym swoim jęklwym "aaa".

- Mam nadzieję, że nie - zaśmiałem się lekko rozbawiony jego mową. - Trochę czasu spędziłem w ciemnościach i lekarz powiedział, że przez trzy dni muszę nosić ten opatrunek. Teraz widzę jasność przed oczami i co chwilę pojawiają się jakieś nieregularne

błyski.

- Za co siedzi, aaa? - Zapytał, a ja zrozumiałem, że bez względu na czas i epokę, to zawsze będzie w więzieniu sztandarowym pytaniem. - Ile dostał, aaa?

- Jeszcze nie wiem - skłamałem. - Wszystko dopiero się okaże.

- No jak to, nie wie za co zamknęli, aaa?

Oj bracie, chyba nie grzeszysz bystrością - przemknęło mi przez myśl.

- A ty za co siedzisz? - Stwierdziłem, że chyba lepiej będzie jeśli zamienimy się rolami i to ja będę go ciągnął za język.

- Ech - westchnął - za głupotę panie szanowny, za czystą głupotę.

- To tak jak ja - dodałem. - A co zrobiłeś głupiego?

- A szabrował puste domostwa panie. Skąd miał wiedzieć, że tak nie wolno, aaa? - Powiedział z wyrzutem. - Wszystkie kradły to i ja też kradł, no nie. - Z każdym jego zdaniem zaczynałem mieć coraz większy ubaw.

- Skąd jesteś Józek? - Zapytałem, bo faktycznie byłem ciekawy.

- A spod Przemyśla panie pochodzę, ale wojenna zawierucha rzuciła do wielkopolski i tak został.

- Po głosie trudno mi stwierdzić - rzekłem - ale ile ty masz lat?

- A tej wiosny skończył czterdzieści, a ty, aaa?

- Starszy jestem o pięć lat.

- Oj tam, pięć lat to tyle co nic. To my prawie rówieśniki.

- Józek, palisz? - Zapytałem i wyciągnąłem w jego kierunku paczkę papierosów.

- Oj dawno nie palił, ale chętnie zakurzy - odparł.

Uśmiechnąłem się pod nosem, kiedy słyszałem, że niekiedy zarówno o mnie, jaki i o sobie, mówił w trzeciej osobie. Pierwszy raz w życiu spotkałem się z taką formą wypowiedzi. No i jeszcze ten jego specyficzny, miękki akcent.

- Ty pewnie musi być ktoś ważny, że drugie łóżko nam tu dali - stwierdził Józek chwilę po tym jak strażnicy wyszli z celi. - Chce się położyć, aaa? - Zapytał.

Usiadłem na pryczy i miałem wrażenie, że siennik spoczywający na sprężynach, to najwygodniejsza rzecz pod słońcem. Położyłem się na wznak. Ostatni miesiąc spędziłem na twardej podłodze, a teraz leżałem niczym król na prawdziwym łożu!

Zanim zdjęli mi z oczu opatrunek, zdążyłem poznać całe życia Józka Malczyka. Straszny był z niego gaduła. Gęba mu się nie zamykała, klepał dziobem na okrągło i na każdy temat miał coś do powiedzenia. Pękałem ze śmiechu słuchając jego opowieści. Z tych historii, którymi mnie raczył wynikało, że ciągle prześladował go pech, albo przytrafiały mu się najmniej prawdopodobne sytuacje. Najlepsza była opowieść o tym, jak pewnego razu samotnie poszedł na szaber.

- Był ja wtedy w Kościanie, a tam po okolicznych wsiach majątki pańskie jak się patrzy. Upatrzył sobie taki dworek, który stał na uboczu i sam postanowił go zrobić, chociaż zawsze chodził z Pietruchą. Jednak podejrzewał, że Pietrucha mnie kantuje i dlatego wtedy sam postanowił pójść. Wziął dwa worki i poszedł wieczorem. Ducha żywego nie widać, do wsi kawał drogi, to przyczał się w lesie i czekał, aż nocka zapadnie.

Wspiął się po gzymsie na piętro, okno wybił i wlażł do środka. Oj panie szanowny, co tam dobroci było! Te dwa worki załadował, aż po brzegi. Świeczniki, srebrne widelce, łyżki, noże, pościel, zegar, karafki z kryształu, eleganckie garnitury, koszule, futra, buty skórzane... no cuda panie przeróżne. Zabrał te cenne skarby i w drogę powrotną chciał ruszać. Worki ciężkie jak diabli, że ledwo je dźwigał. Uszedł trochę i myśli, no nie dam rady, dwóch nie doniosę. Pójdzie trochę w las, jeden w krzakach schowa, a jutro wieczorem wróci i zabierze. Idzie przez ten ciemny las, nogi w korzeniach się poplątały i jak nie wyrznął na pysk! Tak nieszczęśliwie upadł, że nogę w kolanie skrzył. No pech sobie myśli, teraz to nawet jednego nie doniesie. Zszedł ze ścieżki i w dalszą gęstwinę polazł. Miejsce sobie upatrzył, gałęzi narwał i oba worki nimi przykrył. Pomyślał, że jak wydobrzeje, to za parę dni po łupy wróci. Zakręcił się w jedną stronę, zakręcił w drugą, a noc ciemna i pogubił się na amen. Idzie i idzie, i coś za daleko, że tak idzie, a końca lasu nie widać. Poblądził na całego. Pół nocy kuśtykał, aż w końcu drogę znalazł. Kolano spuchło jak balon i przez kilka dni w łóżku plackiem leżał. W końcu wydobrzeł i pomyślał, że do lasu trza wrócić, worki znaleźć i zabrać ze sobą. Przez trzy dni do lasu łąził, a miejsca skrytki nie znalazł. Bóg mnie pokarał za ten szaber i za to, że kamrata nie zabrał. Bo wiesz, we dwóch zawsze lepiej. Kilka dni później był u Pietruchy, a on zadowolony i gęba od ucha do ucha uśmiechnięta. Co tak się cieszy, aaa? zapytał, a on na to, że w lesie dwa worki z fantami znalazł. Butelkę wódki z tej okazji postawił i razem wypili. Nawet się nie przyznał, że to było moje. Pomyślał, no Jóźku, wstydu się tylko najesz, a worków i tak nie odzyskasz.

Od tamtej chwili zacząłem się do niego zwracać - Jóźku.

Przez jakiś czas oczy mi łzawiły, ale przynajmniej widziałem mojego rozmówcę. Chociaż był szczupłej budowy ciała, miał okrągłą, poczciwą twarz. Jednego byłem pewien, na złodzieja, to on na pewno się nie nadawał. Zajął się szabrownictwem, bo tak po prostu wyszło. Po zakończeniu wojny ludzie robili różne rzeczy, by przetrwać. Wojenna zawierucha rzuciła go w daleki świat, jego rodzinny dom spłonął, a on twierdził, że dla tych kilku morgów, które mu po ojcach zostały nie warto było wracać.

- Poza tym słyszał, jak ludzie na wsi gadali, że u nas tak jak i u Ruskich będą chyba kolektywizację robić i ziemia uprawna teraz wspólna będzie. No jak to panie się pytam? Jak wspólna? Ech, szkoda słów... Jak wyjdzie z więzienia, to jak mu Bóg miły, niczego więcej nie ukradnie - przysięgał bijąc się w piersi. - Może jaką robotę gdzie znajdzie... Całe życie w polu robił, ale kowalstwa trochę też liznął, może w jakiej fabryce przyjmą - czasami snuł plany na przyszłość.

Kiedy dzielisz z kimś celę, to chcąc nie chcąc musicie się dobrze poznać i żyć. Bądź co bądź dzielicie wspólnie kilka metrów kwadratowych prawie przez 24 godziny na dobę. Z nudów opowiadasz o sobie, o swoich marzeniach, o dawnym życiu i słuchasz swojego towarzysza. Po jakimś czasie znasz jego wszystkie nawyki i gesty, a on przestaje być dla ciebie tajemnicą. Oczywiście nie mówię tutaj o zaufaniu, bo na nie trzeba sobie

zpracować.

Byłem o tyle w niekomfortowej sytuacji, że nie mogłem szczerze opowiadać o pewnych faktach. Przy Jóźku nabierałem wprawę w krętactwie, a wszystko po to, żeby go utwierdzić w przekonaniu, że mam na pieńku z obecną władzą. Jednak z drugiej strony, to wcale nie było rozsądne rozwiązanie. Obrąłem ten kierunek pod wpływem potrzeby chwili, bo nie dostałem w prezencie czasu, żeby to na spokojnie przemyśleć. Faktem jest, że miałem wieloletnią wprawę w unikaniu odpowiedzi na drażliwe pytania i to doświadczenie, bardzo mi pomogło. Miałem też szczęście, że trafiłem na Jóźka, który nie grzeszył przenikliwością i inteligencją. Kilka razy przez przypadek zdarzyło mi się palnąć coś, czego nie powinienem mówić. Na szczęście, Józek nie dociekał. Z drugiej strony miałem też obawy, że Wiktor może go wziąć w obroty, a to mogłoby się źle skończyć dla mojego kompana i całkowicie zmienić nasze stosunki. Nie chciałem mieć wroga w osobie człowieka z którym dzieliłem celę. Już raz w swoim życiu to przerabiałem i wolałem tego uniknąć.

Piętno układu, który narzucił Wiktor wlokło się za mną przez bardzo długie lata. Szantaż w który mnie uwikłał, czynił ze mnie nie tylko ofiarę, ale również osobę decydującą o losie innych ludzi. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że mój oprawca jest zdolny do najbardziej nieprzewidywalnych czynów. Kto z was potrafiłby żyć, mając świadomość, że bezustannie musi uważać i kontrolować swoje słowa? Żyć tak, żeby nie wzbudzać u swojego towarzysza podejrzeń, a tym samym chronić go przed potworem, który był w stanie zgładzić każdego człowieka? To był mój największy ciężar psychiczny, jaki musiałem w swoim życiu dźwigać. Jedynym wyjściem z sytuacji było dla mnie stworzenie wiarygodnej legendy. Legendy, której nikt z więźniów nie będzie w stanie zakwestionować. Uniwersalnej na tyle, żeby żaden skazaniec, zarówno polityczny jak i pospolity, nie żywił do mnie niechęci lub pogardy. Może niektórym z was sprawa wydaje się banalnie prosta, ale możecie mi wierzyć na słowo, że to było prawdziwe wyzwanie. Szybko zrozumiałem, że moja historia musi mieć w sobie jak najwięcej prawdy. Przez całe swoje dorosłe życie, byłem skazańcem. Nie miałem innych wspomnień oprócz tych, które rozegrały się wewnątrz tych podłych murów. To był mój świat i tylko taki świat znałem. Nie było sensu, żebym na własne życzenie uwikłał się w jakąś idiotyczną historię, która w miarę upływu czasu i tak zacznie mnie przerastać. Nie nadawałem się na zawodowego kłamcę, skoro już w rozmowach z Jóźkiem popełniałem szkolne błędy. Przestałem kombinować i wybrałem najprostsze rozwiązanie z możliwych.

W drugiej połowie 1945 roku, wronieckie więzienie funkcjonowało w bardzo specyficzny sposób. Większość osadzonych stanowili więźniowie polityczni, którzy podlegali całkowitej izolacji, co wiązało się z tym, że wcale nie opuszczali swoich cel. Jesteście sobie w stanie to wyobrazić? Ci ludzie nie byli wyprowadzani na spacer, nie przysługiwało im korzystanie z łaźni, nie byli angażowani do żadnych prac i zajęć. My dostawaliśmy dwa posiłki dziennie, a oni czasami głodowali przez kilka dni. Byli

zakwaterowani po kilka osób w celi i gnietli się jak szczury. Niekiedy wychodząc na zbiórkę, na więziennych korytarzach unosił się zapach ciepłego smrodu. Z tego co mówili funkcyjni, którzy zajmowali się sprzątaniem odchodów, dostarczaniem wody lub strzyżeniem, rotacja więźniów politycznych była bardzo duża. Większość z nich przetrzymywano bez żadnych wyroków. Bóg jeden raczy wiedzieć, ilu z nich zmarło w trakcie brutalnych przesłuchań, ilu zgładzono potajemnie w leśnych egzekucjach, a ilu wywieziono do gułagów. Nawet archiwista Szorpak nie natknął się choćby na ślad jakiegokolwiek dokumentacji, która mogłaby pokazać zbrodnicze świadectwo tamtych dni. Totalne bezprawie, bo inaczej tego nazwać nie potrafię, trwało do jesieni 1946 roku i zakończyło się dopiero wtedy, kiedy kadra więzienna składała się już tylko z samych Polaków. Teoretycznie nasi mieli pełną władzę, ale tylko teoretycznie. Trudno mi powiedzieć jak wyglądał wtedy podział ziem wyzwolonych w radzieckiej strefie wpływów. Jak zapewne wiecie, koniec II wojny światowej był dla narodu polskiego początkiem sowieckiego jasyru.

Jeżeli idzie o wronieckie więzienie, to powiem wam jedno, pospolici więźniowie byli wtedy traktowani całkiem przyzwoicie, a kolaboranci i jeńcy wojenni, którzy siedzieli na izolacyjnym, mieli się chyba lepiej od politycznych. Nie potrafiłem zrozumieć i nikt nie umiał mi wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje? Kto jest gorszym wrogiem w oczach władzy? Przecież to był jakiś absurd! A tak na marginesie, zdradzę wam jako ciekawostkę, że do 1954 roku strażnicy więzienni nosili polskie mundury wojskowe i obowiązywała taka sama ranga jak w armii.

Widząc to, co się dookoła dzieje, miałem wrażenie jakby historia zatoczyła koło. System był ten sam, tylko zmieniły się nazwy. Dawne arbeitskommanda zostały przechrzczone na "brygady robotnicze", a w ich skład wchodził tylko jeńcy. Wykorzystywano ich do różnych prac. Usuwanie gruzów, budowa dróg i mostów, trakcji kolejowych, karczowanie lasów, kopanie rowów melioracyjnych... Armia niewolników miała pełne ręce roboty. Kraj był zniszczony, miasta w ruinie i póki co, chyba nikt nie myślał o tym, żeby przegranych puścić wolno. To byłoby zbyt proste, żeby powiedzieć:

- No chłopaki, dostaliście łupnia. Hitler kaput! Szerokiej drogi, wracajcie do domu!

Ja i Józko, zaliczaliśmy się do grona pospolitych i w tamtych czasach, nasz pobyt w więzieniu, oczywiście w porównaniu do politycznych lub członków "brygad robotniczych", przypominał bardziej wakacje niż odsiadkę. Dwa razy dziennie dostarczano do cel posiłki. Śniadanie, przeważnie około siódmej rano, a drugie szamanko, coś na zasadzie późnego obiadu i wczesnej kolacji, zawsze pomiędzy siedemnastą a osiemnastą. Co do samego menu, to jak najbardziej można było mieć wiele zastrzeżeń, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Kasza gryczana za którą nigdy nie przepadałem, to tak mi zbrzydła, że nawet dziś na samą myśl o tej nazwie, robi mi się niedobrze. Kasza generalnie była sztandarowym, więziennym posiłkiem. Taką kaszę można jeść na milion sposobów. Z masłem, ze smalcem, z kefirem, z mlekiem, z sosem, z wodzianką, z warzywami, z jajkiem... Kasza może być solona albo podawana na słodko. Kaszę można wciągać na ciepło i na zimno. Kaszę można kłaść na pajdę chleba i zjadać

jak prawdziwą kanapkę. Kasza świetnie pasuje jako dodatek do każdej zupy. Nawet do rosółu, a i z samą wodą, też nie jest najgorsza. Poza tym kasza jest zdrowa i człowiek nigdy nie ma po niej sraczkę.

Skoro jestem już przy głównianej kwestii, to musicie wiedzieć, że bomby opróżniano każdego dnia. Zaraz po tym jak dali nam śniadanie, do celi wchodził koleś w zielonym, gumowym fartuchu, zlewał cuchnącą zawartość do podręcznego szamba. Robił swoje i wychodził bez słowa.

Wracając jednak do głównego tematu, czyli więźniów pospolitych.

Pospolici byli grupą bardzo uprzywilejowaną. Bez względu na pogodę, codziennie przysługiwał im spacer na świeżym powietrzu. Bile pół godziny. Raz w tygodniu kąpiel i fryzjer, czyli odrobina relaksu i trochę niezbędnego luksusu. Pospolity mógł nosić wąsy albo nawet tak zwaną "kozią bródkę". Natomiast pełny zarost, wiecie taki na całkowitego brodacza, z jakichś powodów był niedozwolony. Więzień pospolity miał prawo do korespondencji, do odwiedzin swoich najbliższych, mógł otrzymywać paczki z żywnością lub ubraniami, oczywiście żadnego alkoholu. W naszych celach pojawiły się też dodatkowe szafki. Wiecie, takie zwykłe, stojące. W środku były dwie półki i tam skazani mogli trzymać swoje prywatne rzeczy. Pospolity mógł również mieć własne pieniądze, ale to zaczęło się dopiero z początkiem 1947 roku, kiedy więzienna kantyna znowu otworzyła swoje podwoje. Nie było żadnej wielkiej rewolucji, jeśli idzie o reformę więziennictwa. Pojawiło się tylko kilka drobnych ulepszeń w porównaniu do tego, co funkcjonowało przed wojną. Wróciła również sprawa zarobków i wypiski, ale o tym opowiem później. Te wszystkie sprawy dotyczyły pospolitych, natomiast polityczni, nie mieli nic. Żadnych listów od rodziny i odwiedzin, żadnych paczek, żadnej pracy i zakupów. Nic. Te prawa zaczęły im dopiero przysługiwać trzy lata później. Ktoś mądry w resorcie ruszył chyba głową i doszedł do wniosku, że nie ma sensu blokować przepływu środków pieniężnych, które w pewnym stopniu pracowały na rzecz placówki. Korespondencja przechodziła przez sito cenzury, a rozmowy były podsłuchiwane. Jednak system został też trochę ulepszony, bo pojawiła się kara dyscyplinarna i mogła zostać nałożona na każdego. Potocznie nazywaliśmy ją "szlugowe". Kara polegała na tym, że jeśli więzień złamał ustalone zasady, to przez jakiś czas nie wolno mu było w kantynie kupować papierosów lub otrzymywać ich w paczkach. Cóż więcej mogę wam powiedzieć? Przecież fajki w pudle, zawsze były najbardziej pożądanym towarem. Szlugi to uniwersalna waluta, którą można wymienić na każdą rzecz lub zapłacić nimi za każdą przysługę. Jak ktoś trafiał do więzienia na odsiadkę i wcześniej nie palił, to na dziewięćdziesiąt dziewięć procent było pewne, że zacznie palić.

Papierosy i więzienie, zawsze będą iść pod rękę, jak para najśłodzonych kochanków.

Kiedy w sobotnie popołudnie Wiktor wyciągnął mnie z karceru i wsadził do celi, nie miałem pojęcia jak będzie dalej wyglądać moja przyszłość.

Właściwie to czułem się, jak świeżak.

Dwa dni później okazało się, że po śniadaniu jest zbiórka i wymarsz do pracy. Miałem na oczach bandaże i byłem wykluczony z jakichkolwiek zajęć, ale za to mój

współtowarzysz szedł do roboty na osiem godzin. I teraz muszę wam się pochwalić. Po prostu muszę. Józko w którego żyłach płynęła krew chłopów pańszczyźnianych, pracował na więziennym folwarku, który klawisze i więźniowie nazywali - Gospodarstwem Rolnym. Banalna nazwa, prawda? I wyobraźcie sobie, że dzięki mnie, powróciło stare określenie. Naprawdę. Chyba chłopakom tak bardzo spodobała się nazwa folwark, bo kilka miesięcy później już nikt nie nazywał tego miejsca Gospodarstwem Rolnym.

Wiem, jestem próżny. Nawet dzisiaj cieszy mnie fakt, iż to moja zasługa. Błaha bo błaha i historia z tego powodu na pewno mnie nie zapamięta, ale wystarczy mi świadomość, że stało się to dzięki mnie.

- Przez jakiś czas możesz odczuwać uczucie pieczenia, a oczy będą łzawić - powiedział lekarz, kiedy zdejmował mój opatrunek. - Białka są przekrwione, ale w tym wypadku to zupełnie naturalne. Na pewno pomogą okłady z zimnej wody - podał mi kilka listków gazy. - Jeśli objawy będą dokuczać, zamocz gaziki w wodzie i połóż je na zamkniętych powiekach. Razi cię światło dnia? - Zapytał.

- I to bardzo - odparłem mrużąc oczy. - Mam wrażenie, jakby ktoś ostrymi żyłkami przecinał mi gałki oczne.

- Rozróżniasz kolory?

- Tak, ale wszystko widzę jakby było za mgłą.

- To bardzo szybko minie - pocieszył mnie. - Jest udowodnione, że przebywanie przez dłuższy czas w ciemnościach, powoduje poprawę wzroku. Za kilka dni dojdiesz do siebie.

Lekarz miał rację.

Tego dnia, kiedy zdjął mi bandaż, po raz pierwszy w życiu doceniłem znaczenie wzroku. Dotychczas nigdy się nie zastanawiałem, co znaczy być ślepy. Nie zdawałem sobie sprawy, jaka to musi być tragedia. Jeżeli ktoś urodził się ociemniały, to jeszcze pół biedy, bo nigdy nie widział świata i jego barw. Jednak co ma powiedzieć człowiek, który stracił wzrok w wyniku choroby lub wypadku? Pomyślcie nad tym chwilę. Czy jesteście sobie w stanie wyobrazić, że nagle utraciliście zmysł postrzegania? Budzicie się któregoś ranka, a przed oczami maluje się tylko nieprzenikniona ciemność. Nie ma nic. Tylko mrok. Czy potrafilibyście żyć mając świadomość, że już nigdy nie zobaczycie błękitu nieba, albo krwistej poświaty zachodzącego słońca? Dalibyście radę iść przez życie, wiedząc, że już nigdy nie ujrzycie wiosną zielonej trawy, zimą białego śniegu albo jesiennych liści? Pewnie wydaje wam się, że piszę teraz o czymś absurdalnym, bo przecież jesteście przekonani, że zawsze będziecie cieszyć się dobrym zdrowiem. Oczywiście życzę wam jak najlepiej, ale zmierzam do czegoś innego. Chodzi mi o to, że większość ludzi nie docenia tego, jak doskonale zostaliśmy obdarzeni przez naturę. Zdrowy człowiek przechodzi nad tymi sprawami do porządku dziennego, a jego egzystencja toczy się wokół zupełnie innych problemów. Liczy się praca, pasja, urzeczywistnianie marzeń i bezustanne dążenie do sukcesu. Nie każdemu udaje się zrealizować wzniosłe plany. Przychodzi jedna porażka, potem druga, sprawy walą się na łeb na szyję i nagle taki ktoś, czuje się załamany i bezsilny. Traci całą radość życia i

zaczyna popełniać idiotyczne błędy. Bezsilność powoduje, że przejmuję się sytuacją w jakiej się znalazł, co oczywiście jest naturalne i ja wcale tego nie neguję. Jednak wiem sam po sobie, że trzeba być silnym duchowo.

Wszystko siedzi w głowie.

Wszystko.

Nie możesz się poddawać tylko dlatego, że coś ci nie wyszło. Zbankrutowałeś? Straciłeś majątek? Zostałeś z niczym? Nie szkodzi, bo i tak największym twoim skarbem jest zdrowie. Niby każdy to wie, niby wszyscy to rozumieją, ale skoro tak jest, to powiedzcie mi dlaczego ludzie popełniają samobójstwa? Przypuśćmy, że jakiś odsetek tych delikwentów jest niezrównoważony emocjonalnie. A co z pozostałymi? Masz człowieku dwie ręce i dwie nogi, nic cię nie boli, widzisz i słyszysz, jesteś sprawny, więc w czym rzecz? Spójrz tylko na tych, których życie skrzywdziło naprawdę. Nie raz widzieliście człowieka przykutego do wózka, albo z białą laską w dłoni. Nie raz widzieliście głuchoniemych, jak porozumiewają się ze sobą za pomocą palców. Być może nigdy nie słyszeli dźwięków muzyki, nigdy nie zostało im dane poznać, jaką radość potrafi człowiekowi sprawić melodia. A co z Beethovenem, kiedy u szczytu swojej sławy zaczął zapadać na głuchotę? Miał wtedy raptem trzydzieści jeden lat i napisał do swoich braci list, znany jako "Heiligenstädter Testament". Przyznał się w nim, że postępująca choroba doprowadziła go niemal do samobójstwa i wyznał również, że - „Jedyna rzecz, jaka mnie powstrzymywała, to moja sztuka. Naprawdę bowiem wydawało mi się niemożliwe opuścić ten świat, zanim stworzę wszystkie dzieła, które czuję, że muszę skomponować”.

Przyznaję się, że będąc w karczerze myślałem o śmierci. Myślałem o tym, żeby zakończyć pasmo moich cierpień i udręki. Całkiem możliwe, że gdybym wcześniej w swoim życiu słyszał, jak potrafili się zabijać japońscy jeńcy, to może zrobiłbym to samo. Nie wiem, teraz mogę tylko gdybać, ale wcale nie wykluczam takiej możliwości. Z tego, co przeczytałem wiele lat później wynikało, że Japończycy nawet kiedy byli skrępowani, potrafili targnąć się na swe życie. Przegryzali sobie języki i dławili się własną krwią. Jak bardzo trzeba być zdeterminowanym, żeby w ten sposób popełnić samobójstwo?

Przez te wszystkie lata, które spędziłem w więzieniu, byłem nie tyle świadkiem, co znałem ludzi, którzy sami postanowili pożegnać się z tym światem. Pierwszą osobą był Kazik, który zrobił to chyba z najbardziej idiotycznego powodu. Drugim był Hrabia, ale on skończył z sobą na wolności, potem dołączył do nich Młody, a później byli jeszcze inni. W roku 1955 jeden gość na naszych oczach, rzucił się z krzykiem z najwyższej kondygnacji i roztrzaskał się o kamienny korytarz tuż pod sterownią. Po tym incydencie dyrekcja zakładu zdecydowała, że w wolnych przestrzeniach pomiędzy każdym piętrem, ma zostać rozciągnięta metalowa siatka.

Tak moi drodzy, tych kilka akapitów o upośledzeniu i samobójstwach napisałem z jednego powodu. Otóż wyobraźcie sobie, że tego dnia, kiedy lekarz zdjął mi opatrunek, zrozumiałem, że życie, jakiegokolwiek by ono nie było, jest największym darem. Miałem wtedy prawie czterdzieści pięć lat i przez miesiąc siedziałem zamknięty w ciemnościach. To cud, że nie oszalałem w karczerze. Przetrwałem, wyszedłem i znowu zobaczyłem świat. Ta chwila była niczym objawienie! W duchu dziękowałem Bogu za jego łaskę i przysiągłem sobie, że choćby nie wiem co, to zrobię wszystko, żeby cieszyć się własnym

istnieniem. Życ. Iść do przodu, pokonywać przeszkody dnia codziennego, twardo stąpać po ziemi i wierzyć w lepsze jutro. Pamiętam doskonale tę chwilę, kiedy stałem w celi i załzawionymi oczami spoglądałem przez okno. Nie wiem czy łzy płynęły mi ze szczęścia, czy po prostu były objawem tego, o czym wspominał lekarz. Nie myślałem o tym, że inni mają lepiej, to nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że jestem i mam się całkiem dobrze. Wiedziałem, że cokolwiek przyniesie przyszłość, muszę się z nią zmierzyć i stawić jej czoła. Nie szukać wrogów lecz przyjaciół, unikać kłopotów, a jak trzeba będzie, to pochylić pokornie kark i dać się kopnąć w dupę. Tamtego dnia doceniłem, jak pięknie jest widzieć. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, bo zawsze było to takie naturalne i oczywiste. Ciemność sprawiła, że całym sercem i całą duszą w końcu przejrzałem na oczy. Dopiero wtedy dostrzegłem i zrozumiałem, na czym polega życie i w czym przejawia się piękno naszego świata.

Każdy więzień pamięta swoje pierwsze wyjście na spaceriak. Ja przeżyłem to wieki temu, a ostatni raz byłem na spacerniku, kiedy Wiktor wizytował więzienie.

Lekarz zdjął mi opatrunek we wtorek, natomiast w środowe przedpołudnie, kiedy ja w najlepsze leżałem na pryczy, a Józko w tym czasie pracował na folwarku, po drugiej stronie drzwi rozległo się energiczne szurnięcie zasuw. Starym zwyczajem poderwałem się na równe nogi i stanąłem obok okna z dłońmi na widoku. Żołnierz, który pojawił się w progu, spojrzał na mnie podejrzliwym wzrokiem i powiedział:

- Wychodź! Czas na spacer!

Minąłem niepewnym krokiem drzwi i natychmiast rozejrzałem się na boki. Przed niektórymi celami stali skazańcy, a każdy był inaczej ubrany. Tylko ja miałem na sobie stare, drelichowe wdzianko. Obserwowałem, co będzie się działo dalej. Na sterowni któryś z mundurowych dmuchnął dwa razy w gwizdek i wszyscy więźniowie ruszyli w stronę schodów. Na parterze ustawiliśmy się w dwójkową kolumnę. Nie było nas zbyt wielu.

- W prawo zwrot! - Padła krótka komenda, a zaraz potem: - Naprzód marsz!

Kurde, prawie jak w wojsku - przemknęło mi przez myśl.

Spojrzałem na mężczyznę, który szedł z mojej lewej strony. To był starszy jegomość, jak na moje oko miał około sześćdziesiątki i teraz dopiero zauważyłem, że on podobnie jak ja, miał na sobie drelich. Był nieco inny od mojego i w zdecydowanie lepszym stanie.

Łypnął na mnie spoде łba i zapytał:

- Jesteś świeżutki?

- Można tak powiedzieć - odparłem.

Dziwiło mnie tylko, że wychodzimy na spaceriak i nie dość, że była nas zaledwie garstka, to eskortowało nas dziesięciu strażników pod bronią.

Byłem pewien, że jak tylko znajdziemy się na wybiegu, to w mig powinienem się zorientować, jak rozkłada się podział sił.

Nawet nie macie pojęcia, jak bardzo byłem zdziwiony, kiedy zobaczyłem, że teren spacerniaka został w poprzek posyty dwoma rzędami siatki, która dzieliła go na trzy

odrębne sektory. To była prawdziwa nowość.

Strażnik otworzył drucianą bramkę i wpuścił nas do środka. Wolnym krokiem ruszyłem przed siebie i strzelałem wzrokiem we wszystkie strony. Po prawej w grupie zebrało się kilku chłopca. Jeden z więźniów wyjął papierosa i poczęstował faceta w bordowej koszuli. Ten wziął fajkę, włożył ją do ust, a ktoś inny natychmiast podał mu ognia. *No proszę, i mamy herszta* - stwierdziłem w duchu. Większość więźniów poruszała się parami lub trójkami. Kilku przysiadło na trawie pod siatką. Klawisze zostali na zewnątrz. Zerknąłem w stronę wieżyczek. Tam również byli uzbrojeni funkcjonariusze. Ze względu na zarost musiałem rzucać się w oczy. Wolnym krokiem poszedłem do rogu i omiatając wzrokiem zebranych, zacząłem liczyć. Razem ze mną, było nas dokładnie pięćdziesięciu. Nagle kątem oka dostrzegłem, że facet w bordowej koszuli, który rozmawiał ze swoimi kompanami, kiwnął głową w moim kierunku.

Sięgnąłem do kieszeni po paczkę fajek i zapaliłem.

Dwóch więźniów zmierzało w moim kierunku.

- Jak leci kolego? - Zapytał ten niższy.

- Nie narzekam, ale mogłoby być lepiej - odparłem nieco nonszalanckim tonem.

- Coś ty za jeden? - Zapytał ten drugi.

- Nawet jak się przedstawię, to wątpię, żeby moje nazwisko zabrzmiało dla ciebie znajomo - powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

Nagle za moimi plecami rozległ się głos strażnika:

- Co tu się dzieje?! Czego od niego chcecie?!

Natychmiast obróciłem się na pięcie i powiedziałem:

- Wszystko w porządku. Tak sobie tylko gawędzimy.

Kiedy ponownie spojrzałem na moich rozmówców, dostrzegłem, że prawie wszyscy więźniowie spoglądają w naszym kierunku.

Strażnik stał w miejscu.

- Przejdźmy się - zaproponowałem - co tak będziemy sterczeć bez sensu - i ruszyłem przed siebie.

Zrobiłem kilka kroków.

Klawisz był na tyle daleko, że nie powinien usłyszeć moich słów.

- Czego chcecie? - Zapytałem prosto z mostu i starałem się, żeby w moim głosie brzmiała pewność siebie. Niech wiedzą, że strach jest mi obcy.

- Niczego - odpowiedział ten niższy.

Zerknąłem na faceta w bordowej koszuli.

Cały czas spoglądał w naszym kierunku.

- Szef kazał wam wybadać, co jestem za jeden? - Powiedziałem i kiwnąłem głową w jego stronę.

Mężczyźni spojrzeli po sobie nieco spłoszeni.

- Powiedzcie mu, że wołają na mnie Ropuch - zatrzymałem się i dodałem - może o mnie słyszał. - *Niech ma zagadkę* - szepnąłem w duchu. Zrobiłem w tył zwrot i znowu ruszyłem w kierunku siatki, jednocześnie czując, że serce bije mi dwa razy szybciej.

Miałem nadzieję, że moja blada twarz nie nabrała zbędnych rumieńców.

Doskonale wiedziałem, jak należy postępować z takimi jak oni. Przy pierwszym kontakcie trzeba delikatnie huknąć. Jeżeli ich zaskoczysz, to od razu będą wiedzieli gdzie jest ich miejsce w szeregu.

Wolnym krokiem podszedłem w róg spacerniaka. Stałem przed siatką i spojrzałem na trawę, która rosła wzdłuż muru. Zaledwie kilka kroków dzieliło mnie od miejsca, gdzie metr pod ziemią spoczywały kości Ślązaka. *Witaj brachu* - szepnąłem w myślach, a potem obróciłem się w drugą stronę.

Tego dnia nic więcej się nie wydarzyło, a ja resztę spaceru spędziłem w samotności.

- Jóźku, czy ktoś cię pytał o mnie? - Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Nie, a czemu miałby kto pytać, aaa?

- Bo ludzie są ciekawscy, to i pytają - odparłem. - Nie zrozum mnie źle, ale lepiej będzie dla ciebie, jeśli ustalimy wspólną wersję.

Patrzył na mnie, a ja w jego wzroku dostrzegłem coś niepokojącego.

- Jeżeli ktoś będzie się interesował kim jestem, to mów, że mało rozmowny jestem i kazałem mówić do siebie Ropuch. - To była z mojej strony celowa zagrywka, bo w przestępczym świecie ksywka to podstawa. Jeżeli masz pseudonim, to w oczach środowiska jesteś w pewnym sensie wiarygodny. To organy ścigania mają wiedzieć jak się naprawdę nazywasz, a nie ludzie z którymi się zadajesz i ubijasz ciemne interesy. Ksywka, to twoja wizytówka, która czasami określa twoją szemraną profesję albo cechę charakteru. Z mojej nic nie wynikało, ale najważniejsze, że ją miałem i żeby zaczęła tu funkcjonować. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że czym prędzej powinienem być znany w świecie skazańców jako Ropuch. - Pamiętaj Jóźko, jestem Ropuch i małowówny ze mnie człowiek.

- A no bo taki jest - powiedział jednym tchem. - Toż to najświętsza prawda.

- Może tak się zdarzyć, że nawet jakiś strażnik będzie pytał - celowo zniżyłem głos o pół tonu. - Może nawet zostaniesz wezwany przed oblicze tego ruskiego majora, który mnie tutaj przyprowadził w sobotę.

- Oj lepiej żeby nie miał z nim do czynienia.

- No właśnie, masz rację. Lepiej, żeby tak się nie stało. Jednak podejrzewam, że może dojść do takiej sytuacji. Nie powiem ci za co zostałem skazany, bo nie chcę o tym gadać, ale zdradzę ci, że ciąży na mnie bardzo wysoki wyrok - powiedziałem bardzo poważnym tonem.

- To ile dostał, aaa?

- Najwięcej ile można dostać - odparłem, zrobiłem krótką pauzę i dodałem: - Dożywocie.

Chyba nigdy nie zapomnę tego wyrazu, jaki pojawił się w jego oczach.

Dostrzegłem w nich strach.

Głęboki, przejmujący strach.

- Dawno temu w moim życiu wydarzyło się coś złego - ciągnąłem dalej. - Wszystko bym oddał, żeby cofnąć czas i nie dopuścić do tej tragedii, ale tak się nie da - westchnąłem.

- Stało się i muszę za to odpokutować. Nigdy nie będę z tobą rozmawiał na ten temat, rozumiesz? - Pokiwał twierdząco głową. - Nie chcę o tym mówić i będę wdzięczny, jeśli to uszanujesz. Spędzimy wspólnie trochę czasu - uśmiechnąłem się i zapytałem: - Kiedy wychodzisz?

- W październiku przyszłego roku - odpowiedział.

- Prawdopodobnie do tej pory będziemy razem dzielić celę, więc postarajmy się obaj, żeby było miło, dobrze?

- Oj nie jest miło siedzieć w więzieniu.

- Wiem Jóźku, ale tak potoczyło się nasze życie. Gdybyś nie szabrował, to byłbyś teraz na wolności, prawda?

- Oj święta prawda, byłby na wolności - odwrócił wzrok i spojrzał w okno. - Ale jedna sprawa nie daje spokoju - powiedział.

- Jaka sprawa?

- Nie żeby był ciekawski, ale co ten major ma z tym wszystkim wspólnego?

Nie spodziewałem się takiego pytania, Bóg mi świadkiem, że się nie spodziewałem. Uważałem, że Jóźko nie jest bystrzakiem, a jednak zwrócił uwagę na to, na co nie powinien. Może w sobotę coś usłyszał przez zamknięte drzwi?

- Towarzysz major nie ma z tym nic wspólnego. Nic a nic - rzekłem i nagle pojąłem, że tylko prawda ma sens. Nie miałem zamiaru spowiadać się jak w konfesjonale, ale coś musiałem mu powiedzieć. - Chodzi o to, że ja moją karę odbywam już od dwudziestu trzech lat. Trafiłem do tego więzienia latem 1922 roku. Potem wybuchła wojna, a ja ciągle tu byłem. Niemcy mnie oszczędzili, bo wiedziałem sporo o tym więzieniu, więc okazałem się pomocny. Kiedy w styczniu rusczy nas wyzwolili, nadal tu byłem. Powiedz mi Jóźku, gdybyś był żołnierzem, może nawet oficerem i gdybyś brał udział w wyzwoleniu takiego miejsca jak to i gdyby się okazało, że jest w nim człowiek, który przeżył całą wojnę jako więzień, to co byś sobie pomyślał? Co pomyślałbyś o tym człowieku?

- No nie wie... może by pomyślał, że Niemcom wiernie służył to i przeżył.

No nie! Kurwa mać, jeszcze zrób ze mnie kapo! W duchu już żałowałem, że pokierowałem naszą rozmowę na nieodpowiednie tory. Prosty człowiek wyciągał proste wnioski.

- Czyli co? - Zapytałem. - Każdy kto przetrwał obóz albo więzienie, to musiał służyć Niemcom, tak?

- No nie każdy, no nie koniecznie. Tylko tak w pierwszej chwili pomyślał.

- No właśnie Jóźku i chyba ten major musiał też tak w pierwszej chwili pomyśleć. Ja tego nie wiem, ale może właśnie było tak jak mówisz? Może faktycznie masz rację? - Mówiłem to takim tonem, jakbym chciał mu powiedzieć, że jest geniuszem, a zaraz potem zasiałem w nim ziarno wątpliwości. - Powiedz mi w takim razie, czy słuszne byłoby mówić, że każdy szabrownik to złodziej z dziada pradziada?

Spojrzał na mnie tak, jakbym mu dał w gębę.

- Nie no w życiu, uchowaj panie!

- No widzisz Jóźku, nic nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać. Czasami nie warto wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Każdy z nas dźwiga swój krzyż i tylko my w głębi duszy wiemy, czy zasłużyliśmy sobie na swój los. Masz brachu, zapal -

sięgnąłem po fajki.

Następnego dnia grubo przed południem, usłyszałem odgłosy otwieranych cel. Potem rozległy się dwa gwizdki na korytarzu i odgłos kroków na schodach. Pierwsza grupa skazańców wychodziła na spacer. Po godzinie sytuacja się powtórzyła. Celę w której siedziałem, otworzyli dopiero w trzeciej turze. Dwa gwizdki, schodami w dół, zbiórka na korytarzu i pod eskortą uzbrojonych klawiszy udaliśmy się na spacer. Nowy system funkcjonował według swoich własnych prawideł. Zorientowałem się, że cele są otwierane w kolejności, począwszy od tych, które znajdowały się na najwyższej kondygnacji.

Dzień był pogodny, a w powietrzu unosił się zapach lata. Słońce przygrzewało i było tak gorąco, że musiałem zdjąć bluzę.

Wolnym krokiem zmierzałem w kierunku siatki, która znajdowała się nieopodal więziennego muru. Korony drzew, które rosły po drugiej stronie, rzucały w tym miejscu cień. Wyciągnąłem się na trawie i zapaliłem. Z daleka wyglądałem, jakbym leżał podparty na łokciu i od niechcienia patrzył przed siebie. Jednak moje oczy strzelały we wszystkich kierunkach. Baczenie obserwowałem, co się dzieje.

Sytuacja miała się identycznie jak wczoraj.

W naszej grupie, że tak powiem spacerujących, była tylko jedna zwarta klika, której przewodził facet w bordowej koszuli. Pozostali więźniowie byli rozproszeni. Nagle z lewej strony podszedł do mnie ten sam mężczyzna, który wczoraj zagadnął mnie na korytarzu.

Staął obok i zapytał:

- Świeżutki, możesz poczęstować papieroskiem?

Podniosłem wzrok i spojrzałem w jego kierunku.

- Nie częstuję - odparłem i zaraz dodałem - ale mogę pożyczyć.

Facet przykucnął i powiedział:

- To pożycz szluga, oddam w przyszłym tygodniu.

- Pożyczam tylko na procent - rzekłem mrużąc oczy - dziś dostaniesz jednego, a oddajesz dwa. Pasuje?

Pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że to zupełnie normalna sprawa.

- Niech będzie - odparł, po czym wyciągnął dłoń w moim kierunku i powiedział: - Mów mi Maniek.

- Ropuch - wymieniliśmy uścisk. - A z tym procentem, to żartowałem. Będziesz miał szlugi, to oddasz.

Maniek uśmiechnął się i usiadł obok mnie.

- Ooo, amerykańskie - powiedział z uznaniem, patrząc na opakowanie z wielbłądem. - Skąd masz?

W odpowiedzi posłałem mu spojrzenie, a on natychmiast machnął dłonią i rzucił:

- Nieważne, zapomnij. Nie było pytania.

Zaciągnął się głęboko dymem i zapytał:

- Dlaczego Ropuch?
- Przyjęło się dawno temu i zostało do dziś.
- Skąd jesteś? - Chyba brał mnie na spytki.
- Maniek, a co ty taki ciekawski jesteś, co?
- Czy ja wiem - wzruszył ramionami - tak tylko gadam, co ślina na język przyniesie.
- Pochodzę z Kalisza, a ty?
- Z Łeby.
- Znasz tego gościa? - Zapytałem i kiwnąłem głową w kierunku faceta, który

wczoraj zainteresował się moją osobą.

Spojrzał na niego spode łba i powiedział:

- Mówią na niego Żywy. Podły typ, ponoć doliniarz, ale ile w tym prawdy, to nie wiem.

Tych kilka informacji zaspokoilo moją ciekawość.

- A powiedz mi Maniek, jak tutaj wygląda sprawa z pracą?
- Jest robota, ale biorą tylko fachowców. Frajerstwo dogina, a szlachta odpoczywa na świeżym powietrzu - zaśmiał się i wyszczerzył swoje pożółkłe zęby.

- Szlachta powiadasz - uśmiechnąłem się pod nosem i zerknąłem w stronę budynku, gdzie w przeszłości mieściła się stolarnia. Drzwi były otwarte, ale nie sposób było dostrzec czy wewnątrz są jacyś ludzie.

Zegar na wieży wybił kwadrans po dwunastej.

- Nie chcesz iść do roboty? - Zapytałem po chwili.
- Sam nie wiem, czasami miałbym ochotę, bo wiesz jak to jest, kiedy siedzisz cały dzień w celi. Nuda.

- A jaki masz fach? - Dociekałem.

- Marynarz - odpowiedział i zaraz dodał rozbawionym głosem - ni cholery nie znajduję dla mnie tutaj żadnego zajęcia.

- No tak - stwierdziłem. - Raczej nie znajduję.

- Liznął człowiek trochę mechaniki, ale co z tego? Przez większość życia robiłem przy sieciach i patroszeniu ryb. Nic tu po mnie.

- To może na kuchnię się załapiesz?

- Boże uchwaj! - Prawie krzyknął. - Ja i gary?! Aleś wymyślił - zarechotał. - A ty co potrafisz?

- A stolarzem jestem - odparłem.

- Stolarzy ci tutaj dostatek - powiedział. - Nawet na spacerunku kilku by się znalazło - kiwnął głową na wprost. - Jaki masz wyrok? - Wiedziałem, że w pewnym momencie zacznę pytać.

- Duży - zgasilem kiepa. - A ty?

- Też duży - odparł i splunął.

- No to obaj trochę tu posiedzimy - stwierdziłem.

- Chyba tak. Widzisz tego grubego klawisza? - Nagle zmienił temat.

Spojrzałem w prawo. Obok wejścia na spacerunek stało dwóch strażników, jeden z nich miał brzuch jak bęben.

- Jak masz trochę grosza i chcesz iść do roboty, to z nim pogadaj. Towarzysz plutonowy Laskowski potrafi dużo załatwić.

- Laskowski mówisz - powtórzyłem nazwisko.

- Plutonowy Laskowski - poprawił mnie.

Chwilę później rozległy się dwa przeciągłe gwizdki, oznaczające koniec spaceru. To był też znak, że mamy ustawić się w dwójkową kolumnę.

Maniek kroczył obok mnie. Trzymał ręce w kieszeniach i sprawiał wrażenie człowieka, który ma wszystko gdzieś. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że chyba sporo nas łączy.

Jak to mówią, do trzech razy sztuka. Podczas mojego trzeciego wyjścia na spacerniak, podszedł do mnie człowiek w bordowej koszuli. W sumie i tak byłem zdziwiony, że nie zrobił tego wczoraj.

- Siemasz Ropuch! - Powiedział stając przede mną.

- Siemasz Żywy! - Odpowiedziałem, patrząc mu w oczy.

- Wieści szybko się rozchodzą - uśmiechnął się cwaniacko.

- Jak to w więzieniu - odparłem. - Nie zdążysz jeszcze otworzyć gęby, a już wszyscy wiedzą, co powiedziałaś.

- Za co garujesz? - Zapytał i wszystko stało się jasne. Wiedziałem, że stoi przede mną człowiek, który miał w swoim życiu do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Na powitanie powiedział "siemasz", a przed chwilą "garujesz". Takich określeń zawsze w więzieniu używali ludzie z ciemną przeszłością. To był typowy slang wywodzący się ze świata przestępczego.

- Za żywota - odparłem, co w przenośni, o ile facet się orientował, mogło też oznaczać, morderstwo.

Mogło, ale nie musiało.

- Świat jest pełen cyngli - powiedział Żywy, a ja doskonale rozumiałem, co ma na myśli. Cynglem nazywano człowieka, który zabijał na zlecenie, a on najwyraźniej wziął mnie za kogoś takiego. I dobrze. Nawet nie miałem zamiaru wyprowadzać go z błędu.

- Świat jest pełen cyngli i doliniarzy - rozbudowałem nieco szerzej jego myśl, dając mu do zrozumienia, że coś o nim wiem.

- Coś mi się wydaje, że chyba się polubimy - rzekł i klepnął mnie dłonią w ramię.

Nic nie odpowiedziałem, tylko odważnie spoglądałem w jego źrenice.

- Zapalisz? - Wyjął z kieszeni spodni papierośnicę.

- Chętnie - sięgnąłem po fajkę.

Żywy podał mi ognia.

Kątem oka dostrzegłem, że ferajna, która stała po drugiej stronie spacerniaka, spogląda w naszą stronę.

- Ile? - Zapytał znienacka, a ja wiedziałem o co pytał.

- Ech - westchnąłem i dodałem: - Do samego końca.

- Uuu - jęknął przeciągle. - Kiepsko.

- Zawsze mogło być gorzej - skwitowałem. - Prawda?

Pokiwał głową i zrobił kwaśną minę.

- A ty? - Pociągnąłem temat.

- Trzy.

- Da się przeżyć - rzekłem.

- Pewnie, że da, tylko czasu szkoda. W swoim życiu odsiedziałem już łącznie dziesięć lat, teraz kolejne trzy przede mną. Mam nadzieję, że na pechowej trzynastce się skończy - stwierdził. - Może chcesz poznać chłopaków? - Kiwnął głową w lewo.

- Czemu nie, poznać nigdy nie zaszkodzi.

- No to chodźmy - szturchnął mnie w ramię i ruszyliśmy w kierunku grupy.

Było ich siedmiu. Z każdym wymieniłem uścisk dłoni. Dwóch przedstawiło się po imieniu, a pięciu miało swoje ksywki. Na spacerunku stanowili grupę, ale to nie miało teraz żadnego znaczenia. Razem czy też osobno, oni nic nie znaczyli. Po prostu łączyło ich tylko to, że chyba każdy z nich miał w przeszłości na bakier z prawem. Na chwilę obecną byli nikim. Każdy kto w więzieniu nie ma pracy albo worka pieniędzy, jest po prostu nikim. Zerem. Oczywiście czasami mogli popisywać się na spacerunku i szukać zaczepki, żeby kogoś zwyzywać ale nic poza tym. Kiedy byliśmy na wybiegu, dziesięciu uzbrojonych strażników cały czas miało nas na oku. Tylko idiota zaryzykowałby jakąkolwiek agresywną akcję.

Nie miałem zamiaru bratać się z tą zgrają. Wychodziłem z założenia, że powinienem znać jak najwięcej ludzi, ale bez potrzeby nie zawierać z nikim bliższych relacji.

Chciałem osiągnąć coś zupełnie innego, a moim pierwowzorem był poniekąd świętej pamięci Wilhelm Wolf. Kiedyś wszyscy znali Wolfa, każdy wiedział kim jest i za co siedzi. Nikt z nim nie zadzierał i wszyscy trzymali się od niego z daleka.

Minęło zaledwie kilka dni, a ja już wcielałem w życie moją legendę. Wiedziałem, że im szybciej inni zaczną o mnie gadać, tym lepiej dla mnie. Plan miałem taki, żeby nie wiązać się na trwałe z żadną grupą. Nie wikłać się w układy, nie szukać kumpli na siłę i rozsiewać dookoła siebie aurę tajemnicy. Podstawowa sprawa, to nie mówić za wiele o sobie. Opowiadać o przeszłości, wspominać stare więzienne dzieje, ale jak najmniej mówić o własnej osobie. I zachowywać spokój, przede wszystkim stoicki spokój. Zawsze patrzeć swojemu rozmówcy prosto w oczy. Nie mogłem postawić na moje walory fizyczne, bo miałem przeciętną budowę ciała i dlatego moim atutem, miało być zimne opanowanie. Dałbym sobie obciąć dwie ręce, że kilka dni później wieść o niejakim Ropuchu dotarła do większości pospolitych. Nikt nie zainteresowałby się moją osobą, gdyby plotka mówiła, że jestem złodziejem albo oszustem. Takich prawdopodobnie było tutaj na pęczki. Żywy trochę na wyrost odczytał moje słowa i byłem pewien, że to właśnie on, sprzeda moją historię dalej. To dzięki niemu będą mnie uważali za mordercę, skazanego na dożywocie. Na mój widok będą czuć na karku nieprzyjemne mrowienie i zachowywać odpowiedni dystans. Wiedziałem również, że nigdy nie mogę chępcić się swoim mitem, żeby wzbudzić czyjś strach lub szacunek. Inni więźniowie bez mojej pomocy musieli uwierzyć w swoje fantazje i przypuszczenia. Sami musieli nabrać

przekonania, że skoro w przeszłości dopuściłem się zbrodni, to teraz też mogę takową popełnić. Zbyt dobrze znałem więzienne życie i doskonale wiedziałem, że każdy czuje lęk przed skazańcem, na którym ciąży piętno mordercy. Pozostała mi tylko do zrealizowania jeszcze jedna najważniejsza rzecz. Moja legenda musiała mówić o tym, że popełniłem zbrodnię z zimną krwią. Nie jakiś wypadek czy nieszczęśliwy zbieg okoliczności. To musiała być historia sugerująca, że dopuściłem się bezwzględnego i podłego zabójstwa.

Naprawdę nie spodziewałem się, że sprawa mojej tożsamości błyskawicznie nabierze rumieńców. Sądziłem, że to będzie długi i powolny proces, a okazało się, że niemal z dnia na dzień, stanąłem przed ogromnym wyzwaniem. Wbrew pozorom, to wcale nie było takie łatwe. Trudno się żyje udając kogoś innego, niż się jest w rzeczywistości. Moje życie zamieniło się w plan filmowy, a ja zostałem scenarzystą, reżyserem i głównym aktorem, który ma zagrać swoją najbardziej przekonującą rolę.

Po kilku latach przesiąknę tym mitem na wskroś, że prawie sam uwierzyłem w moją mroczną legendę.

Każdego dnia poznawałem nowy schemat w jakim teraz toczyło się więzienne życie. W piątkowe popołudnie w celi zjawił się klawisz wraz z cyrulikiem. Ja poszedłem na pierwszy ogień, a potem Józko. Strażnik kazał mi usiąść na taborecie, a facet w szarym kitlu przystąpił do dzieła. Maszynką, podobną do takiej, którą strzyże się owce, pozbawił mnie włosów i zamiast czupryny miałem krótkiego jeża. Potem owinął mi wokół szyi cuchnący ręcznik, zużytym pędzlem rozprowadził po zaroście spienione mydło i na wół tępą brzytwą, ogolił mi cały zarost. Gość miał wprawę w tym co robił, bo cała operacja nie trwała dłużej jak pięć minut. Rach-ciach, bach-bach i po zawodach. Wtedy pomyślałem, że w końcu wiem, skąd wzięło się powiedzenie - "następny do golenia!". Kiedy skończył, przejrzałem się w lusterku i stwierdziłem, że nareszcie nie wyglądam jak zapuszczone bydlę.

W sobotę była kąpiel. Do łaźni prowadzono nas po trzydziestu chłopów w grupie. Tempo też było zabójcze. W try miga zrzucaliśmy z siebie ciuchy w szatni. Przed wejściem do łaźni stał klawisz z jutowym workiem, który wrzeszczał jak oszalały:

- Ruszać się! Szybciej! Co się tak guzdrzesz?! Ściągnij te szmaty i do kąpeli!

Każdemu, kto mijał go w przejściu, wręczał pół kostki szarego mydła, a potem pędem pod natryski. Woda leciała przez pięć minut i czasami człowiek nie zdążył splukać z siebie mydlin. Wiadomo, że nie dało się zużyć całego mydła, a to co zostało, zupełnie legalnie, zabieraliśmy z sobą. To był nasz tygodniowy przydział, który służył do tego, żeby zadbać o własną higienę w celi, albo przeprać sobie brudne i przepocone ciuchy.

W niedzielę, która była dniem wolnym od pracy, również wyprowadzali nas na spacerniak, ale było zupełnie inaczej niż w dni powszednie. Najpierw klawisze otwierali wszystkie cele po lewej stronie pawilonu. Więźniowie wychodzili i stojąc na drewnianych podestach, czekali na moment kiedy ich kondygnacja będzie miała na parterze zbiórkę. Ustawiali się w dwuszeregu i pod eskortą opuszczali korytarz, kierując się w stronę wyjścia z pawilonu. Kiedy znikali za drzwiami, osadzeni na kolejnej kondygnacji,

schodzili schodami w dół. Zbiórka i wymarsz. W ten właśnie sposób wyprowadzano na spacerki trzy tury skazańców. Spacer trwał równą godzinę i wtedy zrozumiałem, dlaczego teren wybiegu został podzielony na trzy równe sektory, oddzielone od siebie drucianą siatką. Trudno mi powiedzieć, czemu ten podział miał służyć? Może chodziło o to, żeby w razie jakiegoś nieprzewidzianego zajścia, klawiszom będzie łatwiej zapanować nad sytuacją? A może o to, żeby skutecznie ograniczyć możliwość kontaktu więźniów w dużej grupie? Nie miało sensu zaprzętać sobie głowy duperelami, było jak było i człowiek musiał przejść nad tym do porządku dziennego.

Na niedzielnych spacerach było nas zdecydowanie więcej, bowiem uczestniczyli w nich również ci, którzy w powszednie dni tygodnia pracowali w warsztatach lub na folwarku.

Tak właśnie wtedy wyglądała więzienna rutyna. W piątek strzyżenie, w sobotę kąpiel, a w niedzielę wspólny spacer dla wszystkich. Zmiany nastąpiły dopiero kilka lat później.

Czerwiec miał się ku końcowi, a ja wszystkie dni spędzałem w celi. Zastanawiałem się, kiedy pojawi się dla mnie szansa, żeby załapać się do jakiejś roboty? Józko dzień w dzień wychodził do pracy, a ja gnilem na pryczy. Każdego dnia czekałem, aż u drzwi rozlegnie się zgrzyt zasuwy, a potem wyjdę na spacerki. To była jedyna rozrywka w ciągu dnia. Czasami zamieniłem kilka słów z Żywym, przywitałem się z jego oprychami, ale większość czasu będąc na wybiegu, spędzałem z Mańkiem. Chyba zaczynałem go lubić.

Maniek był w porządku.

Mój dozgonny szacunek i wdzięczność, zyskał przez swą dobroduszość. Już jakiś czas temu skończyły mi się fajki, które dostałem od Wiktora i nie miałem co jarać. Niekiedy któryś z ekipy Żywego odpalił mi szluga, ale generalnie było nędznie w tym temacie. No i właśnie wtedy czarodziej Maniek, okazał mi serce. Za każdym razem, kiedy mnie częstował, a częstował mnie każdego dnia, to mówił:

- Jak będziesz miał, to oddasz.

A ja odpowiadałem:

- Oddam na bank!

Obaj wiedzieliśmy, że być może ten bank, nigdy nie będzie w stanie wypłacić należne dywidenda.

Po jakimś czasie zaczęło mnie intrygować, skąd on bierze papierosy? I zadałem mu pytanie:

- Maniek, skąd masz fajki?

- A synowa mi przysyła. Raz w miesiącu dostaję od niej paczkę. Kiedyś przysyłała też jedzenie... Dobra z niej dziewczyna.

Kiedys? - to brzmiało dziwnie.

- Jak długo tu jesteś?

- We Wronkach? - Odparł i dodał: - Od połowy marca. Przenieśli mnie tutaj, podobnie jak pozostałych - kiwnął głową przed siebie. - Większość z nas - miał na myśli

ludzi wałęsających się po spacerniaku - trafiło tutaj z początkiem wiosny.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem i zapytałem:

- To gdzie siedziałeś?

- Najpierw Łomża, a potem Płock - westchnął - dwa najpodlejsze miejsca pod słońcem, jakie znam.

- Ciężko tam było?

- Ciężko? Nawet sobie nie jesteś w stanie wyobrazić. Tutaj to jest prawdziwy kurort! Spacerki, strzyżenie, kąpiele, jedzonko dwa razy dziennie. Po prostu bajka! Może dlatego, że nie ma tutaj enkawudzistów - westchnął, a ja nie miałem pojęcia o czym on mówił. - Tu też jest nas garstka, bo cała reszta to polityczni.

Nie było okazji dłużej pogadać, bo nagle rozległy się dwa przeciągłe gwizdki.

Po kilku minutach minęliśmy kratę wiodącą na korytarz pawilonu D.

Obok schodów stał strażnik i powiedział:

- Więzień Żabikowski wystąp!

Byłem w pierwszym szeregu, więc zrobiłem krok w przód.

Klawisz podszedł do mnie:

- Idź przed siebie! - Kiwnął głową w kierunku z którego właśnie przyszliśmy.

- Dokąd idziemy? - Zapytałem, obracając się przez ramię.

- Nie gadaj tylko maszeruj!

Po chwili dotarliśmy do głównego wyjścia i znaleźliśmy się na więziennym dziedzińcu.

- Tam! - Wskazał dłonią na drzwi do administracyjnego.

Kroczyłem po klepkach znajomego parkietu i wiedziałem, że za chwilę stanę przed obliczem Wiktora Kozłowskiego.

Kiedy dziś wspominam tę chwilę, to zdaję sobie sprawę, że niektórzy ludzie potrafią w miarę upływu czasu, zamienić się w prawdziwych skurwysynów. Przesiłekają podłością na wskroś i zachowują się tak, jakby w ogóle nie mieli sumienia. Okazują swoją wyższość, udowadniając drugiemu człowiekowi, że jest śmieciem i zerem. Wiktor, którego znałem w przeszłości był kimś zupełnie innym, niż bezwzględny major Kozłow. Przeszłość, która kiedyś nas łączyła w jego pamięci poszła w zapomnienie, dla niego liczyło się tylko to, że za bliżej nieokreślony czas, mogą się okazać przydatny.

- Przydatny? Do czego mogę ci być przydatny? - Zapytałem stojąc przed jego biurkiem.

Spojrzał na mnie z politowaniem i rozkładając się w fotelu jak panisko, rzekł:

- Widzisz Stefek, ty ciągle nie rozumiesz współczesnego świata. Nic o nim nie wiesz! Nic! Nie będę ci tłumaczył podstawowych spraw. Ciesz się tym, co masz. Brakuje ci czegoś? - To było czysto retoryczne pytanie. - Masz gdzie spać, dostajesz jeść - wyliczał na palcach - chodzisz wykąpany i ogolony... Czego ci brakuje? Zajęcia? Chcesz iść do pracy? Pójdiesz. Może pójdiesz - poprawił się - ale dopiero wtedy jak będę pewien, że na to zasługujesz.

Miałem ochotę mu powiedzieć:

- Za kogo się masz, ty podły skurwysynu?! Za kogo się masz, żeby decydować o moim losie i czynić ze mnie niewolnika?!

- Chcesz mi coś powiedzieć? - Zapytał zniechęcony, widząc na mojej twarzy wyraz wściekłości. - Mów śmiało, tylko najpierw dobrze zastanów się nad słowami, które chcesz wypowiedzieć. - Przez dłuższą chwilę spoglądał na mnie podejrzliwym wzrokiem. - Najwyższa pora, żebyś docenił fakt, że jesteś tutaj również pod ścisłą ochroną - powiedział i pogroził mi palcem, jakby miał przed sobą wystraszonego chłopca. Nagle w jego spojrzeniu pojawił się dziki błysk i wrzasnął: - Wiesz, co tak naprawdę powinienem zrobić?! - Uderzył dłońmi w blat biurka i poderwał się na równe nogi. - Tacy jak ty, którzy przetrwali całą wojnę na niemieckim wickie, powinni skończyć z kulą w głowie! Chcesz umrzeć?! Chcesz się wybrać na swoją ostatnią wycieczkę do lasu?! Tego chcesz idioto?! A może dla przykładu powinienem kazać rozstrzelać człowieka z którym dzielisz celę?! Jak on się nazywa? - Sięgnął dłonią po skórzany kajet, który leżał na biurku obok telefonu i przekartkował zapisane stronicie. - Ooo, jest! Józef Malczyk, tak? - Znowu mówił spokojnym tonem. - Może jego śmierć pomoże ci zrozumieć niektóre sprawy - stwierdził oschle i tym samym głosem ciągnął dalej. - Zacznę od niego, a potem zabiorę się za całą resztę. Pesteczka i Trufel. Ich rodziny, żony, dzieci, rodzice. Wszyscy jak leci, a na deser zostawię sobie wisienkę na torcie - ponownie zaczął kartkować swój notes i nagle spoglądając na zapisaną stronę, zaczął czytać: - Agnieszka Stokłosa. West Belmont Avenue 1855 Chicago Illinois - i wolno przeliterował trzy litery - U S A. Zgadza się, prawda? - Spojrzał na mnie, a ja nie potrafiłem ukryć swojego zaskoczenia. - Wszystko wiem. Wszystko. Nic się przede mną nie ukryje. Wiem, ile dostałeś od niej listów, znam nawet daty, kiedy tutaj dotarły. - Pochylił się i wyjął z szuflady duży skoroszyt w twardej oprawie. To była stara księga pocztowa. - Dużo ciekawych dokumentów przetrwało nawet niemiecką okupację - rzucił ją ostentacyjnie na blat. Powoli okrążył biurko, poszedł w róg pomieszczenia i złapał dłonią za oparcie krzesła. Postawił przedmiot za moimi plecami i powiedział: - Siadaj! - Posłusznie wykonałem polecenie. - Pewnie w duchu myślisz, że jestem potworem - sięgnął dłonią do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Wyciągnął ją w moim kierunku i rzekł rozkazującym tonem: - Pal!

Siedzieliśmy w milczeniu, a w pomieszczeniu unosiły się kłęby tytoniowego dymu.

Za jego plecami, na ścianie wisiał portret Stalina.

Zadzwoił telefon.

Wiktor złapał za słuchawkę i warknął:

- Major Kozłow, słucham!

Przewrócił oczami i syknął do mikrofonu:

- Teraz jestem zajęty, nie mam czasu!

Rozłączył się.

Spojrzał na księgę pocztową, a mój wzrok podążył w tym samym kierunku.

- Chciałbyś do niej napisać? - Zapytał łagodnym tonem. - Chciałbyś z nią nadal korespondować? Mogę się na to zgodzić i powiem uczciwie, że zarówno twoje, jak i jej listy będą przechodzić przez cenzurę, ale pozwolę ci nawiązać z nią kontakt. Możesz tutaj wieść całkiem spokojne życie i tylko od ciebie zależy, czy takie ono będzie. Daję ci wybór. Jeszcze daję ci wybór - powtórzył z naciskiem. - A swoją drogą, to muszę ci powiedzieć,

że na swój sposób cię podziwiam. Miałeś ponad dwadzieścia lat i byłeś analfabeta - pogładził dłonią brodę - a będąc w więzieniu nauczyłeś się pisać i czytać. Imponujące.

Spoglądałem na jego twarz i w pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko dzieje się naprawdę? To było jakieś chore. Wiktor Kozłowski realizował jakiś swój podły cel, grając na moich emocjach.

- Co opowiadasz więźniom, kiedy pytają za co siedzisz? - Nagle zmienił temat.

- Że popełniłem morderstwo i ciąży na mnie wyrok dożywocia.

Pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: - Dobrze, bardzo dobrze.

- Strażnicy z tobą rozmawiają? Ktoś z nich interesuje się twoją osobą?

- Nie.

Znowu pokiwał głową w ten sam sposób.

Zgasił niedopałek i rzekł:

- Na razie nie będziesz chodził do żadnej pracy i nie będziesz miał żadnych obowiązków. Jutro w waszej celi zawita kolejny więzień. Będziecie mieli interesujące towarzystwo - a jego twarz przybrała dziwny grymas, niby się uśmiechał, ale w tym uśmiechu czaiło się coś fałszywego i przebiegłego.

Przez dłuższą chwilę spoglądał na mnie, aż w pewnym momencie otworzył szufladę i wyjął szarą teczkę. Położył ją przed sobą, a ja bez trudu odczytałem, co pisze z przodu na doklejonej etykiecie: Stanisław Żabikowski. Numer ewidencyjny 29-11.

- To są twoje więzienne akta - otworzył je i zaczął kartkować. Zatrzymał się na ostatniej stronie i z kieszeni na piersi wyjął czarne pióro. - Pora na męską decyzję - powiedział - masz dwie opcje do wyboru, albo napiszę tu kilka słów, które będą cię zawsze chronić, albo - zawiesił głos i po chwili dodał - pojawi się tu adnotacja, że zmarłeś podczas przesłuchania dotyczącego twojej kolaboracji z wrogiem. Pierwsza możliwość pozwoli toczyć spokojne życie, oczywiście na warunkach, które wcześniej już ustaliliśmy. Druga opcja zakończy twoje istnienie i wskaże również znajome nam osoby, które zostaną pociągnięte do odpowiedzialności. Daję ci teraz prawo wyboru.

Nie wiem czemu to robił, co było z nim nie tak? Przecież opuszczając karczer, zgodziłem się na ten układ...

- Wybieram pierwszą opcję.

Wiktor spojrzał na mnie, a potem zaczął coś pisać. Skreślił kilka zdań, zamknął teczkę i ponownie schował ją do szuflady.

- Trzeba ci zamienić te łachmany na porządne ubranie - powiedział i złapał dłonią za słuchawkę telefonu. - Z tej strony major Kozłow. Wezwijcie do mnie plutonowego Laskowskiego.

Znowu przyglądał mi się badawczym wzrokiem, a po chwili rzekł:

- Doceniam ludzi za ich dobre decyzje - przesunął w moim kierunku opakowanie otwartych Cameli i powiedział - zatrzymaj sobie w nagrodę.

To było upokarzające, ale wiedziałem, że muszę być posłuszny. Sięgnąłem po fajki i schowałem je do kieszeni.

- Wypadałoby podziękować, prawda? - Odezwał się po chwili.

- Dziękuję - szepnąłem pod nosem.

Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - Warknął Wiktor.

W progu pojawił się otyły żołnierz.

Zasalutował i wyrzucił z siebie:

- Towarzyszu majorze, plutonowy Laskowski melduje się na rozkaz!

- Słuchajcie Laskowski, ubierzecie tego człowieka w jakieś przyzwoite ubranie.

- Tak jest towarzyszu majorze!

- Bielizna, spodnie, bluza, buty, pas i onuce. Wszystko ma dostać nowe, rozumiecie Laskowski?

- Tak jest towarzyszu majorze, rozumiem!

- Zabierzcie go teraz razem z sobą. Zróbcie co kazałem, a potem odstawcie więźnia do pawilonu.

- Tak jest towarzyszu majorze!

To spotkanie z Wiktorem miało miejsce dokładnie w dwa tygodnie po tym, jak wyciągnął mnie z karceru. Była sobota 30 czerwca 1945 roku. Wtedy był to dla mnie tylko kolejny, zwykły dzień. Następna kartka z kalendarza. Wiele lat później, kiedy wiedziony obsesją w jaką popadłem dzięki Cyferce, wszystko nabrało innego znaczenia. Wszystko ma swój porządek, bowiem los każdego człowieka jest napiętnowany magią liczb. Wiem, że często o tym wspominam, ale trudno jest przestać, mając taką wiedzę. Jeszcze się sami o tym przekonacie.

Plutonowy Laskowski zabrał mnie do magazynu, który znajdował się w pomieszczeniu dawnej stołówki. Większość rzeczy które spoczywały na regałach, były zdobyczne po Niemcach.

Wymieniłem całą swoją garderobę. Majtki, koszulkę, spodnie, bluzę, buty, onuce, pasek do spodni i dostałem jeszcze czarny, filcowy beret. Wyglądałem tak, jakbym przed chwilą wyszedł z zakładu krawieckiego.

Drelich w ciemno-niebieskiej tonacji był uszyty z porządnego materiału.

- Coś ty za jeden? - Zapytał Laskowski, kiedy sznurowałem buty.

Spojrzałem na jego pulchną twarz i nic nie odpowiedziałem.

- Masz jakieś szczególne względy u majora Kozłowa? Znacicie się? - Dociekał.

- Gdybym cieszył się względami u majora Kozłowa, to nie byłoby mnie w tym miejscu - odparłem.

Plutonowy przez chwilę patrzył na mnie podejrzliwie. Nawet idiota by się domyślił, że coś musiało być na rzeczy pomiędzy mną, a Kozłowem.

- Jak wy się nazywacie?

- Stanisław Żabikowski - odparłem i zwróciłem się do niego z nutką lekkiej ironii:

- A wy towarzyszu plutonowy na nazwisko macie Laskowski, a jak brzmi wasze imię?

Chyba wyczuł, że za dużo sobie pozwalam. Spojrzał na mnie i rzucił:

- Żabikowski, coś wam poradzę. Nie szukajcie we mnie wroga, bo może się to dla was źle skończyć, rozumiecie? Ja jestem spokojny człowiek, ale jak ktoś mnie obrazi,

wkurwi albo nadeśnie na odcisk, to potrafię być bardzo nieprzyjemny.

- Towarzyszu plutonowy - położyłem dłoń na sercu - w nikim nie szukam wroga, zapytałem tylko jak macie na imię.

Łypnął na mnie spode łba i odparł:

- Bartłomiej.

Kiedy Józko wrócił z pracy i zobaczył mnie leżącego na pryczy w nowym uniformie, to aż zagwizdał z podziwu i powiedział:

- No ten wie że żyje panie szanowny, odstroili go jak na jaką defiladę!

Wyłąłem się w jednym zdaniu, że miałem zniszczone ubranie, co zresztą było prawdą, i że dlatego dostałem nowe wdzianko. Przemilczałem jednak przed Józkiem fakt, że jutro dołączy do nas trzeci współlokator.

Jest takie powiedzenie, że jak cię widzą, tak cię piszą. Prawda jest taka, że człowieka zawsze ocenia się najpierw po ubiorze. Nieważne czy jesteś w więzieniu czy też toczysz swoją egzystencję po drugiej stronie murów. Twój ubiór jest twoją wizytówką. Kiedy idąc ulicą, mijacie gościa odstrzelonego w dobrze skrojony garnitur, od razu nasuwa się skojarzenie, że ten facet musi być dziany. Oczywiście czasami pozory mylą, ale tylko czasami. Ktoś odstawiony w ciuchy, które rzucają się w oczy, nigdy nie wtopi się w tłum. Zawsze będzie widoczny. Dlatego też, kiedy pojawiłem się w niebieskim drelichu na spaceru, natychmiast wzbudziłem ogólne zainteresowanie.

- Dlaczego wbili cię w takie wdzianko? - Zapytał Żywy i zmierzył mnie wzrokiem.

- Widziałeś, jakie miałem wcześniej łachmany - odparłem - może ktoś stwierdził, że trzeba je zmienić. Kazali mi się w to ubrać - wzruszyłem ramionami udając nonszalancję, jak na twardziela przystało.

Dotknął połą mojej bluzy i stwierdził:

- Solidny materiał.

- Też tak myślę - rzekłem - powinien wytrzymać kilka lat. Jest tu ktoś jeszcze z dożywociem? - Zapytałem zmieniając temat.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odpowiedział i po chwili dodał zaskoczonym głosem: - Myślisz, że niebieski drelich ma to oznaczać?

Żywy połknął przynętę.

- Myślę, że gdyby jakiś snajper obserwował teraz przez lunetę spaceru, to byłbym dla niego najłatwiejszym celem - zażartowałem. - A tak poważnie, to nie wiem, co ma oznaczać niebieski drelich, dlatego właśnie pytam, czy jest tu ktoś jeszcze z bezterminowym wyrokiem.

Żywy był cwany i bystry, szybko odczytywał niewinne sugestie i natychmiast kojarzył fakty. Natomiast jakie wnioski wyciągał, to już inna sprawa. Ja byłem oszczędny w słowach. Niczego nie potwierdzałem. Cieszył mnie tylko fakt, że moje nowe ubranie od pierwszej chwili zaczęło pracować na moją korzyść. Dzięki niemu, fikcyjna legenda w przenośni i dosłownie, zaczęła nabierać koloru.

- Ludzie pytają o ciebie - powiedział Józko, kiedy w niedzielę wróciliśmy ze spacerniaka do celi. - Ciekawe są wszystkie za co siedzi i czemu na niebiesko teraz łązi. To mówi temu kto pyta, tak jak ty chciałeś.

- I bardzo dobrze Józku - odparłem.

- Kto by pomyślał, że takie zainteresowanie wzbudzi. No no no, aż się wierzyć nie chce - westchnął. - Jakby był jaką ważną osobą.

- Co zrobić, tacy już są ludzie - skwitowałem.

Zdjąłem bluzę i położyłem się na pryczy.

- Słyszał jak strażnicy gadali, że za kilka dni cały pawilon politycznych odchodzi.

- Wypuszczają ich? - Spojrzałem na niego.

- No jak odchodzi, to pewnie wypuszczają - wzruszył ramionami.

- Ciekawe - szepnąłem i w tej samej chwili po drugiej stronie drzwi rozległo się szurnięcie zasuw.

Jak zwykle zareagowałem tak, jak w takich sytuacjach powinien reagować więzień z moim stażem, a Józko nadal siedział na taborecie i tylko skierował swój wzrok w stronę drzwi.

W progu ujrzeliśmy dwóch klawiszy i młodego mężczyznę ubranego w czarny mundur, który trzymał w dłoniach koc, poduszkę i metalową miskę.

- Macie nowego lokatora - rzucił jeden ze strażników i zaraz potem zamknął drzwi.

W pierwszej chwili, patrząc na jego mundur, pomyślałem, że to niemiecki jeńiec.

- Jezusie przenaświętyszy, szkopa nam tu wsadzili! - Józko prawie jęknął z rozpaczy, podniósł się z miejsca i usiadł na swoje kojo.

Młodzian stał w progu i strzelał oczami raz na mnie, raz na Józka. Był z niego rosły mężczyzna. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i szerokie bary... W jednym z moich wcześniejszych skoroszytów, poświęciłem mu kilka akapitów. Mam nadzieję, że pamiętacie krótką opowieść o pewnym nordyckim powiedzeniu, które brzmi "zimno jak w piekle". Już wtedy wiedziałem, że zachowując chronologię wydarzeń, dobrnę w swoich zapiskach do właściwego momentu. Do chwili, kiedy będę wam mógł opowiedzieć o tym, jak narodziła się nasza przyjaźń, o mojej fascynacji skandynawskimi mitami i o znaku runicznym, który obrałem sobie za symbol mojej duszy.

Nieufnym wzrokiem spoglądaliśmy z Józkiem na naszego nowego towarzysza. Położył na stole swoje rzeczy i usiadł na taborecie. W pewnym momencie odezwał się w niezrozumiałym dla nas języku:

- Jeg heter Sven - uderzył się dłonią w pierś i powtórzył - Sven.

Nie mieliśmy pojęcia, co stara nam się powiedzieć. Chyba musiał się zorientować, że mamy zagadkę i znowu wykonał ten sam gest. Uderzył się w pierś i powtórzył:

- Sven.

- On chyba chce nam powiedzieć, że tak się nazywa.

- Sven? - Zapytałem i wskazałem na niego palcem.

Pokiwał twierdząco głową i powiedział:

- Sven. Jeg heter Sven.

Zrobiłem podobnie jak on, nie biłem się w piersi tylko położyłem dłoń na wysokości serca i powiedziałem:

- Ropuch.

- Ropuch - powtórzył. Wskazał na siebie palcem i powiedział - Sven - a potem skierował dłoń w moim kierunku i rzekł: - Ropuch.

- Bardzo dobrze - odparłem i posłałem mu uśmiech. Kiwnąłem głową na Józka, który siedział na pryczy i rzekłem: - Józef.

- Józef - powtórzył niewyraźnie nasz nowy kompan zamieniając w jego imieniu literę zet na es i jednocześnie jego wargi ułożyły się nieporadnie w trąbkę. Kolejny raz położył dłoń na piersi i w tej samej chwili powiedział - Sven - a potem wskazał na Józka i wypowiedział jego imię w bardziej dogodny dla siebie sposób - Josef.

- Może być Josef - stwierdził Józko.

Doskonale wiedziałem, jakie to jest trudne, kiedy człowiek nagle znajdzie się wśród ludzi, którzy władają innym językiem. Natychmiast przypomniał mi się ten dzień, kiedy we wronieckim więzieniu zjawili się Niemcy... Wiecie jakie to uczucie, kiedy coś do ciebie mówią, a ty nic nie rozumiesz? Czujesz się dosłownie, jak żar w gównie. Kontakt ludzi, którzy posługują się totalnie odmiennymi językami, przypomina rozmowę kosmity z jaskiniowcem. Taka właśnie jest prawda.

- A gdzie on będzie spać? - Zapytał Józko.

- No jak to gdzie? Na podłodze - stwierdziłem.

- Ciekawe skąd jest? - Powiedział skazany za szabrownictwo, wpatrując się w tajemnicze insygnia, które widniały na czarnym mundurze.

- Najrozsądniej będzie zapytać strażników, jak przywiozą kolację. Może nam powiedzą? - Odparłem z nadzieją w głosie.

Sven przysłuchiwał się naszej rozmowie lecz wyraz jego twarzy świadczył o tym, że raczej nie domyśla się o czym dyskutujemy.

Wyjąłem paczkę fajek, chciałem go poczęstować, ale on powiedział coś po swojemu i wykonał kilka gestów, które utwierdziły mnie w przekonaniu, że nie pali.

W pewnym momencie wstał, przesunął stół w kierunku okna i rozłożył na podłodze swój koc. Ściągnął bluzę i położył ją na taborecie. Wtedy zobaczyłem, że na lewym rękawie miał opaskę na której były wyhaftowane czerwone litery „Frw. Legion Norwegen”. Tylko sam czort i właściciel munduru wiedzieli, co kryło się pod tą nazwą. Na tyle dobrze znałem niemiecki, iż byłem pewien, że słowo "Norwegen" znaczy Norwegia. Może chodziło o jakiś norweski legion? Intrygował mnie jego czarny mundur. Na pierwszy rzut oka, kojarzył się z niemiecką formacją wojskową, ale nie miał żadnych faszystowskich symboli. Pomyślałem o tym, że jeśli Norwedzy przystąpili do II wojny światowej, to chyba stanęli po stronie nazistów.

Wydawka zjawiała się na kilka minut przed wpół do szóstej. Klawisz otworzył na oścież drzwi. Zasada była taka, że każdy więzień podchodził do progu ze swoją michą,

kuchta nabierał chochłłą stawy i ładował każdemu porcję. Kiedy przysłała moja kolej, zwróciłem się do strażnika:

- Kim jest ten nowy, który dzisiaj do nas dołączył?
- Norweski jeniec - odpowiedział i zamknął drzwi.

Przez pierwszy tydzień nasz nowy współlokator z nieznanymi mi powodów, nie był wyprowadzany na codzienny spacer. Całymi dniami siedział w celi i jedyną rozrywką było dla niego spoglądanie w okno. Próbowałem się z nim porozumieć za pomocą gestów, ale to nie miało sensu. On chyba nawet tego nie chciał i miałem wrażenie, że jest bardzo przygnębiony. Z drugiej strony, kto będąc w jego sytuacji tryskałby radością? Wyobraźcie sobie, że przebywacie prawie całą dobę w celi, na przykład z Chińczykiem albo z Węgrem i jak się macie dogadać? W jaki sposób? Zachodziłem w głowę, dlaczego nie siedzi razem z niemieckimi jeńcami? Nawet nie było kogo zapytać, żeby usłyszeć wyjaśnienie.

Podczas sobotniej kąpieli zobaczyłem, że Sven ma na prawym ramieniu tatuaż. To były trzy proste znaki. Jego dziara pozostawiała wiele do życzenia, jeśli chodzi o estetykę wykonania. Miałem wrażenie, jakby została zrobiona bardzo nieudolnie, albo przez kogoś, kto eksperymentował na jego ramieniu ze swoją pierwszą ręczną robótką. Nie będę sobie łamał teraz głowy, żeby opisać te symbole i najlepiej zrobię, jeśli je naszkicuję.

Tak właśnie wyglądały:



Jak do tej pory, widziałem w swoim życiu różne tatuaże. Jedne lepsze, drugie gorsze, ale to, co on miał na swoim ramieniu, właściwie nie przedstawiało nic sensownego i krótko mówiąc, było wykonane w żaloszny sposób. Inni więźniowie również zwrócili uwagę na to wątpliwe dzieło i wszyscy mieli z tego tytułu niezły ubaw. W swoim czasie, opowiem wam kilka epizodów związanych z dzierganiem, które osobiście uważam za największy przejaw ludzkiej głupoty. Mam być teraz szczery? Dobrze, będę. Otóż muszę wam powiedzieć, że nic mnie tak nie drażni jak ludzka głupota. Kiedy mam z nią do czynienia, to zapominam czym jest tolerancja, chociaż uważam się za człowieka, którego wachlarz zrozumienia i akceptacji jest bardzo szeroki. Głupota drugiego człowieka, jest w stanie mnie zmiażdżyć i pokonać w mgnieniu oka. Głupota, to jedyna ludzka przypadłość, którą często można zdiagnozować, ale nie ma na nią żadnego lekarstwa. Sam też byłem kiedyś cholernie głupi, ale mniejsza o to, bo jeszcze dwa zdania więcej i zgubię rytm opowieści o młodym wikingu.

Po tygodniu sytuacja zmieniła się nie do poznania. Sven zaczął funkcjonować w tym samym schemacie co reszta osadzonych i w końcu się przekonał, jak wygląda wroniecki spacerniak. Oczywiście kiedy się na nim pojawił, został atrakcją dnia. Ja większość czasu spędzałem wtedy z Mańkiem i zdążyliśmy się już bliżej poznać.

Wiele nas łączyło.

W naszym wypadku można powiedzieć, że trafił swój na swego, bo obaj byliśmy skazani na dożywocie.

Latem 1945 roku mieliśmy z sobą bardzo dobry kontakt. Męska szczerść. Wiecie o czym mówię, prawda? Przyznałem się Mańkowi, że Wronki, to jedyne więzienie jakie znam. Dużo mu opowiadałem o obyczajach, jakie tu kiedyś panowały, natomiast od niego usłyszałem, jak wyglądało życie skazanych w innych zakładach karnych. Maniek, był starszy ode mnie o dwanaście lat, a więźniem został na początku lat trzydziestych. Pierwsze pięć lat z dożywocia odsiedział w Łomży, a potem został przeniesiony do Płocka. Obaj też przeżyliśmy wojnę na więziennych korytarzach.

Na razie łączyły nas wspólne pogaduchy na spacerniaku i papierosowe wsparcie, które mi okazał. Drogi naszego życia miały wkroczyć na tę samą ścieżkę, dopiero pod koniec przyszłego roku i trwać przez kolejnych siedem lat, aż do chwili, kiedy Maniek umarł spokojną śmiercią na więziennej pryczy.

Dni wolno płynęły do przodu, a lato 1945 roku było naprawdę upalne. Czasami na spacerniaku pojawiała się jakaś nowa twarz. Bardzo często natomiast, słyszeliśmy w środku nocy odgłosy zamieszania, dobiegające od strony pawilonów, gdzie siedzieli polityczni. Niekiedy wczesnym świtem wyprowadzano ich z cel, a echo niesło wtedy po więziennych korytarzach odgłosy komend i dźwięk gwizdków. Nie raz widziałem przez okno, jak klawisze eskortowali czwórkową kolumnę i maszerowali wzdłuż więziennego muru, kierując się w stronę stacji kolejowej. Na pewno działy się też inne rzeczy, ale my byliśmy skutecznie izolowani. Mało kto z pospolitych orientował się, jaka sytuacja panuje na pozostałych pawilonach. Niby żyliśmy obok, a jednak bardzo daleko od politycznych. W jednym końcu więzienia, jacyś ludzie byli poddawani brutalnym przesłuchaniom, w drugim błagali o litość i modlili się o to, żeby przeżyć, a nasza codzienność była po prostu... banalna.

Życie na spacerniaku toczyło się utartym rytmem. Żywy i jego kompania trzymali się ciągle razem, Sven dreptał samotnie wzdłuż siatki, a ja i Maniek zalegaliśmy w tym samym miejscu, co zawsze. Jako nałogowemu palaczowi, doskwierał mi jedynie brak papierosów i to było wtedy moją największą bolączką.

21 lipca obchodziłem swoją kolejną, niechlubną rocznicę.

- Dziś mija dokładnie dwadzieścia trzy lata, odkąd tu jestem - powiedziałem do Mańka.

- Szmata czasu - stwierdził. - Trzeba to uczcić - i poczęstował mnie fajką.

- Wiesz, czasami myślę o tym, czego mogłem dokonać przez te lata, gdyby mój los potoczył się inaczej - powiedziałem i spojrzałem w błękitne niebo malujące się ponad dachami więzienia.

- Wiem jak to jest - odpowiedział. - Wiem o czym mówisz, mam tak samo.

- Życie przeleciało wśród murów - westchnąłem - a ja do niego przywykłem. Czuję się tak, jakbym zasiedział się w tym parszywym miejscu i zapuścił tutaj głębokie korzenie. Nie wiem czy gdyby mnie teraz wypuścili - zacząłem fantazjować - potrafiłbym się odnaleźć w normalnym świecie. Wiesz, był tutaj kiedyś taki więzień skazany na dożywocie, na którego wszyscy wołali Ojczulek. Darzyłem go wielkim szacunkiem. Wyobraź sobie, że on był księdzem.

- Więzień był księdzem? - Wpadł mi w zdanie. - Żartujesz, prawda?

- Przysięgam na Boga, że to najszczerza prawda - powiedziałem. - Ojczulek był pierwszym skazańcem od którego usłyszałem, że boi się wolności.

- Co się z nim stało?

- Pewnego dnia, kiedy miał już ponad siedemdziesiąt lat okazało się, że go wypuszczają. Facet spędził w więzieniu prawie pół wieku. Wyobrażasz sobie, że trzymają cię tutaj przez pięćdziesiąt lat, a kiedy już jesteś stary i niedołężny, to mówią "zabieraj się stąd, jesteś wolny" - i zacząłem Mańkowi opowiadać, jak wyglądał ostatni dzień pobytu Eryka von Gerswalde. - Widzisz, on był już sędziwym człowiekiem, kiedy wyszedł, a ja mam raptem czterdzieści pięć lat i wcale nie jestem pewien tego, czy poradziłbym sobie w normalnym świecie, gdyby dziś darowano mi wolność. A ty? Chciałbyś teraz wyjść? - Zapytałem.

- Pewnie! - Odparł bez namysłu.

- Co byś zrobił? Opowiedz - chciałem posłuchać o jego marzeniach.

- Wróciłbym nad morze - odparł. - Jednego czego mi brakuje przez te wszystkie lata, to widoku morza, szumu fal i zapachu ryb, który unosi się w porcie zaraz po tym kiedy kutry wracały z połowów. Chciałbym też usiąść na piaszczystej plaży, patrzeć jak spienione bałwany dobijają do brzegu. Zanurzyć dłonie w morskiej toni, a potem poczuć na ustach jej słony smak. Dusze bym sprzedał, żeby to przeżyć. Byłeś kiedyś nad morzem? - Zapytał nagle.

- Nigdy. Niestety nie miałem okazji.

- To żałuj.

- Miałem tu kiedyś kumpla - uśmiechnąłem się szczerze - wołaliśmy na niego Suchy. Człowieku, co to był za koleś! Spodobałby ci się. Kombinator jakich mało! Suchy wiecznie kręcił jakieś interesy, szmuglował fajki i handlował czym się tylko dało. Kiedy wychodził z pudła, to powiedział, że pojedzie do Sopotu. Po kilku latach przysłał mi stamtąd kartkę. Zrealizował swój plan. Pewnego razu wpakowaliśmy się w kłopoty... - i zacząłem snuć opowieść o naszym biznesie z morfiną.

Tamtego dnia z jakiegoś nieznanego powodu wzięło mnie na wspominki. Może sprawiło to lipcowe słońce? Rozgadałem się, wspominając z nostalgią dawne czasy i moich starych kumpli. Historie o ich wyjściach, natychmiast zabiły we mnie poczucie durnowatej niepewności i strachu przed życiem po drugiej stronie murów.

Bardzo wiele razy przesiadując w towarzystwie Mańka na spacerunku, raczyliśmy się opowieściami z naszego życia albo rozmawialiśmy o przyjemnych rzeczach, o sprawach, które pozwalały na kilka chwil zapomnieć o miejscu gdzie przyszło nam żyć. Snuliśmy swoje fantazje, które zabierały nas daleko od tych murów i krat. Zabierały nas

w podróż do innej rzeczywistości, do świata, w którym byliśmy wolnymi ludźmi.

Poranki w celi nie należą do przyjemnych. Wiecie jak to jest po nocy, człowiek wstaje, pęcherz pełen, więc musi się odpryskać, puścić bąka albo nawet zrzucić balast. A teraz sobie wyobraźcie, że w małym ciasnym pomieszczeniu jest trzech ludzi i nie ma luksusowej muszli klozetowej. Jest tylko stalowe wiadro z pokrywką do której wasza trójka załatwia swoje fizjologiczne potrzeby. Odląć się to pół biedy, bo stawiasz bombę na taborecie i robisz swoje. Gorzej jeśli ktoś musi z rana skrócić figurkę z brązu. Większość więźniów bardzo szybko przywyka do takiej sytuacji, inni potrzebują trochę czasu, żeby to zaakceptować, ale są też tacy, którzy nie potrafią sobie z tym poradzić przez długie miesiące. Do takich właśnie należał Sven.

Józko, odkąd pamiętam, każdego ranka zasiadał na tronie zanim pojawiła się wydawka ze śniadaniem. Mój organizm funkcjonował w nieco innym cyklu, bo ja robiłem swoje dopiero po posiłku. To żadna atrakcja jak widzisz, kiedy twój kumpel zasiada w rogu pomieszczenia i wali klocka do bomby. Potem bierze swoją miskę, zaczerpuje wody z drugiego wiadra i myje dupsko. Po czasie traktujesz to, jak coś zupełnie naturalnego. Robisz to samo, ale o innej porze. Najbardziej nieprzyjemną sprawą zawsze jest tylko smród. Nic więcej.

Pewnego razu Józko rozpoczął posiedzeniem swój poranny rytuał, Sven spojrzał na niego, zrobił zniesmaczoną minę, powiedział coś po swojemu, a potem chyba się zapomniał i rzucił jedno słowo:

- Scheiße!

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

Nie wiem dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem. Swojego czasu klawisz powiedział, że Sven jest norweskim jeńcem i chyba to mnie zmyliło. Jednak kiedy usłyszałem jak zaklął, jak wypowiedział wyraźnie słowo "Scheiße!", natychmiast nabrałem podejrzeń. Chociaż świerbił mnie język, nie odezwałem się nawet słówkiem. Postanowiłem poczekać, aż Józko pójdzie do pracy.

Kiedy zostaliśmy w celi sami, usiadłem na pryczy i po prostu nie mogłem się powstrzymać, musiałem zapytać. Jeszcze żebym przynajmniej zachował odrobinę zdrowego rozsądku i przez moment zastanowił się, co chcę zrobić. A ja głupi, zaraz jak tylko klawisz zamknął za sobą drzwi walnąłem z grubej rury:

- Sprichst du deutsch?

Młody norweg spojrzał na mnie i odniosłem wrażenie, że w jego zaskoczonych oczach na moment pojawiła się iskierka radości. W pierwszym momencie nic nie odpowiedział. Odezwał się dopiero po kilku minutach.

- Tak, rozmawiam po niemiecku - odparł niczym rasowy szkop i usiadł na taborecie na wprost mnie. - Masz dziwne imię - stwierdził - Ropuch - wypowiedział moją ksywkę.

- To słowiańskie imię? Jesteś Polakiem czy Niemcem? - Zwrócił się do mnie.

- Ropuch to nie imię, tylko pseudonim - wyjaśniłem jednym zdaniem. - Jestem

Polakiem, ale podczas wojny nauczyłem się niemieckiego. - Zerknąłem w stronę drzwi i powiedziałem szeptem: - Mów trochę ciszej - a zaraz potem spytałem: - Skąd się tutaj wzięłeś?

Przysunął się nieco bliżej i rzekł:

- W lutym trafiłem do niewoli pod Stargardem niedaleko Szczecina. Moja dywizja brała udział w ataku na Arnswalde. Sowietci zmusili nas do odwrotu, część naszych czołgów wpadła w pułapkę i nie zdążyliśmy uciec. Dopadli nas. Niemców rozstrzeliwali na miejscu, oszczędzili natomiast wszystkich, którzy należeli do 11 SS-Freiwilligen-Panzergranadier-Division „Nordland”.

- Kto walczył w tej dywizji? - Rozbudził moją ciekawość.

- Na początku w jej skład wchodził tylko Duńczycy i Norwedzy - powiedział - ale w połowie czterdziestego czwartego dołączyli do nas Szwedzi, Finowie, Estończycy, a nawet kilku Islandczyków.

- Ile masz lat? - Zapytałem

- Dwadzieścia pięć, a ty?

- Czterdzieści pięć. Urodziny będę miał w październiku - dodałem skrupulatnie, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nagle ogarnęło mnie uczucie niepewności i dopiero wtedy pojąłem, że chyba popełniłem błąd, wdając się z nim w rozmowę. Nie przemyślałem tego. Jakimś cudem moje emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Dałem się ponieść, usłyszałem jak zaklął i bezmyślnie zdradziłem przed obcym człowiekiem, że potrafię dogadać się w innym języku. Przecież jak inni się o tym dowiedzą, to przylgnie do mnie piętno kolaboranta i szlag trafi całą wyimaginowaną legendę. Był tylko jeden sposób, żeby uratować sytuację.

- Sven, posłuchaj mnie teraz uważnie - rzekłem - kiedy będziemy sami tak jak teraz, to możemy z sobą swobodnie rozmawiać po niemiecku, rozumiesz? Jednak w obecności innych nie będziemy tego robić - starałem się mówić stanowczo.

- Nawet jak będzie z nami tylko Josef? - Zapytał.

- Nawet wtedy. Strażnicy też nie mogą wiedzieć, że potrafimy się porozumieć. Tak będzie dla nas lepiej. Tylko ty wiesz, że znam niemiecki i niech tak zostanie. Nie zdradź mnie.

- Dobrze - powiedział i kiwnął głową.

- Pilnuj się. Bądź bardzo ostrożny. Nie używaj niemieckiego w obecności Josefa, on na pewno rozumie niektóre słowa. Miły z niego człowiek, ale nie wiem czy można mu ufać. Nie wiem też, czy tobie można ufać.

Spojrzał na mnie i odparł:

- Wbrew pozorom, jesteśmy w podobnej sytuacji. Kiedy sowietci nas uwięzili, mój dowódca, który też był Norwegiem, powtarzał nam niejednokrotnie, że ci z nas, którzy znają niemiecki mają udawać, że nic nie rozumieją. To miał być nasz atut i sposób na przetrwanie.

Odniosłem wrażenie, że był ze mną szczerzy.

- Dlaczego wpakowali cię do naszej celi? - Zapytałem.

- Nie wiem. Przez dwa miesiące byłem w budynku, gdzie trzymają niemieckich jeńców. Wiele razy starali się mnie przesłuchać. Mają Niemca, który z nimi współpracuje,

ale udawałem, że niczego nie rozumiem. Potem zjawił się jakiś sowiecki oficer, chyba w stopniu majora...

- Major Kozłow? - Wpadłem mu w zdanie.

- Chyba tak. Po jego wizycie przenieśli mnie najpierw do pojedynczej celi, a potem trafiłem tutaj. A ty czemu jesteś w więzieniu? - Zmienił temat.

Spojrzałem mu w oczy i rzekłem:

- Popełniłem przestępstwo i zostałem skazany - odpowiedziałem i dodałem: - Skazany na dożywocie.

O dziwo Sven, przyjął tę informację w taki sposób, jakbym mu powiedział coś oczywistego, na przykład, że ładną dziś mamy pogodę. W pierwszej chwili pomyślałem, że może nie rozumiał o czym mówię. Wiem, jak przeważnie reagowali ludzie słysząc, że mają przed sobą kogoś z dożywociem.

- Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, nie miałem pojęcia kim możesz być - powiedział - dopiero, kiedy zaczęli mnie wyprowadzać na spacer, zorientowałem się, że odstajesz od pozostałych. Twój strój cię wyróżnia i wtedy domyśliłem się, że chyba jesteś jakimś szczególnym więźniem. Skazanych na dożywocie ubierają u was na niebiesko? - Zapytał.

- Nie - zaśmiałem się - wcześniej miałem na sobie takie łachmany, że wyglądałem jak dziad i chyba z tego powodu ubrali mnie w ten niebieski mundurek.

- A Josef? Co z nim? Gdzie on znika na całe dni? - Zapytał.

- Część więźniów w trakcie dnia chodzi do pracy. Josef też. Przed nim jeszcze ponad rok więzienia i wychodzi na wolność - wyjaśniłem.

Kolejne dni upływały nam na rozmowach. Czasu mieliśmy od groma, a przerwę w dyskusjach robiliśmy sobie wtedy, kiedy wyprowadzali nas na spacer.

Sven dużo opowiadał o sobie, o swojej rodzinie, o miejscu skąd pochodził i o tym, jak to się stało, że został żołnierzem. Dzięki niemu dowiedziałem się, jak w innym miejscu świata postrzegano zagrożenie, które niósł z sobą komunizm. Najbardziej jednak fascynowały mnie jego opowieści o Norwegii. Sam nie wiem czemu, ale w głębi duszy byłem przekonany, że to musi być piękny kraj. Wiele lat później widziałem kolorowe zdjęcia ukazujące piękno fiordów, potęgę górskich masywów i niesamowity archipelag wysp zwanych Lofotami. Wszystkie reprodukcje robiły imponujące wrażenie. Zastanawiałem się wtedy, jak to jest, że niektórzy ludzie mieszkają pośród pięknych krajobrazów, a inni nawet przez całe życie nie mają okazji ich zobaczyć? Sven opowiadał również o swoim żołnierskim życiu i o szlaku bojowym. Najpierw był w szeregach formacji "Viking". W 1943 roku mógł wrócić do swojej ojczyzny, ale tego roku Hitler rozkazał utworzyć jednostkę w ramach Waffen-SS w skład której mieli wejść tylko cudzoziemscy ochotnicy. Zdecydował, że nadal chce walczyć i w ten sposób trafił do dywizji "Nordland". Walczył na Bałkanach, później los rzucił go na przedpola Leningradu, a następnie do Estonii. Z jego ust usłyszałem o walkach w pobliżu miasta Narva, które przeszły do historii jako "bitwa europejskiego SS". Zyskały one ten przydomek z tego powodu, że większość niemieckich jednostek składała się z

cudzoziemców, którzy dobrowolnie przelewali swoją krew za III Rzeszę.

Któregoś razu zapytałem go:

- Powiedz mi Sven, a teraz jak sądzisz? Warto było? Gdybyś wiedział, jaki czeka cię los, to postąpiłbyś tak samo?

- Tak - odparł bez żadnego wahania - jednak z tą różnicą, że drugi raz nie dałbym się wziąć żywcem do niewoli.

Kiedy usłyszałem z jaką pewnością i zdecydowaniem wypowiedział swoje słowa, zrozumiałem, że ludzie północy to bardzo waleczna nacja.

Pod koniec sierpnia nasze relacje były już bardzo zażyłe, a ja pomyślałem, że Sven powinien się zacząć uczyć polskiego.

- W przeszłości - rzekłem - pewien człowiek powiedział mi, że warto znać język wroga. Nie traktuj tego dosłownie, chodzi mi o to, że nie masz nic do stracenia, a jeśli poznasz naszą mowę, to dobrze na tym wyjdiesz. - Zrobiłem mądrą minę, jakbym chciał mu uzmysłować, że coś o tym wiem.

Na początku przyjął moją propozycję bardzo sceptycznie, bowiem twierdził, że nie wie czy będzie w stanie, jak to nazwał - szeleścić po polsku.

- Wasz język jest bardzo dziwny, kojarzy mi się z szumem liści. Czasami, kiedy się przysłuchuję, jak rozmawiacie z Josefem, to mam wrażenie, że nigdy w życiu nie byłbym w stanie wypowiedzieć takich słów - zaśmiał się.

- Jak nie spróbujesz, to się nie przekonasz.

Sven podjął wyzwanie.

Znajomość niemieckiego bardzo nam ułatwiła sprawę, bo mogłem mu wyjaśniać, oczywiście najlepiej jak potrafiłem, zasady polskiej gramatyki. Zaczęliśmy od podstaw, czyli od twierdzeń typu - "to jest okno", "to jest stół", "to jest krzesło", "na imię mam Sven", "jestem głodny", "jestem zmęczony".

Po kilku dniach zdałem sobie sprawę, jak trudny musi być zawód nauczyciela. Na szczęście miałem przed sobą bardzo pojętnego ucznia. Przy okazji śmiechu było co niemiara, a już szczególnie wtedy, kiedy mój norweski towarzysz wkroczył na etap poznawania liczby mnogiej. Sprawę komplikowało mu używanie słów "jest" i "są", bowiem w jego rodzinnym języku nie rozróżniało się ich, jako osobnych pojęć.

Sven mówił tak:

- Na spacerunku jest więźniowie.

Albo:

- Za murem jest drzewa.

Potem zaczęła się zabawa z czasami. Kiedy rozmawialiśmy w czasie teraźniejszym, szło mu całkiem dobrze, ale jak tylko pojawiał się czas przyszły lub przeszły w jego głowie natychmiast rodził się chaos. W mig pojąłem, że ołówek i zwykła kartka papieru, niesamowicie ułatwiłyby nam jego edukację.

Po dwóch miesiącach Sven załapał w czym rzecz.

Kilka dni po moich urodzinach powiało chłodem. Nastaly deszczowe dni i chłodne noce. Świtem temperatura spadała poniżej zera, a raniem zerkając przez okno, dało się dostrzec połacie trawy pokryte białym szronem. W celi było tak zimno, że przy każdym oddechu para leciała z ust. Dwie rury centralnego ogrzewania, które biegły wzdłuż rogu po lewej stronie drzwi były zimne jak lód. Wszystko wskazywało na to, że chyba nie poradzili sobie z uruchomieniem kotłowni. Za nic w świecie nie mogłem sobie przypomnieć, czy podczas swojej pierwszej rozmowy z Wiktorem przyznałem się do tego, że podczas hitlerowskiej okupacji pełniłem funkcję palacza.

Przed południem, w dzień wszystkich świętych, w drzwiach naszej celi pojawił się plutonowy Laskowski i rozkazał:

- Żabikowski, chodźcie ze mną!
- Co się stało towarzyszu plutonowy? - Zapytałem, kiedy minąłem próg.
- Major Kozłow chce z wami rozmawiać.

Na dźwięk jego słów, poczułem nieprzyjemne mrowienie w dołku.

- Stefek, kiedyś wspominałeś, że w czasie wojny paliłeś w piecu - powiedział Wiktor, kiedy znalazłem się w jego gabinecie. - Mamy tutaj problem z ogrzewaniem, a ty chyba jesteś dobrze zorientowany w obsłudze więziennej kotłowni, prawda? - Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem.

- Z pierwszym odpaleniem zawsze jest problem, ale powinienem sobie poradzić - odparłem uczciwie.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiał.

- A jak mają się nasze sprawy? Dotrzymujesz warunków umowy? - Zapytał zmieniając temat.

- Tak - odpowiedziałem jednym słowem.

- To dobrze. Papieroska? - Powiedział i wyciągnął w moją stronę dłoń z paczką fajek. - A powiedz mi Stefek, jak tam wasz norweski współtowarzysz? Z tego co wiem, to chyba już rozumie po polsku, nauczyliście go mówić?

Nie miałem pojęcia, czy bierze mnie pod włos, czy faktycznie mógł coś wiedzieć. Może donieśli mu, że widzieli nas obu rozmawiających na spacerunku, bo kilka razy tak się zdarzyło, a może Józek się komuś wygadał?

- Niewiele rozumie - skłamałem.

- No dobrze dobrze - westchnął - zobaczymy.

- Masz jakieś zażalenia, uwagi, prośby? Pojawiły się jakieś nieprzewidziane sytuacje? Ktoś się tobą interesuje w jakiś szczególny sposób? - Zapytał i znowu spojrział na mnie tym swoim podejrzliwym i przenikliwym wzrokiem.

- Nie - odpowiedziałem i pokiwałem przecząco głową.

Nagle Wiktor podszedł do drzwi, złapał za klamkę i otworzył je na oścież.

- Chodźcie tu plutonowy! - Rzucił władcym tonem.

Do środka wszedł Laskowski.

- Ten więzień - wskazał na mnie ruchem głowy - potrafi rozpalić piec i uruchomić ogrzewanie. Wy Laskowski wybierzcie dwóch strażników i dwóch więźniów, którzy

zostaną przez niego przeszkoleni w obsłudze kotła. I jeszcze dzisiaj kaloryfery mają być ciepłe!

- Tak jest towarzyszu majorze!

Laskowski odeskortował mnie do celi i powiedział, że niebawem zjawi się ponownie, jak tylko wytypuje odpowiednich ludzi.

- Sven, chyba cię będą przesłuchiwać - powiedziałem szeptem, kiedy zostaliśmy sami w celi.

Młodzian spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Ten sowiecki major, major Kozłow - dodałem - zapytał mnie kilka minut temu, czy potrafisz już mówić po polsku. Powiedziałem mu, że niewiele jeszcze rozumiesz. O czym on chce z tobą rozmawiać?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Kiedyś, jak byłem jeszcze w pawilonie z Niemcami, pewnego razu usłyszałem, jak szkopy rozmawiali między sobą i jeden z nich powiedział, że ja to mam szczęście, bo pewnie wezmę udział w wymianie jeńców.

- Oby tak się stało. Życzę ci tego z całego serca.

Godzinę później zjawił się jakiś klawisz i zabrał mnie do podziemi. W pomieszczeniu kotłowni było pięć osób. Dwóch więźniów, dwóch strażników i plutonowy Laskowski.

- Tak Żabikowski, przeszkolicie naszych ludzi w obsłudze kotła. Od czego chcecie zacząć? - Zapytał.

- Najpierw musimy przejść wzdłuż całej instalacji, żeby ją odpowietrzyć...

Całą grupą ruszyliśmy piwnicznymi korytarzami.

Upewniłem się, czy wszystkie zawory doprowadzające ciepło do poszczególnych pawilonów są otwarte.

Potem wróciliśmy do kotłowni i krok po kroku objaśniłem im całą procedurę. Zasadę funkcjonowania ciągu, poziom lustra wody, jak kontrolować dopuszczalną temperaturę i ciśnienie oraz wyjaśniłem sposób ładowania opału. Jeden z klawiszy notował wszystkie moje słowa w swoim kajecie. Kilka razy złapałem się na tym, że mój wzrok mimowolnie powędrował w kierunku miejsca, gdzie ukryłem puszkę po wiśniach w czekoladzie. Puskę, w której znajdowały się moje bezcenne skarby. *Jeżeli ktoś ją znajdzie, to będzie niedobrze, bardzo niedobrze* - w głowie zabrzmiała myśl, która zmroziła mi serce. - *Lepiej, żeby tak się nigdy nie stało.*

Wieczorem w każdej więziennej celi było już ciepło.

Tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć. Józek pochrapywał, Sven też dał się już uwieść Morfeuszowi, a ja leżałem na wznak i wpatrywałem się w żółtą poświatę lamp, która wpadała przez okratowane okno. Mdły blask latarni malował się na chropowatych ścianach. Nie mogłem przestać myśleć o mojej metalowej puszcze, która owinięta w szmatę, spoczywała w ciemnym zakątku. *Nigdy jej nie odzyskam* - od kilku godzin w myślach dźwięczało mi to zdanie. - *Nigdy.* Chyba musiałbym osiąść dwie podstawowe

umiejętności, które mają tylko bohaterowie fantastycznych opowieści. Musiałbym być niewidzialny i mieć moc przenikania przez ściany. Posiadając takie zdolności bez problemów odzyskałbym swoje rzeczy.

Los uśmiechnął się do mnie dopiero cztery lata później, na kilka dni przed tym, zanim świat powitał lata pięćdziesiąte. Ludzkie zaniedbanie, lenistwo i głupota, doprowadziły wtedy do tragedii, która rozegrała się w kotłowni. Doszło do rozszczelnienia pieca i rozwalilo w piwnicy pół instalacji grzewczej. Woda lała się strumieniami, ciśnienie było tak potworne, że gorąca para, aż gwizdała wydobywając się z rozszarpanych rur. Jakby tego było mało w podziemiach pawilonu wybuchł jeszcze pożar, bowiem zajęły się stare szmaty, sterta drewna, które służyło na podpałkę i beczka z benzyną. Kłęby czarnego dymu spowiły więzienne korytarze. W tym koszmarnym zdarzeniu zginął jeden człowiek, a dwóch zostało na zawsze oszpeconych i okaleczonych. Jednak o tym zajściu, opowiem wam później.

Następnego dnia kilka minut po tym, jak Józko poszedł do pracy, rozległo się szurnięcie zasuw i w drzwiach pojawiło się dwóch uzbrojonych strażników. Jeden z nich wszedł do środka. Spojrzał na mnie i warknął:

- Stój gdzie stoisz!

Bez słowa agresywnie złapał Svena za kołnierz bluzy i wyciągnął na zewnątrz.

Przez ponad trzy godziny siedziałem samotnie w celi i zastanawiałem się, co z nim zrobią? Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że stanie się coś złego. Ta myśl nie dawała mi spokoju. Nerwowo przechadzałem się wte i wewte, raz po raz zerkając w okno, a w głowie rozbrzmiewała ponura myśl: - *Stanie się coś złego, wiem, że stanie się coś złego!*

Przyprowadzili Svena kwadrans przed południem. Właściwie nie tyle przyprowadzili, co go przywlekli i cisnęli do wnętrza celi niczym worek kartofli. Młody Norweg padł na posadzkę.

Pomogłem mu wstać.

Na jego obliczu widniały krwawe ślady.

- Połóż się na pryczy - powiedziałem, a zaraz potem wziąłem szmatę, która służyła nam za ręcznik, zamoczyłem ją w wiadrze z wodą i zrobiłem mu okład.

Sven leżał z zamkniętymi oczami i trzymając się dłońmi za brzuch, pojękiwał z bólu. Po kilku chwilach wyglądał tak, jakby zapadł w sen. Usiadłem obok niego na taborecie i raz po raz zmieniałem mu okład na opuchniętej twarzy. Solidnie oberwał. Zachodziłem w głowę, czego mogli od niego chcieć? Jakie informacje chcieli z niego wydobyć? Jakie tajemnice mógł skrywać zwykły żołnierz?

Przez wiele dni Sven nosił sińce na twarzy i pręgi na plecach. Ponoć Wiktor kazał swoim ludziom wycisnąć z niego wszystkie informacje o norweskiej kadrze dowódczej dywizjonu "Nordland". Tylko w sobie wiadomym celu starał się odszukać tych oficerów, którzy z powodu chaosu organizacyjnego i lekceważenia, trafili do innych więzień lub obozów jenieckich. Dlaczego to było takie ważne i kogo konkretnie szukał? Nie wiem. Na zawsze pozostanie to dla mnie tajemnicą.

Od tamtej pory, raz w miesiącu Sven był przesłuchiwany. Ledwo zniknęły z jego ciała siniaki, a ludzie, którzy byli prawdopodobnie powiązani z NKWD i UB znowu zadawali mu ból.

To był jego krzyż, który musiał dźwigać na swoich młodych barkach.

Pod koniec listopada Sven władał polszczyzną już w taki sposób, że tylko twardy akcent zdradzał, iż jest cudzoziemcem i czasami miał problem z naszymi świszczącymi głoskami typu ś, ć i ź.

- A powiedz mi dlaczego Josef mówi zupełnie inaczej niż ty?

- Bo widzisz, on pochodzi z innego regionu Polski. Po naszymu mówi się, że on zaciąga. Zupełnie inaczej akcentuje słowa i na dodatek rzadko kiedy używa formy osobowej. Czasami nawet ja mam problem, żeby dobrze rozszyfrować jego słowa.

- Jak byłem młody, to ojciec zabrał mnie do Stavanger - powiedział Sven. - To taka duża miejscowość na zachodnim wybrzeżu Norwegii. Pamiętam, jak rozmawiał z jakimś człowiekiem, a ja nie byłem w stanie go zrozumieć. U nas mówi się wtedy, że ktoś taki ma inny... hmm... nie wiem jak to będzie po polsku, u nas nazywamy to dialekte.

- U was dialekte, a po naszymu to dialekt - rzekłem. - No proszę, okazuje się, że jednak mamy podobnie brzmiące słowa.

Święta Bożego Narodzenia, to dla osadzonych bardzo trudny czas. Czas pełen ciepłych, ale zarazem smutnych wspomnień. Każdy wtedy sięga pamięcią do dawnych dni, przypomina sobie rodzinny dom, zapach potraw, widok przystrojonej choinki, smak karpia, barszcz z uszkami... W duszy zaczyna grać nostalgia i łzy podchodzą do oczu. Podczas świąt człowiek rozmiękcza się i rozpląwa w tej więziennej beznadziei, która otacza go ze wszystkich stron. Odkąd zostałem skazańcem, nienawidziłem świąt, bowiem po tej stronie murów one nigdy nie miały w sobie żadnej magii.

Pamiętam moje pierwsze bożonarodzeniowe święta po wyjściu z więzienia. Kurde, czułem się wtedy tak, jakbym zjawił się z wizytą na innej planecie! To był dla mnie prawdziwy szok. Ta cała medialna otoczka, te wszystkie witryny sklepowe z tymi świecącymi choineczkami i dekoracjami w kształcie prezentów. Błyszczący papier, wstążeczki, mnóstwo czerwieni i melodyjny dźwięk kolęd dobiegający z każdej strony. Na wrocławskim rynku stała potężna choinka, oświetlona i ustrojona kolorowymi łańcuchami. Widziałem nawet świętego Mikołaja, jak z grupą elfów krążył po starówce i rozdawał jakieś gówniane ulotki zachęcające do zakupów. Z jednej strony fajne to było i dzieciaki na pewno miały radochę, ale z drugiej, kicz jakich mało. Mam wrażenie, że ludzie zapomnieli czym naprawdę są święta. Wydaje mi się, że świat został zdominowany przez konsumpcję. Kiedyś tego nie było. Kiedyś święta miały zupełnie inne oblicze, bo i ludzie byli inni. A teraz wyobraźcie sobie, że ten cały show jaki obecnie towarzyszy świętom nagle znika. Nie ma tego wszystkiego. Po prostu nie ma. Na dodatek pogoda jest parszywa, zero śniegu, ale za to jest zimno i szaro, wieje wiatr i pada deszcz. W całym mieście nie ma prądu, gazu i wody. Awaria na całego. Nic nie działa. I niech ta klęska

trwa przez trzy dni, przez całe święta. Jesteście sobie w stanie to wyobrazić? Jeżeli tak, to właśnie poczuliście małą namiastkę świąt w więzieniu. Mało tego, pomyślcie sobie, że taki sam dramat rozegra się dokładnie za rok. Gwarantuję wam, że znienawidzicie wtedy święta.

Ja miałem za sobą największe doświadczenie, Sven od kilku lat też spędzał święta inaczej, ale Józko był w zupełnie innej sytuacji. Zaczął się rozklejać. Chyba wcześniej nie zdawał sobie sprawy, co go czeka. Oczywiście reagował tak jak wszyscy, którzy po raz pierwszy muszą się zmierzyć z brutalną prawdą.

W wigilię dostaliśmy na kolację kaszę, śledzia i kromkę suchego chleba. Solonego śledzia, żeby było jasne.

- No to co, może przełamię się chociaż chlebem? - Zapytał Józko niepewnym głosem, a ja wyjaśniłem Svenowi w czym rzecz.

Pożyliśmy sobie wszystkiego najlepszego, zjedliśmy to co nam dali i było po wigilii. Potem oczywiście Józko zaczął wspominać... Jakoś tak wyszło, że od słowa do słowa wkroczyliśmy na inne tematy. Okazało się, że nasz norweski kumpel był jako dziecko ochrzczony, pochodził z protestanckiej rodziny, ale osobiście miał bardzo luźny stosunek do religii. Właściwie to nie był wierzący. Wywiązała się między nami dyskusja na temat wiary i dobrnęliśmy do kwestii stworzenia świata.

Ja i Józko, jak przystało na prawdziwych katolików, wychodziliśmy z założenia, że Bóg powołał do życia Adama, a później Ewę, potem oni zgrzeszyli, Stwórca się wkurzył i dał im kopa z raj.

- Ale skąd wziął się świat? - Zapytał Sven.

- Pan Bóg go stworzył - odparł Józko w taki sposób, jakby nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- A jak się nazywa wasz bóg? - Dociekał potomek wikingów.

- No toż jak się nazywa... - zastanowił się przez chwilę i dodał - Pan Bóg to Pan Bóg i tyle, prawda? - Powiedział i spojrzał na mnie.

- A wiecie kim był Odyn? Słyszeliście kiedyś o nim? - Spojrzał na nas i ciągnął dalej. - Według wierzeń moich przodków, to właśnie Odyn wraz ze swoimi braćmi stworzył nasz świat.

- O Matko Przenajświętsza - Józko przeżegnał się słysząc jego słowa. - Nie bluźni, oj nie bluźni, bo to grzech śmiertelny!

- Josef, ale dlaczego sądzisz, że racja i prawda jest po waszej stronie?

Przysłuchiwałem się ich dyskusji i stwierdziłem, że zaczyna się robić coraz bardziej ciekawie.

- No bo tak jest, wszystkie to wiedzą...

- Josef - wpadł mu w zdanie - świat jest duży i ludzie wierzą również w inne bóstwa.

- A skąd się wziął twój bóg, aaa? - Zagadał Józko.

- A twój? - Usłyszał w odpowiedzi.

- Mój był od zawsze.

- Mój też. Różnica pomiędzy nami jest taka, że ja wiem jak mój bóg się nazywa, a ty nie.

- No bo ja nie za bardzo czytany w tych sprawach - wybrnął Józko i spojrzał na

mnie błagalnym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć - "Ropuch, ratuj!".

Sven przyznał, że w jego rodzinnym domu biblia zawsze była uważana za najważniejszą księgę. Dowiedzieliśmy się od niego, że chrześcijaństwo dotarło do Norwegii mniej więcej w tym samym czasie, kiedy u nas Mieszko I przyjął chrzest. Pięćset lat później dominującą religią został luteranizm. Jednak ze słów naszego norweskiego kompana wynikało, że jest zafascynowany mitologią nordycką i starymi wierzeniami swoich przodków. I muszę przyznać, że wiedzę w tym temacie miał ogromną. W wigilijny wieczór dowiedzieliśmy się, że według wierzeń dawnych ludów północy, nasz świat, jest jednym z dziewięciu światów. Oprócz krainy ludzi, były jeszcze inne. Jego przodkowie między innymi wierzyli również w istnienie świata lodu, mgły i zimna, w krainę ognia, krainę zmarłych i ciemności, elfów i krasnoludów. To wszystko co mówił, brzmiało jak baśń i przyjemnie się słuchało jego opowieści.

- Odyn jest bogiem wojny i wojowników - ciągnął Sven - symbolizuje władzę i mądrość oraz magię i poezję. Wraz ze swoimi braćmi zabił lodowego olbrzyma i wtrącili go do otchłani Ginnungagap. Do miejsca, które w waszym języku brzmiałoby "ziewająca pustka". To mityczna przepaść, która znajduje się pomiędzy okrutnym zimnem i nieznośnym gorącem. Tak właśnie powstała ziemia. Z kości olbrzyma Odyn stworzył góry, z jego czaszki niebo, a z krwi, morza i rzeki. Ludzi natomiast wyrzeźbił na swoje podobieństwo, ale nadając im mniejszy kształt. Mężczyźni powstałi z pnia jesionu, a kobiety z olchy.

Potem nasłuchaliśmy się o Valhalli, krainie wiecznego szczęścia.

- Macie przedziwne pojęcie szczęścia - zażartowałem, kiedy usłyszałem, że w owej Valhalli całymi dniami toczą się nieustanne i krwawe boje, a wieczorem wszyscy wojownicy zasiadają do wspólnej uczty.

- Chyba lepsze to, niż wałęsać się po rajach, gdzie nic się nie dzieje - odparł Sven, ale nie było w jego głosie cienia złośliwości lub kpiny. - No dobra chłopaki, ale już mnie szczęka boli od gadania. Może teraz wy mi w końcu opowiecie coś o Słowianach. Macie chyba jakieś opowieści, co? - Zapytał i spojrzał po naszych twarzach.

Józko jak to Józko, wzruszył nieporadnie ramionami, więc musiałem wziąć ten obowiązek na siebie. Tylko cóż takiego miałem mu opowiedzieć? Mieliśmy kiedyś bóstwo, które nasi przodkowie nazywali Światowidem, ale jedyne co wiedziałem na ten temat, to tylko tyle, że miało cztery twarze spoglądające w każdym kierunku świata i na tym kończyła się cała moja wiedza. Była jeszcze legenda o smoku wawelskim i o Wandzie, która nie chciała Niemca... aha i znałem jeszcze historię o Popielu. Nagle stwierdziłem, że w sumie, to ja nic nie wiem i poczułem się żenująco. Już nawet nie tyle przed tym norweskim chłopakiem, co sam przed sobą.

Opowiedziałem mu tylko historię o smoku wawelskim, która kryła w sobie bratobójczą zbrodnię i starałem się ją ubrać w najbardziej krwiste słowa, jakie tylko znałem. Potem przyznałem się uczciwie, że jakoś nigdy nie czułem zainteresowania zamierzchnią przeszłością moich przodków. Oczywiście mogłem jeszcze wspomnieć o Popielu, ale jakoś słabo wypadał na tle nordyckich opowieści facet, który pozwolił na to, żeby myszy wpierdoliły go żywcem.

Tamtego dnia pomyślałem, że jeśli kiedyś nadarzy się okazja, to bardziej

zainteresuję się słowiańską historią sprzed setek lat.

W czasie dwóch kolejnych świątecznych dni, które poza wyjściem na spacerki, spędziliśmy na słuchaniu niesamowitych opowieści, dowiedzieliśmy się z Józkiem, że Odyn w całej swojej mądrości ofiarował ludziom pismo o magicznej mocy.

- Są dwadzieścia cztery znaki runiczne - mówił Sven - które mają w sobie ukrytą moc. Jeżeli napisałbyś coś za pomocą run na papierze, to potem ten papier musisz zachować, albo zniszczyć go na dwa sposoby. Zakopać w ziemi lub spalić na popiół. Gdybyś wyrzucił ten skrawek papieru, to wtedy może dopaść cię klątwa.

- Naprawdę w to wierzysz? - Zapytałem patrząc na niego zaskoczonym wzrokiem.

- Tak. Dla mnie runy są święte. Każda z nich coś oznacza. Runy potrafią wskazać ci drogę twojego życia. Tylko spójrzcie - powiedział i zaczął rozpinać swoją wysłużoną koszulę. - Mam na ramieniu tatuaż. Nie raz widziałem w łaźni czyjeś spojrzenie i uśmiech politowania. Pewnie myślicie, że to tylko koślawe znaczki - odkrył prawe ramię i pokazał nam swoją dziarę. - Ten znak, który przypomina złamane C to Kenaz i odpowiada literze K lub C. Symbolizuje kilka znaczeń. Jakby to powiedzieć po polsku... - zastanowił się przez chwilę - najbliższe określenia to żarliwość i dążenie do celu, jak również otwartość i pomoc. Następny to Thurisaz. Litera T i H. Oznacza niezłomność, witalność, potęgę i wyglądem przypomina tarczę. Trzecia runa to Othala, odpowiednik litery O. Othala to tradycja, ojczyzna i rodzina, to również bezpieczeństwo, prawo i porządek. Te trzy runy tworzą moją drogę życia. Drogę wojownika - powiedział z dumą. - Te symbole mówią kim jestem i dokąd zmierzam. Każdy, kto zna pismo runiczne odczyta zawarte w nich przesłanie. Dowie się z nich, że swoją żarliwą niezłomnością obronię i ochronię, moją rodzinę i ojczyznę, że jestem żywą tarczą, która odeprze każdy cios.

Wtedy zrozumiałem, jak wielką wagę do symboli musieli przywiązywać ludzie żyjący w innym zakątku ziemi. Byłem również pełen podziwu dla Svena. Naprawdę imponował mi ten młodzian, może nie tyle swoją wiedzą, która była ogromna, ale tym, że w ogóle interesował się takimi rzeczami. Oprócz mitów o nordyckich bogach, posiadał sporo informacji historycznych dotyczących samej Norwegii. Gdybym Józka zapytał, kiedy Jagiełło pokonał krzyżaków pod Grunwaldem, to pewnie spojrzałby na mnie swoimi maślanymi oczkami i na tym by się skończyło...

Sven na tyle rozbudził moją ciekawość, że wiele lat później, kiedy we wronieckim więzieniu nastąpiły duże zmiany, postanowiłem zgłębić moją wiedzę na temat skandynawskiej mitologii. Z początkiem lat pięćdziesiątych zaczęła funkcjonować biblioteka i każdy pospolity mógł korzystać z jej skromnych zasobów. Dopiero dwa lata po śmierci Stalina, kiedy faktycznie nastąpiły już czasy lekkiej odwilży, polityczni też zyskali ten przywilej. Oprócz książek były dostępne różnego rodzaju gazety i czasopisma. Faktem jest, że bardziej przypominały socjalistyczne ulotki propagandowe niż głos wolnej prasy, ale i tak na dobrą sprawę, człowiek nawet z nudów mógł dzięki nim liźnąć odrobinę jakiegokolwiek wiedzy. Oczywiście więziennej bibliotece daleko było do

uniwersyteckiej, lecz to zupełnie inny temat. Dzięki Bogu znałem wtedy archiwistę Szorpaka i to właśnie on dostarczał mi książki, dzięki którym poszerzałem własne horyzonty. Jednak oprócz dostępu do słowa pisanego, Sven pozostawił mi po sobie coś bardzo cennego. To coś, zawsze znaczyło dla mnie więcej, niż wszystkie historyczne opracowania razem wzięte. To coś, miało większą wartość niż cała literatura, po którą mogłem swobodnie sięgnąć.

To były wizerunki znaków runicznych.

Wizerunki wyryte ręką człowieka, który wierzył w ich moc.

W związku z tym, że Józko pracował na folwarku, miał dostęp do różnych przedmiotów. Któregoś dnia poprosiłem go, żeby skombinował gwóźdź.

- Gwóźdź? - Zapytał i zrobił duże oczy. - A po co chce gwoździa, aaa?

- No po co i po co, a po to, żeby mieć. Załatw i przynieś, chyba tyle możesz dla mnie zrobić. Możesz? - Spojrzałem na niego unosząc do góry brwi.

Pokiwał głową i stwierdził, że postara się załatwić.

Tego samego dnia przyniósł z sobą stary, zardzewiały gwóźdź.

- Gorszego już nie było? - Uśmiechnąłem się i posłałem mu oczko.

- Oj nie narzeka, chciał gwóźdź to ma gwóźdź. Przecież nie mówił, że chce nowy.

- No masz rację Józku, nie mówił - odparłem.

- A do czego go potrzebuje, aaa?

- A do tego, żeby zrobić w pasku dodatkową dziurkę, bo schudł ostatnimi czasy. - Powiedziałem, naśladowując dla hecy jego mowę.

Kiedy następnego dnia wróciliśmy z wybiegu, przystąpiliśmy do dzieła. Zdjęliśmy z haków półkę, która wisiała nad stołem i zrobiliśmy to tylko dlatego, żeby Svenowi było wygodniej ryć małym gwoździem w drzewie. Swoje dzieło wykonał na bocznej ścianie, która spoglądała w kierunku okna i nie rzucała się w oczy kogoś, kto stał od strony drzwi. Sven mając tylko marnego gwoździa, który posłużył mu za dłuto, potrzebował prawie całego popołudnia, żeby wykonać robotę. W trzech kolumnach, wyrył dwadzieścia cztery magiczne znaki wraz z nazwą każdej runy oraz literą alfabetu, która jej odpowiadała.

Po tygodniu znałem już na pamięć wszystkie imiona run, a potem męczyłem Svena, żeby mi uświadomił, co oznacza dany symbol. Tak sobie myślę, że chyba miałem wtedy hopla na tym punkcie. Może działo się tak z nadmiaru wolnego czasu i naszego wspólnego przebywania w jednej celi? Chociaż z drugiej strony zawsze uważałem i do dzisiaj uważam, że ten temat jest bardzo intrygujący. Moja fascynacja była tak duża, że po pewnym czasie zacząłem nabierać przekonania, iż w moich żyłach musi płynąć domieszka północnej krwi.

Nie wiem jak wyglądałoby moje życie, gdybym dzielił celę tylko z Józkiem, który całymi dniami pracował. Całkiem możliwe, że jakbym siedział bezczynnie sam w czterech ścianach, to dostałbym do głowy. Jednak miałem towarzysza, z którym mogłem rozmawiać i wtedy czas po prostu mknął.

Sven na początku każdego miesiąca był zabierany na przesłuchanie i ciągle wałkowali z nim ten sam temat. Twierdził, że wciąż pytają go tylko o norweskich dowódców. Po każdym takim spotkaniu wracał pobity i z zakrwawioną twarzą. Żał mi go było. Chłopak się dużo nacierpiał.

Nawet się nie spostrzegłem, kiedy po drugiej stronie murów zazieleniły się liście, a potem nastąpiło lato. Raz po raz znikwały ze spacerniaka znajome twarze, a w ich miejsce pojawiały się nowe gęby. W tamtym czasie czułem się tak, jakbym trwał zawieszony w pustce. Zresztą nie ja jeden miałem takie wrażenie. Maniek podzielał moje zdanie. Pewnego razu powiedział:

- Wiesz co, chyba w czasie wojny więcej wiedziałem niż teraz. Żyjemy tutaj jak na jakimś pierdolonym odludziu, gdzie nie docierają żadne informacje. My nie mamy pojęcia, co się dzieje po drugiej stronie murów. Człowiek się dowie tylko tyle, co powiedzą świeżutcy. - Miał cholerną rację, bo tak właśnie było. - Widzisz tego w zielonej koszuli? - Zapytał i kiwnął głową na wprost.

- Widzę - odparłem. - Co z nim?

- Nic. To mój nowy lokator. Pytam go, co słyhać w szerokim świecie? A ten pajac odpowiada mi, że wszystko po staremu. Więc ja do niego mówię, że nie wiem, jak to jest po staremu i niech mi wyjaśni. Spojrzał na mnie jak na wariata i pyta się, co ma mi wyjaśniać, skoro jest jak jest. Myślę sobie, dureń jakiś. Pytam więc typa, za co siedzi i ile dostał, a on na to, że nie moja sprawa. Jest ze mną w celi od kilku dni i powiem ci, że w ogóle z sobą nie gadamy. Teraz widzę, że kręci się przy tych gamoniach, co trzymają z Żywym i szuka kumpli, łachudra jedna - powiedział i splunął. - Dwa dni temu zagadnąłem do Laskowskiego i zapytałem, co trzeba zrobić, żeby zmienić towarzystwo w celi.

- I co ci powiedział?

- Że tu kurwa mać nie hotel, tylko więzienie i raczej nie stać mnie na przeprowadzkę. No to ja do towarzysza plutonowego melduję się z zapytaniem, a ile to kosztuje? Jak myślisz, ile sobie życzy? - Zapytał i spojrzał na mnie.

- Maniek, czy ty się dobrze czujesz? - Odpowiedziałem. - Ja nawet nie wiem jaki pieniądz obowiązuje po drugiej stronie murów.

- Z tego co mi wiadomo, to tak zwany złoty polski. Mamy swoje pieniądze, tylko że ponoć w Moskwie drukowane - nie miałem pojęcia czy on mówi poważnie, czy sobie żartuje. - Wyobraź sobie, że Laskowski chce za taką przysługę tysiąc złotych.

- A co można kupić za te tysiąc złotych?

- A na przykład dziesięć amerykańskich dolarów.

- Ty, ale mów do mnie jak człowiek, ile paczek papierosów można kupić za te tysiąc złotych?

- Oj coś mi się wydaje, że ty to już całkiem jesteś zieloniutki. Może to i lepiej - pokiwał głową robiąc mądrą minę i dodał: - W pewnym sensie, ta niewiedza czyni cię wolnym. To co teraz palimy - wyjął z kieszeni opakowanie na którym widniał wizerunek żołnierza z bronią i napis "Partyzant" - na czarnym rynku kosztuje dziewięćdziesiąt pięć złotych za paczkę.

- Czyli wychodzi na to, że za dziesięć skrzyneczek, można zmienić celę albo współlokatora - powiedziałem.

- Niby tak - westchnął. - Pierwszy problem jest taki, że on chce forszę, a nie szlugi. Druga przeszkoda to taka, że nie mam nawet takiego kapitału w fajkach. Chętnych na zakup pewnie bym znalazł, ale skąd ja wezmę tyle towaru? - Wzruszył ramionami i zaciągnął się dymem. - Jakoś przemęczę się z tym frajerem - spojrzał na człowieka w zielonej koszuli. - Dostał tylko dwa lata. Dam radę.

Nagle od strony dziedzińca dobiegły do naszych uszu odgłosy zamieszania. Zobaczyliśmy jak podjeżdża wojskowa ciężarówka z symbolem czerwonej gwiazdy na drzwiach, a chwilę potem sowieckich żołnierzy, którzy wydzielali się na grupę mężczyzn, ubranych w zniszczone polskie mundury.

- Od jakiegoś czasu skurwysyny przestali się z tym kryć - zaklął Maniek i splunął przed siebie. - Są tylko dwie możliwości, albo się rozbestwili, albo niebawem wyniosą się stąd na dobre.

- Z czym się przestali kryć? - Zapytałem.

- Ze swoimi wycieczkami do lasu. Zapakują ich na pakę, powiozą w głąszę, kula w łeb i do piachu.

- Co ty gadasz?!

- Widzisz tych czterech więźniów z łopatami? - Kiwnął głową przed siebie. - To tak zwani magilszyki, psu braty sprzedadzą cię za paczkę fajek. Cholerni grabarze! Liżą dupy sowietom, ale ja myślę, że jak ruscy zaczną się stąd zabierać, to ich też rozwalą. Nie zostawią żadnych świadków, którzy mogliby kiedyś wskazać miejsca zbrodni i leśnych pochówków.

- Maniek, ale o czym ty mówisz do licha?

- Oj Ropuch Ropuch - westchnął - ty naprawdę jesteś zieloniutki. Nie wiesz, co tutaj się dzieje? - Zapytał i nie czekając na moją odpowiedź mówił dalej: - Przynajmniej raz w tygodniu kilku naszych wywożą do lasu. Bo teraz rozumiesz, nasi żołnierze, którzy nie chcieli służyć ruskim, to wrogowie ustroju. Większość trafia do gułagów, a ci najbardziej zatwardziali do piachu. Te cwele z łopatami, to tacy sami więźniowie jak my, cholerni konfidenti! To ochotnicy grabarze, którzy za swoją robotę dostają dodatkową porcję żarcia. Ruscy wołają na nich magilszyki. Pojadą gdzieś hen do lasu, wykopią duży dół, sowieci przeprowadzą egzekucję, a oni ich pogrzebią. Chociaż egzekucja, to chyba nieodpowiednie słowo - poprawił się - to zwykłe zabójstwo, kula w potylicę i po sprawie.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Jak mnie tu przenieśli z Płocka, to przez miesiąc dzieliłem celę z takim gadem. Namawiał mnie, żebym zgłosił się na ochotnika do tej roboty, bo wtedy będę miał dobrze, jak w raju. Wyśmiałem skurwysyna, a ten później doniósł na mnie, że chyba jestem niepoprawny politycznie. Po dwóch dniach zabrali mnie na przesłuchanie. Stłukli mnie jak psa, dopiero kiedy jeden z polskich oficerów sprawdził moje akta i zobaczył za co zostałem skazany, powiedział, że to pomyłka i kazał mnie ulokować w innej celi. Ty i wyobraź sobie, że ten oficer był chyba w randze kapitana, jak mnie pamięć nie myli, jakoś tak dziwnie się nazywał - zastanowił się przez chwilę. - Kurde, jak mu było? - Zapytał samego siebie. - Kapitan... kapitan... O! Już wiem! Kapitan Hajma - kiedy usłyszałem to

nazwisko, zmroziło mi skórę na karku - nawiasem mówiąc było z niego kawał gnoja. Nie wiem czym zawinił, ale chyba popadł później w niełaskę i wyobraź sobie, że ruscy załatwili go zeszej wiosny. Jego i jeszcze kilku żołnierzy, którzy pełnili tutaj normalną służbę. Plotka głosiła, że ponoć rozstrzelali też wtedy jednego ze swoich, jakiegoś waśniaka.

Kiedy Maniek skończył mówić, stało się dla mnie jasne, że Wiktor Kozłowski zatarł wszelkie ślady, które mogły w jakikolwiek sposób powiązać jego osobę z moją. Jeśli to była prawda, jeśli wyprawił też na drugi świat Jaszczuka, to naprawdę musiałem być dla niego cenny. Chociaż darzyłem Mańka przyjaźnią i zaufaniem, nigdy mu nie opowiedziałem całej prawdy o sobie.

- Jak myślisz - odezwałem się po chwili - czemu oni nas tutaj trzymają? W jakim celu?

- Ha! Żebym ja to wiedział? Sam się nad tym zastanawiam i nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Przecież im nie chodzi o to, żeby sprawiedliwości stało się zadość, prawda? Nie mają w tym żadnego interesu, żeby nas tutaj gościć. Każda dusza kosztuje trochę grosza, muszą nas nakarmić, niektórych ubrać - trącił dłonią połą mojej bluzy. - Spójrz tylko na nas, siedzimy sobie w najlepsze i gaworzemy na świeżym powietrzu. Myślę, że nie ma sensu zaprzętać sobie tym głowy i szyfrować ich planów. Trzeba żyć Ropuch, tyle ci powiem. Trzeba po prostu żyć.

Wiedziałem o czym mówi, bowiem doskonale rozumiałem filozofię skazańca z wyrokiem dożywocia.

W pierwszym tygodniu sierpnia, Sven znowu został zabrany na kolejne przesłuchanie. Kiedy dwie godziny później zjawił się w celi, wyglądał wręcz na uradowanego. Tym razem nikt nie tknął go nawet palcem, a on nie cieszył się z tego powodu, że obeszło się bez bicia, tylko dlatego, że dali mu nadzieję.

- Jak wszystko pójdzie dobrze, niebawem wrócę do domu. Ropuch, rozumiesz to?! Wrócę do domu! Tak mi powiedzieli. Podobno rząd norweski interweniował w tej sprawie.

- W twojej sprawie? - Byłem zaskoczony tym, co mówił.

- Nie, nie w mojej. Ogólnie w sprawie wszystkich norweskich jeńców.

- Ale jak wrócisz do swojego kraju, to możesz stanąć przed sądem.

- Pewnie tak, ale lepiej niech mnie sądzą moi niż obcy, prawda? Wracam do domu Ropuch, wracam do domu - złapał mnie w ramiona i o mało mnie nie zmiądzzył z tej swojej radości.

- Puść - jęknąłem - puść, bo mnie zaraz udusisz i skażą cię za nieumyślne morderstwo - zażartowałem. - Fajnie Sven, cieszę się, że tak się potoczyły twoje sprawy, naprawdę się cieszę. Jednak z drugiej strony, trochę będzie tu smutno bez ciebie i twoich opowieści. A powiedzieli, kiedy wychodzisz?

- Jak wszystko pójdzie dobrze, to jeszcze w tym miesiącu. W końcu wracam do domu!

Przyjemnie było patrzeć, jak tryskał szczerą radością. To było tak miłe, że człowiek

chcąc nie chcąc, cieszył się razem z nim. Oczywiście, że w głębi duszy czułem zazdrość, ale zazdrość pozbawioną zawiści.

Przez ponad trzy tygodnie Sven nie potrafił sobie znaleźć miejsca, wiercił się i kręcił, łąził po celi, zacierał ręce i bez przerwy opowiadał, co będzie robił, jak wróci do swojego rodzinnego Risør. Do niedużej malowniczej miejscowości, położonej nad brzegami Skagerraku. Przez te ostatnie dni Sven był niczym gejzer pozytywnej energii, która wypełniała naszą ponurą celę.

Długo się zastanawiałem, co mu powiem tego dnia, kiedy będzie opuszczał wronieckie więzienie. Ułożyłem sobie w głowie całą mowę i postanowiłem cierpliwie poczekać do ostatniej chwili. Niestety nie miałem okazji powiedzieć tego wszystkiego, bowiem o świcie 29 sierpnia otworzyły się drzwi naszej celi, a do środka wpadło dwóch ubeków, ubranych w cywilne ciuchy. Pochwycili Svena w swoje ramiona i brutalnie wywlekli na zewnątrz. Na początku jeszcze miałem nadzieję, że sprawy potoczą się inaczej. Potem nadzieja zamieniła się w złudzenia, aż w końcu prawda dotarła do moich uszu. Stało się tak, jak wam kiedyś pisałem. Sven Halvorsen zakończył swoje życie gdzieś w leśnej głuszy. Chociaż nie poległ w boju, jak przystało na prawdziwego wojownika, to jednak jestem pewien, że jego dusza powędrowała z polskiej ziemi, prosto do bram mitycznej Valhali.

Dzisiaj mam ponad dziewięćdziesiąt lat, Svena poznałem kiedy miałem czterdzieści pięć, ale powiem wam, że jak zamknę oczy i przywołam go w swojej pamięci, to wyraźnie widzę jego młodą, uśmiechniętą twarz. Widzę przed sobą rosnącego chłopaka z burzą blond włosów. Widzę człowieka, który szybko odnalazł drogę własnego życia i z dumą kroczył jej szlakiem. Byliśmy sobie bliscy. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi i dzisiaj wiem, że prawdziwych przyjaciół nie zapomina się do końca życia.

Lato miało się ku końcowi, Jóźko powoli odliczał dni do wyjścia, a ja zacząłem popadać w marazm. Odwykłem od samotności w celi i stwierdziłem, że człowiek bardzo szybko przyzwyczaja się do towarzystwa drugiej osoby. Zupełnie inaczej się żyje, jak masz do kogo otworzyć gębę, zamienić kilka zdań, pogadać o pierdołach albo chociaż posiedzieć obok kogoś w milczeniu. Zachodziłem w głowę, jakim cudem udało mi się znosić więzienną rzeczywistość w przeszłości? Nie licząc epizodu z aresztantami, który miał miejsce w latach dwudziestych po przewrocie majowym, to przecież od chwili mojego przybycia do Wroniek, aż do wybuchu wojny minęło siedemnaście lat. Siedemnaście cholernych lat w pojedynczej celi. Fakt, było wtedy inaczej, bo spędzałem całe dni w pracy, a teraz nie miałem ani zajęcia, ani towarzystwa. Jedyne co miałem, to tylko mnóstwo czasu.

Któregoś ranka usiadłem na taborecie i zacząłem się wpatrywać w runy wyryte na półce. Zastanawiałem się, które symbole mogłyby określić moją, jak to mawiał Sven,

drogę życia? Które mówią o tym kim jestem i dokąd zmierzam? I nagle zdałem sobie sprawę, że ja tego nie wiem! Moje życie nie miało żadnego konkretnego celu, było puste i beznadziejne. Żyłem po to, żeby tylko przetrwać kolejny dzień. Niczego nie dokonałem, niczego nie osiągnąłem, nie miałem żadnych celów i planów. Równie dobrze mogłoby mnie nie być. Ta świadomość niosła z sobą tylko gorzki ból. Tępym wzrokiem wpatrywałem się w runy, a w głowie i w duszy czułem pustkę. Siedziałem na tym cholernym taborecie od kilku godzin i doszedłem do wniosku, że oprócz wspomnień, jedyne co mam, to tylko imię, nazwisko i ksywkę.

Gwóźdź, który Józko przyniósł z folwarku od dawna spoczywał na parapecie. Nie było sensu go wyrzucać, bo zawsze mógł się jeszcze do czegoś przydać. Podniosłem się z miejsca i sięgnąłem po przedmiot. Usiadłem na pryczy i obracałem go w palcach. W pewnym momencie położyłem się na boku i wydrapałem w rogu ściany trzy litery.



S - oznaczała moje imiona Stefan lub Stanisław.

Ż - Żabikowski.

R - Ropuch.

Te trzy litery mogły równie dobrze oznaczać coś innego. W zależności od mojego nastroju mogły symbolizować trzy, dobrze mi znane uczucia - Smutek, Żal i Rozpacz. Mogły również oznaczać to, co kiedyś miałem i za czym w głębi duszy tak naprawdę tęskniłem - Swoboda, Życie i Radość. Kiedy tak leżałem i wpatrywałem się w litery wyżłobione w tynku chropowatej ściany, zrozumiałem, że tak właśnie jest. To było we mnie. Trwałem na pograniczu dwóch światów. Moje ciało było tutaj, ale duchem pragnąłem czegoś innego. Byłem dokładnie w tym miejscu, gdzie przenikały się te dwa światy. Cieleśny i duchowy. Z tych trzech zwykłych liter, kilkoma ruchami stworzyłem znak, który miał symbolizować moją nierozzerwalną więź, pomiędzy rzeczywistością i marzeniem. Powiązałem litery w jeden znak i tak właśnie powstała moja runa.



Runa, która nagle stała się wymownym symbolem mojej drogi życia. Mówiła o tym, że ja, Stefan/Stanisław Żabikowski zwany Ropuchem, krocę ścieżką, która od lat jest pełna Smutku, Żalu i Rozpaczy. Mierzę się ze swym losem i doskonale pamiętam o tym, że kiedyś wiodłem Swobodne Życie pełne Radości. Ten symbol mówił, że zawsze mam być Silny, Żarliwy i Rozsądny, że zawsze powinienem kierować się Sumieniem, Życzliwością i Rozumem. Wiem, że to wyda się wam śmieszne, ale ja dostrzegłem w tym znaku jakąś magiczną moc. Dzięki niemu ogarnęła mnie nadzieja i wiara, że kiedy już dotrę do kresu mojej ziemskiej podróży, to z czystym sercem powiem sobie:

- Wiesz stary, mimo wszystko warto było przejeść przez życie!

Pod koniec września Jóźko zaczął już przebierać nogami z radości, że niebawem wychodzi. Zostały mu jeszcze niespełna dwa tygodnie i naprawdę nie mógł się doczekać tej chwili, a ja zastanawiałem się w duchu, kogo mi wlepią do celi? Modliłem się tylko, żebym nie miał takiego pecha, jak Maniek.

Od jakiegoś czasu na pawilonach z politycznymi trwało intensywne poruszenie. Każdego dnia ciężarówki z ludźmi na pace opuszczały teren więziennego dziedzińca. Bóg raczy wiedzieć dokąd ich zabierali. Magilszyków nie było widać, więc wszystko wskazywało na to, że chyba transportowali ich w inne miejsce albo odstawiali na dworzec kolejowy, a stamtąd bydlęcymi wagonami wywozili gdzieś w daleki świat. Rusczy ładowali też na ciężarówki pokaźne skrzynie, a my z Mańkiem snuliśmy przypuszczenia, że Sowietci chyba zaczęli swoją ewakuację.

W czwartkowe przedpołudnie 26 września stało się coś nieprzewidzianego.

Byliśmy wtedy na spacerniaku, kiedy od strony wejścia rozległ się donośny głos klawisza:

- Żabikowski i Klimek do mnie!

Razem z Mańkiem ruszyliśmy w jego stronę.

- Ty co jest grane? - Szepnął mój kumpel i szturchnął mnie w ramię.

- Nie mam pojęcia - odparłem.

- Ruszcie się! Żwawiej! - Wrzasnął strażnik, a my przyśpieszyliśmy kroku.

Klawisz otworzył furtkę i warknął:

- Dyrektor więzienia was wzywa!

Spojrzelśmy po sobie zaskoczonym wzrokiem.

Pod eskortą dwóch strażników zmierzaliśmy w stronę więziennego dziedzińca. Obok pralni stały dwie ciężarówki z wizerunkiem czerwonej gwiazdy na drzwiach, a kilku sowietów ładowało na pakę jakieś toboły. Po drugiej stronie leżała sterta wojskowych plecaków, tam też kręcili się ruscy i coś wrzeszczeli do siebie.

- Chyba wyjeżdżają - szepnął Maniek, po czym obrócił się przez ramię i zapytał: - Towarzyszu kapralu, czyżby wojska sprzymierzonych opuszczały wroniecki kurort?

- Klimek, wy mi się tutaj nie silcie na żarty - odparł strażnik, ale w tonie jego głosu było słyhać, że jest lekko rozbawiony. - Na szczęście już wyjeżdżają - dodał półgłosem.

Mogliśmy jedynie domniemywać, że naszym klawiszom też nie była na rękę obecność czerwonoarmistów.

Wkroczyliśmy do budynku administracyjnego.

- Schodami w górę! - Klawisz rzucił za naszymi plecami.

- Ciekawe dlaczego towarzysz dyrektor chce nas widzieć - powiedział Maniek, kiedy wspięliśmy się na pierwsze piętro.

- Może chce wam pogratulować wyroków - zakpił strażnik, a drugi parsknął cichym śmiechem.

Na końcu korytarza skręciliśmy w prawo i wtedy naszym oczom ukazało się jeszcze dwóch innych więźniów i dwóch klawiszy. Stali na wprost drugich drzwi po prawej, które miały pośrodku białą tabliczkę za szkłem. Widniały na niej słowa napisane drukowanymi literami. SEKRETARIAT, a poniżej DYREKTOR WIĘZIENIA. Tylko tyle, żadnego imienia, nazwiska i rangi.

Jeden z klawiszy, którzy z nami przyszli, kazał nam stanąć pod ścianą obok dwóch więźniów, których widziałem po raz pierwszy w życiu, a sam zapukał do drzwi, wszedł do środka i zameldował o naszym przybyciu.

- Wy też zostaliście wezwani do dyrektora? - Zapytałem tych dwóch, którzy stali po mojej lewej stronie.

Ten, bliżej mnie był wyższy o głowę. Spojrzał na mnie z góry lekceważącym wzrokiem i odparł:

- Chuj cię to obchodzi!

- Ooo, widzę, że trafił nam się charakterniak - powiedział Maniek szyderczym tonem.

Nagle otworzyły się drzwi, a w ich świetle ujrzeliśmy mundurowego w stopniu sierżanta. Mężczyzna spojrział na nas i powiedział rozkazującym tonem:

- Więzień Derczak! Wejść!

Pyskaty olbrzym ruszył przed siebie i zniknął za drzwiami. Ten drugi, który sterczał razem z nami pod ścianą przysunął się bliżej mnie i zapytał półgłosem:

- Słyszałem, że na gościa w niebieskim garniturku wołają Ropuch. To o tobie ta mowa?

Spojrzałem na koleśka i odparłem:

- Chyba tak.

- Siemasz, jestem Słodki - powiedział i wystawił dłoń na powitanie. - Słodki jestem - powtórzył i przywitał się z Mańkiem. - Wiecie po co nas tutaj wezwali?

- Nie mamy pojęcia - odpowiedziałem.

- Może towarzysz dyrektor, chce osobiście poznać bezterminowych - dodał Maniek.

Słodki spojrział na nas, uśmiechnął się i rzekł:

- Czyli wychodzi na to, że jest nas tutaj tylko czterech - kiwnął głową w stronę drzwi, jakby chciał dodać, że niejaki Derczak też jest skazany na dożywocie.

- Przestańcie gadać! - Rzucił jeden ze strażników, którzy we czwórkę stali obok okna.

Nasz nowy znajomy wzruszył bezradnie ramionami i oparł się o ścianę.

Minęło może dziesięć minut, kiedy otworzyły się drzwi i wyszedł z nich dryblas.

Z wnętrza pomieszczenia dobiegło do naszych uszu:

- Więzień Klimek! Wejść!

Po Mańku został wezwany Słodki, a ja dopiero na samym końcu.

Kiedy wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi, a sierżant stojący obok regału na którym spoczywały szare segregatory, powiedział wskazując ruchem głowy na drzwi po prawej:

- Wejdz do gabinetu dyrektora!

Za biurkiem ujrzałem niepozornego mężczyznę. Miał na sobie wojskowy mundur, a na jego pagonach widniała ranga pułkownika. Tuż przed nim na blacie, spoczywało kilka szarych teczek. W rogu pomieszczenia przy okrągłym stole, siedział jakiś cywil w czarnym garniturze i major Kozłowski we własnej osobie.

Człowiek za biurkiem przez chwilę kartkował akta, po czym podniósł na mnie wzrok i zapytał:

- Wy jesteście Stanisław Żabikowski, tak?

- Tak jest! - Odparłem w stary, regulaminowy sposób.

- Towarzyszu pułkowniku - odezwał się nagle Wiktor - to jest właśnie ten więzień o którym wam mówiłem.

- Rozumiem - rzekł jego rozmówca, po czym spojrzał na mnie i zapytał: - Jak wam się tutaj odbywa kara, Żabikowski? Macie jakieś zastrzeżenia albo uwagi?

- Nie mam - odpowiedziałem i kątem oka dostrzegłem, że Wiktor i ten facet z którym siedział przy stoliku, szepczą coś między sobą.

- Kim jesteście z zawodu?

- Stolarz.

Zadający pytania pokiwał głową i coś zanotował.

- Dla waszej informacji Żabikowski - powiedział - jestem pułkownik Majewski i na chwilę obecną pełnię obowiązki dyrektora tego więzienia. Od skazanych na dożywocie, czyli od więźniów bardzo szczególnych, oczekuję posłuszeństwa i zdyscyplinowania. Jak będzie tutaj wyglądał wasz pobyt, zależy tylko od was samych. Mnie nie interesują wasze grzechy, tylko to, jaka kara na was ciąży. Czy to jest jasne?

- Tak jest!

- Macie jakieś oczekiwania? - Zapytał, a ja w tym samym momencie pomyślałem, że nie mam nic do stracenia i postanowiłem się odezwać.

- Nie tyle oczekiwania, towarzyszu pułkowniku - odezwałem się w ten sposób, żeby dać mu do zrozumienia, iż odpowiednio zwracam się do przedstawicieli władzy - co prośbę. - Cała trójka spojrzała na mnie z zaskoczeniem. - Byłbym wdzięczny za możliwość podjęcia pracy. Jestem dobrym stolarzem i znam się na swoim fachu. Gdyby była tak możliwość, to prosiłbym o przydział do stolarni.

Pułkownik spojrzał na Wiktora i rzekł:

- Niczego nie mogę teraz obiecać. Przedyskutujemy tę sprawę.

Przez chwilę przeglądał zawartość szarej teczki z moim imieniem i nazwiskiem.

- Macie jakieś problemy zdrowotne Żabikowski?

- Nie - odparłem.

- Nie widzę w waszych aktach żadnych niepokojących adnotacji. Mam nadzieję, że tak pozostanie - znowu spojrzał na mnie. - To byłoby na tyle - zamknął teczkę i położył

ją na blacie biurka.

- Towarzysze - odezwał się nagle Wiktor - bądźcie tak uprzejmi i dajcie mi chwilę na rozmowę z więźniem w cztery oczy - spojrzał po ich twarzach z takim grymasem, jakby chciał powiedzieć: - No spierdalać mi stąd pacholki! I to w podskokach!

- Oczywiście - odparł pułkownik i razem z mężczyzną w czarnym garniturze wyszli z pomieszczenia.

Kiedy zostaliśmy sami, Wiktor podszedł do okna. Przez kilka chwil wpatrywał się w świat po drugiej stronie szyby, po czym wziął głęboki oddech i zapytał:

- Jak mają się nasze sprawy?

- Tak jak ustaliliśmy. Dotrzymuję warunków umowy.

Wiktor obrócił się i spojrzał mi prosto w oczy.

- Do pracy chciałbyś iść, tak? Bliżej ludzi, nowe znajomości, nowe kontakty - zamilkł na moment. - Krótko mówiąc chciałbyś odmiany?

- Chciałbym się czymś zająć - odparłem. - Kiedy człowiek pracuje, to czas inaczej płynie.

Podszedł do biurka i przysiadł na nim. Wyjął paczkę Cameli, oczywiście starym zwyczajem mnie również poczęstował, podał mi ognia i rzekł:

- Tylko przez wzgląd na stare dzieje, na przeszłość, której nie sposób dziś zmienić, dam ci tę szansę. Jednak jeśli mnie zawiedziesz - zniżył głos o pół tonu - to wiesz co się stanie?

- Tak. Wiem - odparłem, bo cóż innego miałem mu rzec?

- Nie sądzę - odpowiedział - dlatego powiem ci, co wtedy zrobię. Ściągnę ją tutaj. Dołożę wszelkich starań, żeby sprowadzić Agnieszkę Stokłosę prosto do tego więzienia, rozumiesz? Pamiętaj o tym, gdyby coś strzeliło ci do głowy.

Stałem na wprost niego i pomyślałem o tym, że jeśli miałbym przy sobie spluwę, to palnąłbym mu prosto w łeb. Nie zawahałbym się nawet sekundy.

- Dotarła do moich uszu wieść o skazańcu w niebieskim uniformie. Nawet strażnicy nazywają ciebie Ropuchem - powiedział, a ja miałem wrażenie, że wypowiada swoje słowa z uznaniem. - Wiedziałaś o tym? - Uniósł brwi, jakby oczekiwał ode mnie odpowiedzi. - Plotka głosi, że jesteś cynglem - zaśmiał się szyderczo. - Co za durnowate określenie! Ale muszę przyznać, że dobrze to rozegrałeś. Niech się ciebie boją. Pewnie, że tak! - Wiktor był sprytny i od razu rozszyfrował moje intencje. - Nie wyprowadzaj ich z błędu, dzięki temu będą cię szanować. Jednak nie jesteś taki głupi, jak mogłoby się wydawać - zamilkł na kilka chwil. - No dobrze Stefek, pójdę ci na rękę. Dostaniesz pracę na stolarni i docen to, co dla ciebie robię - wymownie wskazał na mnie palcem - docen - powtórzył.

Wyciągnął z kieszeni paczkę fajek, położył mi dłoń na ramieniu, a w drugą ręką włożył mi szlugi do kieszeni na piersi i powiedział:

- Masz tu w nagrodę.

Czułem się poniżony, jak nigdy w życiu, a słowo "dziękuję", ledwo mi przeszło przez gardło.

- Uwierz mi Stefek, jak będziesz posłuszny, to będzie ci tu dobrze jak u mamy.

W środku roznosiło mnie na strzępy i z trudem panowałem nad sobą. Wiedziałem

jednak, że muszę być pokorny, jak bezradne cielę. Moja urażona duma nic nie znaczyła w porównaniu z tym, co mogłem ugrać podczas tego spotkania. Praca była najważniejsza. Tylko to się liczyło.

- Rzadko się widzimy i tak też pozostanie. W razie jakichkolwiek problemów, masz o wszystkim meldować dyrektorowi więzienia. To tyle - klepnął mnie po przyjacielsku w ramię.

Nie miałem pojęcia, że niespełna dwa dni później, Wiktor Kozłowski opuścił więzienie. W pewnym sensie nadal sprawował nad nim kontrolę, ale w zupełnie innym charakterze. Jego osoba budziła strach nawet wśród najwyższych partyjnych dygnitarzy. Śmiało mogę stwierdzić, że do 1957 roku Polska była sowiecką kolonią, wykonującą posłusznie rozkazy płynące prosto z Moskwy. Zanim powiał wiatr politycznych zmian i nadciągnęła, tak zwana odwilż, upłynęło jeszcze wiele czasu.

Do naszego następnego spotkania doszło dokładnie dziesięć lat później. Ja nadal byłem więźniem, a Wiktor Kozłow nosił wtedy na pagonach generalskie szlify.

Pierwszego października otrzymałem przydział do pracy w stolarni i w związku z tym, dostałem również kufajkę w szarym kolorze. W okresie jesienno-zimowym ciepła odzież należała się wszystkim zatrudnionym warsztatowcom, którzy takowej nie posiadali. Pikowany wacjak był chyba z pięć numerów za duży, ale to wcale mi nie przeszkadzało. Na upartego mogłem się nim opatulić dwa razy i wyglądałem tak, jakbym miał na sobie namiot pod którym mogę nocować.

Cieszyłem się, że dostałem tę robotę. Czuję się tak, jakby w końcu parzywy los uśmiechnął się do mnie pełną gębą. Kiedy razem z czwórką innych więźniów zjawiłem się rankiem w warsztacie, to aż łezka zakręciła mi się w oku. Nic się nie zmieniło. Wszystko było na swoim miejscu, a ja miałem wrażenie, jakbym wrócił z dalekiej podróży na stare, dobre śmieci. Jedyne różnica była taka, że na fajerkach pieco-kuchni zamiast garnka stał czajnik, a na półce wiszącej z lewej strony spoczywały metalowe kubki, paczka z herbatą i słoik z cukrem. Po chwili mój wzrok powędrował w stronę regału. Swojego czasu położyłem tam biblię znalezioną wśród książek, które miały zostać spalone. Okazja, żebym mógł sprawdzić, czy nadal tam jest, nadarzyła się dopiero wiosną 1955 roku, kiedy administracja więzienia podjęła decyzję o likwidacji wiekowego wyposażenia stolarni. Książka pokryta grubą warstwą kurzu spoczywała tam sobie w najlepsze i wtedy właśnie przemyciłem ją do celi.

W roku 1946 w warsztacie oprócz naszej czwórki było jeszcze dwóch pracowników cywilnych i dwóch klawiszy, którzy nawet na moment nie spuszczały z nas oka. Pracą w stolarni dyrygował cywil. Pan Mirosław Kocipa, po kątach szeptem nazywany przez nas Panem Cipą. Niewątpliwie znał się na stolarskiej robocie, ale traktował nas z góry. Często wydzierał mordę, jakby chciał pokazać, kto tutaj rządzi. On i ten drugi cywil, praktycznie wcale z nami nie rozmawiali. Odzywali się tylko wtedy, kiedy sprawa tyczyła się tego, co robimy.

Pierwszego dnia Pan Cipa wydał mi narzędzia i kazał podpisać protokół, gdzie było wszystko wyszczególnione pozycja po pozycji. Dostałem też skrzynkę i usłyszałem, że jestem odpowiedzialny za powierzone mi akcesoria. Wiecie co zrobiłem tego pierwszego dnia, podczas krótkiej piętnastominutowej przerwy? Na każdym narzędziu wyźłobiłem mój runiczny znak. Podpisałem nim każdą rzecz jaką otrzymałem.

Trudno się pracuje, kiedy ktoś sterczy nad tobą i raz po raz zwraca ci uwagę, że nie przyszedłeś tu na pogaduchy, tylko do pracy. Klawisze nie pozwalali nam rozmawiać. Oczywiście zawsze człowiek zamienił kilka słów, ale na swobodną dyskusję nie było żadnych szans. *To nic - pomyślałem sobie - chrzanić to! Liczy się robota!*

No i robiliśmy, ale bez wariactwa i bez pośpiechu. Klepaliśmy wtedy stoły i krzesła, które miały potem trafić do nowo powstających szkół.

Wiele razy złapałem się na tym, że mój wzrok padał na podsufitową belkę, gdzie w wyźłobionej skrytce spoczywała broń owinięta w naoliwioną szmatę...

17 października stuknęło mi czterdzieści sześć lat, a Józko dwa dni później pożegnał się ze mną i wyszedł na wolność. Pamiętam dokładnie to późne, sobotnie popołudnie, kiedy wróciłem z łaźni i usiadłem na pryczy. Byłem tylko ja, dwa łóżka i cztery ściany. Za oknem padał jesienny deszcz. Przyszedł mi wtedy do głowy odważny i szalony pomysł. Pomyślałem, że mogę zaryzykować i zagrać *va bank*. Postanowiłem cierpliwie poczekać, aż zjawi się wydawka z posiłkiem.

Chwilę po tym, jak zegar wybił wpół do szóstej, po drugiej stronie drzwi rozległo się szurnięcie zasuw. Podeszedłem do progu z miską w dłoniach, kucharz zaczerpnął chochlą strawę, a ja powiedziałem do klawisza zdecydowanym tonem:

- Chcę rozmawiać z plutonowym Laskowskim.

Strażnik spojrzał na mnie i odparł oschłym tonem:

- Zamelduję o tym, jak skończymy rozwozić posiłek.

Myślę, że musiał wiedzieć, iż mam tutaj pewne względy.

Laskowski zjawił się pół godziny później. Wszedł do celi i zapytał:

- Czego chcecie Żabikowski?

Podniosłem się od stołu i powiedziałem:

- Towarzyszu plutonowy, mam taką sprawę. Mój współlokator skończył dziś odbywać karę i wyszedł na wolność. Chciałbym prosić, żeby towarzysz plutonowy przekwaterował do mojej celi Mariana Klimka. Da się to załatwić?

- Żabikowski, czy wy się dobrze czujecie?! Co to ma być do chuja pana, koncert życzeń?! Co wy myślicie, że ja ot tak, mogę sobie decydować gdzie kto ma siedzieć?!

- Towarzyszu plutonowy, nie sądziłem, że to taki problem. W takim razie chciałbym rozmawiać z majorem Kozłowem - zrobiłem krótką pauzę, żeby zobaczyć jego reakcję. Było tak jak się spodziewałem, nagle z twarzy zniknął mu władczy grymas. - Powiem majorowi, że rozmawiałem z wami i że wy powiedzieliście, iż nie macie takich kompetencji. Myślę, że jeśli on osobiście wyda wam takie polecenia, to będzie chyba najlepiej - rzekłem i spojrzałem na niego pytającym wzrokiem.

Plutonowy Laskowski chyba nie chciał, żeby jego nazwisko padło przed obliczem

Kozłowa.

- A może szef straży będzie mógł coś poradzić na moją prośbę? - Zapytałem udając niewiniątko.

- Sam o tym powiadomię majora Kozłowa - stwierdził mój rozmówca.

- No to świetnie - wpadłem mu w zdanie - właśnie widziałem zza krat - kiwnąłem głową w tył - że major Kozłow jest na miejscu.

Laskowski chyba chciał sprawdzić, czy mówię prawdę, bo nagle ruszył w stronę okna, skąd było widać część budynku administracyjnego.

Nie sądzę, żeby plutonowy osobiście pofatygował się do Wiktora, to było mało prawdopodobne. Może pogadał tylko z dowódcą straży i obaj stwierdzili, że lepiej mieć święty spokój i przekwaterowali Mańka na własną rękę.

Dwie godziny później dzieliłem już celę z moim najlepszym kumplem.

- Jak to zrobiłeś?! - Maniek był w szoku.

- Normalnie, pogadałem z Laskowskim i tyle - wzruszyłem ramionami i posłałem mu uśmiech. - Najzwyczajniej w świecie, poprosiłem go o drobną przysługę.

- I nic nie chciał? O tak, za darmo zgodził się na to? Coś kręcisz - stwierdził Maniek lekko podejrzliwym głosem.

- No przysięgam - uderzyłem się w pierś. - Tak było. Zapytaj go jak nie wierzysz.

Oczywiście wiedziałem, że nigdy tego nie zrobi.

Punktualnie o dwudziestej drugiej we wszystkich celach zgasły światła, a my z Mańkiem, przesiedzieliśmy pół nocy ćmiąc fajki i cieszyliśmy się jak chłopcy, że od tej pory będziemy razem garować.

Powiem wam jedno, Maniek i ja byliśmy, jak dwie bratnie dusze. Był moim najlepszym towarzyszem, jakiego miałem podczas swojej wieloletniej odsiadki. Rozumieliśmy się bez zbędnych słów. Nie chodziło o to, że ciążyły na nas identyczne wyroki. My dwaj byliśmy ulepieni z tej samej więziennej gliny. Przeszliśmy w życiu tę samą szkołę, znaliśmy zasady i kodeks starych galerników. Żaden z nas nie dociekał i nie zadawał zbędnych pytań. Tacy jak my wiedzą, że prawdę o sobie opowiesz dopiero wtedy, kiedy w głębi serca poczujesz potrzebę spowiedzi. To co wydarzyło się w przeszłości, to co było powodem naszego skazania, traktowaliśmy jak naszą ziemię świętą, po której nikomu nie godzi się stąpać bez zaproszenia gospodarza.

Przeżyliśmy wspólnie siedem lat. Szmata czasu. To było naprawdę siedem udanych i dobrych lat, jeśli można w ogóle w takich kategoriach mówić o latach spędzonych w więzieniu. W każdym bądź razie, wspominam je sobie najmilej ze wszystkich, które zaliczyłem za murami.

Ja i Maniek byliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Chyba nikomu w życiu tak nie ufałem, jak jemu. Zawsze mieliśmy temat do rozmowy, a kiedy nie chciało nam się klepać dziobami, to graliśmy w karty. Na spacerniaku przeważnie spędzaliśmy czas w swoim towarzystwie. Któregoś dnia jeden cwaniaczek palnął tak dla hecy, że chyba jesteśmy

parą. Oczywiście plotka pomknęła w świat. Kiedy Maniek się o tym dowiedział, to aż się zagotował. Pierwszy i ostatni raz w życiu widziałem go tak zdenerwowanego. Podszedł wtedy do tego kolesia i w obecności innych, wycodził przez zęby tylko jedno zdanie:

- Jak jeszcze raz zaczniesz gadać głupoty, to będziesz kolejnym człowiekiem, któremu poderżnę gardło.

Od tamtej pory nikomu nie przyszło już do łba, żeby dowcipkować w ten sposób.

Strach przed nieobliczalnością bezterminowych potrafił zdziałać cuda. Tamtego dnia, nawet ja poczułem, że zmroziło mi kark.

Wiem, że wyda wam się to bardzo dziwne, ale nigdy nie podjęliśmy dyskusji na temat naszych grzechów głównych. Nigdy.

Oczywiście to było zupełnie naturalne, że byłem ciekaw innych spraw z jego życia. Najbardziej intrygował mnie temat paczek, które dostawał na początku każdego miesiąca. Przychodziło dwadzieścia skrzynek papierosów i nic więcej. Żadnego listu, żadnej kartki. Nic. Tylko fajki. Z etykiety adresowej wynikało, że nadawcą była niejaka Barbara Klimek zamieszkała w Łebie przy ulicy Mostowej 5. Kiedyś wspominał, że przesyłki dostaje od synowej. Powiedział wtedy:

- Dobra z niej dziewczyna.

To nie dawało mi spokoju i kilka razy próbowałem go wziąć na spytki, ale wtedy Maniek zawsze zbywał mnie jakimś banalnym wytłumaczeniem. Zrozumiałem, że chyba nie chce o tym mówić i dałem sobie spokój.

Po jego śmierci napisałem do pani Barbary Klimek krótki list. Myślę, że administracja więzienia powiadomiła ją o śmierci krewnego, ale ja mimo wszystko, czułem się zobowiązany skreślić kilka słów od siebie.

Wiele lat później, kiedy Mańka nie było już wśród żywych, dzięki archiwście Szorpakowi, poznałem prawdę o moim kumplu. Widziałem jego akta, widziałem koszmarne fotografie, przeczytałem zeznania i dowiedziałem się, jak bestialskiej zbrodni dopuścił się w przeszłości.

W roku 1946 po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat, święta Bożego Narodzenia zyskały dla mnie zupełnie inne oblicze. Przemknęły jakby ich wcale nie było. Zima miała się wtedy w najlepsze, śniegu nasypało, a my z Mańkiem, jak przystało na braci krwi, nawet słowem nie wspominaliśmy z nostalgią o przeszłości.

I tak było rok w rok przez siedem kolejnych lat.

Jeżeli chodzi o świat zewnętrzny, to w drugiej połowie lat czterdziestych, moja wiedza na temat jego rzeczywistości była bardzo znikoma. Domniemywam, że musiały to być naprawdę dzikie i podłe czasy, bowiem we wronieckim więzieniu odbiły się one krwawym echem. Funkcjonariusze UB panoszyli się tutaj, jakby byli na swoich włościach, a strażników traktowali jak chłopców na posyłki. Na temat politycznych i tego, co z nimi się tutaj działo, krążyły wśród pospolitych koszmarne opowieści. Prawie każdej nocy na więziennych korytarzach było słyhać jęki pełne bólu i cierpienia. Na początku te odgłosy były tak przerażające, że skóra cierpła na plecach, ale po jakimś czasie,

człowiek po prostu przestawał na to zwracać uwagę. Wiele razy widziałem, jak strażnicy wlekli za nogi czyjeś nieprzytomne i skatowane ciało, albo jak funkcyjny zmywał z posadzki krwawe ślady. Słyszałem o więźniach, którym podczas przesłuchiwań wrywano paznokcie albo łamano palce dłoni. Nie wiem jak było naprawdę, ale wiem co widziałem. Widziałem podłóść, której nie było tutaj ani za czasów aresztantów, ani kiedy po korytarzach kręcili się rusczy. Nigdy bym nie pomyślał, że Polak Polaka może kąsać gorzej niż wściekły pies. Ludowa władza srogo karała swoich przeciwników.

Był tutaj również drugi świat, świat w którym rządziły prawa wytyczone przez skazańców i ta rzeczywistość nie była mi obca. Osobiście nigdy nie czułem współczucia dla tych, którzy trafili za kratki z takich powodów jak gwałt, pedofilię czy znęcanie się nad dziećmi lub niedołącznymi. Tutaj spotykała ich zasłużona pokuta z rąk innych współwięźniów. Każdy człowiek, który dopuścił się któregoś z tych czynów nigdy nie mógł liczyć na moją przychylność, zrozumienie lub współczucie. Natomiast pozostałych ludzi nigdy nie oceniałem na podstawie ich występków lub wyroków, jakie im zasądzono.

W tamtych czasach więzienne życie ewoluowało w zastraszającym tempie. Czasami człowiek nie zdążył się zorientować co jest grane i już żył w innej rzeczywistości. Z początkiem wiosny 1947 roku nastąpiły ogromne zmiany. Na terenie więzienia nie było już niemieckich jeńców i nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Zniknęli mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rusczy poszli sobie precz. W izolacyjnym trzymano tylko politycznych, ale tych bardzo szczególnych. Pozostali siedzieli w głównym kompleksie i zajmowali dwa pawilony, reszta należała do pospolitych i tylko im przysługiwał przywilej pracy. Powróciła też sprawa zarobków i wypiski. To było dość interesujące, bo wyobraźcie sobie, że każdy polski zakład karny kierował się własnymi zarządzeniami, a każdy dyrektor takiej placówki, był w tym temacie osobą decydującą. Wewnętrzna dyrektywa, która zaczęła obowiązywać we wronieckim więzieniu, mówiła, że skazani będą zatrudniani do zajęć w dwóch wymiarach pracy. Społecznie lub zarobkowo. Społecznie oczywiście oznaczało za darmo, bez gadania i na rzecz jednostki penitencjarnej. Dotyczyło to przede wszystkim dużej grupy więźniów pracujących na folwarku, który jak wiecie, oficjalnie nazywano Gospodarstwem Rolnym. Społecznikami byli również skazańcy obsługujący pralnię, kuchnię, piekarnię, park maszynowy oraz funkcyjni. Natomiast praca zarobkowa przysługiwała dwóm kategoriom więźniów. Pierwszą grupą były ekipy budowlane pracujące poza terenem więzienia, a do drugiej zaliczali się więźniowie, tacy jak ja, zatrudnieni w warsztatach. Szydziliśmy sami z siebie twierdząc, iż jesteśmy grupą poszkodowaną. Poszkodowaną dlatego, że warsztatowcy zarabiali tylko wtedy, kiedy wykonywali zlecenia zewnętrzne. Jeśli owoce naszej pracy służyły wewnętrznym interesom więzienia, wykonywaliśmy swoją robotę społecznie. Sposób rozliczania był bardzo podobny do tego, jaki panował przed wojną. Otrzymywaliśmy marną stawkę i tylko część pieniędzy trafiała do naszych rąk. Resztę zatrzymywała administracja więzienia, dzieląc ją na utrzymanie i na wypiskę. Jeżeli idzie o wypiskę, to stanowiła ona trzykrotność najniższych zarobków, jakie obowiązywały po drugiej stronie murów. Kiedy na koncie więźnia pojawiała się kwota spełniająca te

oczekiwania, wtedy zaczynał więcej dostawać na rękę. Każdy więzień miał prawo robić z forszą co mu się podoba. Jeśli uważał to za słuszne, mógł wysyłać pieniądze swoim bliskim albo przehulać wszystko w kantynie. Tak, w kantynie, bowiem kiedy system został wdrożony w życie, to takowa pojawiła się we wronieckim więzieniu. Pamiętam moją pierwszą wizytę w tym żalonym przybytku. Oferta sprzedaży obejmowała jedynie papierosy i słodycze, a od święta pojawiały się też owoce. Na początku było tam biednie, biednie jak jasna cholera. Jednak w miarę upływu czasu pojawiał się bogatszy asortyment, rok później można było w kantynie kupić mnóstwo innych rzeczy. Kiedy na półkach zawitały zeszyty, ołówki, kredki, akwarele i bloki rysunkowe, zaczęliśmy drwić, że dyrekcja więzienia postanowiła obudzić w więźniach ukryte talenty artystyczne. Pewnego dnia jeden ze skazanych z nieukrywaną kpina w głosie, zapytał sprzedawcę:

- Kiedy przyjdą sztalugi?

Najbardziej rewolucyjną zmianą była możliwość dokonywania w kantynie reglamentowanych zakupów na majtki, podkoszulki i skarpety. Raz na pół roku, każdy więzień mógł za odpłatnością nabyć taki asortyment. Przydział obejmował jedno majtki, jeden podkoszulek i jedną parę skarpet. Jako ciekawostkę zdradzę wam, że te wyroby pochodziły z warsztatu krawieckiego, który znajdował się na terenie naszej jednostki penitencjarnej. Więzienie miało ponoć podpisany kontrakt rządowy i skazańcy szyli te cuda na potrzeby polskiej armii. W zapomnienie odeszły już czasy, kiedy więźniom przysługiwał jakikolwiek ekwiwalent odzieżowy. Jeśli ktoś trafiał do pudła miał zapewniony jedynie dach nad głową i codzienną porcję jedzenia. Tylko w wyjątkowych przypadkach zapewniano osadzonemu odzież.

Świat się zmieniał, a wraz z nim zmieniał się więzienne życie, które zaczynało odbiegać od egzystencji, jaką poznałem za czasów II Rzeczypospolitej.

Pewnie zdajecie sobie również sprawę, że pojawienie się forszy w więzieniu miało swoje odpowiednie przełożenie na nadużycia i przekręty. Prawda jest taka, że ludzka chciwość i pazerność zawsze będą miały takie same oblicza.

Jak sprawa wyglądała na stolarni? Ano tak, że trzymający nad wszystkim pieczę Pan Cipa, bardzo dbał o zlecenia zewnętrzne. Powód był tylko jeden, oprócz normalnej wypłaty, jaką dostawał miesiąc w miesiąc, zlecenia zewnętrzne gwarantowały mu odrębną prowizję. Łącznie pracowało nas siedmiu, ale ktoś musiał się zająć sprawami bieżącymi. Pan Cipa bardzo szybko poznał się na mnie i moim doświadczeniu. Zdawał sobie sprawę, że jestem fachowcem i dzięki temu, znalazłem się w kręgu zarabiających. Dwóch najmniej obeznanym ze stolarką zostało bez grosza i zajmowało się charytatywną pracą na rzecz więzienia.

System pracy społecznej i zarobkowej zapuścił głębokie korzenie w więziennej rzeczywistości. Oczywiście bezustannie podlegał elastycznym zmianom. Zmieniały się czasy, a wraz z nimi przychodziły nowe wymogi. Byłem świadkiem, kiedy pojawiło się pojęcie tak zwanej "żelaznej kasy", albo jak alimenciarzy kierowano do przymusowej roboty, żeby w ten sposób odpracowywali swoje długi. W każdym bądź razie do dnia mojego wyjścia z pudła funkcjonowały oba warianty.

Pan Cipa solidnie dbał o swój interes, a dzięki temu nam również kapało do kiesy. Nie było tego za wiele, ale spokojnie wystarczało na to, żeby zarobić na miesiąc palenia, a od czasu do czasu człowiek mógł sobie nawet pozwolić na jakieś łakocie. Latem ubiłem z Żywym interes i za pięć skrzynek Belwederów kupiłem od niego talię kart. Wiedziałem, że skroił mnie jak głupiego, ale cóż mogłem zrobić? On miał to szczęście, że załapał się do ekipy budowlanej, która pracowała na zewnątrz i tam chyba nawiązał jakieś sensowne kontakty. Tak na marginesie, to powiem wam, że budowlañcy mieli najlepiej. Nawet leser Maniek im zazdrościł. Nie dość, że zarabiali, to jeszcze spędzali całe dni poza murami więzienia i mogli nacieszyć się widokiem normalnego świata. Wiadomo, zimą nudzili się i zbijali baki w celach, ale jak tylko zaświeciło wiosenne słońce, to ich egzystencja nabierała blasku i gasła dopiero z nastaniem późnej jesieni.

Maniek był tak rozleniwiony, że w ogóle nie garnał się do jakiegokolwiek roboty. Był niekwestionowanym królem spacerniaka. Znał wszystkich i wszyscy znali Mańka. Klawisze również. Miał bardzo szerokie kontakty, pośredniczył w załatwianiu przysług i w ten sposób, nawiązywał ciekawe znajomości i zdobywał sprzymierzeńców. Jedna rzecz mnie tylko dziwiła, otóż miał cholernie niską prowizję. Z pozoru wydawało się to zupełnie nielogiczne, ale tak naprawdę, to właśnie jego marża była najlepszym sposobem na pozyskanie czyjejs wdzięczności. Mogę nawet powiedzieć, że w temacie interesów, Maniek był ponadczasowym biznesmenem. Reprezentował wyższy poziom więziennej świadomości i wznosił się ponad całą bandą tych wszystkich chłystków i kombinatorów. Sprytnie wykorzystywał swoje codzienne przebywanie na spacerniaku. Po jakimś czasie każdy więzień wiedział, że Maniek "może dużo załatwić". Był jak firma, która specjalizowała się w wąskiej dziedzinie zaspokajania nietypowych potrzeb. Nie zajmował się żadnym handlem, załatwiał tylko przysługi lub łagodził waśnie. Działał w ten sposób, że kojarzył interesantów, a oni dobijali targu między sobą i dzięki temu obie strony miały wobec niego dług wdzięczności. Ten dług dla każdego z nich wynosił tylko paczkę fajek, nic więcej. Z pozoru mogłoby się wydawać, że każdy jest w stanie zorganizować sobie geszeft na własną rękę. O nie moi drodzy, nic z tych rzeczy. Nie przeczę, ktoś bardzo uparty i sprytny osiągnąłby cel, ale to zajęłoby takiemu delikwentowi sporo czasu. W tych czasach, żeby w więzieniu ubić interes była potrzebna rękojmia człowieka, który cieszył się zaufaniem wśród skazanych, a właśnie Maniek był taką osobą.

Któregoś wieczoru graliśmy w tysiąca, a ja spojrzałem na mojego kumpla i zapytałem:

- Nie nudzi ci się tak siedzieć ciągle na tyłku? Nie miałbyś ochoty się czymś zająć?
- Ropuch, ja już się w swoim życiu napracowałem. Teraz, to jestem na emeryturze
- zachichotał. - Ty rano wychodzisz do stolarni, a ja wtedy mam czas dla siebie. Mogę od ciebie odpocząć i nabrać sił zanim wrócisz. - Wyraz jego oczu świadczył o tym, że nieźle się bawi. - Ucinam sobie drzemkę do południa, potem wyjście na spacerniak, trochę się poruszam, zamienię z kimś parę słów i powrót do celi. Poleżę, podumam, popatrzę w okno

i nie zdążę się jeszcze dobrze zakręcić, a ty już jesteś z powrotem. Nie mam czasu na pracę, zajęty jestem. Przywykłem do lenistwa. Jak byłem w Płocku, to człowiek nie miał czasu nawet szluga wypalić - westchnął na wspomnienie dawnych dni. - Teraz jest dobrze, nie potrzebuję zarabiać.

Chciałem mu powiedzieć, że pewnego dnia, paczki z zapasem fajek mogą przestać docierać, ale zanim się odezwałem, ugryzłem się w język. Chyba w głębi duszy wiedziałem, że jeśli tak by się stało, wtedy ja w ramach rewanżu będę musiał okazać mu swoją wdzięczność.

- Tylko w jednym wypadku, bardzo chętnie przyjąłbym pracę - powiedział.

- Tak? W jakim?

- Gdybym załapał się do budowlańców - odparł.

- To w czym problem? Pogadaj z Laskowskim, może cię wkręci. Odpalisz mu działkę z wypłaty i będzie dobrze.

- Niestety, ale jako bezterminowy nie mam szans.

- Bredzisz - skwitowałem - porozmawiaj z towarzyszem Laskowskim...

- Za kogo mnie uważasz? - Wpadł mi w zdanie. - Myślisz, że nie gadałem? - Spojrzał na mnie, jakby chciał mi powiedzieć, że dawno nie widział takiego naiwniaka. - Do pracy za murami biorą tylko tych, których kara nie przekracza pięciu lat pozbawienia wolności. Bezpieczna cyfra, rozumiesz? Z takim wyrokiem nikt nie będzie myślał, żeby dać nogę.

Moje życie toczyło się spokojnym traktem. Celę dzieliłem z osobą, którą lubiłem, miałem pracę i zarabiałem bo Pan Cipa dokładał wszelkich starań, żeby wpadał mu dodatkowy grosz. Fakt, bywało tak, że społecznie człowiek też musiał popracować, ale to zdarzało się bardzo rzadko. Czegóż mogłem chcieć więcej? No chyba tylko tego, żeby w kantynie sprzedawali jeszcze piwo...

Niekiedy w mojej głowie powracały myśli o Wiktorze. Minęły już prawie cztery lata, kiedy widziałem go po raz ostatni i czas sprawił, że moje emocje ostygły. Wpadłem w beztroski rytm życia, a moja czujność i zdrowy rozsądek drzemały sobie w najlepsze. Czasami z pomocą Mańka ubiłem z kimś drobny interes. Latem, za przysłowiowy bezcen kupiłem od jednego gościa ciepły, wełniany sweter. Dałem mu za niego pięć paczek papierosów. Facetowi nie zależało na odzieniu, bo niebawem miał wychodzić, a moja skromna garderoba zyskała kolejną, przydatną rzecz. W tej części szafki, która należała do mnie, trzymałem dwie pary skarpetek, majtki i dwie koszulki z krótkim rękawkiem, które nabyłem w kantynie. Miałem też używaną flanelową koszulę w czerwono-czarną kratę, którą wygrałem na spacerniaku w karty. Czasami żartowałem, że teraz czekam już tylko na takie czasy, kiedy w celi będzie można przyrządzić sobie ciepły posiłek. A swoją drogą, doczekałem takich dni, ale o tym później.

Powoli zbliżały się moje pięćdziesiąte urodziny, a ja coraz bardziej zacząłem sobie zdawać sprawę, że niebawem stuknie mi pół wieku! Cholera, ależ to brzmi! Pół wieku! Czy czułem się stary? Nie wiem. Chyba nie. Świadomość, że jestem pięćdziesięcioletnim facetem nie robiła na mnie wrażenia. Jak to mówią, nieważne ile masz lat, ważne na ile się czujesz.

Wieczorem 17 października Maniek podszedł do mnie i powiedział:

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Nie mam dla ciebie żadnego prezentu, bo pomyślałem, że powinniśmy ten dzień uczcić w tradycyjny sposób.

Było mi naprawdę miło, że pamiętał.

W pewnym momencie odchylił nieco siennik na swojej pryczy i włożył dłoń w miejsce, gdzie widniało nieduże rozprucie. Po chwili wyjął stamtąd zakorkowaną butelczynę.

- Życie zaczyna się po pięćdziesiątce, a po dwóch - dodał - wydaje się nawet piękne. Trzymaj młodzieńcze - powiedział, podając mi szklany przedmiot - walnij sobie lufę!

Wyjąłem zębami korek i powąchałem szyjkę butelki. To była najprawdziwsza gorzalka.

- Nie pytaj skąd mam - uniósł do góry dłonie i uśmiechnął się.

Skoro sobie tego życzył, to nie wnikałem.

Siedząc przy stole, paliliśmy szlugi i rozmawiając o naszych niespełnionych marzeniach, wspólnie wysączyliśmy ćwiartkę wódeczki.

Tej nocy spałem jak suseł.

Niespełna dwa tygodnie później, niczym grom z jasnego nieba spadła na nas wiadomość o reformie walutowej. Zaczęło się od tego, że z początkiem listopada nie dostaliśmy należnych wypłat. Nikt nie wiedział co jest grane. Zrobił się szum, ale nie padły żadne odpowiedzi i wyjaśnienia. Wynagrodzenie dostaliśmy dopiero 10 listopada i okazało się, że dwa dni wcześniej wszystkie banknoty, które były w obiegu na terenie naszego kraju, straciły swoją wartość. Pojawił się tak zwany "nowy złoty" i oprócz banknotów, zawitały również monety. Niestety nie było wśród nas żadnego bystrzaka, który orientowałby się w sprawach ekonomii i nikt z więźniów nie miał pojęcia, czemu to wszystko miało służyć?

Polski rząd w piękny sposób wyruchał swoich obywateli. Forsę zdeponowaną w bankach, płace pracowników oraz ceny towarów przeliczono w stosunku 100:3, natomiast gotówkę wymieniało w stosunku 100:1. To był dopiero przekręt! Ta operacja uderzyła najbardziej w polską wieś. Istniał wtedy system bankowy, ale kto z rolników albo prostych obywateli trzymał swoje oszczędności w banku? Ludzie nie tylko nie ufali takim instytucjom, ale chyba najzwyczajniej w świecie obawiali się powierzać bankierom swoje ciężko zarobione pieniądze. Oczywiście władza ludowa miała wygodne wytłumaczenia, zaślaniała się walką z inflacją i umocnieniem polskiej waluty na rynkach zagranicznych. Może to była prawda, ale istniało również drugie dno. Chodziło o to, żeby pozbawić kapitału ludzi przedsiębiorczych. Pojawiły się puste frazesy i absurdalne hasła o walce z kapitalizmem i spekulacją. Wprowadzono również zakaz posiadania obcych walut i

cennych kruszców. Wtedy też poznałem dziwnie brzmiące słowo penalizacja i stało się dla mnie jasne, dlaczego do pudła można było trafić za handel obcą walutą.

Jestem sobie w stanie wyobrazić dramat ludzi po drugiej stronie murów. Ktoś ciułał grosz do grosza, przez lata nabijał w domu skarpetę, a tu nagle z dnia na dzień dowiaduje się, że jego majątek jest trzy razy mniejszy. Kilka razy w swoim życiu doświadczyłem zmian waluty. Znałem ruble, marki niemieckie, marki polskie, złotówki i wiem, że każda wymiana pieniądza, zawsze uderzała szarego obywatela. Jednak taki szwindel i to w świetle prawa, który miał miejsce jesienią 1950 roku, był jedyny w swoim rodzaju.

Po tej operacji nie raz dało się słyszeć na spacerniaku sarkastyczne komentarze, że najmniejsze straty w tym cyrku, ponieśli osadzeni w zakładach karnych.

Wieczorem 28 grudnia 1950 roku we wronieckim więzieniu wydarzyła się okropna tragedia. Nie miałem z nią nic wspólnego, ale w związku z tym, że posiadałem pewną wiedzę zostałem wciągnięty w wir dalszych wydarzeń. Gdybym wtedy znał Cyferkę, przewidziałbym, że tego dnia stanie się w moim życiu coś ważnego...

Po kolacji zasiedliśmy z Mańkiem do stołu, żeby rozegrać w karty kilka partyjek. Byliśmy przy pierwszym rozdaniu, kiedy nagle coś zaczęło stukać. To był bardzo dziwny odgłos. Kojarzył się z tym, jakby ktoś był w piwnicy i walił młotkiem w stal. Z każdą chwilą dźwięk przybierał na sile, aż w pewnym momencie miałem wrażenie, że wszystko zaczyna drzeć.

- Co to za cholerstwo? - Warknął Maniek.

Położyłem karty na stole i podszedłem do dwóch rur ogrzewania, które biegły w rogu pomieszczenia po lewej stronie drzwi. Przyłożyłem do nich dłonie. One nie były ciepłe, ale bardzo gorące. Wyraźnie czułem delikatne wibracje. W pewnym momencie zauważyłem na moich dłoniach i na rękawach bluzy drobny pył. Podniosłem wzrok i spojrzałem w górę. Drobinki kurzu leciały z sufitu, dokładnie z tego miejsca gdzie chowały się rury.

- Chyba coś jest nie tak z ogrzewaniem - powiedziałem i w tym samym momencie poczułem delikatny zapach dymu.

Zrobiłem krok w stronę drzwi i przystawiłem nos do futryny. Byłem pewien, że smród spalenizny dociera z zewnątrz. Nagle na sterowni ktoś zaczął wściekle walić w mosiężny dzwon, zupełnie jakby bił na alarm, a zaraz potem usłyszeliśmy donośny głos:

- Pożar! Ogień w piwnicy! Piwnica się pali! Pożar!

Maniek poderwał się z miejsca i przyłożył ucho do krawędzi wrót.

- Kurwa mać, co się tam dzieje?! - Syknął.

Wtem usłyszeliśmy tupot nóg zbiegających po drewnianych schodach, krzyki i nawoływania. Echo niosło odgłosy kroków pędzących po drewnianych podestach. Coś się działo, coś nieoczekiwanego, coś, co zburzyło spokój dnia powszedniego.

Z dołu dobiegał czyjś krzyk:

- Pożar! Pali się! Pożar!

W celi było już wyraźnie czuć smród spalenizny.

Metaliczny stukot przybierał na sile. Położyłem dłonie na rurach i tym razem już

wyraźnie czułem jak drżą.

- Coś złego dzieje się z instalacją. Tylko dotknij - rzuciłem do Mańka.

Chwylił obiema dłońmi za rury i rzekł:

- O kurwości najśłodsze...

Zamieszanie na korytarzu trwało jeszcze dobry kwadrans. Intensywny swąd spalenizny wdzierał się przez szczeliny futryn i uderzał w nozdrza. Raz po raz do naszych uszu docierał odgłos, który sugerował, że jacyś ludzie zamknięci w celach kopali w drzwi. Wśród osadzonych na najniższej kondygnacji musiała chyba wybuchnąć panika.

- Nie da się spalić tego pierdła, ale uwędzić nas mogą - stwierdził Maniek i skoczył w stronę okna. - Coś się dzieje! Biegają przy administracyjnym jak ze sraczką.

Po chwili stukanie zaczęło słabnąć, a wibracje ustały.

Siedzieliśmy zamknięci w celi i powiem wam, że wystraszyłem się nie na żarty. Nigdy coś podobnego nie miało miejsca w tym więzieniu. Nie sądzę też, żeby ktokolwiek wiedział, co trzeba w takiej sytuacji robić? Jak wygląda ewakuacja więźniów? Czy w ogóle coś takiego jest brane pod uwagę? Wyobraźnia podsuwała najbardziej koszmarnie scenariusze.

Jacyś ludzie biegli drewnianym podestem. Kroki zatrzymały się dokładnie na wprost naszych drzwi. W tym samym momencie, kiedy rozległ się szcęk zasuw, cofnąłem się o krok. Zobaczyliśmy dwóch strażników, a do wnętrza naszej celi wpadł odór spalenizny i delikatna poświata sinego dymu.

- Żabikowski, idziecie z nami! - Wrzasnął klawisz.

- Co się dzieje?! - Rzucił wystraszony Maniek w stronę funkcjonariuszy.

Żaden nie udzielił mu jakiegokolwiek odpowiedzi.

Spojrzałem pytającym wzrokiem na strażnika, a on znowu wrzasnął:

- No co się tak gagicie Żabikowski?! Idziecie z nami! Trzeba wygasić piec w kotłowni, a wy ponoć się na tym znacie!

Odruchowo złapałem za kufajkę, która wisiała na gwoździu wbitym w półkę.

Kiedy znalazłem się na korytarzu ubrałem waciak i przyłożyłem do nosa rękaw, żeby nie wdychać tego smrodu.

- Biegiem! Do kotłowi! - Rozkazał strażnik.

Gdyby nie duszący swąd, więzienne korytarze wyglądały tak, jakby spowijała je gęsta mgła.

Pędziliśmy w kierunku wejścia do piwnicy.

Za rogiem skręciliśmy do drzwi wiodących do podziemi i w tym samym momencie wpadliśmy na ludzi w białych kitlach, którzy na noszach wynosili rannych. Na schodach do piwnicy nie było za dużo miejsca, dlatego musieliśmy im ustąpić pierwszeństwa.

Sanitariusze dźwigali trzech rannych. Pierwszy ewakuowany, to był klawisz, który miał zabandażowaną twarz i dłonie. Zaraz potem kroczył lekarz. Wyglądali jak duchy wyłaniające się z podziemnego korytarza, skąd snuły się języki sinego dymu i zionęły

nam prosto w twarz niczym mleczone opary z dna otchłani. Na drugich noszach leżał jakiś więzień z identycznymi opatrunkami. Natomiast na trzecich, spoczywał człowiek w mundurze, ale w miejscu twarzy miał tylko krwistą, czerwoną miazgę. Wyglądał tak, jakby skóra z jego oblicza została po prostu zdarta. Nie miał oczu i nosa. Nie było widać w którym miejscu kończy się kołnierz munduru. Wyglądał tak, jakby filcowy materiał stopił się z jego ciałem. Widok był potworny. Z jego odzienia i z miazgi, która kiedyś była jego twarzą, unosiły się stróżki pary, jakby przed chwilą ktoś oblał go wrzątkiem. Zewsząd było czuć swąd spalenizny. Klawisz stojący obok mnie nie zapanował nad sobą i zwymiotował.

Pomieszczenie kotłowni wyglądało tak, jakby eksplodował w nim granat. Woda lała się z popękanych rur, para syczała, gorący żar bił od pieca. Plutonowy Laskowski wydierał się na jakiegoś strażnika. Po lewej stronie tliła się sterta drzewa. Choć piwniczne okna były pootwierane na oścież, to dym ciągle gryzł w oczy i drapał w gardło. Z wnętrza kotła dochodził wrzący bulgot. Dwie ściany i duży fragment sufitu były okopcone czarnym dymem. W rogu leżała przewrócona beczka i częściowo spopiелona hałda starych szmat. Jeden ze strażników stał nieco dalej i szlauchem polewał najbardziej dymiące miejsca. Szlag chyba trafił całą aparaturę kotła, bo listwa do której były przytwierdzone zegary pokazujące ciśnienie i temperaturę wisiała niczym kikut i kołysała się delikatnie na boki. Szkła za którymi kryły się strzałki wskaźników były potłuczone. Nagle kątem oka dostrzegłem, że w kałuży pod kotłem, odbija się cienka jak nić i długa na metr szczelina, jarząca się złotym blaskiem. *Chryste Panie, przecież tam pali się w najlepsze!* - Krzyknąłem w myślach. Właz wsypowy, popielnik i drzwiczki ciągu były zamknięte. Jednak wewnątrz kotła nadal szalało piekło.

Kiedy Laskowski mnie zobaczył, wrzasnął do strażników z którymi tutaj przybyłem:

- Czemu mi kurwa nie meldujecie, że Żabikowski już tu jest?! - Nerwowo obrócił się w drugą stronę i wrzasnął do funkcjonariusza, który polewał pogorzelnisko: - Lej kurwa tam, gdzie się jeszcze tli! A wy co tak stoicie jak pizdy?! - Znowu wrzasnął do dwójki, która mnie tutaj przywiodła. - Co wam powiedziałem?! Mielicie przyprowadzić Żabikowskiego, a potem zorganizować szufle, wiadra i dziesięciu ludzi do pomocy! Gdzie oni są do kurwy nędzy?! Gdzie macie sprzęt?! Poszli mi stąd! - Wrzasnął i szybkim krokiem ruszył w moją stronę. - Żabikowski, wy byliście kiedyś palaczem, zgadza się?!

- Tak jest!

- No to zróbcie coś, żeby zgasić tego potwora!

Spojrzałem na niego jak na szaleńca. Cóż mogłem zrobić? Nasikać do środka?

W pierwszej kolejności sprawdziłem to cwane urządzenie regulujące dopływ powietrza. Dla pewności zdjąłem łańcuszek z haczyka, który podnosił linkę. Zerknąłem w prawo i zobaczyłem obok zaworu bezpieczeństwa rozlaną plamę krwi. Rura wychodząca z pieca, która odprowadzała parę była pęknięta przy łączeniu kołnierzy i w stronę sufitu dmuchał z niej biały obłok. Najbardziej niepokojące było to syczenie dochodzące z wnętrza potężnego kotła. Pomyślałem, że jeśli nic nie zrobimy, to bydlę po

prostu u dołu pęknie, a całe rozżarzone palenisko wypadnie mu z brzucha i znajdzie się na posadzce.

- Wydaje mi się, że w instalacji wewnątrz kotła nie ma wystarczającej ilości wody. Może jak zaczniemy ostrożnie uzupełniać jej brak, to coś pomoże?

- Nie wiem, co wy do mnie mówicie, nie znam się na tym! - Wrzasnął plutonowy.

- Dajcie mi ten szlauch! - Krzyknąłem do strażnika, który gasił resztki pogorzelska. Zakręciłem zawór i końcówkę węża założyłem na kurek przy kotle.

- Drut! Potrzebny mi kawałek drutu! - Krzyknąłem w ich stronę.

- Skąd ja wam wezmę drut?! - Laskowski robił się coraz bardziej nerwowy. - Słyszeliście?! - Wrzasnął do strażnika, który był z nami. - Zapierdalajcie po jakiś drut!

Tamten natychmiast obrócił się na pięcie i wybiegł z kotłowni.

- No dobra, może poradzimy sobie bez - powiedziałem półgłosem, bo końcówka szlauchu dość mocno trzymała się na stożku kurka.

Obracałem pokrętko, aż poczułem opór. Podszedłem do zaworu doprowadzającego wodę, który wystawał ze ściany jakieś trzy metry dalej. Wiedziałem, że to ryzykowna operacja, ale nie miałem innego pomysłu. Pomyślałem, że jeśli puszczyć powoli wodę, tak delikatnie, tak ostrożnie, to może się uda.

Odkręciłem odrobinę zawór i usłyszałem charakterystyczny syk. Strumień popłynął. Obserwowałem rurę odprowadzającą parę. Nie działało się nic szczególnego.

Laskowski stał tuż obok mnie.

- I co? Płynie? - Szepnął po chwili.

- Coś tam płynie - odparłem i znowu przekręciłem kurek o pół obrotu.

Po kilku chwilach powtórzyłem czynność.

Miałem wrażenie, że para uchodząca z wylotu zrobiła się nieco gęstsza.

Powoli puszczałem coraz większy strumień. Obłok wydobywający się z rury przybrał intensywną, mleczną barwę. Nagle w kotle zaczęło bulgotać dwa razy głośniej.

Plutonowy Laskowski wzdrygnął na ten dźwięk, ja zresztą też.

- Kurwa Żabikowski, mam nadzieję, że wiecie co robicie - szepnął mi prosto do ucha.

- Ja też mam taką nadzieję towarzyszu plutonowy - odparłem i spojrzałem na jego puciołowatą twarz.

Nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się do mnie w taki sposób, jakbyśmy byli dobrymi kumplami.

- Nie jest wam gorąco w tym waciaku? - Zmierzył mnie wzrokiem.

- Lepiej się spocić niż zmarznąć - stwierdziłem i zapytałem: - Co tu się właściwie stało?

- Diabli wiedzą - odparł - wiem, że przytargali tutaj kiedyś beczkę do połowy wypełnioną benzyną, bo zamiast się męczyć z rozpalką, to wygodniej było wrzucić do środka drzewa, a potem nasączoną szmatę i podłożyć ogień. Mało to razy nad ranem w piecu zgasło, a jeden z drugim spali sobie tutaj w najlepsze? Nie mam pojęcia, co się dzisiaj nawyrabiało. Dwóch poparzonych, a ten trzeci nie żyje. Skóra na twarzy mu się rozpuściła. Ooo, tam go znaleźliśmy - kiwnął głową w kierunku zaworu bezpieczeństwa.

- Jak to się stało, że pożar tu wybuchł? - Wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Pewnie

benzyna z beczki się wylała, bo wszystko z tej strony - wskazał dłonią - stało w płomieniach. Deski, szmaty, sterty starych gazet. Wszystko.

Zrobiłem kolejny obrót pokrętelem, ale ciśnienie było chyba zbyt mocne i końcówka szlauchu wyskoczyła ze stożkowego kurka. Woda chlusnęła na obudowę kotła i rozległ się złowieszczy syk. Zakręciłem zawór.

- Bez drutu nic nie poradzimy. Nie ma szans - stwierdziłem.

- Dobra Żabikowski, nie ruszajcie się stąd, muszę się chyba sam pofatygować! Chuj mnie strzeli z tą bandą kretynów! - Zaklął i ruszył w stronę wyjścia.

Włożyłem ponownie końcówkę węża i odkręciłem zawór na tyle, żeby woda sączyła się bezpiecznym ciekim.

Mimowolnie spojrzałem w kierunku wnęki, gdzie kiedyś ukryłem moją puszkę ze skarbami. Zrobiłem kilka kroków w przód i zerknąłem w lewo. Rozszarpane i pocięte rury uniemożliwiały wejście w wąską przestrzeń, pomiędzy ścianą a rozgrzanym kotłem. *Nawet jeśli miałbym drabinę, to nic bym nie poradził* - szepnąłem w myślach. Nic z tego. W brzuchu rozgrzanego potwora rozlegał się głośny bulgot i wrzenie. Z pękniętej rury wylotowej dmuchały kłęby pary. Pomyślałem, że będzie dla mnie bezpieczniej, jeśli wyjdę na korytarz.

Ufam, że niektórzy z was wiedzą jak to jest, kiedy człowiek nagle znajdzie się w centrum ekstremalnych wydarzeń. Umysł podsuwa wtedy najbardziej czarne scenariusze i koszmarnie wizje. Oczami wyobraźni widziałem, jak nagle rozrywa korpus kotła, a bryły rozgrzanego żaru mkną w każdą stronę niczym rój sierpniowych perseidów...

Stałem w korytarzu. Dymu już nie było, ale śmierdziało pogorzeliśkiem jak jasna cholera. Kończówka szlauchu trzymała się na stożku kurka i woda bezpiecznym ciekim sączyła się do kotła. Wyjąłem z kieszeni fajki i zapaliłem. Nagle spojrzałem na przewróconą beczkę. Zrobiłem sztacha. Znowu spojrzałem na beczkę i... i nagle mnie olśniło. Łypnąłem wzrokiem w kierunku schodów wiodących do piwnicy. Rzuciłem niedopałek na podłogę, obróciłem się na pięcie i skoczyłem w stronę pomieszczenia, które sąsiadowało z kotłownią.

- Powinienem sięgnąć! - Syknąłem pod nosem, patrząc na wyłom w ścianie, którądy biegły rury z kotłowni. Z tej strony również mogłem sięgnąć do wnęki.

W te pędy dawaj z powrotem! Złapałem za beczkę, ciężka była jak diabli, ale dałem radę ją dźwignąć. Chwilę później postawiłem ją dnem do góry.

Wyciągnąłem się jak struna i wyczułem pod opuszkami palców materiał. Chwyciłem za pakunek i pociągnąłem w przód. Przez kilka sekund mocowałem się, żeby go wyciągnąć.

Nie miałem czasu, żeby się zastanowić.

Działąłem instynktownie.

Zeskoczyłem na posadzkę. Kiedy odwijąłem szmatę, usłyszałem jak odlew klucza, mosiężna papierośnica i pamiątkowa zapalniczka, uderzały o metalowe ścianki. Wyjąłem

przedmioty i schowałem po kieszeniach, a puszkę wcisnąłem za pasek u spodni i zapiałem kufajkę. Pochwyciłem beczkę w ręce i odniosłem ją na miejsce. Miałem takie tempo, że zrobiłem to wszystko w mgnieniu oka. Pot łał się ze mnie strumieniami, ale nie wiem czy faktycznie było mi gorąco czy pociełem się z nerwów. W głowie toczyła się lawina myśli. Wróciłem na korytarz i drżącymi palcami wyjąłem fajkę. Musiałem zapalić. Nagle pojawiło się milion wątpliwości i pytań! Czy dobrze zrobiłem? A jeśli wpadnę z tą puszką? Jeśli ktoś z klawiszy zobaczy, że coś trzymam pod kufajką? Jeżeli uda mi się ją wynieść do celi, to będzie po sprawie, ale jeśli nie... Zdałem sobie sprawę, że jestem głupi. Głupi jak przysłowiowy but! Jak mogłem postąpić w tak nielogiczny sposób! Najpierw powinienem pomyśleć, a potem dopiero działać! *Kurwa mać! I co zrobiłeś najlepszego?!* - Krzyknąłem w myślach. W panice zacząłem się rozglądać, gdzie mógłbym teraz ukryć moją przeszłość. Wtem od strony schodów rozległy się kroki...

Sytuacja została opanowana. Ogień w kotle zgasł kilka godzin później, a my przez pół nocy sprzątaaliśmy ten bajzel. W międzyczasie zjawił się nawet dyrektor więzienia. Wpadł jak burza, stracił nad sobą panowanie i zbeształ w naszej obecności wszystkich mundurowych. Był tak zdenerwowany, że prawie toczył pianę z ust. Wydał kilka poleceń i zabrał się na izbę chorych.

Tamtej nocy pierwszy i ostatni raz widziałem, jak klawisze pracowali z więźniami ramię w ramię. Nie było tak, że stali beczczynnie i patrzyli co robimy, tylko sami chwyтали się za wiadra.

Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, plutonowy Laskowski klepnął mnie w ramię i powiedział:

- A co do tego kotła Żabikowski, to była dobra robota!

Opatrzność miała mnie w swojej opiece, bezpiecznie wyniosłem z piwnicy mój sekret. Akcja z gaszeniem pieca i sprzątaniem kotłowni skończyła się grubo po północy. Kiedy wróciłem do celi, Maniek siedział przy oknie i nerwowo palił szluga. Kiedy zobaczył, co z sobą przyniosłem o mało nie dostał wytrzeszczu. Oczywiście najpierw musiałem mu opowiedzieć co się wydarzyło w kotłowni, a potem zacząłem snuć historię związaną z puszką po wiśniach w czekoladzie.

Tamtej nocy bardzo późno poszliśmy spać.

W tym całym zdarzeniu musiał być palec Boży, bo kilka tygodni później po starej kotłowni nie było już śladu. Ściana w której znajdowała się wnęka gdzie ukryłem puszkę, została rozebrana cegła po cegle. Gdybym wtedy nie zabrał mojej własności, mógłbym mieć nie lada kłopoty. I nie chodziło o listy lub kartki, tylko o ten cholerny klucz do stalowych wrót, które wiodły bezpośrednio na zewnątrz. Komuś mogłoby wtedy przyjść do głowy, żeby sprawdzić do którego zamka pasuje... Ołowiany odlew postanowiłem ukryć w stolarni, bo wiedziałem, że przyszłość jest spowita tajemnicą. *Kto wie -*

przemknęło mi wtedy przez myśl - *może ten klucz będzie kiedyś wart więcej niż całe złoto świata?*

Puszka po wiśniach w czekoladzie spoczęła w szafce, bo tak jak wam wcześniej wspominałem, więźniowie pospolici mogli już wtedy mieć w celach drobne rzeczy osobiste. Przed długie lata żaden z klawiszy nie czepiał się mojej własności. Stemple na listach i kartkach wyraźnie wskazywały, kiedy je otrzymałem, a ja zawsze twierdziłem, że tę puszkę mam od niepamiętnych czasów. Jedyne błędne popamiętałem, to taki, że trzymałem w niej również zapalniczkę od Dietera. Nie używałem jej, bo nie chciałem mieć na widoku rzeczy, dzięki której inni zaczęliby zwracać na mnie uwagę. Wiele lat później straciłem mój prezent. Zabrał mi go pewien klawisz, który był takim samym skurwysynem jak Szumski. Czasami miałem wrażenie, że oni musieli być jakimś cudem spokrewnieni. Wiedziałem, że to jest niemożliwe i nieprawdopodobne, a jednak w duchu kpiłem sobie z niego właśnie w ten sposób. Natomiast w przyszłości, nabrałem przekonania, że mam do czynienia nie z potomkiem tylko z kolejnym wcieleniem aspiranta. W swoim czasie opowiem wam tę historię.

- Oj robaczku nieładnie, nieładnie - Maniek pogroził mi palcem - nigdy się nie pochwaliłeś nawet słowem - powiedział i przyglądał się kolorowym pocztówkom, które dostałem od Agnieszki.

- Jakoś nie było okazji - odparłem - a poza tym, co ci będę tłumaczył, wiesz jak jest.

- Wiem - westchnął i rzekł: - Miałem dziewiętnaście lat jak wziąłem ślub z moją Krysią. Śliczna z niej była dziewczyna, bardzo śliczna. Po roku urodziła mi syna i daliśmy mu na imię Tadeusz. Po dwóch latach znowu była przy nadziei, ale zimą dostała zapalenia płuc. Poroniła i... tydzień później zmarła. Nie wiem czy z żalu za tym nienarodzonym dzieciątkiem, czy choroba ją zmogła. Zostawiła nas samych. Byłem młodzikem, który miał na wychowaniu dziecko. Ciężko mi było. Nigdy więcej się nie ożeniłem - włożył do puszki kartki, a rękawem bluzy przetarł oczy.

Sięgnął po papierosa i zapalił.

- Było minęło - odezwał się po chwili. - Chyba nie lubię o tym gadać. Fajna ta papierośnica - zmienił temat. - Solidna.

- Dostałem ją od Ojczulka na moje dwudzieste piąte urodziny. Spójrz tylko - wskazałem palcem na grawer. - Tu są wyryte moje inicjały i data.

- Przecież wiesz, że nie potrafię czytać - odparł.

- No wiem, dlatego ci mówię, co tu stoi. Zapalniczka to też prezent, ale ją dostałem od tego Niemca o którym ci opowiadałem. Porządny był z niego człowiek. Wiesz co ci powiem, że czasami myślę o tych wszystkich ludziach, których miałem okazję poznać i polubić. Niekiedy zastanawiam się, jak potoczyło się ich życie - spojrzałem w okno, za którym czaił się styczniowy wieczór.

Maniek tak bardzo przywykł do przedpołudniowych drzemek, że każdej niedzieli

około dziesiątej zalegał na pryczy i uderzał w kimę. Wyciągałem wtedy puszkę i paląc papierosa, przeglądałem moją przeszłość. Czytałem słowa, które pisał Ojczulek, uśmiechałem się podziwiając rysunek Suchego, ale najwięcej czasu poświęcałem wiadomościom od Agnieszki. Ostatni list dostałem od niej dwanaście lat temu. Otrzymałem go w połowie lipca, ale na znaczku widniał stempel z datą nadania - Chicago Post 03 June 1939.

Któregoś razu, patrząc na pożółkłe koperty, pomyślałem, że nic nie jest w stanie umknąć przed upływem czasu. Nic. Lata płyną, człowiek ma coraz więcej zmarszczek na twarzy, coraz więcej siwych włosów na skroniach, a wspomnienia pokrywają się kurzem. W te leniwe, niedzielne przedpołudnia mimowolnie zacząłem sięgać pamięcią do dawnych dni. Wspominałem nasze spotkania, rozmowy, spacerunki i czułem jak na sercu robi się ciepło. Czasami tonąc w myślach zerkałem na znak, który wydrapałem na ścianie zardzewiałym gwoździem. Tych kilka kresek świadczyło o tym, że kiedyś wiodłem Spokojne, Radosne Życie.

Nie skończyło się tylko na myśleniu. Zacząłem o niej mówić, a Maniek słuchał i uśmiechał się pod nosem.

Któregoś dnia stwierdził:

- Od chwili kiedy przytargałeś z sobą tą puszkę, to coraz częściej opowiadasz o tej swojej Agnieszce. Wiesz czego ci zazdroszczę? - Powiedział nagle zmieniając temat.

Spojrzałem na niego w taki sposób, jakbym chciał zapytać - czego?

- Potrafisz bardzo ładnie mówić, naprawdę. Nie myśl sobie, że ci słodzę, ale lubię słuchać twoich opowieści. Tą swoją Agnieszkę, to dopiero musiałeś czarować - mrugnął do mnie porozumiewawczo okiem. - Czemu się jej nie oświadczyłeś skoro tak bardzo ją kochałeś?

- Miałem to zrobić - odparłem - przysięgam na wszystkie świętości, miałem to zrobić, ale nagle los obrócił się przeciwko mnie i wszystko przepadło.

Nim nastąpiła wiosna w głowie zaczął mi świtać szalony pomysł. Zaczęło się całkiem niewinnie, ale w miarę upływu dni nabierałem przekonania, że powinienem do niej napisać.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - Zapytał Maniek, kiedy wtajemniczyłem go w sprawę. Po chwili pokiwał głową, jakby pragnął mi powiedzieć, żebym się dobrze zastanowił.

- Nie wiem czy dobry - odpowiedziałem - minęło już trochę lat, ale pomyślałem, że chyba chciałaby wiedzieć co u mnie.

- Coś mi się wydaje przyjacielu - rzekł - że jest trochę inaczej niż mówisz. Twierdzisz, że ona chciałaby wiedzieć? A może jest inaczej, co?

Spojrzałem na niego, ale już wtedy dobrze wiedziałem, że nic nie odwiedzie mnie od tego pomysłu. Nie myślałem racjonalnie. Każdy jej list i kartkę przeczytałem chyba z tysiąc razy i dałem się ponieść dawnym uczuciom. Ostatni raz widziałem Agnieszkę ponad ćwierć wieku temu, a ostatni jej list przyszedł przed dwunastu laty i kończył się takimi słowami:

"Twoje listy przychodzą coraz rzadziej, proszę Cię Stefanie Stanisławie, nie każ mi długo czekać na Twoją odpowiedź. Pozdrawiam Cię serdecznie i niech Bóg ma nad Tobą pieczę. Myślami jestem przy Tobie. Agnieszka."

Myślę, że w te cholerne, niedzielne przedpołudnia pogubiłem się na dobre. Wyobraźnia wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem i poległem.

Na pewno wiecie jak to jest, kiedy człowiek pod wpływem chwili zrobi coś głupiego, albo podejmie zupełnie niepotrzebne ryzyko, prawda? Po czasie dociera do jego łba, że popełnił błąd, ale jest już za późno, żeby cofnąć czas. Rzadko bo rzadko, ale czasami wszystko rozejdzie się po kościach albo pójdzie w zapomnienie. Jak to mówią, upiecze się. W pierwszej chwili nie myśli się o konsekwencjach, a oczka otwierają się dopiero wtedy, kiedy wybuchnie afera. Innym razem jest tak, że sprawa przycichnie. Czas pomknie do przodu, miną dni, tygodnie, miesiące, a nawet długie lata, aż pewnego dnia świat staje na głowie, bo ponura przeszłość odzywa się głośnym echem. W pewnym sensie, tak właśnie było ze mną.

- Czemu nie wyślesz tego listu oficjalną drogą? - Zapytał Maniek, kiedy poprosiłem go o przysługę.

- Nie mogę tego zrobić - odparłem - uwierz mi, ale mam swoje powody.

- Ropuch, jeśli nie ma takiej potrzeby, to nie kombinuj - upierał się przy swoim. - Przecież doskonale wiem, jak sprawy się mają. Z żadnym klawiszem nie masz na pieńku, chodzisz do roboty i zarabiasz. Po jaką cholere chcesz sobie utrudniać taką prostą sprawę, jak wysłanie listu?

- Właśnie nie chcę sobie niczego utrudniać i dlatego proszę cię o przysługę - powiedziałem stanowczym głosem. - Załatwisz czy nie?

Maniek spojrział na mnie z politowaniem i rzekł:

- Dobrze, załatwię temat. Potrzebuję kilku dni. Nie wiem ile facet będzie chciał za fatywę, ale to ustalicie między sobą.

- Jasna sprawa - odparłem - ty kasujesz tylko swoją prowizję.

- Od ciebie nic nie wezmę, tylko nikomu się nie chwal, że potraktowałem cię ulgowo - powiedział i posłał mi uśmiech. - Jeszcze masz szansę, żeby wybić sobie z głowy ten pomysł. Dobrze ci radzę, nie rób tego. Nic nie pisz i nic nie wysyłaj. Przecież zdajesz sobie sprawę, że to niczego nie zmieni, prawda? Porzuć swoje zamiary.

Powinienem posłuchać jego rady i dać sobie spokój, ale niestety postąpiłem inaczej.

Wiele rzeczy miało wpływ na to, że zdecydowałem się to zrobić. Może gdyby w kotłowni nie zdarzył się ten wypadek...? Jest całkiem prawdopodobne, że nie odzyskałbym wtedy mojej puszki, a kolejne wydarzenia nie miałyby miejsca. Nie czytałbym tych listów, a stare wspomnienia drzemałyby sobie w najlepsze, ukryte głęboko w zakamarkach pamięci. Jednak stało się inaczej. To było jak iskra, która padła na beczkę z prochem i ten mały niewinny ognek, doprowadził do niewyobrażalnej eksplozji. Skąd

miałem wiedzieć, że mimo upływu lat, to wszystko wróci z tak ogromną mocą? Jakim cudem mogłem przewidzieć, że w mojej duszy rozpęta się burza emocji? Poza tym czułem się w pewnym sensie zobowiązany w stosunku do Agnieszki. Do licha, przecież nie byliśmy dla siebie obcymi ludźmi! Kochałem ją, może nie w taki sposób jaki piszą o miłości poeci, ale kochałem ją tak, jak umiałem najlepiej. W tym skoroszybie wspominałem wybiórczo o jej osobie. Skreśliłem raptem kilka akapitów, ale one nie oddają tego, co przeżyłem u jej boku przez te wszystkie dni, jakie zostały nam kiedyś dane. Nie potrafiłbym tego zrobić w należyty sposób, gdybym chciał napisać tylko o niej. Znam swoje możliwości i wiem, na co mnie stać. Nie umiałbym oddać nawet namiastki tych wszystkich doznań, które zawładnęły moim sercem gdy byłem młodym człowiekiem. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby porywać się na takie wyzwanie. Powiem wam szczerze jak było. Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy zapominałem o jej istnieniu. Żyłem tak, jakby ktoś rzucił na mnie zaklęcie, dzięki któremu przeszłość zniknęła, a w mojej duszy nie było żadnych wspomnień. Potrafiłem tak przetrwać długie lata, a potem zniemacka przychodził taki dzień, kiedy wszystko budziło się z krzykiem. Nagle powietrze miało taki sam zapach, jak tamtej jesieni, kiedy po raz pierwszy poznałem smak jej ust. Ktoś z was może powiedzieć, no dobrze facet, siedziałeś w więzieniu, było ci źle, przyszła chwila słabości i rozkleiłeś się. Nie zaprzeczam i nawet jestem w stanie przyznać rację takiemu twierdzeniu. Niewątpliwie pobyt w celi na pewno odgrywał w takim wypadku istotną rolę. Izolacja od świata zewnętrznego, życie w zamknięciu, tęsknota za wolnością, dodać do tego kilka wspomnień, posklejać to do kupy i wynik jest prosty. Zgadza się, można w ten sposób wytłumaczyć czyjąś chwilę słabości. Przyznam się wam jednak do czegoś, co przeczy takiej teorii i w dowód tego opowiem wam teraz o tym, co wydarzyło się w dniu moich dziewięćdziesiątych urodzin.

17 października 1990 roku minęło dokładnie 109 dni od chwili, kiedy wyszedłem na wolność. 109 dni! Do licha i jak tu nie wierzyć w magiczną Liczbę Życia?! Ona istnieje i przysięgam na Boga, że niebawem sami się o tym przekonacie.

Obudziłem się jak zwykle o wpół do szóstej. Otworzyłem oczy i niemal natychmiast pomyślałem, że dziś zaszaleję. A dlaczego by nie, prawda? Tylko raz człowiek ma dziewięćdziesiątkę.

Przez cały poranek układałem w głowie plan. W związku z tym, że jesienna pogoda potrafi być kapryśna, kombinowałem na dwa fronty. Pierwsza opcja zakładała, że jeśli aura dopisze, to wybiorę się do parku. Drugi wariant natomiast był taki, że jeśli zacznie padać albo będzie chłodno, to zabawię się w czterech ścianach.

Rano niebo było lekko zachmurzone, ale przed południem wiatr popędził chmury hen za horyzont i świat utonął w gorących promieniach październikowego słońca. Było tak ciepło jak w środku lipca. Kwadrans po piętnastej zmierzałem w kierunku sklepu. Nie mam daleko, bo jak minę bramę wiodącą na plac i skręcę w lewo, to wolnym krokiem w pięć minut jestem na miejscu. Właściwie mógłbym pójść do Supersamu, jest trochę dalej i mają większy wybór, ale powiem wam, że wolę robić zakupy w małych sklepikach. Może jest nieco drożej, ale tu nie chodzi o tych parę groszy, tylko o samą atmosferę. "Sklep u Irenki" prowadzi pani Irenka. Jak na moje oko musi być już po pięćdziesiątce,

ale wciąż widać, że kiedyś była bardzo ładną kobietą. Jest trochę przy sobie, jak to mówią, lecz mimo zbędnych kilogramów ma w sobie to coś, co przyciąga męskie spojrzenia. Poza tym powiem wam, że używa niesamowitych perfum. Kiedy człowiek stoi po drugiej stronie lady, to miałby ochotę tak sobie postać i rozkoszować się tym zmysłowym aromatem. Wszyscy okoliczni bywalcy sklepu doskonale wiedzą jak pani Irenka ma na imię, ale ja dla niej jestem tylko starszym panem.

- Dzień dobry pani Irenko!

- Dzień dobry panu. Co podać? - Zapytała.

- Zanim cokolwiek kupię, proszę mi powiedzieć, jak pani to robi, że każdego dnia wygląda pani tak kwitnąco?

Spojrzała na mnie, posłała mi swój uroczy uśmiech i odpowiedziała jak na kokietkę przystało:

- Taka już jestem.

- Zapomniała pani dodać, piękna - odparłem w taki sposób, jakbym chciał ją uwieść.

- Dziękuję za komplement.

Mogłem sobie pozwolić na chwilę dyskusji, bowiem nie było innych klientów.

- To ja poproszę paczkę Marlboro i ćwiartkę Żołądkowej Gorzkiej.

Zapłaciłem, wziąłem towar, ukloniłem się grzecznie, pożyczyłem jej miłego dnia i wyszedłem ze sklepu.

Johnny Alcatraz jednak znał się na babach. Zawsze twierdził, że trzeba im powiedzieć coś miłego, bo wtedy promienieją i dostają skrzydeł. Od jakiegoś czasu eksperymentowałem na pani Irencie właśnie w taki sposób i zauważyłem, że to prawda.

Po wyjściu ze sklepu przystanąłem obok schodów, otworzyłem paczkę fajek i przełożyłem jej zawartość do mosiężnej papierośnicy. Spojrzałem na przedmiot w mojej dłoni i w tym samym momencie dotarło do mnie, że dostałem tę papierośnicę dokładnie sześćdziesiąt pięć lat temu. *Mój Boże* - przemknęło mi przez myśl - *niektórzy ludzie tak długo nawet nie żyją*. Prezent od Ojczulka włożyłem w kieszeń koszuli na piersi i wolnym krokiem ruszyłem w stronę parku.

Od ponad trzech miesięcy pokonuję tę trasę prawie każdego dnia i powiem wam, że jak człowiek tak drepcze zawsze tą samą drogą, to może zaobserwować wiele ciekawych rzeczy. Zdążyłem się już zorientować, jakie zróżnicowane towarzystwo tu mieszka. W większości są to porządni ludzie, ale menelstwa i marginesu też nie brakuje. Jest tu taki jeden młodzik, kumple wołają na niego Pędrak. Chyba jest pełnoletni, bo fajki jara i wcale się z tym nie kryje. Kilka razy widziałem go jak siedział na ławce obok klatki i sprawiał wrażenie lekko podpitego. Nie mam pojęcia, co on robi. Pracuje? Uczy się? Bezrobotny? Trudno wyczuć, ale skądś musi brać forszę na przyjemności. Do odczytanych chyba nie należy, bo klnie jak szewc i nie zważa na to czy komuś to przeszkadza czy nie. Któregoś razu miałem ochotę do niego podejść i zwrócić mu uwagę, żeby trochę się hamował, bo dzieciaki bawią się obok na podwórku, a on jedzie z łaciną jak stary. Miałem to zrobić, ale dałem sobie spokój, czort wie co to za gość? Kiedy zmierzałem w kierunku parku zobaczyłem, że Pędrak siedzi samotnie na ławce, pali szluga i pociąga piwko z butelki. Kiedy go mijałem, zmierzył mnie wzrokiem. Przeszedłem na drugą stronę ulicy.

Przy murze, za którym rozciągał się teren gospodarstwa, leżał przewrócony kosz na śmieci. Jakoś nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie potrafią przejść obok takiego widoku i nikt nawet nie ruszy palcem. Wiem, że od sprzątania miasta są odpowiednie służby, ale czy to musi tak leżeć rozwalone i czekać, aż zjawi się ktoś z komunalni? Naprawdę nie rozumiem. Złapałem za kubek, postawiłem go i wrzuciłem do środka kilka papierów, które walały się obok. Od razu zrobiło się ładniej.

Chyba każdy park świata jesienią wygląda cudnie. Wystarczy odrobina błękitnego nieba, trochę słońca, a wtedy liście drzew mieniają się tęczą zaczarowanych barw. Świat przeistacza się w kolorowy kalejdoskop i człowiek zdaje sobie sprawę, że jeszcze się nie narodził taki malarz, który swoim talentem i wyobraźnią mógłby dorównać naturze. Jesień to nie tylko złocista magia, to jeszcze szeleszczący szum wiatru, który porywa do tańca suche liście i zapach powietrza w którym czają się ostatnie oddechy lata. Nie dziwię się, że ta pora roku jest uwielbiana przez artystyczne dusze. Szkoda tylko, że jeszcze żadnemu poecie lub kompozytorowi nie udało się przelać na papier słów albo napisać nut, które potrafiłyby w pełni oddać urokliwy czar jesieni.

Lubię spacerować parkowymi alejkami, ale tamtego dnia zrobiłem tylko jedną rundkę i postanowiłem przysiąść na ławce z dala od ludzkich oczu, żeby móc w ciszy i spokoju wnieść skromny toast na swoje dziewiąte dziesięciolecie. W to środowe popołudnie nie było w parku zbyt wiele ludzi, właściwie nie było prawie nikogo. Usiadłem na ławce pod rozłożystym klonem i wyciągnąłem przed siebie nogi. Październikowe słońce wznosiło się ponad koronami drzew i czułem na swoim ciele jego ciepłe promienie. Dobrze jest czasami wygrzać stare kosteczki. Zamknąłem oczy i wystawiłem twarz w kierunku słońca.

Zanim wyjąłem z kieszeni ćwiartkę żołądkowej, rozejrzałem się na boki, czy aby jestem sam. W pobliżu nie było żywego ducha. Odkręciłem kapsel i szepnąłem pod nosem:

- No to najlepszego staruszku!

Pociągnąłem łyk i poczułem w ustach znajomy, lekko ziołowy smak.

Lubię ten trunek. Jeśli dodać kieliszeczek do świeżo zaparzonej miętowej herbaty, to powiem wam, że tylko palce lizać. Wiem co mówię, bo kilka razy już próbowałem. Pycha!

Pięknie jest siedzieć na ławce w słoneczne popołudnie, nigdzie się nie spieszyć i nie zaprzętać sobie głowy żadnymi bzdurami. Pięknie jest nie myśleć o czymś konkretnym. Umysł wtedy odpoczywa. Człowiek sobie siedzi i chłonie odgłosy natury. Zapaliłem szluga i małymi łydkami pociągałem z butelczyny.

Pewnie znacie to uczucie, które pojawia się właśnie tego dnia, kiedy przypadają wasze kolejne urodziny. Człowiek nagle zaczyna myśleć, że oto przeleciał następny rok, a czas nie wiezieć czemu zasuwa jak szalony. Powiem wam, że z każdym przeżytym rokiem pędzi coraz szybciej. Jednak na pocieszenie dodam, że im człowiek starszy, tym rzadziej rozpamiętuje sprawy przykre. Przestaje myśleć o gównianych zdarzeniach z przeszłości i wspomina sobie tylko najbardziej miłe chwile. Trudno mi powiedzieć dlaczego tak się dzieje, ale mam wrażenie, jakby to było całkiem naturalne. To chyba taka boska przysługa, żeby na koniec życia nie tłoczyć sobie jadu w serce.

Wysączyłem już większą część mojej ćwiartki i czułem się całkiem dobrze. Rozluźniony. Swobodny. Odprężony. Wiem, że w moim wieku powinienem zachować ostrożność jeśli idzie o alkohol, organizm już nie ma w sobie tej siły, żeby bezboleśnie nadrabiać straty. Z drugiej strony przecież dwieście pięćdziesiąt gram nie powinno mnie powalić na kolana, jeszcze tak źle ze mną nie było. Zapaliłem kolejnego papierosa i wychyliłem wszystko do dna.

Urodziny zostały oblane.

Kończyłem szluga, kiedy nagle kątem oka dostrzegłem, jak w alejce w oddali, pojawiła się czyjaś postać. Obróciłem twarz w tamtym kierunku i wtedy poczułem jak w jednej sekundzie przestrzeń eksploduje. W moim kierunku zmierzała kobieta. Październikowy wiatr na chwilę zatańczył w jej długich blond włosach i zatrzepotał połą zwiewnej, kremowej sukienki. W tamtej chwili poczułem się tak, jakby czas uniósł mnie na swych skrzydłach i porwał w zamierzchłą przeszłość. Wyglądała dokładnie tak, jak dziewczyna, która całe wieki temu skradła mi serce i duszę. Fala gorącego ciepła uderzyła mi do głowy. Nie wiem, być może sprawiła to Żołądkowa Gorzka, która krążyła w moich żyłach. Ten kolorowy park, cudowny dzień, jesień, ja i ona, która tak samo jak kiedyś kroczy mi na spotkanie. Chryste Panie, to było tak intensywne przeżycie, że poczułem jak moje serce zerwało się do galopu. Patrzę na nią i widzę, jak ona kroczy i wiem, że znam ten chód, ten ruch bioder, wszystko takie znajome i bliskie. *Przecież to niemożliwe* - szepnąłem w myślach. Oczywiście miałem rację. Zawiódł mnie mój starczy wzrok, a wybujała wyobraźnia zrobiła mi psikusa. Nie wiem nawet, czy ta dziewczyna mnie widziała, po prostu w pewnym momencie skręciła w lewo i zniknęła mi z oczu. Potrzebowałem kilku chwil, żeby dojść do siebie. Kolejnego papierosa wypaliłem chyba w piętnaście sekund i żałowałem, że nie mam już nic mocniejszego. Tamtego dnia siedziałem na tej ławce tak długo, aż słońce zaczęło się chować za horyzontem. Siedziałem i rozpamiętywałem moją przeszłość. Czułem jak łyzy cisną się do mych oczu. Mając na karku dziewięćdziesiąt lat zrozumiałem, że moja miłość nigdy nie zgasła. W pewnym momencie szepnąłem sam do siebie, ale powiedziałem to tak, jakbym zwracał się do Agnieszki:

- Zawsze będę cię kochał.

Wiem, niektórzy z was uśmiechają się teraz z politowaniem i myślą sobie - nie dość, że stary, to jeszcze żaloszny. Szczerze? Mam to gdzieś, możecie sobie myśleć, co wam się rzewnie podoba. Wasze prawo. Chodzi mi tylko o to, że chcę zaprzeczyć teoriom na temat potrzeby chwili i słabościom, które pojawiają się w sprzyjających okolicznościach. Wierzę, że jeśli człowiek pokochał w swoim życiu drugą osobę miłością szczerą i prawdziwą, to takie uczucie nigdy w nim nie zgaśnie, choćby cały świat rozpadł się na miliardy drobnych kawałków. Może jestem niepoprawnym romantykiem, może jestem szaleńcem albo największym naiwniakiem jakiego nosiła ziemia, ale wierzę w wieczną miłość i nikt mi tej wiary nie odbierze.

Maniek nie odwiódł mnie od moich planów. Podjąłem decyzję, którą uważałem za słuszną. Podejmując to szalone ryzyko, zacząłem knuć jak mało kto. W kantynie kupiłem

blok rysunkowy i ołówek. Pamiętam tę chwilę, bo klawisz który wtedy obserwował, kto i jakich dokonuje zakupów, powiedział do mnie:

- Wzięło cię na rysowanie?
- Coś trzeba zrobić towarzyszu, żeby sobie umilić życie - odparłem.

List postanowiłem napisać dopiero wtedy, kiedy ugadam się z chłopem, który miał załatwić temat.

Dwa tygodnie zajęło Mańkowi znalezienie człowieka, który podjął się tego zadania. To był niepozorny facet. Znałem go z widzenia, ale nigdy wcześniej z nim nie rozmawiałem.

W pierwszą niedzielę kwietnia, Maniek spiknął nas na spacerunku.

- Gienek poznaj Ropucha, Ropuch poznaj Gienka - przedstawił nas sobie. - Z mojej strony to wszystko. Szczegóły ustalcie między sobą - powiedział i odszedł.

- Przejdźmy się - zaproponował mój zleceniobiorca.

Wolnym krokiem ruszyliśmy przed siebie.

- Z tego co mówił Maniek, to zrozumiałem, że chcesz wysłać list za granicę, tak?

- Tak - odparłem.

- Nie ma problemu, jestem w stanie ci pomóc.

- Za ile? - Zapytałem.

- Połowa stawki jaką zarabiasz i płatne z góry.

- Drogo - powiedziałem, chociaż zgodziłbym się nawet na dwa razy więcej.

- Słuchaj kolego, to nie polega na tym, żeby tylko kupić znaczek i wrzucić list do skrzynki.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

- Taki list trzeba nadać jako przesyłkę, wypełnić kwitek, kupić znaczek i oddać go w okienku pocztowym.

- Skąd to wiesz? - Zapytałem, bo nie miałem pojęcia, jak po drugiej stronie murów załatwia się takie sprawy.

- Bo tak jest i koniec kropka. Z więzienia nie można wysyłać listów zagranicznych. Myślisz, że tylko ty jeden masz taką potrzebę? - Kiedy to usłyszałem, od razu pomyślałem, że Wiktor chciał mnie wykołegować. - Jeśli chciałbyś wysłać list krajowy, oczywiście z pominięciem więziennej cenzury, to idziesz na pocztę, kupujesz znaczek, wrzucasz do skrzynki i po sprawie. Jednak nadanie listu poza granice Polski, to kupa zachodu. Nic się nie martw, dostaniesz ode mnie pocztowe potwierdzenie, że przesyłka została nadana. Będziesz miał pewność, że tak się stało.

- W takim razie połowę zapłacę przed robotą, a resztę jak dostanę kwit.

- Za chwilę, to będziesz się mógł ugryźć w dupę i skończymy rozmowę. Płacisz z góry, albo nie dobijemy targu - stwierdził zdecydowanym głosem. - Ja zawsze wywiązuję się ze swoich zleceń. Myślisz, że w innym wypadku Maniek kojarzyłby ciebie ze mną? - Spojrzał na mnie swoimi przenikliwymi oczkami.

- No dobrze, niech będzie - zdecydowałem po chwili. - Jak to organizujemy?

- W przyszłą niedzielę dasz mi list i pieniądze. Na odwrocie koperty napisz dane

nadawcy...

- Jakie dane? - Wpadłem mu w zdanie.

- Nie obchodzi mnie jakie. Po prostu muszą być dane. Baba na poczcie wypełniając kwit pisze dane nadawcy i odbiorcy. Wymyśl sobie, nie wiem, na przykład Jan Kowalski ulica Pierdoły 16 Wronki albo cokolwiek innego. Jak chcesz możesz wpisać swoje dane, nie interesuje mnie, kto będzie widniał jako nadawca. Ma być i koniec.

- Rozumiem. W takim razie widzimy się za tydzień.

- Tylko nie zapomnij kasy, bo inaczej nici z interesu.

- Jasne - odparłem i ruszyłem w przeciwną stronę.

Następnego dnia przed wyjściem do pracy, zabrałem z sobą jedną kartkę z bloku rysunkowego. Nosilem ją w kieszeni przez trzy dni, zanim udało mi się buchnąć trochę kleju, którego potrzebowałem żeby zrobić kopertę.

W niedzielę, kiedy Maniek drzemał sobie w najlepsze usiadłem przy stole, żeby napisać list. Przez blisko pół godziny siedziałem wpatrując się w pustą kartkę papieru. Tak dużo miałem jej do powiedzenia, ale nie miałem pojęcia jak zacząć. Borykałem się z własnymi myślami, aż w końcu doszedłem do wniosku, że nie mogę być zbyt wylewny. Skąd miałem wiedzieć, jak potoczyły się jej losy? Może ponownie wyszła za męża? Może ma nową rodzinę i stwierdziła, że nasza korespondencja nie ma sensu? Pomyślałem, że najlepszym i najbezpieczniejszym rozwiązaniem będzie nadać moim słowom czysto informacyjny i oschły ton. Jeżeli ta kartka papieru wpadłaby w czyjeś niepowołane ręce, to taka osoba doszłaby do wniosku, że znajomy wysłał do swojej znajomej kilka słów. Napisałem, że mam się dobrze, że przetrwałem wojnę i nadal jestem w tym samym miejscu, co kiedyś. Nie wdawałem się w żadne szczegóły i nie wspominałem o przeszłości. Dodałem również, żeby na razie nie pisała do mnie i że na pewno się odezwę, kiedy będą ku temu sprzyjające okoliczności.

Kiedy skończyłem pisać, poczułem ulgę.

Naprawdę.

Poczułem się tak, jakby ktoś zdjął mi z duszy ciężar.

Zamiast zwyczajowego podpisu, nakreśliłem rysikiem mój znak runiczny. Chyba podświadomie wiedziałem, że nie mogę zostawiać żadnego konkretnego śladu, który wiódłby wprost do mnie.

Adresatem przesyłki zrobiłem niejakiego Stanisława Stefańskiego, zamieszkałego przy ulicy Lipowej 5 we Wronkach. Pomyślałem, że kombinacja moich dwóch imion będzie dla Agnieszki wyraźnym znakiem, że to ja jestem nadawcą.

Ukryłem za pazuchą kopertę i odliczyłem pieniądze należne za usługę.

Teraz pozostało mi tylko spotkać się na spacerunku z człowiekiem, który miał dopełnić dzieła.

- No to jesteśmy ugadani - powiedział Gienek zaraz po tym, jak dyskretnie przeliczył szmal. - Za tydzień dam ci potwierdzenie nadania. Polecam się na przyszłość -

klepnął mnie w ramię i odszedł.

Nie zapytałem go w jaki sposób załatwi sprawę, bo pewnie i tak nie dostałbym żadnej odpowiedzi. Liczyło się tylko to, żeby list został wysłany.

Tydzień później dostałem od niego urzędowy druczek opieczetowany pocztowymi stemplami i datownikiem. To było formalne potwierdzenie nadania zagranicznej przesyłki listowej.

Przysiedliśmy pod siatką okalającą teren spacerniaka.

- Wszystko się zgadza? - Zapytał Maniek.

- Chyba tak. Świstek wygląda na prawdziwy - odparłem i schowałem go do kieszeni.

- Co ty robisz?! - Maniek warknął do mnie. - Zgłupiałeś?! Spal to pokwitowanie! - Rozkazał i podał mi zapalki.

Miał rację, a ja nie wiedziałem dlaczego w całej swojej bezmyślności, włożyłem kwitek do kieszeni spodni.

Pod koniec kwietnia wiosna wypaliła pełnią swoich dzieł. Świat dookoła zazielenił się jak w bajce, a powietrze pachniało rzeźkością. W stolarni przestaliśmy palić w pieco-kuchni, a Pan Cipa przyniósł z domu małą kuchenkę elektryczną na której mogliśmy zagotować w czajniku wodę. Nasz szef każdego dnia przychodził do pracy z gazetą. Podczas przerwy siadał na taborecie, pałaszował kanapki i czytał najnowsze wiadomości z kraju i ze świata. Gazet nigdy nie zabierał do domu, tylko tradycyjnie układał je na kupkę obok skrzyni, gdzie magazynowaliśmy odpadki do spalenia. Nigdy z jego ust nie słyszałem, żeby narzekał na sytuację polityczną lub gospodarczą. Poza tym on raczej nie miał żadnych powodów do narzekania, bo wiodło mu się całkiem dobrze. Myślę, że trzepał fajną forszę, jaka wpadała mu w postaci prowizji za zlecenia zewnętrzne.

Tamtej wiosny więzienie podłapało intratny kontrakt od jakiejś spółdzielni rolniczej, która złożyła zamówienie na skrzynki warzywne. Tłukliśmy tego od groma i wszystko wskazywało na to, że przez całe lato będziemy mieć pełne ręce roboty.

Dni wolno płynęły do przodu, a ja wpadłem w błogi rytm rutyny. Praca, cela, spacerniak, strzyżenie, golenie, łaźnia, kantyna i tak sobie leciało...

Z początkiem lata w więzieniu została otwarta biblioteka. Muszę się wam przyznać, że ta wiadomość bardzo mnie ucieszyła. Jako pospolity mogłem korzystać z jej skromnych zasobów, co oczywiście uczyniłem. Właściwie to nie wiem, czego się spodziewałem i na co liczyłem, ale wybór dzieł literackich raczej nie powalał na kolana. W tamtych czasach dominowała literatura tak zwanego socrealizmu, która była na wskroś przesiąknięta ideałami i propagandą komunistyczną. Pierwsza książka, którą wypożyczyłem, to był przekład powieści autorstwa Borysa Polewoja pod tytułem "Opowieść o prawdziwym człowieku". A tak w ogóle, to na półkach więziennej biblioteki dominowały radzieckie dzieła literackie, zarówno współczesne jak i klasyka. Nie będę filozofował i wypowiadał się na temat ich wartości artystycznych, bo żaden ze mnie krytyk, ale powiem wam, że większość książek była napisana bardzo przyzwoicie.

W miarę upływu czasu biblioteka zwiększała swoje zasoby i pojawiały się nowe

pozycje. Podobało mi się to, że mieliśmy również dostęp do gazet i czasopism. Dzięki nim, człowiek mógł łyknąć trochę aktualnych wydarzeń.

Pamiętam jak na początku sierpnia na pierwszej stronie Trybuny Ludu, zobaczyłem wydrukowany tłustym drukiem szalenie intrygujący tytuł artykułu: Surowe wyroki w "procesie generałów". Każdy więzień, kiedy usłyszy lub przeczyta słowo "wyrok" natychmiast czuje się zainteresowany tematem. Dowiedziałem się wtedy, że czterech polskich generałów oraz kilku innych żołnierzy mniejszych rangą, między innymi był pośród nich pułkownik Marian Utnik, zostało jakiś czas temu oskarżonych o szpiegostwo. 1 sierpnia 1951 roku zapadł werdykt. Nie pamiętam dokładnie komu i ile zostało zasądzone, ale były tam wyroki dożywocia oraz piętnastu lat więzienia. W pamięci utkwiło mi nazwisko Utnik, bowiem dwa lata później ten człowiek został przeniesiony z więzienia w Rawiczu do Wroniek. Miałem okazję poznać go osobiście, kiedy egzystencje pospolitych i politycznych, tworzyły jeden, wspólny świat. Zamieniłem z nim raptem kilka słów i wątpię, żeby mnie zapamiętał. Utnik odzyskał wolność w czasach tak zwanej odwilży i opuścił więzienne mury wiosną 1956 roku. Uniewinniono wtedy również pozostałych wojskowych, skazanych w "procesie generałów", który jak się później okazało był farsą, ale myślę, że ta informacja nie jest wam obca. Jednak nie wszyscy wiedzą, że dokładnie tego samego dnia, kiedy władza ludowa ogłosiła swój werdykt, na wodach Bałtyku doszło do buntu w szeregach Marynarki Wojennej. 1 sierpnia część załogi okrętu "Żuraw" sterroryzowała dowództwo trałowca, który od czasów zakończenia II wojny światowej pełnił funkcję okrętu hydrograficznego, i obrała kurs na Szwedzki port w Ystad. Kiedy statek dobił do brzegu, dwunastu chłopów zeszło na ląd i poprosiło o azyl, a pozostali odpłynęli z powrotem do kraju. A wiecie, jaki numer wycięła polska władza tym, którzy powrócili? Cztery miesiące później większość wiernej załogi została w świetle prawa skazana na długoletnie wyroki. Ktoś z komitetu partyjnego nie mógł chyba przełknąć goryczy i chcąc zatrzeć ślad po tym upokarzającym zdarzeniu, kazał nazwę okrętu "Żuraw" przemianować na "Kompas".

Tak sobie myślę, że ta cała Szwecja, to musi być dobre miejsce do życia, skoro uciekali tam zarówno Polacy i Żydzi. Dawid Lepke też prysnął na drugą stronę Bałtyku...

W pierwszej połowie września we wronieckim więzieniu, pojawił się skazaniec, którego słowa sprawiły, że moja rzeczywistość zadrżała w posadach. Ten człowiek wyrokiem sądu został skazany na pięć lat więzienia. Nie podlegał pod kategorię politycznych, a ze światem przestępczym miał tyle wspólnego, co ja z baletem. Zbyszek Ambrozik, bo tak się ów człowiek nazywał, miał niespełna trzydzieści lat i został aresztowany w Czechosłowacji przez służby, będące odpowiednikiem polskich Wojsk Ochrony Pogranicza. Złapali go nieopodal niedużej miejscowości Valtice, gdzie chciał nielegalnie przekroczyć austriacką granicę. Pepiki wydali go naszym. Trafił do aresztu w Cieszynie, a stamtąd prosto na salę rozpraw i sędzia wlepił mu dla przykładu pięć lat. Pisali nawet o tym w gazetach, żeby ludzie mieli świadomość, iż za próbę ucieczki z Polski Ludowej można ponieść tylko surową karę. To była czysto psychologiczna zagrywka. Bezpośrednie ostrzeżenie ze strony władz było skierowane przede wszystkim

do tych obywateli, którym marzyła się emigracja przez zieloną granicę. W tamtych latach wronieckie więzienie obrosło już mitem i przez szarych obywateli żyjących w kraju nad Wisłą było postrzegane, jako jeden z najpodlejszych zakładów karnych.

Jeśli idzie o Zbyszka, powiem wam, że to nie był głupi facet. Skończył studia, miał tytuł inżyniera, a z jego oczu biła wrodzona inteligencja. Był mądry, odcytany i błyskotliwy, ale nie nadawał się do życia w więzieniu. Tutaj większość pospolicznych, to byli zwykli, prości ludzie o bandyckich charakterach. Człowiek z dyplomem wyższej uczelni w żaden sposób nie pasował do tego towarzystwa. To było tak, jakby wziąć babę ze wsi, która przez pół życia doiła krowy i karmiła kury, i oczekiwać od niej, że odnajdzie się w roli Pierwszej Damy. Nierealne i niemożliwe do osiągnięcia. Co wam będę tłumaczył, więzienie to nie jest szkółka niedzielna dla poukładanych chłopców. Jeśli tutaj pokażesz, że jesteś słaby, to zjedzą cię razem z butami. Ten świat nie zna litości. Ludowe porzekadła mają w sobie bardzo dużo prawdy i sprawdzają się w niejednych okolicznościach. Na pewno nie jest wam obce powiedzenie, że jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. W jednym ze swoich dzienników napisałem zdanie - "Kiedy żyjesz w wilczym stadzie, też musisz być wilkiem". W tych kilku słowach, chciałem wtedy oddać w dobitny sposób obraz więziennej rzeczywistości, który panował w latach dwudziestych i trzydziestych. W roku 1951 nie było tutaj wilków, tylko sfera zaszczutych kundli. Nie było tak jak kiedyś. Nie było żadnej szajki czy bandy, która w zorganizowany i zdyscyplinowany sposób dzierżyłaby buławę władzy. Te czasy miały dopiero nadejść. W pięćdziesiątym pierwszym mieliśmy tutaj tylko kilku kozaków, z którymi nikt normalny wołał nie zadzierać.

Problem inżyniera Zbigniewa polegał na tym, że w krainie kundli, on był tylko małym, bezbronnym szczeniakiem. Celę dzielił z kolesiem, na którego pieścotliwie wołano Miecio. Trochę śmiesznie to brzmiało, bo Miecio był potężnym facetem. Gdybym miał go opisać w dwóch słowach, to rzekłbym, że był duży i głupi, co wcale nie mijало się z prawdą. Miecio i Zbyszek, reprezentowali dwa różne światy. Jeżeli w jakimś pomieszczeniu, którego przestrzeń życiowa wynosi kilka metrów kwadratowych, żyje dwóch ludzi i jest pomiędzy nimi konflikt, to rządzi ten, który ma większe walory fizyczne.

Od pierwszego dnia Miecio musztrował Zbyszka pod swoje dyktando, a jeśli jego nowy współlokator miał jakieś obiekcje, to zaraz obrywał. Miecio był cwany i dobrze wiedział, jak trzeba bić. Wiedział, że nie wolno zostawiać żadnych śladów. W takich sytuacjach nie trzeba komuś spuszczać łomotu. Wystarcza jeden kopniak kolanem w podbrzusze, trzepnięcie otwartą dłonią w potylicę, albo cios pięścią prosto w nerkę i na tym się kończy. Zastrasz swoją ofiarę, osacz, bądź brutalny, pchnij w nią strach i lęk. To jest najlepszy sposób, żeby zdominować słabszego człowieka.

Po dwóch tygodniach jeden z więźniów, który trzymał z Miecieniem sztamę, wygadał się przed Mańkiem.

- Miecio ma teraz dobrze. Ten nowy, którego wpakowali mu do celi został jego wasalem. Ścieli mu pryczę, pierze jego zasrane majki i cuchnące skarpetki, a jak jest coś sensownego do żarcia, to świeżak oddaje mu połowę racji. Życie nie umierać!

Nie mam pojęcia co skłoniło Mańka do reakcji, ale następnej niedzieli podszedł do

Miecia na spaceru i wziął go na słowo. Najpierw pogadał z nim w cztery oczy, a potem obaj podeszli do Zbyszka. Mediacje trwały dosłownie kilka minut.

- I jak poszło? - Zapytałem, kiedy skończyli rozmawiać.

- Normalnie - odparł i wzruszył ramionami. - Grzecznie poprosiłem Miecia, żeby dał chłopakowi spokój, przeprosił go i przestał się nim wysługiwać.

- I co? Ot tak, zgodził się bez żadnego sprzeciwu?

- Nie, ale kiedy zapytałem czy chciałby o tej sprawie pogadać ze Szczerbatym Zenkiem, to od razu zmienił zdanie - spojrzał na mnie i uśmiechnął się w taki sposób, jakby chciał tym grymasem udowodnić, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych.

Szczerbaty Zenek był właśnie jednym z tych kilku ludzi, z którymi nikt rozsądny nie chciałby mieć na pieńku. Jego ksywka wiązała się z tym, że posiadał ewidentne braki w uzębieniu. Pośród skazańców krążyła plotka, że swojego czasu Szczerbaty Zenek skatował w łaźni jednego gościa. Tak go złał, że koleś w ciężkim stanie wylądował na izbie chorych. Zmasakrował mu twarz, chociaż facet był od niego dwa razy większy. Po tym incydencie Szczerbaty Zenek spędził ponoć miesiąc w celi przeznaczonej dla więźniów niebezpiecznych.

- Potem podeszliśmy obaj do tego świeżutkiego - Maniek ciągnął dalej. - Miecio okazał swoją skruchę, a ja powiedziałem temu młodzikowi, że jak będzie mu się znowu działa krzywda, to ma mnie o tym natychmiast powiadomić.

Zbigniew Ambrozik, jak na inteligentnego człowieka przystało wiedział, że za taką przysługę, jaką wyświadczył mu Maniek, trudno się będzie jemu kiedykolwiek odwdzińczyć. Może po drugiej stronie murów nie stanowiłoby to żadnego problemu, ale nie tutaj. Nie w więzieniu. Jednak muszę przyznać, że pan inżynier miał klasę i zachował się godnie.

W ostatnią niedzielę września leżeliśmy z Mańkiem wyciągnięci na trawie niczym letnicy, rozkoszujący się promieniami jesiennego słońca. Pogoda była cudowna. Wiatr delikatnie szumiał pośród liści drzew, których rozłożyste korony spoglądały na nas z drugiej strony więziennego muru. Gadaliśmy o jakichś bzdurach, kiedy nagle zjawił się przed nami Zbigniew Ambrozik.

- Witam - powiedział i skinął w naszym kierunku głową.

- Co tam młodzieńcze? - Zapytał Maniek.

Inżynier przysiadł obok niego i rzekł:

- Chciałem panu podziękować - po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki i wyjął z niej tabliczkę mlecznej czekolady i paczkę papierosów. - Proszę. Wiem, że to niewiele za taką przysługę, jaką mi pan wyświadczył, ale chcę powiedzieć, że jestem panu bardzo wdzięczny.

- Żaden ze mnie pan. Mów mi Maniek - odparł mój kumpel i wyciągnął w jego kierunku dłoń. - To mój przyjaciel Ropuch - kiwnął głową w moim kierunku. - Poznajcie się. Siadaj Zbychu - Maniek klepnął dłońią w kępę trawy. - I jak ci się teraz żyje z tym całym Mieciem?

- Dobrze. Po pana... po twojej interwencji - poprawił się szybko - przestał mi

dokuczać.

- Pamiętaj co ci mówiłem, jak będzie znowu cwaniakował, to daj mi znać.

- Jeśli dojdzie do takiej sytuacji, to na pewno nie omieszkać tak zrobić - odpowiedział.

Przez resztę czasu, jaka nam pozostała na wybiegu, nasz nowy znajomy siedział obok, a my wypytywaliśmy go o różne sprawy. Wtedy też dowiedzieliśmy się, za co został skazany.

Od tamtej pory Zbyszek został naszym kumplem i podczas niedzielnych spacerów, spędzał czas w naszym towarzystwie. Chyba bardzo szybko obdarzył nas zaufaniem, bo niejednokrotnie narzekał na sytuację polityczną i ekonomiczną, jaka panowała w Polsce. Właściwie to on uświadomił nam, jak jest naprawdę. Pewnego razu powiedział coś, czego nie spodziewałem się usłyszeć.

- To nie jest wolne państwo. Co to za kraj, gdzie władza inwigiluje swoich obywateli i ingeruje w ich prywatność? Jeżeli nie jesteś poprawny politycznie i masz jeszcze czelność krytykować posunięcia władz, to możesz mieć poważne kłopoty. W polskich miastach i wsiach żyje się pod dyktando socjalistycznych doktryn. Wolność obywatelska jest pojęciem abstrakcyjnym. Wszystko podlega cenzurze. Do kraju praktycznie nie docierają żadne wieści ze świata, wiemy tylko o tym, co dzieje się w granicach demoludów...

- Demoludów? - Wpadłem mu w zdanie, bo nigdy dotąd nie słyszałem takiego słowa.

- To takie potoczne określenie narodów, które są pod ekspansją radziecką. Chodzi o wszystkie państwa obozu socjalistycznego.

Opowiadał wiele interesujących rzeczy, o których nie miałem żadnego pojęcia. To właśnie z jego ust usłyszałem po raz pierwszy określenie "żelazna kurtyna" i dowiedziałem się, że Niemcy jako kraj, zostały podzielone na dwie części.

Zbyszek doskonale zdawał sobie sprawę, co dzieje się w Polsce. Miał świadomość jak w oczach władzy reprezentującej interesy klasy robotniczo-chłopskiej, postrzegane są środowiska naukowe i akademickie. Nie widział dla siebie przyszłości w tym kraju i dlatego chciał wyjechać. Nie miałem pojęcia, że to było wtedy takie trudne. Normalny człowiek miał duże problemy, żeby otrzymać paszport, dzięki któremu mógł w legalny sposób przekroczyć granicę. To wszystko wydawało mi się jakieś mało prawdopodobne. Miałem wrażenie, że niekiedy w swoich opowieściach naciąga fakty.

- Cenzura obejmuje wszystko i dba o przepływ informacji, który jest korzystny dla przedstawicieli partii. Począwszy od prasy, poprzez radio, książki, szkolne lektury, biblioteki, imprezy artystyczne lub naukowe. Wszystko, dosłownie wszystko podlega cenzurze, nawet każdy list jaki jest wysyłany za granicę lub taki, który stamtąd dociera tutaj.

- Jak to każdy list?! - Spojrzałem na niego, a potem zerknąłem na Mańka. - O czym ty mówisz?!

- Wszystkie listy wysyłane z Polski poza granice bloku socjalistycznego, są cenzurowane. Żadna informacja nie wymknie się na zewnątrz. Świat nie wie, co się tutaj dzieje.

Jego słowa brzmiały niczym koszmarny absurd. Nie mogłem w to uwierzyć, nie przyjmowałem tego do wiadomości.

- Naprawdę nie macie pojęcia, co się dzieje w tym kraju? - Zapytał i spojrzął po naszych twarzach. - Od kiedy tu jesteście?

- Ile masz lat Zbychu? - Spytałem patrząc mu prosto w oczy.

- Dwadzieścia dziewięć.

- No to wyobraź sobie, że w lipcu tego roku obchodziłem swoją dwudziestą dziewiątą rocznicę odsiadki. Siedzę tutaj dokładnie tyle czasu, ile ty dopiero przeżyłeś.

Kiedy usłyszał moje słowa, zareagował tak, jak się spodziewałem. Na jego twarzy pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia, niedowierzania i cień strachu.

- Nie panikuj - powiedział Maniek, kiedy wróciliśmy ze spacerniaka do celi. Chyba widział po mnie, że przejąłem się tą sytuacją.

- Łatwo ci mówić - odparłem.

- Po prostu, nie przejmuj się, bo i tak żaden ślad nie prowadzi do ciebie, prawda?

W sumie miał rację, ale wiecie jak to jest, kiedy człowiek uruchomi swoją wyobraźnię. W dokumentach Poczty Polskiej na pewno została jakaś informacja, skoro takie przesyłki były skrupulatnie ewidencjonowane. A co, jeżeli prowadzono szczegółowy rejestr takich listów? Chryste Panie, to zaczynało mnie przerastać. Byłem w stanie uwierzyć nawet w to, że Wiktor Kozłowski został powiadomiony o fakcie, że z miejscowości Wronki, ktoś nadał list do kobiety mieszkającej w Chicago.

Przez kilka następných dni nie potrafiłem myśleć o czymkolwiek innym. Do głowy pakowałem sobie tak niedorzeczne bzdury, że sam się dziwiłem, skąd mi przychodzą takie pomysły?! Jeżeli wcześniej wiedziałbym o tym, że wszystkie listy są cenzurowane, to w życiu bym niczego nie wysyłał! Potem zdałem sobie sprawę, że przecież minęło już sporo czasu i jeśli faktycznie wybuchłaby z tego powodu afera, i gdyby major Kozłow jakimś cudem dowiedział się o tym, to już dawno beknąłbym z tego tytułu.

W listopadzie zrozumiałem, że mam nad wyraz wybujałą fantazję i nabrałem do tej sytuacji odpowiedniego dystansu.

Z początkiem grudnia temperatura drastycznie spadła. Zmienacka przyszedł mróz i sypnęło śniegiem. W ciągu jednej nocy cały świat schował się pod pierzyną puszystej bieli i od tamtej pory, waliło śniegiem tak, jakby chciało nas zasypać na amen. Każdego dnia ekipy bezrobotnych odśnieżały więzienny dziedziniec, plac przed garażami, drogę do izolacyjnego i trzy sektory spacerniaka. Wzdłuż więziennego muru wznosiły się wysokie zasy, bowiem tam zgarniano nadmiar śniegu, i kiedy człowiek spoglądał w ich kierunku, wówczas w głowie rodziła się myśl o ucieczce. Sam pomyślałem, że jeśli te białe hałdy zamarzną na kamień, to nie będzie żadnego problemu, żeby przeskoczyć na drugą stronę.

Nastał wtorek 18 grudnia 1951 roku. Dzień zaczął się tak samo jak wszystkie inne

powszednie dni. Pobudka, toaleta, śniadanie, bomba i wyjście do pracy.

Sto procent rutyny w najlepszym wydaniu.

Beżowe kafle pieco-kuchni zionęły przyjemnym ciepłem. Około dziesiątej Pan Cipa ogłosił przerwę na herbatę. Przyjemnie było w trakcie pracy zrobić sobie pauzę, napić się czegoś ciepłego i przy okazji walnąć dymka. Klawisz, który nas pilnował, siedział po drugiej stronie pomieszczenia i czytał gazetę. W pewnym momencie drzwi do stolarni otworzyły się na oścież. W ich świetle ujrzelśmy oficera dyżurnego. Strażnik na jego widok poderwał się na równe nogi i zaczął składać meldunek.

Oficer w randze porucznika spojrzął po naszych twarzach i zapytał:

- Który to Żabikowski?

- To ja, towarzyszu poruczniku - odparłem podnosząc się z miejsca.

- Pójdziecie ze mną! - Rzucił w moją stronę, po czym podszedł do klawisza i coś mu szepnął do ucha.

Wrzuciłem na grzbiet moją kufajkę, wciągnąłem na głowę filcowy beret i byłem gotów do wyjścia.

- Co się stało, towarzyszu poruczniku? - Zapytałem, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

- Dyrektor więzienia was wzywa. Spotkacie się z bardzo szczególnym gościem - odparł. - No żwawiej żwawiej! - Rzucił i delikatnie pchnął mnie w przód.

Śnieg prószył mi prosto w twarz, a w mojej głowie rozległ się krzyk zaskoczenia.
Gość?! Jaki gość?! Kto?!

Przez dwadzieścia dziewięć lat odwykłem od zaskakujących sytuacji, a już szczególnie takich, które znienacka wdzierały się w moją więzienną rzeczywistość. Nienawidziłem wszystkiego, co burzyło monotonną egzystencję i poukładany harmonogram dnia. Kroczyłem wzdłuż siatki spacerniaka i czułem, jak w tym mroźnym, grudniowym powietrzu zaczynam się w środku gotować. W mojej głowie galopowały rozbiegane myśli i nie miałem żadnego punktu zaczepienia.

Nagle poczułem, że moje nogi zaczynają odmawiać posłuszeństwa, a w duchu byłem pewien, że w jednym z gabinetów czeka na mnie Wiktor Kozłowski. To musiał być on, bowiem któż inny chciałby mnie widzieć?! Nagle wszystko stało się jasne. Jakimś cudem wydała się sprawa listu, wieść o tym dotarła do Wiktora i zjawił się teraz tylko po to, żeby mnie ukarać.

Za rogiem budynku skręciliśmy na więzienny dziedziniec i wtedy ujrzałem nieopodal bramy wjazdowej wojskowy gazik z emblematem czerwonej gwiazdy na drzwiach. Na jego widok poczułem, że zaschło mi w gardle. Tuż obok sowieckiego dżipa stał zaparkowany drugi pojazd. To był osobowy samochód i wyglądał bardzo dostojnie. Miał żółtą tablicę rejestracyjną, a jego karoserię pokrywał czarny, błyszczący lakier. Przez szybę dostrzegłem, że fotele w środku były obciążone beżową skórą.

- Kierujcie się do budynku administracyjnego! - Za plecami usłyszałem krótką komendę.

No to już po mnie! - Szepnąłem w myślach.

Pchnąłem przed siebie drzwi.

- W lewo! - Rzucił oficer, który kroczył tuż za mną.

Skręciłem w korytarz. Po bokach były drzwi, a na końcu okno i tam właśnie stało czterech mężczyzn. Widziałem tylko zarysy postaci, ale dwóch ludzi miało na sobie mundury, które krojem nie przypominały odzienia naszych wojaków. Od razu pomyślałem, że to musieli być jacyś sowieci.

- Zaczekajcie tutaj - porucznik powstrzymał mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu, a sam poszedł w kierunku mężczyzn.

Spojrzałem na drzwi, które były na wprost mnie. Widniała na nich tabliczka "SALA ODWIEDZIN". Czuję, jak wszystkie nerwy w moim ciele drżą niczym struny.

Po chwili ujrzałem, że oficer dyżurny i jeden z mężczyzn zmierzają w moim kierunku. To był dyrektor więzienia. Podszedł do mnie, zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem i powiedział:

- Żabkowski, macie odwiedziny. - Zerknął na zegarek i dodał: - Daję wam godzinę na spokojną rozmowę sam na sam - z naciskiem podkreślił swoje dwa ostatnie słowa. - Godzinę, a potem wracacie do swoich obowiązków.

Oficer dyżurny złapał za klamkę u drzwi, za którymi znajdowała się sala odwiedzin. Otworzył wrota i gestem dłoni kazał mi wejść do środka.

Niepewnym krokiem pokonałem próg.

Po lewej stronie w głębi pomieszczenia, stała kobieta z twarzą zwróconą w kierunku okna. Była ubrana w brązowy płaszcz, przez ramię miała przewieszoną skórzaną torbę, a jej długie blond włosy sięgały połowy pleców. Powoli obróciła się w moją stronę. Kiedy ujrzałem jej oblicze poczułem się tak, jakby ziemia rozstąpiła się pod moimi stopami. Puls zadudnił w skroniach, a serce zaczęło bić z taką siłą, jakby pragnęło wyrwać się z moich piersi.

23.04.2017 Rybnik, Polska